



MAGIA ETERNA

MARGARET ROGERSON



MAGDA
CIERNE

MARGARET ROGERSON

MAGIA CIERNI

**TŁUMACZENIE
MARTA SŁOŃSKA**

OŚWIĘCIM 2019

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Epilog

Podziękowania

Tytuł oryginału:
Sorcery of Thorns
Copyright © 2019 by Margaret Rogerson
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Paweł Grysztar
Korekta:
D. B. Foryś
Monika Foltman
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-8178-155-8

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Konwersja
[eLitera s.c.](#)



Dla wszystkich dziewczyn, które odnalazły siebie w książkach.



ZAPADAŁA NOC, KIEDY śmierć wjechała do Wielkiej Biblioteki w Summershall. Przybyła powozem. Elisabeth stała na dziedzińcu i patrzyła, jak konie z obłędem w oczach wpadają przez bramę, tocząc pianę z pysków. Wysoko w oknach wieży ostatnie promienie zachodzącego słońca zapłonęły, jakby pomieszczenia za nimi stanęły w ogniu, zaraz jednak umknęły w górę. W gasnącym blasku kładły się długie cienie aniołów i gargulców strzegących poznaczonych smugami deszczu parapetów biblioteki.

Turkoczając kołami, powóz zatrzymał się, a na jego boku załśnił pozłacany emblemat: skrzyżowane pióro i klucz – symbol Kolegium. Żelazne kraty zmieniały tylną część pojazdu w więzienną celę. Choć noc była chłodna, dłonie Elisabeth były śliskie od potu.

– Scrivener – odezwała się stojąca obok niej kobieta. – Masz sól? Rękawice?

Elisabeth poklepała skórzane pasy krzyżujące się na jej piersi, macając umieszczone na nich kieszonki, oraz pojemnik z solą zwisający u jej biodra.

– Tak, pani dyrektor. – Brakowało jej tylko miecza, na ten jednak sobie nie zasłuży, dopóki nie ukończy wieloletniego szkolenia w Kolegium i nie zostanie strażniczką. Niewielu bibliotekarzy osiągało ten cel; z reguły albo rezygnowali, albo ginęli.

– Dobrze. – Dyrektorka zamilkła. Była zdystansowaną, szykowną kobietą o bladej jak śnieg twarzy i ogniście czerwonych włosach. Od jej lewej skroni aż do szczęki ciągnęła się blizna, tworząc zgrubienie na policzku i odginając w bok kącik ust. Tak jak Elisabeth, miała na piersi skórzane pasy, pod nimi jednak nosiła mundur strażnika, a nie szaty nowicjusza. Światło lamp połyskiwało w mosiężnych guzikach jej ciemnoniebieskiego płaszcza i lśniło w wypastowanych butach. Miecz wiszący przy jej biodrze był długi i wąski, z jelcem wysadzonym granatami.

Miecz ten cieszył się w Summershall sławą. Zabójca Demonów, bo tak brzmiała jego nazwa, posłużył dyrektorce do walki z malefiktem, kiedy miała zaledwie dziewiętnaście lat. Pamiątką tamtego właśnie starcia była blizna, która, jeśli wierzyć plotkom, sprawiała jej potworny ból, ilekroć kobieta się odezwała. Elisabeth powątpiewała w prawdziwość tych pogłosek, ale faktem było, że dyrektorka ostrożnie dobierała słowa, a już na pewno nigdy się nie uśmiechała.

– Pamiętaj – odezwała się wreszcie znowu – jeśli po dotarciu do krypty usłyszysz w myślach głos, nie słuchaj go. To grymuar ósmej klasy, stworzony wieki temu, i nie należy go lekceważyć. Od początków swojego istnienia doprowadził do szaleństwa dziesiątki ludzi. Jesteś gotowa?

Elisabeth przełknęła ślinę, nie będąc w stanie wydusić odpowiedzi przez ściśnięte gardło. Nie mogła uwierzyć, że dyrektorka w ogóle z nią rozmawia, a co dopiero że wezwwała ją tutaj, aby pomogła dostarczyć grymuar do krypty. Na ogół taka odpowiedzialność wykraczała daleko poza rangę nowicjuszek. Nadzieja szamotała się w niej, jak ptak uwięziony we wnętrzu domu, fruujący w górę i w dół do utraty sił, wabiony obietnicą otwartego nieba w oddali; za nadzieją zaś niczym cień podążało przerażenie.

„Daje mi szansę dowieść, że warto mnie szkolić na strażnika – pomyślała. – Jeśli zawiodę, zginę. Wtedy przynajmniej będzie ze mnie jakiś pożytek. Będą mnie mogli zakopać w ogródku jako nawóz dla rzodkiewek”.

Ocierając spocone dłonie o szatę, skinęła głową.

Dyrektorka ruszyła przez dziedziniec, a Elisabeth podążyła za nią. Żwir chrząścił im pod stopami. W miarę jak zbliżały się do powozu, powietrze stawało się coraz gęstsze od ohydny smrodu, przywodzącego na myśl namokłą skórę gnijącą na morskim brzegu. Elisabeth dorastała w Wielkiej Bibliotece, w otoczeniu magicznych ksiąg pachnących pergaminem i atramentem, ale ten odór nie przypominał nic z tego, do czego przywykła; sprawiał, że piekły ją oczy, a ramiona pokrywała gęsia skórka. Nawet konie były niespokojne. Nerwowo przebierały kopytami w zaprzęgu, rozrzucając żwir, i ignorowały próbującego je uspokoić woźnicę. W pewnym sensie im zazdrościła – one przynajmniej nie wiedziały, co takiego wiozły za sobą przez całą drogę ze stolicy.

Dwoje strażników zeskoczyło z kozła z dłońmi na rękojeściach mieczy. Elisabeth o mało się nie cofnęła, kiedy spojrzeli na nią spode łba, lecz zamiast tego wyprostowała plecy i uniosła podbródek, próbując jak oni zachować kamienną

twarz. Nawet jeśli nigdy nie zasłuży na miecz, może przynajmniej wyglądać na dość odważną, aby nim władać.

Dyrektorka zagrzechotała pękiem kluczy, a tylne drzwi powozu otwały się z jękiem. Mrok sprawił, że w pierwszej chwili obity żelazem przedział transportowy zdawał się pusty, zaraz jednak Elisabeth wypatrzyła leżący na podłodze przedmiot: płaską, kwadratową szkatułę z żelaza, zabezpieczoną ponad tuzinem zamków. Laik mógłby uznać takie środki ostrożności za absurdalne – ale nie na długo. W wieczornej ciszy z głębi skrzyni rozbrzmiał pojedynczy, donośny łomot, tak potężny, że powóz się zatrząsł, a jego drzwi zadrżały, grzechocząc zawiasami. Jeden z koni zarżał z przestraszeniem.

– Szybko – powiedziała dyrektorka. Chwyliła jeden z uchwytów szkatuły, a Elisabeth złapała za drugi. Razem uniosły ciężar i ruszyły w stronę drzwi, na których szczytce wyryto inskrypcję – wygięty w łuk zwój przytrzymywany z obydwu stron przez płaczące anioły. Niewyraźny napis, niemal niewidoczny w cieniu, głosił „*officium adusque mortem*”. Dewiza strażników. *Służba aż do śmierci*.

Weszły w długi korytarz o kamiennych ścianach, na których kładł się drżący blask pochodni. Masywna szkatuła coraz bardziej ciążyła Elisabeth w rękę. Nie poruszyła się więcej, ale dziewczyna nie czuła się tym uspokojona, bo przeczuwała, co to znaczy: zamknięta w środku księga nasłuchiwała. Czekala.

Przy wejściu do krypty stał na warcie kolejny strażnik. Kiedy zobaczył Elisabeth u boku dyrektorki, w jego małych oczkach zalśniła nienawiść. Był to strażnik Finch, podstarzały mężczyzna o krótkich, siwych włosach i obrzmiałej twarzy, w której jego rysy zdawały się rozpływać, zanurzone jak rodzynki w puddingu chlebowym. Pośród nowicjuszy znany był z tego, że jego prawe ramię było większe i bardziej umięśnione niż lewe, tak często je ćwiczył, wymierzając im chłostę.

Elisabeth zacisnęła dłoń na uchwycie szkatuły, aż pobiełały jej kłykcie, instynktownie szykując się na cios, ale w obecności dyrektorki Finch nic jej nie mógł zrobić. Mamrocząc pod nosem, pociągnął za łańcuch. Cał za całem brona się uniosła, aż jej ostre, czarne zęby znalazły się powyżej ich głów. Elisabeth zrobiła krok naprzód.

A wtedy szkatuła szarpnęła.

– Uważaj – rzuciła ostro dyrektorka, gdy obie zatoczyły się na kamienną ścianę, z trudem utrzymując równowagę. Elisabeth poczuła, że przewraca jej się w żołądku. Jej but wisiał nad krawędzią spiralnych schodów, których kręte stopnie, wijąc się, opadały w mrok.

Uświadomiła sobie straszną prawdę. Grymuar chciał, żeby spadły. Wyobraziła sobie, jak szkatuła toczy się w dół po schodach, uderza w kamienne płyty, otwiera się z trzaskiem łamanych zamków – i to byłaby jej wina...

Dyrektorka zacisnęła dłoń na jej ramieniu.

– Wszystko w porządku, Scrivener. Nic się nie stało. Przytrzymaj się poręczy i idź dalej.

Elisabeth z wysiłkiem odwróciła się od wykrzywionej w potępiającym grymasie twarzy Fincha. Ruszyły w dół. Spod ziemi wionęło chłodem, a powietrze pachniało zimnymi kamieniami, pleśnią i czymś jeszcze, czymś mniej naturalnym. Nawet kamień ociekał tu złem starożytnych reliktyw, od wieków marniejących w mroku – świadomości, które nigdy nie śpią, umysłów, którym nie jest dane śnić. Powłoka z wielu ton ziemi tłumiła wszelkie dźwięki i panowała tu taka cisza, że w uszach Elisabeth dudnił tylko jej własny puls.

Całe dzieciństwo spędziła, eksplorując wszelkie zakamarki Wielkiej Biblioteki i wścibiając nos w niezliczone tajemnice, nigdy jednak nie była w krypcie. Miejsce to przez całe jej życie czaiło się pod gmachem biblioteki jak coś okropnego skrytego pod łóżkiem.

„To moja szansa” – upomniała się w myślach. Nie mogła sobie pozwolić na strach.

Zeszły do pomieszczenia przypominającego podziemia katedry. Ściany, sufit i podłoga wykute były z tego samego szarego kamienia, a pokryte żłobionymi rowkami kolumny oraz łukowe sklepienie wyrzeźbione zostały kunsztownie i z pietyzmem. W ciągnących się wzdłuż ścian wnękach stały posągi aniołów, u których stóp migotały świece. Ich pełne smutku, spowite cieniem oczy obserwowały żelazne półki ustawione rzędami we wnętrzu krypty. W przeciwieństwie do regałów na wyższych poziomach biblioteki, te były na stałe przytwierdzone do podłogi. Łańcuchy utrzymywały w miejscu zamknięte szkatuły, wsunięte między półki niczym szuflady.

Elisabeth powtarzała sobie w duchu, że dobiegające ją z mijanych szkatuł szepty, to tylko wytwór jej wyobraźni. Łańcuchy pokrywała gruba warstwa kurzu. Większości szkatuł nie ruszono od dziesięcioleci, a zamieszkujące je księgi pogrążone były w głębokim śnie. Mimo to wciąż czuła na karku mrowienie, jakby ktoś ją obserwował.

Dyrektorka poprowadziła ją do znajdującej się za półkami celi, pośrodku której stał przytwierdzony do podłogi stół. Pojedyncza lampa olejna oświetlała jego poplamiony atramentem blat żółtawym blaskiem. Szkatuła niepokojąco posłusznie dała się ułożyć obok czterech ogromnych szram przecinających drewnianą powierzchnię, jak ślady jakichś wielkich pazurów. Elisabeth co chwila rzucała spojrzenia w ich kierunku. Wiedziała, skąd się wzięły. Wiedziała, co się dzieje, kiedy grymuar wyrywa się spod kontroli.

Malefikt.

– Jakie zabezpieczenie stosujemy najpierw? – zapytała dyrektorka, wyrywając Elisabeth z zamyślenia. Rozpoczął się egzamin.

– Sól – odpowiedziała, sięgając po zwisający u jej biodra pojemnik. – Podobnie jak żelazo, sól osłabia demoniczne moce. – Dłoń zadrzęła jej lekko, gdy wysypywała kryształki, formując koślawy okrąg. Zarumieniła się ze wstydu, widząc jego nierówne krawędzie. Co, jeśli się okaże, że wciąż nie jest gotowa?

Ledwie dostrzegalne ciepło złagodziło surowe oblicze dyrektorki.

– Wiesz, dlaczego postanowiłam cię zatrzymać, Elisabeth?

Dziewczyna zamarła bez tchu. Dyrektorka nigdy nie zwracała się do niej po imieniu. Zawsze używała jej nazwiska, Scrivener, a czasem nazywała ją po prostu „nowicjuską”, zależnie od tego, jak bardzo Elisabeth miała akurat przechłapanie – a przechłapanie miewała bardzo często.

– Nie, pani dyrektor – odparła.

– Hmm. Pamiętam, że szalała burza. Grymuary były tamtej nocy niespokojne. Tak hałasowały, że ledwie usłyszałam pukanie do drzwi. – Elisabeth z łatwością wyobraziła sobie tę scenę: deszcz bijący o okna, woluminy zawodzące, łkające i dygoczące w okowach. – Kiedy znalazłam cię na progu i wniosłam do środka, byłam pewna, że zaczniesz płakać. Zamiast tego rozejrzałaś się, po czym wybuchnęłaś śmiechem. Nie bałaś się. W tamtej chwili zrozumiałam, że nie mogę

odesłać cię do sierocińca. Twoje miejsce było w bibliotece, należałaś do niej w równym stopniu, co książki.

Elisabeth słyszała już tę opowieść, ale tylko od swojego nauczyciela, nigdy z ust samej dyrektorki. Dwa słowa odbiły się echem w jej głowie, donośne jak uderzenia serca: „twoje miejsce”. Szesnaście lat czekała, żeby usłyszeć te słowa, i rozpaczliwie pragnęła, aby były prawdą.

Wstrzymując oddech, w milczeniu patrzyła, jak dyrektorka sięga po swoje klucze i wybiera największy spośród nich, tak stary, że rdza przeżarła go prawie w całości. Jasne było, że dla niej czas na sentymenty minął. Elisabeth musiała się zadowolić powtarzaniem w myślach niewypowiedzianej przysięgi, którą złożyła sobie niemal tak dawno, jak tylko sięgała pamięcią. Któregoś dnia ona też zostanie strażniczką. Sprawি, że dyrektorka będzie z niej dumna.

Sól posypała się na stół, gdy pokrywa szkatuły uniosła się ze skrzypnięciem. Smród gnijącej skóry rozlał się po krypcie, tak potężny, że Elisabeth omal nie zwymiotowała.

Wewnątrz spoczywał grymuar; gruby tom o poszarpanych, żółknących stronicach wciśniętych pomiędzy płyty tłustej, czarnej oprawy. Wyglądałby dość zwyczajnie, gdyby nie pękate wypustki sterczące z okładki, przypominające wielkie brodawki albo bąble na powierzchni bulgoczącej smoły. Każda z nich miała rozmiary sporej kulki, a były ich tam dziesiątki, odkształcające niemal każdy skrawek skórzanej powierzchni. Dyrektorka założyła parę ciężkich, przeszywanych żelazem rękawic. Elisabeth szybko poszła za jej przykładem. Przygryzła policzek, kiedy kobieta wyjęła księgę ze szkatuły i ułożyła ją w kręgu z soli.

W chwili, gdy wolumin dotknął blatu, wypustki się rozchyliły. To nie były brodawki – to były oczy. Oczy we wszelkich możliwych kolorach obracały się, przekrwione, a ich źrenice to się rozszerzały, to znów zwężały do rozmiarów główki od szpilki. Grymuar dygotał konwulsyjnie w dłoniach dyrektorki, która, zaciskając zęby, otwierała go z trudem. Elisabeth odruchowo sięgnęła do wnętrza kręgu i przycisnęła księgę do blatu, czując przez rękawice, jak skóra szarpie się i drży. Wściekła. Żywa.

Te oczy nie zostały stworzone za pomocą magii. Były prawdziwe, wylupione z ludzkich oczodołów dawno temu, poświęcone dla stworzenia księgi dość

potężnej, aby utrzymała w sobie zaklęcia wyryte na jej kartach. Jeśli wierzyć historycznym zapisom, większość ofiar nie była dobrowolna.

– *Księga oczu* – powiedziała dyrektorka z niezmałym spokojem. – Zawiera zaklęcia, które pozwalają zaglądać w umysły innych ludzi, czytać im w myślach, a nawet kontrolować ich zachowanie. Na szczęście jedynie kilku czarownikom w całym królestwie udało się kiedykolwiek uzyskać pozwolenie na jej przeczytanie.

– A po co im to?! – wybuchnęła Elisabeth, zanim zdołała się powstrzymać. Odpowiedź była oczywista. Czarownicy z natury byli źli, zdeprawowani przez demoniczną magię, którą władali. Gdyby nie Reformy, które na mocy prawa zakazały im oprawiania ksiąg we fragmenty ludzkiego ciała, grymuary, takie jak *Księga oczu*, nie stanowiłyby takiej rzadkości. Bez wątpienia czarownicy nieraz usiłowali je kopiować, ale zaklęć nie dało się zapisać przy pomocy zwyczajnych materiałów. Czarnoksięska moc w jednej chwili obróciłaby inkaust i pergamin w popiół.

Ku jej zaskoczeniu, dyrektorka poważnie potraktowała jej pytanie, choć nie patrzyła już na Elisabeth. Zamiast tego skupiła się na przewracaniu stron, sprawdzając, czy nie doznały żadnych uszkodzeń w trakcie podróży.

– Może nadejść czas, kiedy takie czary, jakkolwiek odpychające, okażą się konieczne. Cięży na nas wielka odpowiedzialność wobec królestwa, Scrivener. Gdyby ten grymuar uległ zniszczeniu, zawarte w nim zaklęcia zostałyby utracone na zawsze. To jedyna istniejąca kopia.

– Tak, pani dyrektor. – Zdawała sobie z tego sprawę. Strażnicy bronili grymuarów przed światem w równym stopniu, co świata przed nimi.

Elisabeth zebrała się w sobie, podczas gdy dyrektorka przerwała na chwilę przerzucanie kartek, pochylając się, aby lepiej obejrzeć plamę na jednej ze stron. Przewożenie grymuarów wysokiej klasy niosło ze sobą ryzyko, ponieważ każde przypadkowe uszkodzenie mogło je spowodować do przemiany w malefikt. Przed zamknięciem w krypcie należało je poddać dokładnym oględzinom. Elisabeth była przekonana, że kilkoro oczu wyglądających spod okładki patrzyło prosto na nią – i że przebłyskiwał z nich spryt.

Coś jej mówiło, że nie powinna odwzajemniać ich spojrzeń. Chcąc zająć czymś uwagę, zerknęła w bok, na kartki. Niektóre zdania napisane były po austermeryjsku albo w Starej Mowie, inne jednak nabazgrano po enochiańsku,

w czarnoksięskim języku złożonym z dziwnych, kanciastych run migoczących na pergaminie niczym rozżarzone węgle. Języka tego dało się nauczyć, tylko zadając się z demonami. Na sam widok run czuła pulsowanie w skroniach.

– *Nowicjuszko...*

Szept prześlizgnął się po jej umyśle, obcy i nieoczekiwany jak zimny, oślizgły dotyk ryby pod powierzchnią stawu. Elisabeth wzdrygnęła się i uniosła wzrok. Jeśli dyrektorka również usłyszała ten głos, to nie dała nic po sobie poznać.

– *Widzę cię, nowicjuszko...*

Elisabeth zaparło dech w piersi. Zgodnie z poleceniem dyrektorki starała się ignorować głos, ale nie była w stanie skupić się na niczym innym, kiedy wpatrywało się w nią tak wiele, lśniących złowrogą inteligencją, oczu.

– *Spójrz na mnie... spójrz...*

Powoli, lecz nieuchronnie, jakby przyciągany jakąś niewidzialną siłą, wzrok Elisabeth zaczął wędrować w dół.

– Już – powiedziała dyrektorka. Jej głos zdawał się stłumiony i zniekształcony, jakby dochodził spod wody. – Gotowe. Scrivener?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zatrzasnęła grymuar i szept umilkł, jak ucięty nożem. Elisabeth ocknęła się, wybudzona z transu. Złapała z sykiem powietrze, a na twarzy rozlał jej się rumieniec upokorzenia. Wytrzeszczone oczy księgi przebiegały spojrzeniem między nią a dyrektorką.

– Dobra robota – pochwaliła dyrektorka. – Wytrwałaś znacznie dłużej, niż się spodziewałam.

– Prawie mnie miał – szepnęła Elisabeth. Jak dyrektorka mogła jej gratulować? Skórę miała wilgotną od potu; zadrzała w chłodnym powietrzu krypty.

– Tak. To właśnie chciałam ci dzisiaj pokazać. Umiesz się obchodzić z grymuarami, łączy cię z nimi więź, jakiej nie widziałam jeszcze nigdy u żadnego nowicjusza, wciąż jednak musisz się wiele nauczyć. Chcesz zostać strażniczką, prawda?

Wypowiedziana przed obliczem dyrektorki, na oczach kamiennych aniołów ustawionych wzdłuż ścian, cicha odpowiedź Elisabeth brzmiała jak wyznanie.

– To jedyne, czego kiedykolwiek pragnęłam.

– Pamiętaj tylko, że wiele ścieżek stoi przed tobą otworem. – Blizna zniekształcająca twarz dyrektorki nadawała jej ustom niemal żalospny wyraz. – Zanim dokonasz wyboru, upewnij się, że żywot strażnika jest tym, czego naprawdę chcesz.

Elisabeth skinęła głową, niepewna, czy zdoła wydobyć z siebie głos. Jeśli pomyślnie przeszła próbę, to nie rozumiała, dlaczego dyrektorka radziła jej rozważyć porzucenie tego, o czym zawsze marzyła. Być może w jakiś sposób okazała się niegotowa, nieprzygotowana. W takim razie będzie po prostu musiała postarać się bardziej. Pozostał jej rok do siedemnastych urodzin, kiedy osiągnie wiek uprawniający do szkolenia w Kolegium – może wykorzystać ten czas, aby ostatecznie dowieść swojej wartości i zyskać aprobatę dyrektorki. Miała tylko nadzieję, że to wystarczy.

Wspólnymi siłami wepchnęły grymuar z powrotem do szkatuły. Gdy tylko dotknął soli, przestał się szamotać. Oczy przetoczyły się w górę, ukazując sierpowate plamy białek, po czym opuściły powieki. Trzask zamykanej pokrywy rozdarł grobową ciszę krypty. Miną lata albo nawet dekady, zanim szkatuła znów zostanie otwarta. Zabezpieczony grymuar nie stanowił już zagrożenia.

Mimo to Elisabeth nie mogła wyrzucić z pamięci dźwięku jego głosu. Ogarnęło ją nieodparte wrażenie, że przyjdzie jej jeszcze zetknąć się z *Księgą oczu* – a księdze przyjdzie się zetknąć z nią.



ELISABETH OPADŁA NA oparcie, podziwiając widok ze swojego biurka.

Przydzielono ją do zatwierdzania przenosin książek na drugim piętrze, skąd rozciągał się widok na cały westybul biblioteki. Promienie słońca wpadały przez rozetę umieszczoną wysoko ponad frontowymi drzwiami, rzucając plamy rubinu, szafiru i szmaragdu na brązowe balustrady okrągłych balkonów. Regały z książkami wznosiły się ku łukowemu sklepieniu sześć kondygnacji wzwyż, tworząc kolejne rzędy, przywodzące na myśl piętrowy tort weselny albo poziomy amfiteatru. Szepty niosły się echem po sali, czasem przerywane krótkim kaszlem lub odgłosem chrapania. Większość z tych dźwięków nie pochodziła od odzianych w niebieskie szaty bibliotekarzy przechadzających się tam i z powrotem po wyłożonej płytkami posadzce, lecz od mamroczących na półkach grymuarów.

Kiedy odetchnęła, płuca wypełniła jej słodka woń pergaminu i skóry. Pyłki kurzu unosiły się w promieniach słońca, całkowicie nieruchome, jak płatki złota zastygłe w żywicy. Tymczasem chybotliwe stosy dokumentów na biurku wyglądały, jakby miały lada chwila runąć i pogrzebać ją w lawinie zlekceważonych podań o przeniesienie.

Niechętnie oderwała uwagę od otoczenia i skupiła się na imponujących stertach. Wielka Biblioteka w Summershall była jedną z sześciu Wielkich Bibliotek królestwa, rozmieszczonych w równych odstępach na obwodzie Austermeer. Inkaustowe Trakty łączyły je z położoną pośrodku stolicą niczym szprychy koła. Bibliotekę w Summershall od najbliższych sąsiadów dzieliły pełne trzy dni drogi, a przewożenie grymuarów z jednego przybytku do drugiego bywało kłopotliwe. Niektóre woluminy darzyły się nawzajem tak głęboką awersją, że znalazłszy się w promieniu kilku mil od siebie, zaczynały wyc albo stawały w płomieniach. Gdzieś na pustkowiach Dzikich Rubieży znajdował się nawet krater wielkości domu, powstały w miejscu, gdzie dwie księgi starły się w sporze o kwestie doktryny taumaturgicznej.

Jako nowicjusze, Elisabeth powierzono zatwierdzanie przenosin grymuarów klas od pierwszej do trzeciej. Grymuary klasyfikowano w ramach dziesięciostopniowej skali, w zależności od poziomu ryzyka, jaki sobą przedstawiały; księgi od klasy czwartej wzwyż wymagały szczególnych restrykcji. W Summershall w ogóle nie trzymano grymuarów klasy wyższej niż ósma.

Elisabeth zamknęła oczy i sięgnęła po dokument ze szczytu stosu. „Knockfeld” – spróbowała odgadnąć, mając na myśli sąsiednią bibliotekę położoną na północny wschód od Summershall.

Jednak gdy odwróciła dokument, zobaczyła, że to podanie z Biblioteki Królewskiej. Nic niezwykłego; tam właśnie szły ponad dwie trzecie ksiąg, z którymi miała do czynienia. Któregoś dnia może ona spakuje swoje rzeczy i również się tam uda. Biblioteka Królewska dzieliła tereny w sercu stolicy z Kolegium, więc kiedy nie byłaby akurat zajęta szkoleniem, mogłaby zwiedzać jej gmach. W wyobrażeniach Elisabeth korytarze biblioteki ciągnęły się całymi milami, pełne książek, przejść i ukrytych komnat mieszczących w sobie wszystkie sekrety wszechświata.

Najpierw jednak musiała uzyskać aprobatę dyrektorki. Minął tydzień od ich nocnej wyprawy do krypty, a ona wciąż nie była bliższa zrozumienia otrzymanej rady.

Nadal doskonale pamiętała moment, w którym postanowiła zostać strażniczką. Miała wtedy osiem lat i kryła się właśnie w tajnych przejściach biblioteki, żeby uniknąć jednego z wykładów mistrza Hargrove’a. Nie była w stanie znieść kolejnej godziny wiercenia się na taborecie w dusznym składziku przerobionym na salę lekcyjną, recytując deklinacje w Starej Mowie. Nie tamtego popołudnia, kiedy lato biło pięściami w ściany biblioteki, a powietrze było gęste jak miód.

Pamiętała, jak pot ściekał jej po plecach, gdy na czworakach przedzierała się przez pajęczyny wypełniające przejście. Ono przynajmniej było ciemne, osłonięte przed palącym słońcem. Złocista poświata wpadająca przez szpary w podłodze wystarczała, aby widzieć w miarę dobrze i unikać przemykających wkoło wszy książkowych, uciekających w popłochu z naruszonych przez nią gniazd. Niektóre, objedzone zaczarowanym pergaminem, były wielkie jak szczury.

Gdyby tylko mistrz Hargrove zgodził się zabrać ją do miasta. Leżało u stóp wzgórza, zaledwie pięć minut drogi przez sad. Na targu zawsze roiło się od ludzi sprzedających wstążki, jabłka i słodki krem, a czasem zjawiali się ze swoimi

towarami podróżnicy spoza Summershall. Raz słuchała tam gry na akordeonie i oglądała tańczącego niedźwiedzia; widziała nawet, jak jakiś człowiek demonstrował lampę, której knot palił się bez oliwy. W książkach z sali lekcyjnej nie znalazła wyjaśnienia, jak działa taka lampa, założyła więc, że była magiczna, czyli zła.

Może właśnie dlatego mistrz Hargrove nie lubił zabierać jej do miasta. Gdyby natknęła się na czarownika poza bezpiecznymi murami biblioteki, tamten mógłby ją porwać. Mała dziewczynka – taka jak ona – bez wątplenia dobrze by się sprawdziła jako ofiara w jakimś demonicznym rytuale.

Jakieś głosy wyrwały Elisabeth z zamyślenia. Dobiegały dokładnie spod niej. Jeden należał do mistrza Hargrove'a, a drugi...

Dyrektorka.

Serce zabiło jej mocniej. Przywarła do podłogi, aby spojrzeć przez dziurę po sęku; wpadający przez nią promień światła zaśnił w jej splątanych włosach. Nie widziała zbyt wiele: zaledwie skrawek zawalonego papierami biurka w rogu nieznanego jej gabinetu. Na myśl, że być może to gabinet dyrektorki, tętno przyspieszyło jej z podekscytowania.

– To już trzeci raz w tym miesiącu – mówił właśnie Hargrove – i sam już nie wiem, co począć. Ta dziewczyna jest na wpół dzika. Znika, diabli wiedzą gdzie, pakuje się we wszelkie możliwe tarapaty – nie dalej jak w zeszłym tygodniu wpuściła do mojej sypialni całą skrzynię wszy książkowych!

Elisabeth o mało nie wykrzyknęła przecząco przez dziurę. Zbierała te wszy, żeby je badać, a nie wypuszczać na wolność. Ich strata stanowiła dla niej wielki cios.

Niemniej kolejne słowa Hargrove'a sprawiły, że zupełnie zapomniała o wszach.

– Mam poważne wątpliwości, czy to słuszna decyzja, aby wychowywać dziecko w Wielkiej Bibliotece. Z pewnością ten, kto zostawił ją na naszym progu, wiedział, że mamy w zwyczaju przyuczać znajdy do zawodu. Przyjmujemy jednak tylko chłopców i dziewczęta, którzy ukończyli trzynaście lat. Niechętnie przyznaję strażnikowi Finchowi rację w jakiegokolwiek sprawie, ale uważam, że powinniśmy wziąć pod rozwagę to, co od zawsze powtarza: że być może mała Elisabeth lepiej by się miała w sierocińcu.

Były to niepokojące słowa, lecz Elisabeth słyszała je nie po raz pierwszy. Znosiła te uwagi, wiedząc, że wola dyrektorki gwarantowała jej miejsce w bibliotece.

Dlaczego, tego już nie wiedziała. Dyrektorka rzadko się do niej odzywała. Była odległa i nieprzystępna jak księżyc, i podobnie jak on tajemnicza. W oczach Elisabeth decyzja dyrektorki, aby ją przygarnąć, miała w sobie coś niemal mistycznego, baśniowego. Nie można jej było kwestionować ani unieważnić.

Wstrzymując oddech, czekała, aż dyrektorka sprzeciwi się sugestii Hargrove'a. Dziewczynka poczuła mrowienie na skórze w oczekiwaniu na dźwięk jej głosu.

Zamiast tego dyrektorka powiedziała:

– Ja również się nad tym zastanawiałam, mistrzu Hargrove. Niemal każdego dnia przez ostatnich osiem lat.

Nie – to nie mogła być prawda. Krew zastygła Elisabeth w żyłach, a dudnienie w uszach prawie zagłuszyło dalsze słowa.

– Wtedy, przed laty, nie wzięłam pod uwagę, jak może na nią wpłynąć dorastanie bez towarzystwa innych dzieci w jej wieku. Najmłodszy nowicjusz wciąż są od niej o pięć lat starsi. Czy wykazała jakiekolwiek zainteresowanie nawiązaniem z nimi przyjaźni?

– Obawiam się, że próbowała, ale z niewielkim skutkiem – odparł Hargrove. – Chociaż sama może nie zdaje sobie z tego sprawy. Niedawno usłyszałem, jak nowicjusz tłumaczy jej, że zwykle dzieci mają matki i ojców. Biedna Elisabeth nie miała pojęcia, o co mu chodziło. Radośnie odpowiedziała, że ma dużo książek, które dotrzymują jej towarzystwa.

Dyrektorka westchnęła.

– Jej przywiązanie do grymuarów jest...

– Niepokojące? Zaiste. Obawiam się, że jeśli nie dokucza jej brak towarzystwa, to dlatego, że w miejsce ludzi postrzega książki jako swoich przyjaciół.

– Niebezpieczny sposób myślenia. Ale też biblioteki to niebezpieczne miejsca. Nic się na to nie poradzi.

– Sądzi pani, że zbyt niebezpieczne dla Elisabeth?

„Nie” – błagała Elisabeth w myślach. Wiedziała, że książki zgromadzone w Wielkiej Bibliotece nie były zwyczajne. Szeptwały na półkach i dygotały w żelaznych okowach; niektóre pluły tuszem i miały się w napadach złości, inne śpiewały do siebie wysokim, czystym głosem w bezwietrzne noce, kiedy światło gwiazd wpadało przez zakratowane okna biblioteki jak słupy rtęci. Jeszcze inne

były tak niebezpieczne, że trzeba je było przechowywać w podziemnej krypcie, w szkatułach pełnych soli. Nie wszystkie były jej przyjaciółmi. Zdawała sobie z tego sprawę.

Ale odesłać ją z biblioteki, to jak umieścić grymuar pośród zwykłych, nieożywionych książek, które nie poruszały się ani nie mówiły. Gdy po raz pierwszy taką zobaczyła, pomyślała, że książka umarła. Nie mogła pójść do sierocińca, czymkolwiek on był. Oczami wyobraźni widziała go jako miejsce podobne do więzienia, szare i spowite kłębamii wilgotnej mgły, z zakratowaną bramą podobną do tej w wejściu do krypty. Na tę wizję przerażenie ścisnęło ją za gardło.

– Czy wiesz, dlaczego Wielkie Biblioteki przyjmują sieroty, mistrzu Hargrove? – zapytała w końcu dyrektorka. – Dlatego, że nie mają domu ani rodziny. Nikt nie będzie za nimi tęsknił, jeśli zginą. Zastanawiam się, czy może... jeśli Scrivener przetrwała tak długo, czy nie oznacza to, że tego właśnie chciała biblioteka. Być może lepiej jest nie naruszać jej więzi z tym miejscem, cokolwiek z niej wyniknie.

– Mam nadzieję, że się pani nie myli – powiedział łagodnie mistrz Hargrove.

– Ja również. – W głosie dyrektorki brzmiało znużenie. – Dla jej dobra i dla naszego.

Elisabeth czekała, wytyżając słuch, ale rozważania nad jej losem zdawały się zakończone. Z dołu dobiegły ją kroki i szcęk zamykanych drzwi.

Została ułaskawiona – na razie. Jednak na jak długo? Jej świat zatrzęsł się w posadach i zdawało się, że cała reszta jej życia mogła w każdej chwili lec w gruzach. Wystarczy jedna decyzja dyrektorki, a zostanie odesłana na zawsze. Nigdy dotąd nie czuła się tak niepewna, tak bezradna, tak nieważna.

Właśnie wtedy, klęcząc pośród kurzu i pajęczyn, złożyła przysięgę, chwytając się jedynej dostępnej deski ratunku. Jeśli dyrektorka nie miała pewności, czy Wielka Biblioteka to dobre miejsce dla Elisabeth, to ona będzie po prostu musiała tego dowieść. Pójdzie w jej ślady i zostanie wspaniałą, potężną strażniczką. Pokaże wszystkim, że tutaj jest jej miejsce, aż nawet strażnik Finch będzie zmuszony to zaakceptować.

Przede wszystkim...

Przede wszystkim przekona ich, że zatrzymanie jej nie było błędem.

– Elisabeth – syknął czyjś głos. – Elisabeth! Zasnęłaś?

Poderwała się z przestraczem, a wspomnienie umknęło szybko jak woda znikająca w odpływie. Rozejrzała się, aż odkryła, skąd pochodził głos. Dziewczęca twarz wyglądała spomiędzy dwóch pobliskich regałów. Warkocz ześlizgnął się za ramię, gdy jego właścicielka zerknęła, czy w pobliżu nie widać nikogo innego. Dziewczyna nosiła okulary, których szkła powiększały jej ciemne, bystre oczy, a brązową skórę przedramion znaczyły pospiesznie nabazgrane notatki, widoczne spod krawędzi rękawów. Tak jak Elisabeth, na szyi zawieszony miała łańcuszek z kluczem, lśniącym jasno na tle bladoniebieskich szat nowicjuszki.

Los chciał, że Elisabeth w końcu znalazła sobie przyjaciółkę. Poznała Katrien Quillworthy w wieku trzynastu lat, w dniu, kiedy obie rozpoczęły naukę. Żaden z pozostałych nowicjuszy nie chciał dzielić pokoju z Elisabeth, ze względu na plotki, jakoby trzymała pod łóżkiem całe pudło wszy książkowych. Katrien jednak zainteresowała się nią właśnie z tego powodu.

– Oby to była prawda – powiedziała. – Chciałam je poddać eksperymentom, odkąd po raz pierwszy o nich usłyszałam. Podobno są odporne na czary – wyobrażasz sobie, co to może znaczyć dla nauki?

Od tamtej pory były nierozłączne.

Elisabeth ukradkiem odsunęła papiery na bok.

– Coś się dzieje? – wyszeptwała.

– Jesteś chyba jedyną osobą w Summershall, która nie wie, co się dzieje. Nie wyłączając Hargrove'a, który cały poranek spędził w wychodku.

– Czyżby strażnik Finch został zdegradowany? – zapytała z nadzieją.

Katrien wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Jeszcze nad tym pracuję. Na pewno w końcu znajdę na niego jakiegoś haka. Gdy tak się stanie, dowiesz się o tym pierwsza. – Od lat miała ambicję pograć strażnika Fincha. – Nie, chodzi o magistra. Zjawił się właśnie, żeby odwiedzić kryptę.

Elisabeth o mało nie spadła z krzesła. Rozejrzała się, po czym dała susa za regał i stanęła pochyłona obok Katrien. Jej przyjaciółka była tak niska, że inaczej Elisabeth widziałaby tylko czubek jej głowy.

– Magister? Jesteś pewna?

– Absolutnie. Nigdy nie widziałam strażników tak spiętych.

Teraz, kiedy Elisabeth o tym pomyślała, znaki widoczne od rana zdawały się oczywiste. Strażnicy chodzili z zaciśniętymi ustami i z dłońmi na rękojeściach mieczy. Nowicjusze zbierali się w grupki na korytarzach, szeptali po kątach. Nawet grymuary zdawały się bardziej nerwowe niż zwykle.

Magister. Dreszcz strachu przebiegł ją od stóp do głów, jak nuta drżąca na strunach harfy.

– Co to ma wspólnego z nami? – zapytała. Żadna z nich nie widziała nigdy nawet zwykłego czarownika. W tych rzadkich przypadkach, gdy odwiedzali Summershall, strażnicy wpuszczali ich przez specjalne drzwi i prowadzili prosto do czytelni. Z pewnością magistra traktowano z jeszcze większą ostrożnością.

Katrien zaświeciły się oczy.

– Stefan założył się ze mną, że magister ma spiczaste uszy i racice. Myli się, naturalnie, ale muszę to jakoś udowodnić. Będę szpiegować tego magistra. A ciebie potrzebuję, żebyś potwierdziła moją relację.

Elisabeth gwałtownie wciągnęła powietrze. Odruchowo zerknęła na opuszczone biurko.

– Żeby to zrobić, musiałybyśmy iść tam, gdzie nam nie wolno.

– A Finch nadziałyby nasze głowy na włócznie, gdyby nas przyłapał – skończyła za nią Katrien. – Ale nie przyłapie. Nie wie o sekretnych przejściach.

Tym razem wyjątkowo to nie Finch był największym zmartwieniem Elisabeth. Przez myśl przemknął jej obraz przekrwionych, wylupiastych gałek *Księgi oczu*. Każda z nich mogła wcześniej należeć do kogoś takiego jak ona czy Katrien.

– Jeśli przyłapie nas magister – powiedziała – zrobi nam coś jeszcze gorszego.

– Wątpię. Reformy zakazały czarownikom zabijania ludzi, chyba że w samoobronie. Co najwyżej sprawi, że wypadną nam włosy albo pokryjemy się wrzodami. – Poruszyła zachęcająco brwiami. – No weź. Taka okazja może się już nie przytrafić. Przynajmniej nie mnie. Kiedy niby miałabym zobaczyć magistra? Ile nadarzy się szans, żeby doświadczyć magicznych wrzodów?

Katrien chciała zostać archiwistką, nie strażniczką. W swojej pracy nie miałaby do czynienia z czarownikami. Natomiast Elisabeth...

Żar zapłonął jej w piersi. Katrien miała rację; to *naprawdę* doskonała okazja. Dopiero co postanowiła dać z siebie więcej, aby zaimponować dyrektorce.

Strażnicy nie obawiali się czarowników, a im więcej się o nich dowie, tym lepiej będzie przygotowana.

– W porządku – powiedziała, prostując się. – Najprawdopodobniej zabiorą go do wschodniej czytelnicy. Tędy.

Klucząc wraz z Katrien między półkami, Elisabeth otrząsnęła się z resztek wątpliwości. Starła się przestrzegać zasad, ale jakimś dziwnym trafem jej wysiłki zawsze spełzały na niczym. Ledwie w zeszłym miesiącu wydarzyła się ta katastrofa z żyrandolem w refektarzu – przynajmniej nos starej mistrzyni Bellwether wyglądał już prawie normalnie. Albo ten raz, gdy rozchlapała dżem truskawkowy na... cóż. Lepiej nie wracać do tamtych wspomnień.

Kiedy dotarły do popiersia Corneliusa Mądrego, którego Elisabeth używała jako punktu orientacyjnego, rozejrzała się za znajomą szkarłatną oprawą. Wypatrzyła ją w połowie wysokości regału. Wypisany na złoto tytuł był zbyt wytarty, aby dał się odczytać. Grymuar przywitał ją sennym szelestem kartek, gdy sięgnęła do góry i podrapała go we właściwy sposób. Z wnętrza regału dobiegł szczeł, jakby odskoczył zamek, następnie cały ciąg półek obrócił się, odsłaniając pełne kurzu przejście.

– To nie do wiary, że działa tylko, kiedy ty to robisz – stwierdziła Katrien, gdy pochylone weszły do środka. – Próbowałam go drapać dziesiątki razy. Stefan też.

Elisabeth wzruszyła ramionami. Ona także tego nie rozumiała. Skupiona na tym, żeby nie kichnąć, prowadziła Katrien wąskim, krętym korytarzem, odgarniając pajęczyny zwieszające się z krokwi niczym widmowe girlandy. Przejście kończyło się za gobelinem wiszącym w czytelnicy. Przystanęły, nasłuchując, aby się upewnić, że pomieszczenie jest puste, po czym wygramoliły się zza ciężkiej tkaniny, kaszląc w rękawy.

Nowicjuszom nie wolno było wchodzić do czytelnicy. Elisabeth zarazem z ulgą i rozczarowaniem odkryła, że pokój wydawał się całkiem zwyczajny. Wnętrze urządzone po męsku, z dużą ilością polerowanego drewna i ciemnej skóry. Przed oknem stało wielkie, mahoniowe biurko, a kilka skórzanych foteli otaczało kominek, w którym płonęły drwa. Akurat kiedy weszły, polano pękło z trzaskiem, tryskając snopem iskier. Elisabeth aż podskoczyła.

Katrien nie traciła czasu. Podczas gdy Elisabeth rozglądała się po pokoju, ona ruszyła prosto do biurka i zaczęła przeglądać zawartość szuflad.

– W imię nauki – wyjaśniła. Często mówiła tak tuż przed tym, zanim coś wybuchło.

Elisabeth skierowała się w stronę paleniska.

– Co to za zapach? To nie ogień, prawda?

Katrien przerwała i wciągnęła nosem powietrze.

– Dym z fajki? – zasugerowała.

Nie – to było coś innego. Węsząc zawzięcie, Elisabeth stwierdziła, że zapach pochodzi z jednego z foteli. Pochyliła się nad nim i wzięła głęboki wdech, natychmiast się jednak odsunęła, czując zawroty głowy.

– Elisabeth! Nic ci nie jest?

Gwałtownie chwyciła świeże powietrze, mrugając załzawionymi oczami. Żrący odór tak oblepił jej język, że niemal czuła jego smak. Była to nienaturalna woń spalenizny; wyobrażała sobie, że tak pachniałby palący się metal, gdyby metal mógł płonąć.

– Chyba tak – wyrzęziła.

Katrien otworzyła usta, aby coś powiedzieć, po czym rzuciła szybkie spojrzenie w stronę drzwi.

– Słuchaj. Idą tu.

Pospiesznie wcisnęły się za rząd regałów ustawionych wzdłuż ściany. Katrien zmieściła się bez problemu, ale Elisabeth było tam ciasno. Już jako czternastolatka była najwyższą dziewczyną w Summershall. Dwa lata później górowała nad większością chłopaków. Przycisnęła ramiona nieruchomo do boków i oddychała płytko, mając nadzieję udobruchać grymuary, które zareagowały na to wtargnięcie pełnymi dezaprobaty pomrukami.

Z korytarza dobiegły głosy, a klamka w drzwiach się obróciła.

– Proszę tędy, magistrze Thorn – powiedział strażnik. – Dyrektorka zjawi się niedługo, żeby zaprowadzić pana do krypty.

Przewróciło jej się w żołądku, gdy do środka wkroczyła wysoka postać w szacie z kapturem, ze szmaragdowozielonym płaszczem falującym wokół stóp. Mężczyzna podszedł do okna, odsunął zasłony i stanął wpatrzony w widok na wieże biblioteki.

– Co się dzieje? – wyszeptała Katrien poniżej jej ramienia. – Nic stąd nie widzę.

Elisabeth mogła wyglądać tylko przez wysoką szczelinę nad grzbietami książek, więc też nie widziała zbyt wiele. Powoli i ostrożnie, drobnymi ruchami przesunęła się w bok, aby znaleźć lepszy punkt obserwacyjny. W polu widzenia pojawił się czubek bladego nosa magistra. Zdjął kaptur. Jego włosy były czarne jak smoła i pofalowane, dłuższe, niż zdarzało się nosić mężczyznom w Summershall, a przy lewej skroni przecinało je jaskrawe, srebrzyste pasmo. Jeszcze kawałeczek w bok i...

„Jest niewiele starszy od nas” – pomyślała z zaskoczeniem. Zarówno siwe pasmo we włosach, jak i jego tytuł, kazały jej spodziewać się kogoś o wiele bardziej posuniętego w latach. Być może jego wygląd był zwodniczy. Mógł utrzymywać pozory młodości, kąpiąc się w krwi dziewic – czytała kiedyś o czymś takim w jakiejś powieści.

Dla wiadomości Katrien pokręciła lekko głową. Jego włosy były zbyt gęste, żeby rozpoznać, czy ma spiczaste uszy, a ewentualne kopyta skutecznie ukrywał brzeg płaszcza.

Zaraz potem dała kolejny znak, kręcąc głową bardziej nagłaco. Magister odwrócił się w ich stronę, wbijając wzrok w półki. Jego szare oczy miały niezwykle jasny odcień, podobny barwą do kwarcu, a ich spojrzenie, gdy obiegał wzrokiem grymuary, zmroziło jej krew w żyłach. W niczyich oczach nie widziała nigdy takiego okrucieństwa.

Nie podzielała pewności Katrien, że jeśli je znajdzie, nie zrobi im krzywdy. Dorastała karmiona opowieściami o magii: o armiach powstałych ze zbiorowych grobów, aby walczyć w imieniu królów, o niewinnych ludziach poświęconych w krwawych rytuałach, o dzieciach obdzieranych ze skóry i składanych w ofierze demonom. A niedawno sama odwiedziła kryptę i na własne oczy widziała dzieło czarnoksięskich rąk.

Magister zbliżył się, a Elisabeth z przerażeniem odkryła, że nie jest w stanie się ruszyć. Jeden z grymuarów zatrzasnął się na jej szatach i powarkiwał przez tkaninę, szarpiąc ją jak rozzłoszczony terier. Czarownik zmrużył oczy, poszukując źródła hałasu. Rozpaczliwym gestem chwyciła szatę i szarpnęła, a dokładnie w tej samej chwili grymuar puścił ją tak, że poleciała na półki...

Regał się przewrócił, a ona wraz z nim.



ELISABETH DZWONIŁO W uszach. Wokół niej wzbił się obłok dławiącego kurzu. Kiedy znów była w stanie coś zobaczyć, ujrzała stojącego nad nią magistra.

– A to co? – zapytał.

Krzyknęła ze strachu, ale zabrzmiało to raczej jak skrzek. Rzuciła się na czworakach do ucieczki między stertami książek i fragmentami połamanych półek. Na wpół zaślepiona przerażeniem, dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że nic jej nie dolega, nie licząc kilku zdecydowanie niemagicznych drzazg. Nie rzucił na nią zaklęcia. Zwolniła, a potem się zatrzymała i spojrzała przez ramię.

Zamarła.

Czarownik opadł na jedno kolano, dłonie składając na drugim. Blask ognia igrał z ostrymi rysami jego bladej twarzy. Próbowwała odwrócić wzrok, ale nie była w stanie. Serce waliło jej o żebra, a ona zastanawiała się, czy unieruchomił jej spojrzenie magią, czy też może sprawiło to przerażenie. Każdy szczegół jego twarzy zdradzał nikczemność, poczynając od ciemnych, wygiętych w łuk brwi, a kończąc na ustach skrzywionych w sardonicznym uśmiešku.

– Nic ci nie jest? – zapytał w końcu.

Nie odpowiedziała.

– Nie umiesz mówić?

Gdyby dalej zwlekała z odpowiedzią, mógłby zrobić jej krzywdę, żeby wywołać jakąś reakcję. Z wielkim wysiłkiem zdołała wydobyć z siebie kolejny skrzek. W oczach czarownika zaśniło rozbawienie.

– Uprzedzano mnie, że na prowincji mogę zobaczyć różne niezwykle rzeczy – powiedział – ale przyznam, że nie spodziewałem się zdziczałych bibliotekarek błądzących między książkami.

Elisabeth miała bardzo mgliste pojęcie, jak może w tej chwili wyglądać, nie licząc części ciała widocznych dla niej. Palce miała poplamione atramentem, szatę uwalaną kurzem. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem przypomniała sobie, by uczesać włosy, których splątane, kasztanowe pasma sterczały teraz na wszystkie strony. Dodało jej to odrobinę otuchy. Jeśli będzie dostatecznie brudna i brzydka, może nie uzna jej za wartą swojego czasu i magii.

– Ja też się nie spodziewałam, że mnie pan znajdzie – usłyszała swój własny głos. Z przerażeniem zakryła usta dłonią.

– A więc jednak mówisz. Po prostu wolałabyś ze mną nie rozmawiać? – Skinęła głową, a on uniósł brew. – Roztropnie. My, czarownicy, jesteśmy przecież źli do szpiku kości. Grasujemy po bezdrożach, porywamy młode panny do naszych bezbożnych rytuałów...

Elisabeth nie miała czasu zareagować, bo właśnie w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Wszystko w porządku, panie magistrze? Usłyszeliśmy jakiś huk.

Ten głęboki, poważny głos należał do strażnika Fincha. Elisabeth cofnęła się z przestrachem, osłaniając nadgarstki. Nie powinno jej tu być. Gdyby Finch ją tutaj nakrył, w dodatku rozmawiającą z magistrzem, nie sięgałby nawet po różgę; stłukłby ją pałką tak, że pręgi nie zeszyłyby przez kilka dni.

Magister na moment utkwiał w niej krytyczny wzrok, po czym zwrócił się w stronę drzwi.

– W jak najlepszym – odpowiedział. – Jeśli to nie problem, wolałbym, żeby mi nie przeszkadzano, dopóki dyrektorka nie będzie gotowa zabrać mnie do krypty. Czarodziejskie sprawy. Bardzo prywatne.

– Tak, panie magistrze. – Odpowiedź Fincha zabrzmiała niechętnie, ale sądząc po dźwięku kroków, oddalił się od drzwi.

Elisabeth zbyt późno uświadomiła sobie własną głupotę. Powinna była zawołać Fincha. Przychodziło jej na myśl kilka powodów, dla których magister mógł chcieć zostać z nią sam na sam, i zdecydowanie wolałaby już obicie pałką.

– A teraz... – powiedział czarownik, zwracając się z powrotem do niej. – Powinienem chyba uprzątnąć ten bałagan, zanim ktoś uzna, że to moja sprawa. Musisz się odsunąć. – Uniósł dłoń z kolana i podał jej rękę. Jego palce były długie i szczupłe jak u muzyka.

Wpatrywała się w nie, jakby były sztyletem wymierzonym w jej pierś.

– No już – ponaglił ją niecierpliwie. – Nie przemienię cię w salamandrę.

– Potrafi pan to zrobić? – wyszeptała. – Naprawdę?

– Oczywiście. – W jego oczach zalśnił szelmowski błysk. – Ale zamieniam dziewczęta w salamandry tylko we wtorki. Na twoje szczęście dziś jest środa, dzień, kiedy wypijam na kolację puchar krwi sierot.

Powiedział to z pełną powagą. Zdawało się, że nie zwrócił uwagi na jej szaty, świadczące, że jest nowicjuską, a więc z założenia sierotą.

Pragnąc odwrócić jego uwagę, wzięła go za rękę. Nie zapomniała, co musiała zrobić dla Katrien. Gdy ją podciągnął, udała, że traci równowagę, i zanurzyła palce w jego czarno-srebrnych włosach. Zamrugął z zaskoczeniem. Był prawie tak wysoki jak ona i ich twarze niemal się zetknęły. Rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Jej oddech przyspieszył. Z tym spłoszonym wyrazem twarzy magister wyglądał mniej jak czarnoksiężnik układający się z demonami, a bardziej jak zwyczajny młody mężczyzna. Jego włosy były miękkie i gładkie jak jedwab. Nie wiedziała, czemu w ogóle zwróciła uwagę na coś takiego. Pospiesznie cofnęła ręce i się odsunęła.

Ku jej konsternacji, uśmiechnął się szeroko.

– Nie martw się – uspokoił ją, wygładzając zmierzwione włosy. – Młode damy dotykały mnie w dużo bardziej niezręcznych miejscach. Rozumiem, że pokusa może być nieodparta.

Nie czekając na jej reakcję, odwrócił się i spojrzał na szczątki regału. Po chwili zastanowienia uniósł dłoń i wymówił ciąg słów, od których zabręczało jej w uszach, a głowa zdawała się wywracać na lewą stronę. Oszołomiona, zdała sobie sprawę, że mówił po enochiańsku. Język nie przypominał żadnego, jaki kiedykolwiek słyszała. Miała wrażenie, że powinna rozpoznać wymawiane słowa, ale kiedy próbowała powtórzyć je w myślach, sylaby ulatniały się z jej głowy, pozostawiając tylko surową, dzwoniącą w uszach ciszę, jak powietrze po ogłuszającym huku grzmotu.

Jej słuch powrócił wraz z szelestem kartek. Sterta grymuarów zaczęła się poruszać. Jeden po drugim uniosły się w powietrze i zawisły przed wyciągniętą dłonią czarownika pośród spirali szmaragdowego światła. Wirowały, obracały się

i mieszały, układając się w porządku alfabetycznym, podczas gdy za nimi przewrócony regał powstał, skrzypiąc przeciągle. Połamane półki społy się na nowo, a grymuary pofrunęły z powrotem na swoje miejsca; kilka opieszających tomów zmieniło kolejność w ostatniej chwili.

„Magia – pomyślała. – Tak właśnie wygląda magia. – A potem, zanim zdołała się powstrzymać: – Jest piękna”.

Nigdy nie ośmieliłaby się powiedzieć tego na głos. Taka opinia ocierała się o zdradę powinności wobec Wielkiej Biblioteki. Jednak w głębi duszy nie mogła zaakceptować idei, że aby być dobrą nowicjuską, powinna zamknąć oczy i udawać, że nic nie widziała. Jak strażnik miałby się bronić przed czymś, czego nie rozumiał? Z pewnością lepiej było zmierzyć się ze złem, niż kulić się trwożnie w jego obecności i niczego się nie nauczyć.

Szmaragdowe iskry wciąż tańczyły po uporządkowanych półkach. Zrobiła krok naprzód, by dotknąć grymuarów, i poczuła, jak magia przeslizguje się po jej skórze, jasna i mrowiąca, jakby zanurzyła dłonie w kubie szampana. Ku jej zaskoczeniu, nie było to bolesne. Nic nie stało się z jej ciałem – dłonie nie zmieniły koloru ani nie pomarszczyły się jak suszone śliwki.

Jednak gdy uniosła wzrok, zobaczyła, że czarownik wpatruje się w nią, jakby wyrosła jej druga głowa. Wyraźnie spodziewał się, że będzie wystraszona.

– A gdzie ten zapach? – spytała, ośmielona.

Przez moment wydawał się zbity z tropu.

– Jaki zapach?

– Ten przypominający spalony metal. To zapach czarów, prawda?

– Ach. – Pomiędzy jego ciemnymi brwiami pojawiła się zmarszczka. Być może posunęła się za daleko. Zaraz jednak podjął: – Niezupełnie. Czasem towarzyszy czarom, jeśli zakęcie jest dostatecznie potężne. Technicznie rzecz biorąc, nie jest to zapach magii, tylko reakcji zachodzącej, kiedy materia Pozaświata – to znaczy krainy demonów – styka się z naszą...

– Coś jak reakcja chemiczna? – zapytała Elisabeth.

Teraz spoglądał na nią jeszcze dziwniej.

– Dokładnie tak.

– Czy ma jakąś nazwę?

– Nazywamy ją eterycznym spalaniem. Ale skąd...?

Urwał, bo znów rozległo się pukanie do drzwi.

– Jesteśmy gotowi, magistrze Thorn – dobiegł z zewnątrz głos dyrektorki.

– Tak – odpowiedział. – Tak, ja... jedną chwilę.

Zerknął na Elisabeth, jakby nie był pewien, czy nie zniknęła niczym miraż w chwili, gdy odwrócił wzrok. Jego blade oczy przeszyły ją na wylot. Przez moment wyglądał, jakby zamierzał zrobić coś jeszcze – powiedzieć coś na pożegnanie albo rzucić zaklęcie, żeby ukarać ją za zuchwałość. Stała prosto, szykując się na najgorsze.

Wtedy jakiś cień przemknął po jego twarzy. Zmrużył oczy, odwrócił się na pięcie i bez słowa ruszył w stronę drzwi, przypominając tym samym, że on był magistrem, a ona skromną nowicjuską z biblioteki, niewartą nawet szczypty jego uwagi.

Z zapartym tchem wślizgnęła się z powrotem za półki. Czyjaś dłoń natychmiast chwyciła ją za rękę.

– Elisabeth, ty kompletnie oszalałaś! – wyszczała Katrien, wynurzając się z mroku. – Nie wierzę, że go dotknęłaś. Przez cały czas byłam gotowa wyskoczyć i przywalić mu grymuarem. No i? Czego się dowiedziałaś?

Zalała ją fala euforii. Uśmiechnęła się, a potem z jakiegoś powodu wybuchnęła śmiechem.

– Nie ma spiczastych uszu – wydyszała. – Są całkiem zwyczajne.

Drzwi czytelnicy uchyliły się ze skrzypnięciem. Katrien przycisnęła dłoń do ust Elisabeth, żeby zdusić jej śmiech. I w samą porę – na zewnątrz czekała dyrektorka. Minę miała jak zawsze surową, a rude włosy lśniły jak płynna miedź na tle ciemnoniebieskiego munduru. Zerknęła do pokoju, przystając; rozglądała się przez chwilę, po czym jej spojrzenie bezbłędnie odnalazło wzrok Elisabeth. Spojrzała jej w oczy poprzez półki. Dziewczyna zeszywniała, ale dyrektorka nie powiedziała ani słowa. Kącik jej ust zadrżał, ciągnąc za sobą bliznę na policzku. Zamknęła drzwi, znikając za nimi wraz z magistrem.



WIZYTA MAGISTRA BYŁA ostatnim ekscytującym wydarzeniem tej wiosny. Lato zaatakowało falą spiekoty, a niedługo potem wybuchła epidemia kruchogrzbietu, uprzykrzając wszystkim życie; wyczerpani, całymi tygodniami nacierali dotknięte chorobą grymuary cuchnącą maścią. Elisabeth powierzono opiekę nad księgą drugiej klasy, zatytułowaną *Dekrety Bartholomew Trouta*, która nabrała zwyczaju wiercenia się wyzywająco, gdy tylko ją zobaczyła. Kiedy Summershall nawiedziła pierwsza jesienna burza, nie miała ochoty już nigdy w życiu oglądać żadnego słoika z maścią. Była gotowa paść na łóżko i nie budzić się przez następnych kilka lat.

Zamiast tego zbudziła się w środku nocy, przekonana, że coś słyszała. Na zewnątrz wiatr chłostał drzewa i wył w okapach, a gałęzie tłukły o okna, jednak mimo całego tego hałasu nie mogła pozbyć się wrażenia, że obudziło ją coś innego. Usiadła na łóżku i odrzuciła kołdrę.

– Katrien? – szepnęła.

Przyjaciółka obróciła się na bok, mamrocząc coś przez sen. Nie obudziła się, nawet kiedy Elisabeth chwyciła ją za ramię i potrząsnęła.

– Zaszantażować go – wymruczała w poduszkę, wciąż pogrążona we śnie.

Marszcząc brwi, Elisabeth wyslizgnęła się z łóżka. Zapaliła świecę stojącą na szafce nocnej i rozejrzała się w poszukiwaniu czegokolwiek podejrzanego.

Pokój, który dzieliła z Katrien, położony wysoko w jednej z wież biblioteki, był mały i kolisty, z wąskim oknem, przez które wionęło chłodem, ilekroć wiał wiatr ze wschodu. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, gdy kładła się spać. Książki leżały otwarte na komodzie i piętrzyły się w stosach wzdłuż zakrzywionych, kamiennych ścian, a dywan zarzucony był notatkami z najnowszych eksperymentów Katrien. Starając się ich nie podeptać, Elisabeth podeszła do drzwi i wychynęła na korytarz. Płomień świecy spowijał ją drżącym

blaskiem. Grube ściany biblioteki tłumili wycie wiatru, zmieniając je w odległy pomruk.

Boso i w samej koszuli nocnej spłynęła w dół schodami niczym duch. Skręciła kilka razy i stanęła pod tarasującymi przejście dębowymi drzwiami, wzmocnionymi za pomocą żelaznych pasów. Te drzwi oddzielały bibliotekę od kwater mieszkalnych i przez cały czas pozostawały zamknięte. Dopóki nie ukończyła trzynastu lat, nie mogła sama ich otwierać; musiała czekać, aż przyjdzie jakiś bibliotekarz i ją przepuści. Teraz miała już wieloklucz, otwierający zewnętrzne drzwi wszystkich Wielkich Bibliotek w królestwie. Nosila go na szyi przez cały czas, nawet w łóżku i w kąpielu, jako namacalny symbol swojej przysięgi.

Uniosła klucz, ale zaraz zatrzymała dłoń i przebiegła opuszkami palców po szorstkiej powierzchni drzwi. Przez głowę przemknęło jej wspomnienie: ślady pazurów na stole w krypcie – pazurów, które przeorały blat, jakby był zrobiony z masła, a nie z drewna.

Nie, to niemożliwe. Grymuary przemieniały się w malefikty tylko, jeśli zostały uszkodzone. Coś takiego nie mogło się wydarzyć w środku nocy, gdy w bibliotece nie było żadnych gości, a wszystkie księgi spoczywały bezpiecznie na swoich miejscach. Nie, kiedy strażnicy patrolowali ciemne korytarze, a ogromny dzwon alarmowy zwisał nieruchomo nad ich głowami.

Postanawiając odegnąć dziecinne lęki, prześlizgnęła się przez drzwi i zamknęła je za sobą. LAMPY w westybulu przygaszono na noc; ich blask lśnił w pozłacanych literach na grzbietach książek i odbijał się w miedzianych przewodnicach łączących drabiny na kółkach ze szczytami regałów. Wyteżęła słuch, ale nie dobiegł jej żaden niezwykły dźwięk. Tysiące grymuarów wokoło spało spokojnie, pochrapując, aż aksamitne wstążki fruwały nad ich kartkami. Nieopodal, w szklanej gablocie, księga czwartej klasy zatytułowana *Florilegium lorda Fustiana* odchrząknęła wyniośle, próbując przyciągnąć jej uwagę. Trzeba jej było prawić na głos komplement co najmniej raz dziennie, w przeciwnym wypadku zatrząskiwala się jak małż i nie dawała się otworzyć przez całe lata.

Elisabeth skradała się naprzód, unosząc świecę wyżej. Wszystko w porządku. Pora wracać do łóżka.

I wtedy to poczuła – zapach, od którego łzawiły oczy, niemożliwy do pomylenia z jakimkolwiek innym. Kilka ostatnich miesięcy jakby przestało istnieć i przez

moment znów stała w czytelni, pochylona nad obitym skórą fotelem. Serce jej zamarło, a potem zaczęło walić tak, że dudniło jej w uszach.

Eteryczne spalanie. W bibliotece ktoś niedawno uprawiał czary.

Szybko zgasła świecę. Wzdrygnęła się, słysząc jakiś trzask. Zaczekała, aż rozległ się znowu, tym razem cichszy, prawie jak echo. Podejrzewając już, co to za dźwięk, wsunęła się za regał, skąd widać było frontowe drzwi biblioteki. Stały otworem, kołysząc się na wietrze.

Gdzie są strażnicy? Powinna już była kogoś spotkać, a tymczasem biblioteka zdawała się całkiem opustoszała. Drżąc ze strachu, ruszyła w kierunku drzwi. Choć teraz wszystkie cienie, ciągnące się po podłodze jak palce, miały w sobie coś złowrogiego, omijała słupy księżycowego światła, nie chcąc, żeby ktoś ją zauważył.

Ból rozlał się w jej niczym nieosłoniętym palcu u stopy, kiedy była w połowie drogi przez westybul. Nadziała się nim na coś, co leżało na podłodze – coś twardego i zimnego, połyskującego w ciemności...

Miecz. I to nie było jakiś miecz, tylko Zabójca Demonów. Granaty na jego jelcu lśniły w mroku.

Elisabeth podniosła broń w odrętwieniu. Dotykanie jej zdawało się niewłaściwe. Zabójca Demonów nigdy nie opuszczał swojego miejsca u pasa dyrektorki. Spuściłaby go z oczu tylko, gdyby...

Tłumiąc krzyk, Elisabeth podbiegła do sylwetki leżącej bezwładnie na podłodze nieopodal, z rudymi włosami lśniącymi w świetle księżycy i bladą dłonią wyciągniętą przed siebie. Ciało nie stawiało żadnego oporu, gdy chwyciła je za ramię i obróciła na plecy. Oczy dyrektorki wbiły niewidzące spojrzenie w sufit.

Podłoga rozstąpiła się pod Elisabeth; wokół niej biblioteka zawirowała. To niemożliwe. To tylko zły sen. Lada chwila obudzi się we własnym łóżku i wszystko będzie tak, jak zawsze. Czekiła na przebudzenie, a kolejne sekundy mijały, aż żołądek podszedł jej do gardła. Chwiejnie oddaliła się od ciała dyrektorki i podeszła do drzwi, gdzie wypłuła z siebie kwaśną strugę żółci. Kiedy wyciągnęła rękę, aby oprzeć się o futrynę, jej dłoń trafiła na coś śliskiego.

„Krew” – pomyślała odruchowo, ale substancja pokrywająca jej palce była czymś innym – gęstszym, ciemniejszym. To nie była krew, tylko atrament.

Elisabeth od razu wiedziała, co to oznacza. Otarła palce o koszulę nocną i zacisnęła obie dłonie na rękojeści Zabójcy Demonów, bo za bardzo drżała, żeby

utrzymać go w jednej. Wyszła w noc. Owiał ją wiatr, mierzwiąc jej włosy. W pierwszej chwili nie zobaczyła nic poza migotliwymi światłami tych kilku lamp, które wciąż paliły się w Summershall, widoczne spoza targanych wiatrem drzew w sadzie. Wysypany żwirem dziedziniec biblioteki otaczał wysoki płot z kutego żelaza, którego ostre zwieńczenia jak sztylety wbijały się w niespokojne niebo, ale brama była otwarta; powyginana, zwisała na zawiasach, ociekając atramentem.

Wtedy w oddali, pomiędzy drzewami, poruszyła się potężna sylwetka. Światło księżyca lśniło na oleistej skórze. Postać szła powoli w stronę miasteczka chwiejnym, niezgrabnym krokiem, jak zdeformowany niedźwiedź próbujący niezdarnie chodzić na dwóch łapach. Nie było żadnych wątpliwości, co to takiego: grymuar, który uciekł z krypty. Czerpiąc moc z czarów zamkniętych między swoimi stronami, przeistoczył się w przerażającego potwora ze skóry i atramentu.

Widząc malefikt, Elisabeth powinna zawiadomić najbliższego strażnika, a jeśli to było niemożliwe, wbiec po schodach i uderzyć w dzwon alarmowy. Jego sygnał wezwałby strażników i dał znak mieszkańcom miasteczka, aby ukryli się w schronie pod ratuszem. Jednak nie było na to czasu. Gdyby Elisabeth zawróciła, potwór dotarłby do Summershall, zanim ktokolwiek zdążyłby chociaż wstać z łóżka. Mnóstwo ludzi zginęłoby na ulicach. To byłaby rzeź.

Officium adusque mortem. Służba aż do śmierci. Tysiące razy przechodziła pod tą inskrypcją. Być może nie była jeszcze strażniczką, ale nigdy nie mogłaby nią zostać, gdyby teraz zawróciła. Jej obowiązkiem było chronić Summershall, nawet za cenę własnego życia.

Elisabeth przebiegła przez bramę i pognąła w dół zbocza. Ostry żwir ustąpił miejsca miękkiemu, mokremu dywanowi z mchu i opadłych liści, od których przemókł jej rąbek koszuli. Raz potknęła się o korzeń i o mało nie upuściła miecza, ale malefikt się nie zatrzymał, tylko dalej ciężkim krokiem podążał przed siebie.

Była już na tyle blisko, że dławił ją bijący od niego smród zgnilizny, i widziała, jaki był wielki – dużo większy niż człowiek, z kończynami grubymi i sękatymi jak pniaki. Zalała ją fala paralizującego strachu. Zabójca Demonów zaczął w końcu ciążyć jej w rękach. Nie była żadną bohaterką, tylko dziewczyną w koszuli nocnej, która przypadkiem trzyma miecz. Zastanawiała się, czy tak właśnie czuła się dyrektorka, mierząc się ze swoim pierwszym malefiktem?

„Nie muszę go pokonać – pomyślała. Jeśli uda jej się odwrócić jego uwagę na dość długo i narobi przy tym dostatecznie dużo hałasu, może zdoła ocalić miasto.

– Zakłócanie spokoju to w końcu moja specjalność. Zwykle nie muszę się nawet starać, samo mi wychodzi”.

Wróciła jej odwaga, wyrrywając ciało z odrętwienia. Wzięła głęboki oddech i bez słów wrzasnęła w noc.

Wiatr porwał jej głos na strzępy, ale potwór w końcu się zatrzymał. Tłusta, czarna skóra pokrywająca jego ciało zmarszczyła się, jakby trąciła ją mucha. Po dłuższym namyśle odwrócił się w stronę Elisabeth.

Był masywny i z grubsza człekokształtny, ale koślawy, prymitywny, jakby ulepiony przez dziecko z kawałka gliny. Dziesiątki przekrwionych, wyłupiastych oczu pokrywały każdy skrawek jego ciała; najmniejsze były wielkości filizanek, największe – talerzy stołowych. Ich źrenice skurczyły się do rozmiarów główek od szpilki i wszystkie wpatrywały się prosto w Elisabeth. Najniebezpieczniejszy grymuar w bibliotece wyrwał się na wolność. *Księga oczu* powróciła.

Malefikt przyglądał się jej przez chwilę, niezdecydowany, wahając się między nią a miasteczkiem. Z wolna jego oczy zaczęły obracać się z powrotem w stronę Summershall. Musiał uznać, że nie stanowi dla niego zagrożenia. W porównaniu ze wszystkimi ludźmi z miasteczka nie była warta jego uwagi. Musiała go przekonać, że jest inaczej. Uniosła Zabójcę Demonów i rzuciła się do ataku, omijając drzewa i przeskakując nad odłamanymi gałęziami. Masywna sylwetka malefiktu górowała nad nią, przesłaniając księżyc. Elisabeth wstrzymała oddech, aby nie czuć mdlącego smrodu. Kilkoro oczu obróciło się i skupiło na niej, ze źrenicami rozszerzonymi z zaskoczenia, ale tylko tyle zdążyły zobaczyć, zanim spadło na nie ostrze, a w ciemność trysnął strumień atramentu.

Ziemia zatrzęsała się od ryku potwora. Elisabeth biegła dalej; wiedziała, że nie może zmierzyć się z *Księgą oczu* twarzą w twarz. Czmychnęła w głąb sadu i prędko przykucnęła za omszałą ruiną starej, kamiennej studni, łapczywie chwytając świeże powietrze.

W pewien sposób ukrywanie się przed potworem było gorsze niż walka z nim. Nie widziała, co robi malefikt, a to pobudzało jej wyobraźnię. Ustaliła jednak bez wątplenia, że stwór jej szuka. Poruszał się niepokojąco cicho, ale był zbyt wielki, żeby przejść pomiędzy drzewami, nie zdradzając swojej obecności. Tu i ówdzie trzaskały łamane gałęzie, a jabłka spadały na ziemię z głuchym plaśnięciem. Dźwięki stopniowo się przybliżały. Elisabeth przestała dyszeć; zapiekły ją płuca,

gdy z wysiłkiem wstrzymała oddech. Jabłko uderzyło o studnię i pękło, opryskując ją lepкими kawałkami mięszu.

– *Nowicjuszko... Znajdę cię... To tylko kwestia czasu...*

Szepty muskały jej umysł jak miękka, zwiotczała dłoń. Skuliła się, trzymając się za głowę.

– *Lepiej od razu się poddać...*

Oślizgła sugestia wplątała się w jej myśli, przekonując swoim beznamiętnym pragmatyzmem. Jej zadanie było niewykonalne. Zbyt trudne. Musiała tylko się poddać, odłożyć miecz, a jej cierpienie dobiegnie końca. *Księga oczu* rozprawi się z nią szybko.

Księga oczu kłamała.

Zaciskając zęby, Elisabeth podniosła wzrok. Malefikt stał nad nią, ale jeszcze jej nie dojrzał. Jego oczy obracały się w oczodołach niezależnie od siebie, obserwując sad. To, które zraniła, było zamknięte i płynęły z niego strumienie atramentu, jakby płakało.

– *Nowicjuszko...*

Opieranie się szeptom było jak brodzenie w wodzie w przemoczonym ubraniu, z nosem i ustami ledwo wystającymi ponad powierzchnię. Zmusiła się, aby puścić głowę i zacisnąć palce na rękojeści Zabójcy Demonów. „Jeszcze tylko chwilę” – powiedziała sobie. Potwór przysunął się bliżej, a jego żółte oko spojrzało w dół. Kiedy ją dostrzegło, źrenica rozszerzyła się tak bardzo, że cała tęczówka zdawała się czarna.

Teraz.

Szybkim ruchem uniosła Zabójcę Demonów, przebijając oko. Atrament polał się po jej ramionach i zrosił mech. Ryk malefaktu poniósł się echem przez noc. Tym razem, gdy rzuciła się do ucieczki, zobaczyła, jak w dole, w miasteczku, zapalają się kolejne światła. Z każdą sekundą było ich coraz więcej, rozprzestrzeniały się po domach jak przygasłe węgle na nowo wybuchające płomieniem. Summershall budziło się ze snu. Jej plan działał.

Jej samej za to kończył się czas.

Ręka przecięła mrok, wyrzucając ją w powietrze jak szmacianą lalkę. Jej ciałem wstrząsnął ostry ból, kiedy uderzyła ramieniem o pień drzewa i poturlała się po mokrej trawie. W ustach poczuła smak miedzi, a gdy usiadła, z trudem łapiąc

oddech, obraz rozmywał się jej przed oczami. Jedno z ramiączek koszuli nocnej zwisało luźno, podarte i zakrwawione. Nad nią wznosiła się ciemna sylwetka malefaktu.

Stwór się nachylił. Miał bryłową głowę pozbawioną twarzy i jakichkolwiek rysów, nie licząc niezliczonych wylupiastych oczu.

– Dziwna z siebie dziewczyna. Ach... jest w tobie coś... powód, dla którego obudziłaś się dziś w nocy, podczas gdy inni spali...

Miecz dyrektorki leżał na trawie. Elisabeth pochwyciła go i wymierzyła w napastnika. Ostrze zadrżało.

– Mogę ci pomóc – zachęcał potwór. – Widzę w twojej głowie pytania... tak wiele pytań, a tak mało odpowiedzi... ale ja mogę zdradzić ci sekrety – och, takie sekrety, jakich nawet sobie nie wyobrażasz, sekrety przekraczające twoje najśmielsze sny...

Jak porwane przez wir, jej myśli podążyły za szeptami w jakieś mroczne, wygłodniałe miejsce – miejsce, z którego jej umysł z pewnością nie zdołałby już wrócić. Z trudem przełknęła ślinę. Wymacała dłonią klucz wiszący na jej piersi i wyobraziła sobie, jak dyrektorka zatrzaskuje grymuar, w jednej chwili uciszając głos potwora.

– Kłamiesz – oznajmiła.

Gardłowy śmiech wypełnił jej głowę. Zamachnęła się mieczem na oślepe. Potwór się uchylił i Zabójca Demonów przeciął tylko ze świstem powietrze. Rzuciła się do ucieczki, a za nią posypały się odłamki drewna; *Księga oczu* rozłupała drzewo, które Elisabeth jeszcze chwilę wcześniej miała za plecami, ciosem, który zgniótłby ją jak zabawkę.

Uciekała, potykając się o porozrzucane jabłka. Zdezorientowana, o mało nie wpadła na bladą sylwetkę stojącą między drzewami. Postać była biała i miała skrzydła oraz smutną, pełną powagi twarz nadgryzioną zębem czasu. Marmurowy anioł.

Odżyła w niej nadzieja. Posąg oznaczał położenie skrytki z wyposażeniem, którego strażnicy i mieszkańcy miasteczka mogli użyć w nagłych wypadkach. Zaczęła grzebać w jamie pod cokołem, aż jej palce natrafiły na śliski od deszczu pojemnik.

Ścigał ją głos malefaktu.

– Powiem ci – szeptał – prawdę o tym, co stało się z dyrektorką. Chciałabyś poznać ten sekret? Ktoś to zrobił, wiesz... ktoś mnie wypuścił...

Palce Elisabeth, mocujące się niezgrabnie z zamknięciem pojemnika, zastygły w bezruchu.

– Mogę ci powiedzieć, kto to był, nowicjuszko!

Powietrze zadrżało od ruchu, ale zareagowała zbyt wolno. Oślizgła skóra otoczyła ją ze wszystkich stron, zamykając ją w silnym, cuchnącym uścisku. Potwór ją złapał. Uniósł ją nad ziemię, przyglądając się jej z tak bliska, że widziała popękane żyłki przecinające jego oczy jak szkarłatne nici. Pięść zaczęła się zaciskać. Elisabeth poczuła, jak jej żebra zaginają się do środka. Z piersi wyrwał jej się zduszony oddech.

„To się tak nie skończy” – pomyślała, walcząc. Miała zostać strażniczką, opiekunką ksiąg i słów. Była ich przyjaciółką, ich zarządczynią, tą, która trzyma je na uwięzi, a w razie potrzeby – ich niszczycielką.

Udało jej się uwolnić jedną rękę i wyrzucić w powietrze zawartość pojemnika. Malefikt zawył z bólu, gdy chmura soli obsypała jego ciało. Jego uścisk osłabł, a Elisabeth wyslizgnęła mu się z ręki i z okropnym trzaskiem uderzyła o posąg anioła, aż przed oczami stanęły jej gwiazdy. Zamrugowała. Przez moment nie była w stanie się ruszyć, nie czuła kończyn i zastanawiała się, czy nie złamała kręgosłupa, potem jednak czucie w palcach wróciło w przyływie bolesnych ukłuć. Czuła w dłoniach rękojeść Zabójcy Demonów. Nie upuściła go.

Zanim znów dosięgły ją szepty potwora, przetoczyła się na bok i ujrzała przed sobą ogromne, niebieskie oko. Było zaczerwienione i łzawiło, drżąc boleśnie, gdy usiłowało pozostać otwarte dostatecznie długo, aby skupić na niej wzrok. Resztkami sił dźwignęła się na nogi. Uniosła miecz dyrektorki nad ciałem potwora, po czym spuściła go z całej siły, aż po jelec zanurzając ostrze w tłustej skórze.

Żrenica oka rozszerzyła się, a potem zwężyła.

– Nie – zagulgotał malefikt. – Nie!

Atramentowe bańki unosiły się z rany. Elisabeth zacisnęła szczęki i przekręciła ostrze. Potwór uniósł się, odrzucając ją na bok. Zabójca Demonów wciąż tkwił w jego ciele, zbyt daleko, by go dosięgnąć, ale już go nie potrzebowała. Oczy zadrgały gwałtownie, a potem znieruchomiały i przetoczyły się w górę. Ich

powieki opadły. Skóra zaczęła szarzeć, pękać i łuszczyć się, jakby nagle się postarzała. Oczy przesłoniła mglista błona, a fragmenty ciała zapadły się do środka, wzbijając tumany żarzącego się popiołu. Elisabeth patrzyła, jak malefikt rozsypuje się na wietrze.

Przypomniała sobie, co dyrektorka powiedziała jej w krypcie. Ten grymuar był jedyny w swoim rodzaju. Była za niego odpowiedzialna, a tymczasem właśnie go zniszczyła. Wiedziała, że nie miała wyboru, ale mimo to pomyślała:

„Co ja zrobiłam?”.

Popiół wirował wokół niej jak śnieg. Powietrze wypełniło mosiężne dźwięczenie. W końcu, o wiele za późno, dzwon Wielkiej Biblioteki zaczął bić.



– TO SZALEŃSTWO. DZIEWCZYNA nic nie zrobiła. Wiesz, że jest niewinna...

– Tego nie wiem, mistrzu Hargrove – odparł strażnik Finch. – Tylko dwie osoby miały styczność z *Księgą oczu*, odkąd pojawiła się w Summershall. Teraz jedna z tych osób nie żyje. Powiedz mi, dlaczego Scrivener nie leżała w łóżku, kiedy malefikt wyrwał się na wolność?

Hargrove zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Naprawdę sugerujesz, że Scrivener miała z tym coś wspólnego? Że dopuściła się *sabotażu* grymuaru ósmej klasy? To niedorzeczne. Czemuż niby miałyby zrobić coś takiego?

– Znalaziono ją bez pozwolenia poza biblioteką, z mieczem dyrektorki.

– Który dyrektorka zapisała jej w testamencie, na miłość boską! Teraz jest własnością Scrivener...

Elisabeth zamrugnęła. Leżała pod cienkim, szorstkim kocem w obcym łóżku. Nie, nie w łóżku, na pryczy. Zmarzły jej palce u nóg; stopy wystawały spod koca. Kamienna ściana przed nią nie była ścianą jej pokoju, a kłótnia pomiędzy Finchem i Hargrove'em nie miała żadnego sensu.

– Dyrektorka nie miała przy sobie swoich kluczy – warczał Finch. – Znaleźliśmy je przy wejściu do krypty. Ktoś je zabrał. Tylko Scrivener tam była. Wieczorem bibliotekę zabezpieczono – nikt inny nie mógłby dostać się do środka.

– Z pewnością jest jakieś wytłumaczenie. – Jeszcze nigdy nie słyszała w głosie Hargrove'a takiego zdenerwowania, nawet po incydencie z wszami książkowymi. Na wpół pogrążona we śnie, wyobraziła go sobie gestykulującego jak podczas wykładów, wymachującego wątlymi, starczymi dłońmi, jakby dyrygował orkiestrą. – Musimy zbadać tę sprawę – powiedział. – Porozmawiać ze Scrivener, posłużyć się *logiką*, aby zrozumieć, co się stało zeszłej nocy.

– Wysłałem już raport do Magisterium. Bezcenny grymuar uległ zniszczeniu i czarownicy będą chcieli, żeby ktoś za to odpowiedział. Oni wyduszą z niej prawdę, w ten czy inny sposób.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Proszę, rozważ to jeszcze. – Głos Hargrove’a był stłumiony, bardziej odległy, jakby mistrz był zmuszony się wycofać. – Dyrektorka ufała Scrivener, nawet ją kochała, a obaj wiemy, że nie była zbyt uczuciowa. To z pewnością musi coś znaczyć.

– Owszem. To znaczy, że dyrektorka pokochała niewłaściwą osobę i przyplaciła swój błąd życiem. Możesz odejść, Hargrove.

– Strażniku Finch...

– Dyrektorze – poprawił Finch. – Jeśli zapomniałeś, gdzie twoje miejsce, Hargrove, mogę bez problemu znaleźć ci inne.

„Dlaczego Finch nazywa siebie dyrektorem?”.

Elisabeth w końcu zdołała się rozbudzić i zalała ją fala wspomnień. Popiół. Dzwony. Strażnicy otaczający ją z mieczami w dłoniach, Finch wynurzający się spośród nich i chwytający ją za ramię. Powlókł ją schodami na dół i wtrącił do tej celi. Przypomniała sobie gniew wykrzywiający jego ospowatą twarz w blasku pochodni i wilgotną lśniąca na jego policzkach.

W jednej chwili pożałowała, że się obudziła. Bolał ją każdy cal ciała. Sińce na plecach i ramionach pulsowały bólem, a żebra z każdym oddechem wbijały jej się w płuca. Jednak o wiele gorsze od bólu było zrozumienie tego, co właśnie usłyszała.

„Wini mnie za to, co się stało. – Nie spodziewała się, że zostanie okrzyknięta bohaterką, ale coś takiego? – A jeśli to on jest teraz dyrektorem...”.

Przygryzając od środka policzek, zmusiła się, aby usiąść. Przycisnęła do piersi szorstki koc, stwierdzając, że wciąż ma na sobie koszulę nocną, sztywną od zaskorupiałego atramentu i poplamioną jej własną krwią. Rozejrzała się i nie dostrzegła Hargrove’a, ale Finch stał za zakratowanym wejściem do celi, wpatrując się w głąb korytarza z zaciętym wyrazem twarzy. Na ścianie za nim płonęła pojedyncza pochodnia, sprawiając, że do wnętrza celi padał jego długi, złowrogi cień. Próbowała zrozumieć ostatnie wspomnienie z zeszłej nocy. Dlaczego miał wilgotną twarz? Przecież nie padało.

Nagle to do niej dotarło.

– Kochałeś dyrektorkę – wyrwało jej się z ust.

Jej głos zabrzmiał jak cichy chrobot, ale Finch odwrócił się gwałtownie, jakby rzuciła w niego obelgą.

– Cicho bądź, smarkulo.

– Proszę – nalegała. – Ja też ją kochałam. Musi mnie pan wysłuchać. – Słowa polały się, jakby w jej wnętrzu pękła jakaś tama. – Ktoś inny wypuścił *Księgę oczu* ostatniej nocy. Zeszłam na dół i...

Gdy rwącym się głosem zaczęła swoją opowieść, dłoń Fincha powędrowała w stronę rękojeści miecza. Ścisnął skórzany uchwyt, aż ten zatrzeszczał. Elisabeth zająknęła się i umilkła.

– Wciąż opowiadasz kłamstwa – stwierdził. Jego oczy lśniły w blasku pochodni jak para czarnych żuków. – Wciąż sprawiasz kłopoty. Oczekujesz, że ci uwierzę po wszystkich twoich wybrykach?

– Mówię prawdę – odparła, modląc się w duchu, aby dostrzegł szczerą na jej twarzy. – Nie może mnie pan odesłać do czarowników. To czarownik zrobił to wszystko.

– Bądź łaskawa wyjaśnić, dlaczego czarownik miałby uwalniać grymuar, wiedząc, że zostanie zniszczony? Teraz te zaklęcia przepadły. Nie ma szans, żeby je odzyskać, a to wielka strata dla wszystkich czarowników.

Miał rację. Żaden czarownik nie miał powodu, żeby zrobić coś takiego. Ale wiedziała, co się wczoraj stało, i gdyby tylko on jej *uwierzył*...

– Zeszłej nocy coś było nie tak – rzuciła szybko, chwytając się tego wspomnienia. – Oprócz dyrektorki żaden ze strażników nie robił obchodu. Nie widziałam nikogo na korytarzach. To musiało być jakieś zaklęcie. Może pan sprawdzić dzienniki, wypytać strażników. Ktoś jeszcze musiał coś zauważyć.

– Kłamstwa, same kłamstwa. – Z satysfakcją splunął na podłogę przed nią.

Elisabeth ogarnęło przerażenie. Poczuli się, jakby zapuściła się w ciemny las i nagle zdała sobie sprawę, że zgubiła się, nie mając nadziei, że znajdzie drogę. Finch nigdy jej nie uwierzy, bo nie chce jej uwierzyć. Jej wina była najlepszym prezentem, jaki kiedykolwiek otrzymał. Dyrektorka postanowiła obdarzyć uczuciem Elisabeth a nie jego, a teraz w końcu miał sposobność ją za to ukarać.

– Idiotka z ciebie – mówił właśnie. – Zawsze tak uważałem. Irena nigdy mnie nie słuchała, upierała się, że masz *potencjał*, ale ja wiedziałem, że nie byłaś warta wikt i opierunku, już kiedy byłeś małym oseskiem, wypełniającym bibliotekę swoimi wrzaskami.

Irena. Czy tak miała na imię dyrektorka? Zginęła, zanim Elisabeth zdążyła je poznać.

– Mówię prawdę – szepnęła znowu. Piekła ją twarz, oblana rumieńcem wstydu. – Poczulałam w bibliotece zapach czarów. Ten podobny do spalonego metalu. Eteryczne spalanie. Przysięgam.

Skrzywił drwiąco wargi.

– A skąd niby znasz ten zapach?

– Ja... zeszej wiosny, gdy... – Ugryzła się w język, czując mdłości. Gdyby wyjaśniła, że zakradła się do czytelni i rozmawiała z magistrem, tylko pogorszyłaby sprawę. Spuściła wzrok i potrząsnęła głową. – Po prostu to wiem – dokończyła słabym głosem.

– Bez wątpienia wyczytałaś w jakimś grymuarze – warknął – którego nie powinnaś była czytać, pakując sobie do głowy słowa demonów. Zadajesz się z demonami, smarkulo? Może zaczęłaś się parać czarnoksięstwem i stąd o tym wiesz?

Cofnęła się na łóżku, aż uderzyła plecami o ścianę.

– Nie! – krzyknęła. Jak mógł ją oskarżać o coś takiego? Złożyła śluby, tak samo jak on. Gdyby je złamała, próbując czarów, nigdy nie zostałaby strażniczką i już nigdy więcej nie pozwolono by jej postawić stopy w Wielkiej Bibliotece.

– Wkrótce się o tym przekonamy. – Odwrócił się, zabierając pochodnię ze ściany. – Słyszałem, co Magisterium robi ze zdrajcami. Ich przesłuchania są gorsze niż tortury. Kiedy z tobą skończą, smarkulo, nie będziesz w stanie nawet zamiatać podłogi w bibliotece. – Światło zaczęło się oddalać, unosząc ze sobą jego cień.

Elisabeth wyplątała się z koca i podeszła chwiejnie do drzwi celi, chwytając za pręty.

– Przestań nazywać mnie smarkulą! – zawołała za Finchem. – Jestem nowicjuską!

Na moment zapadła okropna cisza.

– Doprawdy? – zapytał Finch nieprzyjemnym, pełnym rozkoszy głosem.

Pochodnia odpłynęła, pozostawiając ją w ciemności. Powoli sięgnęła po klucz wiszący jej na szyi, klucz, którego nie zdjęła od trzech i pół roku, odkąd dostała go od dyrektorki. Jej dłoń chwyciła tylko powietrze.

Kolejne dni zlewały się ze sobą. Lochy Wielkiej Biblioteki znajdowały się głęboko pod ziemią, z dala od promieni słońca, i była tu całkiem sama. Leżała na pryczy, wsłuchując się w szmery przemykających szcurów i wszy książkowych, wdzięczna za ich towarzystwo. Bez nich celę wypełniała gęsta, dusząca cisza, dręcząca jej wyobraźnię dziwnymi wizjami.

Finch już więcej jej nie odwiedził; mistrz Hargrove również się nie pojawił. O stałych porach korytarz zalewało światło pochodni i przychodził strażnik, aby przepchnąć pod drzwiami celi tacę z jedzeniem. Czasami otwierał drzwi i wymieniał stojące w kącie wiadro na nieczystości. Zawsze był to ten sam strażnik. Z początku próbowała go ubłagać, ale on jej nie słuchał. Spojrzenia, które jej rzucał, dowodziły, że wierzył w to, co mówił mu strażnik – *dyrektor* – Finch.

„Że jestem zdrajczynią – pomyślała – i morderczynią”.

Rozpacz otępiła jej umysł, a żal zalewał ją niekończącą się falą. Nigdy nie przypuszczała, że dyrektorka ją kochała. Z pewnością nie na tyle, żeby zostawić jej Zabójcę Demonów, swój największy skarb. Elisabeth chciałaby przekazać tę wiedzę sobie z przeszłości i zrobić wszystko inaczej. W końcu miała dowód, że dyrektorka zawsze w nią wierzyła, jednak nadszedł on zbyt późno i zapłaciła za niego zbyt drogo.

Podczas gdy dni mijały i osuszały łzy, ona obsesyjnie przeczesywała w myślach wspomnienia ataku, usiłując dojść do tego, co dokładnie się wydarzyło. Trudno było jej sobie wyobrazić, że dyrektorka dała się wziąć z zaskoczenia, ale wszystkie dowody wskazywały na to, że padła ofiarą czarnoksiężskiej zasadzki. Czarownik ukradł jej klucze i zszedł do krypty, a tam uwolnił *Księgę oczu*. Nikt mu w tym nie przeszkodził, bo użył zaklęcia, żeby... co właściwie?

Żeby zesłać na resztę biblioteki czarodziejski sen. To właśnie miała na myśli *Księga oczu*, kiedy jej powiedziała, że obudziła się, podczas gdy wszyscy inni spali. Katrien zwykle miała lekki sen, a jednak nawet szarpanie za ramię nie zdołało jej

wybudzić. Tylko dyrektorka musiała czuwać i być sama, żeby czarownik mógł odebrać jej klucze...

Ale jak udało mu się w ogóle dostać do biblioteki? Wszystkie zamki zrobiono z czystego żelaza i nie można ich otworzyć magią.

To bez znaczenia. Znalazł jakiś sposób. A teraz Elisabeth miała zostać oddana czarownikom, podczas gdy któryś z nich mógł być sabotażystą, czekającym na okazję, aby wyeliminować niewygodnego świadka. W Magisterium nie czekała na nią sprawiedliwość, tylko śmierć.

Zaśmiała się dziwnym, nieprzyjemnym śmiechem, ledwie przypominającym jej własny głos. Strażnik, który właśnie zjawił się z codziennym posiłkiem, spojrzał na nią podejrzliwie, wsuwając tacę pod drzwi.

„Myśli, że oszalałam”.

Kiedy ciemność na nowo wypełniła celę, sącząc się z kątów jak woda wlewająca się na pokład tonącego statku, zastanowiła się, czy miał rację. Wydawało się, że to reszta świata oszalała, a nie ona – ale jeśli tylko ona była tego zdania, to czy mogła rzeczywiście uważać się za normalną?

Siniaki na ramionach, które widywała czasami w blasku pochodni, przeszły z głębokiego fioletu w plamy niezdrowej żółci. W świetle powyżej upłynął tydzień. Każdy dzień mijał jej tak samo, aż pewnego razu brona uniosła się ze zgrzytem ocierającego się o kamień żelaza i w korytarzu zadudniły kroki dwóch par butów zamiast jednej.

Elisabeth wiedziała, co to oznacza: czarownicy w końcu po nią przyszli.



ŚWIATŁO I ZGIEŁK zaatakowały zmysły Elisabeth. Zacisnęła powieki, aby osłonić oczy przed jaskrawym blaskiem, ogłuszona dudniącymi krokami strażników prowadzących ją korytarzem. Finch ścisnął jedno z jej ramion tak mocno, że kości tarty o siebie. Po tak długim czasie spędzonym pod ziemią czuła się nie jak ludzka istota, lecz raczej jak jakieś małe stworzenie wydarte szponami jastrzębia ze swojej nory, drżące z przerażenia, zdezorientowane natłokiem dźwięków. Niedopasowana sukienka uciskała ją w zębra i łopotą wokół łydek – dziwne uczucie po latach noszenia wygodnej szaty. Bez wątplenia ta była najdłuższa, jaką udało się znaleźć, a i tak była na nią za krótka o dobre sześć cali.

Gdzieś w pobliżu zawołał ją znajomy głos.

– Katrien! – odkrzyknęła, zachrypnięta od długiego milczenia. Rozejrzała się gorączkowo, aż dostrzegła przyjaciółkę, usiłującą przecisnąć się między dwojgiem strażników. Miała wory pod oczami, a z rozlatującego się warkocza sterczały kosmyki włosów.

Elisabeth poczuła ucisk w piersi.

– Nie powinnaś tu przychodzić – wychrypiała.

– Próbowałam cię odwiedzić, ale strażnicy mi nie pozwalali – wydyszała Katrien, jakby w ogóle jej nie usłyszała. Jeden ze strażników zagroził jej drogę ramieniem, próbując ją zmusić do wycofania się, ale prześlizgnęła się pod nim, kucając, i biegła dalej. – Żeby odwrócić ich uwagę, Stefan przebrał się za starszego bibliotekarza i przebiegł przez archiwum bez spodni, ale jeden ze strażników wciąż pozostał na posterunku i nie byłam w stanie zakraść się obok niego. – Choć kręciło jej się w głowie ze strachu, Elisabeth parsknęła drżącym śmiechem.

– Nie poddalibyśmy się – zapewniła Katrien. – Jeszcze kilka dni i znalazłabym sposób, żeby cię uwolnić. Przysięgam.

– Wiem – powiedziała Elisabeth. Wyciągnęła rękę do Katrien, ale w tej samej chwili Finch popchnął ją w stronę drzwi. Musnęły się opuszkami palców, zanim strażnicy odciągnęli je od siebie, i miała okropne przeczucie, że był to ostatni dotyk, jaki przyszło im dzielić.

– Ja... ja wrócę! – zawołała Elisabeth przez ramię. Tak naprawdę w to nie wierzyła. – Będę pisać listy. – Była niemal pewna, że z tego też nie zdoła się wywiązać. – Katrien – powiedziała, kiedy Finch wypychał ją przez drzwi. – Katrien, proszę, nie zapomnij mnie.

– Nie zapomnę. Ty też mnie nie zapomnij. Elisabeth...

Drzwi zamknęły się z hukiem. Elisabeth zachwiała się, mrugając, aby usunąć sprzed oczu mroczki. Stała na dziedzińcu. Ciężkie od deszczu jesienne chmury wypełniały niebo, ale mimo to dzienne światło zaatakowało ją jak młot kowalski. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do blasku, zobaczyła, że wyszła tymi samymi drzwiami, przez które wraz z dyrektorką wносиła *Księgę oczu*, zwieńczonymi inskrypcją, która teraz brzmiała bardziej jak oskarżenie.

„Dlaczego ja przeżyłam, a dyrektorka nie?”

Jej uwagę przyciągnął odgłos grzebania kopytami w żwirze. Stały przed nią dwa ogromne, czarne konie, żując niecierpliwie wędzidła, za nimi zaś czekał powóz ze szmaragdowozielonymi zasłonkami w oknach, ozdobiony skomplikowanym wzorem wijących się, splątanych cierni. Rzemieślnik oddał je w najdrobniejszych szczegółach z wielką starannością; ze swojego miejsca niemal czuła ukłucia ostrych jak szpilki kolców.

Dziedziniec spowił cień. Zerwał się wiatr, z suchym, grzechoczącym chrzęstem rozrzucając po ziemi opadłe liście. Rozejrzała się rozpaczliwie, aż jej wzrok padł na jeden z wielu stojących tu posągów: wysokiego, marmurowego anioła z mieczem przyciśniętym do piersi. Jego szaty oplatał pnący bluszcz, tworząc naturalne uchwyty. Wiedziała z doświadczenia, że za cenę zdartych kolan dałaby radę wdrapać się na górę w kilka sekund. Przy odrobinie szczęścia uciekłyby po dachach, zanim czarownik zdążyłby ją złapać. Wzięła głęboki oddech i puściła się biegiem. Żwir pryskał spod jej butów na wszystkie strony.

Woń płonącego metalu zapiekła ją w płucach, a po chwili w powietrzu poniósł się dźwięk kruszonego, pękającego kamienia. Gwałtownie wyhamowała tuż przed posągiem, który właśnie zaczął się poruszać.

Z trzaskiem marmuru trącego o marmur otworzył puste oczy i uniósł głowę. Z wyrazem spokoju na twarzy dobył miecza i rozwinął skrzydła nad dziedzińcem. Szmaragdowe iskry zatańczyły na krawędziach lotek, gdy pióra rozłożyły się, niemal przejrzyste w świetle poranka – a potem miecz opadł, wymierzony prosto w Elisabeth. Spokojna twarz anioła wpatrywała się w nią z góry bez litości.

Dziewczyna wycofała się chwiejnie, zdając sobie sprawę, że cały dziedziniec ożył. Zakapturzeni mężczyźni, stojący we wnękach nad jej głową, zwrócili ku niej skryte w cieniu twarze. Gargulce przeciągały się i ostrzyły szpony o krawędź dachu. Nawet anioły unoszące nad drzwiami zwój spoglądały na nią zimnym, bezlitosnym wzrokiem. Elisabeth zdusiła krzyk. Rozumiała teraz, dlaczego Finch nie kłopotał się wiązaniem jej rąk. Przed czarownikiem nie było ucieczki.

Cofnęła się jeszcze o krok, potem o kolejny, aż padł na nią cień – cień mężczyzny. Nie słyszała, jak wysiadł z powozu. Zastygła, czując, jak krew zamarza jej w żyłach.

– Elisabeth Scrivener – przemówił właściciel cienia. – Nazywam się Nathaniel Thorn. Przyjechałem, żeby zawieźć cię do Brassbridge na przesłuchanie. Radzę zrezygnować z prób ucieczki. One tylko przekonają kanclerza o twojej winie.

Odwróciła się. To był *on*. Szmaragdowy płaszcz łopotał mu wokół stóp, a wiatr mierzwił ciemne włosy, przecięte srebrzystym pasmem. Jego szare oczy były tak samo blade i przeszywające, jak je zapamiętała, ale jeśli on również ją rozpoznał, to w żaden sposób tego nie okazał. Jeden kącik jego ust wygięty był w nieznacznym, cierpkim uśmiechu.

Odsunęła się o krok. Oczywiście. To on musiał być prawdziwym sprawcą. Jaki inny powód mógł mieć magister, żeby wyruszyć z tak podrzędnym zadaniem? Dla sabotażysty z pewnością dobrze by się złożyło, gdyby nigdy nie dotarła do Brassbridge – gdyby jedyny świadek zbrodni zginął po drodze w jakimś wypadku.

– Boisz się mnie – zauważył.

Przeszył ją dreszcz, ale nie dała nic po sobie poznać. Jeśli nie zdradzi, że go podejrzewa, może uda jej się przeżyć na tyle długo, żeby uciec.

– Jest pan czarownikiem – wychrypiąca, czując, że to wystarczająca odpowiedź. A potem, chcąc odwrócić jego uwagę, zapytała: – Kto to jest kanclerz?

Zmrużył oczy.

- Jeśli zamierzasz udawać głupią, musisz się bardziej postarać.
- Nie udaję. – Wbiła sobie paznokcie we wnętrze dłoni. – Kto to jest kanclerz?
- To słowo naprawdę nic ci nie mówi?

Pokręciła głową. Nachylił się bliżej, przyglądając się badawczo jej twarzy. Czekala, aż coś się stanie: przeszyje ją ostry ból, mający wydusić z niej wyznanie, albo jakaś obca obecność zacznie przegrzebywać jej myśli w poszukiwaniu prawdy. Za plecami czarownika posągi nachyliły się ku sobie głowami, jakby dyskutowały nad jej losem; słyszała nawet, jak szepczą zgrzytającymi głosami, brzmiącymi jak ziemia trąca o kamień. Trwało to dłuższą chwilę, ale w końcu czarownik odsunął się z krótkim, pozbawionym humoru śmiechem. Zalała ją fala ulgi.

– Kanclerz Ashcroft to druga najważniejsza osoba w królestwie. Stoi obecnie na czele Magisterium. – Urwał na moment. – Wiesz chyba, co to Magisterium?

– To rząd czarowników. Mam zostać tam zabrana.

„O ile przedtem mnie nie zabijesz”. – Odziana tylko w wytartą, przykrótką sukienkę, czuła się bezbronna jak nigdy.

– Podróż do miasta trwa trzy dni – zauważyła, tknięta nagłą myślą. – A ja nie mam ze sobą nic ze swoich rzeczy.

Magister, Nathaniel, zerknął w stronę drzwi.

– A, tak. Byłbym zapomniał. Jedną chwilę. – Pochylił głowę i wymamrotał zaklęcie. Enochiańskie słowa zaskwierczały w zetknięciu z powietrzem, jak tłuszcz rozchlapany na gorące palenisko.

Elisabeth zeszywniała, niepewna, czego się spodziewać. Gotowa na najgorsze, o mało nie przegapiła dziwnego, świszczącego dźwięku dobiegającego z wysoka. Na ziemi obok niej pojawił się cień, rosnący z każdą chwilą. Odskoczyła na bok tuż przed tym, jak z nieba spadł spory przedmiot i z hukiem uderzył o żwir.

Był to jej własny kufer. Spojrzała na Nathaniela szeroko otwartymi oczami, po czym podbiegła do skrzyni i uniosła wieko. W środku znajdowało się kilka porządnie poskładanych sukienek, których nie miała na sobie, odkąd skończyła trzynaście lat, jej rzadko używana szczotka do włosów, koszule nocne i pończochy. Nie było szat nowicjuszek, ale też się ich nie spodziewała. Magia powoli się rozpraszała, ale nad zawartością kufra wciąż migotał szmaragdowy blask.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytał czarownik.

– Użył pan demonicznej inkantacji, żeby spakować moje pończochy!

Uniósł brew.

– Masz rację, to nie brzmi jak coś, co zrobiłby zły czarnoksiężnik z prawdziwego zdarzenia. Następnym razem ich nie poskładam.

Nie miała możliwości zajrzeć głębiej bez wzbudzania podejrzeń. Liczyła na to, że będzie mogła sama przynieść swoje rzeczy. Wątpiła, żeby Nathaniel spakował cokolwiek, co mogłoby jej posłużyć jako broń, a już na pewno nie Zabójcę Demonów, ale może do kufra trafiło coś użytecznego. Będzie musiała dokładniej przejrzeć jego zawartość później, na osobności.

Zbyt szybko wstała znad skrzyni; zachwiała się, czując zawroty głowy. Pobyt w lochu nadwątlił jej siły.

Czyjaś dłoń przytrzymała ją za łokieć.

– Ostrożnie, panienko – odezwał się za jej plecami łagodny głos.

Odwróciła się i zobaczyła za sobą służącego. To musiał być stangret, chociaż jakimś sposobem nie zauważyła go aż do tej pory. Młody człowiek ubrany był w staroświecką liberię, a włosy miał starannie pokryte białym pudrem. Wydawał się mniej więcej w wieku Nathaniela, drobnej budowy i dość niski – nie aż tak, jak Katrien, ale wciąż dużo niższy od Elisabeth. Pod każdym innym względem był nadzwyczaj nijaki.

„Co za niepozorny człowiek” – pomyślała, po czym zmarszczyła brwi. O nikim dotąd nie zdarzyło jej się pomyśleć, że jest niepozorny. Skąd jej to przyszło do głowy?

W służącym było coś dziwnego. Choć bardzo się starała, nie potrafiła opisać żadnej innej cechy jego wyglądu, nawet koloru oczu, mimo że stał tuż obok.

– Przepraszam – powiedział uprzejmym szeptem – czy mam wziąć kufer?

W milczeniu skinęła głową. Kiedy pochylił się, żeby podnieść skrzynię, wyciągnęła rękę, czując, że powinna pomóc. Sprawiał wrażenie zbyt wiotkiego, żeby bezpiecznie dźwigać takie ciężary.

– Nie martw się o Silasa – powiedział Nathaniel. – Jest silniejszy, niż wygląda. – Ton jego głosu brzmiał, jakby właśnie opowiedział dowcip niezrozumiały dla postronnych.

Czy drwił sobie ze służącego? Przyjrzała się twarzy Silasa w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak dyskomfortu, ale żadnych nie znalazła. Kąciki jego ust były lekko uniesione, jednak podczas gdy Nathaniel uśmiechał się jak łotr, uśmiech tego chłopaka był wręcz anielski. Elisabeth zastanawiała się, dlaczego dopiero teraz dostrzegła, jak bardzo był piękny – niemal nieziemskiej urody, jakby wykuto go z lodu lub alabastru. Nigdy nie widziała tak pięknego człowieka, nie wiedziała nawet, że takie piękno jest możliwe; od samego spoglądania na niego ścisnęło ją w gardle.

Jak gdyby czując, że na niego patrzy, sługa uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. W gardle uwiązał jej zdławiony krzyk.

„Ma żółte oczy. To nie człowiek. To...”.

Spostrzeżenie zgasło jak zdmuchnięty płomień świecy.

„Tak, to naprawdę niepozorny człowiek” – pomyślała, spoglądając na sługę, który znów stanął u jej boku.

– Pomóc panience wejść do powozu? – zapytał.

Skinęła głową i ujęła odzianą w rękawiczkę dłoń. Ufała mu, chociaż nie wiedziała dlaczego. To dziwne; mogłaby przysiąc, że było coś...

– Czy Nathaniel jest dla ciebie okrutny? – zapytała cicho. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to jest usługiwać czarownikowi i całymi dniami być mimowolnym świadkiem jego niegodziwości.

– Nie, panienko. Nigdy. Widzisz, on nie może się beze mnie obejść. – Pomagając jej wejść po stopniach, zniżył głos jeszcze bardziej. – Bez wątpienia słyszałaś, że czarownicy sprzedają swoje życie demonom w zamian za moc.

Elisabeth zmarszczyła brwi, ale Nathaniel odezwał się, zanim zdążyła się zastanowić nad słowami służącego.

– Proszę usiąść wygodnie, panno Scrivener. Mamy przed sobą długą drogę. Im szybciej wyruszymy, tym prędzej będę mógł wrócić do dręczenia wdów i gorszenia staruszków moją nikczemną czarną magią.

Szybko wskoczyła do powozu, nie potrzebując dalszej zachęty. Wewnątrz wyglądał równie bogato jak z zewnątrz, pełen ciemnozielonego aksamitu i lśniącego drewna. Nigdy dotąd nie jechała powozem. Jej najbardziej zbliżonym

przeżyciem była jazda z tyłu furmanki drogą do Summershall, z kurczakiem na kolanach.

Wcisnęła się w kąt powozu, składając nogi tak, żeby się zmieściły, i czekała, aż Nathaniel do niej dołączy. Czy usiądzie obok niej, czy może naprzeciwko? Może chciał się zabawić jej kosztem, zanim ją zabije. Zesztywniała, gdy pojazd przechylił się pod czyims ciężarem. Jednak drzwi się zamknęły, a ona została w środku sama, czując, że zaschło jej w ustach.

Zastukotały kopyta i powóz ruszył z miejsca. Chcąc nie myśleć o tym, jak żołądek podchodzi jej do gardła, rozsunęła zasłony. Na dziedzińcu zakłęcie Nathaniela słabło. Patrzyła, jak anioł wsuwa miecz do pochwy i na powrót przyjmuje swoją zwykłą pozycję, zamykając oczy, jakby zasypiał. Gargulce ziewnęły, zamrugwały i zasłoniły pyski ogonami. Wszędzie wokół twarze tężały, skrzydła składały się; zakapturzeni mężczyźni odwrócili się i złożyli dłonie w bezgłośnie modlitwie. Wypuściła wstrzymywany oddech, kiedy ostatni z posągów znieruchomiał i na dziedzińcu pozostały tylko pozbawione życia kamienie, jak gdyby rzeźby nigdy się nie poruszyły, nie przemówiły, nie otwarły swych marmurowych oczu.

Dziedziniec przemknął za oknami, a brama zamknęła się za nimi. Podczas gdy jechali przez sad, nabierając tempa, zza ściany powozu dobiegły stłumione dźwięki rozmowy. Elisabeth przyjrzała się oknu, po czym otwarła zasuwkę w nadziei, że podsłucha coś użytecznego. Powiew świeżego powietrza przyniósł ze sobą głos Nathaniela.

– Naprawdę wolałbym, żebyś nie wspominał o demonach przy ludziach – mówił właśnie.

Odpowiedział mu cichy głos służącego, ledwie przebijający się przez stukot końskich kopyt.

– Nie mogę się powstrzymać, panie. Taka już moja natura.

– Twoja natura mnie drażni.

– Najmocniej przepraszam. Czy powinienem się zmienić?

– Nie teraz – odparł Nathaniel. – Spłoszyłbyś konie, a poza tym nie mam pojęcia, jak się powozi.

Elisabeth zmarszczyła brwi. Spłoszyłby konie? O czym on mówi?

– Naprawdę powinieneś nauczyć się samemu robić różne rzeczy, panie – stwierdził sługa. – Dobrze byłoby, na przykład, gdybyś umiał sam zawiązać sobie krawat, albo chociaż raz zdołał włożyć płaszcz na właściwą stronę...

– Tak, tak, wiem. Po prostu spróbuj zachowywać się bardziej normalnie w obecności tej dziewczyny. Nie powinna się dowiedzieć. – Nathaniel urwał. – Czy to okno jest otwarte?

Odsunęła się gwałtownie, kiedy strumień zielonego światła oplótł zasuwkę i zamknął okno, ucinając dobiegającą z zewnątrz rozmowę. Mogła spróbować jeszcze raz później, ale podejrzewała, że zasuwka pozostanie nie do ruszenia przez resztę podróży.

To, co zdołała podsłuchać, napełniło ją przerażeniem. Wyglądało na to, że służący współpracował z Nathanielem, aby pozbawić ją życia. Musiała ułożyć plan działania, zanim powóz zatrzyma się na noc. Planowanie zawsze było mocną stroną Katrien, nie jej, ale jeśli nie da rady uciec, zginie, a wtedy nigdy nie zdoła wymierzyć sprawiedliwości zabójcy dyrektorki.

Rozpaczliwie poszukując inspiracji, znów wyjrzała przez okno i ujrzała widok, którego nie rozpoznawała: owce skubiące trawę na wzgórzu otoczonym przez lasy. Po chwili odnalazła wzrokiem Wielką Bibliotekę, wznoszącą się za drzewami w otoczeniu gospodarstw. Jej ponure wieże wyrastały ponad wiejski krajobraz, spowite wieńcami szarych chmur. Przez całe życie wyglądała z okien tych wież, marząc o swojej przyszłości hen, daleko stąd. Bez wątpienia patrzyła i na tę drogę, postrzegając krajobraz tak, jak mogły go widzieć ptaki, a teraz, z poziomego gruntu, zdawał jej się dziwny i obcy.

Przycisnęła czoło do szyby, przełykając bolesny ucisk w gardle. Nigdy dotąd nie oddaliła się tak bardzo od Summershall. Po tylu latach marzeń wydawało się niezmiernie okrutne, że miała po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni zakosztować świata jako więzień – zdrajczynie wszystkiego, co było jej drogie.

Powóz obrócił się na zakręcie i dachy Summershall skryły się za wzgórzem. Wkrótce otoczyła ich ściana drzew i również Wielka Biblioteka zniknęła z widoku.



POWÓZ ZATRZAŚŁ SIĘ, wrywając Elisabeth ze snu. Usiadła, krzywiąc się – zdrętwiała jej szyja – po czym zamarła, czujnie chłonąc wszelkie bodźce. Słyszała tylko odgłosy owadów – żadnego stukania kopyt, żadnego turkotu kół toczących się po drodze. Powóz stanął. Na dworze było ciemno, ale przez szparę w zasłonkach wpadało światło lamp. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że zatrzymali się przy starym, kamiennym zajeździe.

Klamka w drzwiach drgnęła. Elisabeth na powrót skuliła się w pozycji, w której przed chwilą się obudziła, gorączkowo rozważając kolejne posunięcie. Poprzez rzęsy patrzyła, jak Nathaniel nachyla się do środka; jego twarz była jasną plamą na tle ciemności. Wiatr zmierzwił mu włosy, pośród których lśniło srebrzyste pasmo.

– Mam nadzieję, że tam nie umarłaś, panno Scrivener – powiedział.

Nie poruszyła się. Próbowwała oddychać jak najpłycej.

– Byłoby to dla mnie dość niewygodne – ciągnął. – Czekaloby mnie mnóstwo nudnych spotkań, dochodzenie, jedno czy dwa oskarżenia o morderstwo... Panno Scrivener?

Elisabeth wciąż leżała bez ruchu.

Nathaniel westchnął ciężko i wdrapał się do powozu. Puls walił jej jak oszalały, gdy podszedł bliżej, przynosząc ze sobą zapach nocnego powietrza i czarów. To, co zamierzała, było niebezpieczne, ale nie miała wyboru – a w każdym razie żadnego lepszego niż ten.

Jak tylko wyciągnął rękę, aby dotknąć jej ramienia, ożyła. Nie miał na dłoniach rękawiczek i kiedy zatopiła zęby w jego ciele, krzyknął. Błyskawicznie wypadła z powozu i puściła się biegiem. Światła zajazdu podskakiwały w górę i w dół, kiedy pędziła drogą przed siebie, po czym zniknęły jej z oczu, gdy ześlizgnęła się z nasypu po drugiej stronie. Potoczyła się po kamieniach i przez jedną straszną chwilę nie widziała nic, tylko ciemność, potem jednak z pluskiem uderzyła

o podłoże. Woda zalała jej pończochy, a powietrze wypełnił smród mułu i zgniłej roślinności. Wylądowała w rowie. W mroku przed sobą widziała zarys splątanych gałęzi.

Zanurkowała w zarośla. Gałązki chłostały ją po twarzy, liście haczyły o włosy. Serce zabiło jej mocniej, gdy coś opadło jej na ramię, ale była to tylko kolejna potracona przez nią gałąź. Spodziewała się niemal, że drzewa wokół niej ożyją, a ich korzenie wychyną z ziemi jak węże i złapią ją za kostki, nie widziała jednak żadnych oznak pościgu. Prawdę mówiąc, nie widziała żadnych oznak, że w pobliżu w ogóle były jakieś żywe stworzenia.

Jeśli w tych lasach żyły zwierzęta – ptaki, wiewiórki – to wszystkie zamilkły, pozostawiając ją samą z dźwiękiem jej własnego, ciężkiego oddechu i trzaskiem, z którym przedzierała się przez chaszczę. Z początku cisza jej nie martwiła – był w końcu środek nocy. Potem jednak pomyślała:

„Gdzie się podziały świerszcze?”

Wypadła na polanę i gwałtownie wyhamowała. Stał przed nią służący Nathaniela, Silas, z rękami założonymi za plecy i lekkim, przepraszającym uśmiechem na ustach. Ani jeden biały kosmyk nie wymknął się zza wstążki, którą miał związane włosy. Był tak blady, że wyglądał jak duch na tle zatopionych w cieniu drzew.

Przerażenie zacisnęło palce na gardle Elisabeth. Poczwała, że brakuje jej tchu.

– Skąd się tu wziąłeś? – zapytała słabym głosem. Powinna była widzieć, że ją ściga, a przynajmniej go usłyszeć. Tymczasem wyglądało to tak, jakby pojawił się przed nią znikąd.

– Każdy dobry sługa ma swoje tajemnice – odparł – o których lepiej nie mówić na głos, żeby nie zburzyć iluzji tak ważnej dla jego pana i gości, których podejmuje. Chodź. – Wyciągnął ku niej dłoń. – Na dworze jest zimno i ciemno. W gospodzie czeka na ciebie ciepłe łóżko.

Miał rację. Elisabeth poczuła nagle, że głupotą było biegać po lesie o tej porze. Nie pamiętała już nawet, dlaczego uciekła. Zrobiła krok w jego stronę, zaraz jednak przystanąła, rozglądając się nerwowo. Dlaczego ufała Silasowi? Nie znała go. Miał pomóc Nathanielowi...

– Proszę, panienko – powiedział cicho. – Tak będzie najlepiej. Różne okropieństwa błakają się wśród cieni, kiedy ludzki świat zapada w sen. Nie

chciałbym, żeby stała ci się krzywda.

Troska i frasunek przemieniły jego twarz w oblicze anioła, kojąc jej lęki. Ktoś tak piękny i pełen smutku nie mógł życzyć jej zła. Ruszyła naprzód jak zahipnotyzowana.

– Jakie okropieństwa? – wyszeptała.

Silas bez wysiłku wziął ją na ręce.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała – wymruczał tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Spojrzała w jego twarz z zachwytem. W górze, ponad czarnymi gałęziami splecionymi jak palce złożonych do modlitwy dłoni, lśnił księżyc. W jego chłodnym blasku Silas wyglądał, jakby sam również był utkany z księżycowego światła. Przeniósł ją pomiędzy pogrążonymi w ciszy drzewami, ponad rowem i z powrotem wzdłuż drogi.

Kiedy dotarli na podwórze zajazdu, chłopiec stajenny odprowadzał właśnie konie Nathaniela. Jeden z nich, ten, który stał najbliżej, położył uszy do tyłu, rozdymając nozdrza. Nocną ciszę przeszyło przenikliwe rzenie.

Spokój w jednej chwili opuścił Elisabeth, jakby zerwano z niej ciężki koc. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Postaw mnie! – zażądała, szamocząc się w ramionach Silasa.

Co się właśnie stało? Próbowwała uciec – tyle wiedziała. Ale czemu jest taka brudna? Nie mogła uciec daleko, zanim Silas ją złapał. Ostatnie, co pamiętała, to że dotarła do drogi, a potem... musiała uderzyć się w głowę podczas przepychanki.

Nathaniel zeskoczył z powozu.

– Mój Boże, ona mnie ugryzła – powiedział do Silasa z niedowierzaniem. – Chyba przebiła zębami skórę.

Elisabeth miała taką nadzieję.

– Należało ci się za picie krwi sierot! – zawołała. Chłopiec stajenny przystanął, gapiąc się na nich.

Nieoczekiwanie Nathaniel wybuchnął śmiechem.

– Ty niemożliwa zmozo – powiedział. – Pewnie sam jestem sobie winien, że uznałem cię za niegroźną. – Potrząsnął dłonią. – Na Pozaświat, jak to piecze. Mam

nadzieję, że nie zaraziłem się żadną chorobą. Silas? Zadbaj, żeby jej pokój miał zamek w drzwiach. Porządny zamek.

Silas uniósł ją w stronę zajazdu. Elisabeth stopniowo przestała się miotać. Faktycznie *był* silniejszy, niż na to wyglądał, a ona musiała oszczędzać siły, które szybko ją opuszczały – szybciej, niż się spodziewała, nawet biorąc pod uwagę pobyt w lochu. Nathaniel spoglądał na nią, ale w ciemności nie była w stanie rozpoznać wyrazu jego twarzy.

Silas postawił ją tuż za progiem. Z ulgą stwierdziła, że w gospodzie panuje duży ruch. Inkaustowe Trakty, pozostające pod opieką Kolegium, były najlepiej utrzymanymi drogami w Austermeer, tłumnie uczęszczanymi przez podróżnych. Światło lamp padało na bielone ściany, na których cienie gości przeciągały się, śmiały i unosiły szklanki. Zaburczało jej w brzuchu, gdy poczuła zapach gotujących się kielbas, tłustych i naładowanych przyprawami. Z głodu zakręciło jej się w głowie.

Służka przeszła obok szybkim krokiem, nawet nie zerkając w ich stronę. Zdawało się, że w całej tętniącej życiem gospodzie nikt nie zauważył Elisabeth, ociekającej wodą z rowu i moczącej dywan, ani stojącego za nią w milczeniu Silasa.

Zanim zdążyła zawołać o pomoc, Silas skierował ją ku schodom.

– Tędy. Nasze pokoje są już gotowe. – Kiedy się potknęła, położył jej dłoń na plecach dla równowagi. – Ostrożnie. Obawiam się, że pan Thorn nie wybaczyłby mi, gdybym pozwolił ci spaść.

Nie mając innego wyboru, ruszyła posłusznie we wskazanym kierunku. Jej głowa zdawała się wypchana watą. Odgłosy tłumu wypełniającego zajazd pulsowały jej w skroniach jak drugie tętno: okrzyki, śmiechy, pobrząkiwanie sztuców. Gdy weszli na piętro, Silas poprowadził ją do drzwi na końcu korytarza. Kiedy je otwierał, zauważyła, że ma na rękach te same białe rękawiczki, które nosił rano. Nie było na nich jednak choćby najmniejszego zabrudzenia, mimo że cały dzień spędził, trzymając cugle.

– Czekał – powiedziała, gdy odwracał się, aby odejść. – Silasie, ja...

Przystanął.

– Tak?

Głowa pękała jej z bólu. Było coś ważnego, o czym zapomniała. Coś, co musiała wiedzieć.

– Jakiego koloru masz oczy? – zapytała.

– Brązowe, panienko – powiedział łagodnie, a ona mu uwierzyła.

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Ból w czaszce natychmiast zelżał. Pokój był mały i ciepły, z ogniem trzaskającym na palenisku i plecionym dywanem, którego barwne wzory boleśnie przypominały jej pikowaną kołdrę, pod którą sypiała w domu. Najpierw sprawdziła okno i przekonała się, że nie da się go otworzyć. Następnie szarpnęła za klamkę drzwi, również bez skutku. Wyczerpawszy chwilowo wszystkie możliwości, zdjęła z siebie sukienkę i przemoczone pończochy, po czym rozłożyła je na gorących kamieniach do wyschnięcia. Pomimo panującego w pokoju ciepła wstrząsnął nią dreszcz.

Kiedy grzała się przy ogniu, próbując zdecydować, co robić dalej, w rogu pomieszczenia zalśnił zielony blask. Zerwała się na nogi, chwyciła leżący na kominku pogrzebacz i cisnęła nim w stronę światła. Odbił się z łoskotem. To nie Nathaniel zmaterializował się w kącie, lecz tylko jej kufer, teraz z nowym wgnieceniem na wieku.

Zapominając o zmęczeniu, podbiegła do skrzyni i otworzyła ją, po czym zaczęła grzebać w środku w poszukiwaniu czegoś użytecznego. Sukienki i pończochy przefrunęły przez pokój. Szczotka do włosów poleciała pod łóżko. Elisabeth dotarła niemal do dna kufra i traciła już nadzieję, gdy zamiast kolejnej warstwy lnu lub bawełny jej palce musnęły skórę.

Cieplą skórę, nasyconą życiem.

Przeszył ją dreszcz podniecenia. Ostrożnie wydobyla przedmiot z głębi kufra. Był to grymuar, niezwykle gruby i ciężki tom w połyskującej, bordowej oprawie. Na jego grzbiecie lśniły pozłacane litery: *Leksykon sztuk czarodziejskich*. Bez wahania przycisnęła nos do kartek i odetchnęła głęboko. Wytarte ze starości krawędzie stron były miękkie jak aksamit i pachniały czymś ciepłym i słodkim – jak deser.

– Skąd się tutaj wziąłeś? – zapytała, pewna teraz, że grymuar był przyjaźnie nastawiony. Te złośliwe miały zwykle zatęchły lub kwaśny zapach. – Jesteś tak samo daleko od domu jak ja.

Kartki *Leksykonu* zaczęły szeptać, jakby próbowały jej odpowiedzieć. Obróciła księgę i znalazła z tyłu okładki numer „I”. Grymuary pierwszej klasy zwykle obejmowały poradniki lub kompendia. Nie potrafiły mówić do ludzi wprost, jak klasy od siódmej wzwyż, ani nawet wydawać z siebie głosu, jak większość grymuarów klasy co najmniej drugiej.

Okładka trąciła ją w rękę. Zdziwiona, puściła księgę, a wtedy spomiędzy stron wysunął się skrawek papieru. Podniosła go, marszcząc brwi.

Elisabeth – brzmiał liścik nabazgrany znajomym, nieporządnym charakterem pisma – *jeśli znalazłaś ten list, to znaczy, że czarownik zakłębem przeniósł twój kufer do powozu, tak jak się spodziewałam. Ukryłam w środku ten grymuar w nadziei, że pomoże ci przygotować się na to, co cię czeka. Nigdy nie zapominaj, że wiedza jest twoją największą bronią. Im więcej wiedzy, tym lepiej, bo można nią przywalić czarownikowi w łeb, żeby dostał wstrząśnienia mózgu. Dlatego właśnie wybrałam taką wielką księgę.*

Napisałabym, żebyś była dzielna, ale nie muszę. I tak jesteś najodważniejszą osobą, jaką znam. Obiecuję, że jeszcze kiedyś się spotkamy.

– K

PS: Nie pytaj, jak udało mi się przemycić grymuar do pokoju. Nie przyłapali mnie, a to najważniejsze.

Oczy *Elisabeth* zapiekły od łez. *Katrien* opisała to tak, jakby chodziło o błąhostkę, ale gdyby odkryto, że ukradła księgę, groziło jej wyrzucenie z biblioteki. Wiele ryzykowała, wynosząc grymuar. Z pewnością wiedziała, jak bardzo ten skrawek domu podniesie *Elisabeth* na duchu.

Wodząc w zamyśleniu palcami po okładce *Leksykonu*, *Elisabeth* zastanawiała się, od czego zaczęłaby *Katrien*. Na pewno z książki mogłaby dowiedzieć się czegoś więcej o Nathanielu, a im lepiej go pozna, tym lepiej będzie przygotowana, aby się przed nim bronić.

Uniosła grymuar.

– Czy mógłbyś, proszę, pokazać mi informacje o magistrach? – zapytała. Rozsądnie było zawsze odnosić się do książek uprzejmie, bez względu na to, czy słyszały, co się do nich mówi.

Leksykon otwarł się w jej dłoniach, a jego karty rozpalil złoty blask, zalewając jej twarz światłem. Strony uniosły się, jakby poruszone podmuchem wiatru.

Przewracały się coraz szybciej i szybciej, aż dotarły mniej więcej do połowy tomu. Wtedy zatrzymały się i wygładziły z wdziękiem, a czerwona, aksamitna wstążka wsunęła się między kartki, zaznaczając odpowiednie miejsce. Blask przeszedł w słaby połysk, jak płomień świecy odbity w wypolerowanym brązie.

„Rody magisterialne królestwa Austermeer” – głosił nagłówek na szczycie strony. Poniżej zaś widniał następujący tekst:

„Spośród wszystkich czarodziejskich rodów najpotężniejsze są te wywodzące się od wielkich czarowników, którym król Alfred nadał tytuł magistra podczas Złotego Wieku Czarodziejstwa, jako nagrodę za cudowne czyny dokonane w służbie korony. To właśnie ci protoplaści założyli w początkach XVI wieku Magisterium. Organizacja owa, pierwotnie będąca prywatnym towarzystwem okultystycznym, w późniejszych latach uległa przekształceniu w radę zarządzającą, spośród której co trzynastacie lat wybierany jest kanclerz magii...”.

Elisabeth pominęła fragment tekstu, pobieżnie zerkając na akapity, aż dostrzegła znajome nazwisko.

„Ród Ashcroftów, wyniesiony na zaszczytną pozycję przez Corneliusa Ashcrofta, zwanego Mądrym, cieszy się uznaniem za swój udział w licznych pracach publicznych, które ukształtowały krajobraz dzisiejszego Austermeer. Cornelius Ashcroft stworzył w 1523 roku Inkaustowe Trakty i przetransportował tysiące ton wapienia na budowę Wielkich Bibliotek, zaś jego następcą, Cornelius II, w jeden dzień wznosił słynny Most Świętych nad wodami Zmierzchnicy w Brassbridge.

Ród Thornów jest natomiast znany z najmroczniejszej spośród sztuk magicznych, nekromancji, za pomocą której jego założyciel, Baltasar Thorn, odparł founderlandzką inwazję z 1510 roku, zbierając armię umarłych, aby walczyła dla króla Alfreda. Choć od czasu reform z 1672 roku nekromancję klasyfikuje się jako sztukę zakazaną, obowiązują wyjątki zezwalające na posłużenie się nią podczas wojny. Uznaje się, że to potędze rodu Thornów królestwo zawdzięcza swą nadal trwającą niepodległość od państw ościennych, które nie wtargnęły na ziemię Austermeer ani razu od czasów Wojny Kości”.

Przerwała w tym miejscu, czując, że przechodzą ją ciarki. Opowieści o Wojnie Kości w dzieciństwie przyprawiały ją o koszmary. Wydawało się niemożliwe, że wszystkie te straszliwe wydarzenia były dziełem jednego człowieka, przodka Nathaniela. Była w większym niebezpieczeństwie, niż dotąd przypuszczała.

Grymuar poruszył się w jej rękach. Sam z siebie przewrócił strony, wskazując inny fragment tekstu. Ledwo zdążyła przeczytać tytuł rozdziału, „Demoniczni słudzy i ich przywoływanie”, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Zamarła, z całych sił pragnąc udać, że jej tam nie ma. Powoli, bezgłośnie zamknęła grymuar i odłożyła go na bok.

– Wiem, że nie śpisz, panno Scrivener – powiedział Nathaniel przez drzwi. – Słyszałem, jak mówisz do siebie.

Elisabeth przygryzła wargę. Jeśli się nie odezwie, czarownik może wtargnąć do jej pokoju siłą.

– Mówiłam do książki – odpowiedziała.

– Z jakiegoś powodu absolutnie mnie to nie dziwi. W każdym razie przyniosłem kolację i ci ją dam, jeśli obiecasz więcej mnie nie gryźć. Ani niczym we mnie nie rzucać, skoro już o tym mowa.

Zerknęła na pogrzebacz.

– Tak, słyszeliśmy cię aż na parterze. Właścicielka zmusiła mnie, żebym zostawił jej dodatkowy depozyt. Uważa, jak sądzę, że próbujesz powybijać dziury w ścianach. – Urwał na chwilę. – Nie próbujesz, prawda? Bo obawiam się, że nie dasz rady do rana wydrążyć sobie drogi na wolność, choćbyś nie wiem, jak się starała.

Najlepszą odpowiedzią zdawało się wymijające milczenie, ale właśnie w tym momencie zdradziły ją potrzeby ciała: żołądek ścisnął się boleśnie z głodu przy akompaniamencie donośnego burczenia. Ledwie była w stanie myśleć, czując dochodzący zza drzwi zapach kielbasy.

Dlaczego Nathaniel przyniósł jej kolację? Może zatrzał jedzenie. Albo, co bardziej prawdopodobne, próbował w niej wywołać fałszywe poczucie bezpieczeństwa, zanim dotrą w jakieś ustronne miejsce, gdzie łatwiej będzie mu ją zabić i pozbyć się ciała. Nie miało sensu mordowanie jej w gospodzie, w otoczeniu potencjalnych świadków. Sam praktycznie przyznał to wcześniej w powozie.

Lepiej przyjąć jedzenie i się posilić, niż głodować i osłabiać się przed walką.

– Chwileczkę – powiedziała, przemykając po cichu w stronę drzwi. Ostrożnie nacisnęła klamkę. Były otwarte. Szarpnęła za nie w nagłym przypiływie odwagi, tylko po to, by zaraz z powrotem zatrzasnąć je Nathanielowi przed twarzą. Zbyt późno przypomniała sobie, że rozebrała się do samej halki.

– Nie wyglądam przyzwoicie – wyjaśniła, osłaniając piersi rękami.

– Nic nie szkodzi – odparł. – Mnie też się to często zdarza.

Widziany przez ułamek sekundy obraz Nathaniela stojącego w korytarzu wypalił się w jej umyśle. Miał na sobie białą podwłóczkę, niezapiętą pod szyją, z rękawami podwiniętymi do łokci. W świetle kinkietów widać było długą, okropną bliznę ciągnącą się wzdłuż lewego przedramienia. Całodzienna jazda zabarwiła rumieńcem policzki i usta czarownika, nadając mu zaskakująco rozwiązły wygląd, a wrażenie to potęgowały jeszcze zmierzwione włosy i cyniczne, przeszywające spojrzenie. Z wrażenia o mało nie przegapiła tacy, którą trzymał w dłoniach.

Nie, zdecydowanie nie wyglądał przyzwoicie. Ile on z kolei zdążył zobaczyć? Zdawało się, że tym szarym oczom nic nie umyka.

Po chwili westchnął.

– Położę tacę na podłodze. Możesz ją zabrać, kiedy odejdę. I nie próbuj uciekać – Silas pilnuje schodów. Jak tylko skończysz, drzwi magicznie się zamkną.

Dźwięk jego głosu zastąpiło pobrzękiwanie sztućców i naczyń. Zaczekała, aż usłyszy oddalające się kroki, po czym znów uchyliła drzwi. Przez szparę przyjrzała się tacy. Leżało na niej ciemne pieczywo i ser nakrapiany ziołami. No i kiełbaski. Nie wyglądało to na pułapkę. Przykucnęła, otwierając drzwi szerzej.

Nathaniel dotarł już prawie do końca korytarza. Obserwując go, na jego prawej dłoni dostrzegła ślad po ugryzieniu. Wyglądał na bolesny i stanowił dowód, że można go było zranić jak zwykłego człowieka. Może i zabił dyrektorkę, ale nie był niezwyciężony. Dopóki Elisabeth żyła, wciąż miała szansę.

Zebrała się na odwagę.

– Nathanielu – powiedziała.

Zwolnił, a potem przystanął. Przekrzywił głowę w oczekiwaniu.

– Prze... – Głos ją zawiódł, więc przełknęła ślinę i spróbowała raz jeszcze. – Przepraszam, że cię ugryzłam.

Odwrócił się. Obrzucił ją spojrzeniem, patrząc, jak zaciska wyciągnięte dłonie na krawędziach tacy, jakby w obawie, że ktoś mógłby jej ją wyrwać. Na moment zatrzymał się wzrokiem na blednących siniakach, znaczących jej ramiona po walce z malefiktem. Im dłużej się jej przyglądał, tym bardziej ogarniało ją nieprzyjemne wrażenie, że wywraca ją na lewą stronę jak pustą kieszeń.

– Naprawdę ci przykro? – zapytał w końcu.

Skinęła głową nieprzekonująco.

– Widzę, że nie masz zbyt wiele wprawy w kłamaniu – stwierdził, wciąż bacznie ją obserwując. – Zupełnie ci nie wychodzi. Zresztą nawet gdyby szło ci lepiej, ta taktyka by na mnie nie zadziałała.

– Jaka taktyka?

– Udawanie potulnej i posłusznej w nadziei, że to osłabi moją czujność i będziesz mogła znów spróbować ucieczki. Dowiodłaś już, że jesteś czynnikiem chaosu. Tak łatwo o tym nie zapomnę. Coś jeszcze, zanim sobie pójdę?

Elisabeth poczuła gorący rumieniec wypływający jej na policzki. Zacisnęła mocniej palce na krawędziach tacy. Głupotą było wyobrażać sobie, że zdoła wywieść go w pole. Ale jeśli był skłonny odpowiadać na pytania, mogła przynajmniej skorzystać z okazji i dowiedzieć się więcej.

– Ile masz lat? – zapytała.

– Osiemnaście.

Aż usiadła ze zdziwienia.

– Naprawdę?

– Nie składałem w ofierze dziewic za te doskonałe kości policzkowe, jeśli o to ci chodzi. Dziewice, generalnie rzecz biorąc, mają o wiele mniej magicznych właściwości, niż się na ogół uważa.

Elisabeth starała się nie okazać zbyt wielkiej ulgi na tę wiadomość.

– Po prostu jesteś młody jak na magistra – wyjaśniła.

Jego twarz na chwilę stała się nieprzenikniona, a potem wypłynął na nią uśmiech, od którego Elisabeth przeszły ciarki po plecach.

– Wytlumaczenie jest proste. Każdy, kto stał między mną a tym tytułem, już nie żyje. Czy to zaspokaja twoją ciekawość, panno Scrivener?

Nagle zdała sobie sprawę, że owszem. Nie chciała wiedzieć, co mogło przywołać na twarz chłopaka taki wyraz, jakby jego oczy były wykute z lodu, a serce obróciło się w kamień. Nie chciała już dłużej spoglądać w twarz osoby, która z zimną krwią zamordowała dyrektorkę. Spuszczając wzrok, skinęła głową.

Nathaniel miał już odejść, ale się zatrzymał.

– Zanim sobie pójdę, czy mogę w zamian też o coś zapytać?

Wpatrzona w kolację, czekała na jego pytanie.

– Dlaczego złapałaś mnie za włosy wtedy, w Summershall? Wiem, że nie zrobiłaś tego przypadkiem, ale za żadne skarby nie mogę znaleźć racjonalnego wytłumaczenia.

Spadł jej kamień z serca. Spodziewała się, że zapyta o coś okropnego. Przez głowę przemknęła jej odległa myśl:

„Czyli jednak pamięta mnie z czytelní”.

– Sprawdziłam, czy masz spiczaste uszy – powiedziała.

Przez chwilę milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Rozumiem – stwierdził w końcu z powagą. – Dobrej nocy, panno Scrivener. – Skręcił za róg.

Nie tracąc czasu, Elisabeth wciągnęła tacę do pokoju. Była tak głodna, że usiadła do kolacji na podłodze, chwytając jedzenie rękami. Pomiedzy kolejnymi kęsami ledwie dosłyszała, że gdzieś w gospodzie ktoś zanosi się śmiechem.



KRAJOBRAZY AUSTERMEER PRZEWIJAŁY się za oknami powozu. Mijali farmy, pofałdowane łąki pełne polnych kwiatów i porośnięte lasami wzgórza muśnięte złotymi barwami jesieni. Mgła zbierała się w nieckach pomiędzy dolinami, gdzieś długimi wstęgami przecinając drogę. Kiedy popołudniowe cienie stały się gęstsze, powóz ze stukotem wjechał do Czarnoboru, wielkiego lasu przecinającego królestwo jak ostrze noża. Dookoła zrobiło się ciemno i wilgotno. Tu i ówdzie z poszycia wystawały białe pnie brzoź, jak zjawy unoszące się pośród odzianych w czarne szaty gości na stypie. Spoglądając na opadające spokojnie liście, grube dywany paproci i przemykające od czasu do czasu jelenie, Elisabeth czuła przerażenie spowijające ją jak całun, jakby mgła sączyła się do wnętrza powozu i otaczała ją ze wszystkich stron.

Była pewna, że to tutaj Nathaniel targnie się na jej życie. Dotarłszy do miasta bez niej, będzie mógł twierdzić, że uciekła i zniknęła pomiędzy drzewami. W miejscu takim jak to nikt nie zdołałby odnaleźć ciała dziewczyny. Nikt nawet by nie próbował.

Szansę na ucieczkę zdawały się coraz bardziej nikłe. Zeszłej nocy podjęła kolejną próbę, ale gdy zbiła szybę w oknie pokoju i zeszła na dół po dachu, Silas czekał już na nią w ogrodzie zajazdu. O dziwo nie pamiętała, co stało się potem. Musiało ją zmóc zmęczenie. Później przyśnił się jej niepokojący sen: znów była w sadzie w Summershall i wykopywała spod posągu anioła zapasowy pojemnik z solą. Tym razem jednak posąg ożył i obrzucił ją spojrzeniem jaskrawożółtych oczu.

Coś trąciło jej rękę, wrywając ją z zamyślenia. Marszcząc brwi, oderwała wzrok od lasu i spojrzała na grymuar spoczywający na jej kolanach. Już trzeci raz szturchnął ją okładką, jak pies domagający się uwagi.

– O co chodzi? – zapytała, a *Leksykon* szturchnął ją raz jeszcze, z większym naciskiem, aż poluzowała chwyt, pozwalając mu otworzyć się z ochoczym trzepotem kartek.

Otworzył się na tym samym fragmencie, co zeszłej nocy: „Demoniczni słudzy i ich przywoływanie”. Elisabeth zadrżała. Przez głowę przewinęły się jej ilustracje z książek: rysunki przedstawiające pentagramy, krwawiące dziewczęta oraz rogate demony o długich pyskach i ogonach pożerające wnętrzności jak pęta kiełbasy. Jednak *Leksykon* z jakiegoś powodu chciał, żeby to przeczytała. Zebrała się w sobie i pochyliła się nad stronicami.

Nawet wśród społeczności czarowników stosunkowo niewiele wiadomo na temat demonów – głosił tekst pod nagłówkiem – po części ze względu na niebezpieczeństwo, jakie niesie ze sobą rozmowa z nimi, są one bowiem znane ze swej fałszywości i nie przepuszczą okazji, aby zdradzić swoich panów. Demonowi, z którym zawarto układ, opłaca się wielce, aby jego pan zszedł z tego świata; może wtedy zawrzeć kolejny układ z nowym panem, zwiększając tym samym ilość ludzkiego życia, które otrzyma jako zapłatę.

Demony zamieszkują krainę zwaną Pozaświatem, plan rzeczywistości sąsiadujący z naszym, będący źródłem wszelkiej energii magicznej. Jedynie za pomocą połączenia nawiązanego poprzez układ z demonem ludzie są zdolni czerpać z energii Pozaświata. Istnienie czarodziejstwa jest więc całkowicie zależne od przyzywania demonów i zaprzęgania ich do służby – niefortunne, ale konieczne zło. Zarówno błogostawieństwem, jak i klątwą jest fakt, że demony ponad wszystko pożądają życia śmiertelników, w związku z czym chętnie układają się z ludźmi...

Czy to mógł być słaby punkt Nathaniela? Na próżno usiłowała skupić się na tej myśli. Mąciło jej się w głowie, jakby spędziła nad księgą kilka godzin, a nie kilka sekund. Grymuar ponownie trącił ją w rękę i zdała sobie sprawę, że siedziała wpatrzona gdzieś przed siebie. Z determinacją przetarła oczy i czytała dalej.

Pozaświat obfituje w hordy pomniejszych demonów: impów, biesów, goblinów i tym podobnych, które nietrudno jest przywołać; na takich sługach nie można jednak polegać, gdyż inteligencją niewiele przewyższają dzikie zwierzęta. Reformy zdelegalizowały przyzywanie pomniejszych demonów jako stanowiące domenę przestępców i dyletantów. Prawdziwi czarownicy korzystają z usług jedynie szlachetnie urodzonych demonów, które, choć niebezpieczne, mogą zostać podporządkowane warunkom przywołania, a zatem zmuszone do słuchania rozkazów wydawanych im przez ich panów.

– Ciekawe, gdzie podziewa się demon Nathaniela? – wymruczała Elisabeth. Wydawało się dziwne, że podróżuje bez niego. Na moment ogarnęło ją uczucie, jakby była o włos od jakiegoś odkrycia, ale olśnienie zaraz ulotniło się z jej głowy jak piasek przesypujący się przez palce, pozostawiając po sobie tylko ciche dzwonięcie w uszach.

Istnieje więcej domysłów na temat natury demonów i Pozaświata – przeczytała na kolejnej stronie Leksykonu – jednak pozostałe informacje są na ogół niespójne, jeśli nie całkowicie zmyślane, i nie uchodzą za wartościowe w oczach dzisiejszej nauki. Najbardziej znanym przykładem jest tu Codex daemonicus Aldousa Prendergasta, napisany w 1513 roku, dawniej ceniony, dziś uznawany jedynie za bełkot szaleńca. Prendergast został nazwany obłąkanym przez swego własnego przyjaciela, Corneliusa Mądrego, z powodu swoich twierdzeń, jakoby odwiedził Pozaświat i odkrył straszliwy sekret, który ukrył w swoim manuskrypcie pod postacią szyfru...

– Panno Scrivener?

Elisabeth wzdrygnęła się i zatrzasnęła grymuar. Tak bardzo pochłonęła ją lektura, że nie zauważyła, kiedy powóz stanął.

– Zatrzymamy się tutaj na noc – ciągnął Nathaniel, otwierając szerzej drzwi. – Lepiej nie podróżować przez ten las po zmroku.

– Patrzył, jak odkłada *Leksykon* na bok, ale nie skomentował w żaden sposób jego obecności.

Gdy Silas pomógł jej wyjść z powozu, zeszytniała z napięcia. Zboczyli z drogi na leśną polanę. W górze migotały gwiazdy, a wokół nich drzewa rosły zbite w ciemną gęstwinę, patrząc z góry i owiewając ich oddechem z mgły. Nigdzie w pobliżu nie było widać żadnych oznak cywilizacji, nawet zajazdu.

To tutaj. Na pewno. Zacisnęła dłonie w pięści, kiedy Nathaniel odszedł kawałek, rozglądając się po ziemi, jakby czegoś szukał. Miejsca, żeby zakopać zwłoki? Zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Silas stoi tuż za nią. Choć wzrok miał uprzejmie opuszczony, czuła, że bacznie ją obserwuje.

– W Czarnoborze nie ma żadnych zabudowań – powiedział, jakby czytał jej w myślach. – Mchowi ludzie nie lubią intruzów na swoim terytorium. Zostało ich już co prawda niewiele, ale jeśli zechcą, wciąż mogą stanowić zagrożenie.

Elisabeth zaparło dech w piersi. Czytała opowieści o mchowych ludziach i zawsze miała nadzieję zobaczyć jakiegoś na własne oczy, ale mistrz Hargrove zapewniał ją, że duchy lasu dawno już wymarły – jeśli w ogóle kiedykolwiek istniały.

– Bez obaw – wtrącił się Nathaniel. – Jeśli tylko będziemy uważać, żeby nie wyrządzić szkód przy rozbijaniu obozowiska, i nie będziemy się zapuszczać między drzewa, zostawią nas w spokoju.

Umilkł, spoglądając w dół, po czym przyklęknął i położył dłoń na ziemi. Zobaczyła w ciemności, jak jego wargi się poruszają, i poczuła w powietrzu magiczne wyładowanie. Zakłęcie, które nastąpiło potem, było zupełnie inne, niż się spodziewała. Szmaragdowa poświata rozwiała się, odsłaniając kształt dwóch namiotów, w których zaraz pojawiły się śpiwory, a po bokach rozwinęły się płachty pięknego, zielonego jedwabiu. Nathaniel wstał i przyjrzał się swojemu dziełu, a następnie wskazał dalej położony namiot.

– Ten jest twój.

Zesztywniała z zaskoczenia.

– Dajesz mi osobny namiot?

Rozejrzał się, unosząc brwi. Kosmyk przetykanych srebrem włosów opadł mu na czoło.

– Czyżbyś wolała dzielić namiot ze mną? Nie spodziewałem się tego po tobie, Scrivener. Wiem co prawda, że u niektórych gatunków wzajemne gryzienie służy za wstęp do rytuałów godowych...

Rumieniec oblał jej policzki.

– Nie to miałam na myśli.

Przyglądał się jej przez chwilę, aż w końcu spoważniał.

– Tak, daję ci osobny namiot. Pamiętaj tylko, co ci mówiłem o uciekaniu. Silas będzie dziś w nocy stał na straży, a zapewniam cię, że jest przeszkodą o wiele trudniejszą do pokonania niż zamknięte drzwi.

Po co dawał jej namiot, skoro i tak zamierzał ją zabić? To musiał być podstęp. Wczołgała się do środka, nie zasnęła jednak, tylko czujnie nasłuchiwała. Nie zdjęła nawet butów. Mijały godziny, ale zza płóciennych ścian namiotu wciąż dobiegał trzask ogniska i ściszone głosy Nathaniel i Silasa, pogrążonych w rozmowie. Choć nie mogła dosłyszeć słów, ton ich konwersacji przywodził na myśl raczej dwóch

starych przyjaciół niż służę i jego pana. Od czasu do czasu Nathaniel mówił coś, na co Silas reagował cichym, łagodnym śmiechem.

W końcu głosy umilkły. Zaczekała jeszcze około godziny, na tyle długo, że blask płomieni na płótnie przeszedł w stłumioną, czerwoną poświatę żarzących się drzew. Wtedy, nie mogąc dłużej znieść napięcia, wyczołgała się ze śpiwora i wystawiła głowę przez poły namiotu. Powietrze pachniało sosną i dymem z ogniska, a chór świerszczy wypełniał noc srebrzystą pieśnią. Silasa nigdzie nie było widać. Pochylona, zrobiła krok na zewnątrz – i zaraz przystanąła.

– Wybierasz się na przechadzkę, Scrivener?

Nathaniel wciąż nie spał. Siedział na przewróconym pniu na skraju lasu, opierając brodę na złożonych dłoniach, wpatrzony w drzewa. Żar tłący się za jego plecami pozostawiał jego twarz skrytą w cieniu. Nie odwrócił się, ale wiedziała, że rzuciłby zaklęcie, gdyby tylko spróbowała ucieczki.

Miała wybór. Mogła uciekać przed swoim losem albo się z nim zmierzyć. Przez chwilę stała nieruchomo, po czym ruszyła przez kępy polnych kwiatów, czując się dziwnie, jakby uwięziona we śnie.

– Czy ty w ogóle nie sypiasz? – zapytała, podchodząc bliżej.

– Bardzo niewiele – odparł. – Ale to moja osobista cecha, a nie właściwość wszystkich czarowników. – Mówiąc, nie odrywał wzroku od drzew. Powiodła oczami za jego spojrzeniem i zamarła.

Jakiś kształt poruszał się pośród paproci i bladych, chudych brzoź, widoczny w świetle księżyca. Duch lasu. Pochylony, zbierał coś z ziemi. Zasłona mchu jak włosy opadała z jego głowy, a czoło wieńczyło poroże. Jego skóra była biała jak kreda i popękana jak brzoźowa kora, zaś długie, powykrzywiane ramiona zwieszały się do kolan, zakończone sękatymi, podobnymi do gałązek szponami. Dreszcz przeszedł Elisabeth po plecach. Powoli zrobiła krok naprzód i opadła na przeciwny kraniec pnia.

Nathaniel obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

– Nie boisz się go – zauważył. Zabrzmiało to niemal jak pytanie.

Pokręciła głową, nie mogąc oderwać wzroku od ściany lasu.

– Zawsze chciałam zobaczyć mchowych ludzi. Wiedziałam, że istnieją naprawdę, chociaż wszyscy wokół twierdzili inaczej.

Blask ognia padający na Nathaniela od tyłu zaznaczał krawędzie jego szczęki i kości policzkowych, ale nie docierał do oczu.

– Większość ludzi z czasem wyrasta z bajek – powiedział. – Dlaczego ty nie straciłaś wiary, inaczej niż cała reszta?

Nie była pewna, jak odpowiedzieć. Jego pytanie wydało jej się dość bezsensowne – a jeśli miało jakiś sens, to nie chciała go rozumieć.

– Po co żyć, jeśli się w nic nie wierzy? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Obrzucił ją długim spojrzeniem, z nieodgadnionym wyrazem na częściowo skrytej w mroku twarzy. Zastanawiała się, dlaczego tak długo siedział tu sam, obserwując ducha mchu.

Jakiś ruch przyciągnął jej uwagę. Podczas gdy rozmawiali, duch uniósł coś małego – żołądz – aby przyjrzeć mu się w świetle księżyca. To je właśnie zbierał i z pewnością znalazł ich wiele, ale wyglądało na to, że w tym jednym żołądzu jest coś wyjątkowego. Sękatymi szponami odgarnął na bok poszycie z liści i wygrzebał w gliniastej ziemi dołek. Zakopał w nim żołądz i z powrotem nakrył liśćmi. W tej samej chwili pomiędzy drzewami rozeszło się westchnienie, powiew wiatru dobiegający z głębi lasu, który omiótł Elisabeth, rozwiewając jej włosy.

Według opowieści mchowi ludzie opiekowali się lasem: troszczyli się o drzewa i zwierzyne, czuwając nad nimi od narodzin do śmierci. Posiadali swoje własne magiczne moce.

– Dlaczego zostało ich tak niewielu? – zapytała, zdjeta niewytłumaczalnym smutkiem.

Przez chwilę sądziła, że nie doczeka się odpowiedzi, potem jednak Nathaniel powiedział:

– Słyszałaś o moim przodku, Baltasarze Thornie?

Skinęła głową, mając przy tym nadzieję, że w blasku ogniska nie było widać, że dostała gęsiej skórki. Drwa pękały z trzaskiem.

– W początkach szesnastego wieku Czarnobór pokrywał połowę Austermeer. To była dzika kraina, którą rządził w równym stopniu las, co ludzie.

„Ale teraz już tak nie jest” – dokończyła w myślach.

– Co takiego zrobił?

– Chodziło o nekromantyczny rytuał, który wykonał podczas Wojny Kości. Żeby obdarzyć coś życiem, choćby złudnym, najpierw trzeba życie odebrać, wymienić je jak walutę. Oczywiście podniesienie z grobu tysięcy żołnierzy było bardzo kosztowne. To życie pochodziło od samej krainy. Jego magia sprawiła, że w jedną noc uschły i obumarły dwie trzecie Czarnoboru. Mchowi ludzie są mocno związani z ziemią – ci, którzy przetrwali, zostali dotknięci zarazą, jak chore drzewa. – Nathaniel umilkł. Po chwili dodał sucho: – Baltasar, rzecz jasna, otrzymał w nagrodę tytuł.

Elisabeth wbiła paznokcie w drewno, miękkie i gąbczaste od rozkładu. Teraz, kiedy przyjrzała się bliżej leśnemu duchowi, widziała, że jedno z jego kolan było opuchnięte i zdeformowane, jak narośl na pniu dębu.

– Musisz być z niego dumny – powiedziała. – To dzięki niemu jesteś magistrem.

– Uważasz, że to właśnie robię? – W jego głosie dało się słyszeć rozbawienie. – Rozmyślałam z zadowoleniem o dokonaniach mojego przodka?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Nikt nie powinien czerpać przyjemności z czegoś takiego.

„Nawet ktoś taki jak ty”.

Być może jego zasób drwin nie był tak niewyczerpany, jak sądziła. Przez dłuższą chwilę spoglądał tylko w głąb lasu, po czym wstał.

– Późno już. – Wskazał ducha skinieniem głowy. – Masz szczęście, że go zobaczyłaś. Za sto lat nie będzie już po nich śladu.

Uniósł palce do ust. Zanim miała szansę go powstrzymać, ciszę rozdarł ostrzy gwizd.

Duch obrócił się gwałtownie w stronę dźwięku, jak spłoszony jeleń. W mroku ujrziała parę niebieskozielonych oczu, lśniących jak błędne ogniki. Uschnięte wargi się rozchyliły, odsłaniając ostre, chropowate, brązowe zęby, po czym istota zniknęła, pozostawiając po sobie tylko kępę drżących paproci.

– Nie wiesz tego na pewno – odparła Elisabeth, jednak w jej głosie zabrzmiało wahanie. Spoglądając na puste wzgórze, po którym przed chwilą stąpała magia, która teraz zniknęła, niemal była w stanie uwierzyć, że miał rację.

– Nie odpowiedziałem na twoje pytanie. – Ruszył w stronę swojego namiotu. – Jeśli się w nic nie wierzy – rzucił przez ramię – ma się o wiele mniej do stracenia.

Kiedy następnego wieczora dotarli do Brassbridge, Elisabeth wciąż żyła i stała przed niepokojącą możliwością, że myliła się co do Nathaniela Thorna. Pozostawiona sama sama z dręczącymi ją pytaniami, spoglądała przez okno na miasto skąpane w blasku zachodzącego słońca, przemieniającego rzekę we wstęgę płynnego złota.

Nawet z oddali widok stolicy zaparł jej dech w piersiach. Brassbridge rozciągało się wzdłuż brzegu krętej rzeki, niewyobrażalnie wielkie. Spiczaste, pokryte dachówką dachy miasta tworzyły niekończący się labirynt, a strużki dymu unosiły się z kominów w stronę czerwieniejącego nieba. Nad nimi górowały posępne gmachy katedr i akademii o wieżach zdobionych figurami z brązu, jarzącymi się jak pochodnie na tle ciemniejących dachów, tym jaśniej, im głębsze stawały się cienie. Próbowała odnaleźć w gęstwinie wież siedzibę Kolegium i Bibliotekę Królewską, ale nie potrafiła ich odróżnić od pozostałych wielkich budowli.

Niebawem kopyta koni uderzyły o bruk mostu i pod nimi przesunęły się wody rzeki, przynosząc ze sobą odór ryb oraz glonów. Za oknami mignęły zakapturzone sylwetki posągów, wznoszące się złowrogo na tle ciemnych chmur.

Słońce zachodziło za pochylonymi głowami rzeźb, a myślami Elisabeth targały coraz mocniejsze wątpliwości. Zeszłej nocy w Czarnoborze Nathaniel nie próbował jej zabić. Nawet jej nie tknął. Gdyby zamierzał ją skrzywdzić, niemal na pewno do tej pory już by to zrobił. Ale jeśli to nie on był czarownikiem, który dokonał sabotażu w bibliotece, to oznaczało, że...

Drzwi powozu otwarły się, wpuszczając do środka uliczny gwar. Nathaniel wgramolił się do środka w wirze szmaragdowego jedwabiu, posłał Elisabeth szeroki uśmiech i zamknął drzwi za sobą, zajmując miejsce w przeciwległym rogu.

– Lepiej, żebym się nie pokazywał – wyjaśnił. – Nie chciałbym za bardzo podniecić tłumów. Sama rozumiesz, ludziom całkiem rozum odejmuje w obecności sław, a wołałbym, żeby nie przypuścili szturm na powóz. Mam już serdecznie dosyć propozycji matrymonialnych.

Elisabeth spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie boją się ciebie?

Nathaniel pochylił się w stronę okna, przeglądając się w szybie, aby poprawić zmierzwione włosy.

– To może być dla ciebie wstrząs, ale większość ludzi nie uważa, że czarownicy są źli. – Wskazał gestem miasto. – Witaj we współczesnym świecie, Scrivener.

Elisabeth wyjrzała na zewnątrz. Latarnie z kutego żelaza rzucały pomarańczową poświatę na chodnik, którym za powozem Nathaniela biegła grupka umorusanych sadzą dzieci, krzycząc i pokazując palcami. Kobieta handlująca pieczywem próbowała ich pozdrowić, niemal przewracając z podekscytowania tacę z wypiekami. Wszyscy oni najwyraźniej rozpoznali powóz po jego dekoracyjnym wzorze z cierni i szmaragdowych zasłonach. Rozpoznali go, a mimo to nie czuli strachu.

Prawda, jakkolwiek zdumiewająca, stopniowo do niej docierała.

– To wszystko, co mówiłeś o picciu krwi i zamienianiu ludzi w salamandry...

Nathaniel oparł się łokciem o drzwi i zasłonił usta dłonią. W jego oczach przeblyskiwało tłumione rozbawienie.

– Kpiłeś sobie ze mnie! – zawołała, wstrząśnięta.

– Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że rzeczywiście uwierzysz, że pijam krew sierot. Wszyscy bibliotekarze są tacy jak ty, czy tylko ci zdziczali, wychowani przez wszy książkowe?

Elisabeth chciała zaprotestować, ale podejrzewała, że mógł mieć rację. Prawie całą swoją wiedzę czerpała albo z nauk mistrza Hargrove'a, który od ponad półwiecza nie odbył podróży dalszej niż spacer do wychodka, albo z książek, nieraz przestarzałych o setki lat. Resztę stanowiły opowieści starszych bibliotekarzy, pełne szczegółów tak przerażających, że zachowywała się jak na dobrą nowicjuszkę przystało i zrezygnowała całkowicie z wypytywania o czarowników. Zastanawiała się teraz, ile z tych opowieści było zmyślonych. Zazgrzytała zębami, czując się oszukana.

– Dlaczego przyjechałeś po mnie do Summershall? – zapytała, nagle biorąc Nathaniela pod ostrzał. – Dlaczego ty, a nie ktoś inny?

Jej zaciekły ton go zaskoczył. Uśmiech zniknął mu z twarzy, a oczy straciły wesoły blask, stając się zimnie i szare jak wygasłe węgle.

– Kiedy raport dotarł do Magisterium, rozpoznałem twoje imię i nazwisko.

– Jak? Nigdy ci się nie przedstawiłam.

– Dyrektorka mi je zdradziła. – Widząc wyraz jej twarzy, pospieszył z wyjaśnieniem: – Chciałem wiedzieć, jak nazywa się dziewczyna, która o mało nie

zamordowała mnie półką na książki. Zdawało się to rozsądne, na wypadek, gdyby nasze drogi jeszcze kiedyś się skrzyżowały.

– Czy dyrektorka powiedziała o mnie coś jeszcze?

– Nie. – Po chwili dodał: – Przykro mi.

Elisabeth poczuła gułę w gardle. Ponownie zwróciła się w stronę okna. Patrzyła, jak ciemniejące niebo przybiera barwę indygo, a w żołądku zbierało się jej mdlące uczucie rozpaczy. Wkrótce podróż dobiegnie końca, a ona nie wiedziała co – lub kto – czeka na nią u kresu drogi. Nie było już żadnej twarzy, którą mogłaby przypisać zabójcy dyrektorki.

W ciemności ulice miasta wywarły na niej imponujące pierwsze wrażenie. Budynki niemal tak wysokie, jak jej Wielka Biblioteka, wynurzały się z mgły; zza okiennych szyb biło drżące światło świec. Nigdy nie widziała tak wielu budowli w jednym miejscu, ani choćby ułamka z widzianego tu tłumu ludzi. Kiedy ich powóz kluczył zatłoczonymi ulicami, dookoła kłębili się przechodnie: mężczyźni z laskami w rękach i cylindrami na głowach oraz kobiety ubrane w obszywane koronkami suknie z wysokim kołnierzem. Niosąc paczki z zakupami, szybkim krokiem przechodzili przez ulice i wsiadali bądź wysiadali z dorożek w pośpiechu obcym dla Elisabeth, nawykłej do sennego trybu wiejskiego życia. Wszystko wokół skąpane było w mętym blasku lamp, które, jak poinformował ją Nathaniel, nie były napędzane magią, jak dawniej sądziła; był to wynalazek zwany oświetleniem gazowym.

Wreszcie powóz zatrzymał się w wąskiej, ponurej bocznej uliczce. Elisabeth w odrętwieniu wyszła za Nathanielem na zewnątrz. Jej buty natychmiast zniknęły we mgle kłębiącej się wokół rąbka jej sukienki. Najbliższa latarnia zgasła, pograżając ulicę w ciemności. Oprócz nich w zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

– To pensjonat, w którym Magisterium wynajęło ci pokój – powiedział Nathaniel. – Możliwe, że zobaczymy się przelotnie na twoim jutrzejszym przesłuchaniu, ale poza tym już więcej się nie spotkamy.

Elisabeth w milczeniu podniosła wzrok na pensjonat. Dawniej był to dostojny budynek z cegły, teraz jego niegościnne ściany pokrywał czarny nalot z sadzy, a w okna wstawiono metalowe kraty, z których spływały rdzawe zacieki. Objęła się rękami za brzuch, żeby stłumić drżenie.

– Dziwne – ciągnął Nathaniel, raczej do siebie niż do niej. – Ktoś miał tu na nas czekać... ale nieważne, sam mogę odprowadzić cię do drzwi... – Nie patrząc w jej stronę, podał jej ramię.

Elisabeth ledwie to zauważyła, wciąż wpatrzona w budynek. Przypominał jej sierociniec, który wyobrażała sobie jako dziecko – ponure miejsce, gdzie żyłaby odrzucona, niechciana i zapomniana.

– Zostawisz mnie tutaj? – Słowa wypłynęły z jej ust cichym, zdławionym głosem.

Nathaniel się zawahał. Przez moment jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. W ciemności wyglądał młodo i wydawał się bardzo blady. W końcu ruszył naprzód, gestem dłoni zachęcając Elisabeth, żeby podążyła za nim.

– Nie mów mi, że uległaś mojemu urokowi – rzucił przez ramię. – Zapewniam cię, że z namiętnego romansu między nami nie wynikłoby nic dobrego. Ty, wiejska bibliotekarka z małego miasteczka, ja, najbardziej pożądany kawaler w królestwie – nie pryčaj tak, Scrivener. To prawda – możesz zapytać kogokolwiek w mieście. Cieszę się sporą popularnością.

Elisabeth wcale nie prychnęła. Dźwięk, który wyrwał się z jej ust, był stłumionym okrzykiem przestachu. W pobliskiej uliczce, za zgasłą latarnią, stała grupka obserwujących ich bacznie postaci o potężnych sylwetkach i lśniących oczach, wydychających w noc kłęby pary. Zniknęły, gdy zamrugła, była jednak pewna, że ich sobie nie wyobraziła.

Otworzyła usta, żeby ostrzec Nathaniela, który wyprzedził ją już o kilka kroków. Jednak zanim zdążyła znów wydobyć z siebie głos, ktoś chwycił ją mocno w tali i pociągnął w stronę uliczki. Czyjaś ciężka dłoń zakryła jej usta, a na gardle poczuła zimny czubek noża.



DŁOŃ PRZYCIŚNIĘTA DO ust Elisabeth cuchnęła potem. Kiedy spróbowała ją ugryźć, nie mogła znaleźć oparcia dla zębów na śliskiej skórze. Poczła w ustach jej smak: gorzki i metaliczny, jak brudne monety. Miotła się panicznie w jego uścisku, na co on mocniej przycisnął jej ostrze do gardła. Znieruchomiła, rozzłoszczona własną bezsilnością.

Szurając stopami, pociągnął ją o krok w tył. Następnie jeszcze jeden.

Nie wiedziała, co czeka na nią w uliczce, ale podejrzewała, że było to coś znacznie gorszego niż ten mężczyzna i jego nóż.

Nathaniel zatrzymał się z jedną nogą na pierwszym stopniu schodków prowadzących do drzwi pensjonatu.

– Scriv... – zaczął, odwracając się, i zaraz urwał, spokojnie przyglądając się scenie przed sobą. – Wielkie nieba – powiedział. – A cóż tu się wyprawia?

Porywacz musiał rozchylić usta w uśmiechu, bo poczuła na policzku jego cuchnący oddech.

– Czego chcesz? – naciskał Nathaniel. – Pieniędzy? – Zerknął na nóż, potem na Elisabeth, a potem na trzymającego ją mężczyznę, po czym się skrzywił. – Nie, niech zgadnę. Lek na kurzajki? Przypuszczam, że na twoim miejscu byłbym równie zdesperowany.

Mówił spokojnie, jakby nigdzie mu się nie spieszyło, ale w tym samym czasie dyskretnie pstryknął palcami, skrytymi niemal całkowicie za tkaniną płaszcza. Spod opuszków wystrzeliła pojedyncza zielona iskra; poza tym nic się nie stało.

– Nie zaczarujesz mojego noża. – Elisabeth poczuła wibracje ochryplego głosu mężczyzny na swoich plecach. Wydawał się zadowolony z siebie. – To czyste żelazo. Zatrószyłem się o to.

– Cóż, nie zaszkodziło spróbować. – Nathaniel jakby mimochodem odbiegł wzrokiem w kierunku uliczki, po czym z powrotem spojrzał na nich. – Z innym

rozwiązaniem zawsze jest tyle bałaganu. Krew jest nie do sprania z jedwabiu, i sam już straciłem rachubę, ile razy mój służący musiał usuwać podejrzane plamy z tego płaszcza.

Tuż obok rozległo się ciche, pełne rezygnacji westchnienie. Porywacz się wzdrygnął i obrócił razem z nią w stronę źródła dźwięku, ale nikogo tam nie było – tylko pusta, pogrążona w półmroku ulica, zaśmiecona starymi gazetami.

– Obawiam się, że ja również. – Cichy jak szept głos Silasa rozległ się tuż za ich plecami. Oddech musnął włosy Elisabeth.

Porywacz odwrócił się ponownie, ale i tym razem nikogo nie znalazł. Elisabeth poczuła przez jego koszulę, jak wali mu serce. Ostrze zadrżało w uścisku śliskiej dłoni. Na powierzchnię świadomości dziewczyny, jak zatopiony, widmowy kwiat wynurzający się z głębokiej sadzawki, wypłynął obraz: Silas stojący pośród ciemnego lasu z rękami założonymi za plecami. Ale to chyba nie wydarzyło się naprawdę? Widziała ten obraz we śnie.

– Nie zbliżaj się – ostrzegł mężczyzna. – Jak się ruszysz, poderżnę jej gardło. Mnie tam wszystko jedno, czy będzie żyć, czy zdechnie. I nie jestem tu sam...

– Nigdy mi nie wyjaśniłeś, skąd wzięły się niektóre z tych plam – powiedział Silas.

– Myślę, że lepiej pozostawić to twojej wyobraźni – odparł Nathaniel.

– Gdzie jesteś, do cholery?! – ryknął porywacz, lecz jego ryk zaraz przeszedł we wrzask. Zarówno nóż, jak i dłoń na ustach Elisabeth w jednej chwili opadły i dziewczyna potoczyła się naprzód, ale Nathaniel już tam był i złapał ją, zanim upadła.

Splunęła z obrzydzeniem na ziemię, pragnąc jak najszybciej pozbyć się z ust ohydneho posmaku.

– Jest więcej – wydyszała – więcej ludzi, tam, w uliczce.

– Mówię to z wielką przykrością, bo to dla nas obojga złe wieści – stwierdził Nathaniel – ale to nie są ludzie.

Jakby przyznając mu rację, w ciemności poniósł się głośny warkot. Jakiś cień wynurzył się z wylotu uliczki, wchodząc w blask rzucany przez odległe latarnie. Światło wydobyło z mroku zarys długiego, zmarszczonego groźnie pyska, zbyt dużego, by mógł należeć do psa. Wąskie szpary nozdrzy rozdęły się, wężąc, a przy wydechu buchnęła z nich para. Za pyskiem wyłoniły się rogi, wygięte końcami do

przodu. Mgła opływała czarne łuski, pod którymi napinały się potężne mięśnie. To nie był człowiek – ani też zwierzę.

– Demony – wyszeptała Elisabeth.

– Pomniejsze demony. Biesy. – Nathaniel obejrzał się do tyłu. – Prawo surowo zabrania ich przyzywania, po części dlatego, że zrobią praktycznie wszystko w zamian za... zresztą, nieważne.

– W zamian za co?

Nathaniel się wzdrygnął.

– Za posiłek. Ten czarujący dżentelmen z nożem prawdopodobnie obiecał im, że będą mogły cię zjeść.

Zważywszy na to, co Elisabeth wiedziała o demonach, wiadomość nie była zaskakująca. Bies w całości wynurzył się już z mroku i widać było jego żebra przebijające przez wychudzone boki oraz kręgosłup sterczący z pleców jak knykcie. Przypominał wielkiego, kościstego ogara, którego obdarto ze skóry i obito łuskami.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, z ciemności wyszły dwa kolejne stwory, blokując jej i Nathanielowi drogę prowadzącą obok pensjonatu. Z ich pysków unosiły się mgielki oddechu, a wąskie oczy lśniły czerwienią. Rozległo się rżenie przestraszonych koni, ale biesy nie zwróciły na nie uwagi, wygłodniałym wzrokiem wpatrując się w Elisabeth.

Nathaniel w milczeniu wskazał głową budynek. Podchwyciła jego spojrzenie, dając znak, że zrozumiała. Razem zaczęli wycofywać się w stronę stopni, powoli i ostrożnie, w równym tempie. Podczas gdy stawiali kolejne kroki, Nathaniel wymamrotał zaklęcie. Smuga szmaragdowego światła zwinęła się pomiędzy jego złożonymi dłońmi jak sznur.

– Jest żylasta – swobodnym tonem zapewnił zbliżające się biesy. – I trochę gumowata. Widzicie te wszystkie włosy? Praktycznie nic pod nimi nie ma.

Zza ich pleców dobiegł warkot, który rozszedł się drżeniem po kościach Elisabeth, a w szyję uderzył ją podmuch gorącego, cuchnącego oddechu. Odwrócili się jednocześnie i ujrzeli czwartego biesa kucającego na przedprożu, zagradzającego im drogę do drzwi. Z pyska zwisały mu drżące nitki śliny.

– Warto było spróbować – stwierdził Nathaniel i pociągnął Elisabeth ku sobie, chwytając ją mocno.

Wokół nich świat eksplodował. Deszcz cegieł, drewna i metalu wystrzelił na zewnątrz, wznosząc skłębiony tuman pyłu. Czuła, jak serce Nathaniela wali tuż przy jej własnym, jak napinają się mięśnie jego ramion, kiedy szarpnięciem przyciągał coś z powrotem ku sobie – bicz, sznur utkany ze szmaragdowych płomieni. Zamachnął się znowu, i tym razem widziała, jak bicz uderza w ścianę budynku, która zawaliła się tak szybko, jak gdyby przemieniła się w ciecz i chlusnęła w dół wodospadem kamieni. Z dołu dobiegł pojedynczy, piskliwy krzyk.

Nathaniel wypuścił Elisabeth z uścisku, ale wciąż trzymał ją za nadgarstek i ciągnął za sobą poprzez rumowisko. Nie widziała, gdzie leżą zasypane biesy. Panowała cisza równie gęsta i dusząca, jak unoszący się w powietrzu pył, przerywana czasem stukotem cegły uderzającej o bruk, w miarę jak opadały ostatnie odłamki.

– Musisz wsiąść do powozu – wyjaśnił Nathaniel. W jego głosie brzmiała nerwowa nuta, która w końcu przedarła się przez pozorny spokój. – To nie zatrzyma ich na długo. Co robisz?

Elisabeth wyrwała ramię z jego uścisku, kopnęła na bok kawałek cegły i złapała metalowy pręt, który wypadł spośród gruzów. Ściskając go w rękach, spojrzała na Nathaniela wilkiem. Czarownik otaksował ją wzrokiem, rewidując swoje plany. Wyraz jego twarzy nieco się zmienił.

– No dobrze, ty niewypowiedziana zmoro – stwierdził. – Pomóż mi je odeprzeć.
– Skinął głową w stronę siedzenia woźnicy.

Ona wdrapała się pierwsza. Silasa nigdzie nie było widać. Przytrzymała się barierki dla równowagi, gdy powóz zatrząsł się i chwiejnie potoczył kilka cali naprzód. Koła zazgrzytały niepokojąco o hamulce. Konie mogły w każdej chwili zerwać się do biegu, z powozem czy też bez. Sądząc po ich przesiąkniętej potem sierści, moment ten nie był wcale odległy. Spojrzała na trudną do ogarnięcia plątaninę cugli.

Zamiast zająć miejsce obok niej, Nathaniel się zawahał. Spojrzał przez ramię. Chmura kurzu przesłaniała widok na ulicę z tyłu, ale w jednym miejscu coś się w niej poruszyło.

W tej samej chwili, kiedy to ujrzała, bies wypadł zza zasłony pyłu, warcząc donośnie. Bicz Nathaniela trzasnął, trafiając demona w powietrzu. Zielony

plomień owinał się wokół jego szyi, a lekki ruch nadgarstka odrzucił bestię z powrotem na rumowisko.

Konie zarżały, szamocząc się w uprzęży. Nathaniel odrzucił bicz, szarpnął hamulce i dał susa w stronę powozu, który natychmiast ruszył naprzód. Na jedną przerażającą chwilę zawisł na jego krawędzi, podczas gdy koła podskakiwały na rozrzuconych ceglach, a pojazd trząsał się jak statek miotany przez fale podczas sztormu. Elisabeth wyciągnęła rękę. Nathaniel chwycił jej dłoń, a ona pociągnęła mocno, unosząc go w powietrze. Jeszcze jedno szarpnięcie i opadł na ławkę obok niej. Nie czekając na jego reakcję, odwróciła się tyłem do kierunku jazdy. Nathaniel chwycił lejce i szarpnął. Konie wyrównały bieg.

Kiedy mknęli pomiędzy budynkami, nad rumowiskiem zaczęły się kłębić obłoki pyłu. Z gruzów podniosły się sylwetki, a ich szkarłatne oczy rozbłysły w ciemności. Elisabeth mocniej ścisnęła w dłoniach pręt.

– Myślałam, że nie umiesz powozić! – zawołała, przekrzykując tętent kopyt.

– Nonsens – odkrzyknął Nathaniel. – Szybko się uczę, jeśli tylko mam odpowiednią motywację.

Powóz skręcił za róg z takim rozmachem, że uniosły się jego tylne koła, i wjechał w inną wyludnioną ulicę. Szybko nabierali prędkości, ale biesy już puściły się w pogoń. Jeden za drugim wypadały z ruin pensjonatu, szczerząc kły i strzepując pył z rogów. Elisabeth doliczyła się sześciu i czuła, że ogarnia ją panika.

– Czy to dostatecznie dobra motywacja? – zapytała.

– To zależy. Jak blisko są?

Jeden bies oderwał się od grupy, wyprzedzając pozostałe z zatrważającą prędkością. Zrównał się z tylnymi kołami powozu, pędząc przed siebie jak chart i, przekrzywiając głowę, zmierzył ją spojrzeniem połyskliwych, czerwonych oczu. Zdała sobie sprawę, że wylicza odległość do skoku. W momencie, gdy oderwał się od ziemi, zamachnęła się swoją improwizowaną bronią.

Trafiła go z trzaskiem. Całe jej ciało zadrżało od impetu uderzenia, a krople śliny opryskały jej twarz. Straciwszy równowagę, bies zawisł na skraju powozu tak, jak chwilę wcześniej Nathaniel, rozdrapując pięknie rzeźbione drewno na drzazgi w próbach znalezienia oparcia. Każdy z jego szponów był długi jak ludzki palec, brudny i zakrzywiony. Wystarczyłby mu jeden zamach, żeby rozszarpać ją na

strzępy, a gniewny błysk w jego ślepiach jasno wskazywał, że taki właśnie miał zamiar.

Jednak cios, który mu zadała, wypalił ślad na pokrytym łuskami pysku. Ślina skwierczała z sykiem na trzymanym przez nią pręcie, parując jak woda wlana do gorącego rondla. Nagle ujrzała sytuację w innym świetle. Pręt był zrobiony z żelaza.

Zachęcona tym, znów się zamachnęła i poczuła satysfakcjonujące chrupnięcie. Bies zwiotczał, a jego szpony ześlizgnęły się po drewnie. Uderzył o ziemię, pokoziołkował i w końcu upadł, usiłując się podnieść. Z rannej głowy unosiły się smułki dymu. Pozostałe biesy przeskoczyły nad jego ciałem, nie spuszczając wzroku z powozu.

Elisabeth odwróciła się do Nathaniela ze wciąż parującą bronią w ręku.

– Właśnie tak blisko – powiedziała.

Nathaniel rzucił jej spojrzenie. Potem drugie. Potem trzecie. W końcu z wysiłkiem przeniósł uwagę z powrotem na drogę.

– Daję z siebie wszystko – zapewnił.

Powóz wziął kolejny zakręt. Ktoś krzyknął. Jakiś koń stanął dęba, próbując zerwać się z uwięzi; główki kapusty z przewróconego kosza wysypały się na drogę. Zostawili za sobą puste boczne uliczki. Kiedy gnali ulicą, chwiejąc się na boki, wymijając powozy i furmanki, w świetle gazowych latarni Elisabeth migały przed oczami przestraszone twarze. Przechodnie pospiesznie uciekali im z drogi na chodnik.

Pierwszy bies wypadł za nimi zza rogu. Nie próbował nawet kluczyć pomiędzy pojazdami, lecz parł prosto naprzód, skacząc z wozu na wóz, jakby były kamieniami wystającymi ponad powierzchnię rzeki. Wkoło fruwały bryłki węgla, jabłka i przybory kuchenne, a przypadkowi gapie odskakiwali, osłaniając głowy rękami. Na ulicy panował chaos.

– Stój – zawołała Elisabeth. – Komuś może stać się krzywda!

– Co mam w takim razie zrobić? Wywiesić białą flagę? Grzecznie poprosić biesy, żeby nas nie jadły? – napięte szczęki Nathaniela zdradzały frustrację.

– Użyj magii! – wykrzyknęła, zdumiona, że to ona musi to sugerować.

Przez krótką chwilę wyglądał, jakby miał się zaraz roześmiać.

– Czary wymagają skupienia – odparł zamiast tego. – Koncentracji. Mają swoje ograniczenia. Nie mogę rzucać zaklęciami na lewo i prawo, kiedy...

Skręcił gwałtownie, w ostatnim momencie omijając powóz, który nie dość szybko ustąpił im drogi. Ciągący go kucyk, umykając spod kopyt koni Nathaniela, zderzył się z budką pełną koszy ze śledziami. Bruk zalała fala srebrzystych łusek. Elisabeth uchyliła się, gdy jedna z ryb wystrzeliła spod kół powozu i, wirując w powietrzu, przeleciała nad ich głowami.

– Widziałam, jak ożywiłeś wszystkie rzeźby na dziedzińcu – powiedziała. – Jesteś magistrem. Ci ludzie liczą na ciebie. Stań do walki.

Jednym spojrzeniem dał jej do zrozumienia, że uważa ją za irytującą, nieznośną i prawdopodobnie szaloną, ale kiedy toczyli się z impetem w stronę jakiegoś placu, pociągnął za lejce, obracając powóz. Przytrzymała się mocno, gdy koła podskoczyły na krawężniku. Telepiąc się, powoli wyhamowali na kostce brukowej i stanęli przed wielkimi budynkami z cegły ciągnącymi się wokół placu. Pomiędzy nimi a ulicą stała fontanna.

Jak tylko powóz się zatrzymał, Elisabeth wspięła się z siedzenia woźnicy na płaski, drewniany dach. Stamtąd widziała całą drogę pokonaną przez nich, odkąd wyjechali na główną ulicę – chaotyczny obraz, pełen przewróconych pojazdów, rozszalałych koni i porozrzucanych produktów. Nocny wiatr niósł ze sobą krzyki przemieszane z ostrym rżeniem koni. Bliżej nich, grupka sprzedawców obok fontanny dwoiła się i troiła, pakując swój towar. Przechodnie dojrzeli zbliżający się powóz i zdążyli już opuścić plac; kilku spóźnialskich pospiesznie wchodziło po stopniach pobliskich budynków, skąd prędko byli wciągani do środka. Trzaskały drzwi. Twarze przyciskały się do okien. W powietrzu unosił się zapach pieczonych kasztanów i mimo całej grozy sytuacji Elisabeth zaburczało w brzuchu.

Obiegła wzrokiem chaotyczną scenę dookoła. W pierwszej chwili nie dostrzegła biesów. Zaraz jednak zgarbione, pokryte łuskami plecy przekradły się pomiędzy dwoma porzuconymi wozami, a zza przewróconego pojazdu wzbil się pióropusz pary. Wbiła wzrok w tamto miejsce, aż jej oczom ukazał się bies. Na jego widok serce Elisabeth na moment zamarło. Lewa połowa jego łba była całkiem spalona, a z oka nic nie pozostało. To był bies, którego zepchnęła z powozu.

– Jak trudno je zabić? – zapytała, kiedy Nathaniel dołączył do niej na dachu.

– To zależy, co rozumiesz przez „zabić”. – Wiatr mierzwił mu włosy i rozwiewał płaszcz. – Niczego, co pochodzi z Pozaświata, nie da się zabić w naszym świecie, a jedynie wypędzić z powrotem tam, skąd przyszło; jego duch pozostaje żywy, nawet gdy ciało ulegnie zniszczeniu.

W pełnej napięcia ciszy, która zapadła na placu, prowadzenie rozmowy zdawało się niebezpieczne. Elisabeth zauważyła czyjś zagubiony kapelusz, który wylądował w fontannie, i leżącą w rynsztoku kobietą rękawiczkę. Biesy podchodziły coraz bliżej, krążąc pomiędzy wozami. Rozdzieliły się i zbliżały do nich z sześciu różnych kierunków.

– Ile razy muszę je walnąć, żeby więcej nie wstały? – poprawiła się.

Usta Nathaniela zadrżały.

– Myślę, że sama się połapiesz, Scrivener. Nie brak ci entuzjazmu. A teraz daj mi chwilę. Potrzebuję... piętnastu sekund. Może dwudziestu. – Zamknął oczy.

Wyobrażała sobie, że czary to coś natychmiastowego, jak dobycie miecza. Teraz, widząc, jak twarz Nathaniela zastyga w wyrazie skupienia, po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jak to jest rzucać zaklęcie, i jakiego wymaga to wysiłku – nie fizycznego, lecz umysłowego.

Czarownik wziął wdech i, nie otwierając oczu, zaczął mówić. Enochiańskie słowa posypały się z jego ust, kalecząc powietrze ostrymi krawędziami. Wiatr się wzmógł; chłostał ich podmuchami, porywał liście i strzępy gazet, miotał wokół wodą tryskającą z fontanny. Elisabeth poczuła, jak stają jej włoski na rękach. Nathaniel wciąż miał na twarzy wyraz niezmaconego spokoju.

Czary nie były jak dobycie miecza. Były jak dowodzenie armią. Jak stanie się bogiem.

Niebo nad nimi pociemniało. Czarne chmury zbierały się, napływając ze wszystkich stron i formując nad placem lej wzburzonego wiru. Powietrze stało się ciężkie od wilgoci. Latarnie przygasły, a w głębi chmur rozjarzył się zielonkawy poblask, zatapiając otoczenie w niesamowitym półmroku zwiastującym burzę.

Cokolwiek robił Nathaniel, biesy nie miały zamiaru dawać mu na to piętnastu sekund. W chwili, w której rozpoczął inkantację, demon z wypalonym okiem wyskoczył naprzód. Warknął na pozostałe stwory, wydając im rozkaz. Dwa biesy po jego bokach puściły się biegiem w kierunku placu. Ich mięśnie napinały się, gdy

potężnymi susami z niewiarygodną prędkością zbliżały się do powozu, wywalając z pysków szkarłatne, parujące języki.

Elisabeth potrząsnęła głową, aby odrzucić włosy z twarzy, i uniosła pręt. Jej żołądek skręcał się od mdłości niczym wirujące w górze chmury.

Błysnęły kły. Wzięła zamach. Trzask poniósł się przez noc, a eksplozja szmaragdowego światła oślepiła ją swym blaskiem.

Kiedy plamki przestały już wirować jej przed oczami, przekonała się, że wciąż stoi. Obydwa biesy leżały na ziemi przed powozem. Pierwszy z szyją wygiętą pod nienaturalnym kątem – to zrobiła ona. Z drugim jednak stało się coś innego. Pozostała po nim sterta spalonego mięsa, skwierczącego jak pieczeń na rożnie.

Nathaniel wyciągnął rękę przed siebie. Z chmur wystrzelił szmaragdowy piorun, rozbłysnął raz i drugi z ostrym trzaskiem, huk poniósł się echem, od którego zadrżała ziemia i zadźwięczały szyby w oknach – a gdy ucichł, kolejny bies leżał usmażony na ziemi. Iskry tańczyły pomiędzy palcami Nathaniela. Obrócił się, aby porazić kolejnego wroga.

Był nim przywódca, ten pozbawiony oka. Kiedy Elisabeth i Nathaniel byli zajęci pozostałymi demonami, on przyczaił się za przewróconym powozem leżącym na ulicy, i teraz przyglądał im się w ciszy, odsłaniając wyszczerzone zęby.

Błyskawice ślizgały się po powierzchni chmur, rozchodząc się siecią w gmatwaninę poszarpanych włókien. Moc opływała Nathaniela, gotowa odpowiedzieć na jego wezwanie. On jednak zwlekał.

Wpatrywał się w przednią łapę biesa, spoczywającą na boku powozu – powozu przygniatającego pierś chłopaka, uwięzionego przez wywrócony pojazd. Chłopiec wyglądał na młodszego niż Elisabeth; był nieprzytomny, a jego bezwładna głowa leżała bokiem na ziemi. Grupa ludzi przyglądała się sytuacji z pewnej odległości, ściśnięta pod ścianami budynku, do którego ich nie wpuszczono. Jakaś kobieta z przodu zbiorowiska krzyczała; dwóch młodych mężczyzn musiało ją trzymać w miejscu. Cała trójka miała rude włosy, takie same, jak chłopak pod powozem.

– Nie mogę – powiedział Nathaniel. Jego wargi ledwie się poruszały, jakby był pogrążony w transie. – Wtedy trafiłbym też w niego.

Elisabeth zareagowała instynktownie, szykując się, aby zeskoczyć na ziemię.

– Odciągnę go stamtąd – oznajmiła.

Nathaniel złapał ją za ramię.

– On właśnie tego chce – rzucił ostro. – Żebyś oddaliła się samotnie, wtedy będziesz łatwiejszym celem. Nie bądź głupia, Scrivener.

Spojrzała na chłopaka, którego, jeśli nic nie zrobią, czekała śmierć, a potem z powrotem na Nathaniela.

„Nie bądź głupia”.

– Tak to nazywasz? – zapytała.

Przez jego twarz przemknął nieokreślony wyraz. Puścił ją.

Buty Elisabeth uderzyły o kostkę brukową. Ruszyła w stronę biesa przez pusty plac, pośród łopoczących na wietrze gazet, mocno ściskając żelazny pręt. Demon jeszcze bardziej obnażył zęby, posyłając jej nieludzki uśmiech, i naprężył mięśnie łap, mocniej napierając na powóz, pod którym uwięziony był chłopak. Nie miał zamiaru się ruszać aż do ostatniej sekundy.

Piorun trzasnął za jej plecami, zalewając ulicę zielonym blaskiem. Elisabeth nie spuszczała wzroku z demona.

Kropla deszczu plasnęła o ziemię u jej stóp. Dziewczyna puściła się biegiem, czując, jak pręt staje się przedłużeniem jej ramienia. Potem wszystko wydarzyło się szybko. Kły, szpony, warkot. Rozchodzący się po kościach impet jej broni odbijającej się od rogu, jasna wstęga bólu rozdzierająca jej ramię. Z każdym oddechem wciągała do płuc smród padliny i siarki. Wszystkie wysiłki skupiła na wycofywaniu się i odpieraniu ciosów biesa, aby odciągnąć go od nieprzytomnego chłopca.

Deszcz rozpadał się na dobre, zalewając plac ścianą wody. Krople wpadały Elisabeth do oczu, rozmywając obraz. Kolejny błysk gromu przemienił krążącego wokół niej przeciwnika w kontrastowy obraz ze światła i cienia. Drugi rozbłysk, trzeci. Czy Nathaniel nie trafił w pozostałe biesy? Powinny były zostać już tylko dwa. Obróciła się i dostrzegła kolejne sylwetki pełzające w jej kierunku, z oczami lśniącymi jak rozżarzone węgle za zasłoną deszczu. Było ich więcej, niż da się zliczyć. Ogarnięta przerażeniem, potknęła się.

Nie poczuła bólu, ale nagle świat odwrócił się na bok, a kamienie brukowe uniosły się, wychodząc jej na spotkanie, zimne, mokre i ubłocone. Zderzenie wycisnęło jej powietrze z płuc, a pręt poleciał zbyt daleko, by zdołała go dosięgnąć. Z trudem próbowała złapać oddech, mając wrażenie, jakby na piersi zacisnęło jej się imadło.

Piorun przeciął powietrze tak blisko niej, że przez jedną chwilę oszołomienia była pewna, że trafił w nią, ale wtedy parujące ciało przywódcy upadło tuż obok. Jego pozostałe czerwone oko zmatowiało.

– Spokojnie, Scrivener. – Nathaniel uniósł ją z ziemi i wciągnął sobie na kolana.

– Chłopiec – wychrypiała.

– Jest ze swoją rodziną – odparł Nathaniel. – Nie martw się. Przeżyje.

„Ale my nie”. – Biesów było zbyt wiele. Otoczyły ich. Podniosła wzrok i spojrzała w szare oczy Nathaniela, zastanawiając się, czy jego twarz będzie ostatnim, co zobaczy w życiu. Deszcz ściekał mu po nosie i zwisał kroplami z ciemnych rzęs. Patrząc z bliska, pomyślała, że jego spojrzenie nie było tak okrutne, jak sobie kiedyś wyobrażała. Wcześniej tak bardzo się go bała, że nie poświęciła wiele uwagi temu, jak bardzo był przystojny, co teraz wydawało jej się ogromną stratą.

Nathaniel zmarszczył brwi, jakby dostrzegł w wyrazie jej twarzy coś niepokojącego. Odwrócił wzrok, mrużąc oczy pośród ulewy.

– Silas? – zapytał.

– Tak, panie? – Głos sługi brzmiał pośród burzy niewiele głośniejszy od szeptu.

Nie wiedzieć czemu, Elisabeth zupełnie zapomniała o Silasie. Z trudem powstrzymywała opadające powieki. Wtedy go zobaczyła – nienagannie ubrany, balansował bez wysiłku na skraju dachu wysoko w górze. Spojrzał na rozgrywającą się w dole scenę z beznamiętnym, bezlitosnym zainteresowaniem. Ulewny deszcz zdawał się nie mieć jego smukłej sylwetki.

„Jak on się tam dostał?”.

Cienie zbliżały się ze wszystkich stron, majacząc na krawędzi wzroku Elisabeth, przesycając mgłę odorem padliny.

– Jak tylko skończysz podziwiać widoki – powiedział Nathaniel – przydałaby nam się tu jakaś pomoc.

Silas się uśmiechnął.

– Z przyjemnością, panie. – Zdjął prawą rękawiczkę, a potem lewą i starannie złożone wsunął je do kieszeni. Następnie zrobił krok do przodu i opadł z krawędzi dachu, z wysokości trzeciego piętra.

Elisabeth więcej go nie widziała. Jej powieki opadły, przesłaniając skrawek pustego teraz nieba, podczas gdy wokół niej rozległ się chór skomleń, trzasków i skowytów, przerywany od czasu do czasu odgłosem czegoś ciężkiego i bezwładnego, uderzającego o ścianę. Wszystkie te dźwięki dobiegały z daleka. Myśli wypełniał jej tylko jeden obraz: widok dłoni Silasa, kiedy zdjął rękawiczki.

Nie miał paznokci, tylko pazury.

– Elisabeth? – zapytał Nathaniel, i było to ostatnie, co usłyszała, zanim pochłonęła ją ciemność.



KIEDY ELISABETH SIĘ zbudziła, wokół świeciło słońce. Nie miała pojęcia, gdzie jest, ale czuła głęboki spokój i błogość. Gdy się poruszyła, jedwabna pościel z szelestem otarła się o jej nagą skórę. Obróciła głowę i jasne, rozmyte otoczenie nabrało wyraźnych konturów sypialni. Ściany pokrywała tapeta w lilie, a filigranowe meble wyglądały, jakby mogły się połamać, gdyby tylko ktoś oparł się o nie zbyt mocno, co prawdopodobnie oznaczało, że były bardzo drogie.

Nie była w pokoju sama; nieopodal rozbrzmiewał kojący brzęk porcelany. Wsłuchiwała się w niego przez chwilę, po czym usiadła na łóżku. Puchowa pierzyna zsunęła się jej z ramion. Elisabeth spojrzała po sobie ze zdziwieniem. Była ubrana w swoją zapasową koszulę nocną, a jej ramię zostało starannie owinięte bandażem. W dodatku ktoś ją wykąpał i uczesał jej włosy.

Ból zatętnił jej w czaszce. Dotknęła lekko skóry głowy i wyczuła pod palcami guza, który zabolął pod jej naciskiem. Może to dlatego nic nie pamiętała. Po drugiej stronie pokoju stał Silas, odwrócony do niej plecami, i właśnie unosił pokrywkę cukiernicy. Ubrany był jak zwykle w szmaragdowozieloną liberię. Wyglądało na to, że szykuje jej filiżankę herbaty.

– Co to za miejsce? – zapytała.

– Pokój gościnny w domu mojego pana – odparł Silas. – Uznaliśmy, że po ataku najbezpieczniej będzie przewieźć cię tutaj.

„Po ataku”. – Jej spojrzenie padło na jego nieskazitelnie białe rękawiczki i ten widok zmroził jej krew w żyłach.

Wydarzenia ostatniej nocy powróciły do niej potężną falą – warkot i chaos, deszcz i błyskawice – a wraz z nimi odżyły wspomnienia z podróży do Brassbridge, które wcześniej w jakiś sposób wyparła. Pamiętała teraz dokładnie, jak Silas pochwycił ją w lesie otaczającym zajazd; jak wiele razy sprawiał, że zapominała

zółty kolor jego oczu. Ilekroć zbliżała się do zrozumienia jego prawdziwej natury, mącił jej myśli i kierował je na inny tor.

– Jesteś demonem – powiedziała. W pełnym delikatności wnętrzu jej głos zabrzmiał niezręcznie, zdawał się zbyt głośny, nieprzystający do lilii i drogiej porcelany.

Silas przekrzywił głowę, uznając stwierdzenie za oczywiste.

– Słodzi panienka herbatę?

Elisabeth nie odpowiedziała. Przesunęła się w najbardziej oddalony kąt łóżka i chwyciła stojący na stoliku nocnym lichtarz. Był ciężki, wykonany w całości ze srebra.

– Wiem, czym jesteś – ostrzegła. – Nie zdołasz znowu sprawić, że zapomnę.

Ostatni raz zamieszał herbatę i starannie ułożył łyżeczkę na serwetce.

– Tak się składa, że masz rację. Wykazujesz zaskakującą odporność na mój wpływ; nie sądzę, żebym dał radę długo jeszcze to ciągnąć.

– Co to znaczy „twój wpływ”? – zapytała ostro. – Co mi zrobiłeś? I dlaczego?

Silas się odwrócił. Spojrzał na nią tylko, drżącą i panicznie ściskającą w rękę lichtarz, gotową w każdej chwili cisnąć nim w jego głowę. Po kilku sekundach znaczącego milczenia Elisabeth musiała przyznać mu rację.

– Ludzie – westchnął. – Cóż za nerwowe stworzenia. Przynajmniej nie zaczęłaś krzyczeć, za co jestem wdzięczny. Niektórym demonom sprawiają przyjemność wrzaski śmiertelników błagających o życie, ale ja nigdy nie gustowałem w takich melodramatycznych scenach, chyba że oglądam je na deskach opery. – Obrzucił wzrokiem lichtarz. – To na nic ci się nie zda, swoją drogą.

Powoli odstawiła świecznik na narzutę, patrząc, jak Silas przechodzi przez pokój. Kiedy położył przy niej tacę, drgnęła nerwowo, ale on się wycofał, nawet jej nie dotykając, i stanął z rękami założonymi uprzejmie za plecy. Tak samo stał przed nią w leśnych zaroślach. Zaczęła się zastanawiać, czy chciał w ten sposób wydać jej się mniej groźny. Była to tak kuriozalna myśl, że Elisabeth parsknęła śmiechem.

– O co chodzi? – zapytał Silas.

– Nie wiedziałam, że demony mogą przybierać ludzki wygląd. Spodziewałam się... – Sama nie była pewna, czego się spodziewała. Rogów i łusek, jak u biesa? Z pewnością nie przypuszczała, że będzie *piękny*. – Czegoś innego – dokończyła.

Cień uśmiechu przemknął przez jego twarz. Jego włosy nie były pokryte pudrem, jak początkowo założyła. Całe jego ciało lśniło nieskazitelną bielą marmuru, włącznie z długimi, jasnymi rzęsami ocieniającymi oczy barwy siarki.

– Wysoko urodzone demony, takie jak ja, potrafią zmieniać wygląd zgodnie z życzeniami swoich panów. W towarzystwie przybieram formę białego kota, ale gdy jestem w domu albo załatwiam sprawunki, pan Thorn woli mnie pod tą postacią. Ze swej natury jestem, jak to ujęłaś, „czymś innym”.

Elisabeth przeszedł dreszcz. Wspomniała ostrzegawcze słowa *Leksykonu*. Treść grymuaru sugerowała, że już sama rozmowa z demonem była niebezpieczna. Jednak po tym wszystkim, co Nathaniel zrobił, żeby bezpiecznie dowieźć ją do miasta, nie sądziła, że zostawiłby ją samą z Silasem, gdyby ten stanowił zagrożenie. Wróciła myślami do nocy spędzonej w Czarnoborze, wspominając cichy śmiech Silasa, żartującego z Nathanielem, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– Proszę. – Głos służącego oderwał ją od niespokojnych myśli. – Nie wypijesz herbaty?

Po chwili wahania sięgnęła po filiżankę. Para spowila jej twarz, kiedy pociągnęła ostrożny łyk, czując na sobie wyczekujące spojrzenie Silasa. Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– Smaczna. – Prawdę mówiąc, była to najlepsza herbata, jaką piła w życiu. Nie tego się spodziewała, biorąc pod uwagę, że została zaparzona przez...

Z brzękiem odstawiła filiżankę, rozchlapując sobie gorący płyn na palce. Ciepło i para przywołały nagłe, odruchowe wspomnienie mężczyzny zasłaniającego jej usta dłonią i wilżącego jej policzek swoim oddechem, a potem tego, jak po prostu *zniknął*, jakby rozplynął się w powietrzu. Co Silas mu zrobił?

– Zabiłem go, panienko – powiedział łagodnie demon. – On postąpiłby z tobą tak samo, i nie byłabyś jego pierwszą ofiarą. Czulem, jak mocno cuchnął śmiercią. Nic dziwnego, że biesy poszły za nim.

– Potrafisz czytać mi w myślach? – zapytała zduszonym głosem.

– Niezupełnie.

– Więc skąd...?

– Spędziłem setki lat w służbie rodziny Thornów, obserwując rodzaj ludzki. Nie chcę cię urazić, ale nie jesteście zbyt skomplikowanymi stworzeniami.

Zadrżała, spoglądając na swoje dłonie, a potem na filiżankę aż nazbyt doskonałej herbaty, i zastanawiając się, co jeszcze był w stanie na jej temat odgadnąć z samej tylko obserwacji.

– Czy czujesz się źle? Może powinnaś jeszcze trochę odpocząć.

Pokręciła głową, nie patrząc mu w oczy.

– Dość już odpoczęłam.

– W takim razie mam tu nowiny, które być może cię uspokoją. – Podniósł ze stolika nocnego gazetę i jej podał. Wzięła ją ostrożnie, zerkając na jego rękawiczki, ale w żaden sposób nie dało się pod nimi dopatrzeć szponów. – Zamach na twoje życie trafił już do porannych gazet.

Elisabeth musiała spojrzeć drugi raz, aby się upewnić, że dobrze widzi. Nagłówek na pierwszej stronie głosił „Podejrzana... czy bohaterka?“, a towarzyszył mu szkic przedstawiający Nathaniela i ją stojących na dachu powozu, otoczonych przez biesy. Pioruny Nathaniela przeszywały zakreskowane niebo, a autor ilustracji pozwolił sobie umieścić w jej dłoniach miecz zamiast żelaznego pręta. Przeniosła wzrok z powrotem na nagłówek.

– To o mnie?

Silas skłonił głowę.

Z niedowierzaniem zaczęła czytać.

Młoda kobieta, zidentyfikowana przez anonimowe źródło jako panna Elisabeth Scrivener, wykazała się niezwykłą odwagą i wigorem, odpierając atakujące ją demony, a przy tym ratując życie bezbronnego przechodnia... Przybyła ponoć do Brassbridge jako podejrzana w związku z aktami sabotażu w Wielkich Bibliotekach, aczkolwiek decyzja Magisterium, aby doszukiwać się w niej winy, budzi znaczne wątpliwości, jako że ten brutalny zamach na jej życie sugeruje coś wprost przeciwnego. Jasnym jest, że prawdziwy sprawca miał nadzieję uciszyć ją wszelkimi możliwymi środkami...

Elisabeth z płonącymi policzkami czytała, jak dziennikarz, powołując się na relacje z naszych zaufanych źródeł, z zachwytem głosił, że własnoręcznie pokonała rozszalały malefikt, zanim ten zagroził życiu niewinnych mieszkańców uroczej wioski Summershall. Dalej, ku jej irytacji, gazeta poświęciła całą kolumnę na artykuł „Magister Nathaniel Thorn, najbardziej pożądany kawaler w Austermeer – kiedy znajdzie swoją wybranek?”.

Coś nie dawało jej spokoju, więc cofnęła się do początku i raz jeszcze przeczytała pierwszych kilka zdań.

– Chwileczkę – rzuciła na głos. – Tutaj pisze „z *aktami* sabotażu”.

Silas wyciągnął ku niej rękę. Nerwowo napięła mięśnie, ale on tylko przewrócił stronę. Spojrzała na dalszy ciąg artykułu i na moment zapało jej dech w piersi.

– Był atak na Wielką Bibliotekę w Knockfeld? – Poruszając ustami, pospiesznie przebiegała wzrokiem drobny druk. – „Kolejny malefikt ósmej klasy... troje strażników martwych, w tym dyrektor... początkowo uznany za tragiczny wypadek, teraz uważa się, że był powiązany z incydentem w Summershall”. To się wydarzyło dwa tygodnie przed *Księżką oczu!* – Podniosła wzrok na Silasa. – Niby dlaczego miałyby mnie to uspokoić?

– Wydarzenia zeszłej nocy znacząco zmieniły twoje położenie. Przesłuchanie zostało odwołane w związku z oburzeniem opinii publicznej wywołanym przez doniesienia prasowe. Jak tylko poczujesz się dość dobrze, by jechać powozem, pan Thorn ma cię zabrać prosto do kanclerza.

Siedziała w oszołomieniu, wdychając zapach taniego tuszu i papieru gazetowego. W głowie miała pustkę, w której dźwięczały słowa Silasa.

– Po co kanclerz chce mnie widzieć? – zapytała.

– Tego mi nie powiedziano. – W alabastrowych rysach demona odbiło się coś na kształt współczucia. – Może zechciałabyś się ubrać? Mogę ci pomóc, jeśli chcesz. Pozwoliłem sobie przerobić nieco dzisiejszy strój.

Elisabeth zmarszczyła brwi. Jej najlepsza sukienka wisiała na wieszaku na szafie, przedłużona za pomocą modnych, jedwabnych wstawek. Teraz wydawała się mieć właściwy rozmiar. Silas sam to zrobił? Dotknęła porządnie uczesanych włosów, wspominając swoje wcześniejsze spostrzeżenie, że ktoś wykąpał ją i przebrał. Kiedy to do niej dotarło, wzdrygnęła się gwałtownie.

– Rozebrałeś mnie?

– Tak. Mam dziesiątki lat doświadczenia... – Dostrzegając jej przerażenie, uniósł dłoń w uspokajającym geście. – Najmocniej przepraszam. Nie interesują mnie ludzkie ciała. Nie w sensie zmysłowym. Czasami zapominam... powinienem był wspomnieć o tym wcześniej.

Elisabeth nie dała sobie zamydlić oczu.

– Czytałam, co demony robią z ludźmi. Torturujecie nas, przelewacie naszą krew, pożeracie wnętrzności. W szczególności dziewczęce.

Silas zacisnął wargi.

– Pomniejsze demony żywią się ludzkim mięsem. To podle istoty o prymitywnych upodobaniach.

– A ty jesteś zupełnie inny?

Zacisnął wargi jeszcze mocniej. Nieprawdopodobne, ale w jego żółtych oczach zapłonęło oburzenie, a gdy się odezwał, do jego uprzejmego, cichego głosu wkradła się nieznaczna ostra nuta.

– Wysoko urodzone demony spożywają jedynie energię życiową śmiertelników, i to wyłącznie taką, która nam się należy w myśl zawartej umowy. Nic innego nas nie interesuje.

Odsunęła się z walącym sercem. Z wolna odzyskiwała spokój. Silas chyba mówił prawdę. Nie próbował ukryć faktu, że jest zły, a jedynie doprecyzować naturę swoich nieprawości. O dziwo sprawiło to, że była skłonna mu zaufać, przynajmniej w tej kwestii.

Pomyślała o srebrzystym paśmie we włosach Nathaniela, tak niezwykłym u nastoletniego chłopaka.

„Jak wiele życia mu zabrałaś?” – pomyślała.

– Wystarczająco – powiedział Silas tak cicho, że niemal go nie usłyszała. – A teraz, jeśli jesteś pewna, że nie potrzebujesz pomocy...

– Nie, dziękuję – odparła pośpiesznie. – Sama dam sobie radę.

Uniesione brwi świadczyły, że ma co do tego wątpliwości, ale i tak skłonił się uprzejmie i wyszedł, pozostawiając Elisabeth samą z tysiącem pytań i filiżanką stygnącej herbaty.

Kiedy otworzyła drzwi piętnaście minut później, Silasa nigdzie nie było widać. Wystawiła głowę z pokoju i spojrzała w głąb korytarza. Nigdy nie spędziła co prawda zbyt wiele czasu w prawdziwym domu, ale ten wydawał się ogromny w porównaniu z domostwami w Summershall. Korytarz ciągnął się daleko, a ściany pokrywały panele z ciemnego drewna i zdumiewająca liczba drzwi.

Z jakiejś przyczyny wszystkie zasłony zaciągnięto, przez co nawet w ten słoneczny dzień wewnątrz tonęło w półmroku.

Wymknęła się z pokoju i ruszyła przed siebie. Dom, choć wielki, sprawiał wrażenie opuszczonego. Nie widziała żadnej służby, demonicznej ani jakiegokolwiek innej, a powietrze było tak nieruchome, że metodyczne tykanie zegara z wahadłem, dobiegające z głębi posiadłości, zdawało się pulsować pod jej stopami jak bicie serca. Wszędzie wokół czuć było nikłą woń eterycznego spalania, jak gdyby magia przesiąknęła budynek aż po fundamenty.

W miarę jak szła labiryntem korytarzy, zapach przybierał na sile. Obracała się to w jedną, to w drugą stronę, węsząc, i w końcu odkryła, spod których drzwi się wydobywał. Były zamknięte, pokryte zaspami kurzu, a drewno wokół zdobionej klamki znaczyły liczne zadrapania, jakby komuś wiele razy omsknęła się ręka przy próbie ich otwarcia.

Elisabeth się zawahała. Nie zamierzała dotykać złowieszczo wyglądających drzwi w domu czarownika. Ale może...

Wstrzymując oddech, pochyliła się i zajrzała przez dziurkę od klucza. Za drzwiami panowała ciemność. Nachyliła się bliżej.

– Panno Scrivener – zabrzmiał cichy głos Silasa tuż za jej plecami.

Odwróciła się gwałtownie, uderzając o ścianę z taką siłą, że zagrzechotały jej zęby. Jak on był w stanie poruszać się tak cicho? To samo zrobił zeszłej nocy, tuż przed tym, jak zabił tamtego mężczyznę.

Wyraz twarzy Silasa był pełen dystansu, jakby wryty w marmurze, ale głos brzmiał tak samo uprzejmie jak zawsze.

– Nie zamierzałem cię przestraszyć, ale obawiam się, że to pomieszczenie lepiej zostawić w spokoju.

– Co tam jest? – Usta Elisabeth wyschły na wiór.

– Nie chciałabyś tego zobaczyć. Tędy, proszę.

Poprowadził ją z powrotem tam, skąd przyszła, a potem w dół wielkimi, wygiętymi w łuk schodami, których szerokie, pokryte aksamitnym dywanem stopnie ciągnęły się aż do holu dwa piętra niżej. Nad jej głową zwieszały się wygasłe żyrandole, pobłyskujące w półmroku kryształami, a odgłos jej kroków niósł się echem po kraciastej marmurowej posadzce. Ogrom tego miejsca przywodził na myśl opuszczony zamek rodem z baśni. Jej wyobraźnia zerwała

ponury kir zaniedbania, w zamian wypełniając wnętrze światłem, śmiechem i muzyką. Zastanawiała się, dlaczego dom był w takim stanie, skoro mógłby wyglądać tak pięknie.

– Pan Thorn niebawem do nas dołączy – powiedział Silas, po czym dodał: – Możesz się tu rozejrzeć, jeśli chcesz.

Elisabeth zdążyła już bez pozwolenia przejść przez hol i podnieść świecznik wykonany w całości z kryształu. Odstawiła go z zawstydzeniem. Kiedy to zrobiła, z jego płaszczyzn spojrzwały na nią zwielokrotnione odbicia szarych oczu Nathaniela. Odetchnęła gwałtownie, ale gdy się odwróciła, nikogo za nią nie było. W kryształach odbijał się portret zawieszony na ścianie, a mężczyzna na nim przedstawiony był od Nathaniela starszy, choć bardzo go przypominał; jego czarne włosy przecinało nawet takie samo srebrzyste pasmo. Za to jego uśmiech... był ciepły, łagodny i szczery, o wiele szczęśliwszy niż jakikolwiek uśmiech, który zdarzyło się jej widzieć na twarzy Nathaniela.

– Ojciec mojego pana, Alistair Thorn – poinformował ją Silas. – W swoim czasie służyłem i jemu.

„On nie żyje – zdała sobie sprawę, wstrząśnięta. – Musi być już martwy”. – Nagle poczuła się niekomfortowo, patrząc mu w oczy. Przeniosła wzrok na białego kota namalowanego na kolanach Alistaira. Było to eleganckie, długowłose stworzenie, uchwycone na obrazie podczas wylizywania sobie łapy.

Powietrze zadrżało i Silas znalazł się u jej boku, wpatrzony w kolejny portret, przedstawiający blondwłosą kobietę w liliowej sukni. Tym razem Elisabeth dostrzegła podobieństwo do Nathaniela w wyrazie jej twarzy, w skrzącym się w jej oczach tłumionym śmiechu, jakby z jakiegoś niewypowiedzianego żartu. Na jej twarzy nie wydawał się on drwiący, lecz zapraszający, rozjaśniony blaskiem miłości.

– Jego matka, Charlotte – powiedział Silas.

Elisabeth poczuła rzewne ukłucie w sercu.

– Jest piękna.

– Była.

Zerknęła na Silasa, otwierając usta do przeprosin, ale jego twarz była pozbawiona wyrazu, a wzrok wciąż wbity w portrety. Natychmiast zrobiło jej się

głupio, że o mało nie przeprosiła demona – istoty, która nikogo z nich nie kochała, bo demony nie były w stanie odczuwać miłości, podobnie jak współczucia czy straty.

W milczeniu wskazał trzeci, ostatni portret.

Elisabeth podeszła bliżej, żeby dokładniej mu się przyjrzeć. Obraz przedstawiał chłopca, może siedmioletniego, bladego i pochmurnego, z ciemnym kołnierzem zapiętym wysoko na szyi. Wydawał się taki poważny. Może wynikało to z ciężaru dziedzictwa rodu Thornów. Czy już wtedy znał opowieści o Baltasarze? Dziwnie było myśleć o Nathanielu jako o dziecku, kimś tak niewinnym.

– A więc urodził się bez srebrnych włosów – powiedziała w końcu, spoglądając na Silasa.

– Owszem. One są znakiem naszej umowy. Każdy czarownik taki ma, zawsze inny, charakterystyczny dla demona, który mu służy. Ale ten portret nie przedstawia pana Thorna, tylko jego młodszego brata, Maximiliana. Zmarł rok po jego namalowaniu.

Elisabeth się cofnęła, czując, jak stają jej włoski na ramionach. W tym domu czuła się jak w mauzoleum, którego zimne, puste korytarze pełne były duchów. Cała rodzina Nathaniela nie żyła. Przypomniały jej się słowa *Leksykonu: Demonowi, z którym zawarto układ, oplaca się wielce, aby jego pan zszedł z tego świata...*

– Co się z nimi wszystkimi stało? – wyszeptała, tym razem niepewna, czy naprawdę chce poznać odpowiedź.

Silas znieruchomiał. Przez chwilę milczał, a gdy w końcu się odezwał, jego szept poniósł się przez hol jak mgła.

– Charlotte i Maximilian zginęli razem w wypadku. Bezsensowna tragedia dla żony i syna czarownika. Wiem, co sobie myślisz – nie było mnie w pobliżu, kiedy do tego doszło. Alistair zginął zaledwie kilka miesięcy później i tym razem byłem przy tym obecny. Ten rok okazał się... trudny dla mojego pana.

– Zabiłeś go – powiedziała Elisabeth. – Alistaira.

Odpowiedź wypłynęła z ust Silasa, niewiele głośniejsza niż odległe tykanie zegara.

– Tak.

– Nathaniel o tym wie?

– Wie.

Elisabeth z trudem obróciła w myślach tę informację.

– A mimo to... mimo to zdecydował się...

– Związał mnie służbą zaraz po tym wydarzeniu. Miał wtedy tylko dwanaście lat. Rytuał bez wątplenia go przerażał, ale oczywiście już dobrze mnie znał. – Silas podążył w stronę pustego miejsca na ścianie, pozostawionego na ostatni portret. Uniósł dłoń i delikatnie dotknął drewnianych paneli. – Widzisz, byłem obecny, kiedy pan Thorn przyszedł na świat. Słyszałem, jak wypowiada swoje pierwsze słowa, i patrzyłem, jak stawia pierwsze kroki. Będę również obecny, gdy pan Thorn będzie umierał – w ten czy inny sposób.

Elisabeth cofnęła się jeszcze o krok, o mało nie zderzając się z wieszakiem na płaszcze. Nathaniel mówił jej, że wszyscy inni pretendenci do jego tytułu już nie żyli, ale nie spodziewała się czegoś takiego. Z pewnością nie tego, że został całkiem sam na świecie w wieku zaledwie dwunastu lat, zaprzędając swoje życie demonowi, który zabił jego ojca. Demonowi, który pewnego dnia zabije i jego.

Stopnie zaskrzypiały. Elisabeth się odwróciła. Nathaniel schodził po schodach z jedną ręką w kieszeni, a drugą na balustradzie. Prezentował się wspaniale w drogim, szytym na miarę garniturze; krój zielonej, brokatowej kamizelki podkreślał jego mocne ramiona i wąską talię. Wpatrywała się w niego, próbując pogodzić jego beztroską pozę z tym, czego się właśnie dowiedziała. Spokojnie odwzajemnił spojrzenie, unosząc brew, jakby rzucał jej wyzwanie.

Kiedy dotarł do stóp schodów, Silas natychmiast do niego podszedł. Z cichą skutecznością zawodowego kamerdynera zajął się drobnymi poprawkami stroju Nathaniela: wyrównał mankiety, wyprostował kołnierz, wygładził marynarkę. Potem, marszcząc lekko brwi, rozwiązał krawat i ściągnął mu go z szyi.

– Czy musi być tak ciasny? – zaprotestował Nathaniel, gdy Silas na nowo związał krawat ciągiem skomplikowanych węzłów, a jego dłonie ze zwinną pewnością tańczyły po tkaninie.

„Silas mógłby go tym bez trudu udusić” – pomyślała Elisabeth ze zdumieniem. A jednak Nathaniel zdawał się całkowicie odprężony, ufając pomocy służącego, jakby codziennie miewał na gardle dłonie żądnego krwi demona.

– Obawiam się, że tak, jeśli chcesz wyglądać modnie – odparł Silas. – Poza tym wolelibyśmy uniknąć powtórki z incydentu z lady Gwendolyn.

Nathaniel prychnął.

– Skąd miałem wiedzieć, że wiążąc go w ten sposób, damę do zrozumienia, że chcę jej złożyć nieprzystojną propozycję? Mam lepsze rzeczy do roboty niż uczenie się sekretnych znaków z użyciem chusteczek i ozdób.

– Gdybyś mnie wtedy posłuchał, to bym ci powiedział i oszczędził ci chluśnięcia szampanem w twarz... chociaż później słyszałem, jak kilka osób mówi, że była to dla nich najlepsza część tamtego obiadu. Proszę. – Odsunął się, podziwiając swoje dzieło.

Nathaniel odruchowo uniósł dłoń, żeby dotknąć krawata, po czym cofnął ją, kiedy Silas ostrzegawczo zmrużył żółte oczy. Z krzywym uśmiechem ruszył przez hol w stronę Elisabeth, stukając podszwami butów o marmurową posadzkę.

– Gotowa, panno Scrivener? – zapytał, podając jej ramię.

Serce Elisabeth zakołatało nerwowo. Być może źle oceniła Nathaniela, ale co do jednej rzeczy miała rację. Jakiś czarownik pragnął jej śmierci i czekał na odpowiednią okazję.

Czując chłód przenikający ją do szpiku kości, skinęła głową i ujęła go pod ramię.



POWÓZ MIJAŁ WYSOKIE, potężne domy z szarego kamienia, upakowane ciasno jeden obok drugiego jak książki na półce. Jasne kwiaty naparstnicy i wilczej jagody wylewały się z zawieszonych pod oknami donic, a domostwa od ulicy oddzielały ogrodzenia z kutego żelaza, strzeżone przez rzeźby i gargulce, które odwracały głowy w ślad za przejeżdżającym pojazdem. Na frontonach ponad drzwiami wejściowymi wyryte były figury heraldyczne. Wiele spośród domów musiało sobie już liczyć setki lat, a ich eleganckie fasady roztaczały aurę nieosiągalnego bogactwa.

Elisabeth patrzyła na kobietę o uszach przyozdobionych lśniąco klejnotami, która właśnie wysiadała z powozu. Drzwi otwarło jej małe dziecko, które Elisabeth w pierwszej chwili wzięła za synka kobiety, zanim ta lekceważąco wręczyła mu swoje pakunki. Nim drzwi się zamknęły, zauważyła, jak oczy chłopca połyskują w słońcu na pomarańczowo. Nie, nie chłopca – demona.

– Czy wszystkie domy w tej okolicy należą do czarowników? – zapytała Nathaniela. Żołądek skręcał jej się jak kłębowisko węży. Sabotażysta mógł mieszkać w którymkolwiek z tych domów. Mógł obserwować ją nawet w tej chwili.

– Prawie wszystkie – odparł. Wyglądał przez okno po drugiej stronie powozu. – To dzielnica nazywana Parkiem Cykuty. Czarownicy cenią sobie prywatność. Nasze demony są trochę jak brudna bielizna – żadna tajemnica, ale zwykli ludzie rzadko widują ten aspekt naszego życia i wolelibyśmy, żeby za dużo o nim nie myśleli. Jak pewnie sama się domyślasz, mieszka tu wielu czarowników, których rodowód sięga setek lat wstecz, jak mój.

Ciekawość wzięła górę nad niepokojem.

– Myślałam, że wszyscy czarownicy pochodzą ze starych rodzin. Czy to nie jest coś, co ma się z urodzenia?

– Właściwie tak, w tym sensie, że magię się dziedziczy. – Nathaniel na nią zerknął. – A mówiąc konkretnie, nie magię, tylko demony. Wysoko urodzonego demona przyzwać może jedynie ktoś, kto zna jego enochiańskie imię, a rodziny przekazują sobie te imiona z pokolenia na pokolenie jak schedę. Zdarza się jednak, że laik bez magicznego dziedzictwa dokopie się do imienia znaczącego demona w jakimś mało znanym tekście i zdoła go przywołać. Demon musi pozostać w rodzinie przez kilkadziesiąt lat, zanim stare rody zaczną darzyć go szacunkiem.

„Przestępcy i dyletanci”. Tak właśnie *Leksykon* określił ludzi, którzy przyzywali pomniejszych demony, takie jak biesy. Prawdziwi czarownicy nie zniżali się do tego poziomu.

No chyba że chcieli wyeliminować świadka i obarczyć winą kogoś innego.

Elisabeth rozmyślała o tym wszystkim z niepokojem, kiedy mijali park pełen prastarych dębów i krętych żwirowych alejek, a potem skrawek lasów miejskich, których widok sprawił, że poczuła się, jakby znów znalazła się na skraju Czarnoboru. Powóz skręcił na podjazd pomiędzy dwoma marmurowymi postumentami, na których siedziała para identycznych kamiennych gryfów, machających ogonami i wystawiających na słońce omszałe skrzydła. W końcu zza żywopłotu wyłoniła się budowla; pierwsza ich oczom ukazała się miedziana kopuła lśniąca w blasku słońca.

– Ach – szepnęła Elisabeth, przyciskając twarz do okna. – To pałac!

Poczuła, że Nathaniel na nią patrzy. Gdy się odezwał, poprawił ją dziwnie niechętnie.

– Nie, to tylko Dwór Ashcroftów.

Ale nic nie było „tylko” w budynku, do którego zmierzali – ogromnej, białej rezydencji otoczonej pełnymi przepychu ogrodami. Zarysy wież, kopuł i wymyślnych gzymsów przypominały panoramę miniaturowego miasta, a promienie słońca, padające na szklany dach przylegającej do budowli oranżerii, rzucały tęcze refleksy. Podjazd zaczął okręzać wielką fontannę; kiedy podjechali bliżej, Elisabeth dostrzegła, że woda unosiła się sama, tworząc wiry stale zmieniające kształt: najpierw uformowała grupę przejrzystych dziewcząt wyskakujących w powietrze jak baletnice, które następnie zwały się w wirującą sferę armilarną, a ta znów rozdzieliła się na parę stojących dęba koni, przyskakujących

wodą z grzyw na podjazd. Kilka kropel wylądowało na oknach powozu i przywarło do szkła, lśniąc jak diamenty.

– A Silas twierdzi, że *moje* czary są ekstrawaganckie – mruknął Nathaniel.

Gdy zbliżyli się do posiadłości, Elisabeth z wysiłkiem zamknęła rozdziawione usta. Na podjeździe zebrał się tłumek ludzi, ale, o ile dobrze widziała, żaden z nich nie był czarownikiem czy choćby służącym. Wszyscy nosili brązowe, tweedowe marynarki i stali z notesami zatkniętymi pod pachę, raz po raz zerkając na zegarki, jakby bardzo im się spieszyło. Kiedy usłyszeli nadjeżdżający pojazd, wbili w niego ochocze, zachłanne spojrzenia, jak psy czekające na resztki ze stołu.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Elisabeth z niepokojem. – Wyglądają, jakby na nas czekali.

Nathaniel przysunął się do niej, wyjrzał przez okno z jej strony i zaklął.

– Kanclerz Ashcroft wpuścił prasę na teren swojej posiadłości. Chyba nie uda nam się przed nimi uciec. Odwagi, Scrivener, zaraz będzie po wszystkim.

Gdy Silas otworzył drzwi, do powozu natychmiast wdarła się fala dźwięków. Sługi nikt nie zaszczyił spojrzeniem; wszyscy skupili uwagę na wysiadającej właśnie Elisabeth, przepychając się między sobą, żeby zająć jak najlepszą pozycję na pierwszej linii.

– Panno Scrivener!

– Czy masz chwilę...

– Nazywam się Feversham i pracuję dla *Informatora Brassbridge*...

– Tutaj, panno Scrivener!

– Panno Scrivener! Zdradzisz nam, ile masz wzrostu?

– Dzień dobry – powiedziała, zakłopotana. Wszyscy ci mężczyźni wyglądali podobnie. Nigdy dotąd nie widziała tylu wąsów naraz w jednym miejscu. – Przykro mi, nie mam pojęcia. – Urosła, odkąd Katrien ostatnio ją mierzyła.

– Czy to prawda, że pokonałaś w Summershall malefikt ósmej klasy? – zapytał jeden z mężczyzn, już zapisując coś gorączkowo w notesie.

– Tak, to prawda.

– Całkiem sama?

Skinęła głową. Mężczyźni o mało oczy nie wyszły z orbit, więc życzliwie dodała:

– No, miałam miecz.

Kolejny odziany w tweed reporter zdołał się do niej przedrzeć.

– Widzę, że spędzasz wiele czasu sam na sam z magistrem Thornem. Czy zadeklarował już swoje zamiary?

– Nie, a szkoda – odparła Elisabeth. – Przez większość czasu nie rozumiem, o co mu chodzi. Dobrze byłoby poznać jego zamiary.

Nathaniel wydał dźwięk, jakby się krztusił.

– Ona nie to ma na myśli – zapewnił wszystkich, chwytając Elisabeth za ramię. – To zdziaczała bibliotekarka, rozumiecie – wychowana przez wszy książkowe, tragiczna historia... – Wyciągnął ją z tłumu i poprowadził schodami do drzwi frontowych.

Na dwóch potężnych skrzydłach wygrawerowano gryfa w stylu barokowym, a przed wejściem stał lokaj w złocistej liberii. Elisabeth przyjrzała mu się podejrzliwie, ale jego oczy nie miały dziwnego koloru, nie wymykał się też jej myślom tak, jak Silas, kiedy wywierał na nią wpływ. Był człowiekiem, nie demonem.

– Kanclerz lada moment się zjawi – powiedział, a Nathaniel jęknął.

– Co? – zapytała.

– Ashcroft lubi efektowne wejścia. Jest nieznośny z tym swoim popisywaniem się. Prasa go kocha.

Elisabeth pomyślała, że jest lekką hipokryzją ze strony Nathaniela narzekać na czyjeś efektowne wejścia, podczas gdy sam przyjechał do Summershall powozem od góry do dołu rzeźbionym w ciernie, a potem kazał każdemu posągowi na dziedzińcu ożyć i co najmniej jednemu zamachnąć się mieczem. Postanowiła jednak zachować tę myśl dla siebie, bo jej nozdrza właśnie podrażniła woń eterycznego spalania.

Zachwiała się do tyłu, kiedy nić złotego światła przecięła zygzakiem powietrze przed nią, jak rozdarcie w tkaninie. Drzwi posiadłości zafalowały, zniekształcone, gdy jakiś mężczyzna odrzucił na bok połę powietrza i wyszedł z za niej, ukazując przez moment widok na skąpany w ciepłym świetle gabinet za swoimi plecami. Elisabeth zamrugła, próbując zrozumieć, co właściwie widzi. Wyglądało to tak, jakby świat zmienił się w scenę namalowaną na zaciągniętych zasłonach, a tamten pokój znajdował się za nimi. Mężczyzna – kanclerz – puścił powietrze, zasłonę czy

cokolwiek to było, i skrawek gabinetu zniknął. Rzeczywistość wróciła do normy tak szybko, jak wcześniej została zaburzona.

Kanclerz Ashcroft uśmiechnął się promiennie i skłonił reporterom, którzy zaczęli bić brawo. Mimo swego wieku – mógłby niemal być ojcem Elisabeth – był bez dwóch zdań przystojny. Gdy tak szeroko się uśmiechał, wokół oczu pojawiały mu się zmarszczki, nadające jego twarzy wyraz figlarnego dobrego humoru, a w gęstych, lśniących blond włosach nie było ani śladu siwizny. Miał na sobie złocisty płaszcz i perłowo biały garnitur, a pod spodem wyszywaną, złotą kamizelkę.

– Jak dobrze cię widzieć, Nathanielu – powiedział. – A to musi być panna Scrivener. Nazywam się Oberon Ashcroft, jestem kanclerzem magii. Bardzo miło mi cię poznać.

Ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek. Wszelkie słowa uleciały z głowy Elisabeth jak stado spłoszonych gołębi. Nikt nigdy dotąd jej nie pocałował, nawet w rękę. Kiedy Ashcroft się wyprostował, zobaczyła, że jego prawe oko jest jasnoniebieskie, lewe zaś ma barwę głębokiego, lśniącego szkarłatu, połyskującego w słońcu niczym rubin. Wspominając słowa Silasa, domyśliła się, że szkarłatne oko to jego demoniczne znamię.

– Panno Scrivener, muszę przeprosić za niebezpieczeństwo, w jakim znalazłaś się zeszłej nocy. Nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego mogłoby się wydarzyć – biesy i ta dzika gonitwa ulicami miasta – ale w żaden sposób nie usprawiedliwia to faktu, że nie zdołałem zapewnić ci bezpieczeństwa, gdy przebywałaś pod opieką Magisterium.

– Chciał pan chyba powiedzieć „pod nadzorem”? – zapytała. Kilku reporterów westchnęło głośno z wrażenia i Elisabeth zamarła, czując ukłucie paniki.

Jednak Ashcroft nie wyglądał na rozgniewanego. Uśmiechnął się ze skruchą.

– Nie, masz absolutną rację. Magisterium popełniło błąd i nie przystoi mi udawać, że było inaczej. Jak sobie radzisz?

Zaskoczyła ją jego troska.

– Ja...

– Masz za sobą straszne przeżycia. Oskarżona o zbrodnię, której nie popełniłaś, uwięziona, zaatakowana przez demony, że już nie wspomnę o stracie dyrektorki, Ireny. To była wybitna kobieta. Miałem przyjemność poznać ją kilka lat temu.

Nagle oczy Elisabeth zapiekły od niewyplakanych łez.

– Nic mi nie jest – powiedziała, prostując się i siłą woli powstrzymując płacz. Po raz pierwszy ktoś zasugerował, że miała prawo oplakiwać śmierć dyrektorki, zamiast oskarżać ją o bycie odpowiedzialną za jej zgon. Ashcroft znał nawet dyrektorkę z imienia. – Chcę tylko, żeby pojmano tego, kto ją zabił.

– Tak. – Spojrzał na nią z powagą. – Tak, rozumiem. Przepraszam na chwilę... – Zwrócił się do reporterów. – Zwołałem to spotkanie prasowe, żeby złożyć krótkie oświadczenie. Po wydarzeniach ostatniej nocy oraz po rozpatrzeniu pewnych nieścisłości w oficjalnym raporcie z Summershall, panna Elisabeth Scrivener nie jest już uznawana za podejrzaną w śledztwie. – Elisabeth aż drgnęła ze zdumienia. – Zamiast tego otrzyma od Magisterium pochwałę za swoje bohaterskie czyny w Summershall, które ocaliły niewyobrażalnie wiele istnień. Strata grymuaru ósmej klasy to wielki cios dla austermeryjskiej magii, ale panna Scrivener podjęła najlepszą możliwą decyzję w krytycznej sytuacji, w jakiej się znalazła, i stanęła na wysokości zadania. Osobiście wyślę list polecający do Kolegium, doradzając preceptorom, aby rozważyli szkolenie jej na strażniczkę, kiedy już zakończy naukę jako nowicjuszka.

Elisabeth zachwiała się na nogach. Podparła ją czyjaś ręka; poczuła lekki, nieoczekiwany dotyk dłoni między łopatkami. Nathaniel stał u jej boku, wpatrzony prosto przed siebie.

– Jak wiecie – mówił Ashcroft – Wielkie Biblioteki zostały zbudowane przez mojego przodka, Corneliusa, toteż czuję się zobowiązany wymierzyć sprawiedliwość sabotażyście z pobudek wykraczających znacznie poza moją pracę...

Elisabeth zdała sobie sprawę, że nie jest dłużej w stanie nadażyć za jego słowami. Czuła się, jakby jej serce urosło tak bardzo, że nie mieściło się między żebrami. Próbowała stać prosto, rozpaczliwie pragnąc wyglądać na godną pochwał kanclerza, podczas gdy w głębi duszy, ku swemu zawstydzeniu, chciała się ukryć. Nigdy nie przypuszczała, że nadzieja może tak bardzo boleć, jak krew napływająca z powrotem do zdrętwiałej kończyny.

Poczuła wdzięczność, kiedy po skończonym przemówieniu, gdy reporterzy już się rozeszli, Ashcroft wziął Nathaniela na stronę, aby pomówić z nim na

osobności. Wpatrzona w gryfy na drzwiach, udawała, że nie słyszy urywków ich rozmowy pośród dźwięku kół toczących się z trzaskiem po żwirze.

– Zanim odejdziesz – mówił Ashcroft ściszym głosem – chciałem ci podziękować za to, co zrobiłeś dla panny Scrivener. – Urwał. – A, rozumiem. Nie powiedziałaś jej, prawda?

Odpowiedzi Nathaniela nie dosłyszała. O czym oni mówili? Gdyby tylko widziała ich twarze. Wyminął ją służący, niosący jej kufer, więc odsunęła się z drogi. Kiedy podniosła wzrok, Nathaniela nigdzie nie było widać. Rozglądając się pospiesznie, zobaczyła, jak zmierza szybkim krokiem w stronę powozu, ze szmaragdowym płaszczem łopoczącym u stóp.

– Nathanielu! – zawołała, kiedy zaczął wspinać się po stopniach. Drgnął na dźwięk jej głosu, po czym odwrócił lekko głowę w oczekiwaniu.

– Prawie odjechałeś bez pożegnania – powiedziała.

– Żegnaj, Scrivener – powiedział natychmiast, nie patrząc na nią. – Było mi niezmiernie miło, pomijając moment, kiedy mnie ugryzłaś. Postaraj się nie przewracać żadnych regałów w domu kanclerza.

Elisabeth poczuła w piersi coś dziwnego, jakby naderwał się miękki arkusz pergaminu. Być może już nigdy nie zobaczy Nathaniela. Wciąż nie udało jej się go rozgryźć, ale zeszłej nocy walczyli razem – razem ratowali życia – a to musiało coś znaczyć. Na pewno chociaż tyle, żeby chciał uścisnąć jej dłoń albo przynajmniej spojrzeć jej w oczy przed odejściem.

Bardzo chciała mieć coś lepszego do powiedzenia, ale nic nie przychodziło jej do głowy, więc powiedziała tylko:

– Żegnaj.

Nathaniel wahał się przez dłuższą chwilę. Silas, siedzący na koźle, obrzucił ich oboje spojrzeniem, jakby dostrzegał między nią a Nathanielem coś, co jej umykało. A potem Nathaniel skinął głową oficjalnie, wsiadł do powozu i zamknął za sobą drzwi. Silas pociągnął za lejce i pojazd ruszył z miejsca.

„A więc to już koniec” – pomyślała.

Patrzyła na powóz malejący w oczach w miarę, jak oddalał się podjazdem, lśniąca w promieniach słońca padających na lakierowany dach, i nagle ogarnęło ją poczucie straty, którego nie była w stanie wytłumaczyć.



– PANNO SCRIVENER?

Elisabeth podskoczyła, spłoszona, i uniosła wzrok. Ashcroft stał obok niej, a powóz Nathaniela zniknął już z widoku. Odniosła wrażenie, że kanclerz mówił do niej od jakiegoś czasu, ale ona nie usłyszała ani słowa. Wydukała przeprosiny, a potem ciąg nieskładnych podziękowań za wszystko, co powiedział w swoim oświadczeniu, które nawet w jej własnym odczuciu nie miały zbyt wiele sensu.

Wyraz jego twarzy złagodniał.

– Nie przejmuj się tym. Może wejdiesz do środka?

Podążyła za nim do wnętrza dworu, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. Wszystkie żyrandole były zapalone, a blask spływał z nich na polerowany marmur i połacaną sztukaterię; lustra w wyszukanych, złotych ramach odbijały padające ze wszystkich stron światła. Służący w dopasowanych, złocistych liberiach biegali tam i z powrotem, przystając tylko, aby im się uklonić.

– Będziesz tu bezpieczna – powiedział Ashcroft. – Teren posiadłości jest pilnie strzeżony; od setek lat nie wtargnął do niej nikt niepowołany. Prawdę mówiąc, w siedemnastym wieku Dwór Ashcroftów odparł nawet całą armię.

W rzęsiście oświetlonym wnętrzu, którego blask lśnił w jego jasnych włosach i opromieniał przystojną twarz, kanclerz przypominał bohatera rodem z kart książki z bajkami. Obce Elisabeth onieśmienie otuliło ją jak zwój przejrzystego tiulu. Jak nigdy, trudno jej było zebrać się na odwagę, żeby wydobyć z siebie słowa.

– Proszę pana, czego takiego Nathaniel mi nie powiedział?

– Ach. A więc słyszałaś. – Uśmiech zaigrał na jego ustach. – Otóż nalegał, żeby osobiście pojechać po ciebie do Summershall. Zdaje się, że wywarłaś na nim niemałe wrażenie zeszłej wiosny – był całkowicie przekonany o twojej niewinności. Nathaniel tak rzadko miewa dobrą opinię o ludziach, że nie miałem serca mu odmówić.

Zaniemówiła ze zdumienia. Odruchowo zerknęła w stronę okien, ale powóz dawno już odjechał. Nathaniel się o nią martwił? To zdawało się niemożliwe. Nigdy w żaden sposób tego nie okazał. Prawda?

– O, panie Hob! – zawołał Ashcroft do przechodzącego obok kamerdynera. – Widzę, że wniósł pan już rzeczy panny Scrivener na górę. Czy mógłby pan zaprowadzić ją do pokoju? – Z powrotem zwrócił się do Elisabeth. – Panno Scrivener, obawiam się, że obowiązki mnie wzywają. Jutro jednak chciałbym pomówić z tobą o incydencie w Summershall. Jeśli wiesz coś, czym mogłabyś się ze mną podzielić – cokolwiek, co twoim zdaniem mogło spowodować wczorajszy atak – bardzo by nam to pomogło w śledztwie.

Skinęła głową i ruszyła za kamerdynerem w stronę schodów, zaraz jednak się zawahała. Owszem, miała mu coś do powiedzenia; była jedyną osobą, która wiedziała, że sabotażu dokonał czarownik. Po co czekać do jutra? Mogłaby powiedzieć mu teraz. To zajmie tylko chwilę. Przystanęła na najniższym stopniu, przytłoczona ogromem białych, marmurowych schodów i połączonych poręczy.

– Proszę pana?

Ashcroft się odwrócił. Rubinowe oko zalśniło w świetle żyrandola. Wyraz jego twarzy nie był gniewny, tylko uprzejmie pytający, ale mimo to naszyły ją wątpliwości. Może to jednak nie był dobry moment – nie teraz, kiedy mógł ją usłyszeć kamerdyner i cała reszta służby.

– Gdzie jest pański demoniczny sługa? – spytała zamiast tego.

Ashcroft wydawał się nieco zaskoczony.

– W ciągu dnia pozostaje w odosobnieniu, bo moja żona, Victoria, nie przepada za demonami. Tak jest najlepiej. Lorelei zawsze służyła mi wiernie, ale człowiek nigdy nie powinien nawiązywać zbyt bliskich relacji z tymi istotami. Nie należy zapominać, że są nam posłuszne tylko dlatego, że przymusza je do tego kontrakt. Niektórzy czarownicy drogo zapłacili za ten błąd.

– Jak ojciec Nathaniela – powiedziała niepewnie.

– Ach... cóż. – Twarz mu spochmurniała. – Nie znam wszystkich faktów. Wiem tylko, że wystąpiły pewne... – Pokręcił głową. – Alistair był dobrym człowiekiem. Pod koniec życia nie był sobą. Nie chciałbym mówić źle o zmarłym.

Elisabeth obracała w myślach jego słowa, podążając za kamerdynerem na piętro. Co takiego Ashcroft chciał powiedzieć, zanim urwał?

Żadną miarą nie mogła pojąć więzi łączącej Nathaniela z Silasem – jak Nathaniel mógł pozostawać z nim w tak dobrych stosunkach, wiedząc nie tylko, czym jest, ale też co zrobił? A jednak Silas nie wydawał się skory, żeby skrzywdzić młodszego Thorna. Dlaczego nie skorzystał z okazji i nie zaatakował go, kiedy ten był zaledwie dwunastoletnim chłopcem, bezbronnym i przerażonym?

Zmarszczyła brwi, odsuwając te myśli na bok. Nie powinna tracić czasu na rozmyślanie o Nathanielu. To nie jej interes, czy chce ryzykować życiem, ufając demonowi.

– Twój pokój, panienko – powiedział kamerdyner, zatrzymując się obok drzwi. Jego głos brzmiał niewyraźnie, jakby mówienie sprawiało mu trudność. Spojrzała na niego z zaskoczeniem i poczuła ukłucie niepokoju. Był potężnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, o wiele wyższym nawet od Elisabeth, co oznaczało, że był najwyższym człowiekiem, jakiego widziała w życiu. Jego strój zdawał się niedopasowany do sylwetki, a spojrzenie tkwiących w woskowej twarzy oczu było dziwnie nieobecne.

Podbiegła do nich rumiana służąca, wyraźnie podenerwowana. Kilka kosmyków mysich włosów wysunęło się jej z koka.

– Och, dobry Boże, ty jesteś panną Scrivener, prawda? No chodź, chodź. Jestem Hannah, skarbie, i będę się tobą zajmować podczas twojego pobytu tutaj. Dziękuję, panie Hob.

Pan Hob skinął głową i odszedł, zgarbiony.

– Nie przejmuj się panem Hobem – szepnęła Hannah, widząc, jak Elisabeth się w niego wpatruje. – Parę lat temu miał atak, który prawie w całości odebrał mu zdolność mowy, ale pan Ashcroft i tak go zatrudnił, kiedy nikt inny nie chciał dać mu pracy. Bardzo przyzwoicie z jego strony, a pan Hob muchy by nie skrzywdził, chociaż czasem wydaje się przerażający ludziom, którzy go nie znają.

Elisabeth zarumieniła się z zawstyżeniem. Postanowiła nie gapić się już więcej na kamerdynera ani się go nie obawiać. Posłusznie weszła za Hannah do pokoju.

W pierwszej chwili trudno jej było w ogóle pojąć, że to sypialnia. Czuła się, jakby wkroczyła do wnętrza rzeźby z lodu. Wszystkie farby, obicia i hafty utrzymane były w łagodnych odcieniach srebra i bieli. Z sufitu zwisał żyrandol, odbijając się w lustrze toaletki. Meble zdobiły wymyślne, rzeźbione zawijasy, które przywodziły Elisabeth na myśl wzory, jakie mróz malował na okiennych szybach podczas

zimowych miesięcy, klamki zaś wykonano z czystego kryształu. Najbardziej zdumiewająca była jednak szafirowa sukienka rozłożona na łóżku i czekająca na nią. Pośród wszystkich tych zimowych kolorów, jej głęboka barwa lśniła jak klejnot na śniegu.

– Musiała zajść jakaś pomyłka – powiedziała. Z zachwytem dotknęła toaletki, ostrożnie, jakby oczekując, że rozwieje się jak iluzja w zaczarowanym zamku. Następnie zerknęła z ukosa na suknię, mając wrażenie, że i ona może zniknąć, jeśli się na nią spojrzy wprost. – To nie moja sukienka. Nigdy nie nosiłam takich wspaniałych ubrań.

– Bzdury. Pan Ashcroft podejmuje dzisiaj gości, więc będziesz musiała wyglądać, jak należy. Dobrze chociaż, że udało nam się znaleźć coś mniej więcej w twoim rozmiarze. Rano było z tym straszne zamieszanie, istne urwanie głowy. Na szczęście siostrzenica lady Victorii jest w podróży za granicą, a to też okropnie wysoka młoda dama. Udało nam się pożyczyć od niej kilka sztuk garderoby i na ostatnią chwilę wprowadzić poprawki.

Uwagę Elisabeth przykuło jedno słowo.

– Gości? – zapytała.

– Trudno oczekiwać, że taki wielki człowiek będzie spędzał każdy wieczór na spokojnym odpoczynku. Zaprosił na kolację kilku członków parlamentu oraz ich małżonki.

Puls jej przyspieszył.

– Czy to czarownicy?

Hannah spojrzała na nią dziwnie.

– Nie, skarbie. Pan Ashcroft zaprosił osoby z *Parlamentu*, nie z *Magisterium* – i bardzo dobrze. Te wszystkie demony, to nie na moje nerwy. Wiem, że są konieczne, ale to takie nienaturalne stworzenia. – Wzdrygnęła się i nie zauważyła, jak z Elisabeth uszło napięcie. – A teraz pora zdjąć z ciebie tę starą sukienkę... Co za okropne zadrapanie na ramieniu, biedactwo...

Całą wieczność później, niezliczone zabiegi pielęgnacyjne wreszcie miały się ku końcowi. Skóra Elisabeth piekła nieco po intensywnym szorowaniu, a opuszki palców pomarszczyły się jak suszone morele podczas długiej, gorącej kąpieli w wannie na nóżkach. Głowa na przemian bolała ją i swędziała, kiedy Hannah

znęcała się nad nią za pomocą grzebienia. Elisabeth spowijała delikatna, niepokojąca woń gardenii.

Zwały szafirowego jedwabiu szeleściły wokół niej, gdy Hannah zapinała suknię. Strój był piękny, ale miał mnóstwo zbędnej tkaniny; Elisabeth czuła się, jakby pływała w swoim własnym miniaturowym morzu. A kiedy Hannah zaczęła sznurować jej na plecach gorset, nagle zabrakło jej tchu.

– Nie mogę oddychać – powiedziała, sięgając rękami ku piersi.

Hannah stanowczo ujęła jej dłonie i odsunęła je na bok.

– Taka jest moda, panienko.

Elisabeth głęboko zaniepokoiła myśl, że modnie jest nie oddychać.

– A co, jeśli będę musiała uciekać – zapytała – albo z czymś walczyć?

– W domu naszego pana? – Hannah wydawała się zdumiona. – Wiem, że ostatnio przydarzyły ci się straszne rzeczy, skarbie, ale najlepiej będzie, jeśli zachowasz takie myśli dla siebie. Takie tematy nie są stosowne dla młodej damy. Och, spójrz tylko na siebie.

Obróciła Elisabeth twarzą do lustra. Dziewczyna popatrzyła na odbicie, ledwie się w nim poznając. Kasztanowe włosy spływały jej na ramiona gładkimi, lśniącymi falami, a ona sama nigdy w życiu nie była tak czysta. Błękitne oczy lśniły jasno na tle zaróżowionych od szorowania policzków. Nigdy nie miała co prawda zbyt kobiecych kształtów, ale w szafirowej sukni jej sylwetka wyglądała dumnie i posągowo.

„Zupełnie jak dyrektorka” – pomyślała, czując ucisk w gardle. Nawet kolor materiału przywodził jej na myśl mundur strażnika. Nie rozumiała, co było niestosownego w rozmawianiu o walce, kiedy wyglądała tak, jak teraz.

– Jak ślicznie – westchnęła Hannah. – Ten kolor wspaniale podkreśla twoje oczy, prawda?

Elisabeth z zachwytem wygładziła dłońmi jedwabną tkaninę sukni.

– Myślę, że już pora, żebyś zeszła na kolację. Nie martw się, odprowadzę cię. Okropnie łatwo się zgubić w tym domu – och, skarbie, nie potknij się! W razie potrzeby po prostu unieś trochę suknię...

Za oknami zmierzch barwił już świat odcieniami indygo i fioletu, ale wewnątrz dworu wciąż było jasno jak w dzień. W korytarzach unosił się zapach perfum, przemieszany z wonią lilii, których pęki stały w wazonach na każdym stole. Kiedy

Elisabeth weszła wraz z Hannah do jadalni, blask na moment ją oślepił. Wszystko lśniło w świetle: srebrne sztucce, klejnoty podrygujące na uszach dam jak ogromne krople deszczu, krawędzie kieliszków z szampanem trzymany przez gości, którzy odwracali się, żeby zobaczyć, kto właśnie wkroczył do sali.

Ashcroft stał po drugiej stronie pomieszczenia, pogrążony w rozmowie, ale do Elisabeth podeszła zaraz piękna, wątpła kobieta, przedstawiając się jako żona Ashcrofta, Victoria. Rudobrzowe loki miała upięte na głowie w skomplikowaną fryzurę i co chwila dotykała niepewnie sznura pereł zawieszzonego na szyi, jakby chciała się upewnić, że wciąż tam jest. Jej lekkie, nerwowe ruchy i lśniąca, srebrzysta suknia przypominały Elisabeth gołębia, który pewnej wiosny uwił sobie gniazdo na murach tuż przy pokoju jej i Katrien, i gruchał niespokojnie, ilekroć któraś z nich wystawiła głowę na zewnątrz.

– Obawiam się, że Oberon nie może się wyrwać lordowi i lady Ingram – powiedziała z ciepłym uśmiechem. – Może oprowadzę cię i przedstawię paru osobom, zanim usiądziemy? Wszyscy są tacy podekscytowani możliwością ujżenia cię z bliska. Czytali o tobie w gazetach.

Elisabeth spędziła kilka kolejnych minut, parując po sali, poznając nazwiska rozmaitych poważnie wyglądających ludzi i próbując przed nimi dygać, z lepszym lub gorszym skutkiem. W końcu się poddała i wyjaśniła, że dyganie nie należało do programu nauczania w Wielkiej Bibliotece, na co jej rozmówcy z jakiegoś powodu wybuchnęli śmiechem. Ona również się uśmiechnęła, zdając sobie sprawę, że wzięli jej stwierdzenie za żart.

Po chwili Ashcroft zastukał widelcem o szkło. Zapadła cisza, kiedy stanął u szczytu stołu. Ktoś ze służby wcisnął Elisabeth do ręki kieliszek szampana. Słuchała w nabożnym skupieniu przemowy kanclerza, który opowiadał o postępie, porównując nowe odkrycia i wynalazki związane z węglem, parą i gazem ziemnym do czarodziejstwa.

– Tak samo jak magia – mówił – technologia budzi lęk w tych, którzy nie zgłębili tajemnic jej działania, jednak aby się rozwijać, ludzkość musi przyjmować zmiany z otwartymi ramionami. Zawsze byłem zdania, że odgradzając się od prostych ludzi i utrzymując swoje zajęcia w tajemnicy, czarownicy działają na własną niekorzyść. Jako kanclerz dążę do tego, by rozwiać mrok niewiedzy i rzucić na czarodziejskie praktyki więcej światła.

Wokół rozległy się westchnienia, gdy salę wypełnił złocisty blask, o wiele jaśniejszy niż płomień świec. Bił od porozstawianych na stołach lilii; każdy delikatny pręcik jaśniał, zalewając twarze gości migotliwą, niezmierną poświatą.

Kiedy rozbrzmiały brawa, Ashcroft odezwał się znowu.

– Za postępek – powiedział, unosząc kieliszek.

Elisabeth poszła w ślady pozostałych gości i niepewnie pociągnęła łyk szampana. Był bardziej kwaśny w smaku, niż się spodziewała, ale bąbelki spłynęły w głąb jej gardła i rozeszły się przyjemnym ciepłem w żołądku. Uśmiechnęła się i zaczęła klaskać, porwana falą radości, która nie opuściła jej przez resztę posiłku. Służba wniosła na tacach wonną, zieloną zupę i białą rybę zanurzoną w ziołowym sosie, a następnie półmiski pełne bażantów w glazurze i sarniny ze szparagami. Nigdy w życiu nie kosztowała niczego tak cudownego. Spałaszowała dokładkę i jadła właśnie trzecią porcję.

– Cóż, faktycznie jesteś bardzo wysoka, moja droga – stwierdziła wyrozumiale lady Ingram i w tym momencie u szczytu stołu padło nazwisko Nathaniela. Elisabeth przestała przeżuwać i zaczęła wsłuchiwać się w rozmowę.

– Musi prędko zastanowić się nad małżeństwem, rzecz jasna, dla dobra Austermeer – grzmiał dobitnie i nieco bełkotliwie jeden z polityków. – Tak, tak, ma dopiero osiemnaście lat, ale jej królewska mość zaczyna się niepokoić. Co, gdyby przytrafiła się nam kolejna wojna, a my nie mielibyśmy żadnego Thorna, który zasiałby strach w sercach naszych wrogów? – Uderzył pięścią w stół, aż zabrzęczały sztućce.

– Ależ lordzie Kicklighter, nie zagraża nam teraz żadna wojna – wtrącił się ktoś.

Wąsy lorda Kicklightera zadrżały z oburzeniem.

– Zawsze należy obawiać się wojny! Jeśli nie teraz, to za pięćdziesiąt lat! A jeśli magister Thorn nie doczeka się następcy, co wtedy? Naszej populacji nie wystarczy, żeby obronić nas przed siłami Founderlandii.

Elisabeth zmarszczyła brwi i zwróciła się do lady Ingram.

– Ten człowiek mówi o Nathanielu, jakby był bykiem rozplodowym.

Lady Ingram pociągnęła nosem.

– Mężczyzna taki jak magister Thorn ma obowiązek się ożenić, zwłaszcza teraz, kiedy nie pozostał przy życiu nikt z jego krewnych – odparła. – Nekromantyczny grymuar Baltasara Thorna otwiera się tylko dla jego potomków, co oznacza, że

Nathaniel jest obecnie jedynym czarownikiem zdolnym go odczytać. Jego całkowity brak zainteresowania zalotami to powód do zgryzot dla całego rządu.

– Moim zdaniem nie godzi się – mamrotał inny mężczyzna – przyzywać hordy nieumarłych w miejsce porządných austermeryjskich mężczyzn...

– ...jednak jest to ostatnia deska ratunku, sam pan rozumie, i zawdzięczamy jej pokój od czasu Wojny Kości...

– A to, co spotkało biednego Alistaira? Jego los to oczywisty znak, że nekromancja jest reliktem średniowiecza, a nie bronią godną współczesnych czasów. – Po tej wypowiedzi salę obiegł szmer zgorszonych pomruków.

– Cóż za tragedia, że zginął jego młodszy brat – westchnęła kobieta po drugiej stronie stołu. – Nie wiemy nawet, czy magistra Thorna w ogóle *interesują* dziewczęta. Nigdy nie tańczył z żadną na Królewskim Balu. Gdyby tylko Maximilian wciąż żył, kwestia zachowania ciągłości rodu nie byłaby tak kłopotliwa.

Elisabeth zazgrzytała zębami.

– Ale...

Inna kobieta, lady Childress, od jakiegoś czasu uważnie jej się przyglądała.

– Nazywasz go po imieniu, moja droga – przerwała. – To dość poufałe. – W jednej chwili wszystkie głowy zwróciły się w stronę Elisabeth.

Nigdy dotąd nie czuła się skrępowana swoim wzrostem, teraz jednak wolałaby być niższa, żeby nie widział jej każdy z gości siedzących przy stole. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Nie zdawała sobie sprawy, że istniały zasady zakazujące mówienia po imieniu o osobie w swoim wieku. Prawdę mówiąc, sądziła, że Nathaniel mówił na nią „Scrivener”, bo jej nie lubił. Ze zgrozą uświadomiła sobie, że gdyby wypowiedziała którekolwiek z tych spostrzeżeń na głos, wszyscy uznaliby ją za idiotkę.

– A zatem, czy interesują go młode damy, panno Scrivener? – zapytała lady Childress.

– Nie wiem – odparła Elisabeth, jeżąc się. – Nie mówił mi, co zapewne oznacza, że to nie moja sprawa.

Podano deser, dzięki czemu wszyscy mogli udawać, że nie usłyszeli uwagi Elisabeth. Marszcząc brwi, przyjęła talerz pełen pierogów ze śliwkami. Zaczynała powoli rozumieć cyniczne nastawienie Nathaniela. Nie chciała sobie nawet

wyobrażać, jakie to uczucie, kiedy twoje prywatne sprawy są szczegółowo roztrząsane i wiesz, że każdy aspekt twojego życia stanowi przedmiot plotek na przyjęciach w całym Austermeer.

Poczuła wdzięczność, gdy Ashcroft skierował rozmowę na inne tory, podejmując temat energii parowej, niezrozumiały dla niej, ale niezmiernie fascynujący. Wrócił jej dobry humor i z apetytem zjadła porcję słodkiego kremu oraz dwa pierogi. Zanim się obejrzała, wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia, zataczając się nieco i roztaczając silną woń alkoholu, a służba pomagała im zakładać płaszcz. Elisabeth również wypłała dwa kieliszki szampana i wszystko wokół zdawało się iskrzyć, jakby okna i żyrandole owinięto połyskliwą lametą.

Podążyła za gośćmi do holu, ale nikt nie zwracał już na nią uwagi. Ashcroft stał na zewnątrz, usiłując wyplątać palce z entuzjastycznego uścisku lorda Kicklightera, a Victoria pogrążona była w rozmowie z lady Childress. Hannah miała tu po nią przyjść, ale nigdzie nie było jej widać. Wskazówki stojącego nieopodal zegara wskazywały niemal w pół do drugiej w nocy. Po kilku minutach czekania Elisabeth dostrzegła czepek służącej podrygujący w głębi korytarza. Pospiesznie ruszyła w tamtą stronę, pewna, że się zgubi, jeśli spróbuje przemierzyć posiadłość na własną rękę.

Hannah była daleko przed nią, a Elisabeth wkrótce przekonała się, że nie jest w stanie biegać po śliskiej podłodze, mając na stopach satynowe pantofle. Po kilku zakrętach straciła służącą z oczu i znalazła się całkiem sama w obcym korytarzu. Wokół rozciągał się pełen przepychu, połyskliwy świat z marmuru, złota oraz luster. Szampan iskrzył w jej żołądku jak nowo narodzona gwiazda i czuła się, jakby zbłądziła w krainę snu.

Przystanąła, aby przyrzeć się filigranowemu kinkietowi ociekającemu stopionym woskiem, po czym przejechała palcami po twarzy marmurowego popiersia. Rzeźba przedstawiała młodego, przystojnego mężczyznę, i Elisabeth zaczęła się zastanawiać, co porabia w tej chwili Nathaniel. Czy siedzi sam w swoim ponurym, podobnym do mauzoleum domu, nie mogąc zasnąć, mając za towarzysza jedynie demona? Może spotka go któregoś dnia, kiedy już zostanie strażniczką. Ale nawet jeśli, nie będą mogli porozmawiać o tym, jak walczyli z biesami czy obserwowali mchowego ducha w Czarnoborze. Wymieniliby jedynie kilka zdawkowych słów w drodze do czytelnicy, zupełnie jakby byli sobie obcy.

Do jej uszu dobiegły dźwięki muzyki; szybko cofnęła dłoń. Nieopodal ktoś zaczął śpiewać. Dziwna, pozbawiona słów melodia sunęła korytarzami jak srebrna nić, boleśnie piękna; przeszła serce Elisabeth, jakimś sposobem zdając się dokładnie wyrażać wypełniające ją poczucie niedającej się ubrać w słowa tęsknoty. Nie będąc w stanie się oprzeć, ruszyła na poszukiwanie źródła dźwięku, mijając po drodze saloniki, salę balową oraz oranżerię pełną palm i orchidei.

W końcu trafiła do pokoju muzycznego. Przy fortepianie stała elegancka kobieta z twarzą skrytą w cieniu, obracając lilię w smukłych, odzianych w koronkową rękawiczkę palcach. Elisabeth nie widziała jej przy kolacji. Z pewnością by ją zapamiętała. Lśniące, czarne włosy sięgały jej do pasa, a ubrana była w przepiękną czarną suknię, przy której jej blada, idealnie gładka skóra zdawała się biała jak воск. Kiedy Elisabeth weszła do środka, przestała śpiewać; jej palce znieruchomiały, a lilia upadła na dywan, zapomniana.

– Witaj, skarbie – powiedziała melodyjnym głosem, wchodząc w krąg światła. – Zastanawiałam się, jak długo zajmie ci znalezienie mnie.

Odpowiedź zamarła Elisabeth na ustach, gdy ponad uśmiechniętymi, szkarłatnymi wargami dostrzegła parę śmiertelnie poważnych, szkarłatnych oczu.

Ta kobieta nie była człowiekiem. Była demonem.



– JAKAŚ TY UROCZA. – Demonica podeszła do Elisabeth i położyła jej ręce na ramionach. Jej szkarłatne oczy lśniły w blasku świateł, a nieludzkie piękno zarazem pociągało i odpychało, jakby była rzeźbą wykuta z lodu. – No, ale – ciągnęła – śmiertelnikom nietrudno jest wyglądać uroczo. Wszyscy jesteście tacy delikatni, tak rozczulająco słabi i krusi – jak kocięta. Chodź ze mną, dobrze?

Elisabeth ogarnęło znajome uczucie spokoju i zamroczenia; powieki nagle zaczęły jej ciążyć i opadła w zimne objęcia demonicy. Ale chociaż nie panowała już nad własnym ciałem, jej myśli pozostały jasne. Pragnienie, aby poddać się i zaufać, nie było równie obezwładniające jak wcześniej. Z jakiegoś powodu demoniczny wpływ nie działał na nią tak, jak powinien.

Co takiego mówił Silas? Opierała mu się. Może teraz też się opiera.

Demonica chyba nie zauważyła, że coś jest nie tak. Z uśmiechem odgarnęła kosmyk włosów z policzka Elisabeth, jakby ta była lalką, a potem ujęła ją za rękę. Jej dłoń pod szorstką koronką była trupio zimna.

– Jaka słodka dziewczynka – powiedziała, wyprowadzając ją z pokoju muzycznego z powrotem na korytarz.

Idąc u boku demonicy, Elisabeth momentami widywała swoje odbicie w mijanych lustrach: fale szafirowego jedwabiu i kasztanowych włosów, a wśród nich jej twarz, pozbawiona wyrazu jak twarz manekina. Panika, odległa i stłumiona, jak intruz dobijała się do drzwi w jakimś ukrytym zakątku jej umysłu. O dziwo cieszyło ją to, bo ten brak strachu pozwalał jej jasno myśleć. Przypuszczała, że ma do czynienia ze sługą Ashcrofta, Lorelei. Jej tęczyówki miały identyczny kolor jak czerwone oko kanclerza. Ale czego chciała? Dokąd ją prowadziła?

Trzymając się za ręce, zmierzały w głąb posiadłości. Przeszły przez salon, gdzie Hannah stała i polerowała srebra z rozmarzonym wyrazem twarzy, nucąc pod

nosem nieco fałszywie urywki tej samej melodii, którą Lorelei śpiewała chwilę wcześniej. Nawet nie zerknęła w ich kierunku.

Skręciły kilka razy i stanęły przed drzwiami z polerowanej dębiny, spod których padał na parkiet migotliwy blask ognia. Lorelei weszła bez pukania. Za drzwiami znajdował się ten sam gabinet, z którego Ashcroft wyszedł wcześniej, kiedy znikąd pojawił się przed domem.

Po jednej stronie pokoju ogień trzaskał na palenisku, a po drugiej wielkie, zwieńczone łukiem okno wychodziło na czarny ocean drzew, za którymi lśniły światła miasta. Ashcroft siedział przy biurku naprzeciwko drzwi. Nie, nie tak po prostu siedział, lecz wpatrywał się w grymuar, zaciskając dłonie na skraju mebla po obu stronach księgi. Spojrzenie miał nieprzytomne, a jego ramiona drżały z nerwów. Powietrze było gęste od napięcia. Grymuar unosił się nad blatem, a jego stronice dryfowały nieważko, jakby był zawieszony w zbiorniku z wodą. Inne grymuary, stojące na półkach pod ścianą, szeptały i szeleściły niespokojnie.

Lorelei posadziła Elisabeth na otomanie. Gdy tylko ciało dziewczyny dotknęło poduszek, zwiotczało, jakby zniknęły z niego wszystkie kości. Jedna noga ześlizgnęła się i zawisała pod niewygodnym kątem, ale Elisabeth nie była w stanie nią ruszyć. Czowała się jak marionetka, której poprzecinano sznurki.

– Panie – powiedziała Lorelei.

Ashcroft gwałtownie wciągnął powietrze, wyrwany z transu. Spojrzał w ich stronę nieprzytomnie, marszcząc brwi, po czym zamrugął, dochodząc do siebie. Rozpiął płaszcz i okrył nim grymuar. Elisabeth odetkały się uszy, kiedy ciśnienie w pomieszczeniu wróciło do normy.

– O co chodzi? Czy coś stało się panie Scrivener? – Szybkim krokiem przemierzył pokój i złapał dziewczynę za nadgarstek, przyciskając kciuk, aby zmierzyć puls. Zmarszczył brwi i spojrzał na Lorelei, zbity z tropu. – Rzuciłaś na nią urok. Kazałem...

– ...nie robić jej krzywdy. Uznałam, że powinniśmy pomówić, panie.

– Nie denerwuj się – powiedział Ashcroft. – Wszystko poszło zgodnie z planem.

– Mogłeś mi powiedzieć, co zamierzasz! – Zniżyła głos do syku. – Zaprosiłeś tych wszystkich ludzi, żeby patrzyli! Tych reporterów!

– Moja droga, wiesz, jaki sposób działania preferuję. Im mniej się kryję ze swoimi sprawami, tym mniej pozostawiam miejsca na spekulacje.

Lorelei podeszła do okna i zaciągnęła zasłony.

– Nie chodzi tylko o reporterów. Wmieszałeś w to tego czarownika, Thorna. To mi się nie podoba. O jego służącym chodzą różne słuchy.

– Jak o nas wszystkich, nieprawdaż?

– Nie rozumiesz. Dorastałam, słuchając opowieści krążących o Silasie w Pozaświecie. Wyobrażasz sobie, czego potrzeba, żeby okryć się złą sławą *u nas*? – Objęła się ramionami, gładząc dłońmi nagą skórę. Stała wpatrzona w zasłony, jakby wciąż widziała przez nie nocną panoramę miasta. – Nie powinieneś zwracać na siebie uwagi kogoś takiego jak on.

– Może budzić grozę, ale nie jest wszechwiedzący. Zadbalem o to, żeby naszych pomocników nie było w zasięgu wzroku.

Lorelei nie odpowiedziała. Ashcroft podszedł do barku i nalał sobie czegoś z kryształowej karafki, a następnie usiadł na fotelu naprzeciwko Elisabeth, w zamyśleniu obracając szklankę w dłoni. Przez moment przyglądał się twarzy dziewczyny, po czym upił łyk.

Elisabeth, leżąc bezwolnie na otomanie ze szklistym wzrokiem, wiedziała, że nie powinna tego wszystkiego słyszeć. Rozmawiali tak, jakby w ogóle nie było jej w pokoju. Powoli zdawała sobie sprawę, że coś jest bardzo nie w porządku.

Ashcroft odchylił się na oparcie i założył nogę na nogę, swobodnie unosząc szklankę w dłoni.

– Lepszy Nathaniel niż ktoś inny z Magisterium – podjął w końcu. – Jeśli dziewczyna widziała coś, czego nie powinna, to nie sądzisz, że inny czarownik mógłby zaklęciem uzyskać od niej dowody na długo przed dotarciem do Brassbridge? Ale Nathaniel... wiedziałem, że on jej nie skrzywdzi. Muszę przyznać, że odczułem sporą ulgę, kiedy sam z siebie zaproponował rozwiązanie tego konkretnego problemu. – Upił łyk. – W przeciwnym razie musiałbym uciec się do bardziej drastycznych środków, a wiesz, jak bardzo nie lubię brudzić sobie rąk.

Elisabeth zakręciło się w głowie z przerażenia. Jej instynkt krzyczał, żeby uciekała, żeby walczyła, ale nie była w stanie nawet poruszyć małym palcem.

– Powinieneś był wysłać więcej biesów, panie. Skończyć sprawę szybko, zamiast ją przeciągać. Teraz nie możesz jej już zabić, zbyt wielu ludzi jest w to wpłątanych.

– Moim zamiarem – odparł Ashcroft – nigdy nie było pozbawienie jej życia. Potrzebowałem jedynie pretekstu, żeby ją tutaj sprowadzić. To dopiero początek,

Lorelei. Cokolwiek poszło nie tak w Summershall, nie mogę sobie drugi raz pozwolić na taki błąd. Nie może być więcej żywych świadków.

– No to co mamy z *nią* zrobić? – prychnęła Lorelei.

– Kto wie, czy ona w ogóle jest świadkiem? Może nic nie widziała.

– Nawet jeśli to prawda, to i tak jest dla nas kłopotliwa.

Ashcroft wstał.

– Wiem, co z *nią* zrobić. Ułóż ją, proszę, na podłodze tak, jakby upadła. Niech to wygląda przekonująco. Potem idź i sprowadź tu Hannah.

Zimne dłonie demonicy wsunęły się Elisabeth pod pachy.

– Doprowadzasz mnie do szału, panie – mruknęła.

– Ach, ale to właśnie dlatego moje życie ma dla was, demonów, tak niepowtarzalny smak. – Uniósł kryształową szklankę pod światło tak, że barwne refleksy padły na jego przystojną twarz, i puścił do niej oczko. – Im śmielszy i jaśniejszy duch, tym lepszy trunek.

Policzek Elisabeth dotknął wełnianego dywanu. Teraz widziała tylko powierzchnię z utkanych we wzory włókien, skąpaną w czerwonym blasku paleniska. Myśli krążyły jej w głowie niczym sępy, ponure i nieuchronne, kiedy Lorelei układała jej bezwładne kończyny. To Ashcroft był sabotażystą. To on zabił dyrektorkę. To on nasłał na *nią* biesy. To on był za to wszystko odpowiedzialny. Nic nie wydawało się realne – ani szorstkość dywanu pod jej policzkiem, ani ciepło bijące od kominka i nagrzewające jej suknię. Czuła chłód przenikający ją do szpiku kości. Wcześniej tego dnia o mało nie przypieczętowała swojego losu, mówiąc Ashcroftowi o wszystkim, co wiedziała.

Kroki Lorelei się oddaliły, a chwilę później Elisabeth poczuła na ramieniu delikatny dotyk. Wzdrygnęła się – naprawdę się wzdrygnęła, jej ciało zareagowało. Urok słabł.

– Panno Scrivener? – zapytał Ashcroft łagodnie. – Panno Scrivener, słyszysz mnie?

Niczego nie pragnęła tak bardzo, jak zerwać się na nogi, bronić się, zacząć krzyczeć tak głośno, że zbudziłaby wszystkich we dworze, ale jej jedyną szansą na przetrwanie było odgrywać swoją rolę. Podparła się na łokciach. Włosy opadały jej na twarz, gardło palił kwaśny posmak szampana, a żołądek wywracał się na lewą stronę.

– Pamiętasz coś? Nic ci się nie stało? Pozwól, że ci pomogę.

– Nie... – Elisabeth pokręciła głową, nie podnosząc wzroku, a Ashcroft pomógł jej wstać. Potknęła się o fałdę na dywanie.

– Ostrożnie. Nie przewróć się znowu. Hannah – drzwi się otwały – czy mogłabyś odprowadzić pannę Scrivener do jej pokoju? Wygląda na to, że przytrafił jej się wypadek.

– Och, panno Scrivener! – wykrzyknęła Hannah.

Elisabeth niewiele słyszała z dalszej rozmowy. Jej głowa ze strachu pulsowała tęnym bólem. Ashcroft nie chciał, żeby biesy ją zabiły – liczył na to, że odeprze je wraz z Nathanielem, a całe zajście trafi do prasy. Zaaranżował całą tę sytuację jako pretekst, aby odwołać przesłuchanie i sprowadzić Elisabeth tutaj, do swojej rezydencji, jako gościa.

Jako więźnia.

– Tak – mówił właśnie Ashcroft – weszła do gabinetu i po prostu runęła na podłogę. Nie mam pojęcia, dlaczego włóczyła się po domu...

– Och, proszę pana, tak okropnie mi przykro! Obawiam się, że to moja wina! Wszędzie jej szukałam...

– Proszę, nie obwiniaj się – odparł życzliwie Ashcroft. – Z samego rana wezwę lekarza. Bądź spokojna, panna Scrivener otrzyma najlepszą możliwą opiekę.

Następnego dnia Elisabeth siedziała wpatrzona w srebrną sztukaterię na ścianie sypialni, podczas gdy lekarz przyciskał stetoskop do jej piersi. Ostatnich dwadzieścia minut spędziła, robiąc wdechy i wydechy według jego poleceń, pozwalając mu zaglądać sobie do ust, oczu i uszu, oraz siedząc nieruchomo, kiedy on macał ją po szyi i pod pachami, mruczając coś niewyraźnie o gruczołach.

Czekała, ponuro chwytając się resztek nadziei. Ashcroft nie wiedział, że podsłuchiwała wszystko zeszłej nocy. Musiała tylko zostać na chwilę sam na sam z lekarzem, aby wyjaśnić mu wszystko i poprosić o pomoc. Jednak Hannah, która trzęsła się nad nią przez cały ranek, nie miała najmniejszego zamiaru się oddalać, tylko siedziała wciąż na obitej białym pluszem sofie obok łóżka, załamując ręce.

Przy drzwiach stał pan Hob, czekając, aby odprowadzić medyka z powrotem na dół.

Elisabeth nie mogła zaufać nikomu poza lekarzem. Sądząc z tego, jak zachowywała się Hannah, służba darzyła swojego pracodawcę głębokim poważaniem. W najlepszym razie nie uwierzyłyby; w najgorszym poszłyby prosto do Ashcrofta, a wtedy Elisabeth byłaby zgubiona.

– Hmmm. – Lekarz odsunął słuchawkę z kości słoniowej i zapisał coś w notesie, marszcząc brwi.

Całkiem możliwe, że jej serce nie biło w prawidłowym rytmie. Ledwie była w stanie usiedzieć na miejscu i miała za sobą nieprzespaną noc. W lustrze toaletki widziała, że jest blada jak zjawa i ma podkrążone oczy.

– A więc mówisz, że dorastałaś w bibliotece – podjął lekarz. – Interesujące. Czytasz dużo książek? Powieści?

– Tak, oczywiście. Ile tylko mogę. Chyba wszyscy tak robią?

– Hmmm. Tak jak myślałem. – Zanotował coś jeszcze. – Nadmiar lektury w połączeniu z emocjami kilku ostatnich dni...

Nie rozumiała, co ma piernik do wiatraka.

– Czy mogę z panem pomówić w cztery oczy? – zapytała.

– Oczywiście, panno Scrivener – powiedział to łagodnym, pobłażliwym tonem, od którego krew jej się zagotowała, ale przynajmniej poprosił, żeby Hannah i pan Hob opuścili pomieszczenie. – O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

Elisabeth wzięła głęboki oddech, czekając, aż drzwi zamkną się za służącymi, po czym od razu przeszła do wyjaśnień, pospiesznie opowiadając o eterycznym spalaniu w Summershall, zamachu na jej życie poprzedniej nocy i rozmowie, której była świadkiem w gabinecie Ashcrofta. Mówiła półgłosem, z obawy, że Hannah mogłaby próbować podsłuchiwać pod drzwiami.

– Tak więc sam pan widzi – zakończyła – że trzeba natychmiast kogoś powiadomić – kogoś niepowiązanego z Magisterium, na wypadek, gdyby któryś z pozostałych czarowników był wierny kanclerzowi. Może kogoś z Kolegium albo nawet królową.

Lekarz przez cały czas pilnie notował.

– Rozumiem – powiedział, kończąc zapiski. – A od jak dawna wierzysz, że kanclerz jest odpowiedzialny za te wydarzenia?

– Ja nie *wierzę*, że jest odpowiedzialny. Ja to wiem. – Elisabeth wyprostowała plecy. – Co pan tam pisze? – Pośród niewyraźnych, odręcznych notatek zdołała rozszyfrować słowo „urojenia”.

Lekarz zatrzasnął notes.

– Wiem, że to wszystko musi być dla ciebie przerażające, ale postaraj się zachować spokój. Silne emocje tylko pogorszą stan zapalny.

Wbiła w niego wzrok.

– Stan... co takiego?

– Zapalenie mózgu, panno Scrivener – wyjaśnił cierpliwie. – To częsta przypadłość wśród kobiet, które czytają powieści. – Zanim Elisabeth zdążyła wymyślić jakąś odpowiedź na to zdumiewające stwierdzenie, wezwał z powrotem umierającą ze zmartwienia Hannah. – Proszę przekazać kanclerzowi, że przepisuję pacjentce ścisły odpoczynek. Musi leżeć w łóżku – powiedział do niej. – Jasnym jest, że to klasyczny przypadek hysterii. Panna Scrivener powinna unikać wszelkiego wysiłku. Kiedy z mózgu zejdzie opuchlizna, jej rozum może wróci do normy.

– *Może?* – przeraziła się Hannah.

– Z przykrością stwierdzam, że niektóre przypadki są chroniczne, a nawet nieuleczalne. Rozumiem, że to znajda, pozostająca tu jako podopieczna kanclerza Ashcrofta? Pozwolę sobie polecić szpital Leadgate. Naczelnym lekarzem to mój dobry znajomy. Jeśli stan panny Scrivener się nie poprawi, wystarczy, że kanclerz wyśle list...

Krew Elisabeth zagotowała się ze złości. Dość już się nasłuchiwała. Ten lekarz był taki sam jak strażnik Finch, taki sam jak Ashcroft: wydawało mu się, że może z nią zrobić, co zechce, tylko dlatego, że w danej chwili ma nad nią władzę. Ale się mylił.

Kiedy wstawał, z całej siły złapała go za rękę. Na próżno starał się wyrwać; spojrzał na nią ze zdumieniem, jakby widział ją po raz pierwszy, otwierając i zamykając usta jak przestraszona ryba. Przyciągnęła go do siebie. Nie mogąc się mierzyć z jej siłą, stracił równowagę i o mało nie przewrócił się na łóżko.

– Posłuchaj mnie – powiedziała ostrym, niskim szeptem, na tyle cicho, żeby Hannah jej nie słyszała. – Nie dorastałam w zwyczajnej bibliotece, tylko w jednej z Wielkich Bibliotek. Możesz sobie szydzić z książek, ale nigdy w życiu nie widziałeś prawdziwej księgi, i całe szczęście, bo nie przetrwałbyś z taką ani jednej chwili sam na sam. – Zacisnęła palce, aż syknął z bólu. – Musisz natychmiast jechać do Kolegium. Kanclerz powiedział, że to dopiero początek. Cokolwiek planuje, zginie więcej osób. Rozumiesz? Musisz... musisz...

Lekarz pobladł.

– Panno Scrivener? – zapytał.

Elisabeth puściła go i wskazała na lustro, a raczej na odbicie pana Hoba, bo chociaż kamerdyner czekał za drzwiami, zwierciadło pozwalało ujrzeć go, stojącego w korytarzu. Tyle tylko, że nie był już kamerdynerem ani nawet człowiekiem.

– Patrz – szepnęła.

W panu Hobie niezmienny pozostał jedynie garnitur, zwisający teraz z wychudzonej, zgarbionej, nieludzkiej sylwetki. Jego skóra przybrała chorobliwy, liliowy odcień, i wydawała się groteskowo stopiona; kawałki ciała zwisały z brody i z policzków jak krople łoju. Uszy miał spiczaste, a palce fioletowych dłoni zakończone pazurami. Najgorsze ze wszystkiego były oczy, nienaturalnie okrągłe i blade, a przy tym wielkie jak spodki. Lśniły w cieniu jak para szklanych, wpatrzonych w nią księżyców.

Zerkając niepewnie to na Elisabeth, to na lekarza, Hannah do końca otworzyła drzwi. Pan Hob nie zareagował. Stał w milczeniu, nie mrugając swoimi okropnymi, błyszczącymi oczami, podczas gdy wszyscy pozostali się w niego wpatrywali.

– Widzisz – szepnęła Elisabeth. – To demon. Jakiś goblin albo imp.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. W końcu lekarz odchrząknął, burząc napięcie, i ruszył szybko w stronę drzwi, jakby się spodziewał, że Elisabeth wyskoczy z łóżka i się na niego rzuci. Jakby to *ona* była demonem, a nie pan Hob.

– Jak już mówiłem – powiedział do Hannah – proszę jak najszybciej przekazać moją rekomendację kanclerzowi. – Wcisnął jej karteczkę do ręki. – To bardzo ciężki przypadek. Leadgate dysponuje najlepszym możliwym wyposażeniem...

Ruszył za panem Hobem, najwyraźniej nie obawiając się kamerdynera. Jego głos, wychwalający zalety kąpieli w wodzie z lodem dla „rozchwianych umysłowo”, stopniowo cichł w głębi korytarza. Elisabeth siedziała, oszołomiona i roztrzęsiona, powoli uświadamiając sobie, co zaszło. Nikt oprócz niej nie widział prawdziwej postaci pana Hoba.

Teraz w lustrze widać było tylko jej odbicie. Dygocząc w cienkiej koszuli nocnej, z twarzą pobladłą jak płótno, Elisabeth musiała przyznać, że wygląda w każdym calu jak dziewczyna, za jaką uznał ją lekarz. A teraz była uwięziona w Dworze Ashcroftów – potrzasku gorszym niż lochy Wielkiej Biblioteki, zdana na łaskę swojego największego wroga.



PRZEZ KILKA NASTĘPNYCH dni kanclerz Ashcroft odnosił się do Elisabeth wyłącznie z pełną niepokoju troską. Poranki i wieczory spędzała w swoim pokoju, ale popołudniami Hannah ubierała ją i prowadziła na chwilę do oranżerii, żeby zażyła trochę świeżego powietrza. Odpoczywała tam pod opieką służącej, siedząc w wyściełanym poduszkami wiklinowym fotelu, z nogami przykrytymi kocem, i wdychając wilgotną, ziemistą woń roślin oraz kwiatów. Otaczały ją bujne kępy kwiecista i koronkowych paproci, których egzotyczne liście ociekały rosą. Można by się tu poczuć jak w raj, gdyby wokół nie roilo się również od demonów.

Odkąd ujrzała prawdziwą postać pana Hoba, widziała je wszędzie. Przemykały to tu, to tam, wykonując rozmaite prace: zamiatały liście z chodników, podlewały rośliny w donicach, przycinały kwietne rabaty. Większość nie dorównywała okazałością panu Hobowi; były mniejsze, a ich ciała pokrywała łuska, nie skórzaste narośle. Niektóre miały ostre zęby, a inne długie, spiczaste uszy, wszystkie zaś nosiły zupełnie dla nich niestosowne, złociste liberie Ashcrofta. Alejkami często przechadzali się goście, w ogóle jednak nie zwracali uwagi na demony, które dla nich wyglądały jak zwyczajni służący. Istoty również ignorowały gości, pochłonięte sumiennym wypełnianiem obowiązków.

Lęk w Elisabeth budziły nie tyle same demony, co raczej pytanie, w jaki sposób Ashcroft skłonił tak wiele z nich do posłuszeństwa. Były to wyraźnie pomniejsze demony, nie szlchetnego rodu, jak Silas i Lorelei. Co takiego im obiecał? Jaka oferta mogła być na tyle kusząca, że gotowe były przywdziać uniformy i mu usługiwać? Możliwości były zbyt przerażające, by o nich myśleć.

Z zapartym tchem czekała na okazję, aby z kimś porozmawiać, z kimkolwiek spoza dworu, ale żaden z gości nie podszedł na tyle blisko, żeby mogła go ostrzec. Obserwowali ją z daleka, jakby była jednym z rzadkich okazów z cieplarni kanclerza: mięsożernym dzbanecznikiem albo trującym oleandrem.

Tego popołudnia z trudem zdołała się nie wzdrygnąć, kiedy jeden z demonów podszedł z parą nożyc ogrodniczych w rękach i zaczął przycinać palmę za jej plecami. Miał jasnoczerwoną skórę i puste, jednolicie czarne oczy. Hannah nuciła sobie w błogiej nieświadomości, przeciągając igłę przez tamborek. Melodia była ładna, ale dziwna – kolejna pieśń Lorelei.

Uwagę Elisabeth przykuły czyjeś szepty. Zza pluskającej fontanny wyglądała grupka dziewcząt w jej wieku, ubranych w jedwab i koronki. Mogła się tylko domyślać, jak wygląda w ich oczach, siedząc bez ruchu i zerkając niespokojnie na służącego.

– To takie smutne – powiedziała jedna z nich. – Kanclerz Ashcroft okazał wielką dobroć, przyjmując ją pod swój dach. Słyszałam, że zupełnie oszalała.

– Nie! – wykrzyknęła inna, ściskając w dłoniach parasolkę.

– Och, tak. Podobno zaatakowała lekarza. O mało nie powaliła go na podłogę, tak mówił ojciec. Szaleństwo daje jej straszną siłę.

– Nic dziwnego. Jest ogromna! Widziałyście kiedyś taką wysoką dziewczynę?

– Mnie chyba kiedyś się zdarzyło, w wędrownym cyrku – odparła żartobliwie pierwsza dziewczyna.

– Słyszałam od lady Ingram – wtrąciła kolejna – że dziwnie się zachowywała ostatnio przy kolacji. Mówiła niewiele, a gdy już się odezwała, była niegrzeczna, jakby nikt nigdy nie nauczył jej dobrych manier. Zdaniem lady Ingram od początku było widać, że coś z nią jest nie tak.

Elisabeth aż się zagotowała ze złości. Nie była skora do nienawiści, teraz jednak czuła, że nienawidzi lady Ingram, nienawidzi tych dziewczyn – jak mogły być tak okrutne i jednocześnie wypowiadać się na temat dobrych manier?

Jedna z dziewczyn westchnęła gwałtownie.

– Widzicie, jak na nas patrzy?

– Szybko, wynośmy się stąd...

Elisabeth spojrzała za uciekającymi dziewczynami, zaczepiającymi w biegu wstążkami o liście palm, i czuła, jak uchodzi z niej cała furia. Uświadomiła sobie nagle, że to kolejny element planu Ashcrofta.

Było to przerażająco logiczne. Im więcej wystawiał ją na widok publiczny, tym więcej jego goście mogli o niej plotkować, coraz bardziej utwierdzając się w przekonaniu o jej szaleństwie. Widzieli zarazem, że kanclerz nie żałuje kosztów,

aby zapewnić jej wygodę i dobrobyt. Tak samo, jak otoczył iluzją swoją służbę, zbudował wokół siebie jeszcze większą mistyfikację, nie zużywając na to ani krzty magii. Nawet gdyby Elisabeth zdołała z kimś porozmawiać, jej prośby o pomoc uznano by za kolejny dowód niepoczytalności.

Nie widziała wyjścia z pułapki, którą na nią zastawił. Ucieczka nie wchodziła w grę. Gdyby spróbowała zbiec, zrozumiałby, że go podejrzewa, i gra byłaby skończona. Straciłaby ostatnią szansę, jakkolwiek niewielką, żeby obnażyć prawdę o nim. Nie miała innego wyboru, jak tylko ciągnąć tę komedię.

Gdzieś spoza oranżerii dobiegło bicie zegara.

– Chodźmy, skarbie. – Hannah podniosła się z krzesła. – Pora na twoją codzienną wizytę u kanclerza. To taki dobry człowiek, tak bardzo troszczy się o to, żebyś wyzdrowiała. Mam nadzieję, że docenisz wszystko, co dla ciebie robi.

Elisabeth ugryzła się z język i wyszła za służącą z oranżerii. Gdyby tylko Hannah wiedziała, w jakim celu tak naprawdę kanclerz wzywa ją co dzień do swojego gabinetu. Idąc lśnięcymi, pełnymi luster korytarzami dworu, z każdym krokiem czuła narastające przerażenie. Zanim dotarła na miejsce, wnętrzności zdążyły się jej związać w supeł. Z trudem zapanowała nad wyrazem twarzy, kiedy drzwi uchyliły się i ujrzała za nimi Ashcrofta wycierającego dłonie w ściereczkę.

– Dzień dobry, panno Scrivener. Wejdz, proszę. – Choć jego głos brzmiał tak ciepło, jak zawsze, dostrzegła przebłysk frustracji w różnokolorowych oczach. Był to jedyny znak, że jej wizyty nie przyniosły jak dotąd pożądaných rezultatów. – Hannah, zechciałabyś nam przynieść herbaty?

Gestem zaprosił Elisabeth do środka. Dziewczyna weszła i usiadła sztywno na sofie, zmuszając się, żeby nie odbiegać wzrokiem w stronę grymuaru leżącego na biurku Ashcrofta. Zawsze nakrywał go płaszczem, zanim weszła, ale wiedziała, że to ten sam, który studiował pierwszej nocy jej pobytu we dworze. Jego obecność pozostawiała jej z tyłu języka kwaśny, stęchły posmak. Sądząc po tym, jak kanclerz szorował dłonie, w dotyku księga była równie nieprzyjemna.

Ashcroft odłożył szmatkę i usiadł naprzeciw niej w swoim ulubionym fotelu. Wydawał się tak szczerze zatroskany, że mimo wszystkiego, co się wydarzyło, niemal była skłonna uwierzyć, że gdzieś w głębi duszy obchodzi go jej los. Potem jednak promień słońca rozświetlił głębię jego rubinowego oka i przed oczami stanęły jej rude włosy dyrektorki rozsypane na podłodze.

– Jak się dzisiaj czujesz? – zapytał łagodnym tonem, od którego przeszły ją ciarki.

– Dużo lepiej, dziękuję. – Przełknęła ślinę, zbierając się na odwagę. – Chyba jestem już gotowa do drogi.

Ashcroft zmarszczył współczująco brwi.

– Jeszcze tylko kilka dni, panno Scrivener. Lekarz stanowczo nalegał, żebyś jak najwięcej czasu spędzała w łóżku.

Spuściła wzrok, starając się nie okazać swojego przerażenia. Na szczęście medyk nie wspomniał nic o tym, co mu powiedziała, w przeciwnym razie Ashcroft nie kłopotałby się tymi spotkaniami.

Rozległo się pukanie do drzwi, obwieszczając powrót Hannah, niosącej herbatę i ciastka z lukrem. Elisabeth poskubała je trochę dla zachowania pozorów, chociaż ledwie była w stanie je przełknąć. Ścisnęło ją w żołądku, gdy drzwi znów się otwały. Tym razem nie była to Hannah. Miała tylko kilka sekund, zanim urok Lorelei opadł na nią jak ciepły, duszący koc. Ashcroft pochylił się do przodu, składając ręce.

Tak właśnie zaczynało się każdego dnia przesłuchanie.

– A teraz, panno Scrivener – powiedział – może porozmawiamy jeszcze raz o ataku na Summershall? Zobaczmy, czy przypomniałaś sobie coś nowego, dobrze?

Jego głos pozostał tak samo życzliwy, ale z twarzy zniknął przyjemny wyraz. Elisabeth wiedziała, że stąpa po ostrzu noża. Jeden fałszywy krok i Ashcroft zorientuje się, że urok Lorelei nie działa tak, jak powinien, przymuszając ją do mówienia prawdy. Najdrobniejszy błąd mógł ją kosztować życie. Dokładała starań, żeby zachować neutralny wyraz twarzy i mówić drewnianym głosem, wdzięczna za oziębiający wpływ uroku. Gdyby nie on, nie byłaby w stanie usiedzieć spokojnie przed Ashcrofem, a co gorsza, nie dałaby rady kłamać.

– Możesz mi powiedzieć, co zbudziło cię tamtej nocy? – naciskał Ashcroft. – Usłyszałaś coś? Poczulaś?

Zadawał jej to pytanie już wiele razy. Uważała, żeby zawsze odpowiadać tak samo.

– Przyszła burza. Wiatr strasznie wył i gałęzie uderzały w okno.

Zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

– A kiedy wstałaś z łóżka, czułaś się jakoś inaczej niż zwykle?

Chciał wiedzieć, jak zdołała oprzeć się jego usypiającym czarom, ale nawet sama Elisabeth nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Mechanicznym ruchem pokręciła głową.

Ashcroft zacisnął szczęki. Była to pierwsza oznaka, że jego cierpliwość ma swoje granice, i Elisabeth poczuła, że robi jej się niedobrze. Nie chciała się przekonać, do czego jest zdolny, gdy puszcza mu nerwy.

Dobiegł ich dźwięk z kąta, gdzie Lorelei smarowała smyczek kalafonią. Tego dnia miała na sobie szkarłatną suknię, dopasowaną kolorem do jej warg i oczu, tak długą, że spływała z fotela jak wodospad, tworząc na dywanie lśniąca kałużę, jakby demonica siedziała wśród rozlanej krwi.

– Dziewczyna coś przed tobą ukrywa, panie – powiedziała.

Ashcroft się obejrzał.

– Jesteś pewna? Czy to możliwe?

Elisabeth włosy na karku stanęły dęba. Zmusiła się, aby nie reagować, wiedząc, że najdrobniejszy ruch mógłby ją zdradzić.

– Jeśli ma jakąś tajemnicę, może ją instynktownie chronić, nawet pod działaniem uroku. Większość ludzi nie dałaby rady, ale ta dziewczyna ma silną wolę. Jej duch płonie jasno jak płomień. – Lorelei zerknęła na Elisabeth spod przymkniętych powiek, tak mocno przypominając w tym momencie Silasa, że dziewczyna dostała gęziej skórki. – Tak bardzo chciałabym go skosztować.

Ashcroft odchylił się na oparcie, układając z dłoni piramidkę.

– Co w takim razie proponujesz?

– Wejź w jej umysł. Wydrzyj jej to wspomnienie siłą i zniszcz całą resztę.

– Na to jeszcze za wcześnie. Musi być widziana jeszcze przez kilka dni, zanim się jej pozbędę. Jeśli wieści o jej losie dotrą do gazet, będę potrzebował świadków, którzy potwierdzą diagnozę lekarską.

Lorelei nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzysz, panie. I jesteś pewien, że jej obecność tutaj nie odciąga cię od pracy?

Ashcroft zerknął na biurko, na ukryty pod płaszczem grymuar. Biorąc pod uwagę, jak lewitował tamtej nocy, Elisabeth zgadywała, że to klasa piąta, może

nawet szósta. Reformy zakazały posiadania grymuarów klas od czwartej wzwyż przez prywatnych właścicieli. Skoro Ashcroft był skłonny trzymać w domu tak niebezpieczną księgę, musiało to być coś ważnego.

Osunął się nieco w fotelu. Cień pogłębił zmarszczki na jego twarzy.

– Idzie opornie – stwierdził – ale do czasu Harrows zdobędę to, czego mi potrzeba.

Puls Elisabeth przyspieszył. Wielka Biblioteka w Harrows położona była w północno-wschodnim rogu Austermeer, gdzie Czarnobór stykał się z górami – na najbardziej odludnych obszarach, odpowiednich do przechowywania grymuarów wysokiego ryzyka. Z opisów, które czytała, wyłaniał się obraz fortecy z czarnego kamienia wzniesionej pomiędzy grzbietami Gór Jelenich. Jej niedostępna krypta zawierała dwa z trzech istniejących grymuarów dziesiątej klasy. Czy Ashcroft zamierzał ją zaatakować, tak jak Summershall i Knockfeld?

Jakie by nie były jego plany, grymuar spoczywający na jego biurku najwyraźniej odgrywał w nich kluczową rolę. Musiała odkryć, co to za księga, bez względu na ryzyko.

Okazja nadarzyła się dwa dni później, kiedy pan Hob stanął w drzwiach w trakcie przesłuchania.

– Gość – oznajmił niskim, zniekształconym głosem. – Lord Kicklighter do pana.

– Tak bez zapowiedzi? – Twarz Ashcrofta spochmurniała. – Pomówię z nim w salonie. Lorelei, pilnij Elisabeth. – Wyszedł z pokoju, a chwilę później w korytarzu zadudniło donośne powitanie lorda Kicklightera.

Elisabeth myślała gorączkowo. Sądząc po tym, jak długo Kicklighter ścisnął mu dłoń w noc przyjęcia, Ashcroft będzie zajęty przez przynajmniej kilka minut. Czuła na sobie znudzone spojrzenie Lorelei. Musiała tylko ją skłonić, żeby na parę sekund opuściła gabinet. Nie wiedziała jednak, jak to zrobić. Gdyby chociaż siedziała bliżej regałów z książkami, na pewno dałaby radę któryś przewrócić.

Widziała swoje odbicie w ozdobnym lustrze wiszącym na ścianie. Błada i wymizerowana, nie pasowała do ekstrawaganckiej sukni w kolorze ametystu, w którą Hannah zapakowała ją tego ranka. Powoli przyzwyczajała się do drogich

gorsetów ściskających jej pierś, ale w nerwowych chwilach, takich jak ta, wciąż czuła, że brakuje jej tchu.

Myśl rozbłysła jej w głowie jak przeszywająca niebo błyskawica. Głośno złapała oddech, przyciągając uwagę Lorelei. Chwyła się dłonią za pierś, a potem przewróciła oczami do tyłu i osunęła się bezwładnie na dywan, upadając z taką siłą, że zadygotały filizanki na stoliku.

Cisza. Elisabeth czuła na sobie ciężar wzroku Lorelei. Ta w końcu uznała chyba, że Elisabeth nie udaje; wstała z szelestem atłasu, przekroczyła bezbronne ciało dziewczyny i wyszła z gabinetu. Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Elisabeth zakasała spódnice i pospieszyła do biurka. Zebrała się w sobie i odrzuciła na bok płaszcz Ashcrofta.

Grymuar leżał otwarty pod rozciągającym się wzdłuż jego grzbietu łańcuchem, a karty wypełniało pochyłe, spiczaste pismo. Tylko tyle zdążyła zobaczyć, zanim uderzyła w nią fala wrogości, zmuszając ją, by zrobiła krok w tył. Męski głos wrzeszczał bez słów w jej głowie, atakując ją nawałnicą furii i udręki.

Nie miała czasu się zastanawiać, czy popełniła błąd. Brzegi pokoju pociemniały, a stronice grymuaru zafurgotały, jakby do gabinetu wdarł się porywisty wiatr. Zacisnęła zęby i z całej siły oparła się woli grymuaru, wyciągając przed siebie drżącą z wysiłku rękę. Na czoło wystąpiły jej krople potu. Nawet wskazówki stojącego na kominku zegara zdawały się przesuwac wolniej, jakby powietrze zmieniło się w melasę. W końcu opuszki jej palców musnęły skórę i przez jej ciało przepłynął okropny, chaotyczny strumień splątanych emocji. Tęsknota. Gniew. Zdrada. Nigdy dotąd nie czuła czegoś takiego. Z trudem przełknęła ślinę, żałując, że nie ma żelaznych rękawic, które przytłumiłyby psychiczne emanacje grymuaru.

– Nie jestem twoim wrogiem – wydusiła z siebie. – Kanclerz Ashcroft mnie tutaj więzi. Zamierzam go powstrzymać, jeśli tylko zdołam.

Męski głos w jednej chwili umilkł, a ciśnienie w pokoju zelzało. Elisabeth poleciała do przodu i oparła się o biurko; napięte mięśnie dygotały z wysiłku. Grymuar leżał teraz spokojnie. Jej rozpaczliwe domysły okazały się słuszne – obiektem wrogości i furii była nie ona, lecz Ashcroft.

– Czego on od ciebie chce? – wymruczała, ostrożnie podnosząc księgę z blatu.

Oprawiona była w dziwną, łuskowatą skórę o szkarłatnej barwie, niepokojąco podobną do tej u impów z oranżerii, a okładkę zdobił pentagram. Tytuł wyblakł ze

starości, ale słowa pozostały czytelne: *Codex daemonicus*.

Serce zamarło jej na moment. Widziała już kiedyś ten tytuł, i to niedawno. Gdzie to było? W powozie Nathaniela, w drodze przez Czarnobór...

„Do czasu Harrows zdobędę to, czego mi potrzeba”, powiedział Ashcroft. Cokolwiek to było, najwyraźniej znajdowało się w tej księdze. Wysilała pamięć, próbując dojść, dlaczego *Leksykon* o niej wspominał. To było w rozdziale o demonach. Zdołała sobie jedynie przypomnieć, że dzieło zawierało ponoć brednie spisane przez szalonego czarownika, który twierdził, że ukrył w niej jakiś sekret...

W korytarzu zabrzmiały kroki. Elisabeth bez tchu chwyciła płaszcz Ashcrofta i naciągnęła go z powrotem na grymuar. Mając nadzieję, że tylko ona słyszała jego psychiczne wrzaski, pospiesznie przemknęła przez pokój i rzuciła się na podłogę, układając się w pozycji na tyle zbliżonej do wcześniejszej, na ile była w stanie.

Zdążyła w ostatniej chwili. Zaledwie kilka sekund później padł na nią cień, a w nozdrza zapiekła kwaśna woń, ożywiając każdy nerw w jej ciele. Zerwała się z podłogi, tłumiąc krzyk, ale Lorelei przytrzymała ją w żelaznym uścisku; przez koronkową rękawiczkę dało się wyczuć lekkie ukłucia pazurów. W drugiej dłoni trzymała kryształową fiolkę pełną czegoś, co wyglądało jak sól.

– Już, już – uspokajała mdląco słodkim głosem. – Wszystko w porządku. To tylko sole trzeźwiące, skarbie. Na chwilę zasłabłaś, ale już po wszystkim.

– Daj mi ją – powiedział Ashcroft. – Ta farsa ciągnie się już zbyt długo. Pora to zakończyć.

Lorelei puściła ją i odsunęła się. Zanim Elisabeth zdążyła zareagować, Ashcroft chwycił ją i obrócił twarzą do siebie. Wyraz jego twarzy budził grozę. Wyglądało na to, że cały swój dobrotliwy urok zużył w rozmowie z lordem Kicklighterem i nie był już w stanie dłużej udawać.

Jego cierpliwość w stosunku do niej dobiegła końca. Teraz czekało ją spotkanie z potworem kryjącym się pod maską tego mężczyzny.

– Słuchaj, dziewczyno – rzucił, potrząsając nią tak, że zadzwoniły jej zęby – powiesz mi wszystko, co wiesz. – A potem przyłożył jej dłoń do czoła i myśli Elisabeth eksplodowały jak nowonarodzona gwiazda.

Gabinet zniknął; czerń pochłonęła wszystko oprócz niej, Ashcrofta i ostrych, połyskujących srebrzyście odłamków zawieszonych w otaczającym mroku. Po ich

powierzchni przepływały znajome obrazy, bezgłośnie przebłyski koloru i ruchu. To były jej własne wspomnienia, unoszące się w pustce jak okruchy roztrzaskanego zwierciadła, a każde z nich ukazywało inną scenę. Rude włosy dyrektorki lśniące w blasku pochodni. Strażnik Finch unoszący dźwignię. Roześmiana twarz Katrien.

Chociaż Elisabeth wciąż czuła na ramieniu brutalny uścisk kanclerza, w tym miejscu stał on kawałek od niej. Odwrócił się, obserwując fragmenty wspomnień, po czym uniósł dłoń. Odłamki zaczęły wirować wokół nich jak migotliwy cyklon, zlewając się ze sobą, aby ukazać nie przypadkowy ciąg oderwanych scen, lecz pełne wspomnienia; życie Elisabeth przepływało obok iskrzącą się rzeką szkła. Przez pustkę niosły się echem zniekształcone dźwięki: śmiech, szepty, krzyki. Ze ściśniętym żołądkiem zobaczyła siebie jako małą dziewczynkę, pędzącą przez las w stronę Summershall, z brązowymi włosami rozwiewanymi wiatrem, podczas gdy mistrz Hargrove z trudem usiłował za nią nadążyć. To były *jej* wspomnienia, nieprzeznaczone dla oczu Ashcrofta.

– Pokaż mi, co ukrywałaś – rozkazał kanclerz. Jego okrutny, głuchy głos dobiegał ze wszystkich stron.

Słoneczne, letnie popołudnie zbladło, zastąpione widmowym obrazem Elisabeth schodzącej po schodach Wielkiej Biblioteki w koszuli nocnej, z wysoko uniesioną świecą. Poczuła, jak magia wyrywa wspomnienie z jej głowy siłą tak nieubłaganą, jak fala odpływu, i panika ścisnęła jej pierś. Czuła i słyszała to, co wtedy. Patrzyła, jak Elisabeth z przeszłości otwiera drzwi i przystaje, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w ciemność. Lada moment poczuje zapach eterycznego spalania, dowód, że zbrodnię popełnił czarownik.

Elisabeth musiała to zatrzymać, ale nie była w stanie oprzeć się czarnoksiężskiej mocy Ashcrofta. Przeczuwała, że jeśli spróbuje z nim walczyć, jej wspomnienia roztrzaskają się na tysiąc kawałków i przepadną na zawsze. On był gotów zniszczyć jej umysł – całe jej życie – gdyby zaszła taka potrzeba. Musiała coś mu pokazać.

Dlatego sięgnęła w głąb siebie, tam, gdzie skrywała swoje najcenniejsze wspomnienia, i znalazła coś, co mogła mu dać.

– Wiesz, dlaczego postanowiłam cię zatrzymać, Elisabeth? – zapytała dyrektorka.

Zaparło jej dech w piersi. Wspomnienie przeskoczyło w czasie do chwili, kiedy znalazła ciało dyrektorki. Słowa, które tamta wypowiedziała w krypcie, w wizji padły z jej ust tuż przed śmiercią, jako ostatnie wyznanie przeznaczone tylko dla uszu Elisabeth. Zdołała sprawić, że dwa wspomnienia zlały się w jedno – i zdawało się ono prawdziwe, bo dla niej faktycznie takie było. Żal i tęsknota przeszły jej serce niczym strzała. Nie spodziewała się, że kiedyś jeszcze usłyszy głos dyrektorki.

– Pamiętam, że szalała burza. – Słowa wydobywały się urywanym szeptem spomiędzy splekanych warg kobiety. – Grymuary były tamtej nocy niespokojne...

Ashcroft obserwował wspomnienie, marszcząc brwi.

– Wielka Biblioteka cię wybrała.

Ashcroft potrząsnął głową z niesmakiem i się odwrócił. Skinął dłonią, a odłamki, krusząc się, runęły w dół, jak ogromna masa wody.

– Nie! – krzyknęła Elisabeth. Zbyt późno przypomniała sobie, co Lorelei powiedziała dwa dni temu: „Wydrzyj jej to wspomnienie siłą i zniszcz całą resztę”.

– Twoje miejsce było w bibliotece...

Rzeczywistość zalała ją na nowo burzą kolorów i dźwięków. Ktoś krzyczał. Elisabeth bolało zdarte do krwi gardło, bolało ją całe ciało, w ustach czuła smak soli i miedzi, a świat wokół cuchnął przypalonym metalem.

Głos Ashcrofta dryfował ponad jej cierpieniem jak statek na spokojnym morzu.

– Niczego nie wie. To wspomnienie, które przed nami ukrywała, to tylko sentymentalna błahostka – ważna dla niej, być może, ale nie dla nas. Wezwij pana Hoba. Wszystko jest już przygotowane. – Jego głos stał się bardziej odległy, a może to ona się oddalała, staczała w jakieś mroczne miejsce, z którego nie było powrotu. – Dziś w nocy pojedzie do Leadgate.



ZA OKNAMI POWOZU panował mrok przecinany światłami miasta. Niebo spowijały gęste chmury, rozświetlone blaskiem księżycy w pełni, lśniącego jak srebrna moneta zagubiona w brudnym rynsztoku. Elisabeth nie widziała tej części Brassbridge, kiedy przyjechała tu z Nathanielem w zeszłym tygodniu, nie licząc smużki dymu na horyzoncie, wyglądającej jak brudna plama. Stare budynki z cegły miały ściany poczerńiałe od sadzy, a koła powozu rozchlapwały błotniste kałuże. W powietrzu wisiał wilgotny chłód. Gdzieś nieopodal, w ciemności, zabrzmiało żalosne bicie dzwonu.

Siedziała pochylona, dygocząc. Nieskładne myśli wypełniały jej głowę jak potłuczone szkło, a oślepiający ból przeszywał czaszkę, ilekroć powóz podskoczył na koleinie.

„Nazywam się Elisabeth Scrivener. Pochodzę z Summershall. Kanclerz Ashcroft jest moim wrogiem. Muszę go zdemaskować...”.

Powtarzała te słowa w myślach raz za razem, dopóki nie zaczęły brzmieć jak prawda. Jedno po drugim, składała swoje wspomnienia w całość, dopasowując potrzaskane krawędzie. Zakłęcie, którym potraktował ją Ashcroft, powinno było zniszczyć jej umysł, pozostawiając jedynie pustą skorupę – tak się jednak nie stało. Nadal była sobą. Nawet ból przypominał jej tylko, że wciąż żyje i ma cel.

Za oknami pojawiło się wysokie, metalowe ogrodzenie. Powóz zaczął zwalniać, aż zatrzymał się przed bramą z kutego żelaza, za którą mieścił się gmach szpitala Leadgate. Szereg kolumn z przodu i zwieńczona kopułą kaplica nadawały długiemu, prostokątnemu budynkowi delikatny rys architektury klasycyzmu, jednak te ozdoby podkreślały jedynie, jak bardzo poza tym był ponury i niegościnnie. Budowla wyrastała ponad otaczającą ją nędzę i plugastwo niczym twór rodem z koszmaru. Elisabeth instynktownie poznała, że było to miejsce

cierpień, a nie uzdrawiania. Miejsce, gdzie odsyłano niechcianych ludzi, takich jak ona, aby się ich pozbyć.

Strażnicy otwarli przed nimi bramy i powóz potoczył się wolno podjazdem. Elisabeth przycisnęła twarz do okna. Przed wejściem do szpitala czekał na nich komitet powitalny: korpulentna kobieta o surowej twarzy, ubrana w wykrochmalony fartuch, a po jej bokach dwóch asystentów w identycznych białych uniformach. Kiedy powóz znów się zatrzymał, jeden z nich otworzył drzwi. Mgła wpłynęła do wnętrza pojazdu jak rozlana owsianka.

– Wyjdź, skarbenku – zachęciła przymilnie przełożona. Mówiła do Elisabeth jak do małego dziecka. – Chodź tu grzecznie, a dostaniesz dobrą, ciepłą kolację przy kominku. Zjadłabyś coś, prawda? Gulasz, chleb i pudding z rodzynkami, ile tylko zechcesz. Nazywam się siostra Leach i będę tu twoją dobrą przyjaciółką.

Elisabeth wysiadła chwiejnym krokiem, nie podnosząc wzroku. Przez zasłone włosów patrzyła, jak jeden z mężczyzn zachodzi ją od tyłu, w rękach trzymając skórzane pasy z klamrami. Przewróciło się jej w żołądku, gdy zrozumiała, że chce ją nimi skrępować – nie tylko w nadgarstkach, ale i w kostkach u nóg. Z trudem zmusiła się, żeby nie panikować. Czekwała, aż mężczyzna znajdzie się tuż przy niej, a wtedy obróciła się, obnażając zęby, i brutalnie wbiła mu kolano między nogi. Poczowała ukłucie winy, kiedy z jękiem osunął się na ziemię, zaraz jednak zapomniała o tym i rzuciła się do ucieczki, ścigana krzykami siostry Leach.

Pomknęła przez tereny okalające szpital jak sarna wypłoszona z zarośli; miała długie nogi i mężczyźni nie byli w stanie za nią nadążyć. Wyliniały trawnik przeszedł w zaniedbany ogród pełen przerośniętych żywopłotów i na wpół uschniętych drzew. Zatrzymała się gwałtownie wśród namokłych, opadłych liści. Jeśli dalej będzie uciekać, obiegnie tylko szpital dookoła. Otaczające teren ogrodzenie było zbyt wysokie, żeby się na nie wspiąć, a do tego zakończone metalowymi szpikulcami.

Jednak okrzyki za jej plecami rozbrzmiewały coraz bliżej. Musiała podjąć decyzję.

Z kołatającym sercem wcisnęła się w gęstwinię najbliższego żywopłotu. Korzenie i gałęzie drapały jej ręce do krwi, a nos wypełniała mdląca woń gnijących kwiatów. Odwróciła się i przygarnęła do siebie stertę liści dla lepszego maskowania; cofnęła dłonie, kiedy buty przebiegającego obok mężczyzny zadudniły o podłoże,

opryskując jej twarz błotem i liśćmi. To poddało jej myśl: nabrała w ręce ziemi i wysmarowała się nią, aż nie była w stanie odróżnić własnych kończyn od grubych korzeni wijących się po podłożu.

Minuty płynęły powoli. Latarnie kołysały się w ciemności, a raz na jakiś czas rozbrzmiewały okrzyki. Mężczyźni zaglądali w zarośla i tłukli roślinność pałkami, ona jednak leżała bez ruchu, nawet kiedy jedna z pałek boleśnie uderzyła ją w goleń. Od nocnego chłodu dostała gęsiej skórki, ale nie odważyła się choćby zadrzeć.

– Wystarczy, chłopcy – powiedział w końcu jeden z asystentów. – Gdziekolwiek się ukrywa, jest tu uwięziona jak szczur w pułapce. Rano zobaczymy, czy jeszcze żyje, a potem się z nią zabawimy.

Pozostali zaśmiali się w odpowiedzi na to nieprzyjemne oświadczenie. Elisabeth patrzyła, jak oddalają się w kierunku szpitala. Kiedy ostatni mężczyzna zniknął w środku, wygrzebała się z żywopłotu, dygocząc od stóp do głów, zaraz jednak skuliła się z powrotem.

Nie była w ogrodzie sama. Kawałek dalej w ciemności poruszała się jakaś postać, pochylona nisko nad ziemią. Sądziła, że to kolejny asystent, dopóki nie zobaczyła, że węszy w trawie. Stworzenie podążało drogą, którą Elisabeth pokonała od chwili opuszczenia powozu, zmierzając krętą linią w stronę jej kryjówki. Kiedy się wyprostowało, jego wielkie, okrągłe ślepie zalśniły odbitym światłem jak lustra.

To był pan Hob. Złapał jej trop i szedł po nią.

Od strony szpitala dobiegł dźwięk otwieranych drzwi. Elisabeth z sykiem wciągnęła powietrze i rzuciła się za żywopłot, przywierając plecami do drzewa. Ktoś wyszedł z budynku i ruszył przez ogród. Wyglądając spomiędzy liści, Elisabeth zobaczyła, że nie był to nikt z ekipy poszukiwawczej. Dziewczyna nosiła podobny strój jak przełożona, ale była niewiele starsza od Elisabeth. Miała popękane dłonie i okrągłą, nieszczęśliwą twarz, a do piersi przyciskała latarnię.

– Hej? – zawołała łagodnie. – Jesteś tam?

Zerkając w przeciwną stronę, Elisabeth dostrzegła, że pan Hob szedł teraz przed siebie na czterech łapach, nie próbując już udawać człowieka. Spoglądała to na niego, to na dziewczynę, w myślach rozpaczliwie zaklinając tę drugą, żeby milczała. Ona jednak nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa i po chwili znów się odezwała.

– Wiem, że się ukrywasz. Przyszłam ci pomóc. – Pogrzebała chwilę w kieszeni i wyciągnęła z niej jakąś rzecz owiniętą w chusteczkę. – Mam trochę chleba. Niewiele, ale tylko tyle udało mi się wynieść niepostrzeżenie. Siostra przełożona kłamała, kiedy opowiadała, że dostaniesz gulasz i pudding – zawsze tak mówi nowym pacjentom.

Pan Hob puścił się biegiem, ze wzrokiem wbitym w dziewczynę. Elisabeth wyskoczyła z za żywopłotu, sypiąc naokoło liśćmi. Dotarła do niej pierwsza; złapała ją za nadgarstek i pociągnęła za sobą w przeciwnym kierunku. Chleb upadł na ziemię.

– Masz może sól – zapytała – albo jakieś żelazo? – Nie poznawała własnego głosu, brzmiącego jak ochryply skrzek.

– Nie... ja nie... proszę, nie rób mi krzywdy! – krzyknęła dziewczyna. Wlokła się za Elisabeth, spowalniając jej bieg. Jeśli nie przyspieszą, pan Hob je dogoni.

Elisabeth poczuła, jak strach ściska jej pierś. Zdała sobie sprawę, jak musi wyglądać: usmarowana ziemią, z długimi, splątanymi włosami pełnymi liści oraz spękany, krwawiącymi wargami. Nic dziwnego, że dziewczyna się przestraszyła.

– Jak masz na imię? – zapytała.

– Mercy – odparła tamta, potykając się na nierównym gruncie.

– Ja jestem Elisabeth. Próbuję uratować ci życie. Poproszę cię teraz, żebyś coś zrobiła, a wtedy mi uwierzysz, ale musisz obiecać, że nie będziesz krzyczeć.

Mercy skinęła głową, spoglądając na nią szeroko otwartymi z przerażenia oczami – prawdopodobnie miała nadzieję, że jeśli nie będzie się sprzeciwiać, Elisabeth nie zrobi jej krzywdy.

– Obejrzyj się za siebie – powiedziała Elisabeth, a potem zasłoniła Mercy usta umorusaną dłonią, tłumiąc jej krzyk.

– *Co to jest?* – zapiszczała dziewczyna, kiedy Elisabeth odsunęła rękę. – Dlaczego to nas *goni*?

Przewidywania Elisabeth okazały się słuszne. W chwili, gdy pan Hob zaczął węszyć i biegać na czworakach, iluzja nałożona na niego przez Ashcrofta przestała być na tyle przekonująca, żeby ukryć jego prawdziwą formę.

– To demon. Chyba goblin. Czy jest stąd jakieś wyjście?

Z gardła Mercy wyrwało się ciche, przerażone kwilenie. Dopiero po chwili zdołała odpowiedzieć.

– Tylne bramy. Dla pracowników zajmujących się ogrodem. Tamtędy. – Wskazała palcem. – Co...?

– Biegnij szybciej – rzuciła Elisabeth ponuro. – I daj mi latarnię.

Popędziły w stronę tylnej bramy. Nie miała odwagi przystanąć, żeby spojrzeć przez ramię. Wyjście było ukryte za rozpadającą się przybudówką, pod altaną obrośniętą bluszczem. Im bardziej się zbliżały, tym głośniejszy stawał się świszczący oddech pana Hoba za ich plecami. Mercy przeszukała kieszenie i wygrzebała z nich klucz. Gdy podeszły do bramy, Elisabeth odwróciła się na pięcie, z całych sił biorąc zamach latarnią.

Czas zastygł w miejscu pomiędzy jednym uderzeniem serca a drugim. Pan Hob był tuż przy niej. Jego pokryta naroślami twarz była odrażającą masą rozedrganego mięsa, a w ślepiach, wielkich i bladych, widziała swoje odbicie – dwie miniaturowe wersje samej siebie.

A potem latarnia uderzyła go w ramię, sypiąc odłamkami szkła. Chlusnęła oliwa, a jego niedopasowany garnitur natychmiast zajął się ogniem. Żar przypieklł skórę Elisabeth; z krzykiem upuściła latarnię. Pan Hob potoczył się do tyłu i wbił zdumione spojrzenie w błękitne języki płomieni rozchodzące się po jego piersi. W końcu wpadł na pomysł, żeby zrzucić z siebie marynarkę. Pozostałe płomienie niezgrabnie zdusił dłonią.

– Mercy – powiedziała błagalnie Elisabeth.

– Staram się! Już prawie... – klucz Mercy osunął się po zamku. Ręce trzęsły jej się z nerwów i nie mogła trafić do dziurki. Tymczasem pan Hob był coraz bliżej, pozostawiwszy za sobą na ziemi dymiącą marynarkę. Zrobił krok naprzód. Następnie kolejny. A potem rozległ się szczeł zamka i brama z brzękiem stanęła otworem, sypiąc wokoło okruchami rdzy.

Elisabeth przepchnęła Mercy przodem i zaraz pognała za nią. Kiedy zatrzasnęła za nimi bramę, ta nie zamknęła się do końca, lecz zatrzymała na czymś miękkim – na ręce pana Hoba. Wpatrywał się w nie z żelaznych prętów, nie mrugając, podczas gdy jego fioletowa skóra pokryła się pęcherzami i zaczęła dymić. Elisabeth

całym ciężarem ciała naparła na bramę, siłując się z panem Hobem. Podeszwy jej butów zaszurały o chodnik. Był zbyt silny.

Nieoczekiwanie zza jej pleców dobiegł krzyk. Kamień przeszył powietrze i uderzył w kłykcie pana Hoba, miażdżąc je z obrzydliwym plaśnięciem. Demon cofnął rękę, a przejście zatrzęsęło się z brzękiem. Rygiel automatycznie opadł na miejsce.

Elisabeth odsunęła się chwiejnie i wymieniła zdumione spojrzenie z Mercy, która najwyraźniej sama nie mogła uwierzyć w to, co właśnie zrobiła. Pan Hob stał za bramą, patrząc na nie, jakby nie był pewien, co robić dalej.

– Teraz jesteśmy bezpieczne – szepnęła Elisabeth. – Żelazo to dla niego przeszkoda nie do pokonania, a chyba nie jest wystarczająco bystry, żeby znaleźć inną drogę.

Mercy nie odpowiedziała, zbyt zajęta dygotaniem i oddychaniem ciężko z rękami wspartymi na udach. Elisabeth się rozejrzała. Wyszły na uliczkę biegnącą za szeregiem wąskich, ponurych budynków z cegły. Okna były zasłonięte, a w środku nie paliły się żadne światła.

– Chodź – powiedziała, chwytając dziewczynę za ramię. Wyprowadziła ją poza zasięg wzroku pana Hoba i posadziła na przewróconej skrzyni.

– Czego on chciał? – zapytała Mercy.

Elisabeth się zawahała. Mogła wszystko wyjaśnić i poprosić Mercy o pomoc – poprosić, żeby zeznawała przeciwko Ashcroftowi. Ale kto by jej uwierzył? Rozumiała już, że świat nie był łaskawy dla młodych kobiet, zwłaszcza kiedy nie zachowywały się tak, jak podobałoby się to mężczyznom, i mówiły prawdę, na którą oni nie byli gotowi. Nikt nie zechciałby wysłuchać Mercy, tak samo jak nikt nie chciał słuchać jej.

Podjęła decyzję. Przykucnęła przed dziewczyną.

– Słuchaj. Ten demon chciał dopaść mnie, nie ciebie. Zaczekaj, aż powóz odjedzie, wtedy będziesz mogła wrócić do szpitala. Pan Hob – demon – zostawi cię w spokoju. – Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. – Kiedy będą cię pytać, co się stało, powiedz im, że cię zaatakowałam i nie miałam innego wyboru, jak tylko pomóc mi w ucieczce. Powiedz, że gonił nas jakiś mężczyzna. Człowiek ubrany jak kamerdyner. Nie wspominaj, żeby było w nim cokolwiek dziwnego. I powiedz im,

że byłam... że byłam jak dzikie zwierzę. Że nie wiedziałam nawet, jak mam na imię.

Przypuszczała, że Ashcrofta nie obchodziło, czy będzie gniła w szpitalu, czy głodowała na ulicach. Dopóki sądził, że zniszczył jej umysł i przekonał wszystkich, iż uczynił, co w jego mocy, aby pomóc biednej histeryczce, która trafiła pod jego dach, da jej spokój i skupi się na swoich planach.

– Ale uratowałaś mi życie – zaprotestowała Mercy.

– To z mojego powodu twoje życie w ogóle znalazło się w niebezpieczeństwie. Zaufaj mi. Tak będzie lepiej. – Elisabeth objęła się ramionami, rozważając, jak wiele może wyjawic. – Nie chciałabyś zadrzeć z człowiekiem, któremu służy ten demon – powiedziała w końcu. – Jeśli uzna, że wiesz coś, czego wiedzieć nie powinnaś, skrzywdzi cię bez najmniejszych skrępułów.

Mercy skinęła głową. Elisabeth ze zgrozą stwierdziła, że nie wyglądała na zaskoczoną. Dla niej mężczyźni pragnący skrzywdzić dziewczęta stanowili po prostu naturalny stan rzeczy.

– Cieszę się, że uciekłaś z Leadgate. – Mercy podniosła wzrok i spojrzała na Elisabeth swoimi smutnymi, brązowymi oczami. – Nawet sobie nie wyobrażasz, co to za miejsce. Zamożni ludzie płacą za wstęp i możliwość gapienia się na pacjentów – żeby pochylić się nad niedołą tych nieszczęśników i tym podobne bzdury. Czasami... czasami płacą też za inne rzeczy. Siostra przełożona dobrze na tym zarabia. A skoro o tym mowa... masz. – Sięgnęła do kieszeni i wcisnęła Elisabeth w dłoń coś twardego i zimnego. Monetę.

Elisabeth poczuła gułę w gardle i nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Nie wiedziała zresztą, co powiedzieć, więc zamiast tego mocno ją uściskała.

Mercy zaśmiała się, zaskoczona.

– Teraz jestem taka brudna, że faktycznie wyglądam, jakbyś mnie zaatakowała.

– Dziękuję – szepnęła Elisabeth. Przytuliła Mercy raz jeszcze, po czym odsunęła się i pobiegła, zanim zbierające się w jej oczach łzy zdążyły popłynąć.

Omijając sterty śmieci, pognęła w dół stromą, brukowaną aleją. O tej porze nocy na ulicach nie było żywej duszy. Miała wątpliwości, czy faktycznie musi biec, ale ilekroć zwalniała, widziała przed oczami szyderczy grymas strażnika Fincha, męskie dłonie pełne skórzanych pasów albo czarujący uśmiech kanclerza.

Przystanęła na rogu, żeby zwymiotować, i pobiegła dalej. Zatrzymała się dopiero, kiedy musiała: dotarła na nadrzeczną promenadę i drogę zagrodziła jej barierka.

Pogrążone we śnie miasto wyglądało jak iluzja utkana z barwnych światełek. Spiczaste, połyskujące wieże wynurzały się z mroku; zarysy posągów na ich szczytach odcinały się cieniem na tle gwiazd, a czarne wody w dole odbijały ich podświetlone sylwetki. Most Świętych migotał nieopodal blaskiem gazowych latarni, a zdobiące go posępne rzeźby przypominały kondukt pogrzebowy przekraczający rzekę, upamiętniając odejście jakiegoś dawno zmarłego króla. Wiatr targający jej włosy pachniał sadzą, algami i dziewiczym, bezkresnym przestworem nocnego nieba.

Wpatrywała się w lśniące miasto, stare i niewiarygodnie rozległe, i zastanawiała się, jak całe to światło i piękno mogło istnieć o krok od takiego mroku. Nigdy dotąd nie czuła się tak mała i nieważna. W końcu jednak, po raz pierwszy od wielu tygodni, była wolna.



– TO MUSI BYĆ jakaś pomyłka – powiedziała Elisabeth do piegowatego chłopaka siedzącego za kontuarem. – Mistrz Hargrove zna mnie od dziecka. Nie przysłałby takiej odpowiedzi.

Trzymała kawałek papieru w drżących palcach. Zwięzła wiadomość głosiła jedynie: *W dokumentach Wielkiej Biblioteki w Summershall nie figuruje nowicjuszka o nazwisku Elisabeth Scrivener.* Poniżej, zamiast podpisu, ktoś przybił pieczęć z symbolem Kolegium. To oznaczało, że list został napisany przez któregoś ze strażników, mimo że pisała do Hargrove’a.

Urzędnik wydawał się jej współczuć, ale co chwila zerkał nerwowo w stronę przeszkłonego frontu urzędu pocztowego.

– Przykro mi, panienko. Nie wiem, co powiedzieć.

Próbowała się skupić, ale papier rozmywał jej się przed oczami. Coś było nie tak. To na pewno... na pewno...

– To Finch, nowy dyrektor – usłyszała swój własny głos. – Musiał przechwycić mój list. Wymazał mnie z dokumentacji...

Nieopodal ktoś odchrząknął. Elisabeth zerknęła przez ramię i zdążyła zobaczyć, jak elegancko ubrany dżentelmen stojący za nią w kolejce szepcze coś do swojej żony i oboje spoglądają na nią z mieszaniną dezaprobaty i niepokoju.

Z powrotem zwróciła się do urzędnika i ujrzała siebie jego oczami. Przez kilka ostatnich dni sypiała na ulicy; włosy miała poplątane, ubrania brudne. Co najgorsze, jej usilne próby skontaktowania się z Wielką Biblioteką w Summershall zaczynały

przypominać działania wariatki. W żołądku zapiekło ją nieznanne uczucie wstydu.

– Proszę – wychrypiała przez obolałe gardło. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak dojść do Parku Cykuty? Znam kogoś, kto tam mieszka.

Urzędnik oblizał usta, zerkając to na nią, to na czekającą w kolejce parę. Widziała, że jej nie wierzy.

– Może zamiast tego chciałaby panienka wysłać list?

Elisabeth zużyła wszystkie pieniądze otrzymane od Mercy na wysłanie poprzedniego. Nie stać jej było na kolejny. Nagle ogarnęło ją przytłaczające poczucie upokorzenia. Wymamrotała przeprosiny, ominęła wpatrującą się w nią parę i wybiegła z urzędu pocztowego, zasłaniając usta dłonią. Gdy tylko wypadła na ulicę, zgięła się w pół w ataku kaszlu. Przechodnie omijali ją szerokim łukiem, rzucając jej zakłopotane spojrzenia. Drżącymi rękami złożyła list i wsunęła go do kieszeni.

Gorączka się nasilała. Wczoraj rano, po nocy, którą przespała w bramie, kuląc się i drżąc, obudził ją kaszel. Dziś czuła się tak zdezorientowana, że ledwie udało jej się trafić na pocztę.

Ruszyła chodnikiem i po chwili poczuła pod obcasem coś śliskiego. Była to przemoczona gazeta, przyklejona do krawędzi rynsztoka. Odlepiała ją i uniosła prześwitujący nagłówek do światła, chociaż czytała już ten artykuł z tuzin razy, odkąd uciekła z Leadgate. „TRZECI ATAK NA WIELKĄ BIBLIOTEKĘ – FETTERING W PŁOMIENIACH”, głosił napis na pierwszej stronie. Poniżej znajdowała się ilustracja przedstawiająca kolczastą, zdeformowaną potworność – w zamierzeniu malefikt – wyjąca na tle pożogi. W artykule napisano, że w wiosce naliczono ponad dwadzieścia ofiar: część zabił malefikt dziewiątej klasy, pozostałe zginęły w pożarze. Zakręciło jej się w głowie, kiedy to przeczytała. Handlarze z Fettering zjawiali się czasami na targu w Summershall. Być może zdarzyło jej się spotkać którąś z ofiar.

Pod koniec cytowano wypowiedź kanclerza Ashcrofta: „Na chwilę obecną przypuszczamy, że sprawcą jest zagraniczny agent zmierzający do podkopania siły austermeryjskiej magii. Magisterium nie cofnie się przed niczym, aby pojmać winnego i przywrócić ład w naszym wspaniałym królestwie”.

Zgniotła papier w dłoni. Atak miał miejsce, kiedy była uwięziona w jego posiadłości. Opowiadał reporterom kłamstwa, podczas gdy ona leżała w łóżku.

Miała coraz mniej czasu, aby go powstrzymać.

Jednak odpowiedź na jej list pozostawiła ją bez żadnego oparcia. Kilka tygodni temu w ogóle nie zawracałyby sobie głowy pisaniem; pomaszerowałyby prosto do Kolegium i waliła w drzwi frontowe tak długo, aż ktoś by jej otworzył. Teraz wiedziała, że gdyby tak postąpiła, w najlepszym razie odesłano by ją z kwitkiem. Liczyła na to, że mistrz Hargrove prześle jej słowa poparcia, zaświadczy, że warto jej wysłuchać. Czekwała na chwilę, gdy uzbrojona w jego odpowiedź zdoła się w końcu zrehabilitować – ta wizja pozwalała jej przetrwać długie, zimne noce i znieść dokuczliwy głód. Teraz została z niczym.

Nie... nie z niczym. Wciąż miała Nathaniela. Jednak kilka dni poszukiwań nie pomogło jej ani trochę zbliżyć się do Parku Cykuty. Miasto było ogromne; miała wrażenie, że mogłaby się w nim błąkać całą wieczność, stając się coraz bardziej niewidzialna dla mijających ją ludzi, aż pozostałby z niej tylko cień. Nikt nie chciał jej pomóc. Niewiele osób zechciało w ogóle spojrzeć w jej stronę.

Nie wiedziała, czy Nathaniel postąpiłby inaczej, ale był jedyną osobą w całym Brassbridge, której mogła zaufać.

Nagle dostrzegła pośród tłumu niskiego, szczupłego chłopaka. Stała jak wryta na środku chodnika, pośród opływającej ją ze wszystkich stron rzeki ludzi. To wydawało się niemożliwe. Albo od gorączki miała już przywidzenia, albo Silas się tu pojawił, jakby przywołała go, wypowiadając w myślach imię jego pana. Czyżby się pomyliła?

Obróciła się, próbując wypatrzyć go po drugiej stronie ulicy. Namierzyła wzrokiem drobną postać kroczącą zgrabnie przez popołudniowy zgiełk. Młodzieniec nie miał na sobie zielonej liberii Silasa, lecz doskonale skrojony garnitur i krawat zawiązany nienagannie wokół bladej szyi, ale jego włosy – śnieżnobiałe, związane z tyłu wstążką – nie mogły należeć do nikogo innego. To nie przywidzenie. On naprawdę tam był.

Zawahała się przez moment, a potem ruszyła szybko przez ulicę przy akompaniamencie oburzonych krzyków woźniców. Gdy dotarła na drugą stronę, obiegła wzrokiem tłum, ale Silasa nie było już widać. Prędko ruszyła w kierunku, w którym zmierzał, zaglądając przez okna mijanych sklepów. Odpowiadało jej spojrzeniem jej własne odbicie – brudne, wychudzone i zdesperowane, z niebieskimi oczami rozpalonymi gorączką. Zaczęła biec, usiłując ignorować ogień płonący w płucach, kiedy zmuszała ciało do większego wysiłku.

Tam. Białe włosy mignęły jej przed oczami, skręcając w boczną ulicę. Pospieszyła w tamtą stronę, ledwie zauważając, że otaczały ją teraz stare, sypiące się budynki. Ruch się przerzedził, a powozy ustąpiły miejsca wozom pełnym rupieci i podwiędłych warzyw. Nad wąską aleją sterczały krzywe okapy, a pomiędzy nimi zwisały nieużywane sznury na pranie. Zawilgłe, ciemne kąty cuchnęły moczem. Silas, w swoim drogim garniturze, pasował do tego otoczenia jak kwiatek do kozucha, ale nikt nie zwracał na niego uwagi, czego nie można było powiedzieć o Elisabeth.

– Dokąd ci tak spieszo, panienczko?

Serce zakołatało jej w piersi. Szła ze wzrokiem wbitym prosto przed siebie, jakby nie widziała kątem oka twarzy gapiącego się na nią mężczyzny. Miała nadzieję, że tamten odpuści, ale nic z tego. Za jej plecami rozbite szkło zatrzeszczało pod podeszwą buta, a z cienia pobliskiego budynku wyłoniło się kilka postaci.

– Zapytałem, dokąd idziesz? Może byśmy ci pomogli.

– Uśmiechniesz się do nas ładnie w nagrodę, co? – zasugerował inny mężczyzna.

Elisabeth dostrzegła sylwetkę Silasa za przejeżdżającym wozem, ale był zbyt daleko. Spróbowała go zawołać. Chociaż zdołała wydobyć z siebie tylko ochryply, żalospny jęk, przystanął i zaczął się odwracać. Jego żółte oko zalśniło w blasku słońca.

Nie wiedziała, czy naprawdę ją usłyszał, czy to tylko zbieg okoliczności, ale nie miała czasu czekać, aż się przekona.

– Silas – szepnęła i rzuciła się do ucieczki.

Chodnik przemykał jej pod podeszwami butów. Kiedy mężczyźni spróbowali odciąć jej drogę, zrobiła unik i skręciła w boczną uliczkę, potykając się o skrzynie i stosy przemoczonych gazet. Szczury uciekały z piskiem, a ona biegła za nimi w nadziei, że znają jakąś dobrą kryjówkę. Zanurzyła się w głęboki cień i poślizgnęła na czymś mokrym. W powietrzu unosił się odór zgnilizny, a na bruku lśniły kałuże jakiejś cieczy, pokrytej szumowinami. Dotarła na tyły sklepu rzeźnika. Z trudem chwytiała powietrze, a każdy oddech boleśnie darł jej gardło.

– Tędy! – zawołał ktoś. Mężczyźni deptali jej po piętach.

Elisabeth doszła chwiejnie do końca uliczki i skręciła za róg, tylko po to, aby znaleźć się w ślepym zaułku. Budynek zagradzający jej drogę wyglądał na opuszczony. Okna zamurowano, a drzwi, kiedyś pomalowane czarną, schodzącą teraz płatami farbą, były zamknięte na kłódkę. Szarpnęła za klamkę, ale zamek nie ustąpił.

Usłyszała kroki i plusk butów w kałużach. Nie było sensu siedzieć cicho; prześladowcy lada moment zauważą ten zaułek. Napędzana strachem, zacisnęła palce na jednej z desek, którymi zabite były drzwi, i szarpnęła z całych sił. Poleciała do tyłu, gdy obluzowana deska oderwała się z jękiem protestu i została jej w dłoniach. Z jej końców sterczały powykrzywiane, zardzewiałe gwoździe.

Uzbroiła się w ostatniej chwili. U wylotu uliczki pojawił się mężczyzna w spodniach poplamionych zakrzepłą krwią. Włosy miał ścięte tuż przy skórze, a wychudłe policzki pokryte były strupami. Elisabeth spojrzała mu w oczy i skrzyknęła go w żołądku z odrazy.

Wyszczерzył zęby.

– Tutaj jesteś, panienczko. To jak będzie z tym uśmiechem?

– Nie zbliżaj się – ostrzegła – albo zrobię ci krzywdę.

Nie posłuchał. Wciąż szeroko się uśmiechając pożółkłymi zębami, zrobił krok naprzód. Elisabeth wyteżyła mięśnie i się zamachnęła. Deska uderzyła go w ramię gdzie też, wbita mocno, została. Mężczyzna zawył i upadł na kolana, chwytając tę prowizoryczną broń. Kiedy wyrывał sobie gwoździe z ciała, rozległ się obrzydliwy chlupot i struga krwi obryzgała ceglany mur.

Zszokowana Elisabeth potoczyła się do tyłu, aż jej łopatki uderzyły o drzwi. Zabiła malefikt, walczyła z demonami, ale to było co innego. On był człowiekiem. Bez względu na to, jak bardzo był zły, po śmierci nie obróciłby się w proch ani nie powrócił do Pozaświata. Jego zbolale jęki dźwięczały jej w uszach. Poczowała, że robi jej się niedobrze.

Officium adusque mortem. Czy jej obowiązkiem było walczyć, nawet ryzykując, że go zabije, jeśli ucieczka pozwoliłaby jej ocalić znacznie więcej istnień?

– Tutaj, idioci! – warknął mężczyzna, zaciskając dłoń na mokrym, podartym rękawie i przytrzymując się ściany, żeby wstać. Krew moczyła mu palce i rzucał

Elisabeth wściekle spojrzenia. – I uważajcie! Znalazła sobie broń. – Z zaplecza sklepu rzeźnika nie dobiegła żadna odpowiedź.

– Słyszycie mnie?

W uliczce było cicho jak w grobowcu.

– Przestańcie się wygłupiać! – rzucił ostro.

Zza rogu dobiegł ledwie słyszalny chlupot, a potem cichy, uprzejmy głos powiedział:

– Nie oceniaj swoich przyjaciół zbyt surowo. Obawiam się, że są niedysponowani.

– To jakiś żart? – Mężczyzna pokuśtykał w tył i spojrzał za róg. Krew odpłynęła mu z twarzy. – Co... czym ty *jesteś*? – wyjąkał.

– Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie – zabrzmiał szept. – Widzisz, jestem pradawną istotą. Sprowadzałem upadek na imperia i stałem przy łóżkach umierających królów. Ludy, które dawno już zginęły w pomroce dziejów, toczyły niegdyś wojny, aby poznać sekret mojego prawdziwego imienia. – Westchnął. – W tej chwili jednak jestem zirytowanym pechowcem. Moje plany na dziś nie zakładały włóczenia się po brudnych zaułkach w celu rozprawienia się z garstką podrzędnych zbirów. Nie w czystym garniturze, a tym bardziej nie w nowych butach.

Mężczyzna wpatrywał się w niego wytrzeszczonymi oczami. Spróbował uciec, ale to był błąd. Elisabeth nie widziała, co się stało po tym, jak wbiegł za róg, znikając jej z oczu. Usłyszała tylko urwany krzyk, po czym zapadła cisza tak gęsta, że zaczęło jej dzwonić w uszach.

Osunęła się na drzwi, upuszczając zakrwawioną deskę, która z łoskotem uderzyła o ziemię. Atak kaszlu wstrząsnął całym jej ciałem jak ogar potrząsający schwytanym królikiem. Zamrugła, tłumiąc łzy, kiedy Silas stanął jej przed oczami. Wyglądał dokładnie tak samo, jak wcześniej na ulicy, nie licząc odrobiny krwi na twarzy. Wyciągnął z kieszonki na piersi chusteczkę i startł plamę, a następnie przyjrzał się zabrudzonej tkaninie. Wydał usta i odrzucił ją na bok.

– Panno Scrivener. – Skłonił lekko głowę.

– Silas – wydyszała. – Tak się cieszę, że cię widzę.

– Interesujące. Nie tak zazwyczaj reagują na mój widok ludzie w takich chwilach.

– A jak zwykle reagują?

– Najczęściej płaczą albo moczą bieliznę. – Przyjrzał jej się uważnie. – Co ty tutaj robisz? Pan Thorn i ja sądziliśmy, że zdążyłaś już wrócić do Summershall.

Elisabeth nie miała siły wyjaśniać całej sprawy z Ashcroftem i Leadgate. Nie była już pewna, czy łzy w jej oczach to efekt kaszlu. Wiedziała, że nie powinna czuć takiej ulgi na widok Silasa; że był potworem, mordercą, najgorszym wrogiem strażnika. On jednak w żaden sposób się z tym nie krył. Pod tym względem był bardziej honorowy niż większość ludzi, których spotkała, odkąd opuściła Summershall.

– Zabiłeś tych mężczyzn? – zapytała.

– Kiedy ktoś przyzywa demona, musi się liczyć z tym, że pociągnie to za sobą śmierć.

– Ja nie...

– Wymówiłaś moje imię. Chciałaś, żebym cię uratował.

– Mogłeś pozwolić mu uciec – zasugerowała. Nie odpowiedział, tylko spojrzał na nią bez słowa, więc dodała: – Pewnie powiesz mi, że to byli źli ludzie, tak jak ostatnio.

– Czy poczułabyś się od tego lepiej, panienko?

Z tępym ukłuciem przerażenia zdała sobie sprawę, że owszem. A nie była pewna, czy jeśli człowiek raz zacznie myśleć w ten sposób, to kiedykolwiek zdoła przestać. Wstrząsnął ją dreszcz.

– Nie mów tego – szepnęła. – Silas... widziałam takie okropne rzeczy. Ja...

Ukląkł przed nią i wyciągnął ku niej rękę. Skuliła się, ale on tylko przyłożył dłoń do jej czoła. Jego dotyk był tak zimny, że aż parzył.

– Jesteś chora – stwierdził łagodnie. – Od jak dawna masz taką gorączkę?

Nie była pewna. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Silas zaczął rozpinać marynarkę. Kiedy próbował ją nią okryć, potrząsnęła głową.

– Pobrudzę ci ubranie – zaprotestowała.

– To bez znaczenia, panienko. Hop, w górę.

Uniósł ją w ramionach z taką łatwością, jak poprzednim razem. Elisabeth zastanawiała się, czy to oznacza dla niej koniec głodowania, uciekania, sypiania na

deszczu; może mogła przestać walczyć, chociaż na jakiś czas. Silas niósł ją na rękach, a ona oparła policzek o jego pierś.

– Porządny z ciebie potwór, Silasie – wymruczała, na wpół pogrążona we śnie. – Cieszę się.

Jeśli coś jej odpowiedział, ona tego nie usłyszała. Płynęła przez świat, jakby dryfowała w szalupie po falującym łagodnie morzu. Nagle usłyszała, jak Silas mówi:

– Nie zasypiaj, panno Scrivener. Jeszcze tylko chwilę. Zaraz będziemy na miejscu.

Mglistość zdała sobie sprawę, że wsadził ją do powozu, być może już jakiś czas temu. Jej głowa przetoczyła się na bok. Elisabeth zamrugła i ulica za oknem się wyostrzyła, ukazując jej oczom przesuwające się na zewnątrz budynki Parku Cykuty.

Jej powieki opadły, a spojrzenie powędrowało na dłonie Silasa, które trzymał złożone na kolanach. Pazury na czubkach jego długich, białych palców były zadbane i nienagannie czyste – a przy tym dostatecznie ostre, żeby poderżnąć człowiekowi gardło. Kiedy zauważył, że na nie patrzy, zacisnął mocniej wargi i założył z powrotem rękawiczki, ukrywając wszelkie ślady ich istnienia.

Wkrótce w polu widzenia zamajaczyła rezydencja Nathaniela. Zbudowano ją na skrzyżowaniu dwóch zakrzywionych ulic, co nadawało jej ciekawy, klinowy kształt. Ozdobiona mnóstwem gargulców, rzeźb i spiczastych kamiennych kwiatonów przypominała zamek ściśnięty do rozmiarów ponurego, czteropiętrowego trójkąta. Kiedy powóz się zatrzymał, Silas wyniósł ją na zewnątrz. Ze zdziwioną fascynacją patrzyła, jak płaci woźnicy, a ten traktuje go jak dżentelmena, nie demona czy nawet służącego, i z szacunkiem uchyla kapelusza.

Na drzwiach frontowych znajdowało się sześć kołatek, każda innego rozmiaru i kształtu, a także zrobiona z innego metalu. Otwierając drzwi, Silas zastukał drugą od góry. Chociaż była wykonana z czystej, pokrytej plamkami grynspanu miedzi, nie wydała żadnego dźwięku; zamiast tego zabrzmiał dzwonek w głębi domu. Elisabeth odgadła, że każda kołatka odpowiadała innemu piętru, z czego szóstka, najniższa, przypisana była do piwnicy. Silas ponownie wziął dziewczynę na ręce i wniósł do środka.

Piętro wyżej zagrzmiały kroki i na podeście pojawił się Nathaniel, przeskakując po dwa stopnie naraz. Elisabeth utkwiała w nim wzrok. Zbiegał na bosaka po schodach, mając na sobie tylko parę wygodnych spodni oraz powiewającą luźno białą koszulę. Jego czarne włosy były tak zmierzwiłone, że prawie nie było widać srebrzystego pasma. Nigdy nie wyobrażała go sobie w ten sposób – odprężonego i wyglądającego tak *zwyczajnie*, ale oczywiście nie mógł spędzać całego życia z płaszczem magistra na ramionach i cynicznym uśmiechem na twarzy. Pod całą tą fasadą wciąż krył się osiemnastoletni chłopak.

Silas posadził Elisabeth w jednym ze skórzanych foteli stojących w holu. Była tak bezwładna i słaba, jak pod wpływem Lorelei; resztki sił zużyła, broniąc się w zaułku.

– Silas! – zawołał Nathaniel. – Masz mój... uch! A to co?

– To Elisabeth Scrivener, panie.

Nathaniel zeszywniał, wpatrzony w dziewczynę. Szereg emocji przemknął przez jego twarz zbyt szybko, żeby za nimi nadążyć. Na moment wygrało osłupienie. Obiegł wzrokiem jej posiniaczoną skórę i brudne ubrania, po czym opanował się i przyjął surowy wyraz twarzy.

– A to niespodzianka – zauważył krótko, resztę schodów pokonując miarowym krokiem. – Co ona tu robi? Mówiłem ci chyba, że... – Urwał, zerkając szybko na Elisabeth, i zacisnął wargi.

– Potrzebuje dachu nad głową – powiedział Silas.

– I uznałeś, że świetnym pomysłem będzie przyprowadzić ją właśnie tutaj?

– Spójrz na nią. Jest chora i nie ma się gdzie podziać. Gdy ją znalazłem, ścigało ją kilku zbirów.

Nathaniel otworzył szeroko oczy, zaraz jednak doszedł do siebie.

– Rozumiem, że niedługo zaczniesz ratować sieroty i pomagać staruszkom przejść przez ulicę. To absurdalne. – Jego kłykcie zbieleły na poręczy. – Od kiedy to obchodzą cię losy ludzkich istot?

– To nie mnie obchodzą – odparł Silas łagodnie.

– Co to miało znaczyć?

– Zależy ci na niej, panie, bardziej niż na czymkolwiek od lat. Nie próbuj zaprzeczać – dodał, gdy Nathaniel otworzył usta. – To jedyny możliwy powód, żebyś tak żarliwie pragnął jej odejścia.

Elisabeth nie rozumiała, o czym Silas mówi, ale na twarz Nathaniela wypłynął jakiś okropny wyraz. Chyba zdawał sobie z tego sprawę, bo odwrócił wzrok.

– To koszmarny pomysł – wycedził – i ty sam powinieneś najlepiej to rozumieć.

– Rzeczywiście, rozumiem najlepiej. – Silas przeszedł przez hol i stanął przed swoim panem. – Z pewnością lepiej niż ty. Dlatego też mogę z przekonaniem stwierdzić, że krycie się przed światem w tym domu nie pozwoli ci uciec od rodzinnego dziedzictwa, a jedynie doprowadzi cię do ruiny.

Nathaniel wykrzywił twarz w grymasie.

– Mógłbym ci rozkazać, żebyś ją stąd zabrał.

Przez moment Silas nie odpowiadał. Kiedy w końcu się odezwał, zniżył ton do szeptu.

– Tak. Zgodnie z warunkami naszej umowy muszę być posłuszny wszelkim rozkazom, jakie mi wydasz, bez względu na to, jak bardzo mi się one nie podobają i jak bardzo się z nimi nie zgadzam.

Nathaniel zrobił krok naprzód. Znacznie wyższy, górował nad służącym, który wydawał się bardzo drobny, niemal nieistotny, stojąc przed nim w samej koszuli. Silas spuścił wzrok z szacunkiem. Choć Elisabeth nie dostrzegła żadnej innej zmiany w jego postawie czy wyrazie twarzy, demon nagle wydał jej się tak prastary, tak niebezpieczny i tak przerażająco uprzejmy, że po plecach przebiegł jej dreszcz. Nathaniel jednak nie wydawał się ani trochę przestraszony.

– Silasie – zaczął.

Silas podniósł na niego wzrok spod przymrużonych powiek.

– Coś się dzieje – przerwał. – Coś istotnego. Wyczuwam to w materii pomiędzy światami. Rozchodzi się jak kręgi na wodzie, rozciągając swój wpływ we wszystkich kierunkach, a panna Scrivener stanęła temu na drodze jak kamień. Jej życie nie jest podobne do żadnego, jakie kiedykolwiek widziałem. Nawet naznaczone cieniem, płonie tak jasno, że aż oślepia. Ale ona nie jest niezniszczalna, panie. Nikt spośród ludzi nie jest. Jeśli jej nie pomożesz, to zagrożenie w końcu ją dopadnie.

– O czym ty mówisz? Jakie zagrożenie?

– Tego nie wiem. – Silas przeniósł wzrok na Elisabeth. – Ale może ona wie.

Nathaniel stał nieruchomo, a jego pierś unosiła się i opadała bezdźwięcznie, ale gwałtownie, jakby właśnie przebiegł maraton i starał się nie okazywać, że brak mu tchu. Policzki miał zaróżowione.

– No dobrze. Może zostać. – Odwrócił się na pięcie, robiąc zamaszysty gest ręką.
– To był twój pomysł, więc ty się nią zajmij. Ja będę w moim gabinecie.

Elisabeth patrzyła, jak odchodzi w mroczny labirynt korytarzy, wyprostowany, z kamienną twarzą. W pewnym momencie drgnął i prawie obejrzał się w jej stronę, jednak w końcu tego nie zrobił. To było ostatnie, co zapamiętała, zanim pochłonęła ją ciemność i po raz kolejny odpłynęła w sen.



ELISABETH PORUSZYŁA SIĘ w miękkiej pościeli. Leżała jeszcze przez chwilę z głową pustą jak letnie niebo, kołysana przyjemnie resztkami snu, po czym wybudziła się gwałtownie, buzując energią. Usiadła i zrzuciła z siebie kołdrę. Coś nieopodal zadźwięczało, trącone jej ruchem.

Na łóżku obok niej leżała srebrna taca ze śniadaniem, lśniąc w porannym słońcu. Kuszące zapachy stopionego masła i gorących kiełbasek wypływały spod kloszy, którymi nakryto talerze. Ślinka napłynęła jej do ust, a w brzuchu zaburczało. Powstrzymanie Ashcrofta może chyba poczekać jeszcze parę minut.

Sięgając po sztucze ułożone na poskładanej serwetce, zawahała się. Niejasno pamiętała, że była myta i pielęgnowana, zanim ukołysały ją do snu kojące ruchy szczotki sunącej przez jej włosy. Oblała się rumieńcem, ale postanowiła mimo zakłopotania podziękować Silasowi. Obchodził się z nią o wiele delikatniej niż Hannah, a ona nabrała już pewności, że mówił prawdę, kiedy zapewniał ją o swoim braku zainteresowania ludzkim ciałem.

Pożerając śniadanie, próbowała oszacować swoje obecne położenie. Pora dnia wskazywała, że przespała prawie dwadzieścia cztery godziny. Gorączka spadła. Znajdowała się w liliowym pokoju, tak jak ostatnim razem, i miała na sobie czarny, jedwabny szlafrok, niemal idealnie dopasowany do jej wzrostu, co sugerowało, że należał do Nathaniela. Przesiąknięty był wonią drogiego mydła i czegoś jeszcze, bliżej nieokreślonego. Była w stanie stwierdzić tylko, z pewnym zakłopotaniem, że pachnie *chłopakiem* – nie spodziewała się, że taki zapach będzie przyjemny, ale był.

Wtedy uświadomiła sobie, że straciła wszystkie swoje rzeczy. Nie miała nawet czystych ubrań. Jedyłą należącą do niej rzeczą w tym pokoju był list z Summershall, który, wciąż poskładany, spoczywał dyskretnie na stoliku nocnym. Silas musiał wyjąć go z jej kieszeni. Jak miała walczyć z kanclerzem, kiedy on miał tak dużo, a ona tak niewiele?

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Nie śpię – powiedziała z ustami pełnymi pieczywa. Spodziewała się Silasa, ale zamiast niego do pokoju wkroczył Nathaniel, tym razem w pełni ubrany, skryty za zbroją z warstw szmaragdowego jedwabiu. Zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, podszedł do okna i zacisnął dłonie na parapecie. Wyglądało na to, że nie chce na nią patrzeć. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie, jakby chciał tylko powiedzieć swoje i opuścić pokój najszybciej, jak to możliwe.

Elisabeth przestała przeżuwać i przełknęła. Suchy kawałek pieczywa utkwiał jej w gardle.

– Powinienem być wiedzieć, że przy pierwszej okazji wplączesz się w jakąś aferę, ty bestio wcielona – powiedział Nathaniel do okna. Słowa płynęły z jego ust pospiesznie, jakby ćwiczył swoją wypowiedź przed lustrem. – Wygląda na to, że nawet kanclerz nie dał rady powstrzymać cię przed wpakowaniem się w kłopoty. Dlaczego nie jesteś w Summershall? Nieważne. Skontaktujemy się z Kolegium, żeby zorganizowali dla ciebie transport. – Zesztywniał, odwracając lekko twarz. – Co to?

Elisabeth podeszła do niego z listem z Summershall. Z wahaniem wziął od niej kartkę. Ich palce zetknęły się na moment i z zaskoczeniem zauważyła, że Nathaniel ma na dłoniach odciski. Cofnęła się i objęła ciasno ramionami, nagle zakłopotana faktem, że ma na sobie jego szlafrok i niewiele pod spodem.

Marszcząc brwi, przeczytał list raz i drugi, aż w końcu podniósł wzrok, mierząc ją nieprzyjemnie przenikliwym spojrzeniem szarych oczu.

– Nie rozumiem.

– Nowy dyrektor nie chce, żebym wracała. Wymazał mnie z dokumentów. – Opadła na skraj łóżka. – Mam ci do powiedzenia coś jeszcze.

– Chodzi o to zagrożenie, o którym wspominał Silas?

– Chyba tak. Może powinieneś usiąść.

Nathaniel uniósł brwi, ale poszedł na kompromis, opierając się o ścianę przy oknie. Elisabeth otworzyła usta, po czym zawahała się i zacisnęła powieki. Słowa więzły jej w gardle i czuła ucisk w piersi. Było jej trudniej zacząć, niż się spodziewała. Zbyt wiele razy została zdradzona, przez tak wielu ludzi. Co, jeśli myliła się co do Nathaniela i jemu też nie może zaufać?

– Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz. – Otworzyła oczy. Nathaniel przyglądał jej się z nieodgadzionym wyrazem twarzy. – Nie przejmuj się – powiedział. – Wiem... – Zastanowił się przez chwilę, dobierając słowa. – Wiem, jakie to uczucie, wiedzieć o czymś, o czym nie możesz powiedzieć. Nikomu.

Elisabeth zalała potężna fala ulgi.

„On nie jest taki jak kanclerz, jak tamten lekarz albo strażnik Finch”.

Wybuchnęła bezsilnym, ochryplym śmiechem. Podobne do szlochu dźwięki wyrywały się z głębi jej ciała, a w kącikach oczu zbierały się łzy. Próbowała przestać, ale to tylko pogorszyło sytuację; śmiech przeszedł w paniczne, urywane oddechy.

Spodziewała się, że Nathaniel będzie się w nią wpatrywał tak, jak wszyscy inni, jakby postradała rozum, bo nawet ona sama miała wrażenie, że oszalała. On jednak patrzył na nią tak... tak... poczuła się tak, jakby skręciła za róg i nieoczekiwanie napotkała własne spojrzenie w lustrze, i przez ułamek sekundy jej przestraszone oczy należały do obcej osoby. Wstrząsnął ją dreszcz. On jakimś sposobem ją rozumiał. Odwróciła wzrok, wreszcie zdolna złapać oddech i powoli się uspokoić. Nathaniel nic nie mówił, tylko czekał.

– Muszę ci powiedzieć – oznajmiła w końcu, zaciskając dłonie w pięści. – To zbyt ważne. Ktoś oprócz mnie musi wiedzieć. – Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech. – Wszystko zaczęło się tamtej nocy, kiedy ktoś uwolnił *Księgę oczu*. Zeszłam na dół i poczułam zapach eterycznego spalania...

W miarę jak mówiła, dźwigany przez nią ciężar topniał. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak wyczerpujące były wszystkie te sekrety – bycie jedyną osobą, która przejrzała Ashcrofta, ciągnęła świadomość, że jeśli coś jej się stanie, prawda przepadnie na zawsze.

Nathaniel słuchał uważnie, nie przerywając, a im dłużej mówiła, tym bardziej pochmurniał. Kiedy dotarła do zaklęcia, którego użył na niej Ashcroft, wnętrze pokoju spowił cień. W pierwszej chwili pomyślała, że to słońce skryło się za chmurami, potem jednak dostrzegła szmaragdowe iskry tańczące wokół palców Nathaniela, podczas gdy mrok wokół gęstniał, jakby był środek nocy.

Urwała.

– Co...?

Nathaniel był tak skupiony na niej, że nie zauważył własnej reakcji. Rozejrzał się dookoła i poblądł. Mrok ustąpił.

– Przepraszam – wykrztusił. – Ja nie... – Z trudem próbował się uspokoić. W końcu rzekł opanowanym tonem: – To, co kanclerz ci zrobił – to zakłęcie – nie powinnaś była dość po nim do siebie, podobnie zresztą, jak nie powinnaś była przejrzyć jego iluzji, ani oprzeć się urokowi jego sługi. Wygląda na to, że jesteś w jakiś sposób odporna na wpływ demonów – co, prawdę mówiąc, wyjaśniałoby wiele z tego, co działo się z tobą od czasu *Księgi oczu*. – W roztargnieniu przeczesał włosy palcami. – Ale to dziwne. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś... nieważne. Mów dalej. Dlaczego się uśmiechasz?

Elisabeth nie była pewna. Słońce znów świeciło przez okno; srebrzyste pasmo we włosach Nathaniela sterczało do góry, a on najwyraźniej tego nie zauważył; i wierzył jej. W końcu. Wierzył w każde jej słowo. Wbiła wzrok w kolana i podjęła wątek.

– Więc sam widzisz – powiedziała na koniec – że muszę natychmiast iść do Kolegium i powiedzieć o wszystkim, czego się dowiedziałam. Sądzę, że Ashcroft w następnej kolejności zaatakuje Wielką Bibliotekę w Fairwater, a potem Harrows. Posuwa się okrężnym ruchem po obwodzie królestwa, sabotując wszystkie biblioteki po kolei. Może Bibliotekę Królewską zostawia sobie na koniec. Ale atak na Harrows z jakiegoś powodu ma dla niego szczególne znaczenie.

Nathaniel zmrużył oczy.

– Harrows powinno być nie do zdobycia. Jest lepiej strzeżone niż Biblioteka Królewska.

– Wielkie Biblioteki zbudowali jego przodkowie. Może zna jakieś sekretne wejście do środka. – Przygryzła wargę. – A w tamtejszej krypcie przechowywane są dwa grymuary dziesiątej klasy. Jeśli mu się uda...

Nathaniel się wyprostował.

– Rozumiem, do czego zmierzasz.

– Nie wydajesz się zaskoczony tym wszystkim, co ci powiedziałam – zauważyła niepewnie Elisabeth. – Znasz Ashcrofta od dawna, a mimo to mi wierzysz.

Znów wyjrzał za okno, przez co nie widziała jego twarzy.

– Cały dzień spędziłem, rozmyślając nad wszelkimi możliwymi rzeczami, które mogły ci się przytrafić, i wszystkimi osobami, które mogłyby potencjalnie być za

nie odpowiedzialne. Nic mnie już nie zaskoczy. Poza tym – dodał szybko gorzkim tonem, zanim zdążyła to skomentować – staram się nigdy nie bagatelizować tego, na co mogą się zdobyć czarownicy, nieważne jak dobrzy, mili czy godni zaufania się wydają. Widziałem na własne oczy, do czego są zdolni.

Ramiona i plecy miał napięte. Ewidentnie była to dla niego sprawa osobista.

– Mówisz o swoim ojcu – powiedziała cicho. Wszystko to, co ludzie mówili na temat Alistaira, zaczęło układać się w spójną całość.

Nathaniel zeszywniał. Na długą chwilę zapadła cisza. W końcu powiedział, wyraźnie próbując zmienić temat:

– Przedtem mi nie ufałaś. Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Elisabeth skubała palcami skraj szlafroka.

– Z początku się ciebie bałam. Teraz rozumiem, że mi pomogłeś, i wierzę...

Odwrócił się, unosząc pytająco brew.

– Wierzę, że jest w tobie dobroć – wyrzuciła z siebie. – Chociaż starasz się to ukryć.

Uniósł brew jeszcze wyżej.

– Więc masz nadzieję, że pomogę ci zdemaskować Ashcrofta?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo tak należy postąpić.

Parsknął pełnym niedowierzania śmiechem, niemal bolesnym, jakby ktoś go uderzył.

– Powiedz mi, masz jakieś dowody? Motyw? Ashcroft to najpotężniejszy człowiek w królestwie, a jego reputacja jest nieskazitelna jak bielizna królowej. Wszyscy go uwielbiają.

– Wiem, że studiuje *Codex daemonicus*. Treść księgi może wyjaśnić jego zamiary.

– Czarownicy studiowali *Codex* od wieków i nie znaleźli nic wartościowego. – Pokręcił głową. – Możesz przedstawić swoje zarzuty Kolegium albo nawet samej królowej, ale nikt ci nie uwierzy. Ashcroft twierdzi, że jesteś wariatką. Ma diagnozę lekarską i, z tego, co mówisz, dziesiątki świadków z wyższych sfer. – Elisabeth mięła w dłoniach szlafrok. Nathaniel ciągnął nieubłaganie: – Mieliby

twoje słowo, słowo skompromitowanej bibliotecznej nowicjuszki, przeciw opiniom najbardziej szanowanych osób w Austermeer.

– Ale gdybyś ty poszedł ze mną i powiedział im...

– Nie mam nic do powiedzenia. Mógłbym całymi dniami przysięgać, że mówisz prawdę, ale fakty są takie, że nie byłem osobiście świadkiem żadnej z rzeczy, o których mi opowiedziałaś. Wszyscy widzieliby, jak wiele uwagi ci poświęcam, i po tym katastrofalnym spotkaniu z prasą uznaliby po prostu, że... – Znowu przeczesał palcami włosy, tym razem bardziej gwałtownie.

– Że co?

Skrzywił się.

– Dam ci dobrą radę, Scrivener. Cokolwiek robi Ashcroft, odpuść. Z tobą już skończył; teraz jesteś bezpieczna. Znajdę sposób, żeby naprostować tę sprawę z Summershall, i będziesz mogła wrócić do domu, do swojego niewinnego wiejskiego życia.

– Nie. – Elisabeth zerwała się z łóżka. – Nie wrócę, dopóki go nie powstrzymam.

Twarz Nathaniela stężała.

– Czasami ludzie umierają – wycedził – i nic nie można zrobić, żeby temu zaradzić.

– Uratuję ich.

– Pójdiesz w ich ślady – warknął.

Elisabeth ogarnęła furia. Nabrzmiała w jej sercu, z sykiem rozeszła się po skórze i zaiskrzyła we włosach. Zbliżyła się do Nathaniela, aż niemal zetknęli się nosami.

– Lepsze to, niż nie robić nic! – krzyknęła.

Przez chwilę nie odpowiadał. Stali, mierząc się gniewnym wzrokiem, równi sobie wzrostem. Poczwała na twarzy jego oddech. Kiedy w końcu się odezwał, z trudem utrzymywał opanowany ton.

– Byłaś atakowana, krzywdzona, dręczona, pozostawiona na ulicy, aby umrzeć z głodu. Mierzysz się z niewykonalnym zadaniem. Jeśli dalej będziesz iść tą drogą, zginiesz. Czemu po prostu się nie poddasz?

Wpatrywała się w niego. Czy ludzie naprawdę tak robili – po prostu się poddawali? Podczas gdy na świecie było tyle rzeczy wartych miłości, zasługujących, by o nie walczyć?

– Nie mogę – odparła zawzięcie. – Nigdy się nie poddam.

Nathaniel rozchylił wargi, aby odpowiedzieć, jednak riposta nie padła. Przeniosła wzrok na jego usta i to wystarczyło, żeby napięcie między nimi przybrało całkiem inny charakter. Rumieniec wypłynął jej na twarz, kiedy się zorientowała, jak blisko siebie stoją; widziała szeroko otwarte oczy Nathaniela, ich ciemne źrenice.

Zrobił gwałtowny krok wstecz, po czym obrócił się na pięcie i złapał za skraj drzwi. Elisabeth szybko doszła do siebie i przytrzymała je, zanim zdążył je za sobą zatrzaskać.

– Co Silas miał na myśli, kiedy mówił, że ci na mnie zależy? – rzuciła.

Opadające włosy przesłaniały twarz Nathaniela tak, że widać było tylko zarys jego szczęki.

– Ze wszystkich ludzi ty powinnaś wiedzieć najlepiej, że nierozsądnie jest słuchać demonów.

Miał rację. Co pomyślałaby sobie dyrektorka, gdyby teraz zobaczyła Elisabeth, z własnej woli szukającą schronienia w domu czarownika i jego demona? Wstrząśnięta, rozluźniła uchwyt. Drzwi wysunęły jej się z ręki, ale Nathaniel nie zatrzaskał ich, tak jak się spodziewała, tylko zamknął z cichym szczękiem. Gdy odgłos jego kroków przycichł, osunęła się na podłogę i przycisnęła kłykcie do oczu, próbując zatrzeć w myślach widmowy obraz dyrektorki.

Kiedyś tak łatwo było odróżnić dobro od zła. Strażnicy przestrzegali prostych zasad: mieli chronić królestwo przed wpływem demonów i nigdy nie angażować się w czarodziejskie praktyki. Ale co miała zrobić, kiedy te zasady się ze sobą kłóciły? Gdyby nie przyjęła pomocy Silasa, mogłaby zginąć, a wtedy wszelka nadzieja na zdemaskowanie Ashcrofta przepadłaby razem z nią. Z pewnością jej obowiązkiem było dążyć do sprawiedliwości, bez względu na cenę.

Była zdezorientowana i kręciło jej się w głowie. Być może takie myśli oznaczały, że nie nadaje się na strażniczkę. Mimo to nie miała zamiaru się wycofać. Musiała zdobyć egzemplarz *Codexu*. Musiała odkryć, do czego dąży Ashcroft. A żadne miejsce nie nadawało się lepiej, aby zacząć, niż dom czarownika.



SZMARAGDOWY BLASK WYLEWAŁ się przez szczelinę pod drzwiami, oświetlając pokrytą odcisniętymi w kurzu śladami podłogę. Elisabeth stała w korytarzu, przestępując z nogi na nogę. Przez wiele godzin zwiedzała posiadłość, wtykając głowę do niezmierzonej liczby nieużywanych pokoi, w których meble nakryto płachtami materiału, aż natrafiła na ten, ukryty w rogu domostwa na parterze. Nathaniel przez cały dzień siedział zamknięty w środku, uprawiając jakąś magię: czasami słyszała, jak chodzi po pokoju, albo mamrocze jakieś zaklęcie. Czekala całe popołudnie, ale on ani razu nie wyszedł. Powoli zaczynała tracić cierpliwość.

Zerknęła w głąb korytarza. Dom wciąż był całkiem opustoszały. Nie licząc Silasa, który chyba wyszedł, nie napotkała tu żadnej służby. Zebrała się na odwagę i zapukała.

– Myślałem, że nie będzie cię aż do kolacji – odezwał się Nathaniel swobodnym tonem. – No już, wchodź. Przydałaby mi się twoja opinia na... – Odwrócił się w stronę otwieranych drzwi i mina mu skwaśniała. – Scrivener.

Elisabeth nie odpowiedziała, zbyt zajęta rozglądaniem się z rozdziawionymi ustami. Za drzwiami powitał ją nie pokój, lecz las. Nathaniel stał pośrodku omszałej przesieki, nakrapianej plamami nefrytowego światła prześwitującego przez igliwie ogromnych sosen. Motyle wielkie jak talerze gromadziły się na pniach, trzepocząc połyskliwymi, turkusowymi skrzydłami, a w powietrzu rozchodziły się ptasie trele. Las zdawał się nie mieć końca; jego głębię spowijała kłębiąca się mgła, od czasu do czasu odsłaniając skrawek odległych, pograżonych w mroku wzgórz i chlupoczących, spienionych strumieni.

Elisabeth w uniesieniu przeszła przez próg, wkraczając do innego świata. Nozdrza wypełniła jej woń zgnieczonego mchu i sosnowej żywicy, a gdy uniosła dłoń, zielonkawe światło przesączało się między jej palcami.

Nathaniel przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, po czym jego usta wykrzywił gorzki uśmiech.

– Nie ekscytuj się za bardzo. Nic z tego nie jest prawdziwe. Widzisz? To tylko iluzja, którą opracowuję na Królewski Bal.

Machnął ręką i sceneria rozmyła się jak mokra akwarela obrócona na bok. Elisabeth zamrugła, patrząc, jak paprocie rozplývają się w smugi zielonej mgły, a motyle znikają jak przekłute bańki mydlane. Niebawem ostatnie drzewo odeszło w niebyt i nie stała już w lesie, lecz w wejściu do gabinetu.

Nie był on jednak ani trochę podobny do gabinetu Ashcrofta, ani do żadnego innego pokoju, jaki kiedykolwiek widziała. Był zadziwiający. Trudno było się tu nawet poruszać, niczego nie przewracając. Stosy papierów pokrywały każdą płaską powierzchnię, przyciśnięte tu i ówdzie dziwnymi przyrządami z brązu i szkła. W jednym kącie lśnił wysadzany klejnotami globus na mosiężnej nodze, a nad głową Nathaniela unosił się zawieszony na drutach, ruchomy szkielet jakiegoś wielkiego ptaka. Sufit wznosił się pięć pięter w górę, zwieńczony świetlikiem wpuszczającym do środka jasne smugi słonecznego światła. A na ciągnących się wzdłuż ścian półkach, sięgających tak wysoko, że trzeba było do nich wchodzić po drabinie...

Elisabeth się rozpromieniła.

– Grymuary – szepnęła, zachwycona jeszcze bardziej niż przed chwilą.

Twarz Nathaniela przybrała dziwny wyraz.

– Podoba ci się tutaj?

– Oczywiście. Są tu książki.

Nathaniel stał tylko i nie próbował jej zatrzymać, więc Elisabeth wspięła się na najbliższą drabinę. Dostrzegła na półce znajomy tytuł, mrugający do niej połączanymi literami. Kiedy sięgnęła po księgę, ta wyrwała się z uścisku sąsiednich tomów i ochoczo wskoczyła jej w dłoń.

– Wiedziałam, że musisz gdzieś tu być! – powiedziała do *Leksykonu*. Nie widziała go od chwili wjazdu do Brassbridge. – Nie mogę uwierzyć, że cię ukradł.

Grymuar zaszeleścił z zawstydzieniem. Obejrzała się przez ramię na cudowny, ekscytujący chaos panujący w gabinecie. Z tej wysokości widziała szmaragdowe płomienie tańczące na palenisku oraz zawieszony nad nim szklany kociołek, z którego unosiły się do komina smugi fioletowej pary. Nigdzie nie było widać

czaszek, uciętych wronich stóp ani fiolek z krwią. Prawdę mówiąc, gabinet wyglądał... przyjaźnie. Marszcząc z zamyśleniem brwi, zwróciła się z powrotem do *Leksykonu*.

– Pewnie lepiej ci tutaj, niż u Ashcrofta – przyznała.

– Czego chcesz? – dobiegło ją z tyłu pytanie Nathaniela. – Zakładam, że jest jakiś powód, dla którego narzucasz mi swoją obecność.

Wsadziła sobie *Leksykon* pod pachę.

– Chciałam cię prosić o przysługę.

Odwrócił się i zaczął bez żadnego widocznego celu przerzucać papiery na biurku, osiągając w ten sposób wyłącznie jeszcze większy bałagan.

– Dziś rano chyba wyraziłem się jasno. Nie pomogę ci dać się zabić.

– Chcę tylko pożyczyć trochę książek.

– I ta podejrzanie nagła zachcianka nie ma absolutnie nic wspólnego z Ashcroftem?

Elisabeth zauważyła, że na pobliskim stole poustawiane są jakieś kruche przyrządy ze szkła. Zeszła z drabiny i ruszyła w ich stronę.

– Co to takiego? – zapytała. – Wyglądają na łatwo tłukące.

– Nie dotykaj ich – rzucił pospiesznie Nathaniel. – Nie, tego też nie dotykaj – dodał, kiedy skręciła w stronę wysadzanego klejnotami globusa. Zignorowała go. W końcu rozłożył ręce w geście poddania. – W porządku! Niech ci będzie, ty bestio wcielona. Możesz sobie pożyczyć tyle grymuarów, ile tylko zechcesz, pod warunkiem, że nie będziesz dotykać niczego innego. Taka jest umowa.

Uśmiechnęła się promiennie. Nathaniel wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym z powrotem wbił wzrok w biurko.

– Co się stało?

– Potrzeba ci nowych ubrań – powiedział, udając, że czyta jeden z dokumentów. Wiedziała, że udaje, bo trzymał arkusz do góry nogami. – Jak tak dalej pójdzie, zabraknie mi piżam. Każę Silasowi się tym zająć – on lubuje się w takich rzeczach. Przygotuj się, że będziesz modna, Scrivener, bo Silas ci nie odpuści.

Elisabeth się zarumieniła. Zapomniała, że wciąż ma na sobie szlafrok Nathaniela. Próbowwała odepchnąć od siebie wspomnienie jego ciemnych oczu i rozchylonych warg, zaledwie parę cali od jej własnych.

– To, jak mówisz o Silasie... bardzo mu ufasz, prawda?

Z jakiegoś powodu Nathaniel się roześmiał.

– Na tyle, żeby powierzyć mu swoje życie.

Dopiero po chwili dotarło do niej podwójne znaczenie jego słów. Zrobiło jej się ciężko na sercu. Łatwo było zapomnieć, że oddał część swojego życia w zamian za usługi Silasa. Jak wiele go stracił? Nie potrafiła się zdobyć na to, żeby zapytać.

Odepchnęła od siebie ponure myśli i zajęła się czekającym ją zadaniem. Podczas gdy Nathaniel wrócił do pracy, ona wspinała się po drabinach, ściągając z półek wszystkie grymuary, które wyglądały obiecująco. Światło zmieniało barwę i kierunek, wpadając teraz przez świetlik pod skosem. Upłynęły godziny, a Elisabeth ledwie to zauważyła. Była z powrotem tam, gdzie jej miejsce – pośród szeptów i szelestów kartek, otoczona słodkim, stęchłym zapachem książek. Od czasu do czasu zerknęła w dół, żeby zobaczyć, co robi Nathaniel, i widziała, jak przygląda się wyczarowanym przez siebie motylom i kwiatom przez soczewki dziwaczego przyrządu powiększającego. Ani razu nie odwzajemnił jej spojrzenia, czasem jednak, kiedy była do niego odwrócona plecami, mogłaby przysiąc, że czuje na sobie jego wzrok, niepewny jak muśnięcie skrzydeł motyla.

Późnym popołudniem wytoczyła się z gabinetu z tak ogromnym stosem grymuarów w rękach, że musiała wychylać zza nich głowę, żeby widzieć, dokąd idzie. Wspinanie się z nimi po schodach przez trzy kondygnacje do sypialni nie wydawało się rozsądne. Zamiast tego zatargała książki do pokoju, który odkryła podczas wcześniejszego rekonesansu. Był to malutki salonik położony w ciepłym, słonecznym zakątku rezydencji; pękate fotele stały wokół kominka, w którym ktoś zostawił bukiet suszonej lawendy, teraz kruchej i zbrązowiełej ze starości. Położyła grymuary na stoliku i kichnęła, kiedy z blatu podniosła się chmura kurzu.

Kierując się informacjami z *Leksykonu*, postanowiła skupić się na postaci Aldousa Prendergasta, autora *Codex daemonicus*. Na początek wybrała same grymuary pierwszej i drugiej klasy, zawierające treści na temat historii szesnastego wieku. Jeden z nich wyglądał szczególnie obiecująco: *Kompletne vademecum postaci historycznych pióra lady Primrose. Wydanie nowe, poprawione*. Księga co chwila prychała delikatnie, jak urażona dama, narzekając na zakurzony stolik, i nie chciała dać się otworzyć, dopóki Elisabeth nie pożyczyla od Nathaniela pary rękawiczek z koźlęcej skóry.

Jednak zanim zapadł zmrok, dowiedziała się z grymuarów rozczarowująco niewiele. Wyczytała, że Prendergast poświęcił życie zgłębianiu tajemnic demonów i Pozaświata. Miał obsesję na punkcie swojej pracy, do tego stopnia, iż twierdził, że sam odwiedził Pozaświat, co najwyraźniej stało się zarzewiem niezgody między nim a Cornelusem. Zanim Prendergast napisał *Codex*, byli bliskimi przyjaciółmi, jednak wkrótce po powstaniu dzieła Cornelius ogłosił Prendergasta szalonym i zamknął go w wieży, gdzie ten zmarł, zapadłszy wcześniej w stan podobny do śpiączki. Uwadze Elisabeth nie uszedł fakt, że Ashcroft próbował się jej pozbyć w praktycznie taki sam sposób. Nic dziwnego, że mentalne wrzaski księgi gotowały się z furii i poczucia zdrady.

Jednak żaden z grymuarów nie zawierał tego, czego naprawdę potrzebowała: wskazówki, jakież to sekret Prendergast mógł ukryć w treści *Codexu* – albo przynajmniej gdzie mogła znaleźć egzemplarz, żeby przestudiować go samodzielnie.

Sfrustrowana, odłożyła na bok ostatnią księgę i wyjrzała przez okno. Było już niemal zbyt ciemno, aby czytać dalej. Do saloniku wkradł się niebieskawy półmrok, a ruch uliczny na zewnątrz zmalął. Patrzyła na przejeżdżający za oknem powóz, lśniący od deszczu, z jaskrawo żółtymi liśćmi przyklejonymi do dachu, a myśli kłębiły się i zazębiały w jej głowie. Do tej pory ataki na Wielkie Biblioteki miały miejsce w mniej więcej dwutygodniowych odstępach. To oznaczało, że został jej niewiele ponad tydzień, aby obnażyć działania Ashcrofta, zanim napadnie na Wielką Bibliotekę w Fairwater, i niecały miesiąc, aż weźmie się za Harrows. Ledwie zaczęła, a już kończył jej się czas.

– Panno Scrivener? – Podskoczyła. W drzwiach stał Silas, trzymając srebrną tacę. – Pozwoliłem sobie przynieść ci kolację, chyba że wolałabyś się przenieść do jadalni.

Elisabeth pospiesznie zrobiła miejsce na stoliku, ignorując oburzone prychnięcia *lady Primrose*.

– Tu będzie dobrze. Dziękuję. – Patrzyła, jak Silas odkłada tacę. Wcześniej tego dnia zajrzała do kuchni i nikogo tam nie zastała. – Sam gotujesz tu wszystkie posiłki?

– Tak, panienko. – Silas zapalił lampę olejną w rogu i poszedł zaciągnąć zasłony. Dziwnie było patrzeć, jak wykonuje tak proste zadania. Jego błada, smukła postać wyglądała zwiewnie,

niemal nieludzko w wieczornym półmroku. – Od sześciu lat usługuję panu Thornowi we wszystkim.

„Jem nawet posiłki przyrządzone przez demona” – pomyślała niespokojnie. Jednak zawdzięczała Silasowi życie. Nie wydawało się właściwe, żeby musiał jej nadskakiwać.

– Czy... czy chciałbyś zjeść razem ze mną?

Zatrzymał się, przekrzywiając głowę.

– Życzyłabyś sobie tego?

Elisabeth zawahała się, niepewna, co powiedzieć.

Przyjrzał jej się spod przymrużonych powiek.

– Nie jadam ludzkiego jedzenia, panienko, chyba że mam ku temu dobry powód. Dla mnie smakuje jak popiół i kurz. – Szarpnął zasłony. Zanim zakryły okno, zdążyła zauważyć, że jego oddech nie pozostawiał śladu na szybie. – Ale zjem z tobą, jeśli chcesz.

Czy go uraziła? Po nim zawsze trudno było poznać.

– W takim razie nie będę cię kłopotać.

Skinął głową i odwrócił się do wyjścia.

– Jest bardzo smaczne – palnęła. – Nigdy nie jadłam nic tak dobrego, chyba że w Dworze Ashcroftów, a o tym wolałabym zapomnieć. Jesteś świetnym kucharzem, chociaż nie mam pojęcia jakim cudem, skoro nie czujesz, jak co smakuje.

Silas zastygł w bezruchu. Skuliła się, słysząc w głowie własne niezręczne słowa, ale on nie wydawał się urażony nieudolną pochwałą. Na jego alabastrowych rysach widać było raczej ślad satysfakcji. Ponownie skinął głową, tym razem mocniej, po czym zniknął w mroku korytarza.

Kiedy następnego dnia weszła do saloniku z kolejnym naręczem książek, przekonała się, że pod jej nieobecność całe pomieszczenie zostało dokładnie odkurzone i wysprzątane, dywan wytrzepany, a płachty materiału usunięte z pozostałych tu mebli. Podzielone na małe diamenciki okienne szyby lśniły

czystością, a w powietrzu unosił się słodki zapach, pochodzący, jak wkrótce odkryła, ze świeżego bukietu lawendy umieszczonego na palenisku. Nawet *lady Primrose* nie znalazła powodu do narzekań; prychnęła niepewnie kilka razy, po czym niechętnie zamilkła.

Elisabeth spędziła na czytaniu kolejne bezowocne popołudnie. Następnego dnia również nie zbliżyła się do znalezienia odpowiedzi. Czasami, kiedy wspinała się pośród krokwi w gabinecie Nathaniela, zatrzymywała się, żeby przez chwilę popatrzeć, jak dodaje jakiś składnik do szklanego kociołka, wciąż buchającego fioletowym dymem, albo wyczarowuje gromadkę kolibrów, śmigających wokół niego jak jaskrawe plamki niebieskawej zieleni. Światło padające z góry podkreślało zarys jego ramion i połyskiwało w zmierzwionych włosach. Kiedy słońce grzało szczególnie mocno, zdarzało mu się zdejmować kamizelkę i podwijać rękawy; widziała wtedy okropną bliznę na jego prawym przedramieniu, wyraźniej niż w słabo oświetlonym korytarzu gospody.

W dalszym ciągu ją ignorował, ale, ku zaskoczeniu Elisabeth, panujące między nimi milczenie nie wydawało się nieprzyjemne. Czuła się tu bardzo podobnie jak w Summershall, kiedy zajmowała się swoimi sprawami, a inni bibliotekarze w pobliżu robili to samo. Nie chciała zbyt głęboko się nad tym zastanawiać, bo wydawało się niewłaściwe, żeby gabinet czarownika przypominał jej dom.

Dotarły ubrania zorganizowane przez Silasa: zestaw jedwabnych sukni, lazuruwa, różowa i w kremowe pasy. Przymierzyła je wszystkie, napawając się dziwnym, nowym doświadczeniem, jakim było posiadanie strojów nieodslaniających w całości jej kostek, po czym z poczuciem winy umieściła niebieską sukienkę w głębi szafy. Jej kolor nie kojarzył jej się już z mundurem strażnika, lecz z czasem, który spędziła uwięziona w Dworze Ashcroftów. Do tej pory nawiedzały ją koszmary, w których wspomnienia z kilku ostatnich tygodni zlewały się ze sobą w przerażające fantasmagorie: leżała bezbronna pod wpływem uroku Lorelei, podczas gdy Ashcroft zabijał dyrektorkę na jej oczach, albo asystent ze szpitala zaciskał jej na nogach skórzane pasy, a pan Hob stał tuż obok, ani razu nie mrugając. Budziła się z tych snów zlaną zimnym potem i przez długie godziny nie mogła z powrotem zasnąć.

Przełom w poszukiwaniach nastąpił trzeciego wieczora i stało się to zupełnym przypadkiem. Siedziała w saloniku i notowała spostrzeżenia, kiedy wywiązała się sprzeczka między *lady Primrose* a grymuarem drugiej klasy, zatytułowanym

Herbarz Throckmorta, który przez całe popołudnie pluł atramentem na inne księgi. Wreszcie *lady Primrose* skończyła się cierpliwość i salonik na moment ogarnęła nawałnica kurzu oraz trzepoczących kartek, a *Throckmorton* czmychnął pod szafkę, rozpaczliwie próbując oddalić się od rozsierdzonej, świszczącej przeraźliwie jak czajnik z wrzątkiem *lady Primrose* tak daleko, jak tylko możliwe.

– Nie powiem, żeby mi było przykro – stwierdziła Elisabeth surowo, kucając, żeby wyciągnąć *Throckmorta* spod mebla jak niesfornego kota. – Nie powinienes być dokuczać innym grymuarom.

I wtedy to zobaczyła: odbłysek słońca w czymś metalowym, wciśniętym za szafkę. Cokolwiek to było, musiało się chyba przypadkiem ześlizgnąć za mebel i utkwic pomiędzy nim a ścianą. Elisabeth sięgnęła po przedmiot i natychmiast cofnęła rękę jak porażona, bo był lodowato zimny w dotyku. Owinęła spódnicę wokół dłoni i spróbowała raz jeszcze, tym razem ostrożnie wydobywając zgubę na światło dzienne.

Było to małe lustro ręczne w srebrnej ramce, zdobionej złożonym, wijącym się wzorem. Ale nie było to zwyczajne zwierciadło. Z krawędzi ramki zwieszały się sople, a szkło pokrywała warstwa szronu. Kiedy Elisabeth przyjrzała się z bliska, nie zobaczyła swojego odbicia; zamiast tego pod skutą lodem taflą przesuwaly się nieznanym, widmowe obrazy.

Najpierw lustro pokazało jej pusty salon w obcym domu, którego barwy ledwie wyzierały spod warstwy lodu. Odetchnęła gwałtownie, kiedy przez pokój przebiegło roześmiane dziecko, ścigane przez nianię. Potem obraz zawirował i zamiast niego pojawiło się biuro, gdzie jakiś mężczyzna podpisywał papiery, a to z kolei ustąpiło miejsca bawialni, w której jedna kobieta grała na pianinie, a druga siedziała nieopodal, haftując. Elisabeth wpatrywała się w lustro, oczarowana. To byli prawdziwi ludzie. Sądząc z kąta, pod jakim ich widziała, spoglądała przez lustra stojące w ich pokojach.

Przysunęła lustro do twarzy tak, że jej oddech owiewał lód i niebawem wytopił okrąg pośrodku tafli, a obrazy nabrały kolorów. Dźwięczne tony pianina wypełniły salonik, jak gdyby dobiegały zza zamkniętych drzwi w domu Nathaniela, zaledwie kilka pomieszczeń dalej. Elisabeth poczuła w piersi bolesne ukłucie samotności.

– Chciałabym, żebyś pokazało mi kogoś, kogo znam – szepnęła w stronę szklanej tafli. – Chciałabym – ciągnęła – zobaczyć moją przyjaciółkę Katrien.

Muzyka umilkła. Kobieta zmarszczyła brwi i podniosła wzrok, spoglądając prosto na Elisabeth. Wytrzeszczyła oczy i z wrzaskiem zerwała się z taboretu. Reszty Elisabeth już nie zobaczyła. Nim zdążyła dobrze przyjąć do wiadomości fakt, że kobieta ją widziała, obraz znów zawirował. Tym razem pokazał jej własny pokój w Summershall.

Jej pokój – jej i Katrien, która siedziała właśnie na swoim łóżku, przeglądając plik nagryzmołonych notatek. Skrawki zmiętego papieru pokrywały koldrę Elisabeth i zalegały pod ścianami pomieszczenia jak zaspasnie. Niektóre leżały na toalecie, wsparte o lustro, zapisane celowo nieczytelnym pismem. Katrien wyraźnie coś knuła.

Elisabeth poczuła ucisk w gardle. Lusterko zadrżało jej w dłoni. Nie spodziewała się, że spełni jej prośbę. Gdyby Kolegium dowiedziało się, że użyła magicznego artefaktu, już nigdy nie pozwolono by jej postawić stopy w Wielkiej Bibliotece. W dodatku nie wiedziała, jak działa to lustro, ani skąd czerpie moc – posługiwanie się nim mogło być niebezpieczne. Powinna odłożyć je z powrotem tam, gdzie je znalazła, i nigdy więcej go nie dotykać.

Ale to była Katrien – prawdziwa Katrien, tuż przed nią.

Elisabeth nie miała dość siły, żeby się odwrócić.

– Katrien – szepnęła.

Dziewczyna wyprostowała się gwałtownie i obróciła w jej stronę.

– Elisabeth! – wykrzyknęła i podbiegła do toaletki, aż jej twarz wypełniła lustro. – Co się dzieje? Jesteś uwięziona? – Urwała na moment, żeby przyjrzeć się otoczeniu Elisabeth. – Gdzie ty *jesteś*?

– Mam ci tyle do powiedzenia. Czeka! Nie odchodź!

– Nigdzie nie idę! Ale Elisabeth, ty znikasz – zrobiłaś się przezroczyta...

Szron na nowo pokrywał taflę. Jeszcze raz chuchnęła na lustro, ale na próżno – tym razem lód nie ustąpił. Rozpaczliwie szukała rozwiązania, aż przyszła jej do głowy inna myśl. Przebywając w Wielkiej Bibliotece, Katrien miała dostęp do zasobów pozostających poza zasięgiem Elisabeth.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała w kurczący się prędko okrąg. – Nie mam czasu tłumaczyć, ale to ważne.

– Zrobię wszystko – odparła Katrien ponuro.

– Jest taki grymuar, nazywa się *Codex daemonicus*. Chyba klasa piąta albo szósta. Musisz się dowiedzieć, gdzie mogą zdobyć egzemplarz...

Szron pokrył ostatni skrawek lustra i tafla przybrała kolor mlecznej bieli. Elisabeth nie wiedziała, czy Katrien w ogóle ją usłyszała. Osunęła się na oparcie, zaciskając powieki, aby powstrzymać łzy frustracji.

Przez resztę dnia trzymała lusterko przy sobie, ukryte pod poduszkami fotela. Co jakiś czas sprawdzała, co się z nim dzieje, ale jego magia najwyraźniej się wyczerpała. Jedyne, co pokazywało, to pusty, biały owal. Tej nocy leżała bezsennie w łóżku, patrząc, jak pasmo księżycowego światła przesuwają się po suficie, i rozmyślając, co robić dalej. Lusterko spoczywało obok na pościeli, przyprowadzając jej nagie ramiona o gęszą skórę swoim lodowatym chłodem. Katrien zdawała się znajdować na wyciągnięciu ręki, a zarazem dalej niż kiedykolwiek przedtem.

„Może powinnam iść do Nathaniela – pomyślała. – On by wiedział, czy da się przywrócić lusterku magię”.

Natychmiast odrzuciła ten pomysł. Nathaniel wydawał się skłonny tolerować jej próby zdemaskowania Ashcrofta, ale tylko pod warunkiem, że w żaden sposób go w to nie mieszała. Mógłby odebrać jej lusterko, zwłaszcza gdyby okazało się niebezpieczne, albo gdyby przestraszył się, że je stłucze. Lepiej poczekać i zobaczyć, czy magia nie wróci sama z siebie.

Nathaniel... Wciąż go nie rozumiała. Nie odnosił się do niej niezyczliwie, ale też wyraźnie nie cieszyła go jej obecność. Jej przybycie z jakiegoś powodu wytrąciło go z równowagi – jasno wynikało to z jego kłótni z Silasem. Nigdy nie jedli razem posiłków, a odzywał się do niej tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Kiedy nie przebywali w jego gabinecie, całkowicie jej unikał.

Być może nie chciał jej zachęcać. Może nie pociągały go kobiety, tak jak sugerowały damy na kolacji w Dworze Ashcroftów, a może był taki jak Katrien i romantyczne sprawy w ogóle nie budziły jego zainteresowania. Obydwie możliwości wyjaśniałyby, dlaczego nigdy się do nikogo nie zalecał. A jednak nie myliła się tamtego ranka, kiedy widziała, jak jego oczy ciemnieją, i czuła zawieszony w powietrzu między nimi napięcie.

Przewracała się niespokojnie pod kołdrą. Wyobrażała sobie, że idzie korytarzem w koszuli nocnej i puka do drzwi sypialni Nathaniela, a on otwiera je po ciemku, z włosami zmierzwionymi od snu, w koszuli rozpiętej na piersi. W końcu zapadła

w sen, wspominając miękkość jego włosów, gdy dotknęła ich w Summershall, i muśnięcie jego pokrytych odciskami palców.

Kiedy obudziła się następnego ranka, natychmiast usiadła i chwyciła lusterko, a jej włosy opadły na nie splątana zasłona. Magia wróciła. Obrazy znów przesuwaly się pod warstwą szronu. Jednak zanim zdążyła wezwać Katrien, rozległo się pukanie do drzwi. Wepchnęła lusterko pod koc, wstrzymując oddech.

Silas wślizgnął się do środka, niosąc śniadanie. Powiódł po niej spojrzeniem żółtych oczu, ale jeśli nawet wyczuł, że coś jest nie tak, to nic nie powiedział. Elisabeth podziękowała mu pospiesznie, kiedy podszedł do niej z tacą, a potem, zdając sobie sprawę, że jej podziękowanie brzmiało dość niecodziennie, złapała kawałek pieczywa i w całości wcisnęła go sobie do ust. Nie wydawał się w najmniejszym stopniu zdziwiony tym przedstawieniem, skłonił się tylko i wyszedł bez słowa komentarza. Zaczekała jeszcze dłuższą chwilę, pewna, że jego zmysły były o wiele bardziej wyostrzone niż ludzkie, po czym wygrzebała lusterko z powrotem, ignorując przenikliwy chłód oszronionego metalu.

– Pokaż mi Katrien – zażądała i chuchnęła na szkło.

Obraz w lustrze zawirował. Katrien leżała twarzą w dół na łóżku, na wpół zakopana w stercie zgniecionego w kulki papieru. Kiedy Elisabeth kilka razy powtórzyła jej imię, obudziła się z parsknięciem i sturlała na podłogę. Elisabeth aż się wzdrygnęła, gdy przyjaciółka z łoskotem uderzyła o dywan.

– Nic ci nie jest? – zapytała.

Katrien wgramoliła się przed lustro, mrużąc oczy w porannym słońcu.

– Miałam cię zapytać o to samo, ale widzę, że jesz śniadanie w łóżku.

– Jestem bezpieczna, na razie. – Elisabeth się zawahała. – Katrien, wyglądasz...

Błado. Wydawała się wyczerpana i przepracowana. Przeklinała się w duchu, że nie zauważyła tego poprzedniego dnia. Wory pod oczami Katrien i szarawy odcień jej brązowej skóry nie mogły być efektem jednej nieprzespanej nocy.

Przyjaciółka obejrzała się przez ramię na drzwi i milczała przez chwilę, jakby chciała się upewnić, że na zewnątrz nikogo nie ma.

– Dyrektor Finch zrobił z tego miejsca więzienie – wyznała, ścisząc głos. – Strażnicy co kilka dni na wyrrywki sprawdzają pokoje. Podwoił ilość pracy, którą muszą wykonywać nowicjusze, a jeśli jej nie skończymy, wrzuci nas do lochu. – Potarła nadgarstki, na których Elisabeth dostrzegła opuchnięte pręgi od różgi. – Jeśli sądzisz, że ja źle wyglądam, to powinnaś zobaczyć Stefana. Ale nie martw się. To już nie potrwa długo.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałyby ci, ale boję się, że znowu zabraknie nam czasu. Zaufaj mi. Panuję nad sytuacją. – Nachyliła się bliżej. – No więc tak... Udało mi się zeszłej nocy poszperać w papierach.

Elisabeth się wyprostowała.

– Znalazłaś?

Katrien przytaknęła.

– Powstały tylko dwa egzemplarze *Codex daemonicus*. Jeden zaginął setki lat temu, a drugi znajduje się gdzieś na półkach Biblioteki Królewskiej.

– W takim razie Ashcroft musi mieć ten zaginiony egzemplarz... – Odpłynęła myślami. Dowiedziała się od Silasa, że Biblioteka Królewska mieściła się w jednym z budynków z wieżami, stojących nad rzeką, zaledwie kawałek od Parku Cykuty.

– Elisabeth – powiedziała Katrien.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że szron znów pokrywa lusterko, pochłaniając twarz Katrien. Serce podeszło jej do gardła.

– Tylko czarownikom wolno wejść do Wielkiej Biblioteki – rzuciła szybko. – I uczonym, jeśli dostaną pozwolenie z Kolegium, ale muszą mieć listy uwierzytelniające. Muszę znaleźć sposób, żeby się tam dostać.

– To nic trudnego – odparła Katrien. – Zatrudnij się tam jako służąca.

– Ale nigdy nie pozwolą służącej studiować grymuarów.

– Oczywiście, że ci nie *pozwolą*. Wiesz, co musisz zrobić, prawda?

Elisabeth pokręciła głową, ale zaschło jej w ustach. W rzeczywistości wiedziała, co powie Katrien, i wcale nie chciała tego usłyszeć.

– Wiem, że ci się to nie podoba, ale nie ma innego sposobu. – Głos przyjaciółki z każdą chwilą stawał się cichszy. – Musisz odkryć, gdzie w bibliotece jest

trzymany *Codex*. Musisz się tam dostać – powiedziała – i go ukraść.



ZNALEZIENIE PRACY W Bibliotece Królewskiej okazało się łatwiejsze, niż Elisabeth się spodziewała. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności akurat tego ranka jedna ze służących odeszła z pracy po tym, jak na nogę wpełzła jej ogromna wesz książkowa, i pilnie potrzebne było zastępstwo. Elisabeth zademonstrowała zarządcy, że jest doskonałą kandydatką, unosząc jeden koniec stojącej w jego biurze szafki, aby znaleźć ukrytą pod nim wesz, i rozdeptując szkodnika, ku wielkiej uciechu młodego nowicjusza, który właśnie przechodził obok. Następnie usiadła przed biurkiem i odpowiedziała na kilka pytań związanych z pracą, na przykład jak szybko potrafi biegać i czy bardzo ceni sobie zachowanie wszystkich dziesięciu palców. Zarządcy zaimponował chyba fakt, że uznała wszystkie jego pytania za całkowicie rozsądne. Jak wyjaśnił, większość ludzi od razu wychodziła.

– Ale przecież to biblioteka – odparła ze zdziwieniem. – Czego się spodziewają – że książki *nie będą* próbowały poobgryzać im palców?

Po rozmowie z zarządcą musiała się jeszcze spotkać z zastępcą dyrektora, mistrzynią Petronellą Wick.

Elisabeth nigdy nie słyszała o stanowisku zastępcy dyrektora, ale doszła do wniosku, że Biblioteka Królewska była na tyle duża, żeby kogoś takiego potrzebować. Gdy tylko przekroczyła próg gabinetu, zrozumiała, że znajduje się w obecności niebywale ważnej osoby. Mistrzynie Wick miała na sobie szaty w kolorze indygo, zarezerwowane dla odznaczonych starszych bibliotekarzy, spięte wysoko na szyi złotą broszą w kształcie klucza i pióra. Włosy posiwiały jej z wiekiem, jednak nie umniejszało to elegancji jej misternie upiętych warkoczy. Na tle ciemnobrązowej skóry jej białe oczy wydawały się niemal opalizujące, a postawę miała tak nienaganną, że Elisabeth poczuła się, jakby jej własna niezgrabność wypełniała pokój jak osobny byt. Była pewna, że mistrzyni Wick ją wyczuwa, choć ewidentnie była ślepa.

– Być może się zastanawiasz, dlaczego przysłano cię do mnie – zaczęła kobieta bez owijania w bawełnę. – Tutaj, w Bibliotece Królewskiej, nawet pozycja służącej niesie ze sobą wielką odpowiedzialność. Nie możemy wpuszczać w nasze progi byle kogo.

– Tak, proszę pani – powiedziała Elisabeth, siedząc jak skamieniała przed biurkiem.

– Poza tym to niebezpieczna praca. Odkąd objęłam stanowisko zastępcy dyrektora, zginęło kilkoro służących. Byli też tacy, którzy tracili kończyny, zmysły, a nawet rozum. Dlatego muszę zapytać – czemu chcesz pracować akurat w Wielkiej Bibliotece?

– Bo ja... – Elisabeth przełknęła ślinę, postanawiając mówić na tyle szczerze, na ile mogła sobie pozwolić. – Bo tu jest moje miejsce – wyrzuciła z siebie. – Bo tu jest coś, czego poszukuję, a znaleźć to mogę tylko tutaj, wśród książek.

– A co takiego pragniesz znaleźć?

Tym razem odpowiedziała bez wahania.

– Prawdę.

Mistrzynie Wick siedziała w milczeniu przez dłuższą chwilę, na tyle długą, że Elisabeth nabrała pewności, że zostanie odprawiona. Czuła się, jakby poddawano oględzinom jej duszę; jakby mistrzyni Wick była w stanie wyczuć jej prawdziwe intencje i lada moment miała wezwać strażnika, żeby z miejsca ją aresztował. Wtedy jednak zastępczyni dyrektora wstała z krzesła i powiedziała:

– W porządku. Chodź ze mną. Zanim zaczniesz szkolenie, musisz odwiedzić zbrojownię.

Opuściły gabinet i ruszyły razem korytarzem z kolumnadą. Echo ich kroków niosło się pod wysokim, łukowym sklepieniem. W ciągnących się wzdłuż ścian wnękach stały gabloty ze szkła zbrojonego, rzucające na kamienną podłogę dziwne, barwne refleksy. W ich wnętrzu nie znajdowały się grymuary, lecz magiczne artefakty: czaszka promieniująca szmaragdowym światłem, kielich pełen mikstury wyglądającej jak nocne niebo, miecz o jelcu oplecionym kwiatami powoju, które kwitły, usychały i kwitły na nowo na oczach Elisabeth, a ich opadłe płatki obracały się w nicość. Zmuszała się, żeby nie zwalniać, świadoma dłoni

mistrzynie Wick spoczywającej jej na ramieniu. Jednak kiedy mijaly kolejną gablotę, z zaskoczenia stanęła jak wryta.

Wewnątrz znajdowało się zamarznęte lustro. Zwisały z niego sople tak długie, że zlały się w jedno, tworząc przejrzysty piedestał, a lodowe kryształki wirowały wokół niego, jakby za szybą gabloty szalała burza śnieżna.

– Jesteśmy w Sali Sztuk Zakazanych – wyjaśniła mistrzyni Wick. – Każdy z przechowywanych tu artefaktów został zdelegalizowany sto pięćdziesiąt lat temu przez Reformy. To relikty minionej ery, zachowane jako przypomnienie tego, co było kiedyś. – Podeszła do gabloty, wyciągnęła rękę i przejechała palcami po tabliczce. Po chwili Elisabeth zdała sobie sprawę, że czyta w ten sposób wygrawerowane litery. – To lustro śledzące – powiedziała, cofając dłoń – stworzone przez dawnych czarowników. Za jego pomocą można spoglądać przez wszystkie lustra na tym świecie. To prawdopodobnie ostatnie, jakie się zachowało. Cała reszta została skonfiskowana i zniszczona, a teraz nikt już nie wie, jak takie stworzyć.

Elisabeth podeszła trochę bliżej.

– Czy jest niebezpieczne?

– Wiedza zawsze stanowi potencjalne zagrożenie. To broń potężniejsza, niż jakikolwiek miecz czy zaklęcie.

– Ale ono jest magiczne. To czary. – Elisabeth wiedziała, że nie powinna mówić nic więcej, ale łaknęła odpowiedzi, nie tylko na temat lustra, ale też zmian, które zachodziły w jej sercu. – Czy nie powinno być złe z założenia?

Mistrzyni Wick odwróciła gwałtownie głowę i Elisabeth natychmiast pożałowała, że zadała to pytanie. Jednak zastępczyni dyrektora położyła tylko dłoń na jej ramieniu i poprowadziła ją dalej, tak pewnym krokiem, że oczywistym było, że potrafiłaby przejść przez salę bez niczyjej pomocy. To ona wskazywała Elisabeth drogę przez to niebezpieczne miejsce, a nie na odwrót.

– Zdaniem niektórych tak – odpowiedziała. – Ale świat zawsze można postrzegać na więcej niż jeden sposób. Słuchając tych, którzy twierdzą inaczej, człowiek skazuje się na wieczne błądzenie w mroku.

Wejście do zbrojowni znajdowało się na końcu Sali Sztuk Zakazanych, strzeżone przez dwa posągi, które trzymały skrzyżowane włócznie przed okutymi

żelazem drzwiami. Kiedy mistrzyni Wick pokazała im swoją broszę z symbolem Kolegium, odsunęły włócznie, a drzwi same otwały się z jękiem.

Elisabeth rozejrzała się z zachwytem. Promienie słońca padały z wysoka na płaszcze, miecze i pojemniki, a nawet staroświeckie zbroje stojące na baczność obok filarów, wypolerowane na błysk. Rząd posągów ustawionych w głębi pomieszczenia służył najwyraźniej do ćwiczeń w posługiwaniu się bronią; tu i ówdzie brakowało im jakiegoś kawałka, a twarze zastygły w wyrazie znużenia. Oprócz nich była tu tylko jedna osoba: jakiś chłopak stał przy stole opartym na kozłach w środku pomieszczenia, nabierając łyżką kopczyki soli i wysypując ją na skrawki materiału. Potem wiązał tkaninę sznurkiem, tworząc małe, okrągłe paczuszki podobne do sakiewek na monety. Kiedy weszły do środka, podniósł wzrok i posłał Elisabeth przyjazny uśmiech.

– Dzień dobry, Parsifalu – powiedziała mistrzyni Wick. – Elisabeth, młodszy bibliotekarz Parsifal zadba, żebyś otrzymała całe potrzebne wyposażenie.

– Hej – powiedział Parsifal. Elisabeth od razu poczuła do niego sympatię. Wyglądał na mniej więcej dziewiętnaście lat, a jego jasnoniebieskie szaty opinały okrągły brzuch. Miał miłą twarz i strzechę krótkich blond włosów, sterczących tu i tam na wszystkie strony.

Kiedy mistrzyni Wick wyszła, zaczął krzątać się po zbrojowni, przynosząc przedmioty i układając je przed nią na pustym fragmencie stołu: skórzany pas z mnóstwem szlufek i sakiewek, oraz biały, wełniany płaszcz z kapturem, z tyłu ozdobiony symbolem klucza i pióra, a od środka wyłożony cienką kolczugą.

– Nie miałam pojęcia, że będę mogła nosić coś takiego – powiedziała, z czią dotykając płaszcza.

– Tutaj nawet służący mają własne uniformy – odparł z dumą Parsifal. – Chociaż oczywiście jest tak głównie z konieczności. Jeśli ktoś pracuje w Bibliotece Królewskiej, musi mieć na sobie coś z żelaza – zwłaszcza teraz, kiedy dzieją się te wszystkie straszne rzeczy. To są pociski solne – powiedział, pokazując jej, jak przyczepić sobie paczuszki z solą do pasa, i demonstrując, jak cienka tkanina pęka w zderzeniu z kamienną podłogą, wyrzucając w powietrze chmurę soli. – Jeśli kiedyś znajdziesz się w niebezpieczeństwie, użyj ich, a powinnaś zyskać dość czasu, żeby pobiec i zawiadomić jakiegoś strażnika.

– Czy dostanę też wieloklucz? – zapytała z nadzieją, zerkając na dwa klucze zawieszony na kółku u pasa Parsifala. Drugi klucz dostawało się po awansie z nowicjusza na młodszego bibliotekarza.

Spojrzał na nią przeproszająco.

– Obawiam się, że nie. Względy bezpieczeństwa i takie tam. Zaczynając zmianę, musisz zapukać do drzwi służbowych, ktoś ci otworzy... – Zmarszczył brwi w zamyśleniu, patrząc na coś za jej plecami. – Hej, czy to twój kot?

Elisabeth odwróciła się, zdziwiona. Puchaty, biały kot siedział na podłodze za nią, wpatrując się w nich parą żółtych oczu. Był trochę mały jak na dorosłego kota; pomyślała, że może to jeszcze kocię, a może po prostu z natury jest taki drobny. A te jego żółte oczy wyglądały dziwnie znajomo...

Serce zamarło jej na moment.

– Tak – wykrztusiła, nie widząc innej możliwości. – To... to mój kot.

– Nie ma problemu – zapewnił ją Parsifal. – Koty są zawsze mile widziane w Bibliotece Królewskiej. Łapią wszy książkowe i wiedzą, żeby trzymać się z daleka od grymarów. Może nawet będziesz bezpieczniejsza, mając przy sobie kota, bo one doskonale wyczuwają magię. – Ku jej przerażeniu, podszedł do Silasa i uniósł go w rękach, trzymając go sobie przed twarzą. – Jaki z ciebie śliczny kiciuś! Jesteś chłopcem czy dziewczynką?

– To chłopiec – powiedziała Elisabeth pospiesznie, bo Parsifal był już gotów pochylić głowę i sprawdzić. – Nazywa się... eee... – Przełknęła ślinę. – Sir Mruczuś.

Zwisający z rąk Parsifala Silas spojrzał na nią z ogromnym wyrzutem.

Parsifal uśmiechnął się promiennie.

– Ślicznie – powtórzył. – Dobrze, możesz go wziąć z powrotem. – Podał jej Silasa. – Oprowadzę cię trochę, ale na razie nie musisz zapamiętywać, co gdzie jest. Będiesz na to miała mnóstwo czasu podczas szkolenia. Po pierwsze, to jest skrzydło północno-wschodnie, gdzie mieszczą się wszystkie biura...

Elisabeth szła kilka kroków za rozgadany Parsifalem, wpatrując się w osłupieniu w demona, którego niosła na rękach. Jego różowy nos i poduszeczki łap kontrastowały ze śnieżną bielą futra. Bardzo puchatego futra. Czuła niepokojące pragnienie, żeby wtulić twarz w jego brzuch, jakby naprawdę był kotem, a nie prastarym, nieśmiertelnym bytem.

– Nathaniel przysłał cię, żebyś pilnował, czy nie pakuję się w kłopoty? – wyszeptała. Silas zamrugął powoli, co chyba oznaczało „tak”. Skrzywiła się. – Ashcroft mnie nie złapie. Przeżyłam szesnaście lat w Summershall, nie widząc na oczy ani jednego czarownika – nie natknę się na żadnego tutaj. Zresztą będę chodzić w kapturze.

– Miau – przytaknął Silas. Nawet miauczał uroczo. Elisabeth wzdrygnęła się i postawiła go na podłodze. Potruchtął za nimi, wymachując puchatym ogonem.

Parsifal poprowadził ją przez resztę północno-wschodniego skrzydła, obok czytelnicy, aż do głównej sali, w której zmieściłaby się cała Wielka Biblioteka z Summershall. Była to gigantyczna, ośmiokątna przestrzeń, z której odchodziły zwieńczone łukami przejścia do czterech skrzydeł, zdobione zwojami i aniołami z brązu. Szklaną kopułę dachu stanowił witraż, ciemnoniebieski i upstrzony konstelacjami. Zręcznie wyrzeźbione, marmurowe schody prowadziły na wyższe piętra, gdzie półki ciągnęły się coraz wyżej i wyżej, niknąc w panującym pod kopułą półmroku barwy indygo. Bibliotekarze spieszenie krążyli po wykładanej marmurowymi płytami posadzce, a ich status sygnalizowała nie tylko liczba posiadanych kluczy, ale też odcień ich szat, ciemniejących wraz z rangą.

Parsifal paplał dalej, a tymczasem Elisabeth zamknęła oczy, pozwalając, by opływały ją niosące się echem, podobne do szelestu kartek pomruki grymuarów. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo tęskniła za Wielką Biblioteką – jakby wróciło na swoje miejsce coś głęboko w jej wnętrzu, co zostało stamtąd wytrącone, kiedy wyjechała z Summershall. Była w domu.

Trzymała się kurczowo tego uczucia, podczas gdy Parsifal pokazywał jej rzeźby, które na rozkaz przesuwaly drabiny, mapę biblioteki ułożoną z płytek na podłodze pośrodku sali oraz ukryte za regałami rury poczty pneumatycznej, błyskawicznie przenoszące wiadomości z jednego końca budynku na drugi. Przy okazji wyjaśniał jej, czego może się spodziewać, pracując z grymuarami.

– Szybko wszystko łapiesz – stwierdził z uznaniem. – Szkoda, że nie jesteś sierotą. Och, to źle zabrzmiało. Chciałem przez to powiedzieć, że świetnie byś się sprawdziła jako nowicjuszka.

Jego komplement spadł na Elisabeth jak cios. Przez chwilę czuła się skołowana, jakby wypadła z własnego ciała. Teraz, kiedy ludzie na nią patrzyli, nie widzieli nowicjuszki z biblioteki ani, tym bardziej, przyszłej strażniczki. Być może mieli rację. Po tym, jak używała zakazanego magicznego artefaktu i planowała kradzież

z Biblioteki Królewskiej, nawet powstrzymanie Ashcrofta mogło nie wystarczyć, aby ją zrehabilitować. Czy ten cień jej dawnego życia był wszystkim, co jej pozostało?

– Dziękuję – powiedziała, wbijając wzrok w podłogę, żeby Parsifal nie widział wyrazu jej twarzy.

Na szczęście nie zauważył, że coś jest nie tak, i poprowadził ją w stronę wejścia do północno-zachodniego skrzydła. Kiedy podeszli bliżej, po skórze Elisabeth przebiegły ciarki. Anielskie postaci wyryte wokół łukowego przejścia miały pod kapturami czaszki, a wejście zagrodzone było aksamitnym sznurem. Dalszą część skrzydła spowijał cień; po podłodze snuła się gęsta mgła, a z korytarza dobiegały ciche pomruki i szepty, odbijając się od kamiennych ścian. Zdawało się, że dochodzą zza żelaznej bramy wylaniającej się z mroku, wysokiej na ponad dwanaście stóp, której krawędzie zasnuwały kłęby mgły. Niewyraźnie usłyszała, jak Parsifal wyjaśnia, że w tym skrzydle znajduje się wejście do krypty.

– A to co za brama? – zapytała.

– To wejście do zastrzeżonych archiwów. Przechowywane tam grymuary są prawie tak niebezpieczne, jak te z krypty, ale trochę im zabrakło. Nie martw się, nie przydzielę cię do północno-zachodniego skrzydła. A teraz chodź. Jeśli szybko wejdziemy na południową wieżę, może zdążymy zobaczyć, jak strażnicy trenują na zewnątrz.

Kiedy odwracali się, żeby odejść, Silas wbił spojrzenie jasnych oczu w cienie wypełniające skrzydło. Elisabeth zastanawiała się, co takiego tam zobaczył, czego nie zdołał dostrzec jej wzrok.

Kiedy tej nocy wróciła do domu Nathaniela, była tak wyczerpana, że zjadła tylko kolację i natychmiast padła na łóżko. Zbudziła się wczesnym rankiem i wyruszyła w zajmującą piętnaście minut drogę przez Park Cykuty do Biblioteki Królewskiej, a Silas podążał za nią we wczesnoporannym mroku jak duch, który przybrał kształt kota. Było mało prawdopodobne, żeby Ashcroft akurat teraz przejeżdżał tędy powozem, ale na wszelki wypadek unikała głównej ulicy, zamiast tego wybierając okrężną drogę biegnącą pomiędzy żywopłotami i przez fragment przypominającego las parku. Mijała tylko służących zrywających zioła na

śniadanie z przydomowych ogródków, wyrzucających z szufelek sadzę i opróżniających nocniki. Poczwała ukłucie zażenowania, kiedy zdała sobie sprawę, że Silas musiał zazwyczaj być odpowiedzialny za te zadania, chociaż tak naprawdę nie była w stanie wyobrazić sobie, jak je wykonuje.

Ostatni fragment trasy wiódł wzdłuż terenów Kolegium. Konie wystawiały chrapy z kamiennych stajni, roztaczając słodką woń siana i ciepłych ciał. Wisząca nisko mgła srebrzyła się na trawniku, gdzie strażnicy ćwiczili szermierkę. Próbowwała ignorować ból w piersi na widok dormitoriów udekorowanych gargulcami i ozdobnymi frontonami, gdzie mieszkali strażnicy rozpoczynający szkolenie. Teraz, kiedy przysła tu szorować podłogi, jej marzenie o staniu się jedną z nich zdawało się należeć do kogoś innego.

Gdy dotarła do wejścia służbowego Biblioteki Królewskiej, została natychmiast zapędzona do pracy przez starą służącą imieniem Gertrude. Ta nadzorowała ją pilnie, kiedy wlokła wiadro mydlin po kamiennej podłodze, a następnie zmiatała i wycierała kurze w nieużywanej czytelnicy, a także pomagała Gertrude wynieść dywany do trzepania. W miarę jak upływał dzień, frustracja coraz mocniej buzowała jej pod skórą. Nie zbliży się do odnalezienia *Codexu*, stale obserwowana sokolim okiem Gertrude. Starsza służąca nalegała nawet, żeby zjeść razem z nią obiad, pozbawiając Elisabeth wszelkiej nadziei, że skorzysta z okazji, aby się wymknąć i przejrzeć katalog.

Jednak sposobność nadarzyła się po posiłku, gdy Elisabeth przesunęła fotel, żeby pod nim pozamiatać, i robiąc to, naruszyła gniazdo wszy książkowych. Robactwo o szarych, chitynowych pancerzykach rozbiegło się na wszystkie strony; młode były nie większe niż kurze jaja. Elisabeth wrzasnęła dziko i zaczęła okładać je miotłą. Kiedy kilka umknęło w kierunku drzwi, nareszcie poczuła smak wolności.

– Pomału, dziewczyno! – zawołała za nią Gertrude, ale Elisabeth udała, że nie słyszy, i pomknęła za róg, ścigając wszy z miotłą uniesioną jak oszczep. Gertrude wkrótce została z tyłu, sapiąc głośno. Teraz Elisabeth musiała jeszcze tylko kilka razy skręcić, aby zniknąć jej z oczu.

Wchodząc do głównej sali, zwolniła, ruszając przed siebie spokojnym – przynajmniej taką miała nadzieję – lecz zdecydowanym krokiem osoby, która wie, dokąd zmierza. Przebiła się przez tłum bibliotekarzy i zanurkowała za kolumnę. Katalog znajdował się w pomieszczeniu naprzeciwko drzwi frontowych. Musiała

tylko zakraść się do środka, przejrzeć szuflady i odnaleźć kartę podającą położenie *Codexu*. Jednak kiedy wyjrzała zza kolumny, ogarnęło ją zwątpienie.

Pokój był pełen ludzi. Bibliotekarze każdej rangi wchodzili po drabinach i dyskutowali nad biurkami pod czujnym okiem archiwisty. Nikt nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby miała na sobie jasnoniebieskie szaty nowicjuszki, ale była pewna, że archiwista zauważyłby, gdyby wspięła się na drabinę i zaczęła przeszukiwać maleńkie, połączane szufladki pokrywające ściany od góry do dołu. A nie było tam wiele miejsc, gdzie mogłaby się ukryć, chyba że pod biurkiem albo za jedną z gablot, w których wystawiono grymuary.

Przyjrzała się najbliższej gablocie. Wyłożona w niej księga wyglądała znajomo, i rzeczywiście – znała ją z Summershall, gdzie w korytarzu obok czytelnicy wystawiono inny jej egzemplarz. Był to wyglądający pretensjonalnie grymuar czwartej klasy, zatytułowany *Zakłęcia harmoniczne Madame Bouchard*, z okładką oprawioną w złoto i zszytą pawimi piórami. Serce zakołatało Elisabeth w piersi, kiedy w jej myślach zaczął formować się plan. Był tylko jeden problem: nie mogła zrobić tego sama.

Gardłowy warkot ściągnął jej uwagę w stronę pobliskich regałów. Kot koloru marmolady prężył się z nastroszonym futrem, gwałtownie machając ogonem w tę i we w tę. Naprzeciw niego siedział Silas i zdawał się absolutnie obojętny. Kiedy drugi kot zaczął się wydzierać, on uniósł smukłą łapę i przejechał po niej językiem.

– Silas – syknęła Elisabeth. Podeszła i wzięła go na rękę. Drugi kot czmychnął. – Potrzebuję twojej pomocy – szepnęła, ignorując zdziwione spojrzenie, jakim obrzucił ją przechodzący obok nowicjusz.

Silas spojrział na nią beznamiętnie.

– To ważne – spróbowała.

Poruszył ogonem w sposób, który sugerował, że czuje się niekomfortowo. Podejrzewała, że wciąż nie wybaczył jej Sir Mruczusia.

– Jeśli zostawisz mnie samą sobie – powiedziała – prawdopodobnie wpakuję się w kłopoty, a tego Nathaniel na pewno by nie chciał.

Silas zmrużył żółte oczy, po czym mrugnął powoli.

Elisabeth odetchnęła z ulgą.

– Dobrze. Oto, co musisz zrobić...

Żaden z bibliotekarzy w sali katalogowej nie zwrócił uwagi, kiedy kilka minut później do środka wbiegł mały, biały kot. Nikt nie zareagował, gdy wskoczył na jedno z biurków i przeszedł po jego blacie. Ale wszyscy zwrócili uwagę, kiedy Silas rzucił się na szklaną gablotę, potrącił ją i natychmiast dał drapakę, wyglądając w ich oczach jak zwyczajny kot, który nieoczekiwanie wpakował się w tarapaty. Zamarli, gdy gablota zachwiała się raz i drugi, a potem runęła i roztrzaskała się o podłogę.

Zdawało się, że *Zaklęcia harmoniczne Madame Bouchard* całe życie czekały na tę chwilę. W glorii i chwale uniosły się spośród szczątków, rozwijając parę papierowych skrzydeł o rozpiętości dobrych siedmiu czy ośmiu stóp. Podczas gdy bibliotekarze osłaniali głowy przed furgoczącymi lotkami, księga rozłożyła szeroko swoje karty i wydobyła z siebie przenikliwe, operowe zawrodożenie. Biurka zadygotały. Szufladki zagrzechotały. Szkła okularów archiwisty pękły. Bibliotekarze uciekali na wszystkie strony, osłaniając uszy przed ogłuszającym wibrato.

Elisabeth zaczęła, aż wszyscy opuszczą pomieszczenie, po czym wbiegła do środka. Z zaciśniętymi zębami znosząc hałas – widząc, że ma publiczność, *Madame Bouchard* zaczęła śpiewać arię – rozejrzała się po szufladkach. System katalogowy był tu inny niż w Summershall, a szufladek musiały być tysiące. Szybko jednak ustaliła, że były podzielone na siedem różnych kolumn oznaczonych brązowymi numerkami od I do VII. Cyfry musiały oznaczać klasy grymuarów; klasy od ósmej do dziesiątej nie figurowały w publicznym katalogu.

Założyła wcześniej, że *Codex* przynależał do klasy piątej albo szóstej. Najpierw wgramoliła się na drabinę sekcji piątej i odnalazła szufladkę oznaczoną jako „Pe-Pi”. Przejrzawszy karty, nie znajdując niczego, sprawdziła jeszcze tę z literami „Ci-Co”, na wypadek gdyby grymuary katalogowano według tytułu, a nie autora. Kiedy to również nie przyniosło skutku, przeszła do klasy szóstej, cała w nerwach, gorszych niż popis *Madame Bouchard*. W krótkich przerwach, które grymuar robił sobie, aby zaczerpnąć tchu, słyszała krzyki niosące się przez westybul, z każdą chwilą coraz bliżej.

Znalazła kartę *Codexu* w ostatnim miejscu, które sprawdziła, zerknęła na nią i zatrzasnęła szufladkę. Akurat kiedy zeskoczyła z drabiny, do środka wkroczył strażnik z pociskiem solnym w gotowości, niosąc żelazny łańcuch. W osłupieniu spojrzał na Elisabeth, która złapała za miotłę i ścisnęła ją mocno w rękach.

– Co ty tu robisz?! – zawołał, przekrzykując *Madame Bouchard*, która teraz z werwą ćwiczyła gamy.

Elisabeth zmiotła na bok trochę potłuczonego szkła.

– Sprzątam, proszę pana! – odpowiedziała krzykiem.

Wokół rozpętał się chaos. W końcu strażnik oddał Elisabeth w ręce równie zdumionego bibliotekarza.

– Cóż, dziewczyno, muszę cię pochwalić za niespotykane oddanie swoim obowiązkom – stwierdził ten, po czym odprowadził ją do Gertrude, która ostro ją zrugła. Jednak Elisabeth tak naprawdę nic nie groziło, bo trudno byłoby ją karać za zamiatanie podłogi.

Resztę dnia spędziła, posłusznie wypełniając wszystkie polecenia Gertrude. W innych okolicznościach nie mogłaby się doczekać, żeby pognać z powrotem do domu i opowiedzieć Katrien, co zrobiła, bo jej przyjaciółka uwielbiała takie historie. Jednak to, co zobaczyła na karcie katalogowej, położyło się cieniem na jej nastroju niczym burzowa chmura. Nie chciała opowiadać o tym Katrien; nie chciała nawet sama o tym myśleć.

Niełatwo będzie wykraść *Codex daemonicus*, ponieważ znajdował się w zastrzeżonych archiwach w północno-zachodnim skrzydle.



ELISABETH ŹLE SPAŁA tej nocy, dręczona niepokojącymi snami. Szła w nich mrocznym korytarzem północno-zachodniego skrzydła, a brama archiwum górowała nad nią coraz bardziej, sięgając niemożliwie wysoko. Kiedy podeszła bliżej, wrota same się przed nią rozchyliły. W kłębiącej się za nimi mgle stała jakaś postać, czekając na nią, samą swoją obecnością sprawiając, że lęk przenikał ją do szpiku kości. Zawsze się jednak budziła, zanim zdążyła dojrzeć, do kogo lub czego należała owa sylwetka.

Chciała znów pomówić z Katrien, ale magiczna moc lusterka odnawiała się mniej więcej co dwanaście godzin, więc musiały zachowywać te krótkie chwile rozmowy na ważne okazje. Nie mogły, tak jak w Summershall, leżeć w łóżkach i po ciemku toczyć do późna ożywionych dyskusji. Jedyne, co pozostało Elisabeth, to wyobrażać sobie, że jest z powrotem w ich pełnym przeciągów pokoju w wieży, przyjemnie otulona znajomą kołdrą i bezpieczna za grubymi, kamiennymi murami biblioteki, aż w końcu ponownie zapadła w sen.

Nie pomogło. Znów stanęła przed bramą, gdzie wciąż czekała na nią złowroga sylwetka. Tym razem, kiedy wrota się rozwarły otworem, postać rozchyliła usta i zaczęła krzyczeć.

Elisabeth otworzyła gwałtownie oczy, czując, jak serce wali jej w piersi. Jednak krzyki nie umilkły. Napierały na jej czaszkę, bez końca rozchodząc się echem na wszystkie strony. Nie przyśniły jej się – słyszała je naprawdę.

Wyskoczyła z łóżka i przypięła do paska pociski solne, po czym z pogrzebaczem w garści wypadła na korytarz, gdzie krzyki rozbrzmiewały głośnie. Dobiegały z podłogi i z sufitu, z wnętrza ścian tak, jakby to sam dom wył w boleściach.

Dobiegła ją woń eterycznego spalania i żołądek ścisnął jej się z przerażenia. Ktoś uprawiał czary. Co, jeśli Ashcroft jednak zauważył ją w Bibliotece Królewskiej

i podążył jej tropem aż tutaj, a teraz przypuszczał atak na dom Thornów?

Bez zastanowienia ruszyła w stronę sypialni Nathaniela. On będzie wiedział, co zrobić. Krzyki boleśnie dudniły jej w uszach, kiedy gnała korytarzem, trzymając pogrzebacz w gotowości. Skręciła za róg i gwałtownie wyhamowała.

W blasku księżycy coś mokrego lśniło na ścianach. Zbliżyła się niepewnym krokiem i dotknęła pokrywającej boazerię substancji. Kiedy uniosła dłoń, czubki jej palców zalśniły szkarłatem.

Ściany spływały krwią.

A potem zamrugała i wszystko wróciło do normy; krzyki umilkły, a krew zniknęła z jej palców. Oszołomiona, pozwoliła, aby pogrzebacz wysunął jej się z dłoni. W zapadłej nagle ciszy z głębi korytarza dobiegły ją głosy. Dochodziły z sypialni Nathaniela.

– Panie – mówił Silas. – Panie, posłuchaj mnie. To był tylko sen.

– Silas! – Ten zachrypnięty, udręczony głos musiał należeć do Nathaniela, choć był zmieniony nie do poznania. – Sprowadził ich z powrotem, matkę i Maximiliana...

– Cii. Już nie śpisz.

– On żyje i zamierza... Silas, proszę, musisz mi uwierzyć, widziałem go...

– Już wszystko dobrze, panie. Jestem tutaj. Nie pozwolę, aby stała ci się krzywda.

Cisza opadła jak ostrze gilotyny. A po chwili:

– Silas – wydyszał Nathaniel z trudem, jakby tonął. – Pomóż mi.

Elisabeth poczuła się, jakby ktoś obwiązał ją w pasie sznurem i ciągnął naprzód. Nie poruszała nogami z własnej woli, lecz mimo to zbliżała się do pokoju, jak w transie.

Drzwi były otwarte. Nathaniel siedział na łóżku w koszuli nocnej, zaplątany w kłęb pościeli, ze skołtunionymi włosami. Wyraz jego twarzy był straszny: powiększone źrenice zdawały się wypełniać całe oczy, wpatrzone w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Oddychał ciężko i drżał na całym ciele, a koszula nocna kleiła się do spoconej skóry. Silas siedział na skraju łóżka, odwrócony tyłem do Elisabeth, a twarzą do Nathaniela. Choć musiała być druga czy trzecia w nocy, wciąż miał na sobie liberię, brakowało tylko rękawiczek.

– Wypij to – powiedział łagodnie, sięgając po stojącą na stoliku nocnym szklankę. Kiedy Nathaniel spróbował ją chwycić, o mało nie rozlał zawartości, więc Silas uniósł ją do jego warg z wprawą wynikającą z wielu lat ćwiczeń.

Nathaniel wypił. Gdy skończył, zacisnął powieki i opadł na wezgłowie. Jego twarz wykrzywił grymas, jakby próbował powstrzymać się od płaczu, a jego dłoń odnalazła dłoń Silasa i ścisnęła ją mocno.

Elisabeth poczuła nagle, że dość już zobaczyła. Wycofała się i odeszła korytarzem, przystanęła jednak na rogu. Robiła krok to w jedną, to w drugą stronę, niezdecydowana, miotając się jak zwierzę w klatce. Nie mogła się zmusić, żeby wrócić do łóżka. Nie byłaby w stanie zasnąć, wiedząc, że Nathaniel tak cierpi. Nie po tym, co usłyszała z jego ust. Przypomniała sobie, co ludzie mówili o Alistairze. Nathaniel miał koszmarne sen, ale czy to tylko sen, czy może coś więcej?

Po kilku minutach, które ciągnęły się w nieskończoność, Silas pojawił się w korytarzu i wtedy zdała sobie sprawę, że na niego czekała. Skinął jej głową bez zaskoczenia – od początku wiedział, że tam była. Nie potrafiła nic wyczytać z jego twarzy.

– Czy Nathanielowi nic nie będzie? – szepnęła.

– Pan Thorn zażył lekarstwo i powinien odpoczywać spokojnie do rana. – Ściśle rzecz biorąc, nie była to odpowiedź na jej pytanie, ale zanim zdążyła to skomentować, ciągnął: – Byłbym zobowiązany, gdybyś nie wspominała mojemu panu o wydarzeniach dzisiejszej nocy. Obawiał się, że to może się zdarzyć. Często miewa koszmary. Mikstura pozwoli mu zapomnieć.

„Och” – pomyślała Elisabeth, czując, jakby świat przesunął się nieco pod jej stopami.

– Czy to dlatego nie chciał, żebym się tu zatrzymała?

– Odpowiedź na to pytanie jest złożona... ale po części tak. Jego koszmary dawno wygoniły z domu ludzką służbę z czasów jego ojca. Często reaguje na nie odruchowym użyciem czarów, jak sama widziałaś, i obawia się, że za którymś razem może stracić nad sobą panowanie w jeszcze gorszy sposób.

– Więc odpycha od siebie ludzi – wymamrotała, głośno myśląc. – Nie pozwala nikomu się do siebie zbliżyć. – Spojrzała na ścianę, a potem z powrotem na Silasa.
– Mnie to nie przeszkadza. To znaczy... To niezbyt przyjemne, kiedy budzą cię

krzyki i widzisz krew ściekającą ze ścian, ale teraz, kiedy już wiem, czemu tak się dzieje, nie niepokoi mnie to. Nie boję się.

Silas rozważał jej słowa przez dłuższą chwilę.

– Zatem być może powinnaś jednak porozmawiać z moim panem – powiedział w końcu i się odwrócił. – Chodź ze mną. Jest coś, co muszę ci dać. Coś, co – mówię to z żalem – niesłusznie przed tobą ukrywałem.

Poprowadził ją schodami w dół do salonu – jednego z wielu pomieszczeń w domu Nathaniela, do których zaglądała, ale nigdy nie weszła. Nie zapalił żadnej lampy, więc Elisabeth prawie nic nie widziała. Zgodnie z wszelkim rozsądkiem przebywanie sam na sam z demonem po ciemku powinno było ją przerażać, tymczasem przyszła jej tylko do głowy dziwna myśl, że może Silas na swój własny sposób czymś się trapi i nie jest sobą, bo zawsze pamiętał o zapaleniu świec. Po omacku odnalazła sofę i usiadła. Alabastrowa twarz i dłonie Silasa odcinały się wyraźnie na tle ciemności, jak gdyby jego skóra emanowała własnym, bladym światłem.

Drzwi szafki otwarły się i zamknęły. Silas wyprostował się z długim, wąskim pakunkiem w rękach, trzymając go ostrożnie, jakby ten mógł w każdej chwili stanąć w płomieniach.

– To przyszło pocztą z Summershall dzień przed tym, jak spotkałem cię na ulicy – powiedział, podając jej przedmiot. – Nie było żadnego listu, ale nadawca to niejaki mistrz Hargrove.

Serce Elisabeth przeszył krótki, przenikliwy ból, jakby ktoś uderzył w nie młotem kowalskim. Ujęła paczkę drżącymi rękami. To mogła być tylko jedna rzecz. Kiedy rozwiązała sznurek i rozchyliła tkaninę, słabe księżycowe światło zalśniło w granatach i długim, smukłym ostrzu.

– Nie rozumiem. – Podniosła wzrok na Silasa. – Dlaczego nie dałeś mi tego wcześniej?

Z twarzą jakby wykutą z marmuru odpowiedział:

– Żelazo to jedna z niewielu rzeczy zdolnych przepędzić demona z powrotem do Pozaświata.

Zawahala się.

– I sądziłeś, że mogę go użyć przeciwko tobie? W sumie trudno cię winić. Kiedyś bym tak zrobiła. Nie mówiąc o tym, że nazywa się Zabójca Demonów. – Spojrzała

bezradnie na miecz. Wciąż go nie dotknęła. Nie mogła się na to zdobyć z obawy, że może ją odtrącić; że sparzy ją tak, jakby sama była demonem.

– Coś nie tak, panno Scrivener?

– Dyrektorka zapisała mi Zabójcę Demonów w testamencie, ale ja... nie mam pewności, czy jestem godna, żeby nim władać. – Poczowała ucisk w piersi. – Sama już nie wiem, co jest dobre, a co złe.

Nakrył jej dłonie swoimi, chłodnymi i uzbrojonymi w pazury, i ostrożnie położył jej ręce na mieczu.

– Nie martw się – powiedział szeptem. – Widzę twoją duszę tak wyraźnie, jak płomień za szkłem.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Elisabeth przypomniała sobie tamten dzień w czytelni, kiedy dyrektorka dostrzegła ją za regałem i prawie się uśmiechnęła. Złamała zasady, ale dyrektorka się tym nie przejęła. I tak zapisała jej Zabójcę Demonów. Sama też nie zawsze była dyrektorką – miała imię, nazywała się Irena, i kiedyś ona również była młodą dziewczyną, która miewała wątpliwości i chwile zwątpienia, i czasem popełniała błędy.

W jakiś sposób myślenie o tym wszystkim sprawiło, że Elisabeth poczuła się, jakby traciła dyrektorkę po raz kolejny, bo zdała sobie sprawę, że nigdy tak naprawdę nie знаła Ireny i nigdy już nie będzie miała okazji jej poznać. Szloch wyrwał jej się z gardła. Silas nic nie powiedział, tylko podał jej swoją chusteczkę i czekał cierpliwie, aż się wypłacze.

Uplłynęła dłuższa chwila, zanim była w stanie się odezwać. Otarła łzy i spojrzała na Silasa, mrugając. Uderzyła ją myśl, że musiał wiele znosić ze strony ludzi, którymi się opiekował.

– Dlaczego obawiałeś się mojego miecza – zapytała – skoro nie możesz umrzeć w naszym świecie?

Ślad uśmiechu rozjaśnił jego piękne rysy.

– Nie o siebie się obawiam. Gdybym został przegnany, byłaby to wielka niedogodność dla pana Thorn'a. Z niepokojem myślę, co by się stało z jego garderobą. Wciąż obrażałby młode damy swoim krawatem.

Zaśmiała się, zaskoczona jego żartem, ale był to śmiech pełen bólu, bo prawda była straszliwie smutna. Gdyby coś przytrafiło się Silasowi, Nathaniel zostałby

całkiem sam. Straciłby jedyne go członka rodziny, jaki mu jeszcze pozostał.

– Silasie... – Zawahała się, po czym z wysiłkiem mówiła dalej: – Powiesz mi, co się stało z Alistairem Thornem?

– To nieprzyjemna historia. Na pewno chcesz wiedzieć?

Skinęła głową.

– W porządku. – Odwrócił się i podszedł do kominka, wbijając wzrok w coś, czego nie mogła wypatrzyć, a może tylko w popioły. – Pamiętasz pewnie, jak mówiłem, że Charlotte i Maximilian zginęli w wypadku. Od tego wszystko się zaczęło.

Elisabeth przypomniała sobie, co Nathaniel powiedział na górze, i w głowie zaczęły jej się kształtować straszliwe domysły. „Sprowadził ich z powrotem, matkę i Maximiliana...”.

– Alistair był dobrym człowiekiem, jakkolwiek ironicznie nie brzmiałoby to w ustach demona, oddanym mężem i ojcem. Jednak ten wypadek bardzo go zmienił. Zaczął dniami i nocami studiować dzieło Baltasara. Młody panicz Thorn czuł się samotny i nabrał zwyczaju ukrywania się w gabinecie ojca, żeby mieć jakieś towarzystwo. – Silas urwał, jakby zastanawiając się, czy mówić dalej. – Przejdę do rzeczy. Dwa miesiące po śmierci żony i młodszego syna, Alistair ekshumował ich zwłoki i próbował wskrzesić je za pomocą nekromancji, tutaj, w tym domu. Rytuał nie przywróciłby ich do życia – nie jako ludzi, którymi byli – ale on pogrążył się w rozpacz i nie słuchał już głosu rozsądku.

Elisabeth poczuła, jak krew marznie jej w żyłach.

– Kiedy powiedziałaś mi, że go zabiłeś...

– Tak – szepnął Silas. – Byliśmy zaabsorbowani przygotowaniem, Alistair i ja, i żaden z nas nie zauważył, że panicz ukrył się za zasłonami. Siedział tam cały poranek, cicho jak mysz pod miotłą. Spodziewaliśmy się, że zaklęcie może kosztować Alistaira życie, gdyż była to mroczna i straszna magia, ale kiedy dostrzegłem oczy spoglądające na nas zza zasłony, zrozumiałem, że zginąłby również jego syn. Natychmiast przerwałem więc rytuał, w jedyny możliwy sposób. Panicz widział wszystko: ciała, magiczne obrzędy, śmierć jego ojca z moich rąk. I widzi to nadal, ilekroć układa się do snu.

Elisabeth nic nie powiedziała. Groza sytuacji była zbyt przejmująca. Powróciła myślami do podróży przez Czarnobór, wspominając, jak Nathaniel czuwał przy

ognisku, nie mogąc zasnąć. Jak niewiele wtedy rozumiała.

– Z tamtej nocy płynie jedna nauka. – Silas oderwał wzrok od paleniska i ponownie zwrócił się do niej. Wydawał się całkowicie spokojny. – Alistair mi ufał. Wierzył, że nigdy go nie skrzywdzę, toteż nie nakazał mi, żebym tego nie robił. To zaufanie doprowadziło go do zguby.

– Nie. Miał rację, że ci zaufał. – Elisabeth skręcało w żołądku. Jak Silas mógł tego nie rozumieć? – Gdyby myślał jasno, chciałby, żebyś go powstrzymał, bez względu na cenę. Ocaliłeś Nathanielowi życie.

– A co zrobiłem potem, panno Scrivener? – zapytał.

– Co masz na myśli?

– Kiedy pan Thorn mnie przyzwał, podczas gdy ciało jego ojca na podłodze jeszcze nie ostygło, co wtedy zrobiłem?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Zabrałem mu życie. Oddał mi dwadzieścia lat, kiedy sam przeżył dopiero niewiele ponad połowę z tego czasu i nie rozumiał, co mi oddaje. Wiedział tylko, że nie chce zostać sam. – Silas zrobił krok naprzód. – A gdy je dostanę, będą smakowały słodko, tak jak wcześniej życie jego ojca i wszystkich jego przodków do trzystu lat wstecz.

Elisabeth odruchowo zacisnęła dłonie na rękojeści Zabójcy Demonów.

„Dwie dekady”.

– Ale jak... jak mogłeś...?

– Pożarłem ich wszystkich, panno Scrivener. – Postąpił jeszcze jeden krok naprzód. Jego oczy zwęziły się w żółte szparki. Teraz nie wyglądał pięknie. – Nie doszukuj się współczucia tam, gdzie go nie ma. Czyż nie było mi na rękę ocalić życie pana Thorna po to, abym mógł uszczknąć z niego kawałek dla siebie?

Silas był już prawie przy niej. Uniosła Zabójcę Demonów i wymierzyła ostrze w jego pierś, aby powstrzymać go przed podejściem bliżej. On jednak mimo to zrobił trzeci krok i klinga dotknęła jego piersi, tuż nad sercem, o ile je miał. Powietrze wypełnił swąd palonego ciała.

– Przestań! – krzyknęła. – Nie chcę zrobić ci krzywdy. Nie mogę. Bez względu na to, co zrobiłeś, Nathaniel cię potrzebuje.

– Tak – szepnął, jakby w końcu dostrzegła prawdę. – Widzisz, nie ma rozgrzeszenia ani pokuty dla takiej istoty jak ja. – Jego oczy jaśniały bólem. – Mogłabyś mnie powalić, ale nie skrzywdziłabyś w ten sposób mnie, lecz kogoś innego.

Opuściła miecz. Silas odsunął się spokojnie i uniósł rękę do piersi. Zdawało się, że zgasł jakiś okropny blask, który bił od niego wcześniej.

– Jestem demonem – powiedział. – Nie wolno ci widzieć we mnie nic więcej.

Elisabeth dygotała od stóp do głów. Wiedziała, że gdyby spróbowała wstać, kolana by się pod nią ugięły. Jednak targające nią emocje nie były strachem. Nie wiedziała, co to za uczucie. Być może litość, choć nie była pewna, względem kogo, a także gniew i rozpacz, przewalające się przez nią jak burza. Wierzyła, że Silas troszczy się o Nathaniela; wiedziała to jasno i wyraźnie. Ale jak ktoś, komu zależy na drugiej osobie, mógł mimo wszystko odebrać jej tak wiele?

Dwadzieścia lat. Jeśli Nathanielowi pisane było umrzeć młodo – powiedzmy, niedługo po czterdziestce – to po odjęciu tego czasu zostałyby mu jeszcze tylko kilka lat życia. Na tę myśl poczuła w piersi ucisk, wypychający powietrze z płuc jak wodę z wyżymanej ścierki. Nie była w stanie dłużej patrzeć Silasowi w oczy.

Kiedy spuściła wzrok, jej spojrzenie przykuł błysk metalu. Na płótnie spoczywał jeszcze jeden przedmiot, zasłonięty wcześniej przez Zabójcę Demonów. Mistrz Hargrove wysłał jej nie tylko miecz. Powoli odłożyła Zabójcę na bok i wyciągnęła rękę, natrafiając palcami na łańcuszek. Pochyliła głowę i założyła go sobie na szyję, czując na piersi dotyk swojego wieloklucza: chłodny, ale nie na długo. Przebiegła palcami po żłobieniach, tak znajomych, jakby były częścią jej samej, pozwalających otworzyć zewnętrzne drzwi każdej Wielkiej Biblioteki w królestwie.

– Silasie – powiedziała powoli. – Gdyby udało nam się wejść do Biblioteki Królewskiej po godzinach, czy dałbyś radę otworzyć bramę do zastrzeżonych archiwów?

Zastanowił się chwilę.

– Jest na to sposób.

Podniosła na niego wzrok, zaciskając w dłoni klucz.

– Pomóż mi. – Burza w jej wnętrzu ustała. – Dotąd odbierałeś życia. Teraz pomóż mi trochę ich ocalić.

Spojrzał na nią z góry, znów piękny, jak anioł rozważający z daleka prośbę śmiertelnika.

– Czy to takie proste, panno Scrivener? – zapytał.

– Musi być proste – odparła. – Bo to jedyne, co można zrobić.



WIELKA BIBLIOTEKA NIGDY nie zasypiała, nawet gdy wszyscy ludzie leżeli już w łóżkach. Głosy niosły się echem przez salę, kiedy Elisabeth skradała się wzdłuż ściany, aby jej biały płaszcz zlewał się z barwą marmuru. Niektóre grymuary pochrapywały, prowokując niezadowolone pomruki swoich sąsiadów; inne szeptały i chichotały. Jedna samotna księga wyśpiewywała rozdzierający lament, który wznosił się wysoko ponad regały, ponad błękitne smugi księżycowego światła wlewające się przez gwiazdzistą kopułę, i rozbrzmiewał nieziemskimi tonami wśród szklanego firmamentu, jak muzyka wygrywana na kryształach.

Ileć w zasięgu wzroku zalśnił blask latarni, Elisabeth ukrywała się i czekała, aż strażnik przejdzie obok. Nocą Biblioteka Królewska była jeszcze pilniej strzeżona, niż się spodziewała. Zazdrościła Silasowi, który dreptał u jej boku jako kot. W pewnej chwili, po tym jak o włos uniknęła nakrycia – strażniczka podeszła tak blisko, że Elisabeth widziała jej zielone oczy i była w stanie policzyć guziki u płaszcza – Silas przybrał z powrotem ludzką postać i przytrzymał ją za ramię, nim wyszła z kryjówki.

– Muszę ci coś powiedzieć, zanim pójdziemy dalej – wymamrotał. – Strażnicy noszą zbyt wiele żelaza, abym mógł wywrzeć na nich wpływ. Jeśli cię zauważą, nie będę mógł sprawić, że zavrócą i zapomną, że kiedykolwiek cię widzieli.

Przypuszczała, że wie, do czego zmierza demon.

– A jeśli tak się stanie, zostawisz mnie, żebym sama poniosła konsekwencje?

Przechylił głowę, spoglądając na nią jakby z żalem.

– Rozumiem – szepnęła. – Jesteś winien lojalność Nathanielowi, nie mnie.

Kiedy tak szli przed siebie, Elisabeth zastanawiała się, czy jej bliskość powoduje u Silasa dyskomfort. Na jej szyi wisiał wieloklucz, a płaszcz pokrywała od spodu cienka warstwa żelaza. Zabójcę Demonów wsunęła sobie za pas i teraz czuła jego

uspokajający ciężar. Jednak nawet jeśli Silasowi to przeszkadzało, musiał wytrzymać. Nie mogła wejść do archiwum bezbronna.

Minęli jeszcze kilka patroli, zanim dotarli do wejścia do północno-zachodniego skrzydła. Wyryte wokół niego szkielety aniołów mierzyły ją z góry spojrzeniem swoich pustych oczodołów, połyskując czaszkami z brązu, a jej stanęły włoski na ramionach, gdy wyobraziła sobie, że odwracają głowy i podążają za nią wzrokiem. Jednak rzeźby się nie poruszyły. Nie musiały. Tam, w środku, czekały na nich gorsze rzeczy.

Wraz z Silasem prześlizgnęła się pod aksamitnym sznurem. Jej buty zatoneły we mgle, której języki lizały krawędź jej płaszcza. Była teraz gęstsza niż za dnia i bez wątpienia stanowiła magiczną emanację któregoś z grymuarów przechowywanych w archiwum. Silas, znów pod postacią kota, widoczny tylko jako ruchomy punkt w kłębach mgły, ruszył w stronę bramy. Elisabeth zmusiła się, aby zignorować poczucie przytłaczającej obecności, jakie pozostawiły po sobie niedawne sny. Zamiast tego skupiła się na instrukcjach, których udzielił jej Silas przed wyruszeniem. Żeby zakraść się do środka niepostrzeżenie, musieli współpracować.

Wcisnęła się do wnęki w ścianie i zaczekała, aż ominie ją przechodzący strażnik, którego latarnia zdawała się płynąć przez mgłę, po czym szybko wyskoczyła z kryjówki. Mieli około minuty, dopóki nie zjawi się kolejny.

Silas stał już wewnątrz archiwum, precyzyjnie się między prętami i przybrawszy z powrotem ludzki kształt. Skinieniem głowy wskazał coś w górze. Spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła, że powyżej, jakieś piętnaście stóp nad podłogą, wisi żelazny dzwon. Zaparła się butami o bramę i rozpoczęła wspinaczkę.

Wkrótce pożałowała, że nie zabrała ze sobą rękawiczek. Śliskie od potu dłonie zsuwały się po prętach, i tak już pokrytych wilgocią z powodu mgły. Pokonanie bramy zajęło jej dwa razy dłużej, niż szacowała – na tyle długo, że kolejny patrol nadszedł, kiedy trzymała się kurczowo żelaznych prętów wysoko w górze. Wstrzymała oddech, starając się wytrzymać bez ruchu, aż rozboleły ją ramiona, ale strażnik nie podniósł wzroku, a po chwili jego sylwetka rozplynęła się we mgle.

Puściła się jedną ręką i wyjęła z sakiewki u pasa kłębek waty oraz kawałek sznurka. Owinęła watą serce dzwonu, po czym przywiązała ją, pomagając sobie zębami. Kiedy skończyła, zsunęła się z powrotem na dół, lądując ciężko na kamiennych płytach podłogi. Silas znów pojawił się po drugiej stronie. Zdjął

marynarkę i, owinąwszy ją sobie wokół dłoni dla ochrony przed żelazem, przekręcił zatrzask. Wrota rozchyliły się bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach.

– Brama jest zaprojektowana tak, że da się ją otworzyć od środka – wyjaśnił jej wcześniej. – To zabezpieczenie, żeby nikt nie utknął za nią, jeśli klucz zostanie mu odebrany. Ale jest też oczywiście mechanizm, który zawiadamia innych strażników, jeśli coś takiego się wydarzy.

Nad ich głowami dzwon huśtał się energicznie tam i z powrotem, ale nie wydawał przy tym prawie żadnego dźwięku. Zabiegi Elisabeth poskutkowały. Wślizgnęła się do środka, świadoma, że największe niebezpieczeństwo jest dopiero przed nią.

Silas powiedział: „Jeśli klucz zostanie mu odebrany”. Nie jeśli *zgubi* swój klucz, bo żaden strażnik nie byłby na tyle głupi, żeby zapodziać swoje koło z kluczami.

Zastrzeżone archiwa ciągnęły się długim korytarzem, zastawionym po obu stronach niesamowicie wysokimi regałami, wynurzającymi się z mgły tylko po to, aby znowu zniknąć w ciemnościach. Latarnie zawieszane w regularnych odstępach na żelaznych słupkach wyznaczały ścieżkę przez środek. Odniosła niepokojące wrażenie, że miały one uchronić ludzi przed zgubieniem się w archiwach, mimo że korytarz zdawał się biec prosto, bez żadnych zakrętów. Przeniosła spojrzenie na regały, a potem z powrotem na drogę przed sobą. Większość grymuarów była przykuta łańcuchami do półek, ale kilka najniebezpieczniejszych ksiąg umieszczono w oddzielnych gablotach, ustawionych na podestach albo wewnątrz klatek. Pospiesznym spojrzeniem zdążyła objąć manuskrypt w oprawie z pozszywanej ludzkiej skóry, uwięziony w klatce nabijanej kolcami jak średniowieczne narzędzie tortur. Inny miał okładkę obszytą na krawędziach zębami, a obezwładniało go żelazne wędzidło wciśnięte między kartki. Wszystkie one obserwowały ją w milczeniu. Czekały, chcąc zobaczyć, co teraz zrobi.

Odwróciła się, żeby powiedzieć coś do Silasa, on jednak gdzieś zniknął, jakby rozplynał się w powietrzu, pozostawiając za sobą otwartą bramę. Nie powinna być zaskoczona, ale i tak poczuła się dotknięta, że tak ją tu porzucił. Być może chciał podkreślić swoje słowa z zeszłej nocy: że jest demonem i nie należy mu ufać.

„To bez znaczenia” – powiedziała sobie. Potrzebowała go tylko, żeby dostać się do środka. Z resztą poradzi sobie sama.

Gdy tylko brama zamknęła się ze szcękami, rozległy się szepty. Głosy wiły się, pełzały i skakały na nią ze wszystkich stron. Elisabeth dostała gęsiej skórki. Niemal czuła, jak sięgają ku niej z mgły i chwytają ją niczym dłonie. Naciągnęła na głowę podszyty żelazem kaptur i dźwięki zmieniły się w odległe, złowrogie pomruki.

Ruszyła korytarzem, podążając jego środkiem, ścieżką wytyczoną przez lampy. Sygnatura *Codexu* wskazywała, że znajduje się na półce mniej więcej w połowie archiwum. Teraz trzeba go było tylko znaleźć, zdjąć z regału i wymknąć się z powrotem tą samą drogą. Najtrudniej będzie wspiąć się jeszcze raz na bramę, żeby przywrócić dzwon do poprzedniego stanu. Nie wiedziała, czego się spodziewać ze strony *Codexu* – czy będzie z nią współpracował, jak kopia w gabinecie Ashcrofta, czy może walczył przez całą ucieczkę z Biblioteki Królewskiej.

Bez ostrzeżenia, wysoka, blada postać uniosła się z podłogi nieopodal. Elisabeth obróciła się gwałtownie, odrzucając na bok połę płaszcza, żeby złapać rękojęść Zabójcy Demonów. Niczego tam nie było – tylko zawirowanie we mgle i podest z białego kamienia. Zauważyła go kątem oka i wzięła za osobę. Przeklinając się w duchu, z powrotem zwróciła się w głąb korytarza.

A tam, jak wizja z koszmaru, stał przed nią kanclerz Ashcroft. Wyglądał tak samo, jak kiedy widziała go po raz ostatni, ale przypominał woskową figurę. Jego przystojna twarz pozbawiona była wyrazu, a zarówno niebieskie, jak i czerwone oko zdawały się spoglądać przez nią na wylot. Złocisty płaszcz wydawał się utkany z mgły i światła lamp. Elisabeth ze zduszonym krzykiem wyszarpnęła Zabójcę Demonów zza pasa i przecięła ostrzem powietrze.

Ashcroft odsunął się poza zasięg miecza. Kąciki jego ust drgnęły w ledwie widocznym uśmiechu. Zamachnęła się raz jeszcze, a on znów się wycofał tak, że chybiła o włos. Ten delikatny, drwiący uśmieszek sugerował, że wie dokładnie, po co tutaj przyszła.

Tym razem nie miała wątpliwości, że ją zabije. Nawet uzbrojona w żelazo nie mogła się mierzyć z jego magią. Na razie jednak zabawa w kotka i myszkę zdawała mu się wystarczać, a ona nie zamierzała poddawać się bez walki, jeśli istniał choć cień szansy, żeby go powstrzymać. Sunęli przez archiwum w bezgłośnym tańcu: Elisabeth machnięciami miecza odcinała wstęgi mgły, a Ashcroft wycofywał się w stronę regałów.

Aż w końcu okazał się nie dość szybki i ostrze przecięło go na pół.

Rozpłynął się w kłąb mgły.

Z cieni wynurzyły się kolejne postaci, zmierzające w jej kierunku. Strażnik Finch. Lorelei. Pan Hob. Nawet mężczyzna, który napadł na nią w zaułku – a nie był wśród nich jedynym trupem. Dyrektorka również wynurzyła się z mgły, z ponurym rozczarowaniem malującym się na widmowej twarzy. Podchodzili coraz bliżej, ale Elisabeth się nie cofnęła, mimo że na widok miny dyrektorki przewracało jej się w żołądku. Te postaci nie były prawdziwe. Za to ten, kto je wyczarował...

– Czymkolwiek jesteś, pokazujesz mi moje lęki – oznajmiła, zaskoczona, jak spokojnie brzmi jej głos. – Próbujesz mnie wciągnąć w pułapkę, prawda?

Wsunęła Zabójcę Demonów za pas i się odwróciła. Tuż za nią stała wielka, zdobiona klatka. Gdyby zrobiła jeszcze jeden krok, aby umknąć mirażom, toby na nią wpadła. Gdy tylko to zrozumiała, postaci na powrót zlały się z mgłą.

Błada, zasuszona twarz kobiety spoglądała na nią z za krat, zaledwie kilka cali od niej, unosząc się w ciemności. A przynajmniej spoglądałaby, gdyby jej oczu nie zaszyto. Poza tym nie należała do żadnej osoby, w każdym razie teraz już nie: przyszyto ją do okładki grymuaru, który unosił się w powietrzu naprzeciwko Elisabeth, otoczony chmurą pary. Wokół księgi wirowała czarna wstążka zakończona lśniąca, srebrną igłą.

– *Mądra dziewczynka.* – Grymuar przemawiał chórem syczących głosów: męskich, żeńskich i dziecięcych, suchych jak piasek ocierający się o kość. – *Złapaliśmy na tę sztuczkę trzech strażników, odkąd przekonaliśmy Illusarium, żeby nam pomogło. Wielka szkoda. Masz taką interesującą twarz. Nie piękną, ale śmiałą.*

Księga była nadzwyczaj gruba i mocno oprawiona, a w środku kryła...

„Więcej twarzy” – pomyślała Elisabeth z przerażeniem, kiedy grzbiet zatrzeszczał i okładka uniosła się, przerzucając kartę za kartą pełne ludzkich twarzy, na których enochiańskie inskrypcje żarzyły się niczym świeżo wypalone piętna. W końcu księga otwarła się na pustej stronie i czule pogładziła nagi pergamin swoją igłą.

– *Gdybyś kiedyś zmieniła zdanie, mamy dla ciebie miejsce.*

– Nie, dziękuję – odparła Elisabeth, wycofując się powoli.

– *Kładziemy porządne szwy. Zabolaloby tylko trochę...*

Elisabeth wyprostowała się i odwróciła na pięcie, uważając, żeby nie wpaść na podest z białego kamienia, który widziała wcześniej, położony tylko kilka stóp od klatki. Tabliczka pod spodem głosiła: ILLUSARIUM, KLASA VII, a na wierzchu spoczywała szklana kula, podobna do tych używanych przez wróżbitów. Wylewało się z niej tyle mgły, że nie była w stanie dostrzec dobrze kształtu kryjącego się w środku. Jeśli ten grymuar miał głos, to zdecydował się milczeć. Być może potrafił się porozumiewać tylko za pomocą iluzji.

Zmusiła się, żeby iść dalej i nie oglądać się za siebie, chociaż niemal czuła, jak igła pierwszego grymuaru drapie ją pomiędzy łopatkami. Kiedy zbliżyła się do sekcji wskazanej na karcie katalogowej, zwolniła kroku i odchyliła głowę do tyłu. Przełknęła ślinę.

Drabina wznosiła się w półmroku, sięgając na wysokość trzech pięter, a jej dolne szczeble tonęły we mgle. Sygnatura wskazywała, że *Codex* znajduje się na samej górze, gdzie ledwie docierało światło lamp. Elisabeth zebrała się w sobie i postawiła but na najniższym szczeblu, ignorując złośliwe docinki grymuarów stojących na półkach. Kiedy rozpoczęła wspinaczkę, zaczęły trząść łańcuchami tak mocno, że drabina drgała i podskakiwała, i pluły w nią tuszem, przelatującym obok i niknącym w mroku.

W głębi duszy niemal się spodziewała, że dotrze na górę i nie zastanie tam *Codexu*. Zdawało się, że dotarła zbyt daleko i przeszła zbyt wiele prób, aby jakakolwiek część tej misji miała jej przyjść łatwo. Jednak kiedy w końcu podciągnęła się do ostatniego szczebla, czekała tam na nią znajoma, pokryta łuskami okładka, opleciona łańcuchami. Sekret planu Ashcrofta był na wyciągnięcie ręki.

Sięgnęła w stronę łańcuchów i nagle zamarła. Jej stawy zeszywniały, a mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Przybyła tutaj, żeby okraść Bibliotekę Królewską, ale teraz, kiedy przyszło co do czego, każde włókno jej ciała wzbraniało się przed tym uczynkiem. Gdy przekroczy tę granicę, nie będzie już odwrotu. Wyobraziła sobie, jak zostaje złapana i musi spojrzeć w twarz Parsifalowi i mistrzyni Wick, którzy odnosili się do niej z taką życzliwością. Jej serce płonęło ze wstydu.

– Pomyśl o tym raczej jak o misji ratunkowej – powiedziała jej Katrien podczas ich ostatniej, krótkiej rozmowy przez lustro. – Jestem pewna, że *Codex* wolałby być z tobą niż z ludźmi, którzy myślą, że jest dziełem szaleńca. Wyobrażasz sobie, jakie to uczucie, kiedy znasz jakiś ogromny sekret, a nikt ci nie wierzy?

„Tak” – pomyślała Elisabeth, czując ukłucie w piersi. Dla *Codexu* to miejsce musi być równie okropne jak szpital Leadgate. Księgi również miały serca, choć nie takie same, jak ludzkie, i można je było złamać. Widywała to już wcześniej: grymuary, które nie dawały się otworzyć, których głosy milkły, a inkaust bladł i spływał po kartkach jak łzy.

Codex wyglądał, jakby nikt nie dotykał go od dziesięcioleci. Kurz pokrywał łańcuchy, a nieleczony kruchogrzbiot pozostawił skórę oprawy szarą i popękaną. W żaden sposób nie zareagował na jej przybycie, jakby upływ czasu przemienił go w zwykłą książkę.

W tym momencie odkryła, że znów może się poruszać.

– Przyszłam ci pomóc – szepnęła. Delikatnie odpięła łańcuchy od regału. Inne grymuary zaczęły się szarpać jeszcze bardziej, a ich nieprzyjemne pomruki przeszły w rozpaczliwe błagania, kiedy patrzyły, jak ich sąsiad odzyskuje wolność, ale *Codex* pozostał nieruchomy, niemal bez życia. Nie opierał się, gdy pakowała go wraz z łańcuchami do worka uwiązanego u jej pasa.

Zanim zeszła na dół po drabinie, grzechotanie łańcuchów ustało. W archiwum zapadła głęboka cisza. Żadnych złowrogich szeptów. Żadnych złowieszczych postaci wynurzających się z mgły. Cisza nie wydawała się wroga, ale Elisabeth i tak nie miała zamiaru pozostawać tutaj dłużej. Kiedy szybkim krokiem mijała napotkaną wcześniej klatkę, blada twarz w jej wnętrzu odwróciła się za nią.

– Och, ten długo czekał – szepnęła. – Tak wiele czasu minęło, odkąd *Codex* zaznał przyjaznego dotyku, spotkał się z otwartym umysłem. Ale teraz widzę, że nie jesteś taka sama jak inni ludzie... masz w sobie coś innego... tak, prawdziwe dziecię biblioteki...

Kroki Elisabeth zgubiły rytm. Chciała usłyszeć, co grymuar miał do powiedzenia. Jednak nie miała w tej chwili czasu na pogawędki z książkami.

Zalała ją fala ulgi zmieszanej z żalem, kiedy wysliznęła się przez bramę, pozostawiając archiwa za sobą. Zaczekała, aż minie ją patrol, po czym wspięła się po bramie, aby odblokować dzwon, obciążona wagą *Codexu* zwisającego niezgrabnie u jej uda. Gdy zbierała się do odejścia, słowa grymuaru odbijały się echem w jej głowie. „Prawdziwe dziecię biblioteki”. Co miał przez to na myśli? Skąd wiedział? *Księga oczu* też wspominała, że ma w sobie coś niezwykłego...

Zrobiła krok w stronę wielkiej sali, jednak zanim zdążyła zrobić drugi, z mgły wystrzeliła dłoń i chwyciła ją za płaszcz. Z bezwzględnością siłą odciągnęła ją ze

środku korytarza do tej samej wnęki, w której ukrywała się wcześniej. Jednak kiedy w końcu ją puściła, Elisabeth nie rzuciła się do ucieczki ani nie sięgnęła po Zabójcę Demonów. Stał przed nią Silas, lśniący blady, wciśnięty pomiędzy zakapturzone postacie wyrzeźbione w ścianie.

„A więc jednak mnie nie zostawił” – pomyślała ze zdumieniem. – „Ale gdzie się podziewał?”.

Zanim zdążyła zadać to pytanie na głos, uniósł palec do ust i wskazał żółtymi oczami korytarz.

We mgle zalsniły światła. Coś ciężkiego ze zgrzytem kół toczyło się korytarzem przy akompaniamencie kroków. Dźwięki rozchodziły się w przestrzeni, dziwnie zniekształcone przez kamień i mgłę, ale musiały dobiegać od strony krypty. Elisabeth wstrzymała oddech, gdy w zasięgu wzroku pojawiła się pierwsza strażniczka, z latarnią w jednej ręce, a mieczem w drugiej. Za nią szło więcej strażników, w sumie chyba z tuzin. Blisko czoła pochodu kroczyła mistrzyni Wick, pełna wdzięku w długich szatach barwy indygo, i mężczyzna, który nie mógł być nikim innym, jak dyrektorem Biblioteki Królewskiej. Jego niebieski płaszcz zdobiły medale, a siwe włosy opadały luźno na ramiona, skrywając część okropnych blizn przecinających jego twarz. Brakowało mu dwóch palców u dłoni, spoczywającej na rękojeści ogromnego pałasza.

– Jesteś pewien, że to rozsądne, Mariusie? – zapytała mistrzyni Wick.

– Nie – odparł mężczyzna ponuro. – Ale nie możemy ryzykować.

Mistrzyni Wick zmarszczyła brwi.

– Jeśli sabotażysta będzie dalej postępował według tego samego schematu, niemal na pewno zaatakuje Harrows. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że sami mu się podkładamy.

– Może i tak, ale nie ma w Austermeer innej krypty zdolnej zabezpieczyć *Kroniki umarłych*. Sabotażysta może w każdej chwili targnąć się na Bibliotekę Królewską. A jeśli wypuści *Kroniki*, wszyscy w Brassbridge – mężczyźni, kobiety i dzieci – przed świtem będą martwi.

Elisabeth przeszły ciarki. Nie rozpoznawała tytułu, ale na kolacji u Ashcrofta lady Ingram wspominała o grymuarze napisanym przez Baltasara Thorna, poświęconym nekromancji. Istniało zaledwie kilka tekstów o tej tematyce. Czyżby chodziło im właśnie o ten?

– To prawda, że Harrows jest najlepiej przygotowane. – Mistrzynie Wick wbiła niewidzące spojrzenie przed siebie. – A dyrektor Hyde?

– Hyde rozumie, na czym polega jego służba. Jeśli do tego dojdzie, jest gotów poświęcić życie, aby ocalić tysiące istnień.

Jęki i skrzypnięcia kół zagłuszyły ich głosy. Z mroku wyłonił się kształt, dryfujący we mgle niczym czarny okręt sunący po widmowych wodach: klatka, wielka klatka na kołach, która w pierwszej chwili zdawała się pusta. Potem jednak do środka padło światło lampy i Elisabeth dostrzegła zawieszoną w niej żelazną szkatułę, utrzymywaną w miejscu przez sieć napiętych łańcuchów rozciągniętych od każdego rogu klatki.

Zaschło jej w ustach, a po plecach przebiegł zimny dreszcz. Cień padający na ścianę pomiędzy strażnikami nie był cieniem klatki. Na kamieniu rysował się inny kształt, ciągnący się aż do sufitu wiele pięter powyżej, gdzie wygięty spływał na łukowe sklepienie. Szponiaste palce drgały ponad strażnikami, jakby próbując ich pochwycić, każdy długi jak ostrze miecza. Chociaż cień był zbyt rozległy i zniekształcony, aby Elisabeth była w stanie rozpoznać jego dokładną formę, miała ona w sobie coś przerażająco znajomego.

„Klasa dziesiąta”. – Musiało tak być, sądząc z tego, jak wypowiadali się o księdze. Nawet jako przyszła strażniczka nigdy nie spodziewała się ujrzeć grymuaru tej klasy, a co dopiero natknąć się na niego podczas przenosin do innej biblioteki – pierwszych takich od setek lat.

Niebawem wszystkie trzy grymuary dziesiątej klasy spoczną w krypcie w Harrows.



ELISABETH ZANURZYŁA SZCZOTKĘ w wiadrze z mydlinami, po czym przeciągnęła nią po podłodze, rozprowadzając pianę po kamieniach. Brudna woda chlustała dookoła, przepędzając wszy książkowe z ich kryjówek między płytami. Nie miała siły ich gonić. Patrząc, jak jedna wyjątkowo pulchna wesz biega spanikowana w kółko, zatrzymała się i oparła na szczotce. Powieki jej opadły. Tylko jedną chwilkę. Jedną chwilkę odpoczynku...

– Wielkie nieba, dziewczyno! Co w ciebie wstąpiło?

Elisabeth rozbudziła się gwałtownie i serce jej stanęło na widok długiego cienia kładącego się na ścianie. Jednak potem zamrugła i zobaczyła, że to tylko Gertrude z rękami wspartymi na biodrach.

– Nie prowadzasz się chyba z jakimś młodym mężczyzną, co? Jedno ci powiem – oznajmiła Gertrude, chwytając ciężkie wiadro i przenosząc je dla niej korytarzem w rzadkim geście zyczliwości. – On nie jest tego wart. Nie, jeśli nie daje ci spać po nocach i każe się tak męczyć w ciągu dnia. No, proszę, głuptasie.

Elisabeth skinęła mechanicznie głową i wróciła do wycierania podłogi. Czuła się, jakby jej kończyny były zrobione z ołowiu, a oczy wypełniał piasek. Gdyby tylko Gertrude знаła prawdę...

Kiedy tego ranka udało jej się wymknąć z Biblioteki Królewskiej, miejskie dzwony wybijały godzinę piątą, a służący w Parku Cykuty zajmowali się już swoją pracą we wczesnoporannym mroku. Choć w trakcie misji czuła się całkowicie przytomna, dwie bezsenne noce dopadły ją w drodze powrotnej; obraz zaczął jej się rozmywać przed oczami i chwiała się na nogach jak pijana. Pamiętała niejasno, że kiedy dotarła do domu Nathaniela i potknęła się na progu, Silas wziął ją na ręce i wniósł na górę, gdzie pomógł jej przygotować się do pracy, podczas gdy ona przysypiała na stojąco. A potem, zanim się obejrzała, była z powrotem w bibliotece.

Potrzebowała całej swojej siły woli, żeby nie opuścić pracy i nie zająć się *Codexem*. Nie było nic bardziej frustrującego niż spędzanie ranka na myciu podłóg, wiedząc, że Ashcroft może w każdej chwili wykonać kolejny ruch. Nie mogła jednak ryzykować, że ściągnie na siebie uwagę. To był dopiero jej trzeci dzień pracy w Bibliotece Królewskiej i gdyby zniknęła zaraz po tym, jak grymuar szóstej klasy został skradziony, mistrzyni Wick z pewnością by to zauważyła. Lepiej spędzać poranek na myciu podłóg, niż gnić w lochu.

Jak do tej pory nie zauważyła żadnych oznak, że dostrzeżono brak *Codexu*. Żadnego bicia w dzwony ani biegających strażników. Ranek dłużył jej się w mętnych oparach zmęczenia.

W południe Gertrude dała jej godzinę przerwy, nakazując się zdrzemnąć, a potem wrócić w lepszej formie i zapracować na swoją wypłatę. Elisabeth poszła z jedzeniem do pokoju w południowej wieży, który pokazał jej Parsifal. Jego okna wychodziły na tereny biblioteki, rozległe obszary zieleni otoczone kępami drzew w pięknych odcieniach czerwieni i rdzawego pomarańcza. Był rześki, słoneczny, jesienny dzień, a przyszli strażnicy ćwiczyli na zewnątrz. Uchyliła okno, tak że do środka wraz z powiewami wiatru wpadały odległe krzyki i brzęk mieczy. Rekruci byli niewiele starsi od Elisabeth. Jeszcze kilka tygodni temu bez trudu wyobraziłaby sobie, że znajduje się pośród nich, teraz jednak czuła się jak duch nawiedzający własne ciało i spoglądający na swoje życie przez brudną soczewkę. Nie miała pewności, gdzie jest jej miejsce – albo, co dziwniejsze, czego w ogóle pragnie. Czy po tym, jak poznała Nathaniela i Silasa, mogła naprawdę uznać magię za swojego wroga i wrócić do dawnego życia?

Była już w połowie obiadu, który jadła przy stole roboczym w rogu pomieszczenia, kiedy w drzwiach pojawił się Parsifal.

– Tak myślałem, że cię tu znajdę – powiedział. – Mogę się przyłączyć?

Gdy odpowiedziała skinieniem, podszedł i wyjrzał za okno.

– Poprzednio krępowiałem się o tym mówić, ale dawniej przychodziłem tutaj, kiedy dręczyli mnie inni nowicjusze. Tak to jest, jak człowiek ma na imię Parsifal. Wyobrażałem sobie, jak pewnego dnia zostanę strażnikiem i sprawię, że wszyscy pożałują.

Przerwała przeżuwanie jabłka.

– Chciałeś zostać strażnikiem?

– Nie bądź *aż taka* zaskoczona. Oczywiście, że chciałem. Każdy nowicjusz tego chce. Czasem z właściwych powodów, ale większość chciałaby po prostu mieć władzę i zarabiać na życie, lejąc innych nowicjuszy.

– To nieprawda – zaprotestowała, ale potem pomyślała o strażniku Finchu i musiała przyznać, że coś w tym jest. – Dlaczego zmieniłeś zdanie?

Wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien. Po prostu życie to coś więcej niż wygląkanie ponuro i dżganie rzeczy mieczem, prawda? Są inne sposoby, żeby zrobić coś znaczącego. – Obracał w palcach pęk kluczy, jakby zbierał się na odwagę, żeby coś powiedzieć. Im dłużej to trwało, tym bardziej nieswojo się czuła. – Elisabeth – wypalił w końcu – wiem, że powiedziałaś zarządcy, że nazywasz się Elisabeth Cross. Ale czy jesteś... czy jesteś Elisabeth Scrivener? Tą z gazet?

Krew odpłynęła Elisabeth z twarzy. Jej imię było tak pospolite, że nie sądziła, aby zachowanie go stanowiło jakiegokolwiek ryzyko.

– Nikomu nie powiem – dodał pospiesznie Parsifal. – Nikt inny nie wie. Po prostu myślałem o tym przez cały czas, kiedy cię oprowadzałem, a ty wiedziałaś o wiele za dużo o grymuarach jak na kogoś, kto nigdy wcześniej nie był w Wielkiej Bibliotece. No i widzisz, ja, tego, śledziłem twoją historię w gazetach. – Poczzerwieniały mu uszy. – Po prostu... bo pokonałaś malefikt ósmej klasy i w ogóle.

Elisabeth wyprostowała się na krześle.

– Czy pisali o mnie coś jeszcze?

– Nie, nic! Dlatego właśnie chciałem... to było tak, jakbyś zniknęła z powierzchni ziemi po oświadczeniu prasowym kanclerza. – Obejrzał się przez ramię, po czym zniżył głos. – Wypełniasz jakąś sekretną misję dla Kolegium? Wysłali cię pod przykrywką?

Gapiała się na niego bez słowa.

– Racja – powiedział porozumiewawczo, popukując się w bok nosa. – Gdyby tak było, nie mogłabyś mi powiedzieć.

– Zgadza się – odparła słabym głosem, zastanawiając się, czy istnieje jakiś limit kłopotów, w które człowiek może się wpakować w ciągu jednego życia.

Znów obejrzał się przez ramię.

– No to... mam dla ciebie informację. Dziś rano podsłuchałem rozmowę dwóch strażników. Wygląda na to, że zeszłej nocy sabotażysta zaatakował Bibliotekę Królewską.

– Co?

– Ukradł grymuar szóstej klasy, podczas gdy strażnicy organizowali przeniesienie jakiejś książki z krypty. Nie ogłaszali tego publicznie, bo nie chcą sensacyjnych artykułów w prasie, ale pomyślałem, że ty powinnaś wiedzieć. No wiesz, do – jeszcze bardziej ściszył głos – do twojego śledztwa.

– Dziękuję, Parsifalu – powiedziała. – A teraz muszę wracać do, eee... – Skinęła głową w stronę okna, mając nadzieję, że Parsifal sam sobie coś dopowie.

– Ach, tak, oczywiście! To obserwacja? Wypatrujesz kogoś? Racja, nie możesz powiedzieć. W ogóle nie powinno mnie tu być. Zaraz... – Ruszył wolno w stronę drzwi. Skinęła głową zachęcająco i popukała się w nos. Wyszedł pośpiesznie, wyraźnie podekscytowany.

Elisabeth wypuściła powietrze i opadła z powrotem na krzesło. Przynajmniej wynikła z tego jedna dobra rzecz: jeśli strażnicy sądzą, że *Codex* ukradł sabotażysta, raczej nie będą podejrzewać prostej służącej. Może za kilka dni będzie mogła, niczym nierozpraszana, skupić całą uwagę na Ashcrofcie. Teraz, kiedy *Kroniki umarłych* były w drodze do Harrows, czas naglił bardziej niż kiedykolwiek.

Ledwie pamiętała, jak dowlokła się do domu, a potem schodami do sypialni. Jedyne, co zwróciło jej uwagę, to fakt, że nie widziała Nathaniela od czasu jego koszmaru. Cały poprzedni dzień spędził zamknięty w gabinecie, a sądząc po szmaragdowym blasku sączącym się przez szparę pod drzwiami, przebywał tam w dalszym ciągu. Zastanawiała się, czy w międzyczasie w ogóle wychodził.

Gdy już zaszła na górę, zapaliła świecę. Nie przebierała się, świadoma, że może potrzebować pod ręką soli i żelaza. Zabójcę Demonów odłożyła na podłogę obok, w zasięgu ręki, ale nie na tyle blisko, żeby wyglądało to jak groźba. Nie chciała, żeby *Codex* postrzegał ją jako wroga.

Grymuar czekał pod łóżkiem, nadal niewyjęty z worka, w którym wykradła go z Biblioteki Królewskiej. Wyciągnęła książkę i położyła sobie na kolanach, czując

przez płótno ciężkie łańcuchy. Usiadła na podłodze z plecami opartymi o łóżko, rozchyliła brzegi jutowego worka i rozwinęła łańcuch, układając go

na dywanie. *Codex* leżał bezwładnie, nie reagując. Wzięła głęboki oddech z ręką zastygłą w powietrzu.

– Mam przyjazne zamiary – powiedziała i położyła dłoń na okładce grymuaru, pragnąc, żeby jej intencje spłynęły po ramieniu i przeniknęły przez skórę.

W pierwszej chwili nic się nie wydarzyło. Żaden głos nie zaczął wyć z gniewu i urazy. Powietrze nie zgęstniało od złowrogiego napięcia. Panowała cisza. A potem karty poruszyły się, jak trącone niewidzialnym podmuchem. Powoli, jak staruszek przeciągający się rano po przebudzeniu, *Codex* rozłożył się w jej rękach.

Przeszył ją dreszcz nadziei, zaraz potem jednak poczuła ukłucie niepokoju. Jeśli Ashcroft spędził tyle czasu, bezskutecznie studiując grymuar, to czemu jej miałoby się powieść? W przeciwieństwie do niego nie miała zielonego pojęcia, czego mógłby dotyczyć sekret Prendergasta, nie wiedziała też prawie nic o kodach i szyfrach. Dotarcie do tego punktu tak bardzo pochłaniało jej uwagę, że nie miała czasu przygotować się na dalsze kroki.

Obiegła wzrokiem strony, które się przed nią otwały. Słowa pływały jej przed oczami; spróbowała zamrużyć, aby odgonić zmęczenie, odkryła jednak, że problemem nie był jej wzrok. To same słowa poruszały się – struzki atramentu przemieszczały się ospale po kartkach. Zaczęła przerzucać strony, pomijając diagramy opisane enochiańskim pismem, ale wszędzie działo się to samo. Tekst jako taki był co prawda czytelny, ale zdania pełzały z miejsca na miejsce w przypadkowej kolejności. Od czasu do czasu układały się tak, że dało się zrozumieć pojedynczy akapit:

Demony wysokiego rodu obnoszą się ze swoim połyskliwym przepychem pod bezsłonecznym niebem. Raz na dwa tygodnie wyjeżdżają na rogatych, białych rumakach, odziane w jedwabie, aby polować na dzikie bestie w lasach Pozaświata, ze sforami ujadających biesów u boku. Dźwięk demoniego rogu myśliwskiego niełatwo wyrzucić z pamięci; jest on bowiem tak piękny i tak straszliwy, że słysząc go, zwierzyna łowna zastyga w bezruchu, jakby zamieniona w kamień...

Tekst rozsypał się jednak, zanim zdążyła doczytać do końca, i zdania odpełzły po kartce, wijąc się jak rzędy maszerujących mrówek. Sfrustrowana, sięgnęła po lustro śledzące i wezwała Katrien. Kiedy twarz przyjaciółki pokazała się w tafli,

wyglądała na tak zmęczoną, jak Elisabeth się czuła, blada pod warstwą szronu. Nie miały czasu na pogawędki. Najszybciej jak mogły, przebiegły przez najbardziej prawdopodobne możliwości, z rzadka tylko przerywając, żeby złapać oddech.

– Zdania mogą się w pełni składać tylko o określonym dniu i godzinie – teoretyzowała Elisabeth – na przykład o północy w dniu zimowego przesilenia, albo przy sprzyjających warunkach, takich jak zaćmienie.

– Ale Ashcroft jest pewny, że niedługo uda mu się rozgryźć tekst, prawda? To znaczy, że albo to zjawisko ma nastąpić w przeciągu najbliższych dwóch tygodni, albo...

– Albo rozwiązaniem szyfru jest coś zupełnie innego – dokończyła Elisabeth ponuro.

– Spójrz jeszcze raz na zebrane informacje – nalegała Katrien. – Może jest w nich jakaś wskazówka, która wcześniej nie wydawała się istotna. Czy wiemy w ogóle na pewno, że Prendergast ukrył swój sekret za pomocą szyfru, czy było to tylko przypuszczenie bez pokrycia? W międzyczasie ja spróbuję znaleźć coś tutaj.

Kiedy ich czas dobiegł końca, Elisabeth z trudem powstrzymała żaloszny odruch, aby błagać Katrien, żeby nie odchodziła, patrząc, jak twarz przyjaciółki znika pod warstwą lodu. Przytłoczyła ją samotność, pogorszona jeszcze męcącym jej w głowie wyczerpaniem. Wiedziała, że powinna się położyć do łóżka, ale była zbyt zmęczona, żeby wstać z podłogi i owinać *Codex* łańcuchem.

Zamiast tego zaczęła bezmyślnie przerzucać strony. Pełzający tekst przyciągał wzrok i hipnotyzował. Kiedy zdania łączyły się w całość, odczytywała szczegółowe, niepokojące opisy tego, co demony jadały na ucztach albo w co się ubierały na swoje nocne, trwające cały tydzień bale. Choć od lektury poszatkowanych fragmentów czuła się coraz bardziej nieswojo, nie była w stanie oderwać oczu od książki.

Otrute śmiertelnie wilczą jagodą łabędzie uznawane są na bankietach za szczególnie delikates...

Najbardziej modną kreacją tego wieczoru była suknia wykonana ze srebrzystych ciem, żywcem przypiętych do tkaniny, aby zachowały swój połysk...

Świeca dopalała się na stoliku nocnym. Głowa Elisabeth opadała sennie. Nieskładne obrazy wirowały jej pod powiekami: demony tańczące w wymyślnych strojach, ucztujące z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami, łapczywie pożerające

ciała swych ofiar. Koszmarne wizje zdawały się ją porywać i ciągnąć w dół, niczym dłonie syren chwytające rozbitka, aby unieść go w cichą, mroczną głębię.

Zbudziła się raptownie.

Albo i nie, bo to musiał być sen.

Stała w jakimś staromodnym warsztacie. Z krokwi zwisały pęczki nieznanych jej ziół, a na wszystkich powierzchniach migotały świece, z których na poplamioną podłogę z desek skapywał tłusty, żółty wosk. Zarówno półki, jak i stół na środku pokoju zastawione były dziwacznymi przedmiotami: ptasimi piórami, zwierzęcymi czaszkami i słojami pełnymi mętnego octu, w którym unosiły się jakieś grudki. Nie to jednak przekonało ją, że musi śnić, lecz fakt, że pokój unosił się zawieszony w próżni. Połamane końce podłogowych desek wystawały w czarną otchłań, a fragmenty sufitu zapadły się do środka, ukazując w górze tę samą mroczną pustkę.

Nie, nie pustkę. Lśniąca, czarna substancja przypominała jej coś znajomego. Powietrze wypełniał charakterystyczny, bogaty aromat barwników. Atrament.

– Kim jesteś? – dobiegł ją zza pleców srogi głos mężczyzny. – Co tutaj robisz?

Elisabeth odwróciła się, czując, jak serce uderza jej o żebra.

Mężczyzna stojący przed nią wyglądał tak, jak zawsze wyobrażała sobie czarownika, zanim poznała Nathaniela i Ashcrofta. Wysoki, chudy i blady, z lśniącymi oczami barwy obsydianu i przyciętą krótko czarną, spiczastą bródką. Miał na sobie luźne szaty, a każdy z jego palców zdobiły pierścienie wysadzane klejnotami w różnych barwach.

– Kimkolwiek jesteś, nic ci nie powiem – rzucił ostro. – Nie po to spędziłem setki lat uwięziony w tym miejscu, żeby teraz wszystko poszło na marne.

„Setki lat”.

Wydawał się mówić poważnie. Teraz, kiedy lepiej się przyjrzała jego twarzy, dostrzegła, że jej wyraz nie był gniewny, w każdym razie nie całkiem. Pod zasłoną złości krył się strach, jakby przyszła tutaj, żeby odebrać mu coś siłą. Jego szaty wyglądały staromodnie, podobnie jak wszystko inne w tym warsztacie, od wieków nietkniętym upływem czasu.

Nie wiedziała, co to za miejsce, ale nie było senną wizją, podobnie jak ten mężczyzna – ten czarownik. Jeszcze raz zerknęła na atramentową otchłań wokół

nich i otworzyła szerzej oczy, kiedy przyszła jej do głowy pewna myśl. Prendergast ukrył swój sekret *wewnątrz Codexu*.

Odwróciła się z powrotem do czarownika.

– Czy pan jest Aldousem Prendergastem?

Nie powinna była tego mówić. Twarz mu spochmurniała i pokonał dzielący ich dystans w kilku szybkich krokach.

– Jak się tu dostałaś? – zapytał ostro, chwytając ją za ramiona. Potrząsnął nią, aż zagrzechotały jej zęby. – Odpowiadaj, dziewczyno!

– Nie wiem! Czytałam *Codex* i zasnęłam.

– To niemożliwe – burknął.

– Dziwnie to brzmi – palnęła – z ust kogoś, kto ma ponad trzysta lat. To też nie wydawało mi się możliwe.

Prendergast oklapł. Puścił jej ramiona i przytrzymał się krawędzi stołu, obrzucając ją nieprzyjemnym spojrzeniem. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że ani trochę się go nie boi. Był tak chudy, że bez problemu mogłaby go zepchnąć za skraj podłogi, gdyby spróbował zrobić jej krzywdę.

– Który mamy teraz rok? – zapytał w końcu, przenosząc wzrok na butelkę pełną czegoś, co wyglądało jak zakonserwowane szczurze ogony.

Mnóstwo pytań cisnęło jej się na usta, ale podejrzewała, że nie zechce odpowiedzieć na żadne z nich, jeśli ona najpierw nie odpowie jemu.

– Tysiąc osiemset dwudziesty czwarty.

Przez chwilę przetrwał jej odpowiedź.

– Nie jestem żywy – powiedział po długiej, fatalistycznej przerwie. – Nie w zwykłym tego słowa znaczeniu.

Elisabeth się wzdrygnęła.

– Nekromancja – westchnęła, widząc w nowym świetle jego zapadnięte policzki i kościstą sylwetkę.

– Nie, nie nekromancja, głupia smarkulo – warknął. – Nie jestem trupem. Pozostawiłem swoje ciało w krainie śmiertelników, a umysł połączyłem z tym... tym... cóż, wątpię, żebyś zrozumiała. Ewidentnie nie jesteś czarownikiem, chyba że od moich czasów znacznie obniżyły się standardy. Jedyne, co musisz wiedzieć,

to że jestem tu uwięziony na własne życzenie. Nie mogę opuścić tego miejsca. A ty nie powinnaś być w stanie odwiedzić mnie za pośrednictwem *Codexu* – nie bez mojej zgody.

Rozejrzała się.

– Jesteśmy we wnętrzu *Codexu*? To jakiś inny wymiar?

Zmrużył oczy.

– Czyli jednak wiesz co nieco o taumaturgii.

Elisabeth postanowiła mu nie mówić, że czytała po prostu dużo powieści.

– To sztuczny plan egzystencji – ciągnął niechętnie – połączony z moim grymuarem, nie większy niż ten pokój. Próby stworzenia czegoś rozleglejszego stwarzałyby ryzyko zdestabilizowania granicy pomiędzy krainą śmiertelnych a Pozaświatem.

– A więc pan naprawdę tam był – powiedziała. – W Pozaświecie.

Jeszcze bardziej zmrużył oczy.

– Większość ludzi mi nie wierzyła. Oskarżali mnie o sfabrykowanie badań.

– Za wyjątkiem jednej osoby. – Przyglądała się uważnie jego twarzy. – Człowieka, który podawał się za pańskiego przyjaciela.

Jego twarz wykrzywiła się konwulsyjnie.

– Kim ty jesteś? – wychrypiał.

– Nazywam się Elisabeth Scrivener. Jestem... byłam... nowicjuską w bibliotece. Ale to nieistotne. W *Codexie* nie ma żadnego szyfru, prawda? To *pan* jest szyfrem. Ukrył się pan tutaj, żeby uciec przed Corneliussem Ashcroftem.

Palce Prendergasta pobieły, wciąż zaciśnięte na krawędzi stołu.

– W przeciwnym razie – ciągnęła, uświadamiając sobie prawdę w miarę, jak mówiła – użyłby magii, żeby odczytać pańskie wspomnienia i siłą wydrzeć sekret, który pan ukrywa, czymkolwiek on jest. – Widząc jego szeroko otwarte oczy, wyjaśniła: – Jego potomek próbował zrobić ze mną to samo.

Prendergast wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem, w którym pobrzmiwała nuta hysterii. Zaniepokoiło to Elisabeth, ale przypomniała sobie, że był tu uwięziony od setek lat, całkiem sam, a ona zareagowała bardzo podobnie, kiedy trafiła pod dach Nathaniela.

– Kłamiesz – powiedział, kiedy już złapał oddech. – Już rozumiem. Jesteś w zмовie z Ashcroftami. Inaczej nie mogłabyś wiedzieć... nie odgadłabyś...

– Wcale nie! Przysięgam.

– Jedno wiem na pewno: Ashcroftowie nie pozostawiają swoich ofiar całych i zdrowych. – Jego oczy zaślniły jak w gorączce. – Czy jesteś w stanie choć w małym stopniu wyobrazić sobie, co skłoniło mnie, aby wybrać wieczność w odosobnieniu zamiast opieki mojego starego, dobrego przyjaciela? Porzuciłem *wszystko*. Z mojego prawdziwego ciała została tylko bezmyślna, śliniąca się skorupa. Ale i tak skończyłbym w takim stanie, bo Cornelius rozdarłby mój umysł na strzępy. Przynajmniej w ten sposób mogłem pokrzyćować plany tego czarta. – W głosie Prendergasta zabrzmiała nagła zaciekleść. – Nigdy tego nie dostanie. I ty też nie.

– Czego nie dostanie?

Prendergast nie odpowiedział. Obrócił się na pięcie, aby odejść, powiewając zamasyżciami szatami, choć nie było tu dokąd pójść, chyba że w głąb warsztatu, pomiędzy uginające się od przedmiotów półki.

– Corneliusa może pan przechytrzył – zawołała Elisabeth, pospiesznie ruszając za nim – ale teraz jego potomek jest na tropie pańskiego sekretu. Wie, że pan tu jest, i nie cofnie się przed niczym, żeby pana odnaleźć.

Prendergast machnął lekceważąco wychudłą dłonią. Klejnoty na jego palcach zamrugały w blasku świec.

– To bez znaczenia. Nigdy nie zdoła...

– Dostać się tutaj, tak jak ja przed chwilą?

Znieruchomiał.

– Marnujesz swój czas.

– Proszę mnie posłuchać – nalegała. – Odnalazłam pański grymuar, bo Ashcroft wypuszcza malefikty z Wielkich Bibliotek. Zginęły dziesiątki ludzi. Muszę odkryć, dlaczego to robi, żeby dostarczyć dowody Kolegium. W przeciwnym razie nigdy nie odpowie za swoje czyny.

Zapadła cisza.

– A więc wziął się do dzieła, tak? – powiedział w końcu Prendergast ze znużeniem. – Próbuje zakończyć to, co zaczął Cornelius.

– Gdyby tylko powiedział mi pan, co on planuje. Wiem, że cokolwiek to jest, kluczowe znaczenie ma Wielka Biblioteka w Harrows...

Głos Prendergasta zabrzmiał ostro jak uderzenie bicia.

– Dość tego! Zostaw mnie w spokoju. Nieważne, co planuje, bo – zgiął się w pół, wspierając dłonie na kolanach, i z wysiłkiem dokończył: – beze mnie... nic nie działo.

Nie po to zaszła tak daleko, okradła Bibliotekę Królewską i szukała pomocy u demona, żeby teraz się poddać. Podeszła do Prendergasta i chwyciła go za ramię. Gdy go dotknęła, całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz i czarownik osunął się na kolana. Ból wykrzywił jego wymizerowaną twarz.

Elisabeth ogarnęło poczucie winy.

– Nic panu nie jest?

Jednak gdy tylko to powiedziała, dostrzegła, że cokolwiek się tu działo, nie dotyczyło jedynie Prendergasta. Świece skwierczały, migocząc w kałużach wosku. Warsztat pograżał się w mroku. Potem podłoga uniosła się i zatrzęsła, niemal zwalając Elisabeth z nóg. Słoje staczały się ze stołów i tłukły.

– *Codex daemonicus* – zdołał wykrztusić Prendergast. – Coś dzieje się z grymuarem. Jesteś w niebezpieczeństwie, dziewczyno. Twoje ciało wciąż przebywa w krainie śmiertelnych.

Serce podeszło jej do gardła.

– Jak mam wrócić? Nie wiem nawet, jak się tu dostałam.

– Skacz! – warknął.

Nie miała czasu zastanowić się nad jego poleceniem – nie, kiedy świat wokół niej rozpadał się na kawałki. Pognała na skraj pokoju i z rozpędem rzuciła się za poszarpaną krawędź podłogi, myśląc:

„To się nie dzieje naprawdę. To jest tylko w mojej głowie. Nie spadnę”.

Ale czuła się tak, jakby spadała: koziółkowała w powietrzu, aż sama już nie wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół, a gorzki smak atramentu wypełniał jej usta, zalewał nos, dławił...

Zbudziła się, głośno łapiąc powietrze, z poczuciem, jakby jej duszę siłą wepchnięto z powrotem do ciała. Siedziała na podłodze w swojej sypialni,

oszołomiona, z *Codexem* na kolanach.

Świeca zgasła. Nie dlatego, że się dopaliła, lecz dlatego, że Elisabeth osunęła się przez sen i potrąciła ramieniem stolik nocny, przewracając tym samym lichtarz i gasząc płomień. Pomyślała, że miała szczęście, że nie wybuchł pożar. Zaraz jednak zmieniła zdanie, bo stało się coś jeszcze gorszego.

Krople gorącego wosku ochlapały strony *Codexu*. Widziała atrament rozlewający się wokół nich jak plama krwi, przesiąkający przez papier, zaczerniający karty księgi. Zerwała się na nogi, zrzucając grymuar na dywan. Jego oprawa unosiła się i pęczniała, jakby coś próbowało wydostać się ze środka. W blasku księżycy jego cień na podłodze się wydłużył. Elisabeth oderwała nabój solny od pasa. Zrobiła to w samą porę, bo w tejże chwili chuda, pokryta łuskami ręka wysunęła się w jej stronę, dygocząc, i złapała ją za kostkę.

Codex przemienił się w malefikt.



ELISABETH POCZUŁA W ustach smak soli, kiedy pocisk eksplodował, wypełniając pokój iskrzącymi się drobinami. W świetle księżycy wyglądały niespodziewanie pięknie, jak śnieg. Uchwyt zelżał na tyle, że zdołała uwolnić kostkę. Malefikt zareagował chrapliwym wrzaskiem. Przez chwilę miotał się, zdeorientowany, wymachując kończynami na wszystkie strony, a potem drzwi pokoju runęły, wyrwane z zawiasów, wpuszczając do środka blask palących się w korytarzu kinkietów. Pochylona, długoucha postać stanęła w przejściu. Rozległ się kolejny krzyk, po czym dała susa za róg.

Elisabeth porwała Zabójcę Demonów z podłogi i rzuciła się w pościg, przeskakując nad roztrzaskanymi szczątkami drzwi. Malefikt, utykając, pędził korytarzem. Pochodzenie jego oprawy było teraz wyraźnie widoczne: przypominał impy z Dworu Ashcroftów, tyle że jego szkarłatne łuski były wyschnięte i przybrudzone, a przez skórę biegły linie szwów. Uszy miał nadgryzione przez wszy książkowe, a do ciała kleiły mu się płatki złota, poszarpane i zmatowiałe ze starości.

Dotarłszy do schodów, zbiegł po nich na czworakach, pozostawiając na dywanie ślady pazurów. Na dole zderzył się ze stołem, strącając stojącą na nim wazę, która roztrzaskała się o marmurowe płyty. Róże posypały się na podłogę w powodzi rozlanej wody i odłamków porcelany. Od jak dawna w holu stały świeże kwiaty? Elisabeth nie zwróciła uwagi.

Zamiast zbiegać po stopniach, zjechała po poręczy i ruszyła do boju, podczas gdy malefikt usiłował złapać równowagę na śliskiej posadzce. Zbliżyła się do niego powoli, trzymając Zabójcę Demonów w gotowości. Skulił się przed nią, przyciskając wychudzone ręce do piersi i mierząc ją błyszczącym spojrzeniem okrągłych, czarnych jak atrament oczu. Tłumiąc w sobie przyływ współczucia, przyparła go do ściany. Nie miała zamiaru zlekceważyć jego siły; nie po tym, co

zrobił z jej drzwiami. Wzburzony malefikt szóstej klasy był w stanie z łatwością obezwładnić strażnika.

– Co tu się, u licha, dzieje?

Elisabeth zamarła, słysząc dobiegający z korytarza głos Nathaniela. Chwilę później jego właściciel wszedł do skąpanego w blasku księżycy holu, w pełni ubrany mimo późnej pory. Przystanął i oparł się o ścianę, spokojnie przyglądając się scenie przed sobą, jakby widywał takie rzeczy codziennie.

Poczuła dziwny skurcz w żołądku. Wspomnienie ostatniego razu, gdy go widziała – bladego i drżącego, wyciągającego rękę, by chwycić dłoń Silasa – było wciąż żywe w jej umyśle, niemal namacalne. Teraz, kiedy zobaczyła go w takim stanie, trudno było uwierzyć, że może być tak opanowany, wyglądać tak zwyczajnie, jakby nic się nie zmieniło. Ale przecież faktycznie się nie zmieniło. Od samego początku ukrywał przed nią swój ból, podobnie jak przed wszystkimi innymi, nie licząc Silasa – jedyne, który go rozumiał.

– Scrivener – westchnął. – Powinienem być wiedzieć, że to ty, gdy tylko usłyszałem, jak zabytkowa waza mojej praprababki ląduje na podłodze. – Przeniósł taksujące spojrzenie na malefikt. – A to kto? Twój znajomy?

Codex obnażył komplet ostrych zębów i wrzasnął ogłuszająco. Żyrandol nad ich głowami zadygotał.

– Miło mi – powiedział Nathaniel, po czym zwrócił się z powrotem do Elisabeth. – Gdybyście chcieli zniszczyć coś jeszcze, od lat zamierzałem pozbyć się gobelinu po ciotce Clothilde. Będziecie wiedzieć, że to o niego chodzi, kiedy go zobaczycie. Jest małwowy.

Elisabeth kilka razy otworzyła i zamknęła usta, zanim zdołała wydobyć z siebie głos.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– W czym? Wydajesz się mieć sytuację pod kontrolą.

– Czy potrafisz przemienić malefikt z powrotem w grymuar? Czarami?

– Być może, pod warunkiem, że nie jest zbyt potężny. – Nathaniel uniósł brew. – A dlaczego?

Z trudem powstrzymała się przed zazgrzytaniem zębami. Pomijając koszmary, był tak samo wkurzający, jak zawsze.

– Ten grymuar to ważny dowód przeciwko Ashcroftowi – wyjaśniła, po czym z bólem przyznała: – To jedyne, co mam.

Tym razem uniósł obie brwi.

– *Wiedziałem*, że za twoją pracą w Bibliotece Królewskiej coś się kryje. Ale kradzież? Naprawdę, *Scrivener*?

Oblała się gorącym rumieńcem i mimowolnie poluzowała uścisk na rękojeści Zabójcy Demonów. Od razu zdała sobie sprawę ze swego błędu, ale zareagowała o ułamek sekundy za późno i malefikt rzucił się do ucieczki, odpychając ją na bok i z impetem pędząc przed siebie. Zanim się obejrzała, leżała bez tchu na podłodze.

„Nie pozwól mu uciec” – pomyślała rozpaczliwie. Gdyby *Codex* zdołał zbiec, wszystko byłoby stracone.

W powietrzu zapłonęły sylaby zaklęcia. W górze zawirowało szmaragdowe światło, odbijając się w mokrych płytach podłogi i barwiąc płatki rozsypanych róż. Elisabeth podparła się na łokciu, kaszląc, i zobaczyła, że malefikt zastygł w pół skoku, zaledwie o długość ramienia od okna. Nathaniel stał za nim, wyciągając przed siebie jedną rękę, tak sztywny z napięcia, że na szyi wystąpiła mu żyła. Jego ramię drżało z wysiłku, kiedy usta formowały słowa inkantacji.

Powoli, stopniowo, malefikt zaczął jakby składać się do środka. Podwinął kończyny, pochylił głowę, łuskowata skóra zaczęła się kurczyć i zwijać. Malął z każdą chwilą, aż w końcu światło zniknęło i nieuszkodzony *Codex* upadł na podłogę z hukiem, który rozbrzmiał w całym holu.

Elisabeth ostrożnie stanęła na nogi, a tymczasem Nathaniel zgiął się w pół, ciężko dysząc. Zdusił cichy jęk. Zdała sobie sprawę, że prosiła go o znacznie więcej, niż przypuszczała. Była pewna, że Nathaniel, ten sam, który ożywił kamień i przyzywał burze, poradzi sobie z taką magią, ale tak naprawdę nigdy nie słyszała, żeby ktoś zamienił malefikt z powrotem w księgę. Gdyby to było takie proste, nie trzeba by było Wielkich Bibliotek ani strażników.

– Nathaniel – powiedziała. Zrobiła krok w jego stronę i upadła.

Ciemność pływała jej przed oczami, krew huczała w uszach. Poprzez zawroty głowy i ogarniające ją fale oszołomienia zorientowała się nagle, że ktoś trzyma ją w objęciach. Zamrugła szybko i odzyskała kontakt ze światem. Czuła na sobie dotyk Nathaniela, beznamiętny i pełen pośpiechu. Jego dłonie sunęły po jej bokach i ramionach – szukał na jej ciele obrażeń.

Nie chciała, żeby przestał. Nikt nigdy dotąd nie dotykał jej w ten sposób. Jego dłonie pozostawiały na jej skórze echa muśnięć, jak ogony komet, intensywne i mrowiące; jej ciało pragnęło więcej. Intensywność doznań ją przytłaczała, boleśnie zapierając dech w piersi.

– Gdzie jesteś ranna? Możesz mi powiedzieć? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, Nathaniel ujął jej twarz w dłonie. – Elisabeth!

Dźwięk jej imienia wypowiedzianego głosem Nathaniela, do tego takim tonem, w końcu przywrócił jej przytomność.

– Nie jestem ranna – powiedziała. Puls przyspieszył jej pod dotykiem jego palców. – Tylko za szybko wstałam. Jestem...

– Wyczerpana – dokończył za nią, błędząc wzrokiem po jej twarzy. – Kiedy ostatni raz spałaś?

„Trzy noce temu”.

Nie powiedziała tego na głos. Wyraz twarzy Nathaniela już stał się nieprzenikniony. Zaciskając szczęki, pomógł jej wstać i poprowadził ją do fotela. Wyglądał, jakby źle się czuł – jakby dotykając jej, został czymś skażony albo jakby powietrze uchodziło z pomieszczenia niczym woda wypływająca przez odpływ. Elisabeth nic z tego nie rozumiała. Dopiero kiedy zawroty głowy ustały, zaczęła myśleć jaśniej i powód stał się oczywisty: on myślał, że to jego wina.

– Czekaj – zaprotestowała, ale on już się odsunął.

– Silas – syknął.

Gdy tylko sługa pojawił się pośród zalegających w holu cieni, Nathaniel ruszył w jego stronę. Elisabeth czuła się już dobrze i prawie w ogóle nie kręciło jej się w głowie, ale ledwie była w stanie oddychać przez ściśnięte z emocji gardło. Cokolwiek miało się teraz wydarzyć, pragnęła to zatrzymać, cofnąć czas, dać sobie szansę, aby najpierw porozmawiać z Nathanielem. Bezradnie patrzyła, jak nachyla się nad Silasem i mówi wściekłym półgłosem:

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że miałem koszmary? Nie jestem już dzieckiem. Jeśli czaruję przez sen, *podczas gdy w domu jest ktoś inny*, muszę o tym wiedzieć! Na miłość boską, Silas, mogłem zrobić jej krzywdę!

– Panie – powiedział Silas uspokajająco.

– Co to było tym razem? – ciągnął Nathaniel nieubłaganie. – Krew ściekająca ze ścian czy zwłoki czołgające się korytarzami? A może mój prywatny faworyt, widmo

ojca zataczającego się z poderzniętym gardłem? Kamerdynera wygoniło w mgnieniu oka.

– To iluzje, panie. Są niegroźne.

– Przestań. – Słowo padło jak wymierzony słuźce policzek. – Znasz magię płynącą we krwi mojej rodziny. Służyłeś Baltasarowi.

Silas przechylił głowę.

– Dlatego właśnie sędzę, że moja opinia...

– Powiedziałem *przestań*. Nie dyskutuj ze mną. Nie na ten temat. – Mierząc go lodowatym wzrokiem, dodał z całym autorytetem magistra: – To rozkaz.

Silas zacisnął wargi, po czym skłonił się beznamiętnie.

Nathaniel przecesał palcami włosy i przeszedł przez hol, nie patrząc żadnemu z nich w oczy.

– Znajdę dla ciebie inną kwaterę, panno Scrivener – powiedział. – Nie powinno to zająć dłużej niż dzień czy dwa. I tak zatrzymałaś się tu tylko tymczasowo. – To powiedziawszy, skierował się w stronę schodów.

Próbowwała zrozumieć, jak w ciągu kilku sekund przeszedł od „Elisabeth” do „panny Scrivener”. Sytuacja wymykała jej się spod kontroli w przerażającym tempie, rozwijając się jak upuszczony kłębek nici. Czuła, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, ona i Nathaniel staną się sobie obcy i nie zdoła już wrócić do tego, co było wcześniej. Wzięła drżący oddech.

– Nie chcę się nigdzie przenosić! – zawołała w górę schodów.

Nathaniel zrobił jeszcze jeden krok i zatrzymał się, prostując plecy. Nie odwrócił się, jakby nie miał odwagi spojrzeć jej w twarz.

– Podoba mi się tutaj – powiedziała, zaskoczona prawdą płynącą z jej ust. – Czuję się tu prawie jak... jak w domu. Czuję się bezpieczna. Nie boję się ciebie ani twoich koszmarów.

Roześmiał się krótko gorzkim, pozbawionym radości śmiechem.

– Ledwie mnie znasz. Nie widziałaś, do czego naprawdę jestem zdolny. Kiedy do tego dojdzie, pewnie zmienisz zdanie.

Pomyślała o nocy spędzonej w Czarnoborze, kiedy siedział wpatrzony w las, obserwując dzieło swojego przodka, ranę wciąż jątrzącą się mimo upływu wieków.

Czy tego właśnie się obawiał – że wciąż żyje w nim zła natura Baltasara? Każde uderzenie serca bolało ją jak nóż wsuwający się między żebra.

Podniosła z podłogi różę. Jej płatki były wilgotne, a ciernie kłuły ją w palce. Symbol miłości, życia i piękna – niecodzienny widok w pustej, przygnębiającej rezydencji Nathaniela, choć, prawdę mówiąc, już od dłuższego czasu nie myślała o jego domu w ten sposób. Rozumiała teraz, że te róże były dla niej. Symbol nadziei przebijającej się przez warstwę popiołów.

– Może i nie widziałam, do czego jesteś zdolny – powiedziała – ale widziałam, jak zdecydowałeś się postąpić. – Podniosła wzrok. – Czy to nie ważniejsze?

Jej pytanie przekradło się pod pancerz Nathaniela. Zachwiał się i przytrzymał balustrady.

– Zdecydowałem się nie pomagać ci w walce z Ashcroftem.

Czuła ból w sercu. Patrzyła na jego pochylone plecy i ramiona, jasno wyrażające smutek.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby zmienić zdanie.

Nathaniel pochylił się i wsparł czoło na rękę. Zapadła cisza. Hol cuchnął eterycznym spalaniem, swąd ten jednak podszyty był delikatną wonią róż.

– Dobrze – powiedział w końcu.

Radość wypełniła Elisabeth jak łyk szampana, jednak dziewczyna nie śmiała prosić o zbyt wiele naraz.

– Mogę zostać?

– Oczywiście, że możesz zostać, ty zmozo. I tak bym cię nie powstrzymał, choćbym chciał. – Urwał. Z zapartym tchem czekała, aż wykrztusi z siebie ciąg dalszy. – I niech ci będzie, pomogę ci. Nie z jakichś szlachetnych pobudek – dodał szybko, podczas gdy jej dusza tańczyła w uniesieniu. – Wciąż uważam, że to przegrana sprawa. Najpewniej zginiemy i tyle z tego będzie. – Ruszył dalej schodami. – Ale każdy ma jakieś granice wytrzymałości. Jeśli jest coś, co mnie przerasta, to stanie i patrzenie, jak niszczysz bezcenne antyki.

Elisabeth uśmiechała się od ucha do ucha.

– Dziękuję! – zawołała za nim.

Nathaniel machnął lekceważąco ręką z podestu. Jednak zanim zniknął za rogiem, zobaczyła, że on też się uśmiecha.



KIEDY NASTĘPNEGO WIECZORA Elisabeth przyniosła lustro śledzące do gabinetu Nathaniela, nie wydawał się zaskoczony – mimo że wiedział, iż lusterko zaginęło ponad pół wieku wcześniej.

– Należało do mojej ciotki Clothilde – wyjaśnił. – Zmarła przed moim urodzeniem, ale nasłuchiwałem się opowieści o tym, jak używała go, żeby podglądać krewnych.

Elisabeth zawahała się, wspominając słowa mistrzyni Wick.

– Czy to nie było już po reformach?

– Owszem, ale nie uwierzyłabyś, ile zakazanych artefaktów jest wciąż zachomikowanych w starych domach, takich jak ten. – Zamknął oczy i w skupieniu przebiegł palcami po krawędziach lusterka. – Lovelace’owie odkryli w swojej piwnicy ożywione narzędzia tortur, w tym żelazną dziewicę, która pogoniła ich z powrotem na górę, kłapiąc pokrywą jak małż. Ja sam w ogóle nie wchodzę do mojej piwnicy. Są tam drzwi, których nie otwierano, odkąd Baltasar zbudował ten dom, a według Silasa miał on dziwną obsesję na punkcie marionetek... Ach. – Otworzył oczy. – Proszę.

Pochyliła się nad kanapą, żeby lepiej widzieć. Warstwa szronu ustąpiła z tafli lustra. Według Nathaniela wszystko było z nim w porządku, trzeba było tylko uzupełnić magię po tylu latach nieużywania. Teraz ona i Katrien powinny być w stanie rozmawiać tak długo, jak tylko zechcą.

Z ust Elisabeth wyrwał się radosny śmiech. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Nathaniel wpatruje się uważnie w jej twarz, jakby była obrazem. Gdy ich oczy się spotkały, ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz. Nagle zaczęła widzieć wszystko wyraźniej: połyskujące przyrządy widoczne za jego plecami, blask świec kładący się na miękkich ustach i krystaliczną strukturę jego tęczęwek – z bliska nieskończenie skomplikowaną.

Przez jedno uderzenie serca zdawało się, że coś może się wydarzyć. Potem jednak oczy mu przygasły. Odchrząknął i podał jej lusterko.

– Jesteś gotowa? – zapytał.

Elisabeth zdusiła w sobie zakłopotanie, starając się niczego po sobie nie pokazać. Przy odrobinie szczęścia może nie zauważy rumieńców na jej policzkach, a jeśli nawet, to weźmie je za oznakę ekscytacji przed rozmową z Katrien.

– Tak, ale chciałam najpierw spróbować czegoś innego. – Podsunęła sobie lusterko pod nos, ignorując nerwowe skurcze w żołądku. – Pokaż mi Ashcrofta – rozkazała.

Nathaniel zeszywniał, kiedy tafla lusterka zmętniała. Gdy jednak znów się wygładziła, nie było w niej widać żadnego obrazu, jedynie plamę migoczącego, złocistego światła. Elisabeth zmarszczyła brwi. Nigdy dotąd nie widziała, żeby lusterko zareagowało w ten sposób.

– Nie rozumiem. Czy tam, gdzie się znajduje, nie ma luster?

– To magia Ashcrofta. – Nathaniel się rozluźnił. – Wygląda na to, że otoczył się barierami ochronnymi. Mają powstrzymywać efekty skierowanych przeciwko niemu rytuałów, ale najwyraźniej blokują też lustra śledzące.

Wypuściła powietrze, zdając sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywała oddech.

– Jest przygotowany na wszystko. Zrozumiałam to, kiedy byłam uwięziona w jego posiadłości. Możliwość szpiegowania go wydawała się zbyt piękna, żeby mogła być prawdziwa, ale musiałam spróbować.

– Może tak jest lepiej – pocieszył ją Nathaniel. – Pomyśl, co by było, gdybyśmy go zastali w wychodku. Albo przycinającego włosy w nosie. Albo nawet...

Elisabeth się skrzywiła.

– Pokaż mi Katrien – powiedziała do lusterka, zanim zdążył dodać coś jeszcze.

Zacisnęła palce na oprawie zwierciadła, którego tafla znów stała się mętna. Przygotowała Katrien i Nathaniela na tę chwilę najlepiej, jak mogła, biorąc pod uwagę, że miała rano tylko około minuty na rozmowę z przyjaciółką, ale teraz, kiedy nadszedł czas, żeby faktycznie się spotkali, z nerwów zbierało jej się na mdłości. Z jakiegoś powodu obawiała się, że nie zniesie, jeśli jej najlepsza przyjaciółka znienawidzi Nathaniela.

Twarz Katrien pojawiła się w lusterku. Dziewczyna siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, aż po brodę owinięta zbyt dużą kołdrą. Jakimś sposobem udało jej się wyglądać przy tym groźnie. Może sprawiło to jej spojrzenie, analizujące Nathaniela jak okaz laboratoryjny.

– Thorn – powiedziała z namaszczeniem.

– Quillworthy – odparł.

Milczeli przez dłuższą chwilę, a Elisabeth miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Wreszcie Katrien wysunęła ciemną dłoń z fałdów kołdry i poprawiła sobie okulary na nosie, po czym schowała ją z powrotem, jakby nigdy jej nie było.

– Chyba się nadasz – powiedziała. – A teraz, co jeszcze muszę wiedzieć, zanim weźmiemy się do roboty?

I w ten sposób cała niezręczność wyparowała. Elisabeth ledwie zdołała się powstrzymać, by nie zerwać się na nogi, krzycząc z radości. Obróciła lusterko tak, żeby Katrien widziała twarze ich obojga.

– Po pierwsze, Ashcroft spóźnia się o kilka dni z atakiem na Wielką Bibliotekę w Fairwater.

Katrien zmarszczyła brwi.

– Myślisz, że to dlatego, że źle mu idzie z *Codexem*?

– Dokładnie. Może próbuje kupić sobie więcej czasu, bo nie jest jeszcze gotowy przejść do tego, co planuje zrobić w Harrows...

Rozmawiali we trójkę do późnej nocy. Raz przerwała im niezapowiedziana inspekcja pokoju Katrien, gdy musieli w pośpiechu odwoływać zakłęcie, żeby strażnik nie zobaczył ich twarzy unoszących się nad komodą, a raz Silas, który uparł się, żeby podać im obiad z trzech dań na stoliku do kawy. Katrien obserwowała go z żywym zainteresowaniem, ale na szczęście nic nie powiedziała.

Spotkanie zakończyli próbą przeniesienia Nathaniela do wnętrza *Codexu*. Najpierw starał się wejść do księgi sam – po to żeby, jak wyjaśniła Katrien, mieć przypadek kontrolny, ale Elisabeth podejrzewała, że chciała po prostu popatrzeć, jak Nathaniel się męczy. Potem próbowali zrobić to razem, splatając ręce w nadziei, że Elisabeth zdoła jakoś wciągnąć go ze sobą, jednak za każdym razem w warsztacie materializowała się tylko ona sama. Prendergasta tak wytręcały z równowagi jej ciągłe najścia, że zaczął w nią rzucać słoikami pełnymi odciętych palców. Wtedy zdecydowali, że tyle na razie wystarczy.

– Elisabeth – powiedziała Katrien, kiedy wszyscy wstali, przeciągając się. – Czy mogę z tobą o czymś pomówić? Na osobności.

Żołądek Elisabeth skręcił się z niepokoju. Bez wątpienia Katrien zauważyła, jak czerwieniła się za każdym razem, gdy Nathaniel chwycił ją za ramię. Czy naprawdę musiały o tym rozmawiać? Kiedy Nathaniel i Silas opuścili gabinet, opadła z powrotem na kanapę, wciskając sobie dłonie między kolana.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Katrien. – Wyglądasz, jakbyś miała niestrawność. W każdym razie myślałam o twojej odporności na magię. Skąd może się brać i tak dalej.

Elisabeth osunęła się na poduszki, mając wrażenie, jakby jej wnętrzności roztapiały się z ulgi.

– I wymyśliłaś coś?

– Cóż – zaczęła Katrien ostrożnie – musi być jakiś powód, dla którego ty jako jedyna zdołałaś się dostać do wnętrza *Codexu*, i na pewno istnieje tu jakiś związek. – Urwała na moment. – Pamiętasz, jak kiedyś spadłaś z dachu i nic sobie nie złamałaś?

Elisabeth skinęła głową, powracając myślami do tamtej chwili. Miała wtedy czternaście lat i wspięła się po budynku dwa piętra, żeby nie zobaczył jej strażnik Finch.

– Poszczyściło mi się.

– Nie sądzę. Po takim upadku powinna ci się była stać krzywda, a tymczasem skończyło się na kilku siniakach. Stefan przysięga, że pękła kamienna płyta, na której wylądowałaś. Potem był jeszcze ten incydent z żyrandolem w refektarzu – praktycznie na tobie wylądował. A kiedy rozchlapałaś dżem truskawkowy na...

– Wiem! – przerwała Elisabeth, czerwieniąc się. – Pamiętam. Ale co to wszystko ma wspólnego z tym, że udało mi się wejść do *Codexu*?

Katrien przygryzła wargę.

– Jesteś nie tylko odporna na magię, ale też bardziej wytrzymała fizycznie niż zwyczajna osoba. Przetrwałaś rzeczy, które kogoś innego by zabiły.

Elisabeth zaczęła protestować, ale przypomniała sobie swoją bitwę z *Księgą oczu*. Malefikt ścisnął ją tak, że myślała, że pękną jej płuca, ale z tego, co wiedziała, obyło się nawet bez złamanych żeber. Z perspektywy czasu wydawało się to dziwne.

– Zastanawiałam się, jak te cechy mogą się ze sobą łączyć – ciągnęła Katrien powoli – i coś przyszło mi do głowy. Pamiętasz eksperymenty, które prowadziłam, kiedy się poznałyśmy?

– Te z wszami książkowymi?

Katrien przytaknęła. Oczy zaszyły jej mgłą.

– Fascynujące z nich stworzenia. Całe dni biegają po zakurzonych pergaminach, jedząc czary i oddychając nimi, ale nie dzieje im się od tego krzywda. Są ogromne i trudno je zabić. Z początku myślałam, że to odrębny gatunek, niespokrewniony ze zwykłymi wszami książkowymi, ale moje badania wykazały, że tak nie jest. Są normalne, kiedy się wykluwają. To kontakt z grymuarami tak je zmienia.

Przez chwilę Elisabeth nie była w stanie wykrztusić słowa. Kręciło jej się w głowie. Wyobraziła sobie siebie jako niemowlę, raczkujące między półkami, i jako małą dziewczynkę, przemykającą sekretnymi przejściami. Z tego, co pamiętała, w dzieciństwie rzadko zdarzały jej się chwile, kiedy nie była od stóp do głów pokryta kurzem.

– To znaczy... chcesz powiedzieć, że jestem *wszą książkową*?

– W każdym razie jej ludzkim odpowiednikiem – powiedziała Katrien. – O ile nam wiadomo, jesteś jedyną osobą w dziejach, która dorastała w Wielkiej Bibliotece. Większość nowicjuszy zaczyna w wieku trzynastu lat, kiedy są już zbyt rozwinięci, żeby ulec większym zmianom. Ale ty...

Elisabeth czuła się, jakby ktoś uderzył ją w głowę grymuarem. Jakby przez szesnaście i pół roku życia widziała podwójnie, a teraz nagle po raz pierwszy świat wyostrzył się w jej oczach. To dlatego zbudziła się w noc, kiedy uciekła *Księga oczu*. To dlatego była w stanie oprzeć się Ashcroftowi i dlatego księga w archiwach nazwała ją... jak ona to powiedziała?

„Prawdziwe dziecię biblioteki”.

W jej żyłach płynął inkaust i pergamin. Magia Wielkich Bibliotek przenikała ją do szpiku kości. Była ich częścią, a one częścią niej.

W tym tygodniu, podczas pracy w Bibliotece Królewskiej, Elisabeth trudno było myśleć o czymkolwiek innym. Pracowała jak pogrążona we śnie, dostrzegając

niezliczone fakty, które wcześniej uchodziły jej uwadze. Grymuary szeleściły na półkach, kiedy przechodziła obok, podczas gdy w obecności bibliotekarzy pozostawały nieruchome i milczące. Regały skrzypiały. Rzadkie woluminy stuknęły w ściany gablot, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Chodząc do składziku i z powrotem, mijała grymuar czwartej klasy, cieszący się wśród nowicjuszy złą sławą z powodu swojego paskudnego charakteru – uciekali korytarzem, wrzeszcząc, opluwani przez niego atramentem – ale ją zostawiał w spokoju, jeśli tylko każdego ranka pozdrowiła go skinieniem głowy. W jednym, szczególnie widowiskowym przypadku, fragment regału tak bardzo chciał pokazać Elisabeth tajemne przejście, że uchylił się sam z siebie, przewracając Gertrude.

Jednak im dłużej zamiatała, szorowała i polerowała, tym bardziej opuszczał ją radosny zachwyty, a zamiast niego pojawiało się poczucie pustki, jakby otchłań otwierała się w jej piersi. Jeśli nigdy nie zdoła się zrehabilitować w oczach Kolegium, to co jej pozostanie na tym świecie? Poza Wielkimi Bibliotekami czuła się jak zwierzę w menażerii – dziwoląg wydarty ze swojego domu i sprowadzony gdzieś, gdzie nie było dla niego miejsca. Co dzień próbowała przekonać samą siebie, żeby rzucić pracę i skupić się na Ashcrofcie, i co dzień na samą myśl o tym paraliżowała ją fala strachu. Jeśli odda swój strój służącej i wyjdzie, może już nigdy nie zdoła tam wrócić.

Gertrude wzdychała i postękiwała, wciąż przekonana, że Elisabeth jest rozproszona z powodu jakiegoś chłopca. W pewnym sensie tak właśnie było. Teraz nie dosypiała, ponieważ do późna w nocy przesiadywała wokół migoczących, zielonych płomieni w gabinecie Nathaniela. Zapełnione efektami ich spotkań pomieszczenie coraz bardziej przypominało wojskowy punkt dowodzenia; przestawiali meble, a na ścianach pozawieszali notatki. Jednak mimo ich wysiłków Prendergast wciąż odmawiał współpracy i ani o jotę nie zbliżyli się do odkrycia planów Ashcrofta.

Tego dnia Elisabeth przydzielono zadanie umycia podłogi w obserwatorium, której niebiesko-srebrne płytki mieniły się jak kamienie szlachetne z każdym pociągnięciem szczotki. Pomieszczenie to zaprojektowano dla grymuarów, które ujawniały swą treść jedynie w świetle księżyca albo gwiazd, bądź też przy odpowiednim układzie planet. Przyrządy astronomiczne furkotały cicho; nie wolno było ich dotykać, w szczególności ogromnej, wykonanej z brązu sfery armilarnej, która niczym żyrandol zwisała z samego środka szklanej kopuły

obserwatorium. Kiedy Elisabeth podeszła na skraj pomieszczenia i spojrzała w dół, roztoczył się przed nią przyprawiający o zawroty głowy widok z lotu ptaka na tereny Kolegium. Tego popołudnia nic się tam nie działo, nie licząc samotnego jeźdźca w przybrudzonym po podróży stroju pracownika Kolegium, zmierzającego galopem do biblioteki.

Już prawie skończyła, kiedy drzwi obserwatorium uchyliły się ze skrzypnięciem. Podniosła wzrok, spodziewając się Gertrude przynoszącej jej kolejne zadanie. Zamiast tego mignął jej przed oczami złocisty płaszcz przybysza.

– O czym chciała pani ze mną mówić, pani dyrektor?

Na dźwięk głosu Ashcrofta zeszywniała, wstrząśnięta, jakby podłoga usunęła jej się spod nóg, a ona sama zanurzyła się po szyję w lodowatej wodzie. Umknęła za podest, przyciskając szczotkę do piersi. Tam zastygła w ukryciu, nasłuchując szelestu szat mistrzyni Wick i modląc się w duchu, żeby nie przyprowadziła Ashcrofta bliżej. Bez wątplenia oboje uważali, że sala jest pusta.

Spojrzenie Elisabeth padło na stojące kilka stóp dalej wiadro z mydlinami i przebiegł ją zimny dreszcz. Oby tylko Ashcroft nie spojrzał w tamtą stronę...

– Zaledwie chwilę temu dotarł do nas kurier z wieściami – powiedziała mistrzyni Wick. – Uznałam, że pan powinien dowiedzieć się pierwszy. Doszło do sabotażu w Wielkiej Bibliotece w Fairwater.

Elisabeth zaparło dech w piersi. Odwróciła się i wyjrzała na nich przez połączone ze sobą pierścienie przyrządu stojącego na podeście. Zatrzymali się mniej więcej pośrodku pomieszczenia, gdzie rozmieszczone starannie lustra odbijały na podłogę skupioną wiązkę światła słonecznego. Ashcroft stał częściowo pod nim tak, że przecinało jasną smugą jego rękaw i lśniło w czymś, co trzymał w dłoni. Była to ozdobna laska ze złotym uchwytem w kształcie głowy gryfa.

– Och, to straszne – powiedział kanclerz. – Tak okropnie mi przykro. – Choć jego słowa brzmiały szczerze, w różnokolorowych oczach połyskiwało rozbawienie. – Czy było wiele ofiar?

– Od trujących wyziewów malefaktu zginęło czworo strażników i troje cywilów. Dyrektor Florentine przeżyła, ale odniosła poważne obrażenia głowy. Podobno nie pamięta żadnych szczegółów ataku.

Usta Ashcrofta wygięły się w uśmiechu satysfakcji. Obrażenia głowy, czy może efekt zaklęcia? Elisabeth przewróciło się w żołądku. Gdyby tylko mistrzyni Wick

mogła zobaczyć wyraz jego twarzy.

Rozmawiali dalej, a Elisabeth przypomniała sobie wczorajsze spotkanie z Katrien i Nathanielem. Byli już niemal pewni, że Ashcroft nie opuszczał Brassbridge, kiedy miały miejsce ataki. O ile jako jedyny nie znał jakiegoś na tyle potężnego zaklęcia, żeby przenieść się w jednej chwili przez pół kraju, nie miał możliwości dokonać ataków osobiście – ani tego na Fettering, gdy równocześnie codziennie przesłuchiwał Elisabeth w swoim gabinecie, ani tego ostatniego; nie był ubrany jak ktoś, kto dopiero co wrócił z podróży. Nathaniel przypuszczał, że musi mieć za współnika jakiegoś innego czarownika.

W końcu Ashcroft odwrócił się, by odejść.

– Natychmiast wracam do Magisterium – mówił właśnie. – Zapewniam panią, że nasi najlepsi czarownicy pracują nad tą sprawą.

– Jeśli wybaczy mi pan bezpośredniość, kanclerzu, obawiam się, że ta sprawa ich przerasta. Na tę chwilę tylko Wielka Biblioteka w Harrows pozostała nienaruszona. Sabotażysta targnął się nawet bezkarnie na Bibliotekę Królewską...

Dreszcz przeszedł Elisabeth, kiedy Ashcroft otwierał drzwi mistrzyni Wick. Rzecz jasna wieści o zaginięciu *Codexu* już do niego dotarły – z chwilą, gdy kradzież uznano za działanie sabotażysty, stała się ona częścią dochodzenia. Czy Kolegium udzieliłoby mu dostępu do dokumentacji Biblioteki Królewskiej? A jeśli tak, to czy przyszyłoby mu do głowy, żeby sprawdzić zatrudnionych niedawno służących?

Ashcroft przystanął na moment w progu, w zamyśleniu gładząc palcami rzeźbioną głowę gryfa. Odwrócił się i obiegił wzrokiem obserwatorium, prześlizgując się spojrzeniem czerwonego oka po przyrządach. Elisabeth zeszywniała, kiedy spojrzał w kierunku wiadra z wodą, ale chyba go nie dostrzegł; przeniósł wzrok dalej, w stronę jej kryjówki. Z walącym sercem zanurkowała za podest. Nawet gdy chwilę później drzwi zamknęły się ze szcękaniem, trwała w bezruchu jeszcze blisko minutę, zanim znów odważyła się wyrzeć.

Ashcrofta nie było. Została sama.

Tej nocy w gabinecie panował posępny nastrój. Nathaniel spędził cały dzień, pracując nad iluzjami na Królewski Bal, ale nawet fruujące po pokoju motyle,

jakby wyjęte z zupełnie innej bajki, nie zdołały podnieść Elisabeth na duchu. Przez kilka ostatnich dni wydawało się coraz bardziej prawdopodobne, że Ashcroft zawiesił na razie swoje plany i będą mieć parę dodatkowych tygodni albo nawet miesięcy, żeby go dopaść. Kiedy Elisabeth przekazała im wieści, nie wiedzieli, co powiedzieć. Jej podjęta z bólem decyzja, aby nie wracać już do Biblioteki Królewskiej, zyskała pełne współczucia spojrzenie nawet ze strony Silasa.

Wzięła głęboki oddech. Nadszedł czas, żeby coś wyznać.

– Nie sądzę, żeby Prendergast powiedział mi cokolwiek na temat planów Ashcrofta. Wciąż mi nie ufa. A jeśli tylko ja mogę go odwiedzać, co wydaje się prawdopodobne, nie możemy użyć *Codexu* jako dowodu. Nie mamy już na czym się oprzeć.

Rozejrzała się i zobaczyła w ich twarzach odbicie prawdy. Cała trójka wierzyła jej słowom, chociaż sami nigdy nie widzieli Prendergasta na oczy ani nie mieli żadnych dowodów jego obecności, jednak wszyscy inni ujrzeliby w niej tylko dziewczynę, która uciekła ze szpitala dla obłąkanych i wygaduje niestworzone historie o skradzionej książce. Utknęli w ślepym zaułku. W gabinecie zapanowało przygnębienie, podkreślane przez strugi deszczu ciekące po oknach.

Wreszcie Silas wstał.

– Przyniosę herbaty.

O dziwo, herbata pomogła. Elisabeth objęła dłońmi parujący kubek, wdzięczna za ciepło, które rozchodziło się z jej żołądka aż do palców u stóp. Kiedy Nathaniel usiadł obok niej przy ogniu, posłała mu blady uśmiech. Deszcz przybrał na sile i rozbrzmiewał miarowym bębnieniem. Wiatr świszczwał w okapach, a ogień syczał, kiedy zbłąkane kropelki wody wpadały do środka przez komin. Zielony blask płomieni nadał oczom Nathaniela barwę burzy, którą przyzwał podczas jej pierwszej nocy w mieście. Wahał się przez chwilę, po czym powiedział:

– Chciałem, żebyś wiedziała... jeśli ostatecznie nie uda nam się powstrzymać Ashcrofta, nie zostawię cię samej sobie. Ja...

Wydawał się zakłopotany, jakby zbierał się do jakiegoś trudnego wyznania. Fala zdenerwowania przeszła ją jak pocisk z kuszy, wymierzony prosto w żołądek.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zrehabilitować cię w oczach Kolegium – dokończył, wbijając wzrok w ogień. – Zadbam, żebyś była bezpieczna, gdzieś,

gdzie Ashcroft nigdy cię nie znajdzie. Może w Knockfeld albo Fairwater – w miejscu rzadko odwiedzanym przez czarowników.

Elisabeth skinęła głową, nie ufając swojemu głosowi. Nie rozumiała, dlaczego do oczu napływają jej łzy rozczarowania. Proponował jej dokładnie to, czego chciała. Po prostu przez chwilę myślała, że może powie coś innego.

– Jak myślisz, o czym rozmawiają Silas i Katrien? – zapytała, rozpaczliwie próbując zmienić temat. Tamtych dwoje było pogrążonych w rozmowie już od kilku minut.

– Przypuszczam, że planują przejęcie władzy nad światem. – Nathaniel zmrużył oczy. – Uważam, że nie powinniśmy ich zostawiać ze sobą sam na sam. To niepokojące.

– Przynajmniej jeśli zapanują nad światem, nie będziemy już musieli martwić się Ashcrofem. – Patrzyła, jak motyl ląduje na lustrze śledzącym, trzepocząc szafirowymi skrzydłami. Bez wątpienia Ashcroft również pojawi się na Królewskim Balu. Ona nie będzie nawet miała okazji podziwiać iluzji Nathaniela w pełnej krasie...

Wyprostowała się.

– Chwileczkę. Coś mi przyszło do głowy.

– Jakkolwiek kusząca to perspektywa – powiedział Nathaniel – nie będziemy przejmować władzy nad światem. W teorii brzmi to zabawnie, ale w rzeczywistości to organizacyjny koszmar. Te wszystkie zamachy i w ogóle. – Widząc jej puste spojrzenie, wyjaśnił: – Silas opowiadał mi historyjki na dobranoc.

– Mówię poważnie – odparła stanowczo. – Przyszła mi do głowy pewna myśl. Może i nie mamy dowodów, żeby wystosować oficjalne zarzuty przeciwko Ashcroftowi, ale to nie znaczy, że jesteśmy bezradni. Nadal możemy pokazać wszystkim jego prawdziwą twarz.

– Nie nadażam.

– Doprowadzimy do publicznej konfrontacji w trakcie wydarzenia, na którym wszystkie ważne osoby z Brassbridge będą świadkami jego reakcji. On wierzy, że zniszczył mój umysł, a nawet zanim potraktował mnie tą magią, nie miał pojęcia, że słyszę każde jego słowo, będąc pod urokiem Lorelei.

Zorientowała się, w którym momencie Nathaniel zrozumiał, bo jego twarz przybrała ostrożnie neutralny wyraz.

– Chcesz przejść do ofensywy – powiedział powoli. – Ujawnić się przed Ashcrofem i oskarżyć go publicznie, zanim odzyska panowanie nad sytuacją.

Skinęła głową, pochylając się do przodu.

– Z początku wszyscy mogą pomyśleć, że kompletnie mi odbiło, ale jest tu zbyt wiele podejrzanych zbiegów okoliczności, żeby można je było zignorować. Nie zdoła się z tego wyłgać. A jeśli ty będziesz przy mnie, będziesz oskarżał go razem ze mną... tylko pomyśl. Nawet jeżeli spróbuje nas skrzywdzić, dowiedzie jedynie...

– Nie – przerwał Nathaniel. – To dalece zbyt niebezpieczne. – Wstał i klasnął w dłonie. – Posiedzenie zamknięte.

Złapała go za rękaw i ściągnęła z powrotem w dół, zanim zdążył rzucić zaklęcie, aby zerwać kontakt z Katrien.

– Kiedy jest Królewski Bal? Jakoś niedługo, prawda?

Nathaniel się skrzywił.

– Bal jest w ten weekend, panno Scrivener – poinformował Silas. – Obecność pana Thorny jest oczywiście pożądana, a jego zaproszenie obejmuje też osobę towarzyszącą. – Gdy Nathaniel spojrzał na niego z wyrzutem, odpowiedział anielskim uśmiechem. – Nie kazałeś mi milczeć, panie.

Elisabeth zignorowała wzburzone protesty Nathaniela.

– Silasie, byłbyś w stanie mieć oko na Ashcrofta tak, żeby cię nie widział?

Przez moment rozważał jej pytanie, po czym skłonił głowę.

– Mógłbym śledzić go w nocy, na wypadek gdyby odpowiedział atakiem. Sługa kanclerza, Lorelei, nie jest dla mnie szczególnym zagrożeniem, podobnie jak pomniejsze demony, nad którymi panuje.

Dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy sobie przypomniała, jak Lorelei mówiła o Silasie w gabinecie Ashcrofta.

– Królewski Bal byłby doskonałą okazją – powiedziała, zwracając się z powrotem do Nathaniela. – A pod okiem Silasa będziemy dużo bezpieczniejsi. Proszę – dodała. – Wiem, że to chwytanie się brzytwy, ale to być może nasza jedyna szansa, żeby go powstrzymać.

– Czemu nie – odezwała się Katrien z lusterka. Kiedy cała trójka na nią spojrzała, wzruszyła ramionami. – Sprowokowanie najpotężniejszego czarownika

w królestwie, puszczenie Elisabeth wolno w sali balowej... Co mogłoby pójść nie tak?



MAJĄC PRZED OCZAMI autentyczny przykład, Elisabeth musiała przyznać, że faktycznie była niemądra, biorąc Dwór Ashcroftów za pałac. Ten prawdziwy był tak wielki, że nie była w stanie zobaczyć go w całości z okna powozu. Zamiast tego gapiała się z rozdziawionymi ustami na odwrócone do góry nogami odbicie jego wież w sadzawce lustrzanej, ciągnącej się bez końca, oświetlonej blaskiem dryfujących po wodzie lampionów. Czuła się, jakby wkroczyli do innego świata, zostawiając miasto daleko w tyle. Wrażenia z przejazdu aleją otulały ją i przenikały jak zaklęcie – drzewa lśniące od światełek, żywopłoty przycięte w geometryczne labirynty, fontanny w kształcie łabędzi i lwów, a wszystko to przesłonięte urzekającą łuną zmierzchu.

Jednak czar tego miejsca prysł niczym magiczny urok, kiedy powóz zwolnił, dołączając do rzędu pojazdów zmierzających pod główne wejście. Ciągnęły się sznurem wokół całej sadzawki, wypuszczając z siebie niekończący się strumień gości, którzy wchodzili po stopniach, skąpani w blasku świec. Niebawem będzie musiała przekonać ich wszystkich o winie Ashcrofta.

Skreśliło ją w żołądku, kiedy powóz ostatecznie wyhamował. Człowiek w różowym uniformie pałacowej służby otworzył drzwi, a Elisabeth ujęła dłoń Nathaniela i ostrożnie zeszła na ziemię w swoich mocno zasznurowanych, jedwabnych trzewikach. Surowe oblicze jej towarzysza drgnęło lekko, gdy musnął dłonią płaszcz okrywający jej suknię.

- Scrivener – zaczął niepewnie – Nie chcę być impertynencki, ale czy to...
- Miecz ukryty pod moją sukienką? Owszem.
- Rozumiem. A w jaki dokładnie sposób...
- Myślałam, że nie chcesz być impertynencki. – Ścisnęła go za ramię. – No już – powiedziała z pewnością siebie, której wcale nie czuła. – Chodźmy.

Zyrandole lśniły za oknami pałacu, niemal zbyt jasne, aby patrzeć na nie wprost. Kiedy wchodzili po schodach, czuła na sobie liczne zaciekawione spojrzenia ludzi pragnących zobaczyć pierwszą towarzyszkę, jaką Nathaniel kiedykolwiek przyprowadził na bal. Serce waliło jej w piersi. Gdyby tylko przyszli tutaj jako prawdziwa para, aby spędzić noc, tańcząc, śmiejąc się i popijając szampana...

Gdy dotarli na górę, dwóch lokajów wprowadziło ich do środka. Powoli puściła ramię Nathaniela. Kolumny wznosiły się wysoko w stronę wygiętego sufitu wymalowanego w poruszające się chmury i cherubiny. Złoto-kremowe obłoki płynęły po pastelowo błękitnym niebie, a aniołki machały skrzydłami. Brama po przeciwnej stronie holu prowadziła do sali balowej, przesłonięta kurtyną z opadających, złotych liści. Goście wzdychali z zachwytem, przechodząc przez iluzję i znikając w pomieszczeniu za nią.

Służący podszedł, aby wziąć od Elisabeth płaszcz. Zawahała się, po czym rozwiązała wstążkę pod szyją, czując, jak jedwab prześlizguje jej się przez palce i jak unoszą się warstwy futra oraz aksamitu. Powstrzymała pragnienie, żeby założyć ręce na piersi. Powietrze chłodziło jej nagą skórę, jakby zrzuciła z siebie zbroję.

Nathaniel zerknął na nią i się zatrzymał. Nie widział jej jeszcze w tej sukni. Zyrandole rzucały odbłyski na tkaninę barwy kości słoniowej, nadając udrapowanym fałdom jedwabiu srebrzysty połysk. Złociste liście pokrywały gorset, układając się u góry w głęboki dekolot, oraz zdobiły dolną krawędź sukni, gdzie unosiły się na warstwie organzy. Perłowe kolczyki drżały jej przy szyi jak okruchy lodu.

Nathaniel milczał przez całą drogę do pałacu, niczym nie zdradzając, o czym myśli. Teraz otworzył szeroko oczy; zdawał się zagubiony.

– Elisabeth – powiedział ochryplym głosem. – Wyglądasz...

– Znakomicie – powiedział jakiś mężczyzna, podchodząc szybkim krokiem, aby uścisnąć dłoń Nathaniela. Ze ściśniętym sercem Elisabeth rozpoznała w nim lorda Ingrama z przyjęcia u Ashcrofta. – Cudownie pana widzieć, magistrze Thorn. Chciałem tylko powiedzieć: cóż za wspaniale wykonane iluzje. Kiedy usłyszeliśmy, że w tym roku panu zlecono to zadanie, nieomal spodziewaliśmy się, że przyjedziemy i zastaniemy pałac udekorowany szkieletami! – Ryknął śmiechem z własnego żartu. Nathaniel zacisnął szczęki, ale lord Ingram nie zwrócił na to uwagi. – A cóż to za prześliczna młoda dama? – Zwrócił się do Elisabeth,

podnosząc wzrok, a potem podnosząc go jeszcze trochę, kiedy się zorientował, że jest niemal o głowę wyższa niż on.

– To panna Scrivener, skarbie – powiedziała lady Ingram, zjawiając się u boku męża. – Ta z gazet.

– Och. Och. – Lord Ingram zakolysał się na piętach. – Panno Scrivener, zdawało mi się, że wysłano... ach, to niestosowne z mojej strony, żebym... najmocniej przepraszam. – Lady Ingram odciągała go na bok z lodowatym uśmiechem przyklepionym do warg. Poszedł za nią bez skarg, rzucając przez ramię niespokojne spojrzenia.

Serce Elisabeth ścisnęło się jeszcze mocniej. Teraz, kiedy się rozglądała, wszędzie widziała oznaki oddziaływania plotek. Kobiety przystawały, wpatrując się w nią, po czym szeptały coś do swoich partnerów, składając usta w kształt słowa „szpital”. Nikt nie próbował już podejść do niej i do Nathaniela, gdy zmierzali w stronę sali balowej. Szmer plotek rozbrzmiewał wokół, za zasłoną odzianych w rękawiczki dłoni i uprzejmych uśmiechów.

– Rujnuję twoją reputację, prawda? – zapytała, oglądając rozgrywający się wokół spektakl.

– Nie przejmuj się – odparł Nathaniel. – Od lat bardzo się staram sam ją sobie zrujnować. Może w końcu wpływowe rodziny zaprzestaną prób przerzucenia swoich niezamężnych córek ponad ogrodzeniem mojego ogrodu. Co zresztą kiedyś rzeczywiście miało miejsce. Musiałem się przed nią bronić ogrodową łopatką.

Nie mogąc się oprzeć jego szerokiemu uśmiechowi, Elisabeth odpowiedziała tym samym. Spoważniała jednak, gdy podeszli do wejścia na salę.

– Masz wątpliwości? – zapytał.

Pokręciła głową, próbując ignorować imadło, które ścisnęło jej płuca. Było za późno, żeby się wycofać, zresztą nawet gdyby miała taką możliwość, a w sali balowej roilo się od demonów Ashcrofta, i tak parłaby do przodu; nie miała innego wyjścia.

Kiedy przeszli przez kurtynę z liści, zachwyt na chwilę pokonał strach. Znajdowali się w ogromnym pomieszczeniu zamienionym w leśną polanę. Wokół nich unosiła się gromada szafirowych motyli, lśniących jak klejnoty, które zaraz pomknęły w stronę orkiestry i zaczęły fruwać między instrumentami. Bluszcz

oplatał stojaki pod nuty, a stoły z poczęstunkiem tonęły w polnych kwiatach. Pośród tej czarodziejskiej sceny przechadzał się tłum ludzi ubranych w jedwab, futra i diamenty, śmiejących się ze zdumieniem, gdy z żyrandoli spływały na dół liście.

Jednak żadne piękno nie było w stanie przesłonić faktu, że gdzieś pośród całego tego przepychu czekał na nich Ashcroft.

– Napije się panienka?

Jeszcze zanim Elisabeth się odwróciła, wiedziała, kogo za sobą zastanie. Mimo to omal nie podskoczyła z zaskoczenia na widok Silasa: miał blond włosy i brązowe oczy, ubrany był w pałacową liberię i trzymał tacę pełną kieliszków z szampanem. Wyglądał całkowicie, beznadziejnie ludzko. Ona i Nathaniel udali, że długo się namyślają, które kieliszki wybrać, aby kupić sobie kilka sekund.

– Dziękuję, że to robisz – szepnęła Elisabeth.

Silas westchnął.

– Zapewniam cię, że nie przystałbym na ten plan, gdyby to poniżenie od początku było jego częścią. Liberia jest niedopasowana, a ja z własnej woli nie podałbym tego wstrętnego trunku nawet plebejuszowi. Bez urazy, panno Scrivener.

Elisabeth zakaszłała, aby zamaskować śmiech.

– Nie ma sprawy.

Demony nie miały prawa wstępu do pałacu, ale Nathaniel zdołał przemycić tu skrytego za zasłoną iluzji Silasa tego popołudnia, kiedy przybył zaczarować salę balową. Od tamtej pory sługa obserwował rozwój sytuacji.

– Kanclerz Ashcroft jest po drugiej stronie pomieszczenia – ciągnął. – Rozmawia z lady Ingram. Zdaje się, że właśnie zmierza w naszym kierunku. Będę w pobliżu. – Z tymi słowami skłonił lekko głowę i na powrót wtopił się w tłum.

Elisabeth czuła, jak skręca ją w żołądku. Wyciągnęła szyję, próbując wypatrzeć jakiś ślad Ashcrofta, ale chociaż wzrost pozwalał jej sięgnąć wzrokiem na drugi koniec sali, trudno było go dojrzeć w tłumie.

Nathaniel złapał ją za rękę.

– Tędy. Widzę dla nas dobrą publiczność. Książę Leopold ma wrażliwą naturę – na pewno z troską wysłucha, co mamy do powiedzenia.

Nieoczekiwany dotyk jego palców zmałił jej myśli. Skupiła się z wysiłkiem. Ciągnął ją w stronę grupy ludzi, wśród których znajdował się również lord Kicklighter, kłaniających się i nadskakujących młodemu mężczyźnie w czerwonym wojskowym mundurze.

– To on? Książę?

Nathaniel skinął głową.

– Uwierzysz, że kiedyś mi się podobał? A potem zapuścił te wąsy... albo zamordował myszokoczka i przyczepił go sobie do twarzy. Za żadne skarby nie potrafię poznać.

Zerknęła na niego z zaskoczeniem.

– Nie wiedziałam... a więc to znaczy...

– Dziewczęta też mi się podobają, Scrivener. – W oczach Nathaniela tańczyło rozbawienie. – Lubię i mężczyzn, i kobiety. Jeśli masz snuć fantazje na temat mojego życia uczuciowego, nalegam, żebyś robiła to zgodnie z prawdą.

Zmarszczyła brwi.

– Nie fantazjuję na temat twojego życia uczuciowego.

– Dziwne. To dla mnie nieznanne doświadczenie. Młode kobiety zwykle z ochotą poświęcają znaczną część swoich sił umysłowych na kontemplację mojej wspaniałości.

– A co z tymi, które chlustają ci w twarz szampanem?

– Najmocniej przepraszam, to przydarzyło się tylko *raz* i były okoliczności... – Nagle jego dobry humor zniknął. – Nieważne. Idzie tu. Pamiętaj, co ćwiczyliśmy.

– Nathanielu – odezwał się Ashcroft za ich plecami. – Panno Scrivener. Jak wspaniale was widzieć.

Jego głos spłynął po plecach Elisabeth jak strużka zimnego potu. Zabrała się w sobie i do niego odwróciła. Gdy tylko spojrzała mu w oczy, udręka czasu spędzonego w Dworze Ashcroftów powróciła do niej z ogromną, miazdzącą siłą. Zaschło jej w ustach, drżały jej ręce. Zapomniała, jak przystojny był z bliska – jak bardzo przypominał bohatera z opowieści, z tymi złocistymi włosami i czarującym uśmiechem. Za nim stała lady Ingram, wyraźnie pragnąc poznać szczegóły wielkiego powrotu Elisabeth najszybciej, jak to możliwe. Przez moment było tak, jakby Elisabeth znów znalazła się tam, w potrzasku, bez możliwości ucieczki.

Otoczający ich tłum dyskretnie się rozstąpił. Pozostali goście nie przerwali rozmów, ale Elisabeth czuła na sobie ciężar ich uwagi. Choć zdawali się zajęci sobą, nasłuchiwali każdego słowa.

– Wszyscy bardzo się martwiliśmy, kiedy zniknęłaś ze szpitala Leadgate – powiedział Ashcroft, mrużąc oczy z troską – tą samą troską, która wyprowadziła ją w pole raptem parę tygodni temu. – Obawialiśmy się, że zaginęłaś na ulicach. W niektórych częściach miasta samotnej młodej kobiecie może grozić wielkie niebezpieczeństwo.

– Ma pan rację – odparł Nathaniel, mierząc spojrzeniem szarych oczu perłowy garnitur Ashcrofta, na chwilę zatrzymując wzrok na lasce z głową gryfa, tej samej, którą miał w obserwatorium. – Była w niebezpieczeństwie – ciągnął, z pogardą spoglądając w twarz kanclerza. – Okazuje się jednak, że przestępcy na ulicach nie są nawet w połowie tak groźni, jak ci, którzy mieszkają w wielkich posiadłościach.

Uśmiech Ashcrofta stwardniał. Może Elisabeth tylko to sobie wyobraziła: przeblask niepewności na jego twarzy, cień budzącego się zrozumienia.

– Podobno cudownie ozdrowiałaś, panno Scrivener – rzucił gładko, zwracając się z powrotem do niej. – Czy to prawda?

Każdy mógłby wykąpać Elisabeth, ubrać ją, uczesać jej włosy i przyprowadzić na Królewski Bal, nawet gdyby z jej umysłu nic nie pozostało. Wiedziała, że na to właśnie liczy Ashcroft, a wręcz tego się spodziewa: że jest zaledwie żywą lalką, niezdolną mu odpowiedzieć. Teraz nadszedł moment, kiedy się przekona, że mimo wszystkiego, co zrobił, nie zdołał jej złamać. Ta myśl nappełniła ją determinacją, jak rozgrzane do czerwoności ostrze zanurzone w wodzie.

– Nie ozdrowiałam – powiedziała. Wokół rozległy się westchnienia. – Czuję się tak samo jak wtedy, kiedy zesłał mnie pan do szpitala Leadgate, z polecenia lekarza, który zamienił ze mną ledwie kilka słów. Jedyny cud to fakt, że przeżyłam.

Ashcroft otworzył usta, żeby odpowiedzieć, jednak mu przerwała.

– Wstyd nazywać tamto miejsce szpitalem. – Przypomniała sobie smutną twarz Mercy i wiedziała, że nie jest jedyną dziewczyną, której o wiele zbyt długo odmawiano głosu. – Przełożona, siostra Leach, przyjmuje pieniądze od zamożnych gości, którzy znęcają się nad pacjentami dla przyjemności. A przynajmniej robiła tak, zanim dziś rano oddała się w ręce władz. – To była zasługa Silasa; wrócił bladym świtem, wzdychając nad plugastwem ubogich dzielnic.

O mało nie podskoczyła, kiedy zagrzemiał donośny głos lorda Kicklightera.

– A cóż to, panie kanclerzu, czy to nie ten sam szpital, który dostaje od pana dofinansowanie?

– Z pewnością przyjrę się tej sprawie. – Uśmiech Ashcrofta się zwęził, a oczy straciły dobrodusze ciepło. – Zważcie, że te stwierdzenia padają z ust...

– Młodej kobiety, na której chciał pan zarobić? – zapytał Nathaniel z gwałtownością, która przestraszyła Elisabeth. – W końcu siostra Leach przedstawiła dokumenty wskazujące na pański związek ze sprawą. Czy też jest inny, ważniejszy powód, dla którego chciał pan, kanclerzu, usunąć pannę Scrivener? Może pan nas oświeci.

– Pamiętam wszystko, Ashcroft – dodała cicho. – Wszystko, co mi robiłeś. Tamte popołudnia w gabinecie. Zakłęcie, którego na mnie użyłeś. Biesy.

Przez tłum rozeszły się falą wzburzone szepty.

– Mój Boże – wymamrotał ktoś – czy ona powiedziała *biesy*?

Ashcroft nie udawał już, że się uśmiecha.

– Te zarzuty są absurdalne. Niech nikt nie zapomina, że licencjonowany medyk zdiagnozował u biednej panny Scrivener histerię. Cierpi na stany lękowe i urojenia.

– Biesów sobie chyba nie wyobraziłam – stwierdziła Elisabeth. – Pisali o nich w gazetach.

Ktoś pośród tłumu zaśmiał się nerwowo. Ludzie patrzyli to na nią i Nathaniela, to na Ashcrofta. Nastrój w pomieszczeniu uległ zmianie.

Elisabeth wstrzymała oddech. Sto razy ćwiczyli kolejną kwestię Nathaniela.

– Jeśli naprawdę nie ma pan nic do ukrycia – rzekł powoli, nie spuszczać wzroku z Ashcrofta – to z pewnością wszyscy chętnie byśmy się dowiedzieli, dlaczego tak się pan kwapił uciszyć świadka w dochodzeniu w sprawie Wielkich Bibliotek. Na tę chwilę wygląda to prawie tak, jakby pan nie chciał, żeby sabotażysta został odnaleziony.

Wszyscy zamilkli, czekając na odpowiedź. W zapadłej nagle ciszy lord Kicklighter przekazywał księciu Leopoldowi wieści tonem, który w jego wyobrażeniu miał bez wątpienia być szeptem:

– Tak, szpital Leadgate. To ten. Niezmiernie niepokojące oskarżenia...

Kiedy orkiestra odezwała się chórem skrzypiec, Ashcroft drgnął. Kilka osób odsunęło się od niego. Lady Ingram złapała męża za ramię i się oddaliła, a jej sztywna jak kij postura wskazywała, że nie chce mieć nic wspólnego z tym nowym, nieoczekiwanym skandalem.

– Przepraszam – rzucił szybko Ashcroft, ukazując wszystkim wymuszoną imitację swojego zwykłego uśmiechu. – Czekają na mnie pilne sprawy. – Odwrócił się i odszedł.

Wszyscy wpatrywali się w niego z szeroko otwartymi ustami. Goście usuwali się z drogi, aby pozwolić mu przejść, i pochyłali ku sobie lśniące od klejnotów głowy, a wieści o tym, co się wydarzyło, rozprzestrzeniały się po sali niczym pożar. Ashcrofta odprowadzały przerażone spojrzenia. Nikt oprócz Elisabeth i Nathaniela nie zwrócił uwagi na pałacowego sługę, który odłożył na bok tacę i chwilę później opuścił salę w ślad za Ashcrofem.

Blask żyrandoli wypełnił całe pole widzenia Elisabeth. Bąbelki w kieliszku z szampanem rozpryskiwały się o szkło, a ona czuła każdy z nich pod palcami jak miniaturową eksplozję. Nagle wokół zrobiło się zbyt jasno, zbyt głośno, zbyt tłoczno, i wszyscy ci ludzie zwracali się w jej stronę.

– Panno Scrivener? – Przed oczami wypłynęła jej nieznajoma męska twarz. Jej słuch dziwnie to się wyostrzał, to tępił, kiedy mężczyzna przedstawiał się jako urzędnik z Magisterium. – Gdyby mogła pani złożyć oświadczenie...

– Jutro – przerwał mu Nathaniel, przyglądając się bacznie Elisabeth. Ogarnął ją przyływ wdzięczności, kiedy ujął ją za ramię. – Chodźmy w jakieś spokojniejsze miejsce – powiedział do niej.

Miała luki w pamięci. W jednej chwili Nathaniel prowadził ją przez tłum, a w następnej wspierała się o niego na korytarzu i płuca odmawiały jej posłuszeństwa. Każdy wzięty z trudem haust powietrza bolał jak cios w zębra. Na krawędzi jej pola widzenia zbierały się czarne plamki.

– Już po wszystkim. Po prostu oddychaj. Po prostu oddychaj, Elisabeth.

Przycisnęła czoło do jego ramienia, zaciskając powieki. Zdawała sobie sprawę, że ścisza go tak mocno, że prawdopodobnie sprawia mu ból, ale nie była w stanie się powstrzymać. Czuła się, jakby zwisała ze skraju wieży i spadałaby, gdyby się puściła.

– Przepraszam – wydyszała.

– Nic nie szkodzi.

– Ja nie... nie wiem dlaczego...

– Nic nie szkodzi – powtórzył. Zamilkł na moment, po czym dodał: – Kiedy masz za sobą straszne przeżycia, czasami perspektywa czegoś dobrego może być równie przerażająca.

Nie wiedziała, jak długo tam stali. W końcu przestała dygotać, a gdy z powrotem otworzyła oczy, przekonała się, że otacza ich korytarz pełen okien i obrazów. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy, nie licząc służącego przechodzącego końcem korytarza z tacą w rękach. Z sali balowej dobiegały odległe dźwięki muzyki.

– Skąd wiedziałeś, co robić? – wychrypiała, odwracając się z powrotem do Nathaniela.

Jego oblicze było nieprzeniknione.

– Z doświadczenia. Przez kilka miesięcy po śmierci ojca ledwie mogłem wyjść z domu, nie dostając podobnego ataku.

Wciągnęła głośno powietrze. Zdała sobie sprawę, że wciąż ściska w dłoniach jego płaszcz, i zmusiła się, aby rozluźnić palce.

– Przykro mi.

– Mówiłem, że nic nie szkodzi.

– Chodzi mi o ciebie. Przykro mi, że musiałeś przez to przechodzić.

Przez chwilę milczał, po czym rozsunął zasłony i wyjrzał przez najbliższe okno.

– Ashcroft kilka minut temu wsiadł do powozu i odjechał w pośpiechu. Powóz Magisterium też już wyjeżdża. Wygląda na to, że nawet nie był nam potrzebny Silas.

Elisabeth wzięła jeszcze kilka oddechów, żeby się uspokoić, ostrożnie akceptując ich zwycięstwo. Jej plan zadziałał. To się stało naprawdę.

– Widziałeś miny tych wszystkich ludzi? Chyba naprawdę... – Urwała. – Nathaniel?

Oparł się o ścianę, mrugając. Już miała zapytać, czy wszystko w porządku, kiedy odstawił kieliszek na parapet, rozchlapując szampan poza krawędź. Ona swojego nie ruszyła, nie wiedziała nawet, gdzie się podział, ale on najwyraźniej nie był tak

ostrożny. Teraz, kiedy przyjrzała mu się bliżej, dostrzegła, jak rozszerzone były jego źrenice. Twarz miał zaczerwienioną, a krawat zmięty.

– Nathaniel...

– Pójdiesz ze mną? – zapytał szybko, jakby w obawie, co mu odpowie. – Chciałbym ci coś pokazać.

Zawahala się, czując ucisk w piersi.

– A co z Ashcroftem?

– Przypuszczam, że nie musimy się już nim przejmować. Nie dzisiaj. Być może już nigdy. – Spuścił wzrok, napinając szczęki. – Po prostu pomyślałem, że...

Zrozumienie spłynęło na nią gwałtownie, aż zakręciło jej się w głowie. Jeśli skutecznie zdołali wzbudzić podejrzenia co do osoby Ashcrofta, wszystko się zmieni, i to szybko. Nie będzie więcej wieczorów w gabinecie Nathaniela, wspólnego pochylania głów nad zwierciadłem ani kolacji przy kominku. Będzie musiała zmierzyć się ze swoją przyszłością, a w tej może nie być miejsca dla Nathaniela.

– Tak. – Wzięła go za rękę, zanim miała szansę się rozmyślić. Z roztargnieniem zauważyła, że muzyka przybrała słodki, smutny ton. Jakby wyszła z własnego ciała, patrzyła, jak Nathaniel z wielką ostrożnością otula ją swoim płaszczem i wyprowadza przez szklane drzwi na końcu korytarza.

Nocne powietrze studziło jej zaczerwienione policzki. Ich kroki z chrzęstem rozbrzmiewały na ścieżce prowadzącej do ogrodów, a gdzieś z pobliza dobiegał szmer bulgoczącej fontanny. Otaczał ich wysoki żywopłot, roztaczający tęskną woń przekwitłych kwiatów, a ramię Nathaniela grzało ją w bok. Po wcześniejszym ataku paniki czuła się dziwnie, senna i nieobecna, przytłoczona ciężarem niewypowiedzianych słów, które zawisły między nimi.

Dotarli do jakiejś bramy, niemal skrytej za żywopłotem. Nathaniel znalazł zasuwkę i wpuścił ich do środka.

Elisabeth zapało dech w piersiach. W tym sekretnym zakątku wciąż trwało lato. Róże kwitły w stu odcieniach bieli i szkarłatu wzdłuż wytyczonych wśród roślinności ścieżek, wypełniając powietrze swoim intensywnym zapachem. Na skraju otoczonego murem ogrodu stał pawilon z białego marmuru, lśniący w świetle księżyca, z balkonami oplecionymi przez pnącza. Szli pod ramię,

przechodząc pod pergolami spływającymi kwieciami po brukowanych alejkach pokrytych dywanem z płatków.

– Skąd wiedziałaś o tym miejscu? – zapytała Elisabeth, kiedy wspinali się po stopniach pawilonu. Czowała się, jakby budynek mógł lada moment rozpuścić się pod jej stopami jak iluzja.

– Rodzice mnie tu przyprowadzali, kiedy byłem dzieckiem. Myślałem, że to ruiny jakiegoś starożytnego zamku. Maximilian i ja bawiliśmy się tutaj godzinami. – Urwał. – Nie przychodziłem tu od tamtej pory. Mój brat miałby teraz czternaście lat.

Zapadło milczenie. Weszli na górę. Zza balustrady obrośniętej kwitnącymi, białymi różami rozciągał się widok na ogrody oraz pałac, którego okna lśniły jak diamenty w kamiennej oprawie, a wieże wznosiły się na tle gwiazd. Byli zbyt daleko, żeby Elisabeth dała radę odgadnąć, gdzie pośród całego tego światła znajduje się sala balowa: inny świat, pełen muzyki, tańca i śmiechu.

Smutek ścisnął ją za gardło. Błede oblicze Nathaniela wydawało się równie odległe. Nie wiedziała, co powiedzieć, ani jak pokonać dzielącą ich przepaść. Nie mogła znieść myśli, że miałyby go opuścić, tak jak wszyscy pozostali – wszyscy oprócz Silasa, za którego służbę zapłacił tak straszną cenę. Ból rozbrzmiewał w jej wnętrzu jak muzyka, której każda nuta stanowiła osobną ranę.

– Przepraszam – powiedział Nathaniel. – Nie przyprowadziłem cię tutaj, żeby rozmawiać o mojej rodzinie.

– Nie. – Pokręciła głową. – Proszę. Nigdy mnie za to nie przepraszaj.

– To nie jest odpowiedni temat na tak radosną okazję.

Zobaczyła, że wycofuje się w głąb siebie, gotów skryć się za maską.

– Nie jesteś taki, jak Baltasar – wyrzuciła z siebie, zdając sobie sprawę, że to być może jej jedyna szansa, żeby to powiedzieć. – Wiesz o tym, prawda?

Grymas wykrzywił jego twarz i przez jedną okropną chwilę Elisabeth wydawało się, że Nathaniel wybuchnie śmiechem. Potem jednak powiedział:

– Jest coś, co musisz o mnie wiedzieć. Kiedy mój ojciec zaczął zbierać informacje na temat rytuału, wiedziałem dokładnie, co planuje. Ani razu nie spróbowałem go powstrzymać. Miałam nadzieję, że mu się uda. Chciałem ich odzyskać, Maxa i moją matkę. Dopuściłbym się największej podłości, żeby tylko mieć ich z powrotem.

– Miałaś dwanaście lat – powiedziała łagodnie.

– To dość, żeby wiedzieć, co jest dobre, a co złe. – W końcu spojrzał na nią pustym wzrokiem. – Mój ojciec był dobrym człowiekiem. Był nim przez całe życie, za wyjątkiem samego końca. – Wyraz jego twarzy mówił: „Więc jak może być jakaś nadzieja dla mnie?”.

– Jesteś dobry, Nathanielu – powiedziała cicho, kładąc mu dłoń na policzku. – Jesteś.

Pod jej dotykiem przeszył go dreszcz. Spojrzał na nią, jakby tonął, jakby to ona pchała go w odmęty, a on nie wiedział, co robić.

– Elisabeth. – Jej imię wyrwało się z jego gardła jak błaganie.

Serce jej zamarło. Jego oczy, mroczne i wzburzone jak rzeka w zimie, patrzyły na nią z bliska. Miała wrażenie, że stoi na skraju przepaści, i jeśli tylko pochyli się do przodu, runie w otchłań. Runie i utonie razem z nim; nigdy już nie wynurzy się na powierzchnię, aby zaczerpnąć tchu.

Nachyliła się w jego stronę i poczuła, że on robi to samo. Zakręciło jej się w głowie. Nic nie mogło jej przygotować na tę chwilę: oto miała przeżyć swój pierwszy pocałunek w blasku księżyca, pośród róż, z chłopakiem, który przyzywał burze i nakazywał aniołom rozpościerać skrzydła. To było jak sen. Przygotowała się na wstrząs, na skok do wody, która ugasi wypełniającą ją udrękę, gotową rozerwać jej duszę na strzępy.

Ich wargi się zetknęły, cudownie miękkie; jedynie lekkie muśnięcie, bardziej upojne niż zapach róż.

– Nie smakujesz szampanem – szepnęła ze zdziwieniem. – Myślałam, że będziesz smakował szampanem.

Tym razem się roześmiał. Poczowała na policzku drżenie powietrza.

– W ogóle go nie piłem. Uznałem, że lepiej nie.

– Ale... – Odsunęła się, mierząc go spojrzeniem. Czyżby wyobraziła sobie tamten moment, kiedy zachwiał się nagle, jakby zdezorientowany, tuż po tym, jak wyjrzał przez okno i powiedział...

Stały jej włoski na rękach.

– Czy coś się stało? – zapytał Nathaniel.

– Nie wiem. – Rozejrzała się. – Skoro nie chciałeś rozmawiać o swojej rodzinie, to po co mnie tu przyprowadziłeś?

– Bo... – Zmarszczył brwi. – To dziwne, nie bardzo potrafię...

Nie wiedział. Nie pamiętał. A to dlatego, że to nie on postanowił ją tu przyprowadzić, tylko ktoś inny. Zadarła spódnicę i dobytek Zabójcy Demonów, odwracając się do wnętrza pawilonu.

W cieniu ktoś zaczął bić brawo.

– Połapałaś się szybciej, niż się spodziewałem, panno Scrivener – powiedział Ashcroft, wchodząc w smugę księżycowego światła z rękami złożonymi do oklasków.

Elisabeth z trudem łapała oddech.

– Rzuciłeś na niego zaklęcie – szepnęła. Zabójca Demonów zadrżał w jej uścisku.

– Ależ nie ma potrzeby walczyć – stwierdził Ashcroft. – Sprowadziłem was tu tylko po to, żeby dokonać prostej transakcji.

Sięgnął dłonią za siebie i szarpnął. Żelazne łańcuchy zadźwięczały o marmur, kiedy smukła postać upadła u jego stóp. Z początku Elisabeth nie mogła zrozumieć, co właściwie widzi. Długie, białe włosy, rozsypane luźno na kamiennej podłodze. Piękna twarz wykrzywiona cierpieniem, spuszczone oczy barwy siarki.

– Daj mi dziewczynę – powiedział Ashcroft do Nathaniela – a ja oddam ci demona.



KREW ODPLYNĘŁA NATHANIELOWI z twarzy. Przez moment wyglądał, jakby ubył mu kilka lat i znów był wystraszonym chłopcem, który po raz kolejny może stracić wszystko.

– Silas? – zapytał.

Łańcuchy się poruszyły. Silas podniósł na Nathaniela zmęczone bólem spojrzenie. Nawet ten drobny ruch zdawał się ponad jego siły; osunął się na marmur, zamykając oczy.

Nathaniel wpatrywał się w niego, a jego twarz stopniowo tężała, jak opadająca brona na wejściu do krypty, aż pozostała całkiem bez wyrazu. Zrobił krok w stronę Ashcrofta.

– Czego chcesz od Elisabeth? – zapytał. Każda sylaba była ostra jak odłamek szkła.

– Nie domyśliłeś się? Chcę, żeby pomogła mi dostać się do Prendergasta, naturalnie. Wiem, że panna Scrivener to potrafi. – Uśmiechnął się blado, widząc przerażenie na ich twarzach. – Wiecie, nie tylko wy macie lustro śledzące. Naprawdę powinieneś przyjrzeć się osłonom swojego domostwa, Nathanielu. Niektóre z tych starych zaklęć nie były aktualizowane od wieków. Przy okazji mógłbyś też posprzątać w gabinecie.

Elisabeth ścisnęło w żołądku. Wyraźnie stanęły jej przed oczami przyrządy na biurku w gabinecie Nathaniela, z mnóstwem soczewek i luster. Przez wszystkie te wieczory czuła się bezpiecznie przy ogniu – teraz obecność Ashcrofta położyła się cieniem na tych wspomnieniach. Z trudem próbowała przyjąć to do wiadomości.

– Tam, w sali, tylko udawałeś – powiedziała, głośno myśląc. – Chciałeś, żeby się nam wydawało, że wygraliśmy.

– Nie było to najprzyjemniejsze doświadczenie, przyznaję, ale to bez większego znaczenia. Za kilka dni nikogo już nie będą obchodzić ploteczki z balu.

Krew zaszumiała Elisabeth w uszach. Mocniej ścisnęła rękojeść Zabójcy Demonów. Poruszyła się bez zastanowienia.

– Nie radzę – ostrzegł Ashcroft, zatrzymując ją w pół kroku. Przekręcił głowę gryfa na swojej lasce i wysunął z niej miecz, lśniący w świetle księżyca. Przystawił ostrze do białej szyi Silasa, z której uniosła się strużka pary. Demon nie poruszył się ani nie wydał dźwięku, ale zamrugał, jakby z trudem zachowywał przytomność.

– Nie było łatwo go obezwładnić – ciągnął Ashcroft – nawet mimo zastawionej pułapki. Kusi mnie, żeby go zabić, tylko po to, by mieć problem z głowy.

– Zaczekaj – powiedział Nathaniel ochryłym głosem. Ashcroft podniósł wzrok z oczekiwaniem, minimalnie odsuwając miecz od gardła Silasa. Elisabeth z oddali słyszała, jak Nathaniel mówi: – Wyzywam cię na pojedynek.

– Pojedynek czarowników? – Ashcroft się zaśmiał. – Wielkie nieba. Wiesz, że reformy ich zakazały. Jesteś pewien?

Nathaniel sztywno skinął głową.

– No dobrze – stwierdził Ashcroft. – To będzie coś nowego.

– Nathanielu – szepnęła Elisabeth.

Spojrzał jej w oczy, a potem znacząco przeniósł wzrok na Silasa. Obrócił się na pięcie i przeszedł na przeciwległy koniec pawilonu, gdzie zwrócił się twarzą do nich, z daleka spoglądając na Ashcrofta. Podwijając rękawy, przemówił:

– Reguły pojedynku są następujące: nie możemy korzystać z pomocy naszych demonów. Nie używamy broni, tylko czarów. Gdy zaczniemy, będziemy walczyć do śmierci jednego z nas. Przyjmujesz?

– Na mój honor – odparł Ashcroft. Jego rubinowe oko zaśniło. Założył sobie miecz za pas i ruszył naprzód, stając naprzeciwko Nathaniela.

Ashcroft nie miał zamiaru grać uczciwie, ale Nathaniel też nie. Jak tylko Elisabeth uwolni Silasa, będzie ich troje na jednego. Napięła mięśnie, szykując się. Kiedy Ashcroft i Nathaniel wymieniali ukłony, sekundy zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Obaj zastygli, pochyleni. Spoglądała niepewnie to na jednego, to na drugiego. Oczy mieli zamknięte w skupieniu; obaj mamrotali pod nosem zaklęcia.

Nathaniel skończył pierwszy. Wyprostował się z biczem ze szmaragdowego ognia w dłoni, sypiąc zielonym żarem na marmur. Jednak gdy broń wystrzeliła przez pawilon, Ashcroft przeciął powietrze dłonią i odbił ją na bok, nietknięty.

Przez dziurę wydartą w rękawie widać było, że przemienił swoją rękę: skórę pokrywały złociste łuski, a palce kończyły się pazurami. Kiedy się uśmiechnął, jego kły były ostre i wydłużone.

Nie miała czasu patrzeć, co nastąpi dalej. Rzuciła się w stronę Silasa, upadając przy nim na kolana. Sunęła dłońmi po łańcuchach krępujących mu ręce za plecami i oplatających pierś, talię i nogi. Wszędzie, gdzie dotykały nagiej skóry, powstały czerwone, parujące pręgi. Drgnął pod jej dotykiem, jednak nie wydawał się w pełni panować nad swoimi zmysłami. Serce jej zamarło, kiedy mankiety się uniosły, odsłaniając poczerwiałe ślady po obu stronach rąk, jakby przebito je żelaznym szpikulcem.

Mimo gorączkowych poszukiwań nie mogła znaleźć słabego punktu, łączenia ani nawet zamka przytrzymującego łańcuchy w miejscu. Można było odnieść wrażenie, że same owinęły się wokół jego ciała i zespoily bez śladu.

Silas odetchnął z trudem.

– Panno Scrivener – wychrypiał. – Za tobą.

Elisabeth odwróciła się szybko. Pełna wdzięku postać siedziała na balustradzie, wsparta o pergolę oplecioną mnóstwem późno kwitnących róż. Zbłąkany promień księżycowego światła wydobył z mroku palce spoczywające swobodnie na kolanie, ze szponami polakierowanymi na kolor krwi. Reszta postaci pozostawała skryta wśród kwiatów i cieni, ale Elisabeth wiedziała, kim jest ta kobieta, jeszcze zanim się odezwała.

– Bierzesz mojego pana za głupca? – głos Lorelei ociekał satysfakcją. – Nie zostawiłby Silasa bez nadzoru. Ale przyznaję, że miło było patrzeć, jak się męczysz.

Elisabeth wymierzyła w nią Zabójcę Demonów. Nieopodal rozległ się trzask bicia Nathaniela, a wkrótce potem zduszony krzyk bólu. Nie wiedziała, czy wyrwał się z gardła Ashcrofta, czy Nathaniela. Nie ważyła się spuścić wzroku z Lorelei.

– Odłóż miecz, skarbie – powiedziała demonica. – Nie musimy walczyć. Jeśli się poddasz, mój pan przyjmie cię z powrotem. Miałaś już okazję się przekonać, jak dobrze traktuje swoich gości. Nowa suknia co wieczór, szkatułka pełna klejnotów i tyle pierogów ze śliwkami, ile tylko zechcesz. Czy to nie brzmi kusząco?

– Nie – odparła Elisabeth. – Wykorzystałby mnie, żeby dotrzeć do Prendergasta, a później zabił.

Jedwab prześlizgnął się po kamieniu, kiedy Lorelei zsunęła się z balustrady i wyszła na światło. Miała na sobie obsydianową suknię, lśniącą od naszytych miejscami klejnotów jak pióra szpaka. Migocząca zieleń czarów Nathaniela, przeplatana ze złotem Ashcrofta, odbijała się w głębi jej szkarłatnych oczu.

– Nie teraz, kiedy już rozumie twoją wartość – szepnęła, wbijając wyglodniałe spojrzenie w twarz Elisabeth. – Dziewczyna zdolna oprzeć się magii to coś niezwykłego. Wyobraź sobie tylko, jak użyteczna mogłabyś dla niego być, mogąc przejrzeć każdą iluzję, niepodatna na wpływ demonów. To dałoby mu dużą przewagę w dniach, które nadejdą. – Jej szkarłatne usta wygięły się w uśmiechu. – A jeśli staniesz u jego boku, wynagrodzi ci to. Obiecuję.

– Dni, które nadejdą? Co masz na myśli? – Elisabeth poprawiła uchwyt na rękojeści Zabójcy Demonów, czując, że jest śliska od potu. – Czego Ashcroft chce od Prendergasta?

– Ojej. – Lorelei uniosła kąciki ust w enigmatycznym uśmiechu. – Czyżbym powiedziała za dużo?

„Nie ma sensu słuchać demonów – przypomniała sobie Elisabeth. – To kłamcy. Oszuści. Fałszywi do szpiku kości”.

Z pewnymi wyjątkami.

Zza jej pleców dobiegło szuranie: to Silas na próżno usiłował wstać. Poprawiła postawę, stając między nim a Lorelei.

– Co robisz? – Lorelei zmrużyła oczy, próbując pojąć sens działań Elisabeth. Na jej twarzy odbiło się zdumienie, a za nim podążył zachwyt. – Ty głupia dziewczyno! Zależy ci na nim!

Elisabeth odpowiedziała nie słowami, lecz mieczem. Klinga Zabójcy Demonów świsnęła w powietrzu, o włos mijając brzuch Lorelei, która cofnęła się tanecznym krokiem, a pasma czarnych włosów zawirowały wokół niej w powietrzu.

– To jeszcze lepsze, niż się spodziewałam – stwierdziła, promieniując radością. – Silas nie odwzajemnia twoich ciepłych uczuć, wiesz. Kiedyś to zrozumiesz.

Elisabeth brała jeden zamach za drugim, nieustępliwie przypierając Lorelei do balustrady. Demonica zanosila się gromkim, dźwięcznym śmiechem, unikając każdego ciosu. Wabiła Elisabeth, igrała sobie z nią. Ale nie na długo. Nie doceniła jej determinacji i w następnej chwili westchnęła głośno, unosząc dłoń do policzka.

Zamarła, wpatrując się w Elisabeth szeroko otwartymi oczami. Pojedyncza strużka krwi wypłynęła jej pomiędzy palców. Zabójca Demonów ranił ją w twarz.

A teraz jego czubek spoczywał na jej gardle.

Pod tym kątem Elisabeth widziała drugą bitwę toczącą się w pawilonie. Czarne, zwęglone smugi znaczyły marmur tam, gdzie uderzył w niego bicz Nathaniela. Obaj mężczyźni byli zdyszani, ale wciąż trzymali się na nogach. Spłynęła na nią fala ulgi. Chociaż rękaw Nathaniela był rozcięty, a kołnierzyk lepił się do szyi od potu, chłopak nie wydawał się ranny. Ponad rozplątanym krawatem, jego twarz była zastygła w skupieniu maską. Ciemne włosy miał splątane, a siwe pasmo lśniło tym samym odcieniem srebra, co jego oczy.

Bicz wystrzelił znowu, wyciągając języki szmaragdowych płomieni w stronę Ashcrofta, który odbił zakłęcie, po czym krzyknął i opadł na jedno kolano, podpierając się demoniczną ręką.

Atak był zmyłką. Podczas gdy Ashcroft skupiał uwagę na biczu Nathaniela, pędy róż pnące się po balustradzie ożyły i oplotły jego kostkę. Kiedy sięgnął, żeby zerwać je pazurami, w jego stronę wystrzeliły kolejne pnącza, krępując mu nadgarstek. Kolczaste łodygi zacisnęły się mocniej, szarpiąc go za ramię. Nathaniel ruszył przed siebie z zaciętą miną.

Zabójca Demonów spoczywał pewnie na gardle Lorelei. Minęło jedno uderzenie serca. I nagle, w jakiś niezrozumiały sposób, Lorelei już tam nie było.

Elisabeth straciła równowagę i zatoczyła się do przodu. Odwróciła się prędko. Lorelei stała, balansując na balustradzie kilka jardów dalej, otoczona przez płatki wirujące na wietrze wywołanym jej nadnaturalną szybkością. Podczas gdy Elisabeth patrzyła na nią z budzącym się przerażeniem, demonica uniosła palce do ust i zagwizdała.

Odpowiedział jej warkot, który poniósł się echem po pawilonie. Elisabeth uchyliła się w ostatniej chwili. Pergola eksplodowała jak trafiona kulą armatnią, sypiąc na wszystkie strony zerwanymi kwiatami i skrawkami malowanego drewna. Bies przeleciał obok niej i wyhamował na marmurze, strząsając zaplątane w rogi liście; wypuścił chmurę parującego oddechu i wbił czerwone ślepie w Elisabeth. Kilka kolejnych biesów długimi susami wbiegało po schodach. Pod ich łuskami widać było poruszające się kości i ścięgna.

Dziewczyna obracała się, próbując przewidzieć, który z demonów zaatakuje pierwszy. Wymierzyła miecz najpierw w jeden cel, potem w inny, miotając się rozpaczliwie. Nie mogła walczyć jednocześnie z biesami i z Lorelei.

Widząc Elisabeth w potrzasku, Nathaniel pobladł. Zawahał się w pół inkantacji. To była reakcja, na którą czekał Ashcroft.

Czas jakby zwolnił i w powietrzu przed Ashcrofem pojawiło się pasmo złocistego światła, a on rzucił się w nie, znikając z miejsca, w którym klęczał, aby zaraz pojawić się za plecami Nathaniela. Pnącza, które go pętały, posypały się na ziemię jak ucięte sznury.

Nathaniel się odwrócił. Elisabeth krzyknęła. Szponiasta dłoń Ashcrofta przeszła powietrze; każdy pazur miał długość noża. Cios spadł z siłą wystarczającą, aby odepchnąć Nathaniela o krok do tyłu.

W pierwszej chwili zdawał się cały i zdrowy, i Elisabeth pozwoliła sobie na szaloną nadzieję, że cios jakimś cudem chybił. Na twarzy malowało mu się zaskoczenie, niemal zdumienie. A potem zatoczył się w tył jeszcze o krok i spojrzał w dół, gdzie na koszuli pojawiły się plamki, z początku małe, ale rosnące szybko, kwitnące jak maki, przesiąkające przez tkaninę, aż cała jego pierś była śliska od czerwieni. Bicz w jego ręku zgasł i Nathaniel opadł na kolana.

Obraz rozmył się Elisabeth przed oczami. Rzuciła się naprzód, na oślep atakując biesa, który przykucnął między nią i Ashcrofem.

Żelazo wgrzyzło się w łuski. Bies zawył, kiedy wyrwała Zabójcę Demonów z jego ramienia i uderzyła ponownie, i ponownie, ledwie świadoma swojego ciała, z szaleńczą siłą, która wypełniła ją na widok Nathaniela, osłupiałego i broczącego krwią. Zaskowyczał po raz ostatni i w końcu upadł. Elisabeth skoczyła przed siebie, używając jego osuwającego się ciała jako odskoczni, jeszcze zanim uderzyło o podłogę. Przez chwilę wyglądała, jakby umiała latać. Zabójca Demonów lśnił jak płynne światło księżyca spowite kłębamii pary; płaszcz Nathaniela powiewał za nią, a wiatr świstał jej w uszach.

Jednak nie zdołała doskoczyć do celu. Jakiś ciężar uderzył o nią w powietrzu i stracił z powrotem na ziemię. Świat rozplynął się w kłębowisku cuchnącego oddechu, obsydianowych łusek i gorącej śliny kapiącej jej na szyję. Zabójca Demonów wypadł Elisabeth z rąk i poleciał daleko, krzesząc iskry o marmur. W chwili, gdy zdołała się połapać w sytuacji, poczuła na piersi szponiastą łapę

przypierając ją do ziemi. Zobaczyła mroczki przed oczami, kiedy ciężar wyciskał jej powietrze z płuc.

Pod kątem dziewięćdziesięciu stopni widziała, jak Ashcroft dobywa miecza. Nathaniel pochylał się teraz do przodu, jedną ręką wsparty o podłogę, a drugą trzymając się za pierś. Krew spływała wijącą się strużką po jego nadgarstku.

Ogarnęło ją poczucie beznadziei. Nie widziała sposobu, żeby wyszli z tego żywi. Nie, nie *oni* – bo *ona* przetrwa na pewno, porwana z powrotem do Dworu Ashcroftów jako zdobycz kanclerza. Z rozpaczą zdała sobie sprawę, że wolałaby umrzeć u boku Nathaniela.

– Muszę przyznać – powiedział Ashcroft – że to wielka szkoda. Ostatni dziedzic wspaniałego rodu Thornów, zmarły przedwcześnie. – Przyjrzał się Nathanielowi z namysłem, sunąc kciukiem po ostrzu miecza, aby sprawdzić jego ostrość. – Chociaż z drugiej strony, ty zawsze zamierzałeś być ostatnim, prawda? Zrobiłbyś wszystko, żeby powstrzymać nadejście kolejnego Baltasara – kolejnego Alistaira.

Ramiona Nathaniela drgnęły. Jego druga ręka uderzyła o podłogę; wsparł się na niej, rozsmarowując palcami krew po podłożu. Ashcroft obserwował go z politowaniem.

– Można więc powiedzieć – stwierdził, unosząc miecz – że w pewnym sensie daję ci tylko to, czego zawsze chciałeś.

Nathaniel podniósł wzrok. Jego spojrzenie było przytomne i opanowane. Używając swojej krwi, wymalował na marmurze enochiańską pieczęć, która właśnie zaczynała jaśnieć szmaragdowym światłem.

Twarz Ashcrofta straciła wszelki wyraz.

„Czyli to tak wygląda, kiedy coś naprawdę go zaskoczy” – pomyślała Elisabeth.

Pieczęć świeciła coraz jaśniej i kanclerz się wycofał, krzycząc z bólu i osłaniając ramieniem oczy. Ona też zacisnęła powieki, czując, jak magiczna energia przepływa po niej falą mrowiących iskier.

Podłogę drżało. Marmur kruszył się i pękał. Kiedy otworzyła załzawione oczy, ujrzała przed sobą pędy róż, teraz grube jak pnie drzew, odrywające kawałki balustrady. Pawilon został uwięziony w gąszczu cierni i w blasku księżyca wyglądał niesamowicie, jakby wyjęty ze starej opowieści. Gigantyczne łodygi

poprzebijały tak kamień, jak i demony, i wciąż rosły na jej oczach, wijąc się i splatając, porywając ciała biesów i pnąc się aż go gwiazdzistego nieba.

Nie czuła zapachu krwi ani zwęglonego ciała, niczego odpychającego, tylko słodką, tęskną woń róż. Ucisk na piersi zniknął, a kiedy obejrzała się przez ramię, zobaczyła, jak roślinność pochłania biesa, który ją atakował. Światło w jego oczach zgasło, zanim przesłoniły go rozwijające się liście.

Zdezorientowany Ashcroft zachwiał się i zamrugał. Wpadł na krzyżujące się ciernie, tworzące wokół niego klatkę. Elisabeth widziała już tylko Nathaniela. Kiedy na niego patrzyła, zachwiał się i zemdlał, upadając w kałużę krwi.

Z krzykiem zerwała się i ruszyła naprzód – i wpadła prosto w wyczekujące ramiona Lorelei.

Demonica złapała ją w zimny, twardy uścisk. Spowiło ją spokojne odrętwienie uroku, spowalniając jej myśli i rozluźniając mięśnie. Stała się owadem schwytanym w pajęczą sieć.

– Odpręż się, skarbie – wymruczała jej Lorelei do ucha. – Już prawie po wszystkim. Kiedy mój pan się uwolni, szybko rozprawi się z chłopakiem Thornów. Słyszysz, jak ustaje bicie jego serca? Ja tak. – Pazury musnęły jej twarz nad uchem, gładząc ją po włosach. Dłonie demonicy obróciły ją twarzą do czarowników. – Patrz, jak umiera.

To był błąd. Na widok Ashcrofta przebijającego się przez ciernie, aby dotrzeć do Nathaniela, Elisabeth poczuła wszystko naraz: pieczenie ran i siniaków, krew krążącą jej w żyłach, nocne powietrze wypełniające płuca, chłodny powiew wiatru na wilgotnym policzku. Widziała swoje otoczenie ostro i wyraźnie, a wpływ Lorelei rozwiął się jak pajęczyna.

I był tam Silas. Podczas trwania bitwy zdołał się unieść do przysiadu. Choć cierpienie przesłaniało mgiełką jego żółte oczy, wpatrywał się w nią ze spokojem, wyraźnie chcąc jej coś przekazać. Obok niego leżał Zabójca Demonów, niemal dotykając jego skrępowanych dłoni. Spojrzał na miecz, a potem z powrotem na nią. Czekał na sygnał.

Elisabeth nie mogła skinąć głową. Lorelei by to zobaczyła. Powoli, jak kot, mrugnęła.

Zabójca Demonów prześlizgnął się po marmurze. Kiedy znalazł się dostatecznie blisko, Elisabeth nadepnęła na rękojeść tak, że miecz poleciał w powietrze.

Ignorując ostry ból, złapała nagie ostrze jedną ręką i pchnęła je za siebie, zanurzając je głęboko w ciele Lorelei.

Opór był mniejszy, niż się spodziewała. Lorelei się zakrztusiła, zakaszła. Jej pazury zacisnęły się konwulsyjnie na ramionach Elisabeth.

– Ty – zdołała wykrztusić. – Jak śmiesz...

A potem zniknęła. Śmierć szlachetnie urodzonego demona nie przypominała śmierci biesa. Nie pozostało po niej żadne ciało, tylko smugi pary wijące się wokół Elisabeth, oplatające ją w ostatnim uścisku i roztaczające słabą woń siarki.

Bez zastanowienia ruszyła chwiejnie w stronę Silasa. Przepchnęła czubek Zabójcy Demonów przez ogniwo łańcucha i przekręciła miecz, napierając z całej siły. Metal zajęczał. Ogniwo wygięło się i pękło.

Za późno. Kątem oka zobaczyła, jak Ashcroft unosi miecz nad piersią Nathaniela. Nie zdoła tam dotrzeć na czas. A Silas, osłabiony...

Łańcuchy zabrzęczały o kamień, opadając zwojami na podłogę.

Miecz Ashcrofta błysnął w świetle księżyca i runął w dół.

A jego czubek, unurzany w czerwieni, wysunął się z pleców Silasa, przebiwszy jego serce. Demon w jednej chwili znalazł się pomiędzy Ashcroftem i Nathanielem, używając swojego ciała jako tarczy.

Świat stanął w miejscu. Cisza opadła na nich jak szron. Rozpuszczone włosy przesłaniały twarz Silasa. Po chwili uniósł bladą dłoń, żeby dotknąć żelaza sterczącego z jego piersi, niemal z zaciekawieniem, choć kiedy to zrobił, z jego pazurów uniosły się smużki pary.

– Nie rozumiem – powiedział Ashcroft urywanym głosem. – On nie kazał ci tego zrobić.

Silas podniósł na niego wzrok. Wyrazy ich twarzy nie mogłyby się bardziej różnić. Silas wyglądał jak wyrzeźbiony z marmuru święty o pięknej, obojętnej twarzy, nietkniętej emocjami ani bólem, Ashcroft zaś był śmiertelnikiem, który po raz pierwszy w życiu zetknął się z czymś, czego nie był w stanie pojąć.

– Gdybyś pozwolił mu zginąć – powiedział – wasz układ zostałby dopełniony. Życie, które ci obiecał... otrzymałbyś je. Ale teraz straciłeś wszystko.

– Tak – szepnął Silas. – Czuję to. Przepadło.

Ashcroft otworzył szeroko oczy.

– Powiedz mi, dlaczego, demonie! Powiedz mi, co mogłeś zyskać...

Strużka krwi popłynęła z kącika ust Silasa, zdumiewająco czerwona na tle jego bladej skóry. Zamknął oczy, jakby z ulgą, po czym zniknął.

W chwili, gdy miecz Ashcrofta został uwolniony z ciała Silasa, Elisabeth już tam była, aby go odeprzeć. Żelazo uderzało o żelazo, gdy spychała kanclerza do tyłu, nie szczczędząc sił. Ashcroft zdołał wykonać kilka niezgrabnych pchnięć, zanim Zabójca Demonów zahaczył o rękojeść jego broni i wyrwał mu ją z ręki, odrzucając oręż daleko w bok.

Przez twarz mężczyzny przemknął wyraz paniki. Elisabeth nagle zdała sobie sprawę, że ma teraz dwoje niebieskich oczu. Zniknęło nie tylko demoniczne znamię; jego prawy rękaw zwisał w strzępach wokół zwyczajnego ramienia. Kiedy zabrakło Lorelei, nie był już czarownikiem, tylko zwykłym człowiekiem.

Powoli uniósł puste dłonie w geście poddania.

– Zabijesz mnie? – zapytał, patrząc na nią z nietypową dla siebie powagą. – Jeśli to zrobisz, odmieni cię to na zawsze. Wejdiesz na drogę, z której nie ma powrotu. Wierz mi, wiem coś o tym.

Zabójca Demonów opadł. Wykorzystując jej chwilę wahania, Ashcroft puścił się biegiem. Szybciej, niż mogłaby się spodziewać, przemknął między pnączami i wyskoczył z pawilonu.

Pobiegła przed siebie i wpadła na pokruszoną balustradę, z bijącym gwałtownie sercem, gotowym do pościgu. Mogła go łatwo dogonić: skręcił chyba nogę w kostce, zeskakując z balkonu, bo utykał i chwiał się, uciekając przez gęstwinę róż. Mogła go ścigać, i złapać, i pokrzyżować jego plany na dobre.

Albo mogła pobiec w przeciwnym kierunku i znaleźć pomoc potrzebną, aby uratować Nathanielowi życie.



POZOSTAŁE WYDARZENIA TAMTEJ nocy rozmywały się i zlewały ze sobą w jej pamięci. Najpierw była dezorientująca jasność pałacu i przestraszone twarze gości, których Elisabeth mijiała na korytarzach. Potem krzyki, ruch, zamieszanie. Wezwano lekarza. Ktoś zapytał o ranę na dłoni Elisabeth, ale ona powiedziała, że to krew Nathaniela, na co wszyscy w pośpiechu wyszli na zewnątrz. Zanim się obejrzała, stała w ogrodzie różanym, a dwóch mężczyzn niosło bezwładne ciało Nathaniela do powozu.

Był w ciężkim stanie. Poznała to po nagłych krzykach lekarza i czyimś wołaniu o pomoc. Próbowwała podejść do Nathaniela, ale ją od niego odciągnęli. Chcieli wiedzieć, co się stało. Kiedy odpowiedziała „kanclerz”, nikt jej nie uwierzył, dopóki jeden z mężczyzn nie zawołał do nich z piętra pawilonu, trzymając miecz Ashcrofta z rękojeścią w kształcie głowy gryfa, doskonale widoczną w świetle księżyca.

Pandemonium. Grzmiący głos lorda Kicklightera wybijał się ponad zgiełk. Jeden z gości pomógł Elisabeth dojść do powozu... i jak dziwnie wyglądały te wszystkie galowe stroje, poznaczone tu i tam plamami krwi Nathaniela. Jej własna suknia do niczego się już nie nadawała. Silas nie będzie zadowolony; spędzili cały dzień na wspólnych zakupach, a on cierpliwie wysiedział kilka przymiarek, podczas których Elisabeth musiała stać całkiem nieruchomo, żeby krawcowa nie pokłuła jej szpilkami. Oczyma wyobraźni wyraźnie widziała jego pełne dezaprobaty spojrzenie.

A potem przypomniała sobie, że Silas został przeбит mieczem i już go nie ma.

Jechała w jednym powozie z Nathanielem oraz lekarzem. Koła podskakiwały na wyboistej drodze i Nathanielowi zdarzyło się jęknąć. Pot perlił się na jego czole, ale dłoń miał lodowato zimną. Nie pamiętała, kiedy ją chwyciła. Lekarz był zajęty

uciskaniem piersi Nathaniela. Zerknął raz na ranę na jej dłoni, następnie spojrzał jej w twarz i nic nie powiedział.

Stanęli przed domem Nathaniela, gdzie zebrał się tłum. Wyglądało na to, że połowa gości z balu podążyła za nimi do Parku Cykuty, gdzie dołączyli do nich reporterzy i czarownicy w koszulach nocnych. W domach wzdłuż całej ulicy paliły się światła, a ich mieszkańcy wyglądali przez otwarte okna. Elisabeth ledwie zauważyła całe to zamieszanie, bo nie było nawet w małej części tak dziwne jak to, co działo się z domem Nathaniela.

Wszystkie gargulce ożyły. Krążyły po krawędzi dachu i, warcząc, owijały się wokół wsporników. Kolczaste krzewy rosnące w zaniedbanym ogrodzie otaczającym dom rozciągnęły się w wysokie, nieprzebyte żywopłoty, szeleszczące groźnie na każdego, kto zbliżył się do żelaznego ogrodzenia. W górze kłębiły się ciemne chmury.

– Aktywowały się osłony – powiedział do niej lekarz. – Dom czuje, że jego dziedzic jest w niebezpieczeństwie, i zrobi wszystko, aby go ochronić. Problem w tym, że nie ma nikogo innego z jego rodu, kto mógłby nas bezpiecznie wpuścić do środka. Czy Nathaniel ci ufa?

Patrzyła, jak mężczyźni wynoszą Nathaniela z powozu. Aby dostać się do ran, lekarz zdjął mu koszulę. Jego skóra, tam, gdzie nie pokrywała jej krew, była biała jak papier, a głowa i jedno ramię zwisały bezwładnie. Czarne włosy rozsypały się wokół poblądłej twarzy jak rozlany atrament – czarne, bez jednego srebrnego włosa. Wydawało się to szokująco niewłaściwe.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Tak. Chyba.

– To nieszablonowe, ale nie mamy wiele czasu. Spróbuj zbliżyć się do domu. Jeśli coś będzie ci grozić, od razu się wycofaj. Wolałbym nie skończyć tej nocy z dwójką pacjentów.

Wrzawa przycichła, kiedy Elisabeth wystąpiła naprzód. Z tłumy obserwowały ją niespokojne twarze. Rozpoznała wśród nich jedną z dziewczyn, które plotkowały na jej temat w oranżerii Ashcrofta; ścisnęła dłoń przyjaciółki i wyglądała na wzburzoną.

Podczas jazdy powozem Elisabeth nie rozstawała się z Zabójcą Demonów. Lśnił teraz u jej boku, gdy przechodziła przez otwartą bramę, w stronę ciernistych krzewów zwieszających nad nią powyginane gałęzie. Trzeszczenie natychmiast

ustało. Szept poniósł się przez żywopłot i gałęzie się odsunęły, tworząc ścieżkę do drzwi frontowych. Dwa gargulce opadły, jeden po drugim, skłaniając głowy jak służący witający powracającą królową.

Zaległa cisza. Przeszła ścieżką i wspięła się po stopniach. Kiedy sięgnęła po klamkę, zamek sam odskoczył, a drzwi stanęły przed nią otworem.

Oszołomiona, odsunęła się na bok, aby przepuścić lekarza. Pospiesznie ruszył ścieżką, wydając polecenia mężczyznom niosącym Nathaniela, a samemu sprawdzając mu puls. U jego boku szła młoda kobieta w okularach, obładowana torbami i skrzynkami. Gałęzie zamknęły się za nimi z powrotem, odcinając drogę tłumom. Ostatnie, co Elisabeth zobaczyła, zanim ciernie splotły się jak nici na krośnie, był wpatrzony w nią reporter. Jego twarz zastygła w wyrazie zdumienia, a zapomniany ołówek wypadł mu z ręki na ziemię.

Elisabeth podążyła za innymi na górę, nie mogąc oderwać wzroku od nieprzytomnej twarzy Nathaniela. Nie było dla niej miejsca w jego sypialni, więc stała na zewnątrz, przywierając do ściany, ilekroć asystentka lekarza przechodziła z dzbankiem wody albo naręczem przesiąkniętej krwią tkaniny.

Nikt nic nie powiedział, ale było jasne, że Elisabeth im zawadza. W odrętwieniu zeszła z powrotem na dół. Zdjęła z siebie płaszcz Nathaniela i odwiesiła go na wieszak. Zauważyła kilka kropli krwi na podłodze w holu i starła je swoją suknią, bo jasny jedwab i tak był już zniszczony, a potem usiadła na najniższym stopniu schodów. W głowie brzęczał jej biały szum. Z góry dobiegały ją przytłumione dźwięki: szuranie stóp i nerwowe głosy. Zegar z wahadłem tykał w tym samym rytmie, w którym biło jej serce.

Na tę chwilę Ashcroft był skończony. Wszystko ukaże się w porannych gazetach i cały świat pozna jego prawdziwą twarz. Nie czuła jednak, że odnieśli zwycięstwo. Nie, kiedy Silas zginął, a Nathaniel wykrwawiał się na górze. Nie, kiedy Ashcroft wciąż pozostawał na wolności.

Nie – walka póki co się nie skończyła. Byłoby głupotą wyobrażać sobie, że jest inaczej. Siedziała jeszcze przez chwilę, zastanawiając się nad tym, po czym wstała i zdecydowanym krokiem ruszyła do gabinetu Nathaniela. Tam podniosła z biurka urządzenie powiększające, cisnęła je na podłogę i zdeptała obcasem. Przeszła do pokoju obok, gdzie zastała kolejne lustro i zerwała je ze ściany. Na tym nie poprzestała. Obeszła cały dom, przynosząc ze sobą zniszczenie. Szkło pękało, tłukło się, sypało odłamkami po dywanach, odbijało lśnącymi okruciami od

mebli. Żadne lustro nie było bezpieczne. Rękojeścią Zabójcy Demonów roztrzaskała to w saloniku, w którym spędziła tak wiele godzin nad grymuarami, i patrzyła, jak jej odbicie pęka, a potem spada w kawałkach na podłogę. Kiedy skończyła z parterem, ruszyła przez kolejne piętra, pozostawiając za sobą korytarze pełne potłuczonego szkła.

Wydawało się, że powinna coś czuć, ale nie. Ranna dłoń nie bolała, mimo że krew spływała po rękojeści Zabójcy Demonów. Lustra w nieporęcznych oprawach ulegały jej bez oporu. Czuła się, jakby była zrobiona z powietrza i światła, połączona z fizycznym światem tylko nikłą więzią, zarazem niepowstrzymana i gotowa lada moment rozpaść się, spłonąć, ulecieć w niebyt.

W końcu dotarła do swojej sypialni. Podniosła lustro śledzące. Próbowwała wyjaśnić wszystko Katrien, a ona zadawała jej pytania, na które Elisabeth nie potrafiła odpowiedzieć, bo w którymś momencie słowa przestały mieć jakikolwiek sens. Gdy zakończyły rozmowę, Elisabeth owinęła lusterko w poszewkę z poduszki i wrzuciła je do zsypu na pranie. Stamtąd Ashcroft nie będzie mógł jej szpiegować. Następnie wzięła się za zabezpieczenie całej reszty pokoju w jedyny znany sobie sposób.

Trudno powiedzieć, ile czasu upłynęło, zanim doszła do siebie, ściskając Zabójcę Demonów sprawną dłonią, otoczona połamanym drewnem i potłuczonym szkłem.

„Silasowi się to nie spodoba – pomyślała. A potem: – Pomogę mu to posprzątać”.

Rozpacz, kiedy nadeszła, uderzyła w nią jak cios pięścią w żołądek. Zgięła się w pół i opadła na podłogę, z trudem łapiąc oddech. Nie była zrobiona z powietrza i światła. Była słabym, bezradnym człowiekiem, i czuła ból, więcej bólu, niż była w stanie znieść. Silas przepadł. Nie wiedziała ani co pocznie Nathaniel, ani jak ma mu o tym powiedzieć, ani czy zdoła znieść widok jego twarzy, kiedy to zrobi. Nie wiedziała, czy Nathaniel w ogóle się jeszcze obudzi.

Płakała, aż świat rozlał się i rozpląnął wokół niej, a później straciła świadomość.

Gdy znów otworzyła spuchnięte oczy, ujrzała nieznaną kobietę siedzącą w fotelu w rogu pokoju. Przez zasłony przenikało popołudniowe światło. Elisabeth obrzuciła wzrokiem swoje ciało, co było proste, bo podłożono jej pod plecy stertę

poduszek. Ranną dłoń miała owiniętą bandażem. Zabójca Demonów leżał na pościeli przy jej drugim boku, a ona wciąż zaciskała palce na rękojęści.

– Doktor Godfrey i ja nie zdołaliśmy wyjąć ci go z ręki, nawet kiedy już zasnęłaś.

Elisabeth z powrotem przeniosła wzrok na kobietę. Jednak nie była nieznajoma. To asystentka lekarza, chuda, w okularach, ubrana w wykrochmalony, biały fartuch. Z przodu zaplamiony był zaschniętą krwią, ale jej to chyba nie przeszkadzało.

– Mam na imię Beatrice – powiedziała. – To ja się tobą zajmowałam.

Serce Elisabeth zamarło. Nie mogła odwrócić wzroku od poplamionego fartucha.

– Czy Nathaniel...?

– Ma się dobrze. A przynajmniej na tyle dobrze, na ile to możliwe. Napij się. – Uniosła do ust Elisabeth szklankę z wodą i patrzyła, jak dziewczyna pije kilka łyków, po czym ciągnęła spokojnym tonem, jakby dla niej był to zupełnie zwyczajny poranek, nieróżniący się od pogawędki przy śniadaniu. – Magister Thorn stracił dużo krwi, ale doktor Godfrey jest pewien, że wydobrzeje. Czarownicy są w stanie przetrwać niezwykle ciężkie obrażenia, kiedy znajdują się w obrębie osłon chroniących ich domostwa. Mimo to nie powinien wstawać z łóżka, dopóki rany na piersi nie zaczną się goić.

Elisabeth zalała falą ulgi. Usiadła prosto, po czym zastygła, tłumiąc jęk. Bolał ją każdy skrawek ciała. Nawet kości miała obolałe.

– W jego pokoju jest lustro – powiedziała. – Muszę...

Beatrice położyła jej dłoń na ramieniu.

– Już się tym zajęliśmy z doktorem Godfreyem. – Łagodniejszym tonem dodała:

– Kiedy znaleźliśmy cię tutaj na podłodze, powiedziałaś nam, co robiłaś zeszłej nocy. Nie pamiętasz?

Elisabeth nie pamiętała, i wolała sobie nie wyobrażać, w jakim stanie ją znaleźli, ale była wdzięczna, że potraktowali ją poważnie. Spuściła wzrok, zaciskając zęby z bólu.

– Czy mogę iść do Nathaniela? – zapytała.

– Jeśli chcesz, chociaż będzie spał jeszcze przez kilka godzin, a jak już się obudzi, może nie być w pełni sobą. Dostał laudanum na ból.

Asystentka pomogła jej założyć szlafrok i poprowadziła ją korytarzem. Elisabeth nie była pewna, czy zdołałaby przejść tę drogę sama. Kiedy szła przed siebie chwiejnie jak staruszka, Beatrice mówiła jej, jakie to szczęście, że nic sobie nie złamała.

– Większość ludzi ucierpiałaby po otrzymaniu tak potężnych ciosów. – Spojrzała z ukosa na Zabójcę Demonów, którego dziewczyna wciąż ścisnęła w rękę.

Gdy dotarły na miejsce, Elisabeth zatrzymała się, wpatrzona w Nathaniela. Chłopak zdawał się tonąć w ogromnym łożu z baldachimem z ciemnego brokatu, umocowanym na rzeźbionych kolumnkach. Głowę miał obróconą na bok, a światło i cień podkreślały jego ostro zarysowaną kość policzkową, sprawiając, że twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z kamienia. Przez rozchyłony kołnierz koszuli dało się dostrzec bandaż oplatający pierś.

Z jakiegoś powodu wydawało się niewłaściwe oglądać go w tym stanie. Oddychał tak płytko, że niemal nie było widać, jak jego pierś unosi się i opada. Twarz miał nieruchomą: gładkie czoło, lekko rozchyłone usta. Błękitne cienie barwiły skórę pod oczami. Wyglądał, jakby miał się rozpaść pod najlżejszym dotykem, jakby nie składał się już z krwi i kości, tylko z jakiejś innej substancji, kruchej jak porcelana.

Beatrice pomogła jej usiąść w ustawionym obok łóżka fotelu i odwróciła się, aby odejść. Przystanąła w drzwiach i na chwilę zrezygnowała ze swej profesjonalnej pozy, jakby ktoś uchylił zasłonę, odsłaniając ślad skrytej pod nią nieufności.

– Czy to prawda, że magister Thorn nie ma w ogóle ludzkiej służby? – zapytała. – Tylko demona?

– Tak, ale nie ma się czego bać. Silasa – tak się nazywa – już tutaj nie ma. A nawet gdyby był, on nie... – Elisabeth mocowała się ze słowami, ogarnięta przemożną potrzebą, by wyjaśnić, sprawić, że Beatrice zrozumie. Wydawało się nie do przyjęcia, żeby nikt inny nie wiedział, kim Silas był i co zrobił. Z trudem dokończyła: – Poświęcił się, aby ocalić życie Nathaniela.

Beatrice zmarszczyła brwi, skinęła lekko głową i wyszła, nieporuszona tą nowiną.

„Ona myśli, że zrobił to na rozkaz Nathaniela”.

W tym momencie Elisabeth zdała sobie sprawę, że nikt nigdy nie doceni ostatniego czynu Silasa. To nie była historia, w którą ktokolwiek by uwierzył.

Zniknął z tego świata niczym mgła, pozostawiając po sobie jedynie plotki o straszliwej istocie, która służyła rodowi Thornów.

Niesprawiedliwość tej sytuacji była przytłaczająca. Łzy zakłuły Elisabeth w oczy jak igły. Przez długi czas siedziała w ciszy z pochyloną głową, mrugając, aby odpędzić płacz.

Usłyszała szelest tkaniny. Nathaniel się poruszył. Wstrzymała oddech, kiedy zamrugał, chociaż zdawał się raczej poruszać przez sen, niż z niego budzić. Odruchowo sięgnęła, by odgarnąć mu włosy z czoła; prześlizgnęły się między jej palcami, miększe niż jedwab. Niewiele mogła mu dać, poza sygnałem, że nie jest sam.

Oczy Nathaniela uchyliły się, lśniące i nieprzytomne.

– Silas? – szepnął.

Elisabeth poczuła ucisk w sercu. Założyła mu włosy za ucho, a potem wzięła go za rękę. Patrzyła, jak zapada z powrotem w sen, uspokojony.

Utrata demonicznego znamienia oznaczała, że odzyskał dwie dekady życia, które ofiarował Silasowi. Nie potrafiła się jednak cieszyć z tego powodu. Wiedziała, że gdyby miał wybór, bez wahania oddałby te lata znowu, aby go odzyskać.

Mijały godziny. Beatrice przyniosła jej zimny posiłek znaleziony w kuchni i znów sobie poszła. Później doktor Godfrey zmienił Nathanielowi bandaż. Elisabeth siedziała, zaciskając dłonie na poręczach fotela, kiedy poplamione płótno odsłoniło cztery poszarpane linie wyryte na ukos w piersi Nathaniela. Ciągnęły się od dolnych żeber po jednej stronie, do obojczyka po drugiej, spięte szwami. Zmusiła się, aby nie odwrócić wzroku, wspominając, jak Ashcroft zamachnął się pazurami, a Nathaniel, z pozbawioną wyrazu twarzą, osunął się w tył. Wiedziała, że rany na zawsze pozostawią po sobie straszliwe blizny.

Kiedy doktor Godfrey skończył zakładać świeże bandáže, położył dłoń na czole Nathaniela i zmarszczył brwi.

– Coś nie tak? – zapytała nerwowo.

– Ma podwyższoną temperaturę. To częste przy obrażeniach tego typu. Gorączka od ran potrafi być niebezpieczna, ale w tym przypadku osłony powinny go ochronić przed jakąkolwiek większą szkodą. – Urwał. – Panie magistrze? Słyszysz nas pan?

Nathaniel zakasłał słabo w głębi łoża. Elisabeth wychyliła się na skraju fotela, cała spięta. Po chwili powieki Nathaniela uniosły się, odsłaniając jasną, bladą szarość kwarcu. Spojrzał na nią w milczeniu, przyglądając się jej twarzy, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu, albo jakby obawiał się, że przez sen zapomniał, jak wygląda. W końcu powiedział:

– Zostałaś ze mną. – Jego głos był zaledwie westchnieniem, cichym jak oddech.

Skinęła głową. Oczy zaszczyły jej łzami. Przełknęła ślinę, ale słowa i tak popłynęły z jej ust, nie dając się zatrzymać.

– Przepraszam. To wszystko moja wina. Ta konfrontacja z Ashcroftem na balu to był mój pomysł. Gdyby nie ja, nic z tego by się nie wydarzyło.

Pomiędzy jego brwiami pojawiła się zmarszczka. W pierwszej chwili pomyślała, że nie może sobie przypomnieć, ale potem powiedział:

– Nie. Lustro śledzące... nie mogłaś wiedzieć. – Urwał, zbierając siły. Nawet oddychanie zdawało się sprawiać mu ból. – Ashcroft. Złapałaś go?

Ze łzami w oczach pokręciła głową. Nie chciała mówić mu całej reszty, ale musiała.

– Silas... – Jej głos brzmiał dziwnie wysoko, jakby należał do kogoś innego. Ścisnęło ją w gardle. Nie była w stanie dokończyć.

Zmarszczka się pogłębiła. Dopiero po chwili zaczął rozumieć. Nie spuścił wzroku z jej twarzy, ale znieruchomiał.

W korytarzu zadźwięczały srebra. Beatrice. Zeszła na dół zaparzyć herbatę.

Nathaniel wyprężył się czujnie. Zanim Elisabeth zdążyła go powstrzymać, uniósł się do pozycji siedzącej. Natychmiast poszarzał na twarzy z bólu i przechylił się na bok, wsparty na łokciu, ale nie wydał żadnego dźwięku. Wpatrywał się w drzwi w oczekiwaniu, wzrokiem tak przeszywającym, że kiedy Beatrice weszła, stanęła w progu i go zobaczyła, zamarła.

– Jeśli chce pan usiąść – powiedział doktor Godfrey – ułożymy panu poduszki. Nie powinien pan na razie tak się wysilać.

Nathaniel zdawał się go nie słyszeć. Elisabeth ogarnęło przeczucie nadciągającej katastrofy. Beatrice trzymała tę samą srebrną tacę, której zawsze używał Silas. Spojrzenie oczu Nathaniela było gwałtowne, dzikie, niemal niewidzące.

– Wynoś się – powiedział cicho.

Beatrice i doktor Godfrey wymienili spojrzenia.

– Oboje. Wynoście się.

Beatrice weszła do środka i położyła tacę na stoliku nocnym, po czym odsunęła się, składając dłonie na fartuchu. Zachowywała się jak ktoś nawykły do zajmowania się trudnymi pacjentami. Nie wiedziała jednak, że dla Nathaniela to, co zrobiła, było niewybaczalne.

Jej zbrodnia była prosta. Podała herbatę, nie będąc Silasem. Powoli zaczęła:

– Od laudanum może pan czuć...

Nathaniel zerwał się z łóżka, chwycił tacę i cisnął nią o ścianę. Wszyscy się wzdrygnęli, kiedy stłuczona porcelana pozostawiła na tapecie mokrą plamę z herbaty.

– PRECZ! – ryknął Nathaniel. – Wynoście się z mojego domu!

Jego głos rozbrzmiał potężnie, dobiegając echem z każdej strony. Ściany zadrżały i jęknęły niepokojąco; z sufitu posypał się na łóżko skruszony tynk. Nathaniel stał w pizamie, dysząc ciężko, a w oczach płonął mu blask gorączki.

– Chodź, Beatrice – powiedział doktor Godfrey, z trzaskiem zamykając skórzaną walizeczkę. Spojrzał po raz ostatni na Nathaniela, wyprowadzając asystentkę z pokoju. Schody zaskrzypiały, a chwilę później drzwi frontowe zamknęły się z trzaskiem.

Elisabeth wyjrzała przez okno. Słońce wisiało nisko na niebie, prześwitując na czerwono przez cierniste krzewy. Ich splątane gałęzie rozchyliły się, aby wypuścić doktora Godfreya i Beatrice, po czym splotły na nowo.

Odwróciła się z powrotem do Nathaniela i rozdziawiła usta.

Jego gniew zniknął, choć oczy wciąż lśniły niezdrowym blaskiem.

– Chodź, Scrivener – powiedział ochoczo. – Musimy się zbierać. Miałabyś coś przeciwko, żeby służyć mi oparciem?

– Czekaj – zaprotestowała. – Masz nie wstawać z łóżka.

– A. To by wyjaśniało, dlaczego moje nogi nie działają. – Spojrzał z aprobatą na Zabójcę Demonów. – Dobrze, przyszłaś przygotowana.

– Ale... – Runął w dół, więc rzuciła się złapać go, zanim uderzy o podłogę. Zwiotczał tak bardzo, że potrzebowała sporo wysiłku, żeby zarzucić sobie jego rękę na ramiona. – Dokąd idziemy?

Zaśmiał się, jakby jej pytanie nie miało żadnego sensu.

– Przyzwać Silasa, oczywiście. Sprowadzimy go z powrotem.

Otworzyła szeroko oczy. Nie wiedziała, że coś takiego jest możliwe. Zaraz jednak zrozumiała, dokąd iść; Nathaniel nie musiał mówić tego na głos. Do zakazanego pokoju, tego za zamkniętymi drzwiami.

Przeście korytarzem zajęło im całą wieczność. Zatrzymywali się, ilekroć Nathaniel zaczął osuwać się na nią i mrugał gwałtownie, aby odzyskać przytomność. Z pewnością nie był to dobry pomysł. Gdyby miała choć krztynę zdrowego rozsądku, zawróciłaby i położyła go do łóżka. Nie mógł jej przepędzić tak, jak Beatrice i doktora Godfrey'a; a nawet gdyby to zrobił, nie dałby rady sam przejść korytarzem. Jednak gdy tylko przyszło jej to do głowy, zbuntowało się jej sumienie.

Nigdy nie wybaczyłby jej tej zdrady. A ona nie mogła zostawić go samego tak, jak go to spotkało w wieku dwunastu lat, kiedy nie miał nikogo na tym świecie, na kim mógłby polegać. W tej chwili ona była jedynym, co mu pozostało.

Gdy dotarli do drzwi, Nathaniel wymamrotał pod nosem coś po enochiańsku i pstryknął palcami. Nic się nie stało. Zamrugał, popatrzył z niezrozumieniem na klamkę, po czym zaklął.

– To Silas pilnuje wszystkich kluczy. Ja zwykle po prostu... – Jeszcze raz pstryknął palcami, na próżno. Jego magia przepadła. Widziała po jego twarzy, jak bardzo go to wzburzyło, jakby wyciągnął rękę, szukając oparcia, i trafił jedynie na pustkę. Teraz nie wiedział, co robić.

– Zaczekaj. – Uniosła Zabójcę Demonów i uderzyła ręką w klamkę. Pierwszy cios wygiął metal. Drugi sprawił, że klamka z brzękiem runęła na podłogę.

Nathaniel zadygotał. Spojrzała na niego z troską, ale on tylko się śmiał.

– Scrivener – wykrztusił.

Zmarszczyła brwi.

– No co?

– Po prostu... jesteś taka... – Śmiał się zbyt mocno, żeby dokończyć, sapiąc przy tym z bólu. Wykonał ręką gest, jakby wbijał młotkiem gwóźdź.

– Chyba dostałeś za dużo laudanum – stwierdziła. Pchnęła otwarte drzwi i wciągnęła go do środka.

Niemal zadławiła się od smrodu eterycznego spalania. Rozglądając się dookoła, poczuła mrowienie na karku. Zaslony były zaciągnięte, wpuszczając tylko tyle światła, by dostrzec, że pokój wygląda na pusty. Na środku podłogi porozrzucanych było kilka przedmiotów, których nie była w stanie zidentyfikować, jakby kiedyś mieszkało tu dziecko i pozostawiło po sobie część zabawek. Po raz pierwszy od paru tygodni poczuła wyimaginowaną obecność duchów tego domu, zmarłych bliskich Nathaniela. Poruszając się ostrożnie, posadziła go na podłodze i przeszła przez pokój, aby odsunąć zasłony.

Kurz zawirował we wpadających przez okno promieniach słońca. Spojrzała w dół i odskoczyła. W deskach podłogi, pod jej stopami, wryty był skomplikowany pentagram o rowkach zwęglonych i pokrytych zaskorupiałym brudem. Ciemne plamy znaczyły drewno wewnątrz i na zewnątrz wzoru – ślady krwi, niektóre tak wielkie, że zastanawiała się, czy oznaczają miejsce czyjejś śmierci. Przedmioty, które zauważyła, okazały się na wpół wypalonymi świecami, tkwiącymi w kałużach zastygłego wosku na każdym z pięciu wierzchołków pentagramu. Dwa inne spoczywały na podłodze na zewnątrz kręgu: pudełko zapalek i sztylet o ostrzu pokrytym warstwą kurzu.

Przypomniała sobie, co Silas powiedział jej tak wiele tygodni temu: „Nie chciałyś tego zobaczyć”. To tutaj został sprowadzony do ich świata, nie raz, w odległej przeszłości, ale wiele razy na nowo.

Nathaniel męczył się z pudełkiem zapalek; palce za bardzo mu drżały, żeby jedną wyciągnąć. Elisabeth wetknęła sobie Zabójcę Demonów pod pachę i wzięła je od niego.

– Chcę pomóc – powiedziała. – Jak się to robi?

Podniósł na nią wzrok. Był tak bardzo blady, a padające pod skosem światło przenikało cienką, przejrzystą tkaninę jego koszuli, wydobywając spod niej zarys jego ciała. On sam wyglądał jak duch.

– Jesteś pewna?

To było gorsze niż używanie lustra śledzącego, a nawet kradzież z Biblioteki Królewskiej. Swojego pierwszego dnia jako nowicjuszka, Elisabeth przysięgła chronić królestwo przed wpływem demonów. Gdyby wzięła udział w rytuale przywołania, a wieść o tym w jakiś sposób by się rozniosła, choćby jako najbledszy cień spekulacji, każda Wielka Biblioteka byłaby dla niej zamknięta. Żaden strażnik

nie chciałby z nią rozmawiać. Stałaby się wyrzutkiem z jedyne go świata, do jakiego kiedykolwiek należała.

Ale jej śluby nic nie znaczyły, jeśli kazały jej porzucać w potrzebie ludzi, na których jej zależy. Jeśli tego właśnie wymagałaby od niej praca strażniczki, to nie była jej pisana. Będzie musiała sama decydować, co jest słuszne, a co nie.

Chociaż nic nie powiedziała, Nathaniel ujrzał odpowiedź wypisaną na jej twarzy. Zacisnął dłoń w pięść. Myślała, że będzie próbował ją zniechęcić, ale on powiedział:

– Zapal je po kolei, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Uważaj, żeby pozostać na zewnątrz kręgu. Nie przekraczaj linii. To ważne.

Elisabeth niezdarnie zapaliła zapalniczką zabandażowaną ręką i obeszła pentagram dookoła. Kolejne świece budzące się do życia zdawały się symbolizować ofiarę z tego, co minęło, i początek czegoś nowego. Tak wiele wspomnień miały w sobie płomienie. Blask świec odbity w granatach na jelicu Zabójcy Demonów. Twarz strażnika Fincha skąpana w czerwonym świetle pochodni, kiedy ją pytał, czy zadaje się z demonami. *Księga oczu* obracająca się w popiół na wietrze.

Gdy zgasła ostatnią zapalniczkę, podniosła wzrok i ujrzała w dłoni Nathaniela sztylet. Zanim zdążyła zareagować, przejechał nim po odsłoniętym nadgarstku, obok blizny ciągnącej się w górę jego przedramienia. Ciął płytko, ale widok krwi na jego skórze i tak sprawił, że serce zadrżało jej z niepokoju, jakiego nigdy dotąd nie czuła wobec innej osoby. Kiedy skończył, sztylet wyslizgnął się z jego osłabłej dłoni.

– Odsuń się – powiedział. Przycisnął nadgarstek do krawędzi kręgu, pozostawiając na podłodze czerwoną smugę. Gdy znów się odezwał, w jego głosie rozbrzmiewało echo pradawnej mocy.

– Poprzez krew rodu Thornów, przyzywam cię, Silariathasie.

Silariathas. Prawdziwe imię Silasa. Nie wyslizgnęło się z jej umysłu, jak inne enochiańskie słowa, które słyszała z ust Nathaniela, lecz utkwilo w nim mocno, żarząc się, jak wypalone ogniem na powierzchni jej myśli.

Na zewnątrz słońce skryło się za dachami, pogrążając pokój w cieniu. Wietrzyk poruszył zastale powietrze, gasząc wszystkich pięć świec jednocześnie. Zastony drgnęły, a pośrodku pentagramu pojawił się Silas.

Miał na sobie tylko białą przepaskę owiniętą luźno wokół bioder. W swojej nagości wydawał się nie tylko szczupły, jak uważała wcześniej, ale wręcz chudy, niemal wynędzniały. Cienie podkreślały jego wystające żebra, kości nadgarstków, ostre krawędzie łopatek; postać pełną wdzięku w swej smukłości, jakby odartą ze wszystkiego, co zbędne. Rozpuszczone włosy opadały mu poniżej ramion prostą, srebrzystą kaskadą, przesłaniając przygnębioną twarz. Jego pierś w miejscu, gdzie przeszył ją miecz, była gładka. Wyglądał teraz inaczej – piękniej, bardziej przerażająco; mniej ludzko niż kiedykolwiek przedtem.

Uniósł głowę i się uśmiechnął.

– Witaj, Nathanielu.



PRZEZ CHWILĘ NIC się nie wydarzyło. Nathaniel spoglądał z podłogi na Silasa wzrokiem człowieka, który zaraz ma ruszyć w bój i wie, że może wygrać, ale zapłaci za to straszną cenę. Elisabeth nic z tego nie rozumiała. Nie spodziewała się radosnego powitania na środku przesiąkniętego krwią pentagramu, ale to... Coś było nie tak. Uśmiech Silasa miał w sobie coś dziwnego.

– Silasie – powiedziała, robiąc krok naprzód. – Wszystko w porządku?

– Stój. – Szorstkie, gwałtowne polecenie Nathaniela smagnęło ją jak policzek. Złapał ją za nadgarstek. – Nie dotykaj kręgu.

Bez trudu mogłaby mu się wyrwać. To spojrzenie Silasa zatrzymało ją w miejscu. Źrenice miał tak rozszerzone, że jego tęczówki zdawały się czarne, otoczone cienką, żółtą obwódką jak słońce podczas pełnego zaćmienia. W jego oczach nie było widać ani śladu jego zwykłej osobowości, żadnego znaku, że w ogóle ją rozpoznał.

– Nie może wyjść poza linie – powiedział Nathaniel – ale gdy tylko ich dotkniesz, odbierze ci życie. Zabije cię.

To nie miało sensu. Wczoraj rano Silas przyniósł jej śniadanie, pomógł założyć suknię i wpiął w uszy kolczyki. Ale Nathaniel nie mówiłby tak, gdyby nie był o tym przekonany.

– Co z nim jest? – szepnęła.

Nathaniel zacisnął na moment powieki. Pasma włosów kleiły mu się do lśniących od potu skroni.

– Jest głodny – powiedział po dłuższej przerwie. – Zwykle demony wysokiego rodu przyzywa się bezpośrednio po tym, jak skonał ich poprzedni pan. Kiedy są syte, łatwiej z nimi pertraktować. Ale minęło sześć lat od...

„Od śmierci Alistaira Thorna – dokończyła Elisabeth w myślach. – Od ostatniej zapłaty Silasa”.

– Silas to nie człowiek – ciągnął Nathaniel. – Kiedy jest w takim stanie, cały wspólnie spędzony czas, każda nić porozumienia między nami – to wszystko nie ma już znaczenia. Głód jest zbyt wielki.

A Silas nie był po prostu głodny. Był wygłodzony. Powoli zwrócił swoje niepokojące spojrzenie z powrotem na chłopaka. W żaden sposób nie okazał, że obchodzą go ich słowa, ani nawet, że je usłyszał.

– Silariathasie – powiedział Nathaniel z niepojętym dla Elisabeth spokojem, choć może był to efekt laudanum, utraty krwi albo po prostu faktu, że miał już wcześniej do czynienia z tą wersją Silasa. – Przyzwałem cię, aby odnowić nasz kontrakt. Oferuję dwadzieścia lat mojego życia w zamian za twą służbę.

– Trzydzieści – odparł demon cichym, chrapliwym głosem.

Nathaniel odpowiedział natychmiast, bez wahania.

– Dwadzieścia pięć.

– Proponujesz mi tak mało? – Silas spojrzał na niego z góry tak, jakby patrzył na wijące się robactwo. Jego szept chłostał jak marznący deszcz. – Nie zapominaj, kim jestem. Zanim ród Thornów pozyskał moje usługi, służyłem królom i cesarzom. Rzeki spływały krwią śmiertelników, których zabijałem na ich rozkaz. Ty jesteś zaledwie chłopcem, a ja poniżam się, składając twoje ubrania i parząc ci herbatę. Trzydzieści lat! Albo znajdę sobie nowego pana, takiego, który nagrodzi mnie odpowiednio do mojej wartości.

Nathanielowi zaczęły opadać powieki. Krzywiąc się, położył dłoń na piersi i złapał bandażę przez koszulę. Kiedy westchnął głośno, Elisabeth zorientowała się, że zadaje sobie ból, aby zachować przytomność. Siły go opuszczały i lada chwila mógł zemdleć. Zrobiłby wszystko, żeby odzyskać Silasa, nawet oddał życie, którego mogło mu już nie starczyć.

Nie mogła tego znieść. Demon bez cienia litości czy choćby zainteresowania przyglądał się cierpieniu chłopaka, który go kochał, i którego życie z takim poświęceniem ocalił.

– Nathaniel jest ranny, Silasie! – wykrzyknęła. – Nie widzisz?

Demon oderwał wzrok od Nathaniela, powoli, jakby sprawiało mu to trudność, i wbił je w Elisabeth. Zabrakło jej tchu na widok pustki w jego czarnych jak noc

oczach, ale nawet nie drgnęła.

– Wiem, że wciąż ci na nim zależy – powiedziała. – Zaledwie kilka godzin temu poświęciłeś się, żeby go uratować. Nie zmarnuj tego, prosząc go o tak wiele. Co, jeśli nie ma już trzydziestu lat do oddania?

– Panno Scrivener – wyszeptał, a ją przeszły ciarki; zatem jednak ją rozpoznał. W jakiś sposób tak było jeszcze gorzej. – W dalszym ciągu źle mnie oceniasz. Kiedy wziąłem na siebie ostrze kanclerza, zrobiłem to, wiedząc, że znów zostanę przywołany, tym razem za jeszcze wyższą stawkę. Widzisz poświęcenie tam, gdzie jest tylko egoizm.

– To nieprawda. Byłam przy tym.

– Jeśli chcesz tego dowieść – powiedział – wystarczy, że wejdiesz do wnętrza kręgu.

Wtedy ujrzała prawdę: spięte z wysiłku mięśnie, udrękę próbującą wyrwać się zza tej zimnej, wygłodniałej maski. Gdyby zrobiła krok naprzód, zabiłby ją; nie zdołałby się powstrzymać. Ale nie chciał jej skrzywdzić. Nie chciał też odebrać Nathanielowi trzech dekad życia. Wierzyła w to całym sercem.

– Weź te dodatkowe dziesięć lat ode mnie – powiedziała.

– Elisabeth – wychrypiał Nathaniel. – Nie.

Ona jednak ciągnęła nieustępliwie:

– Sam mówiłeś, że moje życie jest niepodobne do żadnego, jakie widziałeś. Chciałbyś go skosztować, prawda?

Wargi Silasa się rozchyliły. Błysk przemknął przez jego czarne oczy, lecz bitwa tocząca się w jego wnętrzu nie odbiła się na lodowatej powierzchni. Wreszcie wyszeptał:

– Tak.

– A więc weź je. Zakończmy to.

Przypomniała sobie noc, kiedy dał jej Zabójcę Demonów; chwilę, kiedy tak ją wystraszył, postępując w jej stronę. Teraz znów poczuła się tak samo, patrząc, jak jego głód ustępuje, a wraz z nim gaśnie jakiś okropny blask. Silas spuścił powieki i przez osłonę rzęs wbił wzrok w podłogę.

– Rozumiesz, że mogę służyć tylko jednemu śmiertelnikowi na raz? Dopóki będę istniał w tym świecie, pozostaniesz naznaczona, ale nie otrzymasz nic

w zamian.

– Wiem.

– Te same warunki, co poprzednio, panie Thorn?

Nathaniel podpierał się na jednej ręce, drżącej z wysiłku pod jego ciężarem, niezdolny spojrzeć na którekolwiek z nich. Cisza się przeciągała. Elisabeth czuła, jak próbuje znaleźć w sobie energię, aby się oprzeć, aby zaprotestować, i odkrywa, że dotarł do kresu swych sił. W końcu skinął ponuro głową.

Silas wyszedł z pentagramu i uklęknął przed nimi. Ujął wolną od bandaży dłoń Elisabeth i ją ucałował. Kiedy jego wargi, jedwabiste jak płatki róż, musnęły jej skórę, poczuła, jak obiecane mu dziesięć lat przepływa z jej ciała do niego – ogarnęła ją słabość i oszołomienie, jakby krew odpłynęła jej z głowy. Następnie demon ujął dłoń Nathaniela i powtórzył gest. Patrzyła, jak srebro na nowo wkrada się do włosów chłopaka, niczym strużka rtęci spływająca od korzeni w dół.

– Jestem twoim oddanym sługą – powiedział do niego Silas. – Przeze mnie dana jest ci moc uprawiania czarów. Wszystko, co rozkażesz, ja wypełnię.

Język plątał się Nathanielowi z wyczerpania.

– Nienawidzisz wypełniania rozkazów. Zawsze, gdy ci coś każę, starasz się, żebym tego pożałował.

Blady, piękny uśmiech rozświetlił twarz Silasa.

– Mimo wszystko.

Zaczął wstawać gładkim ruchem, ale nie zdołał go zakończyć, bo Nathaniel porwał go w ramiona i mocno uściskał. Silas wyraźnie nie przywykł do bycia obejmowanym. Zastygł pochylony, z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w czubek głowy Nathaniela, jakby liczył na to, że napotka wzrokiem jakąś dobrą wymówkę, żeby uwolnić się z tej kłopotliwej sytuacji. Nie znajdując takowej, uniósł rękę i ostrożnie położył ją na rozczochranych włosach swojego pana. Trwali przez chwilę w tej pozycji, aż ramiona Nathaniela zwiotczały i osunęły się po ciele Silasa. Zemdlał.

Sługa spojrział na niego i westchnął. Ułożył jego ręce i nogi w odpowiedniej pozycji, po czym podniósł go jak dziecko, które zasnęło przy ogniu i teraz trzeba je zanieść do łóżka. Widząc swobodną pewność, z jaką wykonał ten manewr, Elisabeth zrozumiała, że musiał to już robić wiele razy, choć bez wątplenia Nathaniel był wtedy dużo mniejszy. Silas nie miał trudności z udźwignięciem

swego pana, ale nie zmieniało to faktu, że w pełni dorosły mężczyzna stanowił, delikatnie mówiąc, nieporęczny ładunek.

– Zajmę się panem Thornem. – Silas przystanął, aby powąchać powietrze wokół Elisabeth. – A potem przygotuję panią kąpiel. Sądzę, że kolacja też by się przydała. I... czy nikt nie zapalił świateł? – zapytał ze zboląłą miną. – Nie było mnie ledwie dobie, a już wszystko wokół się wali.

Dom ożył i na nowo zapanował w nim porządek. Światło odpędziło ciemność napierającą na okienne szyby. Pościel została wymieniona, łóżka doprowadzone do porządku, a resztki posiłków usunięto. Odłamki potłuczonych lusterek zniknęły ze wszystkich pomieszczeń. Wreszcie, przeciągnąwszy palec wskazujący po kinkiecie w poszukiwaniu kurzu, Silas oznajmił, że przygotowuje coś do jedzenia, po czym zniknął w kuchni. Elisabeth siedziała przez kilka minut sama z Nathanielem, patrząc, jak śpi. Kusilo ją, żeby położyć głowę na pościeli i pójść w jego ślady, zamiast tego jednak zmusiła się, żeby wstać i zejść na dół. Musiała pomówić z Silasem.

Przeszła przez dom po cichu. Mimo to, kiedy dotarła do kuchennych drzwi, nie odwracając się, powiedział:

– Znalazłem lustro śledzące, panno Scrivener. – Jego ton brzmiał łagodnie. – Na przyszłość radzę nie używać zsypu na pranie do pozbywania się magicznych artefaktów.

Zmieszana, weszła do kuchni i przycupnęła na stołku przy palenisku. Widać tu było oznaki bytności Beatrice: bochenek chleba leżący obok deski do krojenia, resztki posiekanych warzyw. Na ogniu bulgotał garnek. Zanim Nathaniel ją wyrzucił, gotowała zupę.

Silas znów miał nieskazitelny strój służącego i związane włosy. Ze wzdrganiem przyglądał się efektom pracy Beatrice. Patrząc, jak wyrównuje deskę do krojenia względem do krawędzi blatu, Elisabeth szukała w sobie pretensji, strachu, złości w stosunku do niego, ale nic takiego nie znalazła. Zawsze był wobec niej szczery w kwestii swojej natury.

– Co zrobiłeś z lustrem? – zapytała.

– Umieściłem je na strychu, naprzeciw portretu Clothilde Thorn. Jeśli kanclerz spróbuje przez nie spojrzeć, ufam, że spotka go przykra niespodzianka. – Zanim Elisabeth zdążyła na to zareagować, dodał: – Spróbowałabyś tego bulionu i powiedziała mi, jak smakuje?

Znalazła chochlę i zanurzyła ją w garnku.

– Smaczny – oceniła.

– Ale nie nadzwyczajny?

– Nie, raczej nie – odparła, niepewna, czy istnieje coś takiego jak nadzwyczajny bulion.

– Tego się obawiałem – westchnął. – Muszę zacząć od początku.

Elisabeth patrzyła, jak kroi marchewkę i cebulę, zahipnotyzowana rytmicznym stukotem noża o deskę. Po wydarzeniach zeszłej nocy wydawało się niemożliwe, żeby jego alabastrowe dłonie wyglądały tak idealnie. Przed oczami stanęły jej wypalone, parujące rany; aż się wzdrygnęła.

– Silasie – zaczęła ostrożnie. – Jak Ashcroft cię złapał?

Nóż się zatrzymał. Nie potrafiła rozpoznać, czy ramiona sługi naprawdę zeszywniały lekko, czy tylko jej się zdawało.

– Posłużył się urządzeniem wynalezionym przez Kolegium w czasach reform, przeznaczonym do kontrolowania zbuntowanych czarowników poprzez chwytanie ich sług. Nie spodziewałem się tego. Nie widziałem takiego przyrządu od czasu, kiedy służyłem prapradziadowi pana Thorna.

– Przepraszam. – Żołądek ścisnął jej się z poczucia winy. – Gdybym nie poprosiła cię, żebyś poszedł...

– Nie przepraszaj mnie. – Jego głos brzmiał ostro, bliżej gniewu, niż kiedykolwiek go słyszała. – Byłem lekkomyślny. Sam jestem sobie winien.

Elisabeth w to wątpiła. Silas zawsze był niezmiernie drobiazgowy. Odniosła jednak wrażenie, że nie życzyłby sobie, żeby powiedziała to na głos.

Wreszcie znów się odezwał.

– Zeszedł na dół, żeby zapytać o życie, które mi oddałaś. Chciałaś wiedzieć, jak to działa.

Wyprostowała się z zaskoczeniem.

– Tak.

– Ale teraz naszły cię wątpliwości.

– Zastanawiam się, czy... może lepiej byłoby nie wiedzieć. – Zawahała się. – Mogę wciąż dożyć siedemdziesiątki albo umrzeć jutro. Gdybym wiedziała... Gdybyś mi powiedział... To chyba zmieniłoby moje podejście do życia. Wciąż bym o tym myślała, a tego nie chcę.

Silas siekał dalej, wiedząc, że jeszcze nie skończyła.

– Ale chciałabym wiedzieć... jak to się dzieje. Sam to robisz? Czy może po prostu...?

Wyobraziła sobie, jak jej serce zatrzymuje się w jednej chwili, a ona upada martwa na ziemię. To nie byłoby takie straszne, przynajmniej nie dla niej. Na myśl, że Nathaniel miałby umrzeć w ten sposób...

– Nie – odparł Silas. – To tak nie działa. – Tym razem on się zawahał. Po chwili podjął cicho: – Nie da się przewidzieć, ile lat przeżyje człowiek, ani w jaki sposób umrze. Życie jest jak olej w lampie. Można zmierzyć jego ilość, ale tempo, z jakim się spala, zależy od tego, jak w danym dniu obróci się pokrętło, jak jasny i mocny jest płomień. Nie można też przewidzieć, czy ktoś nie potrąci lampy i jej nie stłucze, podczas gdy mogłaby świecić jeszcze przez długi czas. Właśnie tak nieprzewidywalne jest życie. Dobrze, że nie masz wielu pytań, bo ja nie mam żadnych odpowiedzi. Część tego paliwa, siły życiowej, która kiedyś należała do ciebie i do pana Thorny, płonie teraz we mnie. Tylko tyle jestem w stanie ci powiedzieć. Reszta pozostaje niepewna.

Elisabeth w zamyśleniu oparła się o ciepłe kamienie kominka.

– Rozumiem. – To wyjaśnienie wydało się dziwnie pocieszające – świadomość, że nie pozostała jej żadna z góry określona ilość czasu i nawet Silas nie zna jej losu.

Ciepło kamieni koło posiniaczone, obolałe ciało dziewczyny. Powieki zaczęły jej opadać. Czuła się, jakby przebywała na wpół w kuchni, słuchając cichego pobrzękiwania garnków i patelni, a na wpół z powrotem w Summershall, śniąc o jesiennych jabłkach na skąpanym w złocistym świetle targu. Wreszcie zbudził ją Silas, nakrywając przed nią do stołu. Zaburczało jej w brzuchu, kiedy poczuła aromatyczną woń tymianku dobiegającą z postawionego na ogniu garnka. Zamrugła, wybudzając się do końca, i spojrzała na służącego, który unosił właśnie pokrywkę i zaglądał do środka.

Zastanawiało ją, skąd on wie, że jedzenie jest gotowe, skoro jego smak, i zapewne też zapach, są dla niego nieapetyczne.

– Czy ktoś ze służby nauczył cię gotować? – zapytała sennie.

– Nie, panienko. – Wyprostował się, żeby sięgnąć po miskę. – Ludzcy służący nie rozmawiali ze mną ani ja z nimi. Nauczyłem się przez praktykę, z konieczności. Apetyt dwunastoletniego chłopca jest niemal równie przerażający, co głód demona. Maniery również; wzdrygam się na samo wspomnienie.

Z zawstydzeniem sięgnęła po serwetkę i rozłożyła ją sobie na kolanach, dostrzegając spojrzenie, które posłał jej spod spuszczonej rzesy.

– Czyli zaczęłaś dopiero po śmierci Alistaira.

Skinał głową, nalewając zupę do miski.

– Z początku kompletnie nie miałem pojęcia, jak opiekować się panem Thornem. Trafił do mnie w kiepskim stanie; pobierając krew do rytuału przywołania, zadał sobie groźną ranę. To po niej została mu blizna, bo nie wiedziałem, jak się nią dobrze zająć...

Zwolnił, a potem znieruchomiał. Nieobecny wzrokiem oglądał nie wnętrze kuchni, lecz odległe wspomnienia. Ogień płonący na kominku rzucał odbłaski na jego młodzieńczą twarz, nadając alabastrowym rysom pozór koloru, lecz nawet to nie wystarczyło, żeby wyglądał jak śmiertelnik. Była świadoma, jak ogromna przepaść ich dzieli: jego wymykający się wyobraźni wiek oraz niepojęte ścieżki, którymi biegają jego myśli, jak trybiki obracające się we wnętrzu maszyny.

– Najpierw nauczyłem się parzyć herbatę – powiedział w końcu, bardziej do siebie niż do niej. – Kiedy ludzie chcą pomóc, bez końca proponują sobie nawzajem herbatę.

Elisabeth poczuła ucisk w piersi. Miała w głowie obraz dwóch różnych Silasów: tego z pentagramu, o oczach ciemnych, pustych i wyglodniałych, i tego z zalanego światłem księżyca pawilonu, z mieczem wbitym w pierś i wyrazem ulgi na twarzy.

– Kochasz go – powiedziała.

Silas odwrócił się do niej plecami, zakrywając z powrotem garnek.

– Przedtem tego nie rozumiałam – mówiła dalej cichym głosem. Pod stołem miała w dłoniach serwetkę. – Prawdę mówiąc, nie sądziłam, że to możliwe. Dopiero dzisiaj, kiedy wreszcie zobaczyłam dlaczego... – „Dlaczego odebrałaś

Nathanielowi dwadzieścia lat życia” – dokończyła w myślach, nie mówiąc tego na głos.

Silas wstał i postawił przed nią miskę.

– Smacznego, panno Scrivener – powiedział. – Zajrzę do pana Thorn'a i zobaczę, czy zdołam go nakłonić, żeby zjadł trochę bulionu.

Odwracając się, zauważył coś obok jej twarzy. Zatrzymał się. Wyciągnął ku niej rękę, niemal muskając pazurami szyję, i chwycił pasmo jej włosów. Serce jej zamarło. Kilka kosmyków lśniło srebrem na tle kasztanowych loków, spływających z jego dłoni. Znamię Silasa. Nie było tak widoczne, jak u Nathaniela, ale i tak będzie je musiała ukrywać – najlepiej ściąć, żeby uniknąć podejrzeń.

– Byłbym zapomniany – mruknął Silas, wpatrując się w srebrzyste włosy jak zahipnotyzowany. – To niezwykła oznaka zaufania ze strony mojego pana, że pozwolił ci usłyszeć moje prawdziwe imię. Jesteś pierwszą od wieków osobą spoza rodu Thornów, która je poznała. Teraz, jeśli zechcesz, możesz mnie przyzwać. Ale jest coś jeszcze, o czym musisz wiedzieć. Masz również władzę, żeby mnie wyzwolić.

Mimo wonnych wstążek pary unoszących się znad zupy, zaschło jej w ustach.

– Co masz przez to na myśli?

Przeniósł wzrok na jej twarz. W świetle ognia jego oczy wydawały się bardziej złote niż żółte.

– Związany służbą, istnieję jako nędzna imitacja mojej prawdziwej istoty, odarty z większej części swojej potęgi. Wewnątrz pentagramu ujrzałaś ułamek tego, czym jestem naprawdę, ale tylko ułamek. Gdybyś mnie wyzwoliła, zesłałabyś mnie na ten świat niczym plagę, kataklizm ponad wszelkie pojmowanie.

Zimny dreszcz przebiegł Elisabeth po plecach. Czyżby prosił ją, żeby to zrobiła? Na pewno nie. Nie widziała jednak innego powodu, dla którego miałby jej o tym mówić.

– Jako dziecko, pan Thorn raz to zaproponował – powiedział Silas cichym, łagodnym głosem. – Podobała mu się myśl, żeby mnie uwolnić, abyśmy mogli żyć jako równi sobie, a nie jako pan i jego sługa. Powiedziałem mu, żeby tego nie robił. Ciebie również pragnę przed tym ostrzec, chociaż przypuszczam, że nie ma takiej potrzeby. Nie wyzwalaj mnie, bez względu na to, co będzie się działo i w jak

straszliwej znajdziemy się sytuacji, bo zapewniam cię, że ja jestem znacznie gorszy.

Patrzył jej w oczy jeszcze przez chwilę, po czym wyprostował się i skłonił głowę.

– Dobranoc, panienko – powiedział i wyszedł, zostawiając ją skamieniałą przy kominku.



NASTĘPNEGO RANKA SILAS wniósł do domu pozostawiony na przedprożu egzemplarz *Informatora Brassbridge*. Choć pogryziony przez gargulca, wciąż był czytelny, a puls Elisabeth przyspieszył gwałtownie, kiedy rozłożyła go na pościeli w nogach łóżka Nathaniela, wygładziła i umieściła oderwane strzępy na swoich miejscach.

Nazwisko Ashcrofta było wszędzie. Przebiegła wzrokiem nagłówki na pierwszej stronie, nie mogąc się zdecydować, od czego zacząć. Kolumna po lewej głosiła: **POJEDYNEK NA ŚMIERĆ I ŻYCIE WYWOŁUJE CHAOS NA BALU KRÓLEWSKIM**. A po prawej: **MINISTERSTWO PILNIE USIŁUJE POWOŁAĆ NOWEGO KANCLERZA**. Jednak pogrubiony tekst na samym środku był zdecydowanie najbardziej ekscytujący: **OBERON ASHCROFT, KANCLERZ MAGII, PODEJRZANY O SABOTAŻE W WIELKICH BIBLIOTEKACH**.

Pochyliła się i zaczęła czytać.

Ze względu na jego liczne próby uciszenia Elisabeth Scrivener, kluczowego świadka w dochodzeniu w sprawie Wielkich Bibliotek, podejrzewa się, że kanclerz Ashcroft jest zamieszany w niedawną serię ataków. Zarzuca mu się usiłowanie morderstwa oraz nielegalne przywoływanie pomniejszych demonów. Magisterium otoczyło kordonem jego posiadłość, gdzie prawdopodobnie się ukrywa, ale jak do tej pory nie zdołało się przebić przez osłony...

Odplynęła myślami, przypominając sobie, co powiedział jej Ashcroft, kiedy po raz pierwszy się u niego zjawiała: że jego osłony były dość potężne, aby odeprzeć całą armię. Być może Magisterium miało nadzieję, że się podda, ale Elisabeth na to nie liczyła. Ashcroft nie uległby tak łatwo. Poza tym w pawilonie mówił tak, jakby nie było już istotne, czy prawda wyjdzie na jaw, bo jeśli jego plan się powiedzie, wszystko to straci znaczenie.

Nathaniel jęknął cicho. Podniosła wzrok, ale wciąż spał. Miotał się, trawiony gorączką; policzki miał rozpalone, a włosy mokre od potu. Patrzyła, jak odwraca głowę i niedosłyszalnie mamrocze coś w poduszkę. Luźna koszula nocna kleiła mu się do ciała, ale zsunęła się z jednego ramienia, odsłaniając połyskujący obojczyk.

Elisabeth wstała, wyjęła szmatkę ze stojącej nieopodal miski z wodą i wykrciła. Kiedy poskładała ją i położyła mu na czole, poczuła bijące od jego skóry ciepło, i to jeszcze zanim zbliżyła dłoń. Wzdrygnęła się, jakby mokra szmatka sprawiała jej ból. Ostrożnie pogładziła go po mokrych włosach; pod jej dotykiem westchnął i znieruchomiał. Jego oddech się uspokoił.

W jej wnętrzu coś się napięło, jak struny skrzypiec oczekujące na dotyk smyczka. Patrzyła na Nathaniela, a jej serce śpiewało bolesną pieśń, pozbawioną słów i melodii, a mimo to starającą się dojść do głosu. Było to uczucie zbliżone do cierpienia, bo zdawało się zbyt potężne, aby jej ciało mogło je pomieścić. Bardzo podobnie czuła się tam, w pawilonie, kiedy omal się nie pocałowali.

Podeszła do okna, gdzie przycisnęła rozpalony policzek do zimnej szyby. Za oknem fruwały lśniące płatki śniegu. Zaczęło sypać w nocy, wkrótce po tym, jak Nathaniel zbudził się z krzykiem, w malignie, z jakiegoś koszmaru i, drżąc, opadł w ramiona Silasa. Elisabeth nie mogła potem zasnąć, więc widziała, jak spadają pierwsze płatki. Śnieg od tamtej pory sypał bez przerwy, otulając grubym kocem gargulce, które od czasu do czasu otrząsały się, wzniecając tumany iskrzącej bieli. Połyskliwa warstwa lodu pokryła gałęzie ciernistych krzewów i dachy budynków wzdłuż całej ulicy. Elisabeth z zachwytem podziwiała ten widok. Nigdy dotąd w jej życiu burza śnieżna nie nadeszła o tak wczesnej porze roku.

Wciąż przyciskała twarz do okna, kiedy dobiegł ją odległy hałas, jakby bzyczenie – krzyki, zorientowała się nagle, zniekształcone w brzęczące wibracje przez szkło ołowiowe. Zmarszczyła brwi i wyteżyła wzrok. Scena, która ukazała się jej oczom, była tak absurdalna, że Elisabeth aż zamrugowała, zastanawiając się, czy nie ponosi jej wyobraźnia.

Jakiś człowiek sterczał z żywopłotu, z rękami i nogami zaplątanymi w kolczaste gałęzie, wołając o pomoc, podczas gdy wyrzeźbiony na kształt lwa gargulec pełził w jego stronę. Otworzyła szeroko oczy, widząc, że mężczyzna ma na sobie mundur listonosza. Zawiązała mocniej szlafrok i pognęła schodami na dół.

Drzwi frontowe same się przed nią otwały. Uderzył w nią powiew chłodnego powietrza, ciskając do holu płatki śniegu. Ledwie poczuła lodowate zimno, kiedy

jej bose stopy zapadły się głęboko w śnieg.

– Nie rób mu krzywdy! – zawołała do gargulca, który prężył się do skoku, wymachując kamiennym ogonem. Gdy podeszła i położyła mu dłoń na barku, agresywny grymas opuścił jego dziwaczny pysk, wyraźnie rzeźbiony przez kogoś, kto nigdy w życiu nie widział lwa.

– Dzięki Bogu, że panienka tu jest – wymamrotał listonosz. – Nie wiedziałem, że ten przeklęty żywopłot ożyje. Ci czarownicy, niech skonam. Dlaczego nie użyją magii, żeby odbierać swoje przesyłki i oszczędzić kłopotu nam, zwykłym ludziom?

– Chyba nie są na to dość praktyczni – powiedziała, pomagając mu wyplątać kończyny spomiędzy gałęzi. – Ostatnia rzecz, którą Nathaniel magicznie przywołał, o mało nie spadła mi na głowę i mnie nie zabiła. Dziękuję. – Obróciła w dłoniach paczkę, którą jej podał, i serce jej podskoczyło, kiedy zobaczyła nazwisko nagryzmołone nad adresem zwrotnym: Katrien Quillworthy.

Listonosz pomachał jej na pożegnanie. Wycofywał się już pośpiesznie przez przejście, które odsłonił przed nim żywopłot.

– Proszę tylko powiedzieć temu swojemu czarownikowi, żeby przystopował ze śniegiem. Pada nad całym miastem, wie panienka, nie tylko w Parku Cykuty. Jak tak dalej pójdzie, rzeka do nocy zamarznie na lód. Połowa domów na mojej trasie zasypana śniegiem, korki, że się przejechać nie da...

Już miała zaprotestować, ale przypomniała sobie, że odkąd przyśnił mu się koszmar, Nathaniel mamrotał nieskładnie, podczas gdy jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze. To nie byłby pierwszy raz, kiedy rzucał zaklęcia przez sen.

Podniosła wzrok na mlecznobiałe niebo z jeszcze większym zachwytem. Płatki śniegu opadały, wirując, i lądowały jej na włosach i rzęsach. Gwarną zazwyczaj ulicę spowiła cisza tak głęboka, że niemal była w stanie usłyszeć kryształki lodu pobrzękujące w chmurach: wysoki, czysty dźwięk, jakby ktoś wystukiwał na klawiaturze pianina najwyższe nuty daleko ponad dachami budynków.

„Nathaniel to zrobił” – pomyślała.

Powtórzyła w myślach, jak nazwał go listonosz. „Ten twój czarownik”. Czy tak teraz wszyscy o nich myśleli? Nagle poczuła się dziwnie niezgrabna, jakby świat przekrzywił się o kilka stopni. Ściskając paczkę, pośpiesznie wróciła do środka.

W gabinecie zerwała papier i, wstrzymując oddech, rozwinęła znajdującą się w środku piękną mapę Austermeer. Zdążyła już zapomnieć, że się jej spodziewała. Katrien wysłała ją prawie dwa tygodnie temu, kiedy zaczęli swoje spotkania; znalazła ją, całą zakurzoną, w jednym ze schowków Wielkiej Biblioteki. Od początku planowali powiesić ją nad kominkiem.

Elisabeth wspięła się na palce i przyczepiła ją do ściany. Kiedy się odsunęła, zobaczyła, że Katrien zakreśliła czerwonym tuszem miejsca zaatakowane przez Ashcrofta. Knockfeld. Summershall. Fettering. Marszcząc brwi, odszukała na biurku pióro i kałamarz, i zakreśliła również Fairwater. Po zaznaczeniu czterech bibliotek, Harrows – piąty i ostatni cel – stanowiło dopełnienie niemal idealnego okręgu biegnącego wokół królestwa.

Usiadła powoli. Ten wzór coś jej przypominał. Gdzieś z tyłu głowy tkwiła na wpół uformowana myśl, niedająca jej spokoju, ale umykała, ilekroć próbowała się na niej skupić, pozostając zawsze tuż poza zasięgiem. Raz za razem obiegała wzrokiem mapę. Obok Biblioteki Królewskiej, w samym środku okręgu, Katrien postawiła znak zapytania. Nigdy nie doszli do tego, czy Ashcroft zamierza zaatakować Brassbridge, kiedy już upora się z Harrows.

Na moment całe otoczenie znikło i znalazła się znów w Dworze Ashcroftów, unosząc kieliszek szampana do toastu. Usłyszała swój własny głos pośród głosów innych gości, powtarzających za Ashcroftem: „Za postęp”. Widmowy śmiech odbił się echem w jej uszach. Co jej umyka? Sfrustrowana, przycisnęła kłyckie do zamkniętych oczu, aż pod powiekami rozlały się jej plamy koloru.

Nie powinna siedzieć bezpiecznie w domu Nathaniela. Powinna być gdzieś indziej, robiąc coś, walcząc z Ashcroftem. Ale tej bitwy nie była w stanie wygrać sama. Upływały minuty, a ona mogła tylko czekać.

Gorączka Nathaniela spadła nazajutrz rano. Kiedy Silas zmieniał mu bandażę, płócienne pasy okazały się czyste, a rany pod spodem nie wyglądały już na groźne i rozpalone; przez noc zmieniły się w różowe blizny, jakby goiły się już od tygodnia.

– To zasługa osłon – wyjaśnił Silas, widząc minę Elisabeth, gdy szykował się do zdjęcia szwów. – Kamienie, z których zbudowano ten dom, były nasycane magią

przez przodków pana Thorna od setek lat. To zaklęcia ochronne i leczące, mające na celu strzec każdego dziedzica.

Po południu opady śniegu stopniowo zelżały, a miejsce wielkich płatków zajął drobny, migotliwy pył – i w samą porę, bo zasy na parapetach były już głębokie na osiemnaście cali, grzebiąc pod sobą gargulca, który zajął pozycję na dachu obok. Wnętrze domu było wyciszzone, jakby ściany wypchano puchem z pierza. Nie mając już nic do roboty, Silas przemienił się w kota i zasnął zwinięty w kłębek u stóp Nathaniela, z nosem wetkniętym pod ogon. Elisabeth przyglądała im się sennie, zaskoczona, że Silas też sypia. Zawsze wyobrażała sobie, że spędza bezsenne noce, polerując srebra albo krążąc ulicami Brassbridge i załatwiając jakieś tajemnicze sprawy. Czy miał swój własny pokój w posiadłości? Nigdy nie widziała miejsca, gdzie mógłby trzymać ubrania. Powieki jej opadły. Kiedyś zapyta o to Nathaniela...

Jakiś czas później otworzyła oczy i odkryła, że zapadł już zmrok. Płomienie trzaskały w kominku, a Silas nakrył jej nogi kocem. Zaparło jej dech, kiedy przeniosła wzrok na Nathaniela. Już nie spał. Wsparty o wezgielnie wpatrywał się w ciemny korytarz, jedną rękę trzymając swobodnie na zabandażowanej piersi, a z jego szarych oczu nie dało się nic wyczytać w świetle porozstawianych po pokoju świec. Gdy się poruszyła, spojrzął na nią i westchnął gwałtownie. W jego oczach lśniło cierpienie.

– Dziesięć lat, Elisabeth. – Głos łamał mu się z emocji. – Nie powinnaś była tego robić. Nie dla mnie.

Szykowała się w duchu na ten moment przez długie godziny oczekiwania, próbując wyobrazić sobie, jak Nathaniel zareaguje, gdy odzyska zmysły na tyle, żeby przypomnieć sobie, co się stało, ale i tak nie była gotowa na to, co ujrzała w jego twarzy. Myślała, że może się na nią rozzłościć albo zbesztać ją za głupotę. Teraz, kiedy patrzył na nią z czystą rozpaczą, zdała sobie sprawę, że nie mogła się bardziej mylić. Jeden po drugim, wszystkie ćwiczone przez nią argumenty straciły sens.

Cichym głosem zapytała:

– Czy ty zrobiłbyś dla mnie to samo? Myślę, że tak.

– To nie... – Ale nie mógł dokończyć, bo jego wzburzone spojrzenie jasno mówiło: „Oczywiście; to i dużo więcej. Cokolwiek. Wszystko”. Zacisnął powieki,

aby nie zdradzić się jeszcze bardziej, ale ona widziała już dość. Opanowanym tonem ciągnął: – Kiedy Silas sprowadził cię tu z powrotem, wiedziałem, że z naszych wzajemnych kontaktów nie wyjdzie nic dobrego. Każdego dnia modliłem się w duchu, żebyś odeszła. – Przejechał dłonią po twarzy. – Myślałem... miałem nadzieję... że po tej bitwie może się opamiętasz. Że obudzę się, a ciebie już nie będzie.

Jego słowa były ostre. Wstrzymała oddech, czekając na ciąg dalszy.

– Ale ty zostałeś ze mną, a ja samolubnie się z tego ucieszyłem. Nigdy niczego w życiu nie pragnąłem bardziej. Niech cię diabli – jęknął. – Ty uparta, przewrotna istoto. Sprawiaś, że w końcu w coś uwierzyłem. To dokładnie tak okropne uczucie, jak się spodziewałem.

Otarła wilgoć z policzka.

– Nie lubiłbyś mnie, gdybym nie była uparta – powiedziała, a on parsknął cichym śmiechem, udręczonym, jakby wbiła mu nóż między żebra. Chyba rozumiała, co czuje, bo ona czuła to samo: radość będącą jednocześnie bólem, nieznośną, rozpalającą serce tęsknotę.

– Na pewno masz rację – przyznał ochryplym głosem. – Choć po prawdzie mogłaś sobie darować przewracanie na mnie regału podczas naszego pierwszego spotkania.

– To wydarzyło się tylko raz – powiedziała – i były okoliczności łagodzące.

Znow się zaśmiał, tym razem głośniejszym, z zaskoczeniem. Spojrzał Elisabeth w oczy, a jej zaparło dech w piersi. Jego uczucie do niej było widoczne jak na dłoni, namacalne jak niewidoczna nić wiążąca ich ze sobą. Zesztywniał i odwrócił wzrok, trafiając spojrzeniem na okno.

– Padał śnieg? – zapytał.

– Ty go wywołałeś, przez sen. – Widząc przerażenie na jego twarzy, dodała szybko: – Wszystko dobrze. Nikomu nie stała się krzywda. To tylko śnieg. – Wstała i wzięła go za rękę. – Chodź zobaczyć.

Nathaniel zdawał się pełen wątpliwości, ale wygramolił się sztywno z łóżka i pozwolił zaprowadzić się do okna. Kiedy usadowili się we wnęce, Silas otwarł jedno żółte oko. Przyglądał im się przez moment, po czym zeskoczył z łóżka i wydreptał z pokoju.

Na poduszkach pod oknem ledwie starczało miejsca dla nich obojga. Od szyb bił chłód, ale ciało Nathaniela, wygrzane w ciepłym łóżku, było tuż obok; stykali się zgiętymi nogami.

Śnieg odmienił miasto. Powietrze było czyste i jasne. Nawet w błękitnym, wieczornym półmroku widziała horyzont ponad dachami budynków o pokrytych bielą gontach. Z kominów unosiły się smugi dymu, a chmury rozstały się, odsłaniając gwiaździste niebo. Każda drobina światła lśniła odbita od śniegu; ciepły, jasny blask latarni i chłodny połysk gwiazd niemal całkowicie rozpędzały ciemność. Noc nigdy w pełni nie zapadnie w obecności tak wielu świateł.

Spodziewała się, że ulice będą puste, i w większości faktycznie były – żadnych wozów ani ludzi robiących zakupy. Widziała jednak mieszkańców kroczących przez śnieg w złocistym blasku latarni, czasem całe grupy, czasem pary trzymające się za ręce, a wszyscy zmierzali w ciszy w tym samym kierunku. W tej procesji było coś niemal uświęconego; przypominała wizję świętych, odchodzących w zaświaty.

– Dokąd oni idą? – zapytała.

– Nad rzekę. – Oddech Nathaniela zaparował szkło. Napięcie powoli uchodziło z jego zeszywniałych ramion. – Kiedy zamarza, wszyscy idą na łyżwy.

– Nawet po ciemku?

Skinał głową powoli, jakby nieobecny.

– Od lat nie byłem... zawsze chodziłem z moją rodziną. Zapalają ogniska wzdłuż brzegu i pieką tyle kasztanów, że da się trafić po samym zapachu. – Urwał. – Jeśli chcesz, zabiorę cię tam tej zimy.

Istniała nieskończona liczba powodów, aby odmówić. Mało prawdopodobne, żeby zima ją tu zastała. Może nawet jej nie dożyje. Zaledwie dwadzieścia minut jazdy powozem stąd, Ashcroft siedział w swojej posiadłości i knuł intrygę.

Jednak Elisabeth zdawało się, że zło nie może istnieć w tej chwili, w tym miejscu, kiedy ci wszyscy ludzie, w blasku ulicznych lamp, pielgrzymują nad rzekę; na świecie było zbyt wiele piękna, aby zło miało jakąkolwiek szansę zwyciężyć.

– Chciałabym – powiedziała.

– Jesteś pewna? Ja już mam wątpliwości. Właśnie wyobraziłem sobie, jak pędzisz przed siebie z nożami przyczepionymi do stóp.

Zmarszczyła brwi. Uśmiechał się szeroko. Z ukłuciem bólu zdała sobie sprawę, że brakowało jej tego uśmiechu: szelmowskiego wyrazu, jaki nadawał jego twarzy, rozbawienia lśniącego w jego oczach jak odbłyśki słońca tańczące na wodzie. Patrzyli na siebie, a sekundy mijały, aż jego uśmiech zaczął blednąć.

– Nie przestawaj – powiedziała, ale nic z tego. Znów wyglądał poważnie.

Jednak nie była to ta sama powaga, co przedtem. Coś się między nimi zmieniło. Wyraźnie czuła każdy punkt, w którym stykają się ich ciała, a biło od nich już nie ciepło, lecz gorąc, napływający jej do policzków i ściskający żołądek w słodkim, niemal bolesnym oczekiwaniu.

Przełknęła ślinę.

– Chciałam zapytać... – powiedziała. – Kiedy byliśmy w pawilonie... kiedy się... – Nathaniel patrzył na nią tak, że niemal nie była w stanie dokończyć. – Czy to byłeś ty? – zapytała. – Czy wpływ zaklęcia Ashcrofta?

Nie odpowiedział słowami. Zamiast tego nachylił się i pocałował ją ustami miękkimi jak gnieciony aksamit, wplatając palce w jej włosy.

Po chwili się odsunął. Zaląła ją fala rozczarowania, ale oddalił się tylko na tyle, żeby oprzeć czoło o jej głowę.

– Boże, Elisabeth. Byłem zgubiony od momentu, kiedy zobaczyłem, jak łomem zrucasz biesa z mojego powozu. Jak mogłaś się nie zorientować? Silas od tygodni przewraca oczami.

Roześmiała się. Nagle tak wiele rzeczy, które mówił i robił, nabrało sensu. Poczowała się odmieniona tym odkryciem. W tej chwili nie istniało nic oprócz ich zmieszanych oddechów, chłodu okna stykającego się z jej skórą, wspomnienia ust Nathaniela muskających miękko jej własne. Teraz to ona się nachyliła.

– Czekaj – powiedział, z wysiłkiem wydobywając z gardła słowa. – To... Nie powinniśmy.

– Dlaczego?

– To nie byłoby wobec ciebie uczciwe. Nie mogę ci zaofiarować pewnej przyszłości. Już jako dziecko porzuciłem wszelką nadzieję, że będę wiódł dobre czy normalne życie. Skazywać na to ciebie, ciągnąc cię za sobą w ciemność...

Czułość nabrzmiała jej w piersi. Z nim wszystko zawsze było takie skomplikowane. Wymacała jego dłoń, spoczywającą na jej policzku, i ujęła ją w swoją.

– Już jestem z tobą i bardzo mi z tym dobrze – powiedziała. – Wystarczy mi taki, jaki jesteś, Nathanielu Thornie. Nie chcę niczego więcej.

I nagle całowali się znowu, mocno, pospiesznie. Tam, w pawilonie, miała rację; naprawdę czuła się, jakby tonęła, zapadała się w odmęty, rozpaczliwie łapiąc oddech. Usta Nathaniela były jej tak niezbędne, jak powietrze, a świat odpływał w dal, gdy oni zanurzali się wspólnie w niezgłębioną otchłań doznań. Sięgnęła ku niemu, pragnąc poczuć go blisko siebie, i usłyszała, jak na moment traci oddech. Zbyt późno przypomniała sobie o ranach na jego piersi. Zanim zdążyła przeprosić, przyparł ją do poduszek.

Wpatrywał się w nią z góry, wsparty na rękach; oczy miał ciemne, wargi zaróżowione. Rozpuszczone, zmierzwione włosy rzucały błękitne cienie na ostre rysy jego twarzy, i przez głowę przemknęła jej myśl, że niedługo będzie musiał je ściąć albo zacząć wiązać z tyłu, jak Silas.

Przeniósł ciężar ciała na jedno ramię i sięgnął po pasek jej szlafroka. Z sercem podchodzącym do gardła, pokiwała głową. Patrzyła, jak zręcznie rozwiązuje supeł, posługując się tylko jedną ręką, i z niezmierną ostrożnością rozchyła poły szlafroka. Światło świec zaśniło na bladokremowym atłasie jej koszuli nocnej. Czuła, jak jej oddech przyspiesza, a pierś unosi się i opada; jedwabny rąbek koszuli łaskotał jej skórę, śliska tkanina kleiła się do ciała.

– Walczyłam z *Księżką oczu* w koszuli nocnej – powiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

– W takim razie – odparł – przypuszczam, że nie mam szans.

Nie wiedziała, czy żartuje, czy mówi poważnie. Twarz miał niemal udręczoną. Zlitowała się nad nim i położyła mu dłonie na ramionach, drżąc ze zdenerwowania jak trącona struna skrzypiec, kiedy przyciągała go ku sobie.

Tym razem, gdy pierwszy poryw emocji już minął, pocałowali się delikatnie, nieśmiało. Nathaniel ujął jej twarz w dłonie i pogładził ją po włosach, a potem przejechał ręką wzdłuż jej boku, aż odnalazł talię, zahaczając o atłas szorstkimi od odcisków palcami. Jej skóra stała się tak wrażliwa na jego dotyk, że, ku swemu zaskoczeniu, zadrżała z rozkoszy; śliska tkanina koszuli nocnej zlała się w jedno z jej ciałem tak, że mogłaby zapomnieć, że ma cokolwiek na sobie. Czuła już tylko ciepło ich ust i oddechu, uścisk dłoni Nathaniela na swoim udzie, poruszające się mięśnie pleców, kiedy muskała opuszkami palców jego ramiona, zdumiona, jak

silny się wydaje i jak doskonale ich ciała pasują do siebie, jakby do tego zostały stworzone. Obróciła głowę, żeby mógł całować ją po szyi. Chłodne powietrze przy oknie smakowało jak śnieg i gwiazdy, a światła miasta lśniły przez zamarzniete wzory na szybie.

Czas jakby zwolnił. Odbite w szkle drżące płomienie świec zastygły w bezruchu. Migotliwe płatki śniegu zawisły w powietrzu. Nie wiedziała, czy to czary Nathaniela, czy też zupełnie inny rodzaj magii.

Nagła, gwałtowna fala radości wstrząsnęła jej ciałem. Miała wrażenie, że mogłaby wyskoczyć przez okno i wzbić się w powietrze, wysoko ponad dachy miasta, niewrażliwa na zimno. Zamknęła oczy i objęła Nathaniela, czując na skórze dotyk jego ust, zatracając się w tym obezwładniającym doznaniu.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Policzki Elisabeth spłonęły rumieńcem i oboje poderwali się z miejsca. Jeszcze parę minut temu drzwi były otwarte. Silas musiał w którymś momencie je zamknąć, a ona mogła sobie tylko wyobrażać, co wcześniej zobaczył.

– Możesz wejść – powiedziała, owijając się szlafrokiem.

Drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem. Twarz demona jak zwykle nie zdradzała jego myśli. Natychmiast zawstydzila się pomysłu, że przeżywszy tyle wieków pośród ludzi, Silas mógłby poczuć wzburzenie na widok jej i Nathaniela.

– Panie – powiedział. – Panno Scrivener. Przepraszam, że przeszkadzam, ale musicie przyjść bezzwłocznie. Coś dzieje się z egzemplarzem *Codex daemonicus*.

Przez ułamek sekundy Elisabeth siedziała bez ruchu, a słowa Silasa dźwięczały jej w uszach. Potem zerwała się, o mało nie przewracając fotela, kiedy pospiesznie sięgała po leżącego w kącie Zabójcę Demonów. Niewiele myśląc, wypadła z pokoju.

Oczy ją zapiekły. Zakaszła. W korytarzu unosiła się jakby mgiełka; gdy dotarła do schodów, ujrzała tłuste chmury dymu buchające z holu. Kwaśny, niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym odór płonącej skóry wciskał się jej do nosa. Pędząc po stopniach, niejasno zdawała sobie sprawę, że Nathaniel i Silas podążają za nią.

– Czy coś wylało się na *Codex*? – zawołała przez ramię, przebiegając w myślach podjęte przez nich środki ostrożności. Od tamtej nocy, kiedy księga przemieniła się w malefikt, Elisabeth uważała, żeby nie stawiać w pobliżu żadnych świec. Ale

może wybuchła któraś z mikstur w gabinecie Nathaniela albo jakiś magiczny artefakt wymknął się spod kontroli...

– Nie, panienko – odparł Silas. – Jeszcze chwilę temu wszystko było w porządku.

Elisabeth skręciło w żołądku. Jeśli *Codex* nie został uszkodzony po ich stronie, mogło to oznaczać tylko jedno.

Ashcroft dostał się do środka.



KIEDY ELISABETH DOTARŁA do gabinetu, zatrzymała się gwałtownie, mrużąc oczy i próbując dojrzeć coś wśród wypełniającego pomieszczenie dymu. Widok, który ujrzała, zmroził jej krew w żyłach. *Codex* unosił się kilka cali nad biurkiem Nathaniela, z rozpostartymi kartkami, wygięty pod tak strasznym kątem, że gotów był połamać sobie grzbiet. Płomienie tańczyły na krawędziach stronic, a skórzana okładka pokryła się bąblami, jak powierzchnia wrzącej smoły.

Nathaniel zjawił się u jej boku z koszulą naciągniętą na nos dla ochrony przed dymem.

– Wygląda, jakby ktoś go torturował.

Elisabeth właśnie tego się obawiała.

– Muszę do niego wejść – powiedziała, ruszając w stronę grymuaru.

Złapał ją za ramię.

– Czekaj. Nie mamy pojęcia, co się dzieje. Możesz utknąć w środku.

Na widok jego pobladłej twarzy żal przeszył ją jak ostrze. Dałaby wszystko, aby cofnąć czas i znów być razem z nim na górze, z dala od kłopotów.

– Masz rację, ale nie mamy innego wyjścia. Jeśli Ashcroft torturuje Prendergasta, muszę go powstrzymać albo chociaż spróbować.

Otwarł usta, żeby zaprotestować, ale nie usłyszała jego słów. Zdażyła już wyciągnąć rękę i pochwycić *Codex*, którego oprawa, nawet przez bandażę, paliła jej dłoń jak rozgrzane żelazo. Świat wokół niej zawirował.

Pojawiła się w warsztacie Prendergasta i omal nie upadła, ślizgając się po mokrych deskach. Pomieszczenie wyglądało, jakby przeszło przez nie trzęsienie ziemi: stół leżał przewrócony na bok, a belki sufitowe były popękane. Wymiarem znów zatrzęsło; kilka słoików zsunęło się z wygiętych półek i roztrzaskało, rozchlapując po podłodze swoją oślizgłą zawartość.

Tym razem nie zjawiała się tu sama – dłoń Nathaniela ścisnęła jej ramię. Za nim stał Silas, który z kolei trzymał jego nadgarstek. Spojrzeli po sobie. Albo Prendergast wpuścił ich z rozmysłem, albo nie był już w stanie powstrzymać ich przed wejściem.

– Och, cudownie – powiedział Prendergast słabo. – Jeszcze więcej gości. Darujcie, że nie wstanę, żeby wam podać herbatę.

Leżał zwinięty na podłodze między dwoma pochylonymi półkami, jakby ktoś cisnął go tam niczym zmiętą szmatę. Elisabeth podbiegła i kucnęła przy nim. Jego cera miała kolor owsianki, a twarz wykrzywiła mu ból.

– Co się stało? – zapytała. – Gdzie Ashcroft?

Prendergast wybuchnął kaszlem. Kiedy doszedł do siebie, wydyszał:

– Rozminęłaś się z nim o sekundę. Odbyliśmy uroczą pogawędkę. – Elisabeth zdusiła w sobie frustrację, gdy jego wychudzoną sylwetką wstrząsnął kolejny atak kaszlu. – Pomóż mi usiąść, dziewczyno – wysapał w końcu. – Właśnie tak. Chcę zobaczyć, co zrobił z moim... och. – Zamilkł. Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Po przeciwnej stronie pokoju połamane krawędzie podłogi żarzyły się dokładnie tak samo, jak strony *Codexu*, a popioły wirowały w powietrzu i odpływały w pustkę.

– Wymiar się zapada – poinformował ją Nathaniel, podchodząc bliżej. – Nie możemy tu zostać długo. Najwyżej kilka minut.

Prendergast otworzył szeroko oczy.

– Ty. Jesteś Thornem. – Zwracając się do Elisabeth, warknął: – Czyś ty rozum postradała, że sprowadzasz tu kogoś takiego? Masz pojęcie, kto to jest?

Nathaniel zeszywniał. Odruchowo przecesał palcami włosy – zorientowała się, że próbował w ten sposób zamaskować nieco srebrzyste pasmo.

– Rozumiem, że nie przyjaźnił się pan z Baltasarem.

Prendergast się skrzywił.

– O, to na pewno, niech go demony. Ci z nas, którzy mieli choć trochę oleju w głowie, trzymali się od niego z daleka. Nawet Cornelius się z nim nie zadawał. A ty, chłopcze, wyglądasz kropka w kropkę jak on.

Nathaniel sprawiał wrażenie, jakby zbierało mu się na mdłości. Elisabeth nie mogła pozwolić, żeby to trwało dłużej.

– Musimy wiedzieć, co się stało – wtrąciła się. – Czy Ashcroft wróci? Nie wiem, czemu miałby stąd odchodzić, chyba że... – Urwała. Prendergast unikał jej wzroku. – Chyba że wyjawiał mu pan swój sekret – dokończyła.

– Na swoją obronę powiem – odparł – że ból jest znacznie bardziej przekonujący, kiedy się go nie czuło od setek lat. – Skulił się pod spojrzeniem Elisabeth.

– Co mu pan powiedział? Musimy wiedzieć!

– Jeśli myślisz, że pozwolę, aby prawda wpadła w ręce Thorna...

– To bez znaczenia! Wszystko skończone! – Powstrzymała chęć, aby potrząsnąć nim tak, żeby zadzwoniły mu zęby. – To wszystko, wszystko, co pan zrobił – zamasztyłem gestem wskazała warsztat – pójdzie na marne, jeśli nam pan nie pomoże. Nathaniel przyszedł tu, żeby powstrzymać Ashcrofta. Może pan w to nie wierzy, ale czas się kończy. To pańska ostatnia szansa, żeby wszystko naprawić.

Prendergast zwiesił głowę, krzywiąc usta w grymasie. Minęło kilka sekund. W końcu podjął decyzję.

– Patrz uważnie – rzucił kwaśno. – Nie mam zamiaru się powtarzać.

Zerwał z chudych palców sześć pierścieni. Elisabeth i Nathaniel patrzyli, zbici z tropu, jak zaczyna układać je na podłodze. Zrozumienie spłynęło na nich, kiedy umieścił ostatni pierścień. Elisabeth wszędzie rozpoznałaby ten kształt. Jeden pierścień pośrodku, a pozostałe pięć rozmieszczone wokół niego w równych odstępach tak, aby tworzyły okrąg.

– Jaki wzór ułożyłem? – zapytał.

– Wielkie Biblioteki – odpowiedziała Elisabeth w tej samej chwili, gdy Nathaniel, z równym przekonaniem, stwierdził: – Pentagram.

Zapadła cisza.

Elisabeth spojrzała raz jeszcze, tym razem uważniej. Oczami wyobraźni ujrzała linie łączące pierścienie Prendergasta, układające się we wnętrzu okręgu w gwiazdę. To *był* pentagram. Zarazem jednak była to mapa Wielkich Bibliotek. I jedno, i drugie.

Przerażenie wycisnęło jej powietrze z płuc.

– Odwrotnie do ruchu wskazówek zegara – szepnęła. Kiedy Nathaniel na nią spojrzał, powiedziała: – Coś nie dawało mi spokoju przez cały dzień, odkąd

przyszła mapa od Katrien. Teraz już wiem, o co chodziło. Ataki na Wielkie Biblioteki odbywają się odwrotnie do ruchu wskazówek zegara. Knockfeld, Summershall, Fettering, Fairwater. Potem Harrows. To przypomniało mi, jak zapalałam świece do przyzwania Silasa.

– Mów dalej, dziewczyno. – Ciemne oczy Prendergasta zalśniły. – Już prawie do tego doszłaś.

Zwróciła się do niego:

– Cornelius wybudował Wielkie Biblioteki.

– Tak. Postawił je, żeby stworzyć krąg przywołań.

Elisabeth zakręciło się w głowie. Przeszło jej przez myśl, czy nie jest przypadkiem chora. Nie chciała wierzyć Prendergastowi. Jeśli mówił prawdę, to by znaczyło, że instytucję Kolegium wzniesiono na fundamentach najgorszego z możliwych kłamstw. Jej własne życie też było kłamstwem. Magia, która płynęła jej w żyłach, piękno i majestat Wielkich Bibliotek – czy to wszystko mogło służyć tylko temu jednemu?

Głos jej się rwał, gdy z wysiłkiem mówiła:

– Te malefikty... Ashcroft chciał, żeby zostały pokonane, prawda? O to chodziło w aktach sabotażu. Używa ich zamiast świec.

Prendergast skinął głową.

– Rytuał takich rozmiarów wymaga czegoś więcej niż knot zanurzony w wosku. Kiedy malefikt ulega zniszczeniu, wyzwala ogromną ilość demonicznej energii. Umieszczając taką ofiarę na każdym ramieniu pentagramu, otrzyma się moc dostateczną, aby rozerwać barierę i dokonać znaczniejszego przywołania.

Elisabeth wbiła sobie paznokcie w dłonie. Na nowo poczuła, jak przebija *Księgę oczu* klingą Zabójcy Demonów, ujrzała strumienie atramentu tryskające, gdy przekreśliła ostrze. Nieodzowny element planu Ashcrofta, wypełniony jej własnymi rękami.

– Ale *dłaczego?* – wtrącił się Nathaniel. – Po co tworzyć taki wielki krąg? Zwyczajne pentagramy sprawdzają się doskonale. Nie ma absolutnie żadnego powodu... – Urwał, przeszywając Prendergasta spojrzeniem zmrużonych oczu. – Ashcroft potrzebował czegoś od ciebie, żeby móc dokończyć rytuał. Czego?

Prendergast odwzajemnił ostre spojrzenie Nathaniela. Wrogość odbiła się cieniem na jego twarzy.

- Imienia. Jego właśnie strzegłem przez wszystkie te lata.
- Imienia – powtórzył Nathaniel płaskim głosem.
- Wiecie, że istnieją pomniejsze demony – biesy, gobliny i tak dalej, najniższe warstwy demoniego społeczeństwa. Wiecie też, że rządzą nimi demony wysokiego rodu, jak ten wasz. Ale te szlachetnie urodzone mają nad sobą jeszcze inną władzę. Na tronie Pozaświata zasiada istota o niemal nieograniczonej mocy – byt znany jako archont.

Nathaniel i Elisabeth równocześnie spojrzeli na Silasa. Jego twarz pozostała nieprzenikniona, jak wykuta w marmurze, ale wbite w Prendergasta żółte oczy zdawały się lśnić zimnym, wewnętrznym światłem. Niemal niedostrzegalnie skinął głową. Prendergast mówił prawdę.

Usta czarownika wykrzywił ponury uśmiech.

– Cornelius i ja byliśmy bliskimi przyjaciółmi, a przynajmniej tak sądziłem. Opowiadałem mu o moich podróżach przez Pozaświat. Snuliśmy teorie, że prawdziwym imieniem archonta można by się posłużyć, aby go przywołać, o ile udałoby się przygotować odpowiednio potężny rytuał, co nie wydawało mi się możliwe. Przez lata nie wracaliśmy do tego tematu, aż pewnego dnia zapytał mnie, jak brzmi imię archonta. Zaczął już wtedy wznosić Wielkie Biblioteki. Kiedy zdałem sobie sprawę, co planuje, i odmówiłem, wpadł w gniew. Chyba aż do tamtej chwili naprawdę sądził, że mu pomogę. Postrzegał moc archonta jako zasób, coś, co można ujarzmić i wykorzystać dla dobra rodzaju ludzkiego...

– Postęp – wymamrotała Elisabeth. Jak mało wiedziała, jak mało wiedzieli oni wszyscy, wznosząc toast za plan Ashcrofta.

– Arogancja – poprawił Prendergast. – Nie da się kontrolować istoty takiej jak archont. A jednak potomek Corneliusa zamierza podjąć próbę przywołania go. Dziś w nocy.

Spojrzała na Silasa.

– Co się stanie, jeśli mu się uda?

– Jeśli archont uzyska dostęp do waszego świata, jego moc zniszczy barierę pomiędzy nim a Pozaświatem. – Silas zacisnął wargi. – Demony będą biegać wolno, mordując was bez opamiętania.

Wstała tak szybko, że krew odpłynęła jej z głowy.

– Musimy go powstrzymać – powiedziała, spoglądając błagalnie na Nathaniela. Na widok poczucia beznadziei odbitego w jego oczach ścisnęło ją w żołądku.

– Nawet wszystkie siły Magisterium razem wzięte potrzebowałyby wielu godzin, żeby przedrzeć się przez osłony Ashcrofta. Nie mamy tyle czasu. Do tej pory zdąży zakończyć rytuał.

– Zatem idźcie prosto do Harrows – poradził Prendergast – i powstrzymajcie ostatnią ofiarę.

– Ale podróż tam trwa trzy dni – zaprotestowała Elisabeth.

– Niekoniecznie. – Prendergast przytrzymał się najbliższej półki i z trudem stanął na nogach. Chwiejnie zagłębił się między połamane regały, sunąc palcami po słojach, czaszkach i księgach. Wreszcie wyciągnął jakiś łańcuch, z którego zwisał kamień onyksowy... Nie, nie kamień, tylko okrągła, kryształowa fiolka pełna krwi.

– Ja jeden odkryłem sposób, aby podróżować między wymiarami, zaginać rzeczywistość jak arras, łączyć jedno miejsce z drugim. Ta magia żyje w mojej krwi. Jako że nie mam już prawdziwej, fizycznej formy, to jest ostatnia istniejąca próbka. – Wykrzywił usta z goryczą. – I oto zaraz oddam ją Thornowi.

Elisabeth nie mogła znieść nieufności wymalowanej na jego twarzy.

– Nathaniel to nie Baltasar – rzuciła. – Przysięgam, że jest inny.

Prendergast posłał jej kwaśne spojrzenie.

– Jest tu dość krwi, żeby przenieść waszą trójkę do Harrows i z powrotem. – Rzucił fiolkę Nathanielowi, który złapał ją jedną ręką, spłoszony. – Używaj jej ostrożnie, chłopcze. Taka magia ma swoją cenę.

Nathaniel założył sobie łańcuch na szyję, a Prendergast odszedł, utykając. Podniósł z podłogi krzesło i obrzucił ponurym spojrzeniem wywrócony stół. Elisabeth ustawiła go z powrotem na nogach, choć wiedziała, że na niewiele się to zda. Żar pochłonał już kilka kolejnych stóp podłogi. Za parę minut spłoną deski, na których teraz stoją, a stół osunie się w pustkę.

Przez warsztat przeszedł kolejny wstrząs. Drewno zajęczało, a wokół nich stłukły się następne słoje. Palce Prendergasta zadrżały konwulsyjnie na oparciu krzesła.

– A co z panem? – zapytała Elisabeth. – Możemy zabrać pana ze sobą?

Pokręcił głową. Powoli, jakby bolały go wszystkie stawy, opadł na krzesło, zwrócony twarzą ku nadciągającej ciemności.

– Idź już, dziewczyno – powiedział szorstko. – Mój czas dobiegł końca. Módl się, aby ciebie spotkał lepszy los.



ELISABETH SPADAŁA. OBRAZY przemykały wokół niej, jak sceny widziane z okna pędzącego powozu. Mroczne wzgórza. Zarysy drzew na tle nocnego nieba. Wiejski krajobraz rozciągający się pod wąskim jak sierp księżycem. Zdarzały się też dziwniejsze widoki, jak lasy pełne szarych, powyginanych gałęzi spowitych mgłą, albo ruiny porośnięte świecącymi kwiatami. Nie lecieli ani przez krainę śmiertelnych, ani przez Pozaświat, lecz gdzieś pomiędzy nimi.

Nie mogła zamknąć oczu. W tej pustej przestrzeni nie czuła wiatru ani oddechu, tylko dotyk dłoni Nathaniela ściskającej ją za rękę oraz niekończące się wrażenie spadania.

A potem wiatr smagnął jej ciało, wyrrywając oddech z płuc i owiewając włosami twarz. Zimno przeszło ją do szpiku kości. Ziemia zdawała się wirować pod jej stopami, w górze zaś kręciły się gwiazdy.

Zachwiała się; jej but natrafił tylko na powietrze. Czyjeś ramię objęło ją w pasie i pociągnęło do tyłu. Kamyki potoczyły się z krawędzi skały, gdzie stała jeszcze sekundę temu, i runęły w stronę drzew daleko w dole. Zmaterializowali się we trójkę na skraju urwiska. W oszołomieniu wpatrywała się w przyprawiającą o zawrót głowy przepaść, podczas gdy Silas odciągał ich od krawędzi.

– Wygląda na to, że jesteśmy we właściwym miejscu – zauważył – ale w drodze powrotnej radziłbym namierzać cel ostrożniej, panie.

Nathaniel zaśmiał się histerycznie, a potem zgiął się w pół i zwymiotował. Coś ciemnego ochlapało sosnowe igły pod ich stopami.

– To nie jego krew, panno Scrivener – powiedział Silas, kiedy krzyknęła z przestachem. Poprowadził Nathaniela w stronę dużego głazu i posadził go na nim, zanim chłopak zdążył się przewrócić.

Oczywiście. Fiolka zwisała na piersi Nathaniela w połowie pusta, pokryta od wewnątrz czerwonym osadem. Aby władać magią Prendergasta, musiał się z niej

napić. Objął jej zasady działania zaklęcia, kiedy już wyskoczyli z rozpadającego się *Codexu* z powrotem do gabinetu i w pośpiechu wciągali buty oraz zakładali płaszcze na bieliznę nocną. To była magia krwi, ściśle zakazana przez reformy, co oznajmił zdaniem Elisabeth stanowczo zbyt radosnym tonem, unosząc fioletową do ust.

– Wszystko w porządku? – zapytała. Przez poczucie ulgi przebiegały się lekkie mdłości.

Nathaniel wyszczerzył zęby w uśmiechu, choć wciąż wyglądał trochę niezdrowo.

– Nie martw się. Łykałem w życiu znacznie gorsze rzeczy. Raz na przykład otrzymałem dożywotni zakaz wstępu do posiadłości pewnego lorda za...

– Zachowajmy tę opowieść na inną okazję, panie Thorn – wtrącił się Silas, ignorując zmarszczone brwi Nathaniela. – Jeśli dobrze pamiętam, Inkaustowy Trakt biegnie obok tego wzgórza, a Wielka Biblioteka położona jest niecałe ćwierć mili stąd. Zajdziecie tam w kilka minut.

– Ty nie idziesz z nami? – zapytała Elisabeth.

– Jestem demonem, panno Scrivener – odparł łagodnie.

Spuściła wzrok na swoje dłonie, które same zacisnęły się w pięści. Silas walczył z Ashcroftem z nie mniejszym zaangażowaniem niż oni, ale gdyby poszedł z nimi, strażnicy z miejsca próbowaliby go zabić. Zrobiło jej się niedobrze na myśl o tej niesprawiedliwości.

Silas milczał przez chwilę, przyglądając się jej twarzy.

– Pójdę za wami do skraju drogi. Nic nie powinno się stać, dopóki mnie nie zobaczą.

Zaczekali jeszcze chwilę, dochodząc do siebie, a potem Silas zniknął między drzewami. Elisabeth zdawało się, że dostrzegła, gdzie poszedł: gdzieś zadrżała gałąź i mignęła plama bieli, być może kocie futro. Pomogła Nathanielowi wstać i rzuciła mu zatroskane spojrzenie, kiedy się zachwiał. Jej zawroty głowy już przeszły, ale ona doświadczyła magii Prendergasta tylko pośrednio. Nathaniel w ogóle nie powinien jeszcze wstawać z łóżka.

Sprężysta wyściółka z igieł tłumiła ich kroki, gdy schodzili ze wzgórza, mijając sękate sosny i kamienie sterczące z ziemi jak połamane kości. Ponad nimi poszarpany łańcuch Gór Jelenich wznosił się na ogromną wysokość; majestatyczne szczyty lśniły bielą na tle nocnego nieba, a śnieg sphywał z nich jak proporce,

rozwiewany przez wiatr. Elisabeth zadrzała. Podmuchy przedzierały się między gałęziami z wyciem, w którym zdawała się rozbrzmiewać cała samotność i odludność tego krajobrazu; uszy już zaczęły ją kłuć z zimna.

Przed nimi migotały światła, widoczne pomiędzy falującymi na wietrze konarami jodeł. To było pierwsze, co Elisabeth ujrzała z Wielkiej Biblioteki. Kiedy dotarli do drogi i wyszli spomiędzy drzew, oboje przystanęli.

Żeby objąć wzrokiem całą budowlę, musieli odchylić głowy do tyłu. Wznosiła się ku niebu jak czarna cytadela, wryta bezpośrednio w zboczu góry. Światło lamp biło zza wysokich, łukowatych okien witrażowych, o szybach przesłoniętych żelaznymi kratami. Pochodnie migotały na otaczającym budynek od przodu murze obronnym, tak wysokim, że Elisabeth nie była w stanie wypatrzyć żadnego patrolu na jego szczycie, chociaż wiedziała, że strażnicy muszą stać tam na warcie.

Ostrożnie ruszyli naprzód. Na drodze wzniesiono barykady wzmocnione dodatkowo metalowymi szpikulcami skierowanymi w stronę nadchodzących. Spojrzeli po sobie. Te bariery nie miały powstrzymywać grymuarów przed wydostaniem się, lecz ludzi przed wtargnięciem do środka. Biblioteka była gotowa odeprzeć oblężenie.

Przeszli slalomem między barykadami. Odgłos ich kroków odbijał się echem od wznoszącego się wysoko ponad nimi muru. Elisabeth nie widziała żadnego śladu wrót czy drzwi na pokrywających go z wierzchu nitowanych żelaznych płytach.

– Halo? – zawołała, zadzierając głowę. – Jest tam kto?

Jej głos odbił się słabym, odległym dźwiękiem pomiędzy wysokimi blankami. Przez moment panowała cisza, a potem odpowiedziała jej kakofonia łoskotu, brzęku i tarcia – to koła zębate zaczęły się obracać, budząc do życia ogromną maszynę ukrytą wewnątrz muru. Ziemia zadrzała. Jakiś ruch na szczycie muru przyciągnął jej wzrok: to armaty obracały się w dół, celując w nich. Prawdę mówiąc, słowo „armaty” zdawało się tu nieadekwatne: lufa każdego z dział była dość szeroka, aby do środka mógł wpełznąć człowiek.

Zamarła z przerażenia.

– Nie będą do nas strzelać, prawda? Nathanielu?

Oczy miał zamknięte, a twarz spokojną. Poruszał ustami, nie wydając żadnego dźwięku pośród łoskotu mechanizmów. Elisabeth zatkało uszy, a powietrze stało

się ciężkie od wilgoci. Podniosła wzrok i zobaczyła, że na niebie ponad Wielką Biblioteką kotłują się chmury, podświetlane od spodu złowrogą zielenią.

Jacyś ludzie odskoczyli od armat, kiedy rozwidlona błyskawica wystrzeliła w stronę muru, mijając ich o włos. Maszynaria się zatrzymała. W górze odsunął się wizjer i wyjrzała przez niego para wrogo spoglądających oczu. Strażnik.

– Przedstaw się, czarowniku! – zawołał.

– Doskonale – stwierdził Nathaniel pogodnie. – Zwróciłem waszą uwagę. Jestem magister Nathaniel Thorn, a to panna Elisabeth Scrivener. Z pewnością nasza reputacja nas wyprzedza. Przybywamy z pilnym ostrzeżeniem dla dyrektora.

Jeśli nawet ich nazwiska wywarły na strażniku jakieś wrażenie, nie dał tego po sobie poznać. Wciąż wyglądał, jakby wołał ich zabić niż z nimi rozmawiać.

– Nikomu nie wolno wchodzić ani wychodzić z biblioteki. Magistrowie nie są wyjątkiem. Odejdźcie albo otworzymy ogień.

– Proszę poczekać. – Elisabeth szarpnęła za łańcuszek wiszący na jej szyi i wyciągnęła swój wieloklucz, unosząc go do światła. Przypomniała sobie podsłuchaną rozmowę mistrzyni Wick z dyrektorem Biblioteki Królewskiej. – Ręczę, że dyrektor Hyde będzie chciał się z nami widzieć.

Strażnik otworzył szeroko oczy na widok wieloklucza, a jeszcze szerzej, gdy wymieniła nazwisko dyrektora. Tak jak się domyślała, znane było tylko nielicznym. Dla większości ludzi był po prostu „dyrektorem”. Przy odrobinie szczęścia strażnik uzna, że przybyła tu z polecenia Kolegium.

Zanim zdążyła ją opuścić odwaga, ciągnęła:

– Wiemy, że sabotażysta planuje uderzyć dziś w nocy. Przybyliśmy, żeby powstrzymać jego atak. – Przyszło jej do głowy coś jeszcze. – Mam Zabójcę Demonów, miecz byłej dyrektorki z Summershall.

– Pokaż mi go.

Elisabeth odsunęła połę płaszcza, pozwalając, by światło pochodni załśniło w granatach na jelicu broni. Miała nadzieję, że Irena okazałaby zrozumienie dla posłużenia się nią w ten sposób.

Strażnik przez chwilę przenosił wzrok to na Nathaniela, to na nią, a potem klapka wizjera zasunęła się z trzaskiem. Koła zębate znów zadudniły, tym razem jednak nie obracały armat. Żelazna płyta odsunęła się na bok, odsłaniając bronę ukrytą w podstawach muru.

– Wejdźcie do środka – poleciał głos strażnika.

Po chwili wahania zrobili, co kazał. Ogromne tryby wielkości kół obróciły się za nimi i fragment muru wrócił na swoje miejsce. Byli teraz uwięzieni pomiędzy murem a broną, jak w celi na świeżym powietrzu. Przestrzeń wokół nich cuchnęła smarem i była na tyle duża, żeby pomieścić powóz i pełen zaprzęg koni, a sądząc po startych kamieniach, którymi była wybrukowana, faktycznie często tam stawały. Każdy, kto odwiedzał bądź opuszczał Wielką Bibliotekę, musiał najpierw zatrzymać się tutaj na kontrolę.

Za kratami pochodnie oświetlały ponury dziedziniec. Bruk był tam pokryty czymś, co Elisabeth w pierwszej chwili wzięła za szron, potem jednak zdała sobie sprawę, że musi to być sól.

Czekali kilka minut, przestępując z nogi na nogę, aby się ogrzać. W końcu strażnik pojawił się po drugiej stronie brony.

– Dyrektor się z wami zobaczy, ale są pewne warunki: żadnej broni, a poza tym założymy wam kajdany. – Skierował wzrok na Nathaniela, unosząc brzęczący pęk łańcuchów i obręczy. – Żelazne.

Nathaniel się skrzywił.

– Nie będę mógł w nich czarować – wyjaśnił Elisabeth szeptem, a głośno dodał: – Dobrze. Zgadzamy się.

Skoro Nathaniel był gotów znieść pozbawienie go magii, ona nie zamierzała opierać się przed oddaniem Zabójcy Demonów. A jednak kiedy spróbowała to zrobić, coś przeszkodziło jej czysto fizycznie: z początku jej dłoń nie chciała wypuścić rękojeści miecza i strażnik musiał za niego szarpnąć, naruszając boleśnie ranę, aby wysunąć go spomiędzy jej palców. Oddał ich rzeczy drugiemu strażnikowi, który natychmiast zniknął w cieniu. Następnie Elisabeth i Nathaniel odwrócili się i pozwolili założyć sobie kajdany krępujące im ręce za plecami.

Brona uniosła się, skrzypiąc.

– Chodźcie za mną – powiedział strażnik.

Łańcuchy okowów szczykały, kiedy przechodzili pomiędzy dwoma posepnymi aniołami z obsydianu, stojącymi po obu stronach drzwi. Przekroczyli próg i miejsce zimnego wiatru zajęła duszna cisza, w której rozbrzmiewały jęki i pomruki papieru. Nieliczne lampy olejne tylko w niewielkim stopniu rozpraszały przytłaczający półmrok panujący w bibliotece. Większość światła wpadała przez

wysokie okna witrażowe, przedstawiające sceny ułożone ze smętnych odcieni szarości i szkarłatu, które rzucały rozproszone plamy księżycowego światła na wysokie, czarne półki. Bibliotekarz o ponurym obliczu, ubrany w poplamione szaty łopoczące mu wokół kostek, zerknął w ich stronę, po czym oddalił się płataniną korytarzy. Elisabeth słyszała plotki, że wśród bibliotekarzy przydział do Harrows uchodzi raczej za karę niż przywilej. Teraz nie było jej trudno dostrzec dlaczego.

Nie czuło się tutaj cieplej, zapraszającej atmosfery sugerującej obecność przyjaznych, zadbanych grymuarów; zamiast tego panował tu nastrój czujności, a wilgotne powietrze cuchnęło lakierem do drewna i pleśnią. Inaczej niż w pozostałych Wielkich Bibliotekach, żadne książki nie leżały na półkach swobodnie; każdy regał pozostawał zamknięty za żelazną kratą. Kiedy przechodzili obok, z półek ścigało ich wściekłe syczenie. Elisabeth czuła się, jakby szła przez zaciemnioną salę rozpraw, znosząc potępiające wyroki niewidocznych sędziów.

– Nie ma tu ani jednego grymuaru klasy niższej niż czwarta – wyjaśnił strażnik, widząc jej minę. – Tylko teksty wysokiego ryzyka. – W jego głosie pobrzmiwała duma.

Bez ostrzeżenia, po marmurowych płytach pod ich stopami przebiegł wstrząs.

„Znowu zębatki” – pomyślała, ale wtedy spod podłogi dobiegł zduszony skowyt – dźwięk, którego nie wydał ani człowiek, ani maszyna.

Nathaniel gwałtownie wciągnął powietrze.

– Co to było?

– Pojmamy malefikt, którego trzymamy w lochu. Ósma klasa. – Strażnik posłał mu nieprzyjemny uśmiech, wyraźnie ciesząc się z rzadkiej okazji, aby oświecić czarownika. – Strzeże wejścia do krypty. Czasem używamy go do ćwiczeń.

Jego słowa wzburzyły Elisabeth, ale nie ośmieliła się wyrazić swojego zdania. Weszli po wąskich, spiralnych schodach, trzeszczących i zatopionych w mroku, prowadzących do podobnie wąskiego i ciemnego korytarza, na końcu którego strażnik zastukał w drzwi, otworzył je i wkroczył do środka.

Kiedy weszli, dotknął jej ramienia. Zesztywniała, ale on, zerknąwszy z wrogością na Nathaniela, wymruczał tylko:

– Dyrektor niedosłyszysz. Pomaga mu, jeśli może czytać z ruchu warg.

Jego rada była przeznaczona tylko dla jej uszu. Chwilę zajęło jej zrozumienie dlaczego. Nathaniel był czarownikiem, obcym, niegodnym zaufania. Nie potrafiła wyjaśnić nagłego gniewu, który poczuła wobec strażnika na tę myśl. Jeszcze nie tak dawno temu była tego samego zdania, co on. Nie chciała jednak być sojuszniczką tego człowieka, choćby tylko w jego własnym mniemaniu, i wykluczyć Nathaniela poza nawias.

Ogień zarzył się na palenisku, rzucając blask na zawieszane na ścianach łby jeleni, wilków i dzików, zajmujące niemal każdy skrawek wolnego miejsca. Człowiek, który stał zwrócony twarzą do ognia, sam również przypominał dziką bestię: wysoki i potężny, w grubym futrze założonym na płaszcz strażnika. Wiatr trząsnął luźną ramą okna, wpuszczając do środka podmuchy wiatru, od których furgotały papiery na jego biurku.

Elisabeth i Nathaniel stali w drzwiach jak dzieci wezwane do gabinetu dyrektora szkoły, czekając, aż Hyde się odwróci. Nathaniel przestąpił z nogi na nogę, nie mogąc ukryć niecierpliwości.

Wreszcie dyrektor się odezwał. Jego niski, dudniący głos przywołał Elisabeth na myśl niedźwiedzia.

– Wielka Biblioteka w Harrows pozostaje nienaruszona, tak przez ludzi, jak przez grymuary, odkąd trzysta lat temu wykuto ją w zboczu góry. Zniosła burze i oparła się obłążeniom. Mówicie, że dziś w nocy dojdzie do ataku. Skąd moglibyście wiedzieć coś takiego i dlaczego miałbym wam uwierzyć?

Zanim zdążyła go powstrzymać, Nathaniel postąpił o krok w stronę biurka.

– Proszę pana, strażnik z pewnością przekazał, kim jesteśmy. Zważywszy na to, jak kanclerz targnął się na nasze życie, oraz na wcześniejszy udział panny Scrivener w sprawie...

Podłoga zaskrzypiała, gdy dyrektor się odwrócił. Nathaniel umilkł, a Elisabeth zamarła. Twarz Hyde'a pokrywało więcej blizn niż zdrowej skóry; przecinały ją wydrapane pazurami szramy, tak straszliwe, że Elisabeth nie sądziłaby, że można przetrwać ciosy, które je zadały. Spojrzenie oczu wyglądających spośród zmasakrowanego ciała było jasne, surowe, a przede wszystkim – podejrzliwe. Wbił wzrok w usta Nathaniela. Odwrócił się na tyle szybko, żeby usłyszeć bądź też zobaczyć, koniec jego wypowiedzi.

– O co chodzi z tym kanclerzem magii? – warknął.

W pierwszej chwili jego pytanie nie miało sensu. Elisabeth szybko przeliczyła sobie wszystko w głowie i serce jej zamarło. Odwróciła się do Nathaniela.

– Nic dziwnego, że tamten strażnik nie rozpoznał naszych nazwisk – powiedziała cicho. – Wieści jeszcze do nich nie dotarły. Kolegium na pewno od razu wysłało kurierów do wszystkich Wielkich Bibliotek, ale do Harrows wiadomość zdąży trafić dopiero późną nocą. – Zerknęła nerwowo na Hyde'a. – Oni nic nie wiedzą o Ashcrofcie.

– Niech to diabli. Nie pomyślałem o tym. Mogliśmy wziąć ze sobą gazetę... – Nathaniel odchrząknął i podjął, tym razem głośniejszym głosem: – Pani dyrektorze, proszę pozwolić, że wyjaśnię. Kanclerz Ashcroft to zdrajca. Dwie noce temu został zdemaskowany jako sabotażysta.

Hyde wodził po nich wzrokiem, przyglądając się ich swobodnej rozmowie.

„Zachowujemy się zbyt poufale w stosunku do siebie” – zrozumiała. Żaden szanujący się bibliotekarz nie rozmawiałby z czarownikiem tak, jak ona, a już zwłaszcza z magistrem. Tak, jakby był jej przyjacielem, kimś bliskim. Ale to z pewnością było mniej istotne niż przynoszone przez nich wieści. Hyde na pewno traktował ich poważnie...

W końcu powiedział:

– Scrivener. Znam to nazwisko. Jesteś z Wielkiej Biblioteki w Summershall.

Skinęła głową, zaciskając szczęki, aby powstrzymać niespokojne drżenie.

– Kanclerz więził mnie w swojej rezydencji – wyjaśniła. – Będąc tam, podsłuchałam, jakie ma plany. Reszta historii jest skomplikowana, ale Nath... magister Thorn mówi prawdę. Za jakiś czas zjawi się kurier z Kolegium i wszystko potwierdzi.

– Wszystko, włącznie z dzisiejszym atakiem na tę bibliotekę?

Nathaniel posłał Elisabeth spojrzenie, zanim odpowiedział. Wyraz twarzy miał coraz bardziej powściągliwy.

– Nie, o tym dowiedzieliśmy się sami i przybyliśmy prosto tutaj. Nie mieliśmy czasu ostrzec Kolegium. Kanclerz poświęca grymuary jako część rytuału. Zapewniam pana, że nie przesadzam, kiedy mówię, że ważą się losy całego królestwa.

– Proszę, panie dyrektorze – wtrąciła. – Harrows to ostatni krok w planie kanclerza. Już wcześniej wiedział pan, że sabotażysta prawdopodobnie uderzy tutaj w następnej kolejności, biorąc pod uwagę schemat jego ataków. Być może już przeniknął do biblioteki.

Chyba nie powinna była tego mówić. Hyde okrążył biurko; deski podłogi zaskrzypiały pod jego ciężarem. Jego cień padł na nią, równie lodowaty, jak przeciąg bijący od okna. Kiedy znów się odezwał, jego głos brzmiał niebezpiecznie cicho.

– A jak wy zdołaliście dotrzeć do Harrows prędzej niż najszybsi jeźdźcy Kolegium? Nie pan, magistrze Thorn. Chcę, żeby Scrivener mi powiedziała.

Przełknęła ślinę.

– Magia – powiedziała tylko lekko drżącym głosem. – Użyliśmy magii.

Twarz mu pociemniała.

– Chcesz powiedzieć, że posłużyłaś się czarami, Scrivener?

Nie mogła cofnąć swoich słów. Uniosła głowę, spoglądając mu w oczy.

– Tak. I zrobiłabym to znowu, gdyby zaszła taka potrzeba.

Chwycił ją za płaszcz, zgarniając tkaninę wielkimi, bliznowatymi palcami, i unióś ją w powietrze.

– Proszę ją puścić – rzucił ostro Nathaniel. Łańcuchy zabrzęczały; rzucił się na Hyde'a, ale pilnujący strażnik go przytrzymał.

Dyrektor nie zwracał uwagi na Nathaniela. Z odległości kilku cali błędził po twarzy Elisabeth wzrokiem pełnym obrzydzenia. Płonęła ze wstydu – tak prawdziwego, tak fizycznie bolesnego jak uderzenie różgą – ale nie odwróciła wzroku. Nauki Kolegium wciąż miały na nią silny wpływ; być może zawsze będą miały. Dorastała, opierając się na nich jak młode drzewo, które rosnąc, wspiera się na pręcie, obrastając go dookoła i czyniąc z niego swój rdzeń, niezależnie od tego, jak bardzo jest dlań szkodliwy. Ale nie po to przeszła przez to wszystko, walczyła i cierpiała, aby teraz poddać się woli tego mężczyzny jak skarcona nowicjuszka.

– Zostałaś skażona – warknął.

– Jeśli to prawda – powiedziała – to wszyscy jesteśmy skażeni od samego początku. Wie pan, że biblioteki, którym służymy, zostały wzniesione przez czarownika. Nigdy nie zastanawiało pana dlaczego?

Odpowiedział jej grymas. Oczywiście. To nie był człowiek, który zadaje pytania. Przez całe życie tylko wypełniał rozkazy, aż w końcu sam zaczął je wydawać; jeden identyczny trybik zastąpiony kolejnym, aby machina biblioteki wciąż działała tak samo, jak to robiła przez wieki.

A jednak nie mogła porzucić nadziei, że do niego dotrze.

– Widział pan kiedyś krąg przywołań, dyrektorze? – naciskała. – Przypuszczam, że nie, ale na pewno może pan sobie wyobrazić...

– Milcz!

Ślina opryskała jej twarz. Słowa utkwily jej w gardle z wrażenia. Hyde uniósł drugą dłoń i brutalnie złapał ją za włosy. Zbyt późno zrozumiała, czego szukał i co znalazł. Srebro zaśniło między pobliznionymi palcami.

– Nosisz demoniczne znamię – warknął.

Cisza. Straszliwa cisza, w której słyszała, jak strażnik łapie chrapliwy oddech.

– Panie dyrektorze – wtrącił się ostro Nathaniel, z nutą autentycznej paniki w głosie. – Przysięgam na honor, że panna Scrivener wciąż ma pełnię władzy nad swoim umysłem, a ta sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana, niż może pan sobie... – Urwał z jękiem, jakby strażnik wbił mu kolano w brzuch, żeby go uciszyć.

Elisabeth ledwie to wszystko słyszała.

„Za późno, za późno, za późno”. – Gdyby tylko pamiętała ściąć to srebrzyste pasmo...

Wstręt wykrzywił twarz Hyde'a. Cisnął nią zamasyście o podłogę. Wylądowała ciężko, krzycząc, kiedy kajdany uderzyły ją w kręgosłup.

– Elisabeth!

– Nie będę wysłuchiwał waszych kłamstw – wycedził dyrektor przez zaciśnięte zęby. – Przynosisz hańbę Kolegium, dziewczyno. Skażona. Splamiona. Splugawiona przez demony. – Każde słowo uderzało w nią jak kopniak w żołądek.

– Czy pan kompletnie oszalał?! – ryknął Nathaniel. – Ona ryzykowała życiem, przybywając tutaj! Próbuje was *ocalić*, ty idioto!

Hyde obrócił się w jego stronę.

– A ty bez wątpienia jesteś odpowiedzialny za sprowadzenie jej na złą drogę. Dość już się naoglądałem waszych nikczemnych popisów. – Odezwał się do

strażnika: – Zabierz ich do lochu. Nie można im ufać. Tylko czas pokaże, czy mówili prawdę, czy może sami są zamieszani w sabotaże.

Przez mgłę rozpaczy Elisabeth poczuła, jak strażnik podnosi ją z podłogi i wyprowadza przez drzwi. Sądząc z ciągu inwektyw, który padł potem, Nathaniela potraktowano podobnie. Nigdy nie słyszała, żeby tak się wściekał. W powietrzu dało się nawet poczuć nikły odór czarów, jakby gniew niemal pozwolił mu przemóc wpływ żelaza.

Sprowadzono ich z powrotem krętymi schodami i wzdłuż regałów, a potem dalej w dół, i wkrótce potykała się o nierówno wyciosane kamienie korytarza w lochach, odwracając wzrok od skwierczących pochodni. Zadźwięczał metal i została wepchnięta do celi, pustej i nagiej, nie licząc stojącego w rogu wiadra i rozsypanej na podłodze słomy. Nathaniela strażnik pchnął tak mocno, że ten upadł na kolana, nie mogąc się podeprzeć skutymi rękoma. Drzwi celi zatrzasnęły się za nimi.

Strażnik zatrzymał się na moment przed odejściem. Obrzucił Elisabeth spojrzeniem bez wyrazu, dłoń trzymając na rękojeści miecza.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby coś zrobić – powiedziała, zbierając siły. – Jeszcze jest czas...

– Nie rozmawiam ze zdrajcami – przerwał jej, po czym odszedł, nie mówiąc nic więcej. Echo jego kroków wypełniło ciszę korytarza.



PRZEZ CHWILĘ ELISABETH stała bez ruchu, zbyt wstrząśnięta, by zareagować. Potem rzuciła się na kraty. Odwróciła się i zaczęła obmacywać je skutymi rękami, szukając obluzowanego metalu, kruszącej się zaprawy, zardzewiałego zawiasu – czegokolwiek, co mogłaby wykorzystać, aby wydostać ich z celi. Była silniejsza niż przeciętna osoba. Gdyby tylko zdołała znaleźć jakiś słaby punkt...

– Elisabeth, przestań.

Nathaniel równie dobrze mógłby przemówić w obcym języku. Zacisnęła zęby i szarpnęła mocniej, nie przejmując się bólem, który przeszył jej ranną dłoń. Dziki szal zawładnął jej ciałem, tak jak wtedy, kiedy powaliła biesa w pawilonie, albo kiedy zniszczyła wszystkie lustra w domu Nathaniela.

Po tej nocy nigdy już nie będzie mogła przestąpić progu Wielkiej Biblioteki. To jednak nie będzie miało znaczenia, jeśli Ashcroft zwycięży; na świecie i tak nie będzie już wtedy żadnych bibliotek. Nie wiedziała, kto w tamtej chwili budził w niej większą wściekłość: Ashcroft czy dyrektor Hyde. Pomyśleć, że świat może lec w gruzach z powodu decyzji jednego ograniczonego człowieka u władzy, że tylko tyle wystarczy, aby zgubić wszystkich...

– Elisabeth! – wykrzyknął Nathaniel.

Obróciła się w jego stronę, przypominając sobie nagle z pełną jasnością, że strażnik nie skonfiskował fiolki Prendergasta.

– Możesz tego użyć, żeby nas uwolnić? – zapytała.

Wpatrywał się w nią, oddychając ciężko. Potrwało chwilę, zanim zrozumiał, o co jej chodzi.

– Nie – odparł. – Nie, kiedy mam na sobie żelazo. Posłuchaj – ciągnął, ale ona przerwała mu, odwracając się z powrotem w stronę krat:

– Było po północy, kiedy walczyliśmy z Ashcrofem – stwierdziła. – Kolegium nie mogło wysłać nikogo wcześniej. Kurier dotrze tu najprędzej za kilka godzin.

„Będziemy tkwić w lochu, podczas gdy królestwo stanie w płomieniach”.

– Elisabeth. Robisz sobie krzywdę.

– Wcale nie. – Po pierwszej fali bólu nic więcej nie poczuła.

Nathaniel wcisnął się między nią a pręty, zanim zdążyła znów się za nie zabrać.

– Spójrz na swoje dłonie – powiedział z dziwnym wyrazem twarzy.

Uniosła głowę, aby spojrzeć przez ramię, unosząc ręce na tyle wysoko, na ile pozwalały jej okowy. Słabe światło pochodni płonącej na korytarzu padło na jej skórę i zobaczyła, że Nathaniel ma rację. Bandaż na dłoni pociemniał od krwi. Niemal całkowicie oderwała sobie dwa paznokcie.

– Usiądź. – Szturchnął ją ramieniem, kierując ją w głąb celi. – Odpocznij chwilę.

Niechętnie poszła razem z nim.

– Nie udało nam się odkryć, jak Ashcroft przeprowadza ataki. Czy ma współnika, czy... – Urwała, zmartwiona tym, jak mało w istocie wiedzieli. – Musimy być gotowi na wszystko.

– A ty nie będziesz, jeśli zrobisz sobie krzywdę, mocując się z drzwiami od celi. Naprawdę, Scrivener. Nie musimy uciekać o własnych siłach. Silas przyjdzie nam na ratunek.

„Silas”. – Zapomniała o nim.

– Ale skąd będzie wiedział, że potrzebujemy pomocy?

– Po prostu będzie. Zawsze wyczuwa, kiedy wpakuję się w tarapaty. – Nathaniel skrzywił się i osunął po ścianie, siadając niezgrabnie ze skutymi rękami, oparty ramionami o kamień. – Czasem zastanawiam się, czy po prostu nie zakłada z góry, że pakuję się w kłopoty, ilekroć spuści mnie z oczu, ale wolę myśleć, że to zasługa jego nadprzyrodzonej intuicji.

Poczucie winy zanurzyło szpony w jej ciele. To Nathaniel powinien odpoczywać, nie ona. Przykucnęła obok niego, strapiona. Po chwili przesunął się o kilka cali w bok, wspierając się ramieniem o jej bark.

Szaleńcza siła uszła z jej mięśni; poczuła się wyczerpana i zziębnięta. Ich oddechy były jedynym dźwiękiem w podziemnej ciszy lochu. Dobrze pamiętała tę ciszę z Summershall – jej nieznośną dokuczliwość i to, jak igrała z jej umysłem. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, o ile gorzej byłoby zostać uwięzionym tutaj

samotnie, wiedząc, że gdzieś nieopodal, w kamiennym labiryncie, znajduje się najlepiej zabezpieczona krypta w królestwie, której uśpieni mieszkańcy są dość potężni, aby zrównać z ziemią całe miasta, gdyby ktoś wypuścił ich na wolność...

Zaparło jej dech.

– Co się stało? – zapytał Nathaniel.

Odwróciła się w jego stronę.

– Grymuar napisany przez Baltasara... czy nazywa się *Kroniki umarłych*?

Zesztywniał. W słabym świetle pochodni jego oczy wyglądały jak ciemne plamy pośród widmowo bladej twarzy. Przez chwilę zdawało się, że nie odpowie, w końcu jednak skinął głową.

Elisabeth nie chciała mu tego mówić, ale musiała.

– Jest tutaj. W Harrows. Został przeniesiony w tajemnicy tamtej nocy, kiedy ukradłam *Codex*.

Nathaniel zerwał się na nogi.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Zapomniałam. Tak dużo działo się wtedy naraz. – Nieszczęście ścisnęło ją za serce, kiedy patrzyła, jak Nathaniel odwraca się i zaczyna krążyć po celi. Po chwili wahania zapytała: – Jak dużo wiesz na temat *Kronik*?

Nathaniel zatrzymał się i wyjrzał na korytarz. Kiedy się odezwał, jego słowa brzmiały szorstko.

– Zawierają zaklęcie, którego Baltasar użył do stworzenia swojej armii, a także inne nekromantyczne rytuały. Co do tego, jakie moce przejawiałyby jako malefikt, to pytanie do bibliotekarza, nie do mnie.

Siedziała w milczeniu, czekając. Czegoś jej nie mówił. W końcu oparł się czołem o prety i ciągnął:

– Mój... mój ojciec je przeczytał. W ramach przygotowań. Gdy wrócił, był jakiś inny. Nigdy nie udało mi się do końca określić, co się w nim zmieniło. Czasem odnosiłem wrażenie, jakby przyniósł coś ze sobą; kiedy indziej było tak, jakby utracił część siebie.

Przyglądała się twarzy Nathaniela, ostrym liniom jego profilu.

– Przykro mi.

– W związku z czym?

„Ze wszystkim” – pomyślała.

– Ja cię w to wciągnęłam – powiedziała. – Gdyby nie ja, nie byłoby cię tutaj.

– Masz rację. Siedziałbym samotnie w swoim gabinecie, do głębi nieszczęśliwy, i spędzał ostatnie godziny życia, nie wiedząc, że świat zaraz zostanie opanowany przez demony. – Wrócił i opadł na podłogę obok niej, opierając głowę o kamień. – Wolę tę wersję wydarzeń. Tę, w której jesteś ze mną.

– Nawet jeśli zginiemy?

Na moment przymknął oczy.

– Ostatni miesiąc był najszcześniejszym okresem mojego życia, odkąd skończyłem dwanaście lat, pomijając może biesy, picie krwi i groźbę demonicznej apokalipsy. Chyba... chyba po części byłem już martwy, zanim się zjawiłaś. – Obrócił głowę, żeby jej się przyjrzeć. – To zaszczyt walczyć u twego boku, Elisabeth, dopóki jeszcze mogę. Przypomniałaś mi, że żyję. To dar warty tego, żeby mieć coś do stracenia.

Elisabeth przełknęła ślinę. Nie wiedziała, co powiedzieć; mogła myśleć tylko o swoim poczuciu winy z powodu tego, że kiedyś dopatrywała się w jego twarzy okrucieństwa. Mimowolnie podciągnęła nogi pod siebie i położyła mu głowę na piersi, a po chwili on zanurzył brodę w jej włosach. Siedziała w ciemności, wsłuchana w bicie jego serca.

Czas zdawał się dłużyć w nieskończoność, a ona wybiegała myślami w dal. Wyobrażała sobie, że patrzy na Wielką Bibliotekę z góry, na jej migoczące pochodnie i strzeliste, czarne wieże wznoszące się ponad leśne ostępy.

Jak długo potrwa, zanim Silas ich znajdzie? Nie do końca podzielała pewność Nathaniela. To miejsce było zabezpieczone jak żadne inne, które widziała w życiu. Nawet gdyby Silas potrafił pokonać wysoki mur otaczający budynek, ten był pokryty żelazem i pilnowany przez strażników. A to dopiero początek; następnie musiałby przekraść się przez bibliotekę i zamknięte, żelazne wrota prowadzące do lochów.

Zdawało się, że czekają już całe godziny. Usiadła prosto.

– Chyba nie złapali Silasa, co? – zapytała.

– Szczerze wątpię – odpowiedział jej lekko urażony szept z korytarza. – Nie jestem amatorem.

– Silas! – wykrzyknęli oboje, rzucając się do krat.

Westchnął, pojawiając się przed nimi.

– Usilnie proszę, nie tak głośno.

Nathaniel nie mógł powstrzymać uśmiechu na jego widok. Blask pochodni nadawał demonowi odrealniony wygląd, ale był tak samo nieskazitelny i spokojny, jak w każdy zwykły wieczór w domu.

– Nic ci się nie stało?

Silas machnął ręką, uznając pytanie na niewarte odpowiedzi.

– Widzę, że bez zwłoki daliście się uwięzić. – Pochylił się i przyjrzał drzwiom, po czym wyciągnął z kieszeni pęk kluczy strażnika, ostrożnie trzymając żelazo przez złożoną chusteczkę. – Który to już raz wyciągam cię z więziennej celi, panie? Trzeci?

Nathaniel odkaszlnął.

– Tamte dwie sytuacje to były drobne nieporozumienia – zapewnił Elisabeth.

Silas odczepił jeden z kluczy od pęku i użył go, aby rozkuć Nathaniela. Podczas gdy czarownik zajął się okowami Elisabeth, demon wybrał drugi klucz i spróbował otworzyć nim drzwi. Odezwał się łagodnym tonem, patrząc na nich spod opuszczonych powiek:

– Przynajmniej tym razem jesteś ubrany, panie.

– Pozwolę sobie zauważyć – odparł Nathaniel – że to był wypadek, a świadkowie zdecydowanie nie mieli nic przeciwko. Jedna kobieta nawet przysłała mi kwiaty. – Zwracając się do Elisabeth, dodał: – Nie martw się. Miała czterdzieści lat i nazywała się Mildred.

Gdy tylko drzwi się otwały, Silas cofnął rękę, z sykiem upuszczając klucze. Z jego palców uniosła się smużka pary. Chciał się odsunąć, ale Elisabeth zatrzymała go w pół kroku, biorąc go w objęcia, a po chwili Nathaniel dołączył, przytulając go od drugiej strony. Demon zamarł w bezruchu, znosząc ich wybuch czułości tak, jak rasowy kot domowy znosi bycie ściskanym przez małe dziecko. Wypuścili go w końcu, kiedy szarpnął się lekko.

– Nigdy do tego nie wracajmy – ostrzegł, otrzepując rękawy. – Panno Scrivener, proszę za mną. Zdaje się, że twój miecz został zabrany do zbrojowni.

Podniosła klucze i cała trójka zaczęła skradać się gęsiego korytarzami lochu, kryjąc się w cieniu, ilekroć zbliżył się patrol z pochodnią. Na szczęście Silas wiedział dokładnie, dokąd iść, i po kilku minutach dotarli do okutych żelazem drzwi, które Elisabeth zdołała otworzyć jednym z kluczy. Na widok pomieszczenia z ust wyrwało jej się westchnienie. Światło pochodni wydobyło z mroku nie tylko miecze, ale też okazały zbiór toporów, włóczni i kusz, a nawet jakąś najeżoną kolcami broń, chyba morgensztern. Zabrawszy Zabójcę Demonów z jednego ze stojaków, chwyciła pas i zacisnęła go sobie wokół talii. Rozbawiony jej entuzjazmem Nathaniel patrzył, jak napycha sakiewki pociskami solnymi.

– Co teraz? – zapytał.

Elisabeth wcisnęła na miejsce ostatni pocisk.

– Musimy odnaleźć kryptę. Jedyne, co trzeba zrobić, to powstrzymać osobę, która tu przybyła, przed dostaniem się do środka. Silasie, mijales ją może w drodze do lochu?

Silas przechadzał się pomiędzy stojakami z rękami założonymi za plecy, oglądając broń z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Zatrzymał się przed bardzo starym, budzącym grozę przyrządem, podobnym do wielkiej klatki pełnej zardzewiałych szpikulców. Serce na moment zamarło Elisabeth w piersi, kiedy przeniosła wzrok z wiszącego pod sufitem urządzenia na jego nadgarstki.

– Nie – powiedział, odwracając się – ale wyczuwam mentalne emanacje grymuarów. Zaprowadzę was tam.

W żaden sposób nie dał po sobie poznać, czy trzymany tu przyrząd był taki sam jak ten, którym posłużył się Ashcroft, aby go schwytać. Wychodząc, jeszcze raz obrzuciła pomieszczenie wzrokiem, inaczej postrzegając teraz stojaki z bronią. Dla Silasa to miejsce było salą tortur.

Kiedy z powrotem wymknęli się na korytarz, podłogą wstrząsnął brzęmiący znajomo skowyt.

– Musimy być blisko malefaktu – stwierdził Nathaniel.

Silas pochylił głowę.

– Nie da się go obejść. Wszystkie drogi do krypty wiodą przez tę salę.

Ostrożnie skręcili za róg. U swego wylotu tunel przechodził w grootę, tak rozległą, że jej sufit nikał wśród dymu i cieni. Stalaktyty zwieszały się

z nieprzeniknionej ciemności jak kły, a pod nimi, w kamieniu, wykuto coś w rodzaju wgłębionej areny, oświetlonej blaskiem ognia płonącego w osmalonych, dymiących koksownikach. Ich buty zadźwięczały cicho o okrążający dół metalowy chodnik, otoczony barierkami. Drabina – jedna z kilku – opadała głęboko ku pokrytej trocinami podłodze, naznaczonej rysami i bruzdami, jakie mogło pozostawić krążące niespokojnie zwierzę.

Albo potwór.

Ich oczom ukazał się malefikt. Był rozmiarów małego domu, potężny, ale prostacki z wyglądu, podobny z kształtu do niedźwiedzia pozbawionego uszu, nosa, a nawet oczu. Jego skórzany pysk spinały nieumiejętnie wykonane szwy. Ciągnął się za nim długi łańcuch, którego każde ogniwo było wielkie jak jarzmo wołu, a drugi koniec łączył się z mechanizmem pełnym kół zębatach i bloczków przymocowanych do ściany pieczary. Stwór machał głową tam i z powrotem, zdezorientowany bólem, jaki zadawała mu założona na szyję żelazna obroża. Atrament płynął z otwartych ran, ściekając lśniącą wilgocią po ramionach, a jego skórzaną powłokę znaczyły stare blizny. Nathaniel zerknął na niego niespokojnie. Czując mdłości, Elisabeth przypomniała sobie wyjaśnienia strażnika.

– To jest złe – powiedziała. – To nie kukła do ćwiczeń, którą można tłuc bronią, podczas gdy cierpi w okowach.

Silas zatrzymał się obok niej z beznamiętnym wyrazem twarzy.

– Nie uważasz, że to złe stworzenie, panno Scrivener?

Zacisnęła dłoń na rękojeści Zabójcy Demonów. Zaczynała rozumieć, że złe nie jest tak prostym pojęciem, jak kiedyś przypuszczała. Może nie było nic niestosownego w tym, że malefikty pragnęły krzywdzić ludzi – ludzi, którzy je stworzyli, więzili, dręczyli solą i żelazem, a ostatecznie skazali na przybranie tej wynaturzonej formy.

– Nic z tego nie jest jego winą – stwierdziła w końcu. – To nie on postanowił być potworem.

Jeśli nawet Silas miał jakieś zdanie na ten temat, nie podzielił się nim.

– Patrzcie. Oto i krypta – powiedział Nathaniel, wskazując ręką.

Po przeciwnej stronie areny, na jej poziomie, widać było bronę zamocowaną w kamiennej wnęce. Każdy, kto zszedłby na dół, aby się do niej dostać, zostałby zmasakrowany przez malefikt, chyba że wcześniej zdołałby skrócić męki potwora.

Elisabeth impulsywnie dobytego Zabójcy Demonów i zaczęła schodzić po drabinie. Nathaniel chwycił ją za ramię. Zanim zdołała zaprotestować, odwrócił ją i przyparł do kamiennego muru. Potrzebowała chwili, aby objąć myślami sytuację. Ciało Nathaniela było sztywne z napięcia, wygięte i naprężone jak cięciwa łuku, ale zaraz zrozumiała, że nie ogarnęło go nagle, namiętne pragnienie, aby pocałować ją pod ścianą lochu; użył tylko swojego ciemnego płaszcza, aby ukryć ich oboje.

Nie byli tu sami. W pierwszej chwili słyszała tylko pełne wysiłku parsknięcia i pochrząkiwania malefaktu, potem jednak dobiegł ją stukot kroków o chodnik. Kątem oka patrzyła, jak dyrektor Hyde wychodzi z tego samego tunelu, co oni przed chwilą. Wstrzymała oddech, dopóki z grymasem na twarzy nie odwrócił się w przeciwnym kierunku, nie wypatrzywszy ich swoim podejrzliwym spojrzeniem, choć ukrywali się zaledwie kilka stóp od niego. Gdy tylko odszedł, odprężyli się z ulgą.

Nie potrwała ona długo. Hyde musiał robić obchód i zejść na dół, aby sprawdzić kryptę. Bez względu na to, co powiedział w swoim gabinecie, był zbyt czujny, aby usłyszeć takie ostrzeżenie i całkowicie je zignorować. Jednak przychodząc tutaj, znalazł się – razem ze swoimi kluczami – dokładnie tam, gdzie Ashcroft go potrzebował.

Przeszywający uszy metaliczny zgrzyt poniósł się echem przez pieczarę. Hyde posłużył się swoim dyrektorskim kluczem, aby aktywować element mechanizmu. Zębatki obróciły się, wciągając łańcuch, jedno ciężkie ogniwo za drugim. Malefakt zaryczał, szamocząc się bezradnie w obroży; bez względu na jego wysiłki, maszyna nieubłaganie powlokła go przez trociny. W końcu zatrzymała się, pozostawiając łańcuch napięty tak mocno, że malefakt zawisł głową w dół, jak byk czekający na rzeź, brocząc atramentem z otwartych na nowo ran.

Hyde zszedł po najbliższej drabinie i przebył arenę, ani razu nie zerkając za siebie. Otworzył bronę, przeszedł pod nią i zamknął ją za sobą.

Maszyna znów z łoskotem zbudziła się do życia, powoli opuszczając malefakt z powrotem na ziemię. Elisabeth z przestrawieniem zdała sobie sprawę, że mają tylko kilka chwil, aby dostać się na drugą stronę areny.

– Musimy iść za Hyde’em – rzuciła, dopadając do drabiny. – Gdzie Silas?

Nathaniel wskazał głową w górę. Elisabeth podążyła za jego spojrzeniem i zaraz tego pocałowała. Silas umknął uwadze Hyde’a, wspinając się po ścianie groty,

i teraz zwisał z niej jak pająk, spoglądając na nich parą nie ludzkich, żółtych oczu.

– Dogoni nas – powiedział Nathaniel. – Chodźmy.

Parę sekund później buty Elisabeth uderzyły o trociny. Gdy Nathaniel wylądował obok niej, malefikt zwrócił pozszywaną, spływającą inkaustem twarz w ich kierunku. Błoczek zajęczał, kiedy potwór rzucił się naprzód, naciągając łańcuch do granic możliwości, wężąc na oślepie w powietrzu. Nathaniel obrzucił wiekową maszynę krytycznym spojrzeniem, po czym chwycił Elisabeth za nadgarstek, ciągnąc ją za sobą.

Byli w połowie drogi przez arenę, biegnąc jedno obok drugiego, kiedy rozległ się ogłuszający zgrzyt i huk, który zatrzęsł całą jaskinią, a coś przeleciało obok nich, sypiąc wokół trocinami: zerwany błoczek.

Nie było czasu na reakcję; mogli tylko uciekać. Elisabeth pomacała pęk kluczy, na dotyk wybierając ten największy. To powinien być klucz powierzany tylko strażnikom. Problem w tym, że nie wiedziała na pewno, czy otworzy tę bronę. Zależnie od tego, jak blisko krypty się znajdowali, potrzebny mógł być osobisty klucz dyrektora, a w takim wypadku nie mieliby już czasu odwrócić się i stanąć do walki; malefikt był tuż za nimi, gotów zgnieść ich w jednej chwili.

Brona była coraz bliżej. Padał na nich cień malefaktu, a ziemia trzęsła się pod jego sprężystymi krokami. Elisabeth uniosła klucz. Ręka jej nie zadrżała, kiedy wsuwała go do zamka, ale malefikt był zbyt szybki. Przesłonił światło, pograżając ich w mroku...

A potem jego cień zniknął, z powrotem zastąpiony czerwonym blaskiem ognia. Zdumiona obejrzała się przez ramię. Malefikt leżał rozplaszczony na ziemi kawałek od nich, nieprzytomny, a przed nim stał Silas z jedną ręką w górze tak, jakby właśnie uderzył go w pysk. Atrament spływał mu po pazurach.

Z wysiłkiem zamykając usta, Elisabeth przekręciła klucz. Mechanizm wewnątrz ściany załomotał i brona się uniosła. Silas nadal stał bez ruchu. Nathaniel złapał go za tył płaszcza i wciągnął w przejście.

Przez jedną straszną chwilę Elisabeth pomyślała, że demon został ranny, ale potem zobaczyła, że spogląda tylko z obrzydzeniem na ubrudzoną dłoń. Podała mu róg swojego płaszcza. Wytarł w niego pazury bez komentarza.

Nigdzie nie było widać śladu Hyde'a, nawet błysku jego pochodni w rozciągającym się przed nimi mroku. Nathaniel wyczarował w dłoni zielony

plomień i oświetlił prowadzące w dół schody o lśniących od wilgoci stopniach. Gdzieś nieopodal, w ciemności, kapłała woda. Elisabeth otwarła szeroko oczy, zadziwiona niespodziewanym pięknem tunelu. Kamień miał nieskazitelnie czarną barwę obsydianu, przetykaną iskrzącymi się żyłkami minerałów.

– Silasie, dałbyś radę powiedzieć, czy jest tu ktoś oprócz nas? – zapytała ściszym głosem, choć jeśli dyrektor był na tyle przygłuchy, że nie zawrócił mimo hałasu na arenie, to wątpiła, by usłyszał ich rozmowę.

Silas skończył przyglądać się swoim pazurom i zerknął w dół schodów.

– Ta góra jest pełna pirytu; przypuszczam, że to dlatego umiejscowiono kryptę właśnie tutaj. Obecność tak dużej ilości żelaza tłumi moje zmysły. Obawiam się, że nie mam pewności.

– Jeśli to w czymś pomoże – powiedział Nathaniel – na arenie nie było żadnych śladów magii. Nie sądzę, żeby ktoś dostał się tu przed Hyde'em.

– Chyba że Ashcroft zna jakieś sekretne wejście do biblioteki – zauważyła Elisabeth. – Cornelius planował to od samego początku. Mógł wybudować we wnętrzu góry tajny korytarz, o którym wiedział tylko on.

– Czy to możliwe, żeby coś takiego do tej pory pozostało niewykryte?

– Tak sądzę. W Summershall znalazłam całe mnóstwo tajnych przejść, o których starsi bibliotekarze nie mieli pojęcia.

Dalej skradali się w milczeniu. Nathaniel zgasił swój płomień, kiedy znów ujrzeli przed sobą czerwony blask pochodni Hyde'a, wydobywający z mroku kontur futra na jego ramionach. Podążyli jego śladem. Z pochodnią w jednej dłoni i rękojeścią miecza w drugiej, szedł pewnym krokiem, ani na moment nie przystając, by spojrzeć za siebie. Podeszwy jego butów uderzały głośno o kamień.

Elisabeth wstrzymała oddech. Jeszcze chwila... jeszcze...

Serce podskoczyło jej do gardła, kiedy światło pochodni padło na jakiś kształt leżący na ziemi – parę butów wystających z sąsiedniego tunelu. Wpatrzony prosto przed siebie, Hyde chyba ich nie zauważył. Szedł dalej, nie przystając.

Zatrzymali się, pozwalając, by Hyde zyskał kilka kroków przewagi, i przyjrzeni się strażniczce leżącej na podłodze tunelu. Kobieta, wciąż uzbrojona, upadła bezwładnie na ziemię. Upuszczona pochodnia wylądowała w kałuży i zgasła. Słabe, drżące światło nie pozwalało poznać, czy wciąż oddycha.

– Żyje – szepnęła Silas. – Nie jest ranna. Tylko śpi.

Spojrzeni po sobie.

„Zakłęcie usypiające”.

Atak się rozpoczął. Jednak Hyde był już prawie u wejścia do krypty, a oni, jak dotąd, nie widzieli ani śladu napastnika.

Prawda olśniła ją jak błysk gromu.

Elisabeth nie dbała już o to, by pozostać w ukryciu.

– Zatrzymać go! – krzyknęła, rzucając się za Hyde’em. – Nie może wejść do krypty!

Za późno. Brona na końcu tunelu opadła, a Hyde był teraz po drugiej stronie. Elisabeth wyhamowała gwałtownie.

Odwrócił się i spojrzał na nich przez kratę. Uśmiech wypłynął na jego twarz, groteskowo naciągając blizny. W żaden sposób nie pasował do jego rysów, a jednak było w nim coś znajomego. Widziała ten uśmiech wiele razy: na połączonych korytarzach Dworu Ashcroftów, w sali balowej pałacu, w różanym pawilonie skąpanym w blasku księżyca.

Nie należał do Hyde’a, lecz do kanclerza Ashcrofta.



– WIDZĘ, ŻE SIĘ domyśliłaś. – Kulturalny głos Ashcrofta brzmiał dziwnie w poznaczonych bliznami ustach Hyde’a. – Prawdę mówiąc, dziwię się, że dopiero teraz. Spotkałaś przecież *Księgę oczu*.

„*Księga oczu*”.

W jednej chwili brakujące elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Kiedy Elisabeth walczyła z malefiktem w Summershall, ten nęcił ją prawdą o tym, kto zabił dyrektorkę. Sama Irena jej mówiła, jakie zaklęcia zawarte są w księdze: magia pozwalająca czarownicy zaglądać w umysły innych ludzi, czytać im w myślach, a nawet ich kontrolować. Skąd *Księga oczu* знаła tożsamość sabotażysty? Odpowiedź była prosta – spotkała go już wcześniej. Zważywszy na jego pozycję, Ashcroft byłby jednym z nielicznych, którym pozwolono studiować tak niebezpieczny grymuar.

Aby realizować swoje plany, nie potrzebował współnika; nie musiał nawet opuszczać swojej posiadłości.

– Przejmujesz ciała dyrektorów – powiedziała w odrętwieniu. – Zmuszasz ich, aby dokonywali sabotażu własnymi rękami.

– Słucham? – Ashcroft nachylił się w stronę kraty i zmarszczył brwi, pocierając ucho Hyde’a. – Wiesz co, ledwo cię słyszę. To dość uciążliwe. Ale nieważne. Nie będę musiał spędzić w tym ciele wiele czasu. – Wesóło kręcąc na palcu pękiem kluczy, odwrócił się i ruszył w głąb krypty.

Krew szumiała Elisabeth w uszach. Nic nie wydawało się realne. Krypta jawiła jej się jak obraz ze snu. Była to ogromnych rozmiarów naturalna grotta o ścianach lśniących od pirytu. Wzdłuż nich stały na straży wielkie posągi aniołów wykute z obsydianu, a z ich złożonych dłoni spływały na podłogę strumienie stopionego żelaza, wypełniając kanał biegnący po obwodzie pomieszczenia niczym fosa. Kiedy Ashcroft w ciele Hyde’a przechodził przez wąski most z czarnego kamienia,

brzeg jego płaszcza falował w drgającym od gorąca powietrzu. Ruchy miał dziwnie niezdarne, a raz nawet zachwiał się na bok, łapiąc równowagę w ostatniej chwili, zanim wypadł poza krawędź.

– Hyde wciąż tam jest – stwierdziła Elisabeth, wstrząśnięta. – Walczy, żeby odzyskać władzę nad ciałem. – A potem pomyślała: „Właśnie to spotkało Irenę”.

Bez ostrzeżenia wiązka szmaragdowych płomieni wystrzeliła obok niej, przypalając jej czubek ucha. Przeleciała się przez kratę i pomknęła w stronę Ashcrofta niczym cyklon, ale w miarę jak zbliżała się do celu, ogień wygasł, przeistaczając się w strumień zielonych iskier.

Nathaniel opuścił rękę i zaklął.

– Za dużo żelaza.

Szarpiącymi, konwulsyjnymi ruchami, Ashcroft strzepnął z futra Hyde’a resztki płomieni.

– Wiem, o czym myślisz, panno Scrivener – powiedział, nie odwracając się. Udało mu się pokonać most. – Zastanawiasz się, jak się czuła nasza droga, piękna Irena, kiedy wszedłem w jej umysł i zmusiłem ją, aby zdradziła wszystko, co kochała. Nieszczęsna kobieta – ani przez moment niczego nie podejrzewała. Rzuciłem na nią zaklęcie wiele lat temu w czytelni w Summershall. Gdy się jest kanclerzem magii, zaaranżowanie prywatnego spotkania z dyrektorką nie nastręcza żadnych trudności. Moja magia żyła w niej przez blisko dekadę, czekając, aż ją uaktywnię.

Elisabeth gwałtownie złapała oddech. Tak wyraźnie, jakby to było wczoraj, przypomniawszy sobie dławiący smród eterycznego spalania, który przywarł do fotela w czytelni: trwały ślad jakiegoś dawnego, potężnego zaklęcia. Niejasno zdała sobie sprawę, że Nathaniel podtrzymuje ją, aby nie upadła.

– Irena też walczyła, oczywiście. Miała silną wolę, tak samo jak ty. Była tam ze mną przez cały czas, kiedy schodziłem do krypty, aż do chwili, w której *Księga oczu* ją zabiła.

Z gardła Elisabeth wyrwał się jakiś dźwięk, coś pomiędzy krzykiem a szlochem. Ashcroft nie zwracał na nią uwagi. Dotarł już prawie do środka pomieszczenia.

W centrum krypty wznosiły się trzy masywne kolumny z obsydianu, sięgające aż do sufitu. Na podłodze pomiędzy nimi wyryto klucz skrzyżowany z piórem. Ashcroft wkroczył na symbol, unosząc pochodnię Hyde’a.

– Wspaniały, nieprawdaż?

W pierwszej chwili nie była pewna, o co mu chodzi, potem jednak światło padło na najbliższą kolumnę. Mgła wirowała wewnątrz przejrzystego kamienia, oplatając zawieszony na łańcuchach kształt. Jakby wzburzony obecnością Hyde'a, tuman zakotłował się, a w jego głębi zaczęły błyskać wyładowania elektryczne. Każdy kolejny rozbłysk oświetlał okładkę grymuaru oprawionego w lśniące, czarne łuski o srebrzystych krawędziach. Skóra równym rytmem nadymała się i opadała, jakby księga oddychała.

Te kolumny nie miały za zadanie podpieierać sufitu, lecz więzić grymuary dziesiątej klasy.

– *Librum draconum*. – W głosie Ashcrofta zabrzmiała nuta szczerego zachwyty, łagodząc jego brzmienie. – Oprawiona w skórę Lindwurma, ostatniego z austermeryjskich smoków, wytępionych do cna w czternastym wieku. Zawarte w niej zaklęcia pozwalają przywołać katastrofalne burze i trzęsienia ziemi, sprowokować klęski żywiołowe, które spustoszyłyby cały świat...

Przeszedł do następnej kolumny. Zbliżył do niej pochodnię i westchnął tęsknie. Z łańcuchów zwisało... nic. Nie... coś tam było, coś o połyskliwej, lustrzanej powierzchni, płynnej i falującej niczym woda. Kiedy Elisabeth spróbowała skupić na niej wzrok, rozboleła ją głowa.

– *Oraculis* – wymruczał Ashcroft. – Pochodzenie nieznane. Zawiera czary pozwalające ujrzeć przyszłość, tak przynajmniej się zakłada, ale każdy, kto ją przeczytał, zaraz potem odebrał sobie życie. Szkoda. Bardzo chciałbym ją przestudiować.

Podszedł do trzeciej gabloty. Światło przenikające przez przejrzysty obsydian wydobyło z mroku śliską, pulsującą powierzchnię bijącego serca, wczepionego w okładkę grymuaru jak jakaś okropna narośl. Księgę oplatały wijące się po skórzanej oprawie żyły, rozdymające się rytmicznie, jakby pompowały krew, jednak napędzający je zielony blask był czystym czarnoksięstwem, magią rodu Thornów; nekromancją, utrzymującą dawno obumarłe serce przy życiu.

– Ach. *Kroniki umarłych*. – Ashcroft postukał w ścianę gabloty i uśmiechnął się w zamyśleniu, kiedy serce zareagowało konwulsyjnym skurczem. – Ci, którzy próbują je otworzyć, natychmiast padają ofiarą ich magii. Wszyscy poza tobą,

Nathanielu. Ta księga jest twoja. Bez wątpienia cię woła. Co byś powiedział na to, żeby spotkać się z dziełem swego przodka?

– Nie rób tego – wychrypiał Nathaniel, zaciskając pobielale palce na prętach.

Zmysły Elisabeth odżyły, niesione falą furii.

– To nie zadziała! – krzyknęła przez bronę. – Nie dasz rady zapanować nad archontem! Rozerwie świat na strzępy. Gdy go przyzwiesz, ty zginiesz pierwszy!

Ashcroft przystanął, spoglądając na nich z dłonią złożoną przy uchu.

– Prawdę mówiąc, nigdy nie radziłem sobie z czytaniem z ruchu warg – przyznał w końcu i zaśmiał się smutno. – Prosisz mnie, żebym zrezygnował, prawda? Ach, panno Scrivener, ty tego nie zrozumiesz. Nie jesteś w stanie zrozumieć. Zadanie stojące przede mną przechodziło z ojca na syna od trzystu lat. Jestem częścią czegoś znacznie większego niż ja sam. – Odchylił głowę do tyłu, spoglądając na kolumnę. – Kiedy posiadę moc archonta, ludzkość ulegnie przeobrażeniu. Położę kres chorobie, biedzie i wojnom. Dokonam cudów. Nastanie wspaniała era, w której wszystko będzie możliwe, urzeczywistni się każdy sen...

Umilkł. Oczy lśniły mu z emocji. Nawet pod postacią Hyde'a emanował odrobiną naturalnego blasku i magnetyzmu Ashcrofta.

„On naprawdę wierzy w to, co mówi” – pomyślała z przerażeniem Elisabeth. W głębi serca postrzegał się nie jako złoczyńcę, lecz jako bohatera.

Ashcroft odchrząknął.

– Zobaczmy. – Okrążył przestrzeń między kolumnami, przyglądając się wyrytemu w podłodze symbolowi Kolegium. – Cornelius stanął przed pewnym problemem, kiedy budował tę bibliotekę. Jak wyzwolić grymuar z krypty pełnej żelaza, wykutej kilkaset stóp w głębi góry? Na szczęście technologia Kolegium sama podsunęła odpowiednie rozwiązanie.

Sięgnął po miecz Hyde'a, pragnąc wyciągnąć go z pochwy, i nagle zastygł. Dłoń mężczyzny zacisnęła się na rękojeści, z wysiłkiem napinając mięśnie. Twarz mu spurpurowiała, kiedy dwa umysły starły się w walce o władzę. Nadzieja wypełniła pierś Elisabeth jak oddech wypełniający płuca tonącego.

– Żelazo musi osłabiać zakłęcie Ashcrofta. – Spojrzała na Nathaniela, który wpatrywał się w *Kroniki*, biały jak prześcieradło. Nie sądziła, by ją usłyszał, gdyby

się do niego odezwała. Zamiast tego zapytała Silasa: – Czy jest jakiś sposób, żebyś dostał się do środka?

Demon stał kilka kroków za nimi, blady jak duch w mrocznym tunelu. Wystąpił naprzód, wyciągając rękę w stronę brony. Przebiegł ją dreszcz niepokoju, ale jego dłoń zatrzymała się o szerokość włosa od grubych prętów ze wzmocnionego żelaza.

– Obawiam się, że nie – powiedział. – Tę bramę zaprojektowano, aby broniła wstępu istotom takim jak ja. A nawet gdybym dał radę, wewnątrz krypty nie dysponowałbym pełnią sił.

Nic dziwnego, że Silas trzymał się z tyłu. W piekielnej, czerwonej poświacie stopionego żelaza zdawał się wyblakły, niemal chory.

Szczęk metalu o kamień ściągnął jej uwagę z powrotem na Ashcrofta, który zdołał dobyć miecza Hyde'a, choć potoczył się przy tym naprzód, prawie upuszczając broń. Patrzyła z przerażeniem, jak wlecze ostrze po kamieniu i ustawia je pionowo nad symbolem Kolegium, napierając na nie swoim ciężarem. Czubek miecza wsunął się w ukryty mechanizm jak klucz wkładany do zamka. Pocąc się i drżąc z wysiłku, Ashcroft przekręcił go w prawo.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem chrobot poniósł się echem przez grootę. Podłoga zadrżała, wprawiona w ruch przez niewidoczne zębatki, kiedy maszyna Wielkiej Biblioteki ożyła. Ostre linie pęknięcia poprzecinały sufit. W głębi krypty jeden z olbrzymich obsydianowych aniołów zaczął się obracać, nie za sprawą czarów, lecz dzięki ruchom mechanizmu. Twarz miał spokojną i nieruchomą, a stopione żelazo przestało spływać z jego rąk. Odchylając się na bok, zablokował dopływ metalu i fosa u jego stóp powoli się opróżniała.

W miejscu, gdzie przedtem stał anioł, teraz otwierał się wylot tunelu. Jednak Elisabeth patrzyła tylko na sufit; pęknięcie biegło już przez cały strop jaskini, a skała ponad broną rozszczepiła się na dwoje. Kiedy chwyciła za pręty i nimi potrząsnęła, poczuła, że krata nieco się obluźowała.

Ashcroft stał zgięty w pół, a twarz Hyde'a wykręcała się groteskowo. Chwiejnie podszedł do kolumny zawierającej *Kroniki* i wsparł się o nią dłonią, raz po raz zaciskając się w pięść, drugą zaś z drżeniem uniósł klucz do otworu zamka.

Jeszcze nie było za późno. Ashcroft chybił raz i drugi, klucz ześlizgnął się po kamieniu. Elisabeth rzuciła się na bronę. Metal zazgrzytał, przesunięty o cal do

przodu z jednej strony; krata wygięła się pod naporem jej ramienia.

Zaciskając zęby z wysiłku, Ashcroft w końcu trafił kluczem do dziurki. Gdy go obrócił, uchylił się panel i wypłynęła zza niego zabarwiona na zielono mgła, oblewając buty Hyde'a.

Bum-bum. Bum-bum. Bum-bum. Konwulsyjnie bicie wiekowego, martwego serca wypełniło grotę, wibrując Elisabeth w kościach. Smród niemal powalił ją na kolana. Czuła się, jakby stała w wejściu do grobowca, wdychając woń pleśni, kamienia i prastarej magii, czaszek oblezionych przez robactwo, mchu wyrastającego gdzieś na kruszących się nagrobkach.

Brona zazgrzytała, kiedy Elisabeth wcisnęła ramię w szczelinę, opierając się o ścianę, aby zwiększyć siłę nacisku. Ale było już za późno.

Nie zdąży powstrzymać Ashcrofta, bo ten właśnie sięgnął do gabloty i zatopił palce w bijącym sercu.



ŻYŁY WYCHODZĄCE Z serca pulsowały szmaragdowym światłem. Zaczęły się rozciągać, rozrastać, oplatać łańcuchy jak korzenie, wysuwając w powietrze rozszczerzone wici. Myśli Elisabeth stanęły w miejscu, w głowie miała tylko jeden obraz – ilustrację przedstawiającą układ nerwowy, którą zapamiętała z jednego z tekstów anatomicznych mistrza Hargrove’a. *Kroniki* rozrastały się w malefikt, zaczynając od serca.

Jego coraz większa postać w kilka sekund wypełniła wnętrze kolumny. Szponiaste palce wychynęły poza otwór w kamieniu, ociekając tuszem z odsłoniętych ścięgien. Przypomniała sobie cienie tych szponów na ścianie Biblioteki Królewskiej, sięgające ku strażnikom ciągnącym korytarzem klatkę na kołach.

Ashcroft zatoczył się do tyłu, przyciskając dłoń do piersi. Z obłędem w oczach rzucił się po miecz leżący na podłodze obok symbolu Kolegium. Nie, już nie Ashcroft – Hyde. Ashcroft zrobił wszystko, co miał do zrobienia, i opuścił jego ciało, pozostawiając Hyde’a na pastwę *Kronik umarłych*, tak samo, jak z pewnością postąpił z Ireną po wypuszczeniu *Księgi oczu*.

Dłoń malefaktu wystrzeliła do przodu. Metal zagrzechotał, gdy zatrzymała się ledwie parę cali od Hyde’a, powstrzymana napiętym łańcuchem oplatającym jej nadgarstek. Ogniwa wyginały się, gdy szpony z całych sił parły naprzód, próbując pochwycić dyrektora.

Twarz mężczyzny zastygła w wyrazie determinacji. Uniósł miecz.

– Nie na mojej warcie – zawarczał. – Nie, póki ja wciąż żyję, potworze.

– *Więc giń* – szepnął malefikt głosem brzmiącym jak wiatr wydobywający się z grobowca. Jeden ze szponów wyprostował się i dotknął policzka Hyde’a.

Twarz dyrektora straciła wszelki wyraz. Zielone światło popłynęło w górę żyłami na jego szyi, rozeszło się po policzku i spłynęło na szpon. Mężczyzna zamrugał,

a potem padł martwy jako wyzute z koloru, uschnięte zwłoki. Jego ciało w zderzeniu z podłogą rozsypało się w proch, jakby już od wieków spoczywało w mauzoleum.

Ręka malefaktu zadrżała, gdy skradzione życie, pulsując, spłynęło mu po nadgarstku. Po powierzchni kolumny wiły się coraz dłuższe pęknięcia – to było jedyne ostrzeżenie, zanim kamień pękł, rozsadzony od środka, syjąc naokoło kawałkami obsydianu. Wysoki, chudy kształt wyłonił się z rumowiska, przesłonięty kłębamii pyłu. Zerwane łańcuchy zwisały mu z nadgarstków, a głowę wieńczyło poroże.

Elisabeth widziała już kiedyś ten kształt, tamtej nocy, którą spędziła z Nathanielem w Czarnoborze. Serce grymuaru... Baltasar wydarł je z piersi jednego z mchowych ludzi. Dający życie, przemieniony w tego, który je odbiera; nie mogła sobie wyobrazić gorszej profanacji.

Jakby wyczuwając jej myśli, malefikt gwałtownie obrócił głowę. Jego oczy płonęły zielenią zza tumanów pyłu. Przez długą chwilę wpatrywał się w nich, zastygły w bezruchu. Choć nie był wiele wyższy od *Księgi oczu*, biła od niego pradawna, złowroga aura, od której przeszły ją lodowate dreszcze. Jej instynkt krzychał, by sięgnęła po Zabójcę Demonów, ale nie była w stanie się ruszyć.

Po kilku kolejnych sekundach potwór jakby stracił zainteresowanie. Odwrócił się i ruszył w stronę tunelu; przekroczył suchy fragment kanału, po czym zniknął w rozciągającym się za nim mroku.

Pęk kluczy zadźwięczał w kieszeni Elisabeth. Trzęsła się tak, jakby spędziła noc na dworze w środku zimy. Mimo to wytarła dłonie o płaszcz i ze zdwojonym wysiłkiem napała na bronę. Jeśli pozwoli malefiktowi uciec, zginą niezliczone rzesze ludzi. Po tym, co właśnie widziała, nie była pewna, czy strażnicy zdołają go powstrzymać. Co, jeśli podąży Inkaustowym Traktem aż do Brassbridge, wysysając po drodze życie z całych miasteczek i pozostawiając za sobą tylko prochy?

Kątem oka zobaczyła, że Nathaniel wpatruje się w odchodzący malefikt.

– Nathaniel – wycodziła przez zęby. – Pomóż mi.

Nie odrywał wzroku od wylotu tunelu.

– Nie słyszałaś? – zapytał.

Jego głos brzmiał dziwnie, prawie jakby mówił przez sen. Przerwała, przyglądając się jego twarzy. Wydawał się teraz dużo spokojniejszy niż jeszcze chwilę temu, ale oczy mu błyszczały jak po zażyciu laudanum. Nawet w czerwonym blasku bijącym z krypty widać było, jak bardzo jest blady.

– Ten głos – ciągnął. – Mówił... chciał... nie słyszałaś, co powiedział?

Dreszcz przebiegł Elisabeth po plecach. Zerknęła na Silasa, który nieznacznie pokręcił głową – on też niczego nie słyszał. Ostrożnie położył dłoń na ramieniu Nathaniela.

– Panie – odezwał się.

Nathaniel zmarszczył brwi i przeczesał włosy palcami.

– Przepraszam – mruknął. Jego głos brzmiał już dużo zwyczajniej. – Nie wiem, co mnie napadło. Oczywiście, że z przyjemnością wesprę cię w śmiertelnie niebezpiecznym akcie heroizmu, Scrivener. Wystarczy jedno twoje słowo.

Zacisnął dłonie na prętach i pchnęli razem. Z ostatnim, bolesnym jękiem brona wygięła się na tyle, że byli w stanie przecisnąć się koło niej bokiem. Silas skoczył za nimi pod postacią kota, sadowiąc się na ramieniu Nathaniela. Jego ogon ciął powietrze, kiedy biegli przez most, a żar bijący ze wciąż parującego kanału owiewał ich jak podmuch z kuźni.

Elisabeth zmusiła się, aby nie patrzeć w dół, kiedy mijali pusty mundur Hyde'a, ani nie podnosić wzroku na pozostałe grymuary dziesiątej klasy, wyrwane z odrętwienia przez ucieczkę *Kronik*. W kolumnie *Librum draconum* trzaskały wyładowania elektryczne, a od strony *Oraculis* dobiegała cicha muzyka, przypominająca dzwonki dźwięczące w oddali na wietrze.

Elisabeth pierwsza dobiegła do przejścia i zatrzymała się gwałtownie. W powietrzu unosił się odór malefaktu – woń kamienia i zgnilizny. Każde włókno jej ciała wzbraniało się przed wejściem tam, ale zacisnęła zęby, dobyła Zabójcy Demonów i ruszyła naprzód. Chwilę później w dłoni Nathaniela zapłonął zielony ogień, oświetlając jego złane potem czoło. Posłał jej szeroki uśmiech, biegnąc u jej boku, ale wiedziała, że to tylko poza. W rzeczywistości musiał być jeszcze bardziej przerażony niż ona – w końcu czekało go spotkanie z esencją swoich koszmarów. Ale to, jak wyglądał minutę temu... wydawał się niemal spokojny...

Ogarnął ją niepokój.

– Co takiego mówiły *Kroniki*? – zapytała.

Zerknął na nią szybko, po czym odwrócił wzrok, wbijając go przed siebie.

– Chyba musiałem to sobie wyobrazić. – Zaśmiał się niezbyt przekonująco, a potem wydusił z siebie: – Chciały, żebyśmy szli... żebyśmy poszli za nimi. Dołączyli do nich. Ale to bez sensu. Dlaczego u licha miałyby tego chcieć?

Elisabeth się zawahała. *Kroniki* przemówiły tylko do Nathaniela; wątpiła, żeby ich zaproszenie było przeznaczone dla nich wszystkich.

– Jeśli jeszcze się do ciebie odezwą – powiedziała – obiecaj mi, że nie będziesz słuchał. Że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby ignorować ich głos.

Gardło Nathaniela drgnęło, gdy przelykał ślinę.

– Tak zrobię – przyrzekł.

Pozostawało tylko mieć nadzieję, że to wystarczy.

Malefikt nie czekał na nich; znacznie ich wyprzedził. Kiedy tunel zaczął się wznosić, pierwsze, co Elisabeth usłyszała, to posępne bicie dzwonu alarmowego Wielkiej Biblioteki, niosące się przez kamień. Na ten dźwięk odwaga rozlała się po jej żyłach jak ogień. Jeśli strażnicy stanęli w pogotowiu na czas, wciąż była nadzieja.

Tunel kończył się stromymi schodami, u szczytu których malefikt najwyraźniej przebił się przez warstwę ziemi siłą, wrywając dziurę, której okrąg wypełniało nocne niebo. Wdrapali się po połamanych kamiennych płytach i wynurzyli się w samym środku bitewnego zgiełku.

Chłodny powiew smagnął Elisabeth w twarz. Armaty grzmiały, oświetlając czerwonymi rozbłyskami pokryty solą dziedziniec Wielkiej Biblioteki. W powietrzu unosił się zapach prochu. Wokół nich biegali strażnicy, zbyt zajęci, by spojrzeć w ich stronę. Pomiedzy kolejnymi wystrzałami z dział, przez dzwonienie wypełniające uszy Elisabeth przedzierały się krzyki. Przed nimi ział wyłom w murze, pełen zniszczonej, dymiącej maszynerii. Kiedy wodziła wzrokiem dookoła, próbując się zorientować w sytuacji, przez wyłom wtoczył się z powrotem jakiś strażnik o twarzy szarzejacej kawałek po kawałku, jakby pokrywała ją warstwa szronu. Był już o krok od drzwi biblioteki, gdy rozsypał się w proch.

Kolejne wystrzały oświetliły sylwetkę wznoszącą się ponad murami. Zamachnęła się porożem i straciła jedną z armat; działo poleciało w bok, sypiąc naokoło odłamkami muru.

Elisabeth cofnęła się chwiejnie. To wydawało się niemożliwe, ale...

– Zrobił się ogromny! – zawołała, przekrzykując zgiełk.

– Nabiera siły z każdym wchłoniętym życiem! – odkrzyknął Nathaniel. – Z czasem będzie tylko rosnąć i nabierać mocy.

Odwróciła się w jego stronę, z twarzą przesłoniętą targanymi wiatrem włosami.

– Musimy go powstrzymać.

Nathaniel przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym skinął głową. Spuścił wzrok, poruszając ustami. Chmury przesłoniły księżyc i pochłonęły gwiazdy. Na moment wiatr kompletnie ustał. Na dziedzińcu spłynęła niesamowita cisza, kiedy działa zaprzestały prowadzenia ognia, nie mogąc namierzyć celu w ciemności. Nawet bicie dzwonu zdawało się stłumione. W tej nagłej ciszy zakłęcie Nathaniela zdawało się rozbrzmiewać głośniejsz; enochiańskie sylaby odbijały się echem wśród murów.

– To ten czarownik! – zawołał któryś ze strażników. – Tam jest!

Elisabeth tego właśnie się obawiała. Przy braku dowodów na udział Ashcrofta, to Nathaniel wydawał się odpowiedzialny za ucieczkę *Kronik*. Gdy strażnicy rzucili się w ich stronę, osłoniła go własnym ciałem, trzymając Zabójcę Demonów w gotowości. Silas zeskoczył mu z ramienia, przybierając na powrót ludzką postać, jeszcze zanim dotknął stopami ziemi.

Zabójca Demonów starł się z mieczem najbliższego strażnika; jej ramię zadrżało pod naporem uderzenia. Napastnik był lepszym szermierzem, za to ona była wyższa i silniejsza. Parując bez zastanowienia, dawała radę odpierać kolejne ciosy, aż klingi zaklinowały się w zwarciu.

– To nie on jest sabotażystą! – zawołała sponad skrzyżowanych ostrzy.

Strażnik nie słuchał. Z czerwoną z wysiłku twarzą napierał na nią, a jego miecz zgrzytał groźnie o ostrze Zabójcy Demonów. Skręciło ją w żołądku, gdy zdała sobie sprawę, że być może będzie musiała zacząć z nim walczyć na poważnie, nawet ryzykując, że go zabije. Nie da rady już długo zatrzymać go tak, żeby żadnemu z nich nie stała się krzywda.

Nieopodal Silas zrobił krok w bok, unikając pchnięcia innego strażnika, i w tej samej chwili pojawił się za nim. Złapał mężczyznę za nadgarstki i wykręcił. Rozległ się mdlący trzask i strażnik z krzykiem upuścił miecz. Zanim broń zdążyła uderzyć o ziemię, Silas był już przy kolejnym napastniku. Jeden po drugim,

strażnicy przewracali się wokół Nathaniela jak figury szachowe, jęcząc i tuląc do siebie połamane kończyny.

Nagły podmuch owiał dziedziniec. Nathaniel uniósł głowę; wiatr targał mu włosy, a oczy otaczała szmaragdowa poświata. Płomienie tańczyły mu na palcach. Sam wyglądał jak demon, gdy przez zaciśnięte zęby wymawiał ostatnie sylaby zaklęcia.

Elisabeth westchnęła głośno, gdy się uniosła ledwie muskając czubkami butów kamienne płyty. Powietrze przeszywały wyładowania elektryczne, przebiegając z trzaskiem po jej ubraniach i sprawiając, że włosy stawały jej na głowie. Wokół zebrało się już tyle skoncentrowanej energii, że myślała, że zaraz popękają jej bębenki w uszach – wtedy jednak moc popłynęła wolno potężną falą, wstrząsając jej ciałem, i rozległ się grzmot tak głośny, jakby samo niebo runęło i uderzyło w ziemię. Grawitacja ściągnęła ją z powrotem, kiedy grom błysnął po drugiej stronie muru. Uderzył raz, drugi, trzeci, i dalej, aż straciła rachubę, a każda oślepiająca, skwiercząca błyskawica wiła się pośród poroża malefaktu i spływała po jego ciele strumieniami zielonego światła.

Gdy wyładowania w końcu ustały, nie mogła zobaczyć, co się stało, ponieważ wzrok przesłaniał jej dym i zalewające oczy, fioletowe powidoki. Mogła się jednak tego domyślić, bo przez dziedziniec przeszedł wstrząs, jakby upadło coś ciężkiego, a z muru obronnego dobiegły wiwaty.

Z całej siły odepchnęła od siebie strażnika. Zachwiał się, niepewny, co robić dalej. Zjawilo się więcej strażników, ale trzymali się z tyłu, wpatrzeni w Nathaniela.

Jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie. Po ciele przebiegały mu iskry; maleńkie błyskawice migotały między jego palcami a płytami dziedzińca. Jakby tego było mało, uśmiechał się szeroko.

Jeden ze strażników ruszył naprzód.

– Stać – ostry głos dobiegł znad ich głów. Krępa kobieta z obciętymi krótko włosami stała na schodach pnących się zygzakiem w górę po wewnętrznej stronie muru i się im przyglądała. Przeskoczyła przez barierkę i wyładowała obok Elisabeth. – Bitwa jeszcze się nie skończyła – powiedziała stanowczo – a ci dwoje nie są naszymi wrogami. Niech ci z was, którzy wciąż są w stanie chodzić, zrobią

czarownikowi miejsce na murze. To magister. Potrzebujemy go. – Gdy żaden ze strażników się nie poruszył, krzyknęła: – Ruszać się!

Zanim Elisabeth zdążyła odpowiedzieć, była już popędzana w stronę schodów wraz z Nathanielem. Dowodząca strażniczka patrzyła na nich z ukosa.

– Mam nadzieję, że nie będę tego żałować. Czy któreś z was widziało dyrektora?

– Malefikt go zabił – wychrypiała Elisabeth.

Przyjęła to ponuro, ale bez zaskoczenia.

– To chyba znaczy, że teraz ja jestem dyrektorką. – Urwała, zerkając na Silasa, po czym przeniosła wzrok na Nathaniela. – Domyślam się, że to pański demon?

– A... – Nathaniel strząsnął z palców kilka ostatnich iskier. Celowo unikał wzrokiem rannych strażników, wciąż wijących się na dziedzińcu i trzymających się za połamane nogi. – Obawiam się, że tak, pani dyrektor.

Strażniczka – nowa dyrektorka – patrzyła na nich, marszcząc brwi. Elisabeth szykowała się w duchu na najgorsze, jednak ona powiedziała tylko:

– Trochę mały – i z powrotem wbiła wzrok przed siebie.

Ich buty załomotały o metalową kratę. Kiedy dotarli na górę, owiały ich kłęby cuchnącego dymu, wśród których strażnicy obsługujący armaty byli zaledwie ciemnymi plamami widocznymi w blasku pochodni. Elisabeth rzuciła się ku blankom i spojrzała w dół. U stóp muru leżała tłąca się, poskręcana masa w otoczeniu poprzewracanych barykad, a unoszony z wiatrem dym przesuwiał się między szpikulcami. Jednak powalony malefikt nie obracał się w popiół.

– Jeszcze żyje! – zawołała do pozostałych.

– Byłabym niezmiernie wdzięczna, gdyby pan temu zaradził, panie magistrze – powiedziała dyrektorka. – Najszybciej jak to możliwe, dla dobra nas wszystkich.

Nathaniel i Elisabeth wymienili spojrzenia między smugami dymu. Wiedziała, jaka jest sytuacja: nie uda się poskromić tak niebezpiecznego potwora. Ashcroft nie pozostawił im wyboru. Wyobraziła sobie, jak *Kroniki* wyrrywają się na wolność i sieją chaos w Brassbridge, burząc wieże swoimi szponami i pozostawiając za sobą rzesze martwych oraz umierających. Jak wypadalo to w porównaniu z inwazją demonów? Ile ofiar, jak wielkie zniszczenia? Nie wiedziała. Czowała się, jakby stała przed wagą z opaską na oczach i miała za zadanie porównać ze sobą dwie katastrofy, wybrać, jak skończy się świat. Ona i Nathaniel patrzyli sobie

w oczy, a między nimi ważył się los tysięcy ludzi, i nie było czasu nic mówić ani nawet myśleć – trzeba było działać.

– Tak – powiedziała, z bólem wyrywając z gardła każde słowo. – Zrób to.

– Wątpię, żeby więcej błyskawic przyniosło skutek – stwierdził Nathaniel, zwracając się z powrotem do dyrektorki. – Będę musiał spróbować czegoś innego. Jedną chwilę. – Zamknął oczy.

Elisabeth zacisnęła wolną rękę i podeszła do Silasa, który wyglądał ponad blankami. Twarz miał pozbawioną wyrazu, a wiatr targał mu włosy, które zaczynały wymykać się spod wstążki. Chwytając się ostatniej nadziei, zapytała:

– Czy nie ma nic, co ty mógłbyś zrobić?

– Nie jestem cudotwórcą, panno Scrivener. – Jego wargi ledwie się poruszały, jakby naprawdę był posągiem z alabastru. – Nie mogę walczyć z tym stworem; to dzieło mojego byłego pana. Krępuje mnie zakaz Baltasara, nawet wieki po jego śmierci.

Zawahała się; przyszła jej do głowy pewna myśl. Słowa Silasa nie były do końca prawdą. Gdyby wyzwoliła go z niewoli, nie ograniczałyby go już rozkazy Baltasara ani nic innego. Mógłby to zatrzymać. Miałby moc, aby ich wszystkich ocalić.

– Ale nie zrobiłbym tego – wymruczał. – Sama dobrze o tym wiesz.

Ton jego głosu natychmiast uciał jej rozważania.

– Przepraszam – powiedziała, choć nie była pewna, dlaczego konkretnie jest jej przykro – z powodu swojego pomysłu, czy też głodu, który widziała w oczach Silasa.

Pochylił głowę. Nagle otwarł szeroko oczy.

– Padnij – rzucił gwałtownie. – Padnij!

Po raz pierwszy słyszała, żeby podniósł głos. Cały świat przewrócił się na bok, gdy złapał ją i Nathaniela i cisnął nimi w dół. Malefikt wzniósł się ponad mur; z jego ust i wąskich szpar nosa buchał dym, a z oczu biła wstrętna zieleń nekromancji. Silas z całych sił przycisnął ich do kamienia, kiedy gigantyczne ramię przemknęło nad blankami. Wicher owiał Elisabeth, atakując jej zmysły, szarpiąc ubrania. Jej świadomość przyćmiła okropna, ssąca szarość; czuła się, jakby jej życie było płomieniem świecy drżącym w porywach wiatru. Słyszała i widziała coraz gorzej. Nagle buchnęły zielone płomienie i świat pękł na pół jak stłuczony kalejdoskop.

Urywki dźwięku. Ruch. Głos.

– Elisabeth. – To był głos Nathaniela, zdławiony z emocji, nad którymi chłopak z trudem panował. – Elisabeth, słyszysz mnie?

Widziała nad sobą jego twarz – bladą, rozmytą plamę na tle ciemności. Policzek miał zabrudzony sadzą, a za jego głową wirowały zielone iskry. Obejmował ją jedną ręką, a drugą rozpaczliwie ścisnął jej dłoń. Zaparło jej dech, gdy ujrzała swoje palce, uschnięte i wyprane z koloru. Zaraz jednak zobaczyła, że skutki dotyku malefaktu ustępują. Wróciło jej czucie w dłoni; miała wrażenie, że kłuje ją mnóstwo igieł i szpilek.

Nathaniel pomógł jej stanąć chwiejnie na nogach. Wszędzie wokół widzieli spustoszenie. Języki szmaragdowych płomieni lizały blanki i tańczyły po rozrzuconych na murze pustych mundurach. Zagrzmiął pojedynczy wystrzał z armaty i wrzask malefaktu zadźwięczał jej w uszach. Nieopodal dyrektorka wyszczekiwała rozkazy, próbując zebrać pozostałych przy życiu strażników.

– Nic mi nie jest – zapewniła Elisabeth, poprawiając chwyt na rękojęści Zabójcy Demonów. – Jestem gotowa.

Nathaniel miał dziwny wyraz twarzy. Zerknął znacząco na Silasa, po czym zrobił krok w tył. Usta Elisabeth ułożyły się do protestu, jeszcze zanim zdążył się odezwać.

– Odciągnę go...

– Nie.

– Muszę. Jestem jedyną osobą niepodatną na jego nekromantyczną magię.

– Czekał – powiedziała. – Nie powinienes. Jego głos... możesz nie dać rady mu się oprzeć.

– Nie martw się. Mam pewien pomysł. Nie ma czasu wyjaśniać, ale... – Już się odwracał, rozwijając w dłoniach ognisty bicz, którego blask otoczył łuną jego wysoką, smukłą sylwetkę. Zdążyła jeszcze zobaczyć cień uśmiechu na jego twarzy. – Zaufaj mi.

Przed nim malefikt skończył właśnie orać pazurami wieżę i odwrócił się, sypiąc naokoło fragmentami muru. Choć przypominał ducha mchu, którego widzieli z Czarnoborze, pokrywająca go kora była ciemna i przegniła, a miejscami popękała, odślaniając płonący pod nią zielony blask. Idąc w jego kierunku,

Nathaniel wydawał się niewiarygodnie mały, a jego bicz wyglądał zaledwie jak świetlista nić.

Elisabeth nie miała zamiaru stać i patrzeć. Zatknęła Zabójcę Demonów za pas i pognąła w stronę najbliższej armaty; z jej poprzedniego operatora pozostał tylko mundur i sterta prochów. Odsunęła te szczątki na bok i wdrapała się na miejsce artylerzysty.

Działo znacznie się różniło od średniowiecznych armat, o których czytała w książkach. Jak cała reszta mechanizmów Wielkiej Biblioteki, stanowiło skomplikowane urządzenie pełne tłoków i zębatek. Chwyciła za koło i na próbę przekręciła je w lewo, czując, jak chłód metalu kąsa jej palce. Machina ożyła, potrząsając siedzeniem tak gwałtownie, że byłaby spadła, gdyby się mocno nie trzymała. Z jękiem protestu lufa armaty obróciła się o kilka stóp w lewo. Dobrze, teraz do góry. Szarpnęła za sąsiednie koło i lufa się uniosła. Pozostała jeszcze tylko dźwignia obok jej uda. Z pewnością to za jej pomocą oddawało się strzał.

Bicz Nathaniela rozwinął się, gotów do ataku. Jednak atak nie nastąpił. Chłopak stał nieruchomo, wpatrzony w pochylony nad nim malefikt. Serce zamarło jej w piersi, gdy przypomniała sobie jego nieobecny wyraz twarzy w krypcie.

„Rusz się – zaklinała go w myślach. – Walcz”.

Pośród ciszy, las odetchnął. Powiew wiatru uniósł się nad mur, cuchnąc rozkładem, jakby wydobywał się z ust trupa. Konary gięły się z trzaskiem. Następnie rozległ się szept:

– *Thorn...*

– Nie słuchaj go! – krzyknęła Elisabeth. Czując, jak puls tętni jej pod kołnierzem płaszczka, z całych sił nacisnęła dźwignię.

Z głębi działa dobiegł klekot, jakby mechanizm ciągnął w górę ogniwa łańcucha. Lufa zadrżała, a jej wylot rozżarzył się na czerwono z gorąca. Siła odrzutu wstrząsnęła armatą, aż Elisabeth zagrzechotały zęby, a ręka zdrętwiała do łokcia, jednak jakoś udało jej się nie puścić.

Rozległ się wysoki, piskliwy świst, a potem huk. Wstała, przytrzymując się koła sterującego dla równowagi. Zielone światło buzowało wokół metalowego pocisku tkwiącego w piersi malefiktu. Elisabeth wiedziała, że kula armatnia musi być ogromna, ale w porównaniu z gigantyczną sylwetką potwora zdawała się nie większa niż piłeczka do gry.

Malefikt niemal nie zareagował. Zaczynała się już zastanawiać, czy nie był to głupi pomysł, kiedy pocisk eksplodował.

Malefikt wrzasnął, gdy wkoło posypały się odłamki jego podobnej do kory drzewa skóry. Powstałą dziurę wypełniał biały obłok – sól. Kula armatnia była pociskiem solnym w metalowej osłonie.

Daleko w dole Nathaniel potrząsnął głową, jakby próbował wytrzepać z niej pajęczyny. Napiął ramiona i smagnął biczem, oplatając nadgarstek malefiktu sznurem skwierczących płomieni. Szarpnął, aby pozbawić potwora równowagi, po czym uniósł drugą dłoń i wypuścił z niej strumień zielonego ognia, podobny do erupcji wulkanu. Pchnięty w tył malefikt przytrzymał się pazurami muru, aby nie upaść. Kiedy opadł z niego tłący się żar, spojrział Nathanielowi w oczy z tak bliska, że mógłby wyciągnąć rękę i go pochwycić.

– *Znam cię* – wyszeptał zamiast tego. – *Syn rodu Thornów, pan śmierci.*

– Nie – wychrypiał Nathaniel, cofając się o krok.

– *Dlaczego skrywasz swoją naturę? Dlaczego wyrzekasz się zewu swojej krwi?*

Strach przeszył pierś Elisabeth.

– Nathaniel! – zawołała. Nie zareagował; zdawało się, że w ogóle jej nie słyszy.

– *Rozumiem* – powiedział malefikt. – *Chcesz oszczędzić dziewczynę, którą kochasz. Ale znasz prawdę o magii. Najpotężniejsza moc rodzi się zawsze z cierpienia.* – Przynurzył się bliżej. Z paszczy buchał mu dym. – *Dołącz do mnie* – szepnął. – *Władco śmierci, stań się ciemnością, która cię dręczy. Zabij dziewczynę.*

Ramię Nathaniela osunęło się w bok, bicz wygasł. Chłopak odwrócił się powoli. Elisabeth nie rozpoznała wyrazu jego twarzy. Płaszcz miał podarty, wokół oczu lśniły czerwone obwódki.

Czując, że z nerwów zaschło jej w ustach, przekręciła koła, ustawiając działo w nowej pozycji. Znów przycisnęła dźwignię. Nathaniel kroczył w jej stronę, a płomienie spływały mu z ramion niczym dziwne, przejrzyste kwiaty.

Armata wypluła kulę. Kilka jardów przed malefiktem rozprysnął się kamień – chybiła. Nie mogła celować prosto w głowę potwora, nie ryzykując, że trafi Nathaniela.

Mur oświetliły zielone rozbłyski. Wysoko na niebie kotłowała się ogromna masa burzowych chmur. Spowity ognistą aureolą czarownik wydawał się niemal nieludzki, nietykalny.

Dłonie Elisabeth zadrżały na przyrządach.

– Nathanielu, stój!

Nie słuchał. Wciąż parł naprzód, a błyskawice przecinały niebo, przeskakując łukami między wierzchołkami gór. Ziemia zadrżała, gdy z pobliskiego szczytu runęła lawina śniegu, zalewając porastające zbocze drzewa z siłą dostateczną, aby zrównać z ziemią wioskę. Elisabeth nigdy nie widziała takiego spustoszenia. Co gorsza, Nathaniel zdawał się nawet nie zauważać, że to robi.

Przyszła jej do głowy straszna myśl. Mogła wycelować lufę gdzie indziej. Kule armatnie były zrobione z żelaza. Gdyby wystrzeliła pocisk w Nathaniela, nie byłby w stanie go zatrzymać. Jeśli było to konieczne... jeśli tylko w ten sposób mogła to przerwać, powstrzymać go przed staniem się kolejnym Baltasarem...

Czyjś chłodny dotyk zatrzymał jej dłoń.

– Zaczekaj – powiedział Silas. Rozpuszczone włosy powiewały mu na wietrze. Nie rozumiała, jak może wyglądać tak spokojnie.

Nathaniel był już prawie przy nich. Oczy przesłaniał mu czarnoksięski blask, a płomienie spływały po jego ciele niczym płaszcz. Za chwilę będzie za późno, żeby go powstrzymać.

– Elisabeth. – Głos miał odmieniony, zniekształcony magicznym echem. Wyciągnął ku niej rękę. Płomienie cofnęły się, odpływając z rękawa, aby mogła ją ująć.

„Zaufaj mi”, powiedział wcześniej.

Przypomniała sobie dzień, kiedy po raz pierwszy się spotkali; podał jej rękę, a ona się zawahała, pewna, że zrobi jej krzywdę. Jednak przecież wszystkie obawy, które sobie uroiła, złe uczynki, o jakie go posądzała... on nigdy nie był do nich zdolny. Nie Nathaniel, jej Nathaniel, dręczony przez swój wewnętrzny mrok tylko dlatego, że było w nim tak wiele dobra.

Słowa malefaktu zabrzmiały na nowo w jej głowie. „Dziewczyne, którą kochasz”. Zawarta w nich prawda zadźwięczała w jej duszy jak bicie dzwonu.

Powoli zeszła z działą. Powietrze drżało z gorąca, ale ona nie czuła bólu, jakby przywdziała zbroję i stała się niezwyciężona. Ruszyła w stronę szmaragdowych płomieni, a one rozstępowały się wokół niej i wyginały nad jej ciałem jak grzbiety fal. Nathaniel czekał z wyciągniętą ręką.

Ich palce się zetknęły. Zamknął oczy. I wtedy właśnie to zobaczyła: fiolka Prendergasta wisiała pusta na jego piersi.

Malefikt zawył z furii, zbyt późno wyczuwając fortel. Rzucił się w ich kierunku z rozdziawioną paszczą. Był coraz bliżej i bliżej, owiewając ich cuchnącym oddechem. Tymczasem magia porwała ich i uniosła daleko od Harrows.



ELISABETH, NATHANIEL I Silas zmaterializowali się w obcym salonie, pośród grupki kobiet popijających wieczorną herbatę. A przynajmniej popijały ją, zanim ucięty łeb *Kronik* wylądował przed nimi na stoliku.

Runął z hukiem, miażdżąc rzeźbiony mebel i wprawiając w drzenie porcelanę poustawianą w lustrzanych gablotkach. Oderwana przy szyi, z uciętym porożem, wyglądała jak ogromna bryła węgla. Elisabeth wpatrywała się w nią w osłupieniu. Prawdopodobnie malefikt zbliżył się do Nathaniela na tyle, że wszedł w zasięg jego zaklęcia, lecz magia Prendergasta ewidentnie nie była w stanie przenieść między wymiarami czegoś tak wielkiego jak całe jego ciało, więc zabrali ze sobą tylko głowę. Mięśnie łba rozluźniły się i z paszczy wytoczył się język, lśniąc na dywanie jak ogromny ślimak.

O podłogę uderzyła upuszczona łyżeczka. Kobiety siedziały, oszołomione, w jedwabnych sukniach obryzanych atramentem. Żadna z nich nie odezwała się słowem, kiedy łeb zaczął obracać się w proch, obsypując żarem wykładzinę.

– Najmocniej panie przepraszam – powiedział Nathaniel. Ukłonił się, wytrząsając przy tym z włosów sadzę, po czym oczy wywróciły mu się do tyłu i upadł twarzą na podłogę.

Powietrze zadźwięczało od wrzasków. Pofrunęły filizanki. Podczas gdy kobiety uciekały z pomieszczenia, potykając się o brzeg dywanu, Elisabeth opadła na kolana u boku Nathaniela i obróciła go na plecy. Każdy odsłonięty skrawek skóry miał czarny od sadzy; zwęglony płaszcz wciąż lekko dymił, a brwi miał całkiem wypalone. W którymś momencie zranił się w czoło – nie wiedziała kiedy ani jak, ale całą twarz miał we krwi. Przycisnęła palce do jego szyi i odprężyła się nieco, gdy poczuła miarowe uderzenia pulsu.

– To był jego plan? – zapytała Silasa, wskazując łeb malefiktu. W tej samej chwili, jakby ten ruch przebrał miarę, truchło obróciło się w popiół.

Silas westchnął, spuszczać wzrok na Nathaniela.

– Prawdę mówiąc, panienko, podejrzewam, że nie miał żadnego planu i po prostu improwizował.

– Uch. Gdzie jesteśmy? Ktoś ma jakieś pojęcie? – Nathaniel otworzył jedno szare oko, szokująco blade w wysmarowanej krwią i sadzą twarzy. Rozejrzał się z powątpiewaniem, jakby nie był pewny, czy chce się już obudzić, po czym z wolna otworzył drugie, skupiając wzrok na twarzy Elisabeth. – Witaj, zmore.

Zaśmiała się słabo z ulgą. Odgarnęła mu włosy z lepiącego się czoła, przepełniona nieznośną tkliwością.

– Ja też cię kocham – powiedziała.

Nathaniel zmarszczył brwi. Obrócił twarz na bok i kilka razy zamrugał.

– Dzięki Bogu – stwierdził w końcu. – Nie sądzę, żeby nieodwzajemniona miłość do mnie pasowała. Jeszcze zacząłbym pisać wiersze.

Elisabeth głaskała go po włosach.

– To nie brzmi tak źle.

– Zapewniam cię, że wszyscy ucierieliby od tego bardziej niż od nekromancji.

Zaśmiała się znowu, nie mogąc się powstrzymać. Wypełniała ją lekka, iskrząca radość, jak promienie słońca w wiosenny poranek, kiedy deszcz ustał, chmury umknęły, a świat zdaje się świeży, czysty i jasny, przemieniony w lepszą wersję samego siebie, piękny aż do bólu. Ogrom tego uczucia rozsądzał jej pierś. Otarła policzek wierzchem dłoni, świadoma, że Silas na nich patrzy.

Nathaniel spojrział na nią kątem oka.

– Scrivener, wiem, że wyglądam diabelnie przystojnie, leżąc tu na podłodze cały we krwi – co, o dziwo, niektórym dziewczętom podobno całkiem się podoba i jeśli jesteś jedną z nich, nie będę cię oceniał – ale nie płacz, proszę. To tylko powierzchowna rana. Zaraz się pozbieram i będę gotów dalej walczyć ze złem.

Głośno pociągnęła nosem.

– Nie płaczę. Oczy mi łzawią. Strasznie cuchniesz.

– Co? Ja nigdy nie cuchnę. Pachnę drzewem sandałowym i męskim urokiem. – Uniósł głowę, żeby się powąchać, i aż się zakrztusił. – Nieważne.

– Może następnym razem mógłbyś się nie podpalać, panie – stwierdził Silas z naciskiem.

Z korytarza dobiegł łoskot i w drzwiach stanęło dwóch służących. Jeden ścisnął w dygoczących dłoniach zabytkowy miecz, wyglądający, jakby zerwano go z nadkominka.

– Podдай się, czarowniku – oznajmił, kiedy jego towarzysz posłał mu zachęcające spojrzenie – a nie zrobimy ci krzywdy.

Nathaniel zmrużył oczy.

– Wyglądasz znajomo. Czy to miejski dom lady Ingram?

„Mam taką nadzieję” – pomyślała Elisabeth. Plama z atramentu na dywanie raczej nie da się już wywabić.

– Eee – odparł z wahaniem uzbrojony sługa.

– Doskonale. – Zanim Elisabeth zdążyła go powstrzymać, Nathaniel podniósł się na nogi i rozejrzał, chwając się niepokojąco. Złapała go za jedno ramię, a Silas za drugie. Nie dostrzegając chyba, że nie jest w stanie ustać bez pomocy, ruszył w stronę drzwi, wyjaśniając: – Celowałem zakłębem w okolice Biblioteki Królewskiej. To tylko kilka przecznic stąd.

Elisabeth przypomniała sobie mapę Austermeer, na której Katrien wymalowała znak zapytania obok stolicy.

– To tam Ashcroft dokończy przywołanie – wypowiedziała na głos swoje myśli. – To środek pentagramu.

– Dokładnie. Mam nadzieję, że udało mi się popsuć rytuał, zabierając część *Kronik* ze sobą, ale były takie wielkie, że w Harrows wciąż mogło dojść do wyzwolenia dostatecznej ilości demonicznej energii.

– W takim razie nie możemy tracić czasu. – W kącie tykał zegar z wahadłem. Ze zdumieniem zobaczyła, że jest dopiero ósma trzydzieści wieczorem. Zdawałoby się, że spędzili w Harrows całe lata, a tymczasem minęło tylko kilka godzin.

Kiedy zbliżyli się do drzwi, służący bez przekonania pogroził im mieczem. Wyraźnie poczuł ulgę, gdy Elisabeth złapała za ostrze i wyciągnęła mu go z rąk. Przyjrzała się broni – była bezużyteczna – i wychodząc, włożyła ją do stojaka na parasole.

Na zewnątrz czekała ich zima rodem ze snu. Jakaś rodzina przeszła obok, wypełniając noc śmiechem; byli ciepło odziani w szaliki i grube rękawice, a w rękach trzymali łyżwy. Samotny powóz zmierzał w przeciwną stronę po śniegu, który niemal całkowicie tłumiał tętent kopyt. W oknach domów stojących

wzdłuż ulicy paliły się świece, pozwalając dostrzec urywki rozgrywających się za nimi scen: kobietę układającą niemowlę w kołysce, psa drzemiącego przy kominku obok kapci swojego pana. Oddech Elisabeth tworzył w powietrzu białe obłoczki.

Zdumiał ją panujący tu spokój. Oszołomiona, przez chwilę poczuła się, jakby wszystko, co spotkało ich od opuszczenia Brassbridge, było tylko halucynacją.

A potem światło musnęło dachy pobliskich wież. Ośłoniła oczy, gdy posąg pegaza stojącego dęba rozjarzył się na tle ciemnego nieba, jak cekin z brązu przyszyty do aksamitu. Okna wież zapłonęły złotem i różem sięgającego coraz niżej światła. Blask dotarł już do poziomu ulicy i rozlał się po śniegu, przemieniając go w rzekę diamentów, błyszczących oślepiająco na oblodzonych gałęziach drzew. Zaniemówiła z wrażenia. Odruchowo pomyślała, że *wstaje słońce*, ale nie – to nie mogło być to.

Koń ciągnący powóz parsknął, cofając się przed światłem. Rodzina, która ich minęła, odwróciła się z okrzykami zachwyty. Wzdłuż całej ulicy otwierały się drzwi; ludzie wystawiali głowy, osłaniając oczy dłońmi i rzucając na śnieg długie cienie.

– Patrzcie! – zawołał ktoś. – Magia!

Świetliste, złote wstęgi tańczyły po niebie, skrząc się i falując. Przypominały Elisabeth czytany kiedyś opis zorzy polarnej. Niesamowite widowisko zapierało dech w piersi: wschód słońca u kresu świata.

– Co to takiego? – zapytała. Mięśnie Nathaniela były napięte.

– Eteryczne spalanie. Materia z Pozaświata płonie w zetknięciu z naszym powietrzem. – Zawahał się. – Nigdy nie widziałem tak potężnej reakcji, tylko o nich czytałem.

Silas wyślizgnął się spod ramienia Nathaniela i zszedł z krawężnika, wznosząc twarz do światła. Jego rysy zatarły się w powodzi blasku, a źrenice żółtych oczu się zwężyły. Twarz przybierała wyraz tęsknoty, jak anioł spoglądający w górę ku niebu, wiedząc, że już nigdy nie przekroczy jego bram. Powiedział tylko:

– Archont tu jest.

Elisabeth i Nathaniel spojrzeli po sobie, po czym puścili się biegiem, ślizgając się i potykając na śniegu. Przez uderzenie serca Elisabeth bała się, że Silas

zostanie z tyłu, pogrążony w transie, zaraz jednak ich dogonił, bez wysiłku chwytając łokieć Nathaniela, zanim ten wpadł w poślizg na zamrożonej kałuży.

– Jego obecność otwarła szczelinę między światami – powiedział im. – Kiedy zostanie wyzwolony z kręgu przywołania, bariera bezpowrotnie ulegnie zniszczeniu.

– Ale jeszcze do tego nie doszło? – naciskał Nathaniel.

Silas pokręcił nieznacznie głową.

– Więc wciąż możemy to zatrzymać – powiedziała Elisabeth.

Silas zawiesił na moment wzrok na jej twarzy, po czym przeniósł go na Nathaniela, przyglądając mu się spod opuszczonych rzęs. Zastanawiała się, o czym myśli.

– Postaramy się, panno Scrivener.

Ulicę biegnącą przed Biblioteką Królewską wypełniał tłum przechodniów – łyżwiarzy wracających znad rzeki z zarumienionymi policzkami i szalikami oblepionymi śniegiem. Wszyscy wpatrywali się w kopułę nad wielką salą. Jaskrawe światło przeszło w stłumiony blask wirujący pod szkłem, pogrążając kwartał w wodnistym zmierzchu. Złociste wstęgi wciąż tańczyły wokół budynku, przepływając obok marmurowych posągów i rzeźbionych zwojów, ale błądły z każdą chwilą, wrywając z piersi zebranych tłumów tęskne westchnienia.

Elisabeth ścisnęło w żołądku. Widok był niezaprzeczenie piękny – a okoliczności wybitnie niesprzyjające. Wyglądało na to, że ci wszyscy ludzie uznali zjawisko za pokaz magii urządzony dla ich rozrywki.

– Musicie stąd iść! – zawołała, przeciskając się przez tłum w stronę biblioteki. – Uciekajcie wszyscy! Jesteście w niebezpieczeństwie!

Głowy odwracały się w jej stronę z wyrazem zdziwienia na twarzach; większość ludzi nie słyszała jej poprzez gwar. Pojawił się też inny, głośniejszy dźwięk, zagłuszający wszystko inne. Brzmiał jak jazgot świerszczy na polu, przybierając na sile w miarę, jak się do nich zbliżał. Krzyki.

W końcu ludzie zaczęli uciekać, jednak nie byli dość szybcy. Rozbiegli się na wszystkie strony, gdy między tłum wpadły biesy, warcząc i kłapiąc zębami błyszczącymi w nieziemskiej poświacie. Kątem oka Elisabeth zauważyła, jak jakieś dziecko potyka się o upuszczoną łyżwę i upada, śledzone spojrzeniem czerwonych

oczu demona. Puściła rękę Nathaniela i rzuciła się przed siebie bez zastanowienia, siekąc powietrze Zabójcą Demonów.

Bies skierował pysk w jej stronę i zachwiał się, gdy ostrze odcięło mu jeden z rogów, po czym pomknęło dalej, przechodząc przez kości i ścięga jak przez masło; zatrzymało się dopiero, kiedy uderzyło o bruk, ciągnąc za sobą wstęgi pary. Elisabeth cofnęła się chwiejnie, gotowa odeprzeć kontratak, ale żaden nie nadszedł. Ciało demona upadło na ulicę bez życia. Przecięła go niemal na pół.

Dostrzegła kolejnego biesa, stojącego nad krzyczącą kobietą, jednak zanim zdążyła zareagować, stwór padł, a szkarłatny blask jego oczu zgasł. Nie rozumiała, co mu się stało, dopóki obok nie przemknęła blada smuga, a na ziemię nie upadł bezwładnie trzeci demon. Silas przemykał przez tłum niczym tancerz, śledzony zdumionymi spojrzeniami. Jego pazury błyskały, podcinając biesom gardła, zanim jeszcze zobaczyły, że się zbliża. Wstrząsnął nią zachwyt zmieszany z instynktownym ukłuciem lęku. To był przebłysk Silasa z dawnych czasów, puszczanego wolno na starożytnym polu bitwy, w otoczeniu włóczni i proporców, przemieniającego plac boju w bezlitosny taniec śmierci. Tyle że wtedy to ludzie wykrwawiali się z każdym ciosem jego pazurów.

Jakby czując na sobie spojrzenie Elisabeth, przystanął na dość długo, aby skinąć jej głową. Na moment odebrało jej mowę, a potem odpowiedziała skinieniem i odwróciła się, pewna, że zajmie się wszystkimi biesami, których nie dosięgnie ona.

Zapłonęło szmaragdowe światło; bicz Nathaniela rozwinął się obok niej. Chłopak chwiał się na nogach, ale posłał jej brawurowy uśmiech, błyskając bielą zębów pośród umazanej sadzą twarzy. Sprzeciw zamarł jej na ustach, gdy bicz pomknął w stronę biesa zagrażającego grupie ludzi. Trzaskając i plując żarem, odciągnął demona prosto pod miecz Elisabeth.

Powaliła go bez wahania. Krew szumiała jej w uszach. Po tym, z czym ona i Nathaniel zmierzyli się w Harrows, to starcie zdawało się dziecięcą igraszka. Nic nie mogło ich zatrzymać.

Wycinała im przejście do biblioteki, powoli posuwając się naprzód. Ramiona drętwiały jej od niezliczonych ciosów, a krew śpiewała jej w żyłach. Ilekroć bies rzucił się na nią, bicz Nathaniela odtrącał go na bok, a gdy tylko jakiś przypuścił atak na chłopaka, Elisabeth wychodziła mu na spotkanie z mieczem w ręku. Dziesiątki demonów padały u ich stóp.

Ale to nie wystarczało. Wciąż nadchodziły kolejne, wylewając się bez końca po stopniach Biblioteki Królewskiej i rzucając się z okien wśród błyszczących odłamków witraży. We trójkę powstrzymywali ich napływ, ale nie byli w stanie wedrzeć się do środka, nie dając biesom rozbiec się wolno po mieście.

Gorący oddech Nathaniela musnął jej ucho.

– Zdobądź mi trochę czasu.

Kiedyś nie zrozumiałaby, o co ją prosi. Teraz obróciła się bez wahania, zatrzymując biesa, który rzucił się na niego, gdy chłopak opadł na jedno kolano, przyciskając dłoń do bruku. Włosy posypały mu się na czoło, przesłaniając wszystko oprócz ostro zarysowanych kości policzkowych i ust wykrzywionych w grymasie skupienia.

Powietrze zatrzeszczało od czarów. Bies upadł u stóp Elisabeth, powalony jej ciosem. Nic nie stało jej już na drodze, aby zobaczyć efekt zaklęcia Nathaniela.

Wzdłuż całej fasady biblioteki ciągnęła się płaskorzeźba przedstawiająca rząd zakapturzonych bibliotekarzy. Na jej oczach unieśli głowy, zaciskając mocniej dłonie na swoich kamiennych latarniach. Posypały się okruchy marmuru, gdy oderwali się od ściany budynku i wystąpili naprzód, maszerując do boju pozbawionym twarzy regimentem. Śpiewali przy tym żałobną pieśń, która zadudniła jej w kościach jak obracający się kamień młyński.

Ponad nimi posągi aniołów przeciągały się, wzdychały i rozkładały skrzydła. Ich spokojne twarze zwróciły się w stronę pola bitwy. Jedna anielica zeszła z cokółu i cisnęła biesa na bok. Inna beznamiętnie złapała za róg rzeźbionego gzymsu i oderwała go, po czym rzuciła nim z taką siłą, że zgmiotła demona na miazgę. Święci i mnisi dołączyli do walki, wymachując wszystkim, co im wpadło w ręce, od marmurowych kadzielnic, po kamienne zwoje. Gargulce opuściły swe zwykłe miejsca, aby zmierzyć się z biesami w bezpośrednim starciu.

Bolesny skowyt uniósł się w noc, gdy szala zwycięstwa przechyliła się na ich stronę. Zaklęcie przypominało to, którego Nathaniel użył w Summershall, ale stokroć potężniejsze. Nie sprawił tylko, że posągi z Biblioteki Królewskiej ożyły, lecz stworzył z nich posłuszną sobie armię.

Wpatrując się w to z rozdziawionymi ustami, Elisabeth omal nie przegapiła pędzącego na nich biesa. Niezgrabnie odbiła jego kłapiące szczęki, zaraz jednak zamachnął się na nią pazurami z innej strony. Wtedy w jej uszach zabrzmiał

dźwięk podobny do bicia gongu i bies poleciał na bok, deptany lśniąco, brązowymi kopytami pegaza ze szczytu wieży, który zwycięsko potrząsnął grzywą i stanął dęba. Ziemia zadrżała, gdy opadł z powrotem, znacząc bruk siateczką pęknięć.

– To powinno je zająć – stwierdził Nathaniel, wstając na nogi. Nagle krew odpłynęła mu z twarzy, nadając jej odcień widmowej bieli.

Elisabeth złapała go, zanim upadł. Ciepło biło od jego ciała nawet przez płaszcz, jakby znów zmogła go gorączka.

– Za dużo magii – wybełkotał. Powieki mu opadały. – Zaraz dojdę do siebie.

Poczuła ucisk w piersi. Zaledwie kilka godzin temu ledwo był w stanie podnieść się z łóżka. Od tamtej pory przeniósł ich przez połowę królestwa, i to dwa razy, przyzywał ogień i błyskawice, a w końcu zbudził armię z kamienia. To cud, że w ogóle wytrzymał tak długo.

– Dasz radę iść dalej?

– Oczywiście, że tak. – Słabo poklepał ją po ramieniu dla otuchy. – Nie wiem, czy coś zdziałam, ale moja uroda może wywrzeć znaczący wpływ na morale. Silas?

Pojawiwszy się znikąd, demon przybrał postać kota i wskoczył Nathanielowi na ramię. Chłopak wziął głęboki oddech i wyprostował się; nagle wyglądał o wiele zdrowiej.

– Magiczna moc spływa na mnie przez Silasa – wyjaśnił z szerokim uśmiechem. – W takich chwilach jak ta jest w stanie użyć mi trochę swojej siły.

Elisabeth mogłaby ucałować Silasa, ale spojrzenie jego żółtych oczu sugerowało, że nikt, kto kiedykolwiek odważył się to zrobić, nie uszedł z życiem. Gdy była już pewna, że Nathaniel ustoi na własnych nogach, ruszyła schodami, przeskakując po dwa stopnie na raz. Uchyliła się przed biesem, który turlał się w dół z naprzeciwka. Bitwa kosztowała ich cenne minuty. Nie pozwoliła sobie na myśl, że może już być za późno.

Widok, który czekał ją u szczytu schodów, sprawił, że nagle się zatrzymała. Wielki hol prowadził w stronę głównej sali, a wzdłuż ścian, od podłogi po sufit, ciągnęły się półki z książkami, odbite w wypolerowanych płytkach podłogi. Jednak na końcu, tam, gdzie powinno znajdować się łukowe przejście, zamiast tego widniał przestwór kobaltowego, usianego gwiazdami nieba. Książki unosiły się swobodnie w powietrzu wokół krawędzi portalu, który wyglądał jak wycięty

nożem w materii biblioteki. Zobaczyła, jak pokryty zieloną łuską imp wyłazi z niego i wspina się po półkach, zerkając na nich z góry połyskującymi, onyksowymi oczami.

– To szczelina prowadząca do Pozaświata, prawda?

– Najpewniej jedna z wielu – wydyszał Nathaniel, stając u jej boku. – Musimy znaleźć inną drogę do środka.

– Nie ma innej drogi. Nie bez klucza starszego bibliotekarza. – Klucze z Harrows, wciąż pobrzękujące w jej kieszeni, nie pasowałyby do wewnętrznych drzwi Biblioteki Królewskiej. Rozejrzała się po sąsiednich korytarzach biegnących w lewo i w prawo. Prowadziły one tylko do sal naukowych, sal spotkań, schowków, z których co rano brała szczotkę i wiadro...

Odetchnęła gwałtownie.

– Wiem, dokąd iść. Chodź za mną. – Skoczyła za róg, nie oglądając się za siebie.

Nathaniel biegł tuż za nią.

– Jeśli zamierzasz przebić się przez kolejny regał, najpierw upewnij się, że nie ma mnie w polu rażenia.

– Nie będę musiała – odparła. – Grzecznie poproszę.

Ignorując jego zdziwione spojrzenie, rozejrzała się za znajomymi półkami. Gdyby tylko bardziej uważała tamtego dnia... Gdzie dokładnie były z Gertrude, kiedy to się zdarzyło? Biegła naprzód, mijając kolejne szczeliny, wijące się po ścianach i suficie korytarza jak rany od szponów niewidzialnego potwora. Gdzie nie spojrzeć, wpływ Pozaświata przenikał do biblioteki. Popiersia dawnych dyrektorów uniosły się z postumentów i dryfowały pod surrealistycznymi kątami, świece wisiały w powietrzu, a zasłony powiewały na niewyczuwalnym wietrze. Starła się nie myśleć o tym, dlaczego nikt nie bije w dzwon i dlaczego na korytarzach nie ma ludzi; zbyt łatwo było wyobrazić sobie bibliotekarzy porwanych w gwiazdzisty przestwór Pozaświata, skąd nigdy już nie powrócą.

„Tam”. – Odnalazła miejsce, w którym regał odskoczył, odsłaniając sekretne przejście. Niepewna, czy wywołało to wówczas jakiegokolwiek konkretne działanie z jej strony, przycisnęła dłoń do grymuarów i oparła się czołem o ich grzbiety.

– Proszę – powiedziała zdyszana. – Wpuście mnie.

Ciepło tętniło w oprawach dotykających jej skóry. Wśród grymuarów poniósł się szelest, jakby szeptały między sobą, przekazując wiadomość. Odsunęła się, a panel

stanął otworem.

Nathaniel zaśmiał się, zadziwiony. Kiedy na niego spojrzała, przekonała się, że patrzy na nią lśniąco oczami. Tak samo spoglądał na nią na balu, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją w tamtej sukni.

– O co chodzi? – zapytała.

– Wiedziałem, że mówisz do ksiązek, ale nie wiedziałem, że one słuchają.

– Robią o wiele więcej.

Deski podłogi zatrzeszczały pod jej stopami, gdy wkroczyła w przejście. Odetchnęła głęboko pełnym kurzu powietrzem, po czym zamknęła oczy, wyobrażając sobie Bibliotekę Królewską, jakby była jej własnym ciałem: jej wysokie krypty, sekretne pomieszczenia z ich niezliczonymi tajemnicami i magię płynącą jej korytarzami.

– Przyszliśmy tu powstrzymać Ashcrofta przed przyzwaniem archonta – oznajmiła otaczającym ścianom, czując się o wiele mniej głupio, niż się spodziewała. W jakiś sposób wiedziała, że coś jej słucha. – To, co robi, sprowadzi zagładę na nas wszystkich. Wiem, że już teraz rozsądza to miejsce od środka. Możecie nas do niego zabrać?

Nigdy dotąd nie próbowała mówić nie do jednej księgi, lecz do wszystkich naraz, zwracając się z prośbą o pomoc do samej biblioteki. Nie miała pojęcia, czy to zadziała. Muśnięta podmuchem wiatru pajęczyna otarła się o jej policzek, jakby pogłaskała ją jakaś niematerialna dłoń. A potem...

Podłoga zadrżała. Elisabeth otworzyła oczy, słysząc trzaski i skrzypienie drewna. Dokoła deski falowały jak klawiatura fortepianu podczas gry, zmieniając ułożenie ścian. Przed nimi, wśród tumanów kurzu, rozwarło się przejście, którego wcześniej tam nie było. Korytarz zmienił swój układ, wskazując im drogę.

Puściła się biegiem.

– Za mną!

U jej boku Nathaniel wyczarował słaby płomień, aby oświetlić im drogę. Zmartwiło ją, jak blady był ogień, ale poza tym Nathaniel zdawał się czuć dobrze. Nie była pewna, co takiego robił Silas, ale przynosiło to skutki.

Przejście cały czas zmieniało przed nimi kształt. Skręcili tak wiele razy, że Elisabeth nie była w stanie odgadnąć, dokąd zmierzają. Nie była pewna, czy to jej wyobraźnia, czy naprawdę czuje magię biblioteki przepływającą również przez

nią, przyspieszając jej kroki i rozciągając płuca – ekscytujące doznanie, jakby pokonała ograniczenia ludzkiego ciała.

W końcu dotarli w miejsce, które wyglądało jak ślepy zaułek, jednak ona dalej gnała przed siebie – i faktycznie, ściana rozstała się, odsłaniając przejście, zanim zdążyła na nią wpaść. Był to tył regału; dotarli na drugi koniec sekretnego korytarza.

U kresu drogi powitała ich cisza i kłęby mgły. Przyćmione światło latarń układało się wokół nich w rozmyte plamy, jak dziesiątki księżyców przeświecających przez gęste opary. Chwilę zajęło Elisabeth zorientowanie się, gdzie są. Regał, który otworzył się przed nimi, teraz zamknął się z powrotem z jękiem – głębokim, drżącym dźwiękiem, jakby dobywającym się spod ziemi, zakończonym szczękiem, który odbił się echem od wysokiego sufitu. Zaraz potem we mgle rozległy się szepty.

– Jesteśmy w zastrzeżonych archiwach – powiedziała z zaskoczeniem. Choć mgła oblepiała jej twarz jak woalka, w jakiś sposób wiedziała, w którą stronę iść. – Tędy.

– Dlaczego... – Nathaniel z trudem usiłował objąć umysłem to, co się właśnie wydarzyło – ...biblioteka nas tutaj wpuściła?

– Nie jestem pewna. – Dużo szybciej byłoby zabrać ich prosto do wielkiej sali, zamiast prowadzić ich przez północno-zachodnie skrzydło. Ruszyła przed siebie, zmuszając się, aby nie sięgnąć po rękojęść Zabójcy Demonów. Mimo złowroziej atmosfery tego miejsca była pewna, że biblioteka nie chce ich skrzywdzić.

Blżej środka korytarza opary przerzedzały się, odsłaniając górujące nad nimi, strzeliste regały, których dolne półki tonęły we mgle obmywającej je jak morskie fale. Musieli być chyba znacznie głębiej w archiwum, niż dotarła ostatnim razem.

Bez ostrzeżenia, wielki biały kształt załśnił w świetle lamp wysoko w górze. Odskoczyła z przestachem, ale okazało się, że to tylko czaszka wieloryba, którego szkielet, zawieszony pod sufitem na tysiącach drutów, ciągnął się daleko w cień. Po raz kolejny odniosła niepokojące wrażenie, że korytarz archiwum nie jest tak prosty, jak się zdaje; że można tu zgubić drogę, zawrócić

w niewyjaśniony sposób, zbłądzić we fragmenty pomieszczenia, które jeszcze przed chwilą nie istniały.

Szli przed siebie, a pytanie Nathaniela nie dawało jej spokoju. *Dlaczego biblioteka wpuściła ich tutaj? Grymuary wokół nich milczały, jakby nasłuchując, czekając, wstrzymując oddech. Jakby się spodziewały, że coś się wydarzy...*

Zwolniła kroku, dostrzegając w pobliżu jakiś ruch. To mgła zawirowała w przeciagu.

– Uważaj na iluzje – rzuciła przez ramię. Nathaniel podskoczył na dźwięk jej głosu; przyglądał się właśnie ze zmarszczonymi brwiami księdze, której okładkę wyłożono ludzkimi zębami. – Grymuary mogą próbować nas omamić.

– *Nie ciebie, skarbie...*

Elisabeth odwróciła się gwałtownie. Nie dało się poznać, skąd dobiegł głos, który prześlizgnął się przez mgłę. Obiegła półki wzrokiem, ale nie dostrzegła żadnych oznak, który grymuar przemówił.

Z przeciwnej strony zabrzmiał inny głos:

– *I sądzę, że możemy też zrobić wyjątek dla pozostałych ludzi...*

– *Szczególne okoliczności, sama rozumiesz* – szepnął inny.

– *Włos im z głowy nie spadnie. Obiecujemy.*

– *No? Nie weźmiesz się do roboty, dziewczyno? Czekamy.*

Elisabeth obracała się bezradnie od jednej półki do drugiej, na próżno próbując wypatrzyć, kto do niej mówi.

– O co wam chodzi? – spytała błagalnie. – Czego ode mnie chcecie?

Ale głosy umilkły.

Nathaniel zrobił krok naprzód, wyciągając rękę, jakby chciał dotknąć jej ramienia, ale zatrzymał się niepewnie. Było jasne, że nie słyszał grymuarów.

– Elisabeth?

Pokręciła głową.

– To nic ważnego.

Ruszyli dalej między półkami, jednak czuła narastającą frustrację. To było coś ważnego. Zostali sprowadzeni do archiwum z jakiegoś powodu. Nie widziała jednak, co mogło być ważniejsze niż dotarcie do Ashcrofta i powstrzymanie rytuału tak szybko, jak to możliwe. O ile w ogóle *byli w stanie* go powstrzymać tylko we trójkę, z magią Nathaniela na wyczerpaniu...

Och. Odpowiedź olśniła ją, piękniejsza niż wschód słońca. Bez zastanowienia obróciła się na pięcie i ruszyła szybko w stronę półek.

Nathaniel wydawał się skonsternowany.

– Co ty... Elisabeth?

Grymuary nie syczały, nie brzękały łańcuchami ani nie pluły tuszem, gdy się zbliżyła. Czekwały na nią spokojnie. Stanęła na palcach, aby odpiąć łańcuch biegnący wzdłuż najbliższej półki. Zerwała go szarpnięciem, po czym zwróciła się do Nathaniela, podczas gdy księgi za jej plecami zaczęły rozkładać stronicę, unosząc się.

– Biblioteka chce stanąć do walki.



NATHANIEL PODAŻAŁ ZA nią, gdy biegała od regału do regału, otwierając klatki i zrywając łańcuchy. To było sprzeczne ze wszystkim, czego ją kiedykolwiek uczono, ale nie czuła wyrzutów sumienia, wstydu ani wahania. Miała wrażenie, jakby w jej wnętrzu pękła tama, a rwąca fala wody równała z ziemią wszystkie wątpliwości na swojej drodze.

Powietrze wypełniły radosne okrzyki. Grymuary, które od wieków nie zakosztowały wolności, rozwijały pergaminowe skrzydła i wzbijały się w powietrze, inne zaś spadały z półek i mknęły po podłodze, wesolo szeleszcząc kartkami. Ponura powaga korytarza zginęła w ogólnym rozgardiaszu.

– Czekał – powiedział Nathaniel. – Jesteś pewna, że powinnaś to zrobić? Tę bibliotekę zbudował Cornelius. Od samego początku miała służyć przywołaniu archonta. – Zrobił krok w bok, przepuszczając grymuar, który z trzepotem przeleciał obok jego butów. – Co, jeśli to jakiś...

Nie dokończył, ale wiedziała, co chciał powiedzieć. Podstęp. Pułapka. Nie winiła go. W końcu jednak zrozumiała.

Ta biblioteka nie należała do Ashcrofta i jego planu, nie bardziej, niż Elisabeth należała do nieznanymi rodziców, którzy sprowadzili ją na świat. Miała swoje własne życie, stała się czymś więcej, niż Cornelius kiedykolwiek zamierzał. Trzymane w niej tomy nie były bowiem zwykłymi książkami, lecz wiedzą obdarzoną życiem, mądrością, której dano głos. Śpiewały, gdy światło gwiazd wpadało przez okna biblioteki. Czuły ból i żal. Czasem bywały złowieszcze lub groteskowe, ale to samo można było powiedzieć o świecie na zewnątrz, a jednak ten świat był przez to nie mniej wart, by o niego walczyć, bo tam, gdzie panował mrok, lśniło też tak wiele światła.

To był sens życia Elisabeth. Nie to, by zostać strażniczką w nadziei, że dowiedzie swej wartości przed ludźmi, którzy nigdy nie zrozumieją prawdy. Nie

miała dzierżyć łańcuchów, lecz z nich wyzwalać. Była ucieleśnieniem woli biblioteki.

Czuła ją teraz – świadomość opływającą ją ze wszystkich stron, przenikającą przez nią jak szybki nurt rzeki. Setki tysięcy grymuarów stających się jednością.

Nie mogła znaleźć słów, by wytłumaczyć to wszystko Nathanielowi. Jeszcze nie teraz. Zamiast tego spojrzała mu w oczy i powiedziała:

– Zaufaj mi.

Cokolwiek ujrzał w jej twarzy, powstrzymało go to od dalszych protestów. Skinął głową. A potem, wyglądając, jakby sam nie mógł uwierzyć, że to robi, odwrócił się w kierunku regału i zaczął odczepiać łańcuch.

Razem biegli korytarzem, uwalniając wszystkie grymuary, których zdołali osiągnąć. Odwaga rozpalala się w niej coraz mocniej z każdym zerwanym łańcuchem. Ashcroft popełnił błąd: przyszedł do jej biblioteki, do *jej* domu. Tym razem za to zapłaci.

Dotarła do znajomej klatki i zatrzymała się, na moment zapominając o hałasie i latającym w powietrzu papierze. W ciemności unosiła się uschnięta twarz, a zakończona igłą wstążka lśniła pośród cieni.

– Pomożesz nam? – zapytała Elisabeth.

W głosie złożonym z wielu zabrzmiało rozbawienie.

– *Czy ten cały Ashcroft jest przystojny?*

– Bardzo.

– *Jak cudownie. Wskaż nam tylko drogę, skarbie.*

Nie miała klucza do zamka, ale go nie potrzebowała. Wetknęła ostrze Zabójcy Demonów między pręty i przekręciła, wyginając stare, kruche żelazo na tyle, że grymuar był w stanie wylecieć przez szparę. Następnie chwyciła szklaną kulę *Illusarium* i pobiegła przed siebie. U jej boku zjawiała się iluzja: dyrektorka, Irena, o rudych włosach powiewających wśród mgły. Duma rozświetliła blade oblicze kobiety, gdy ta posłała Elisabeth ledwie widoczny uśmiech. Zanim dziewczyna zdążyła ją zawołać, wizja zniknęła, na powrót rozplywając się we mgle.

Nathaniel wydał jakiś zduszony dźwięk. W pierwszej chwili pomyślała, że on też zobaczył Irenę, jednak kiedy na niego spojrzała, zobaczyła, że wpatruje się w inne miejsce, gdzie rozmywały się właśnie postaci uśmiechniętej kobiety i małego,

poważnego chłopca w garniturze. Silas patrzył w tę samą stronę, a oczy lśniły mu jak klejnoty. *Illusarium* pokazało Nathanielowi coś innego – jego rodzinę. Elisabeth odnalazła ręką jego dłoń. Ich palce splotły się w mocnym uścisku.

Chwilę później wypadli przez bramę. Fala grymuarów podążała tuż za nimi, wylewając się do północno-zachodniego skrzydła. Prowadząc narastającą masę pergaminu i skóry, przebiegli obok aniołów-szkieleatów wyrzeźbionych w przejściu i skręcili za róg, wpadając prosto na armię demonów.

Serce niemal zamarło jej w piersi. Łuski, rogi i narośle wypełniały każdy skrawek wielkiej sali. Szczeliny wiły się spiralami po regałach, ciągnąc się w stronę kopuły, której szklana powierzchnia barwy indygo zaczęła pękać, a odłamki lśniły na tle nieba Pozaświata. Z każdą chwilą przez wyrwy wypadały kolejne biesy; impy przemykały po balustradach, a gobliny ganiały na czworakach po balkonach. Były tu setki demonów. Może nawet tysiące.

Mimo to siły Ashcrofta były w mniejszości.

Jeden z impów przestał podgryzać regał z książkami i zerknął w ich stronę. Potem powoli uniósł wzrok i otworzył szeroko czarne oczy, w których odbijał się rój drobnych plamek, rosnących z każdą chwilą. Cień padł na całą salę, gdy grymuary runęły w dół.

Elisabeth spięła się w sobie, a chwilę później wokoło rozszalała się nawałnica kartek. Stała, trzymając Nathaniela za rękę, a wiatr rozwiewał ich włosy. Silas wczepił się pazurami w płaszcz swego pana, a dookoła widać było tylko niekończący się cyklon pergaminu, uderzający w nich jak tysiące skrzydeł. Nos wypełniła jej dławiąca woń atramentu, magii i kurzu tak, że przez chwilę nie była w stanie złapać tchu. A potem, tak gwałtownie, jak przefruwające obok stado ptaków, nawałnica ustała, odsłaniając widok na salę.

Na każdego demona przypadał tuzin grymuarów. Jeden z goblinów przewrócił się i pochłoniął go tłum książek, które zalały jego ciało jak ławica piranii, zgrzytając i kłapiąc zębami. Któryś imp zaskrzeczał, gdy grymuar zatrzasnął się na jego długich uszach i uniósł go w powietrze. Nieopodal uschnięta twarz zawisała nad parą biesów, taksując je wzrokiem jak zawodowa krawcowa. Igła śmignęła wprawnie między nimi i oba upadły na podłogę, związane nicią. Po drugiej stronie sali demony czmychały, wyjąc, poranione papierem i oślepione zalewającym ich oczu atramentem.

Poderwane do działania grymuary skakały z balkonów jak wodospady złocień i wielokolorowych piór, wzbijając tumany kurzu, gdy spadały na płytki z wysokości trzech, czterech, a nawet pięciu pięter. Od strony sali katalogowej mignęły pawie pióra i po chwili zabrzmiało operowe zawrodożenie *Madame Bouchard*. Biesy wiły się na podłodze, zasłaniając łapami uszy.

– Musimy znaleźć Ashcrofta! – zawołała Elisabeth. Jej głos zabrzmiał jak brzęczenie komara, ledwie słyszalny pośród zgiełku. – Musi gdzieś tutaj być!

Nathaniel złapał ją za ramię i wskazał dłonią. Odłamki kopuły zaczęły opadać w stronę środka sali, jakby ściągane jakąś niewidoczną siłą. Spojrzeli po sobie, a potem z powrotem na panujący wokół chaos. Grymuary wygrywały, ale musiały wygrywać szybciej.

W przypiływie natchnienia Elisabeth położyła *Illusarium* na podłodze i uderzyła w kulę rękojeścią Zabójcy Demonów, tłukąc szkło. Z pęknięć trysnęła mgła, spowijając ją wilgotną, lepłą szarością. Gdy opary skończyły się ulatniać, pojemnik potoczył się na bok, pusty. Wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Czy cokolwiek było w środku?

– *Achhhhhhh* – westchnął widmowy głos, dobiegający znikąd i zewsząd zarazem. Kłęby mgły wypełniły salę, zmieniając walczących w ledwie widoczne cienie. Biesy rzuciły się na postacie, które wyłaniały się z mgły, tylko po to, by zaraz zniknąć i pojawić się na nowo za ich plecami. Wykorzystując ich nieuwagę, grymuary zaczęły atakować na poważnie. Elisabeth patrzyła, jak jeden z goblinów próbuje wyskoczyć z oparów, zaraz jednak zostaje wciągnięty z powrotem przez jakąś niewidoczną siłę, pozostawiając po sobie tylko zmarszczkę we mgle. Rozległy się piski i skomlenie, a potem urwały się nagle i zapadła straszna cisza.

Elisabeth i Nathaniel pobiegli przed siebie, gdy mgła zaczęła się rozwiewać wokół porozrzucanych wszędzie ciał demonów. Nie wierzyła własnym oczom. Nie został już żaden.

– Patrz – powiedział Nathaniel. – Co one robią?

Stronice szeptały. Jeden po drugim, grymuary unosiły się spośród mgły. Zbierały się w grupy i krętymi strumieniami wlatywały ku balkonom, jak stada ptaków frunące w zwolnionym tempie. Elisabeth otworzyła szeroko oczy, gdy zobaczyła, dokąd zmierzają. Każdy strumień unosił się w stronę innej szczeliny.

Najpierw pomyślała w oszołomieniu, że pęknięcia je wciągają, próbują zniszczyć. Ale grymuary nie stawiały oporu. Unosiły się spokojnie, z premedytacją. Ilekroć księga dotknęła powierzchni szczeliny, z błyskiem obracała się w popiół, a krawędzie wyrwy zwięzały się odrobinę, jak brzegi gojącej się rany. Śpiew poniósł się echem pod roztrzaskaną kopułą: wysokie, czyste nuty, jasne i srebrzyste jak światło gwiazd.

– Próbuje pozamykać szczeliny. – Serce Elisabeth ścisnęło się boleśnie. – Poświęcają się, żeby ocalić bibliotekę.

Przepadła *Madame Bouchard*. Grymuar czwartej klasy, który co rano pluł atramentem w nowicjuszy, spadł na podłogę deszczem popiołu. Każda z tych ksiąg miała duszę. Nieraz liczyły sobie całe wieki i były niezastąpione. A niektóre z nich dopiero teraz zakosztowały wolności, po raz pierwszy, odkąd zostały stworzone, i cieszyły się nią zaledwie przez parę minut, po całym życiu spędzonym w niewoli. Mimo to śpiewały, oddając życie.

Łzy zapiekły Elisabeth w oczy. Nie może pozwolić, aby ich poświęcenie poszło na marne.

Mgła już niemal zniknęła; obłok się rozjaśniał. Ulatywały właśnie ostatnie jej wstążki, gdy wraz z Nathanielem wypadła na środek sali, gdzie Ashcroft dokonywał przywołania.

Przed nimi stała postać, a odłamki szkła krążyły wokół niej jak planety wokół słońca. Była wyższa niż człowiek, smukła i promieniująca światłem, ale nawet patrząc na nią wprost i mrużąc oczy, Elisabeth nie była w stanie dojrzeć jej rysów. Przyszła jej do głowy dziwna myśl, że jest ona jak słońce odbite w lustrze: zmienne i nienamacalne, zaledwie widmo czegoś znacznie większego, świetlistego i porażającego wzrok swym widokiem.

Pochylając głowę, istota spoglądała na człowieka stojącego u jej stóp.

Na Ashcrofta.

Kanclerz wpatrywał się w archonta jak urzeczony, skąpany w jego blasku, jakby nieświadomy szalejącej wokół niego bitwy. Światło bijące od istoty odmieniło jego rysy: zdawał się o dziesięć lat młodszy, a na twarzy miał wyraz niemal niewinnej tęsknoty. Krew spływała mu po lewym nadgarstku, za który trzymał się drugą ręką. Sztylet leżał porzucony nieopodal.

Nadzieja wypełniła Elisabeth. Jeszcze nie zakończył rytuału. Archont wciąż stał wewnątrz kręgu, tworzonego przez mapę

biblioteki ułożoną z płytek na podłodze, po której przechodziła dziesiątki razy, nigdy nie podejrzewając jej przeznaczenia.

– Widzisz oczy Ashcrofta? – wymamrotał Nathaniel. – Nie ma znamienia. Nie przyzwał Lorelei z powrotem.

„To znaczy, że nie może użyć magii, żeby z nami walczyć”. – Pokrzepiona tą myślą, uniosła wysoko Zabójcę Demonów. Odbłyśk światła w klindze zwrócił uwagę Ashcrofta. Jakby się ich spodziewał, rozłożył ramiona i posłał im chłopięcy uśmiech.

– Panno Scrivener! – zawołał. – Nathanielu! Miałem nadzieję, że się zjawicie. Odegraliście tak ważną rolę, że chciałem, żebyście zobaczyli efekty. Czy to nie wspaniałe?

Za jego plecami fragment balkonu przestał istnieć, a potrzaskana balustrada i półki unosiły się w powietrzu wokół szczeliny. Grymuary spowalniały dzieło zniszczenia, ale nie były w stanie przemóc potęgi archonta.

– Musi pan przerwać rytuał! – odkrzyknęła.

Roześmiał się.

– Przerwać rytuał?

– Wszystko pan zniszczy. Biblioteka się rozpada! – Wskazała mieczem skrawki nieba Pozaświata wijące się wokół nich. – Jeśli archont już teraz robi takie rzeczy, co pana zdaniem się stanie, kiedy go pan wypuści?

– Och, panno Scrivener. Gdybyś tylko mogła pojąć. – W jego błękitnych oczach błyszczała szczerść. – Patrz. – Puścił ranny nadgarstek i nachylił go tak, że kropla krwi spadła na podłogę. Zniknęła natychmiast, jakby nigdy nie istniała. Wyciągnął rękę, pokazując jej, że rana się zagoiła, nie pozostawiając na skórze ani śladu.

– Teraz rozumiesz? – zapytał z przejęciem. – Kiedy zawrę z nim układ i nagnę go do swojej woli, wszystko będzie możliwe. Zmienię świat.

Nie dało mu się przemówić do rozsądku. Nathaniel chyba pomyślał tak samo, bo rozwinął bicz z trzaskających płomieni. Silas skulił się na jego ramieniu i zamknął oczy, jakby skupiony na tym, żeby użyczyć chłopakowi całej swojej siły.

Ashcroft znów parsknął śmiechem, w którym tym razem zabrzmiała nuta obłądu. Machnął ręką i świetlisty łuk pomknął w ich stronę, coraz większy w miarę, jak się zbliżał.

Niemożliwe. Jak...?

Nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Opadła na jedno kolano przed Nathanielem, unosząc nad głowę Zabójcę Demonów. Miecz zabrzczał, przecinając światło. Kiedy wstała, jego ostrze zarzyło się na czerwono z gorąca, a skóra pokrywająca rękę była nieprzyjemnie ciepła i lepka w dotyku, jakby zaczęła się topić. Wstrząśnięta, zdała sobie sprawę, że ostrze może pęknąć, jeśli jeszcze raz go użyje, by zablokować zaklęcie.

W ich kierunku poszybował kolejny świetlisty łuk. Padli na podłogę, patrząc, jak promień przelatuje tuż nad ich nosami, dość blisko, by ściąć kilka drobnych, białych włosków z ogona Silasa. Doleciał aż na koniec atrium, zanim wygasł. Przez chwilę Elisabeth zdawało się, że w nic nie trafił, ale wtedy jedna z rzeźb osunęła się w bok i runęła na podłogę, przecięta gładko na wysokości kostek.

Aby rzucić zaklęcie, Ashcroft nie wymówił nawet żadnej inkantacji.

– Jak on to robi?! – krzyknęła Elisabeth.

Nathaniel zaciskał zęby, a twarz lśniła mu od potu.

– Moc archonta musi się do niego przesączać. Nawet bez zawartego układu przelewa się jak fontanna.

„I niebawem Ashcroft w niej utonie”.

Potoczyli się na boki, ledwie unikając kolejnego łuku, który wyrzył w podłodze między nimi skwierczący ślad, tnąc marmur z taką łatwością, jak nóż zagłębiający się w miękkie masło. Zaraz po nim nadleciał kolejny. Nathaniel nie miał czasu rzucić zaklęcia, nawet gdyby starczyło mu sił. Ataki nadchodziły jeden za drugim i byli w stanie tylko reagować.

– Silasie... – zaczęła, ale umilkła, widząc jego spojrzenie. Nie mógł zmienić postaci, nie pozbawiając Nathaniela swego wsparcia. Wystarczyłby jeden zbyt wolny unik i któryś z tych łuków zabiłby chłopaka na miejscu.

Zatem wszystko w jej rękach.

Wewnątrz kręgu blask archonta przybrał na sile, rozlewając się po płytkach. Wydawało się, że istota urosła o kilka stóp. Jej kształt też był teraz wyraźniejszy: dostrzegła zarys skrzydeł i otaczającą głowę aureolę, która mogła być koroną. Do

okrażającej jego ciało, iskrzącej rzeki szkła dołączyły fragmenty brązu i marmuru z balkonów. Biblioteka rozpadała się kawałek po kawałku.

Ashcroft nie zważał na to wszystko. Na twarzy miał błogi wyraz, a oczy zasnuła mu świetlista, biała mgiełka. Zdawał się jaśnieć wewnętrznym blaskiem. Gdy Elisabeth uchyliła się przed jego kolejnym atakiem i zerwała z powrotem na nogi z wyrazem determinacji na twarzy, uśmiechnął się – nie do niej, lecz do archonta – i uniósł ramiona w geście modlitwy.

Ruszyła naprzód. Promienie światła wystrzeliły z wysoka jak spadające gwiazdy, trafiając w podłogę wokół jej stóp. Pociski śmigwały jak strzały, zbyt szybkie, by za nimi nadążyć i zrobić unik. Mogła tylko biec dalej przed siebie. Na moment zaparło jej dech. Poczula się niewyciężona... a potem, zza jej pleców, dobiegł dźwięk, od którego serce jej zamarło – okrzyk bólu.

„Nathaniel”.

– Nie zatrzymuj się! – zawołał.

Jego bicz przemknął obok niej i oplótł nadgarstki Ashcrofta, wytrącając go z równowagi. Ułamek sekundy później wpadła na kanclerza, powalając go na podłogę z taką siłą, że jego głowa uderzyła z trzaskiem o płytki. Zanim zdążył odzyskać świadomość, obróciła go na brzuch i odciągnęła mu ręce za plecy. Wspominając kajdany, które założono Nathanielowi w Harrows, ściągnęła z szyi gruby, żelazny łańcuszek z wielokluczem i zawiązała mu go ciasno wokół nadgarstków, nie troszcząc się, że jego dłonie zaraz zaczerwienią się i spuchną. Następnie dźwignęła go za kołnierz, przystawiając mu do gardła ostrze miecza.

Wzdrygnął się, a blask jego oczu przygasł. Zamrugał nieprzytomnie, próbując skupić wzrok.

– Nie możesz mnie zabić.

– Tym razem to zrobię. – Ledwie poznawała własny głos, drżący z wściekłości. Wciąż słyszała w uszach krzyk Nathaniela. – Jeśli tylko będę musiała.

– Ach, obawiam się, że nie o to mi chodziło. – Podniósł wzrok na rozpadającą się kopułę. – Jeśli nie zwiążę go kontraktem, wszyscy zginiemy razem.

Odruchowo spojrzała na Nathaniela. Zaszło jej w ustach, gdy zobaczyła, jak leży na podłodze, obejmując kolano i zaciskając zęby z bólu. Nogawkę spodni pokrywała ciemna plama krwi. Silas przybrał z powrotem ludzką postać i zerwał z szyi krawat, aby obwiązać nim udo Nathaniela jak opaską uciskową, ale było coś

w jego ruchach – w tym, jak zatrzymały się jego palce i jak patrzył w twarz Nathaniela – prawie jakby wiedział...

„Nie”.

– Co on mówi? – Serce waliło jej o żebra, gorączkowo, boleśnie, raz za razem. Zwróciła się z powrotem do Ashcrofta. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przywołania archonta nie da się cofnąć ani przez moją śmierć, ani w żaden inny sposób. To nie jest zwyczajny demon; nie ma już odwrotu. Teraz rozumiesz? Musisz pozwolić mi dokończyć. *Musisz* pozwolić mi zawrzeć z nim kontrakt.

Nie. To nie mogła być prawda. On musiał kłamać.

Bo jeśli nie...

Przypomniała sobie, jak Silas spojrział na Nathaniela, kiedy biegli do Królewskiej Biblioteki. Powiedział „postaramy się”. Zastanawiała się, czy wiedział już wtedy, że sprawa była przegrana, odkąd rozpoczął się rytuał przywołania. Przeniosła wzrok z powrotem na Silasa, patrząc mu w oczy. Nigdy nie wydawał się tak stary i pełen żalu jak w tej chwili.

– Przykro mi, panno Scrivener – powiedział.

Blask archonta zamigotał. Dysharmoniczny, nieludzki śmiech rozbrzmiał w głowie Elisabeth, wbijając się w jej myśli jak drzazga. Siatka pęknięć rozeszła się po podłodze. Najwyższy poziom balkonów – jedyny, który jeszcze pozostał – opadł jak rozwinięta wstążka, gubiąc w locie drabiny i balustrady. Nad ich głowami konstelacje Pozaświata przesłoniły kopułę, ale grymuary wciąż wlatywały niekończącymi się strumieniami, obracając się w popiół. Tyle ofiar, tak wiele poświęcenia. Jak to mogło się tak skończyć?

Myśli kłębiły jej się w głowie. Ashcroft szarpnął się i bez trudu wyrwał z jej zdrewniałych palców. Jakby z bardzo daleka, patrzyła, jak niezdarnie wlecze się na kolanach w stronę kręgu i unosi twarz do światła.

– W końcu nadszedł czas. O wielki, pragnę zawrzeć z tobą układ.

Kolejny wybuch śmiechu wstrząsnął biblioteką. Archont znów urósł i sięgał teraz powyżej balkonów na piętrze. Elisabeth nie była już pewna, czy kolczasta aureola wokół jego głowy to korona – jej kształt zaczynał raczej przypominać rogi.

Ashcroft jęknął i skulił się, potrząsając głową, aby odegnąć ten okropny dźwięk. Gdy znów podniósł wzrok, na jego twarzy widać było cień zdziwienia.

– Nie rozumiem. Czy mówisz do mnie, o wielki? Nie słyszę twojego głosu.

– Nigdy go nie usłyszysz, kanclerzu – szepnął Silas, ściskając bezwładną dłoń Nathaniela. – Jesteś zaledwie mrówką porywającą się na słońce. Dźwięk jego głosu wypaliłby ci uszy i spopielił mózg.

Ashcroft ani na moment nie spuszczał wzroku z archonta.

– Nie. Ja jestem inny. To prawo należne mi z urodzenia, moje przeznaczenie od trzystu lat. Mój ojciec i jego ojciec przed nim – wszyscy poświęciliśmy się tylko temu jednemu. Jestem godzien... – Głos mu zachrypł.

Archont nachylał swoją niesamowitą, rogatą głowę to w jedną, to w drugą stronę, badając granice kręgu przywołań i nie zwracając najmniejszej uwagi na Ashcrofta. Twarz kanclerza poszarzała. Spuścił wzrok na krąg, na popękane płytki burzące wzór.

Ogromna, świetlista dłoń naparła na powietrze. Smród palonego metalu wypełnił salę, gdy pazury wygięły się w zetknięciu z niewidzialną błoną, a potem przebiły ją, sięgając poza krąg. Ashcroft zachwiał się, zalany rozciągającym się nad nim światłem. Kiedy dłoń opadła, nie próbował zejść jej z drogi, tylko siedział wpatrzony w górę, czekając na swój koniec, a Elisabeth musiała przyznać, że nie miałyby nic przeciwko widokowi Ashcrofta rozgnieczonego jak mucha.

Zamiast tego dłoń uderzyła w pustkę; dziewczyna złapała kanclerza za ramię i odciągnęła go na bok, a potem cisnęła na podłogę, jakby był workiem śmieci.

– Dlaczego? – zapytał, obracając się i patrząc na nią, stojącą nad nim tak, jak przedtem archont. – Dlaczego ty...?

– Chciałam zobaczyć twoją minę, kiedy zdasz sobie sprawę, że się myliłeś – powiedziała. – Że wszystko, co zrobiłeś, wszyscy ludzie, których krzywdziłeś i zabijałeś, to wszystko było na nic.

Za jego plecami szpony archonta ryły marmur. Jego blask rozciągał się coraz wyżej, niemal dotykając kopuły, a rozpostarte skrzydła przesłaniały połowę sali. W porównaniu z jego ogromem Ashcroft wydawał się maleńki. Pot perlił się na jego czole. Przelknął ślinę.

– Zadowolona, panno Scrivener?

Elisabeth tak bardzo pragnęła tej chwili: zobaczyć go pozbawionego mocy, odartego z pewności siebie. Jednak gdy w końcu to dostała, zdała sobie sprawę, że nic to dla niej nie znaczy.

– Nie – powiedziała, odwracając się.

Skurcz wykrzywił jego twarz. Poczłogał się za nią, ścigając ją pustym, nieprzytomnym wzrokiem.

– Musisz mi uwierzyć. Musisz zrozumieć. Wszystko, co robiłem, robiłem dla dobra królestwa. Proszę...

Kopnęła go, a on osunął się na podłogę z bolesnym krzykiem.

Nie troszcząc się, co się z nim teraz stanie, podeszła do Nathaniela. Jego powieki drgnęły, gdy się zbliżyła, ale pozostał nieprzytomny. Kucnęła, biorąc go za rękę, i zobaczyła, że Silas wciąż ściska drugą, trzymając ją obiema dłońmi, jakby była zrobiona ze szkła.

Światło zalało Nathaniela, odbijając się coraz jaśniej i jaśniej od otaczającej go podłogi. Przypuszczała, że archont lada chwila ich zabije, ale była w stanie myśleć tylko o tym, jak strasznie zimna jest jego dłoń.

– Czy coś go boli?

Silas odpowiedział, nie odrywając wzroku od twarzy Nathaniela.

– Nie. Koniec, kiedy nadejdzie, będzie szybki dla was obojga. Uznałem, że tak będzie lepiej – żebyście mogli walczyć razem i polec szybko, zamiast bez żadnej nadziei spoglądać na kres waszego świata. – Urwał i wygładził klapę płaszcza Nathaniela, a potem ostrożnie wyprostował mu kołnierz, jakby był to całkiem zwyczajny wieczór, a on przygotowywał go do wyjścia. – Przepraszam, że pozwoliłem sobie na taką decyzję.

Ścisnęło ją w gardle, a do oczu napłynęły jej łzy.

– Co się stanie z tobą?

Zdradził go moment wahania, zanim powiedział:

– To bez znaczenia, panienko.

– Wcale nie. – Wyciągnęła rękę i położyła ją na policzku Silasa. Jej dłoń, koszmarnie brudna po przejściach tego wieczoru, kalala jego idealną twarz, on jednak siedział bez ruchu, pozwalając jej na to. Z zaskoczeniem odkryła, że przypomina w dotyku ludzkie ciało, a nie rzeźbę z alabastru.

Ogarnął ją dziwny spokój. Pozostała jeszcze jedna rzecz, którą mogła zrobić. Nadszedł koniec świata i nie mieli już nic do stracenia.

– Dziękuję. Chciałam tylko to powiedzieć, zanim...

Przeniósł na nią wzrok pod osłoną rzęs i wiedziała, że zrozumiał. Sądziła, że do tej pory siedział nieruchomo, teraz jednak jakby obrócił się w kamień. Choć wyraz jego twarzy zdawał się wciąż taki sam, w jego oczach wezbrała jednocześnie rozpacz i nadzieja, a także głód tak bezdenne, że czuła, jak rozwiera paszczę pod jego skórą, niczym żarłoczna ciemność bezgwiazdnej nocy. Światło stało się oślepiające; archont był już tuż, tuż.

– Silariathasie. – Enochiańskie imię wylało się z jej gardła i spłynęło po języku jak ogień. – Silariathasie – oznajmiła głosem emanującym mocą. – Wyzwalam cię z więzów służby.

Jego źrenice się rozszerzyły, aż czerń pochłonęła złote tęczęwki. Tylko tyle zdążyła zobaczyć, zanim światło stało się tak jasne, że musiała odwrócić wzrok. Przez bibliotekę przeszedł wstrząs, targając jej włosy, jakby ktoś upuścił kamień na powierzchnię rzeczywistości, powodując, że rozeszły się po niej kręgi. Złapała Nathaniela za rękę, pragnąc umrzeć. Jednak minęła sekunda, potem druga, a ona nic nie poczuła.

Nathaniel uchylił lekko powieki. Srebro zniknęło z jego włosów. Na wpół przytomny, próbował się skupić.

– Silas? – zdołał wykrztusić.

Elisabeth powoli uniosła wzrok. Przez krótką chwilę myślała, że jednak umarła i trafiła do snu. Silas stał nad nimi, unosząc jedno ramię i przesłaniając blask archonta.

„Nie Silas. Silariathas”.

Z głowy sterczały mu skręcone spiralnie rogi o przerażająco ostrych końcach, białe jak porcelana. Rysy jego twarzy stały się niepokojące i okrutne, a ich delikatne piękno nabrało nieludzkiej ostrości. Uszy miał spiczaste, a pazury wydłużyły się, wąskie i ostre jak brzytwa.

Zdawał się nie dostrzegać archonta. Wpatrywał się w Nathaniela czarnymi, wygłodniałymi oczami.

– Masz czelność tak się do mnie zwracać? – wysyczał. Pogardliwym ruchem ramienia odtrącił na bok dłoń archonta, po czym pochylił się nad swoim dawnym panem. Dygotał na całym ciele; jego włosy drżały. Okropnym, chrapliwym szeptem powiedział: – Zdajesz sobie sprawę, czym jestem i co zrobię z twoim światem, patrząc, jak jego mieszkańcy uciekają z krzykiem po zdruzgotanej ziemi?

Nathaniel nie wydawał się przestraszony. Być może nie był dość przytomny, aby odczuwać strach, co wyjaśniałoby kolejną rzecz, którą zrobił: ujął dłoń Silariathasa i pogładził ją niezgrabnie, jakby to demon, w całej swej nieśmiertelnej chwale, był tym, który potrzebował pocieszenia, a nie na odwrót.

– Już dobrze, Silasie – powiedział.

– Nie mów do mnie, robaku – parsknął Silariathas, wrywając dłoń z uścisku Nathaniela. Zacisnął palce na szyi chłopaka, kłując pazurami wrażliwą skórę. Gdy spłynęła po niej kropla krwi, to on zareagował, nie Nathaniel – dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem. Nathaniel spróbował słabo się uśmiechnąć.

– Nic nie szkodzi, jeśli mnie zabijesz.

Silariathas znieruchomiał. Jego uścisk zelżał.

– Jesteś głupcem – wycedził, ledwie poruszając ustami.

Nathaniel zdawał się go nie słyszeć. Zbyt szybko tracił przytomność.

– Już dobrze – powtórzył. – Wiem, że to boli. Wiem. – Odplywając w nicość, wymamrotał jeszcze: – Wybaczam ci.

Zapadła cisza tak głęboka, że Elisabeth słyszała tylko srebrzysty lament grymuarów, których strumienie przepływały nad nimi. Nawet archont znieruchomiał; spoglądał w dół, przechylając głowę, jakby i on widział coś takiego po raz pierwszy.

Silariathas podniósł wzrok. Elisabeth podążyła za jego spojrzeniem i ujrzała przelatujący nad nimi znajomy grymuar – uschniętą twarz, błysk igły. Patrzyli bez słowa, jak wznosi się, aby spłonąć na popiół – makabryczne, udręczone, zabójcze stworzenie, potworne, a jednak zdolne do miłości i do tego ostatniego aktu odkupienia. Co Silariathas sobie o tym pomyślał, tego Elisabeth nie potrafiła odgadnąć. W jego wygłodniałych, czarnych oczach nie było nic znajomego. Dopiero gdy znów spojrzął na Nathaniela, dostrzegła przebłysk jego drugiej jaźni: istoty, która opiekowała się Nathanielem, kiedy ten wyrastał z chłopca na młodego mężczyznę, która układała go do snu, opatrywała jego rany i parzyła mu herbatę, poprawiała krawat, trzymała go za rękę, ilekroć dręczyły go koszmary. Silas zalsnił zza zimnej, okrutnej maski jak rozbłysk światła za szkłem.

Pochylił się nad Nathanielem. Elisabeth przełknęła ślinę, on jednak uniósł tylko dłoń Nathaniela do ust i ucałował ją tak, jak to zrobił po przywołaniu, chociaż cierpienie wykrzywiło przy tym jego twarz, a głód nieustannie próbował przejąć

nad nim władzę. Następnie odłożył dłoń Nathaniela, wyprostował się i stanął naprzeciw archonta.

– Silasie – szepnęła Elisabeth.

Ból przemknął przez jego twarz na dźwięk jej głosu. Zamknął oczy, odpędzając głód.

– Nie jestem mu równy – wychrypiał. – Nie mogę z nim walczyć i wygrać. – Każde słowo wydawało się kosztować go wiele wysiłku. – Ale mam dość siły, by przerwać rytuał i zepchnąć go z powrotem do Pozaświata.

Nie była w stanie zaczerpnąć tchu. Jej płuca zdawały się napięte jak skóra na bębnie, zaciśnięte wokół uwięzionego w piersi krzyku. Znow ujrzała miecz przeszywający serce Silasa. Demony nie mogły zginąć w świecie ludzi. Ale gdyby wszedł do kręgu i odszedł...

– Co pocznie Nathaniel? – wykrztusiła.

Silas zamilkł na jeszcze dłuższą chwilę. W końcu powiedział głosem brzmiącym niemal jak jego własny:

– Obawiam się, że musi się nauczyć zakładać ubrania na właściwą stronę. Teraz będzie miał o dwadzieścia lat więcej, żeby opanować tę sztukę. Miejmy nadzieję, że tyle czasu mu wystarczy. – Zrobił krok naprzód. – Opiekuj się nim, Elisabeth.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Skinęła głową. Jakimś cudem Silas wyglądał teraz na spokojnego, a na twarz wypłynął mu wyraz ulgi. Uśmiechał się nieznacznie. Przypomniała sobie, co pomyślała, gdy po raz pierwszy zobaczyła jego uśmiech: że nigdy nie widziała nikogo tak pięknego. Nie wiedziała nawet, że takie piękno jest możliwe.

Archont zrozumiał w końcu, co zamierza Silas. Otaczające go płomienie wystrzeliły jeszcze wyżej, kiedy rozpostarł skrzydła nad rumowiskiem. Dokoła spadały kawałki marmuru, płytki na podłodze pękały, a szklana kopuła runęła, iskrząc niczym śnieg. Ona jednak widziała tylko twarz Silasa, rozpromienioną, gdy wkroczył w światło.

EPILOG



ELISABETH WIERCIŁA SIĘ na krzesło. W innych okolicznościach ogarniałaby ją senność. Słońce odbite od brązu na wieżach Kolegium wpadało przez okno, rzucając ciepły prostokąt światła na jej krzesło. Otwarty grymuar spoczywający na stojaku w rogu pomieszczenia pochrapywał, od czasu do czasu budząc się i sapiąc, jakby cierpiał na niestrawność, po czym z powrotem zapadał w sen. Pokój pachniał pergaminem i pszczelim woskiem. Jednak ten gabinet należał do mistrzyni Petronelli Wick i Elisabeth siedziała napięta jak struna.

O mało nie wyskoczyła ze skóry, kiedy ciszę przerwał głośny, ssący świst, a potem huk i łoskot. To tylko poczta pneumatyczna dostarczyła do gabinetu przesyłkę z innej części Biblioteki Królewskiej. Mimo to kłykcie aż jej pobiełały. Jeśli dalej będzie tak ścisnąć poręcz krzesła, palce jej zdrętwieją.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Katrien.

Elisabeth szarpnęła głową, mając nadzieję, że wyglądało to jak skinienie.

– Gdyby nas tu ściągnęli, żeby zakuć w żelazo – stwierdziła Katrien – to jestem przekonana, że już by to zrobili.

Elisabeth zerknęła na przyjaciółkę. Katrien miała na sobie bladoniebieskie szaty nowicjuszek, a na piersi zwisał jej wieloklucz. Była tak niska, że krawędź krzesła wbijała jej się w łydki poniżej kolan, zmuszając do siedzenia z nogami sterczącymi do przodu, co nadawało jej dziwnie niewinny wygląd.

– Ale nigdy nie zawadzi być gotowym na wszystko – ciągnęła, wyginając szyję, by przyjrzeć się z ciekawością rzeczom leżącym na biurku. Szczególne zainteresowanie budziły w niej dokumenty, które nie były spisane atramentem ani zwyczajnym pismem, lecz pokryte rzędami wypukłych kropek. – Na wszelki wypadek przemyślałam komplet wytrychów i metalowy pilnik. Są w mojej lewej pończosze.

– Katrien! Co, jeśli ktoś je znajdzie?

– Cóż, wtedy będziemy musiały się obejść drugim pilnikiem. Ale muszę cię ostrzec, że wydobycie go, jeśli ja nie będę w stanie tego zrobić, będzie dla ciebie mniej przyjemne. Mam go w...

Zamknęła usta, słysząc dźwięk naciskanej klamki. Do gabinetu weszła mistrzyni Wick, odziana w swoje wspaniałe szaty barwy ciemnego indygo. Słońce załśniło w broszy z kluczem i piórem, gdy usiadła naprzeciw nich przy biurku. Choć nie skierowała na nie oczu, Elisabeth poczuła się bacznie obserwowana, tak jak ostatnim razem.

Ostatnim razem, kiedy siedziała w tym gabinecie i kłamała.

– Elisabeth Scrivener. Katrien Quillworthy. Uznałam, że najefektywniej będzie zająć się wami obiema za jednym zamachem.

Co chciała przez to powiedzieć? Elisabeth rzuciła Katrien przerażone spojrzenie, na co ta wzruszyła ramionami.

– Po pierwsze – powiedziała mistrzyni Wick – chciałam przekazać wam wieści na temat sytuacji z lustrem śledzącym. Scrivener, doceniam uczciwość, z jaką poinformowałaś Kolegium o istnieniu artefaktu.

Po rytuale przywołania archonta Elisabeth była zbyt wyczerpana, żeby zrobić cokolwiek innego, jak tylko wyznać prawdę strażnikom, którzy odkopali ją z gruzów wielkiej sali – całą, od początku do końca, jednym długim, niemal nieprzerwanym strumieniem. Wkrótce potem lustro śledzące zostało skonfiskowane ze strychu Nathaniela. Teraz serce zakołatało jej panicznie w piersi, bo uświadomiła sobie, że jej szczerłość mogła wpakować w kłopoty również Katrien.

Ogarnęła ją fala ulgi, gdy mistrzyni Wick ciągnęła:

– Za moją usilną rekomendacją Komitet Preceptorów postanowił nie wspominać o lustrze w waszych aktach. Są w Kolegium osoby, które nie spojrzalyby przychylnie na użycie zakazanego magicznego artefaktu, nawet w celu ratowania królestwa. Wolalabym, żeby ta informacja nigdy nie wpadła w ich ręce.
– Obróciła lekko głowę. – A teraz, Quillworthy.

Katrien wyprostowała się na krześle.

– Tak, proszę pani? – powiedziała tonem tak uprzejmym, że Elisabeth odruchowo spięła się w sobie, bo słyszała go kiedyś z ust przyjaciółki tuż przed

tym, jak petarda wybuchła prosto w twarz strażnika Fincha. Tym razem jednak grzeczność zdawała się szczerą.

– Mam przyjemność poinformować, że Komitet zatwierdził także twoje przeniesienie z Summershall do Brassbridge, również za moim poleceniem. Gdy to spotkanie dobiegnie końca, zostanie ci pokazany twój nowy pokój w Bibliotece Królewskiej.

Elisabeth z trudem powstrzymała się, aby nie wybuchnąć radosnym śmiechem. Obie z Katrien wyszczerzyły do siebie zęby. Od teraz będzie je dzielił zaledwie piętnastominutowy spacer.

– Na moją rekomendację wpływ miały nie tylko twoje wysiłki w walce z Ashcroftem – ciągnęła mistrzyni Wick – ale też odwaga, z jaką wyciągnęłaś na światło dzienne przestępstwa byłego dyrektora Fincha. Gdybyś nie śledziła jego działań, być może nigdy by go nie przyłapano.

Uśmiechnęły się jeszcze szerzej. Okazało się, że Finch wykorzystywał swoje nowe dyrektorskie przywileje, aby nielegalnie przemycić grymuary w ręce prywatnych nabywców. Przez cały czas, kiedy Katrien pomagała im rozprawić się z Ashcroftem, planowała zarazem, jak wyzwolić Summershall spod jego tyranii.

– Świetnie się spisałaś, Quillworthy. Będę bacznie śledzić przebieg twojej kariery i oczywiście zapewnię ci wszelkie konieczne referencje. Skoro już o tym mowa – Scrivener.

Elisabeth oblała się rumieńcem. Była tak pewna nadchodzącego upokorzenia, że nie dała rady wykrztusić słowa, tylko wbiła wzrok w kolana.

– Po pierwsze – zaczęła mistrzyni Wick – wiedziałam, kim jesteś, odkąd przekroczyłaś próg Biblioteki Królewskiej. Gdybym miała coś przeciwko, nie pozwoliłabym zarządcy cię zatrudnić.

– Och. – Elisabeth zamrugła. – Skąd pani wiedziała?

– Większość potencjalnych służących nie przejawia takiego entuzjazmu względem ksiąg, które odgryzają ludziom palce. Zarządca był pod wrażeniem. A teraz, mam tu coś dla ciebie. – Wyjęła z szat paczkę i położyła ją na biurku. – Nie odgryzie ci palców – dodała sucho, gdy Elisabeth zawahała się przed wzięciem jej do rąk.

Ujęła pakunek niepewnie drżącymi palcami. Rozwiązała sznurek, rozwinęła niebieski papier... i na moment zaparło jej dech w piersi. Połyskiwał przed nią

świeżo wykuty wieloklucz. Większość kluczy używanych w Wielkich Bibliotekach dawno zmatowiała ze starości i zużycia, ale ten był całkiem nowy i lśnił jasno niczym złoto.

– Wiem, że pewnie wolałabyś dostać z powrotem swój stary klucz, ale nie udało nam się go odzyskać spośród gruzów.

Głos mistrzyni Wick ucichł. Przez moment Elisabeth znów stała tam, w wielkiej sali, czując wstrząsy i patrząc, jak mury wał się wokół niej. Po tym, jak Silas wszedł w krąg, kopuła zapadła się, zasypując ją, Nathaniela i Ashcrofta tonami kamienia i szkła. Przez długie minuty czekała w ciszy, aż nadejdzie pomoc. Uwięziona samotnie pod gruzami, nie miała pojęcia, czy Nathaniel przeżył.

Zamrugła i z powrotem znalazła się w zalanym promieniami słońca gabinecie. Ostrożnie dotknęła swoich ramion, ale ostatnie sińce zeszyły parę tygodni temu.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. – Chyba jestem gotowa na nowy. Ale czy to znaczy...?

Mistrzyni Wick skinęła głową.

– Oficjalnie przywrócono ci status nowicjuszek – jeśli zdecydujesz się go przyjąć. Powiem szczerze: są w Kolegium tacy, którzy nie chcieli zezwolić na twój powrót, jednak znacznie więcej osób widzi w tobie bohaterkę. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że będziesz mogła kształcić się na strażniczkę, jeśli tylko zechcesz.

Elisabeth milczała przez chwilę.

– Nie jestem już pewna, czy... czy chcę zostać strażniczką. – Ulga z wypowiedzenia tych słów na głos była nieopisana. – Prawdę mówiąc – ciągnęła śmielej – w ogóle nie wiem już, co chcę robić ani kim zostać. – Podniosła wzrok znad wieloklucza i stwierdziła: – Świat jest o wiele większy, niż mi się kiedyś zdawało.

Mistrzyni Wick spoglądała na nią w zamyśleniu.

– Wiem, że zmieniło się twoje postrzeganie Kolegium. Nie zapominaj jednak, że Kolegium też może się zmienić, potrzeba tylko właściwych ludzi. Jest w Wielkiej Bibliotece wiele innych, równie ważnych pozycji, na których mogłabyś dużo działać. Strażnicy często zapominają, że nie wszystkie bitwy toczony są na miecze. – Jej głos złagodniał. – Ale nie musisz podejmować decyzji już teraz. Ten klucz to obietnica, że cokolwiek postanowisz, zawsze będziesz mile widziana w progach Wielkich Bibliotek.

Elisabeth musiała przyznać, że tęskni za szatami nowicjuszki; ich długie rękawy przydawały się, kiedy nie było pod ręką chusteczki. Otarła policzki, starając się nie pociągać nosem zbyt głośno.

– I na koniec – dodała mistrzyni Wick, zwracając się do nich obu – muszę was prosić, abyście na razie zachowały w tajemnicy cel, w jakim Cornelius Ashcroft zbudował Wielkie Biblioteki. Na tę chwilę tylko kilkoro ludzi wie, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia. Prawda w końcu wyjdzie na jaw, ale preceptorzy chcą mieć pewność, że kiedy do tego dojdzie, Kolegium będzie gotowe na burzę, jaka się rozpęta.

A będzie to naprawdę straszliwa burza. Wychodząc z gabinetu minutę później, Elisabeth zastanawiała się, jakie obrady prowadzili teraz w zakurzonych salach urzędnicy Kolegium, omawiając szokujące odkrycie, że Wielkie Biblioteki powstały w celu przyzwania archonta. Niebawem wieści o tym rozerwą całą instytucję na strzępy. Z pewnym zdziwieniem pomyślała sobie, że może to i dobrze. Najwyższa pora, żeby wydrzeć z maszynerii stare trybiki i zastąpić je czymś nowym.

Skręciła z Katrien za róg. Pograżona w myślach, o mało nie zderzyła się z chłopakiem noszącym szaty młodszego bibliotekarza.

– Hej – powiedział, rozpromieniając się na ich widok. Przeniósł wzrok z Elisabeth na Katrien. – Ty jesteś Katrien Quillworthy? Nazywam się Parsifal. Mam ci pokazać twój pokój i oprowadzić cię po bibliotece. – Z szerokim uśmiechem odwrócił się z powrotem do Elisabeth: – A ty musisz być Elisabeth Scrivener.

– Miło mi – odparła, wyciągając rękę.

Uścisnął ją konspiracyjnie. Próbował też chyba mrugnąć – a może tylko jakiś pyłek wpadł mu za okulary i trafił do oka. Nie potrafiła stwierdzić.

Poczuła ulgę na wieść, że Parsifal wciąż żyje. Wbrew jej przewidywaniom niewielu bibliotekarzy zginęło podczas przywołania. Kiedy Ashcroft zjawił się z armią demonów, aby rozpocząć rytuał, zabarykadowali się tutaj, w biurach w północno-wschodnim skrzydle. O dziwo, gdy zawałała się wielka sala, to właśnie Parsifal pożyczył topór ze zbrojowni, by wydostać ich spod gruzów.

Elisabeth zebrała się, żeby iść dalej sama. Zanim rozeszły się w różne strony, Katrien chwyciła ją za ramię.

– Jak się czujesz, tak naprawdę? – szepnęła cicho.

Elisabeth spróbowała się uśmiechnąć.

– W porządku.

Katrien spojrzała na nią z powagą.

– Wiem, że ci na nim zależało. Dużo dla ciebie znaczył.

Skinęła głową, czując ucisk w gardle.

– Było mi... ciężko. Ale już jest lepiej. – Mając nadzieję, że zmiana tematu nie będzie zbyt oczywista, zerknęła na Parsifala. – Polubisz go. To dobry chłopak, bystry i... eee, łatwowierny.

– O, idealnie – stwierdziła Katrien.

– Nie pakuj go za często w kłopoty. – Miała silne wrażenie, że Parsifal zajmie miejsce Stefana w roli mimowolnego współnika Katrien.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

– To się raczej nie uda. Ale potem go z nich wyciągnę, słowo.

Elisabeth szła przez główną salę, podniesiona na duchu. Trwał remont i w powietrzu niosło się echem stukanie młotków, niemal zagłuszając przyjazny szelest kartek. Czarownicy dawno już skończyli swoją część prac, ale była tutaj i patrzyła, kiedy unosili roztrzaskane balkony, naprawiali kolumny i składali z powrotem w całość regały na książki; wyglądało to jak cud u zarania świata. Wielka sala nie była do końca taka, jak dawniej; połowa półek ziała pustkami i nie ułożono na nowo mapy z płytek podłogowych. Jednak promienie szafirowego światła znów przesączały się przez świeżo odbudowaną kopułę, a powietrze wciąż pachniało zakurzonymi pergaminami i magią. Ilekroć zamknęła oczy, czuła jakby muśnięcie, szept – cień świadomości, która zbudziła się, aby poderwać bibliotekę do walki, a teraz zapadła w długi, spokojny sen.

Wyślizgnęła się frontowymi drzwiami, mijając grupkę bibliotekarzy. Zaskoczył ją powiew zimnego wiatru. W środku było tak ciepło, że na moment zapomniała, że to już zima.

Wysoka, szczupła sylwetka opierała się o jeden z posągów stojących po obu stronach wejścia; gdy Elisabeth ruszyła schodami w dół, oderwała się od kamienia i pokuśtykała w jej stronę, wsparta na lasce. Serce jej podskoczyło. Po tym, jak spędziła godziny uwięziona pod gruzami, nie wiedząc, co się stało z Nathanielem, wciąż ogarniała ją radość, ilekroć go widziała.

Szmaragdowy płaszcz odszedł w niepamięć, zastąpiony przez ciemne palto z kołnierzem postawionym dla ochrony przed zimnem. Strój kontrastował wyraziście z bladą, kościstą twarzą chłopaka. Wiatr rozwiewał mu kruczoczarne włosy; Elisabeth zdążyła się już przyzwyczaić do tego, jak wyglądają bez srebrzystego pasma. Kolejną różnicę stanowiła laska, z którą nigdy się nie rozstawał. Okazało się, że niektórych obrażeń nawet osłony jego domostwa nie są w stanie uleczyć, zwłaszcza po tym, jak spędził wiele godzin, czekając na ratunek pod gruzami biblioteki.

To cud, że w ogóle przeżył. Setki ton kamienia i szkła runęły akurat w ten sposób, że oboje uszli z życiem. Cud, mówili ludzie, ale Elisabeth wiedziała swoje. Sprawiała to biblioteka, czuwająca nad nimi do samego końca.

– Uśmiechasz się – zauważył z błyskiem w szarych oczach. – Jak poszło?

Sięgnęła do kieszeni i pokazała mu swój nowiutki wielokłucz.

– Jeszcze nie zdecydowałam. Ale poszło... dobrze. Dużo lepiej, niż się spodziewałam. – Usłyszała zaskoczenie w swoim głosie.

– Cieszę się – powiedział z uczuciem. – Najwyższa pora, żeby spotkało cię coś wspaniałego.

– Zdaniem gazet już mnie spotkało, a nazywa się magister Thorn, najbardziej pożądanym kawalerem w Austermeer.

– Ach, wiesz, jak oni lubią przesadzać. Jeszcze tydzień temu twierdzili, że planuję kandydować na kanclerza. – Gdy zeszli na chodnik, jęknął cicho z bólu.

Rzuciła mu zatroskane spojrzenie, chwytając go pod ramię i tym samym biorąc na siebie znaczną część jego wagi.

– Czy doktor Godfrey pozwolił ci przyjść aż tutaj?

– Nie. Jutro czeka mnie z jego strony kilka ostrych słów. Ale skoro moja noga najpewniej już nigdy nie odzyska sprawności, jestem zdania, że równie dobrze mogę zacząć przyzwyczajać się do utykania. – Postukał w laskę z namysłem. – Myślisz, że powinienem sobie sprawić taką z mieczem w środku, jak Ashcroft?

Wzdrygnęła się.

– Proszę, nie. – Drgnienie zmieniło się w dreszcz zimna, gdy wkoło zawirowały płatki śniegu. Spojrzała w górę, mrużąc oczy, i ze zdumieniem stwierdziła, że niebo, jeszcze kilka minut temu błękitne, teraz wypełniało się miękkimi,

zimowymi chmurami. Białe płatki opadały, tańcząc wokół kopuły Biblioteki Królewskiej i pegaza z brązu na szycie wieży, który – była co do tego przekonana – stał teraz dęba w nieco innej pozycji niż przedtem.

Nathaniel również przystanął, żeby podziwiać widok.

– Pamiętasz, jak ostatnio śnieżyło w Parku Cykuty?

– Oczywiście. – Zarumieniła się, widząc, jak na nią patrzy. Jak mogłaby nie pamiętać? Zapomnieć szron i światło świec, to, jak czas zdawał się stać w miejscu, gdy się całowali, i jak ostrożnie rozchylił poły jej szlafroka tylko jedną ręką...

Nie była pewna, które z nich nachyliło się pierwsze. Przez chwilę nie istniało nic oprócz dotyku ich warg, najpierw ostrożnego muśnięcia, a potem wszechogarniającego żaru ich ust.

– Coś mi się zdaje – wymruczał Nathaniel, kiedy wplotła mu palce we włosy – że ta ulica – jeszcze jeden pocałunek – to miejsce publiczne.

– Tej ulicy by nie było, gdyby nie my – odparła. – Żadnej publiczności też nie.

Całowali się dalej, w uniesieniu, aż ktoś nieopodal zagwizdał.

Odsunęli się od siebie ze śmiechem. Wargi mieli zaróżowione, a ich oddechy tworzyły w powietrzu obłoczki pary. Nagle Elisabeth zdała sobie sprawę, że śnieg spadł w bardzo dogodnym momencie.

– Ty to zrobiłeś, prawda? – spytała, łapiąc na dłoń kilka płatków śniegu.

Zrozumiała swój błąd, gdy tylko się odezwała. Jednak tym razem oczy pociemniały mu tylko troszkę. Pstryknął palcami, demonstrując brak zielonych iskier.

– Niestety, moja władza nad pogodą należy już do przeszłości. Niektórzy z pewnością się z tego cieszą.

Pochyliła głowę i ruszyli dalej, w stronę Parku Cykuty.

– Zastanawiałeś się nad... no wiesz?

Milczał przez chwilę w zamyśleniu.

– Brakuje mi magii, ale nie czułbym się dobrze, przyzywając innego demona – powiedział w końcu. – Magisterium proponowało, że użyjemy imienia ze swoich spisów, ale nie naciskają tak bardzo, jak się spodziewałem. Teraz, kiedy *Kroniki umarłych* uległy zniszczeniu, a wraz z nimi zaklęcia Baltasara, nie ma pilnej potrzeby, żeby jakiś Thorn czekał w gotowości.

– To dobrze – stwierdziła Elisabeth. Poczowała ukłucie w piersi. Jeszcze parę dni temu Nathaniel nie dałby rady odbyć tej rozmowy.

– Owszem. A ja będę miał czas na inne rzeczy.

– Na przykład? – zapytała.

– Pomyślmy... Zawsze chciałem nauczyć się fechtunku. Co sądzisz? Z rapierem wyglądałbym strasznie pociągająco.

Skrzywiła się.

– Racja, miecze to twoja działka, nie moja. To może serowarstwo? Albo układanie kompozycji kwiatowych? Jest tyle możliwości, że sam nie wiem, od czego zacząć. – Urwał, zamyślony. – Może od czegoś prostszego. Wciąż masz ochotę iść na łyżwy?

– Tak! – wykrzyknęła. – Ale... – Starła się nie zerknąć na jego ranną nogę.

Wygiął usta w uśmiechu.

– Uratowaliśmy świat, Scrivener. Coś wymyślimy.

Odprężyła się. Miał rację. Na pewno coś wymyślą.

– Nawet jeśli będziesz musiała ciągnąć mnie za sobą na sankach – dodał Nathaniel.

– Nie będę cię ciągnąć na sankach!

– Czemu nie? Nie wątpię, że masz dość siły.

Prychnęła.

– Pisaliby o tym w gazetach.

– Mam taką nadzieję. Chciałbym zachować wycinek. Wkleiłbym go do albumu razem ze wszystkimi artykułami o Ashcrofcie spędzającym resztę życia w cuchnącym, pełnym szczurów lochu.

Uśmiechała się przez resztę drogi, podziwiając śnieg, który zaczął pokrywać dachy w Parku Cykuty, aż niektóre gargulce strzygły uszami z irytacją. Domy zdobiły wieńce i girlandy przygotowane na obchody zimowych świąt, a przejeżdżające obok powozy miały białe dachy, jakby przysypane cukrem pudrem. Od czasu do czasu jakiś przechodzień zatrzymywał się, aby pozdrowić ich skinieniem głowy, zdejmując kapelusz lub nawet kłaniając się w pas, z powagą na twarzy. Nikt nie znał wszystkich szczegółów, ale bitwa przed Biblioteką

Królewską, ich późniejsze ocalenie spośród gruzów oraz zeznania Ashcrofta sprawiły, że postrzegano Elisabeth i Nathaniela jako zbawców miasta.

Raz na jakiś czas któryś ze świadków bitwy pytał, czy była tam tego dnia trzecia osoba – ktoś inny, kto walczył u ich boku na stopniach biblioteki, drobny i blady jak duch, pojawiając się i zaraz znowu znikając. Wydawali się przy tym zbici z tropu, jakby opisywali na wpół zapomniany sen.

Elisabeth mówiła im prawdę, ale oni nie wierzyli, i podejrzewała, że nigdy nie uwierzą. Nie we wszystko – nie w to, że to Silas tak naprawdę ocalił ich wszystkich.

Gdy tylko przyszli do domu, Nathaniel zniknął w swoim gabinecie, narzekając na papierkową robotę. Zaoferował, że pomoże zidentyfikować magiczne artefakty odzyskane z Dworu Ashcroftów, który właśnie przerabiano na nowoczesny szpital. Ku ich zaskoczeniu, sam lord Kicklighter podjął tę inicjatywę z całym entuzjazmem generała ruszającego do boju. Zamknął Leadgate i teraz brał pod lupę inne instytucje finansowane przez Ashcrofta.

Znużenie ogarnęło Elisabeth, gdy stała pośrodku holu. Dziwne, jak wiele wspomnień może istnieć naraz w jednym miejscu. Tam stoi fotel, w którym Silas posadził ją, kiedy kłócił się z Nathanielem, aby pozwolił jej tu zostać. Tam walczyli z *Codexem* przemienionym w malefikt. Tam ścierała z podłogi krew Nathaniela po Balu Królewskim i siedziała, nie raz, lecz dwa, czekając, aż doktor Godfrey powie jej, czy chłopak będzie żył. A tam, pierwszego spędzonego tu poranka, Silas muskał palcami pusty fragment ściany...

W niektóre dni wspomnienia ciążyły jej jak głaz. Każde samo w sobie dało się unieść, ale wszystkie naraz mogły sprawić, że trudno jej było nawet wejść po schodach. Mimo to za nic by ich nie oddała. Ich obecność sprawiała, że ten dom, to życie, były czymś, o co walczyła, i odniosła zwycięstwo. Tu było jej miejsce.

– Przepraszam, panienko! – zawołała Mercy, przemykając obok ze szczotką, miotłą i wiadrem w rękach. Elisabeth rzuciła się jej pomóc, ale Mercy podziękowała jej ze śmiechem.

Była pierwszą służącą, którą Nathaniel zgodził się zatrudnić. Przez pierwsze nieznośne dni nie zgadzał się wziąć kogokolwiek pod uwagę, dopóki, z pomocą dokumentacji ze szpitala Leadgate, Elisabeth nie odnalazła Mercy i nie sprowadziła jej, prosto do jego pokoju, gdzie dziewczyna oznajmiła stanowczo:

– Ludzie krzyczący po nocach to dla mnie nic nowego i nie mam zamiaru pana oceniać.

Wprowadziła się jeszcze tego samego dnia.

– Proszę, mów mi po imieniu! – zawołała Elisabeth, zanim Mercy zniknęła za rogiem. Cały czas próbowała jej wyjaśnić, jakie to dziwne uczucie, kiedy ktoś w jej wieku tytułuje ją „panienką”. W rzeczywistości jednak istniał też inny powód jej dyskomfortu: za bardzo przypominało jej to Silasa.

Zamiast skierować się prosto do sypialni, poszła dalej korytarzem i skręciła za róg, gdzie zamknięte niegdyś drzwi do pokoju przywołań teraz stały otworem. Wetknęła głowę do środka, spoglądając na zebrane w środku pudła i meble. Kierowana impulsem, odsunęła na bok dwa krzesła i zwinęła dywan, odsłaniając pentagram.

Gdy Nathaniel dochodził do siebie, spędzili tu razem niezliczone noce. Nie był w stanie przejść więcej niż kilku kroków z rzędu, a mimo to nalegał, żeby tu przychodzić. Raz za razem wspólnie zapalali świece. Noc w noc wypowiadali prawdziwe imię Silasa.

I za każdym razem odpowiadała im pustka. Nie zrywał się żaden nieziemski wiatr, nie drgały zasłony, nie migotały płomienie świec.

Nigdy nie przyznali na głos, że Silas zginął. Przypuszczała, że nie nadszedł jeszcze właściwy czas. Ale któregoś dnia Mercy musiała przestawić kilka pudeł i, wykazując się swym zwykłym, praktycznym podejściem, odłożyła je tutaj. Wkrótce dołączyły do nich kolejne, a potem rozmaite inne rupiecie. Minęły tygodnie, a Elisabeth nawet nie zauważyła, jak drastycznie odmienił się ten pokój.

Czy tak właśnie jest, kiedy się kogoś traci? Ból nigdy nie przemija, zostaje tylko... zasłonięty?

W zamyśleniu ustawiła na wpół wypalone, poprzewracane świece z powrotem na swoich miejscach. Przejechała czubkami palców po rowkach pentagramu. Wciąż bolało ją, że Silas nie miał żadnego nagrobka, niczego, aby uczcić jego pamięć. Ten krąg wryty w podłodze był jedyną pamiątką, jaka po nim pozostała. W pewnym sensie było tak, jakby nigdy nie istniał.

Będzie musiała porozmawiać o tym z Nathanielem. Może razem coś zorganizują. Pomyślała, że Nathaniel czułby się lepiej, gdyby miał jakieś miejsce, które mógłby odwiedzać, może od czasu do czasu zostawić kwiaty.

Jej na razie musiał wystarczyć pentagram.

Zapaliła świece, z przyzwyczajenia robiąc to odwrotnie do ruchu wskazówek zegara. Cóż to za dziwna stypa, odbywana samotnie w pokoju pełnym niepotrzebnych mebli. Co Silas by sobie pomyślał, gdyby ją teraz widział? Ceremonia była poniżej jego standardów. Wątpiła jednak, czy by mu to przeszkadzało, nawet gdyby udawał niezadowolony.

Kiedy już zapaliła ostatnią świecę i zgasiła zapałkę, zastygła na moment. Pewna myśl wkradła się do jej głowy jak zbłąkany powiew wiatru, niespodziewana i nieuchwytna.

Nie... to się nie mogło udać. A jednak nie była w stanie wyrzucić tego pomysłu z głowy.

Powolnym ruchem zacięła się nożem w palec i dotknęła kręgu krwawiącą ranką. Przycupnęła na piętach. Zawsze, gdy próbowali przywołać Silasa, posługiwali się jego enochiańskim imieniem. Ale co, jeśli...?

Sprzeciwił się archontowi, żeby ich ocalić. Zdradził własny gatunek. Ostatecznie wygrał nie Silariathas, zimny i bezwzględny, lecz jego druga strona. To ona wyszła ze starcia zwycięsko, utwierdzona w swoim istnieniu.

Co, jeśli... co, jeśli?

Podparła się, próbując uspokoić oszalałe bicie serca. W ciszy powiedziała po prostu:

– Silas.

Z początku nic się nie stało. Po chwili jednak włosy wiszące jej przed twarzą zadrgały, jakby muśnięte oddechem. Podmuch wiatru wiejącego znikąd poruszył frędzlami zwiniętego dywanu. Jakaś kartka przeleciała przez pokój i przywarła do ściany.

A potem wszystkie pięć świec zgasło równocześnie.

PODZIĘKOWANIA



Pisanie drugiej powieści nieraz bywa trudne, a moje doświadczenia nie stanowią wyjątku od tej reguły. Jestem nieskończenie wdzięczna mojej agentce, Sarze Megibow, oraz redaktorce, Karen Wojtyle, za udzielone mi wsparcie. Bez ich zrozumienia i cierpliwości nigdy nie dostałabym szansy, aby stworzyć tę opowieść.

Jestem winna serdeczne podziękowania całemu mojemu zespołowi wydawniczemu z McElderry Books. Dziękuję Ci, Nicole Fiorica, za tak życzliwe odpowiedzi na moje głupie pytania. Dziękuję też Bridget Madsen, Lisie Moraleda, Sonii Chaghatzbanian, Beth Parker, Justinowi Chanda, Anne Zafian, Chrissy Noh i Ellen Winkler za pomoc w uczynieniu tej książki najlepszą, jaką tylko mogła być, tak na zewnątrz, jak i od środka. A swoją duszę winna jestem Charlie Bowater, której pięknie namalowane okładki wciąż wprawiają mnie w zachwyt, ilekroć na nie spojrzę.

W następnej kolejności chciałabym przeprosić moich rodziców, którzy w trakcie powstawania tej książki znosili z mojej strony całe mnóstwo dziwnych, spowodowanych stresem zachowań i troszczyli się o to, żebym nie umarła z głodu. Zwykle „dziękuję” nie wystarczy, aby wyrazić to, co czuję. Jestem też wdzięczna mojemu starszemu bratu, Jonowi Rogersonowi, Kate Frasca, która jest dla mnie jak siostra, i Denise Frasca, za wspieranie mnie w mojej pracy z takim entuzjazmem.

Jessica Stoops, Rachel Boughton: wiecie już, jak wiele dla mnie znaczą, i że bez waszej dwójki nie byłabym taką samą pisarką ani nawet tą samą osobą. Dziękuję wam. Dziękuję również moim drogim przyjaciółom: Jamiemu Brinkmanowi, Kristi Rudie, Erin Phelps, Nicole Stamper, Liz Fiacco, Jessice Kernan, Katy Kania i Desiree Wilson, za to, że są najlepszą grupą znajomych, jaką mogłabym sobie wymarzyć.

Moim kolegom po pisarskim fachu: Katherine Arden, Jessica Cluess, Stephanie Garber, Heather Fawcett, Emily Duncan, Isabel Ibañez Davis, Ashley Poston i Laurze Weymouth dziękuję za ich mądrość, przyjaźń i niesamowite książki. Bez was ta podróż byłaby samotna.

I wreszcie niezmiernie wdzięczna jestem księgarzom, którzy promowali moją twórczość, takim jak Allison Senecal, Nicole Brinkley, Sarah True, Cristina Russell i Rachel Strolle. Bardzo wam wszystkim dziękuję. Jesteście wielcy.